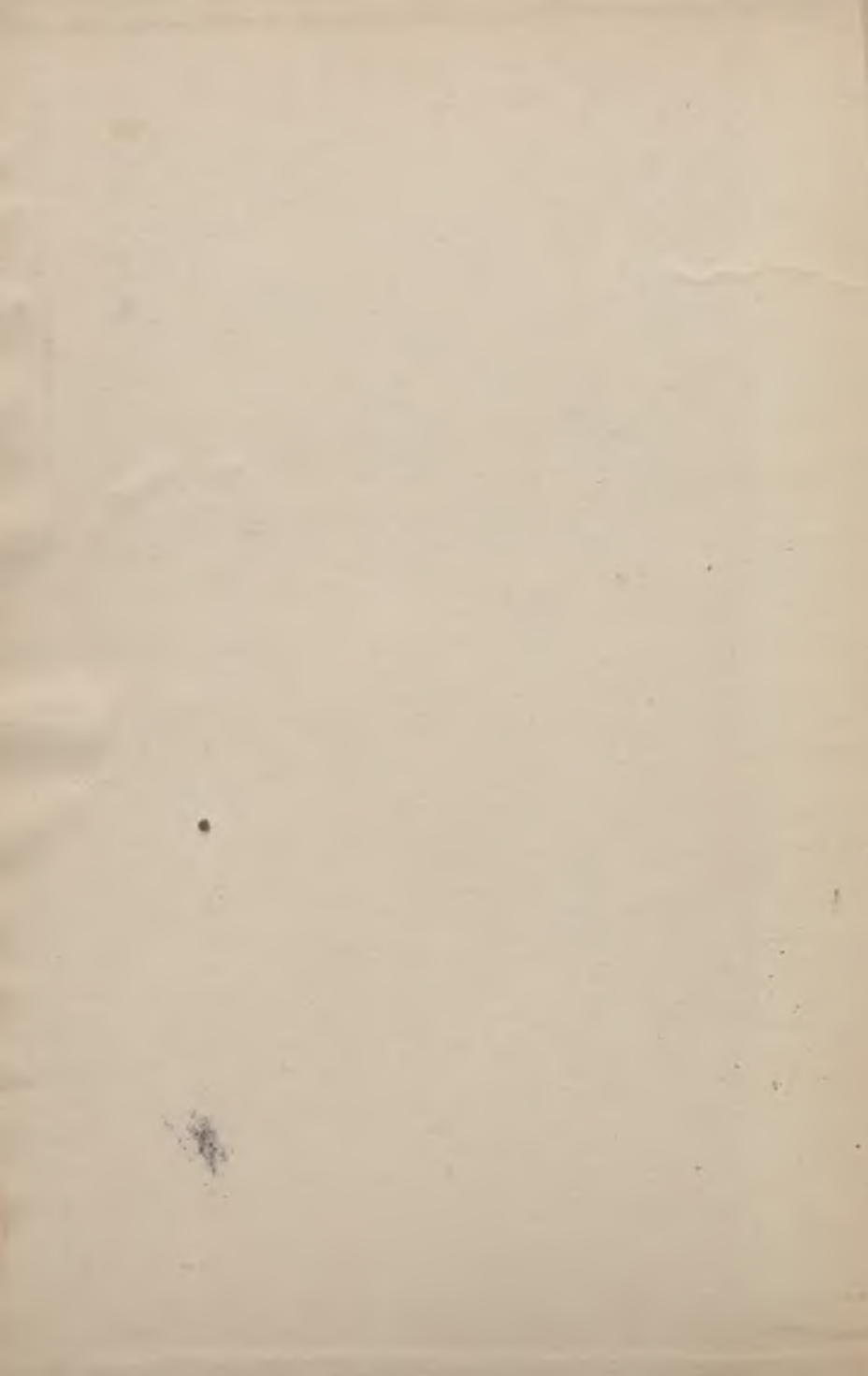
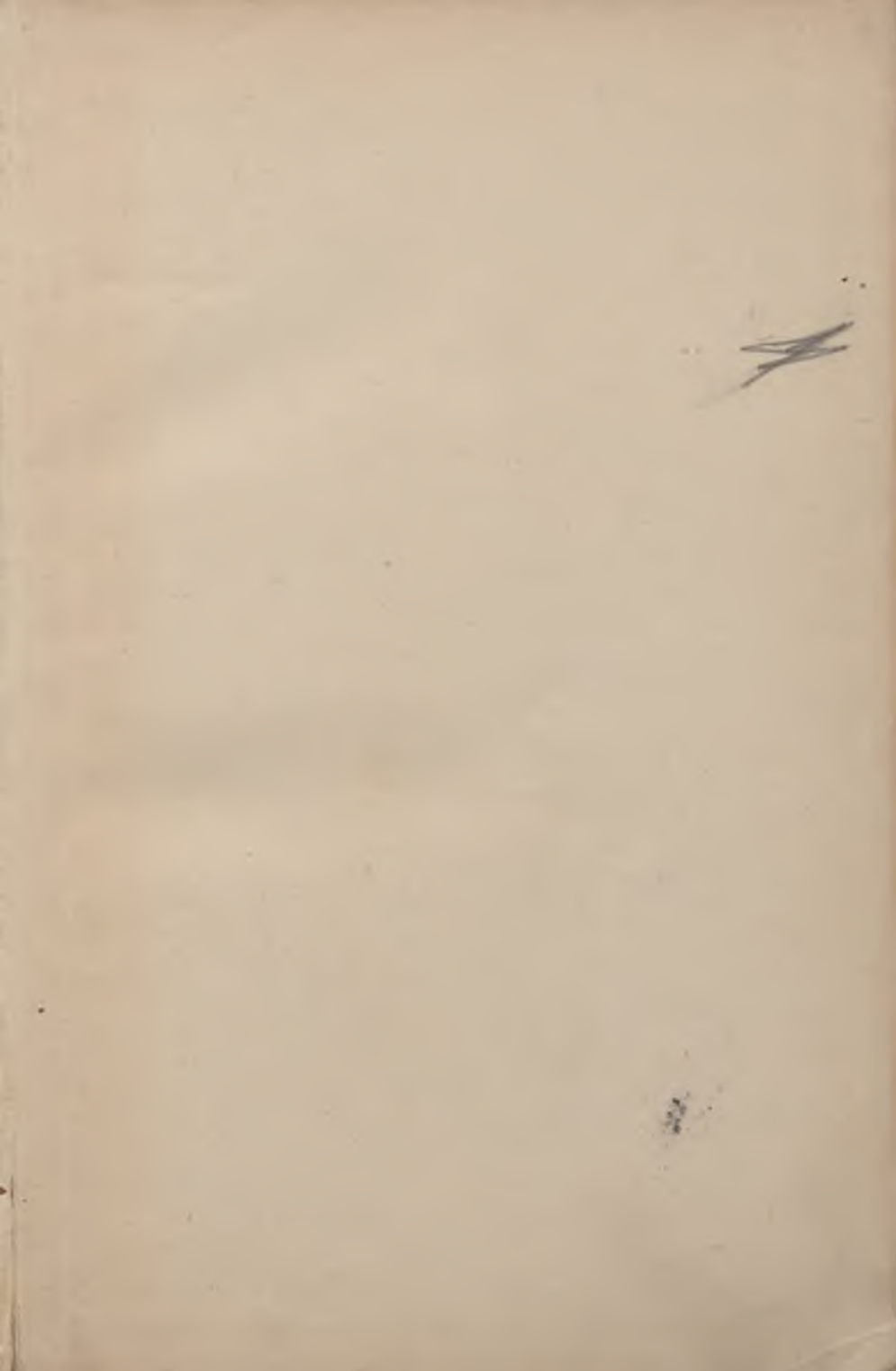


LINCOLN









EMIL LUDWIG LINCOLN







Emil Ludwig

# LINCOLN

*Powieść*



*Książka i Wiedza*

1 9 5 7

Tytuł oryginału:  
LINCOLN  
Tłumaczył z niemieckiego  
PAWEŁ HULKA - LASKOWSKI

\*

Okładkę i obwólkę projektował  
JAN HOLLENDER

Redycja  
z wydania Instytutu Wydawniczego  
„RENAISSANCE”

k 1123/57



21878

*Księga pierwsza* / WYROBNIK





## I

Zimowa wichura okrutnie trzęsie chatą. Gdy dmie przez równinę, gdy pod jej naporem trzeszczą stare drzewa olbrzymie, jakie tu i ówdzie ostały się przed siekierą, gdy wzgardliwie potrząsa nędznym drewnianym szałasem, w którym szukają schronu różni przybysze, to zamierają serca wszystkich znajdujących ochronę przed żywiołami Ameryki pod osłoną ciosanych pni i pod płaskim dachem. Ale mieszkańcy chaty już się do tego przyzwyczaili. Nie słyszą już wichury, bo i praca wczorajsza ich znużyła. Śpią wszyscy: rodzice i dzieci.

Tylko czteroletni chłopiec zbudził się właśnie, gdy wichura zdmuchnęła z komina kamień i uderzyła nim o ścianę. Przy tej ścianie akurat leży siennik wypchany liśćmi, na którym sypia on z siostrą. Chłopiec śpi z brzegu, bo Sarze bywa zawsze bardzo zimno, gdy wicher dmucha przez szczeliny. Chociaż Sara starsza, to jednak jest ona delikatniejsza, podczas gdy chłopiec jest kościsty i krzepki. Tylko że ciągle ściąga z niego całe futro z lisa, którego ojciec niedawno zastrzelił; we śnie trzyma je kurczowo i nie daje sobie wydrzeć. Tuż obok siebie widzi chłopiec jej rękę, ucho i splątane ciemne włosy, a koło swoich stóp czuje stopy siostry. Nogi omotał sobie dobrze i nie da ich wypchnąć spod lisiury. Dobrze, że żar kominka jako tako rozprasza mrok w chacie, bo można to i owo widzieć.

W mroku chaty widzi na przykład coś błyszczącego, tuż, całkiem blisko. Matka mówi, że tak błyszczą

wszystko w niebie. To stare wiadro blaszane, które co wieczór napełnia wodą. Nieco dalej błyszczą coś na ścianie. To siekiera ojca, której dzieciom dotykać nie wolno, bo jest strasznie ostra i raz, dwa, trzy, palec ucięty. Pod tą siekierą śpi przy matce ojciec, który dzisiaj chrapie znowu bardzo głośno.

Wolno i sennie przepływają myśli chłopca ku śpiącej matce i budzi się w nim coś, jakby cicha żalność, kiedy sobie przypomina, że niegdyś sypiał przy niej, gdy był jeszcze mały. Jego najwcześniejsze wspomnienia wiążą się z ciepłem jej ciała i mówią mu, że kiedyś było lepiej, że już coś posiadał i stracił. Tak sobie myśli, a tymczasem jest mu coraz chłodniej, lecz wołać nie można, bo ojciec zakazał. Trzeba sobie jakoś poradzić, to zaraz będzie lepiej. Więc chłopiec wyciąga swoje małe ręce, aby sięgnąć po suknię, którą matka przykryła dzieci, a która zsunęła się na stronę Sary. Ale ręce ma za krótkie. a tymczasem wiatr świszczy przez szczeliny między belkami akurat tam, gdzie chłopiec leży. Raptem spostrzega on w blasku ognia tuż nad sobą chustkę zawieszoną na ukos na gwoździu; przykłęka, powstaje, wspina się na palce i chwyta koniec chustki. Zatyka zręcznie szczeliny nad swoją głową i od razu wiatr przestaje dmuchać. Przeciąga na swoją stronę kawałek lisiury, teraz jest mu cieplej, i natychmiast znowu zasypia.

Gdy się budzi, płonie wesoły ogień i ploszy szarość dnia zagładającego przez szczeliny. Sara śpi jeszcze, ale matka stoi przy ogniu i dolewa trochę gorącej wody do mleka. Jedna z trzech krów zdechła niedawno, o tym chłopiec wie, bo na wszystko, co się dokoła niego dzieje, zwraca baczność uwagę. Ojciec jest w tej chwili z pewnością w oborze, ale gdy chłopiec pyta o niego, matka nie odpowiada, bo nie ma czasu.

Powoli, guzdrząc się, wdziewa chłopiec spodnie skórzane, potem kapotę i wciąga buty na nogi; wszystko to jest zrobione z szorstkiej skóry. Ojciec ściągnął ją z bawołu, matka zeszyła, co była trzeba, i tak odziewają się wszyscy. A teraz będzie mleko, od którego zaraz zrobi się ciepło. Żeby to można było bawić się taką blaszaną puszką, która leży na podłodze! Ale blachy nie wolno dotykać, bo ojciec gwoździem robi z niej sitko albo tarkę, na której jemu każą potem trzeć różne korzenie. Bawić się można tylko drzewem, którego wszędzie jest pod dostatkiem; gdzie spojrzeć, widać drzewa i lasy na tysiące mil daleko; sięgają aż dokądś tam, gdzie świat się kończy.

— Kiedy będzie niedziela? — pyta chłopiec zbliżając się do ognia. Matka uśmiecha się, bo rozumie, że chłopcu chodzi o biały chleb, jaki piecze zawsze w sobotę wieczorem. Sięga więc na półkę wiszącą nad głową, gdzie dzieci sięgnąć nie mogą, i dużym nożem kraje kawał chleba z ostatniego bochenka, a gdy chłopiec sadowi się koło niej z blaszanym kubkiem i chlebem, matka pochyla się nad nim i całuje swoje dziecko. Chłopiec nie rusza się i czeka, aż matka odejdzie, żeby móc jeść dalej. Potem spogląda na nią ukradkiem i myśli, czemu też ona jest taka jakaś smutna. Ale nie pyta o to, bo matka takich pytań nie znosi.

A matka tymczasem stoi już przy stole, czyli ogromnym pniu drzewa, który u dołu zachował swój dawny wygląd, chociaż u góry jest dość gładki. Trzeba dobrze uważać, bo przy tym stole łatwo wbić sobie zadre w palec, pokazuje się potem czerwona krew, a ojciec krzyczy.

Tymczasem ubrała się i siostra, więc dzieci pójdą teraz do szopy po drzewo. Wiedzą już dobrze, które

jest mokre, a które suche, które miękkie, a które twarde. Umieją też nałamać chrustu, a gdy parę razy obróca, to naznoszą kupę drzewa. Potem matka nastawia duży kocioł na czterech nogach i zaraz zaczyna gotować. Dzieci biegną do ogródka przed domem i przynoszą trochę zimowych jarzyn, bo soli jest tu mało, a bez wszelkiej przyprawy jadło nie smakowałoby nikomu nawet na tym Dzikim Zachodzie. Rzecz dzieje się przecież w samym środku Kentucky, w czasach, gdy połowa całego Nowego Świata jest taka dzika jak Stary Świat przed dwoma tysiącami lat, i gdy farmer z siekierą w ręku przebija się skroś olbrzymie lasy, aby siać kukurydzę i łowić zwierzynę. A tu jest pustkowie najmniej zalesione i nawet pobliskie źródło znika czasem zgoła niespodzianie w skałach.

A tymczasem strzelec już wrócił! Około południa słyszą dzieci szczekanie psa opodal, śpieszą ku drzwiom, wyciągają ręce ku rzemieniowi, którym się drzwi zamyka, i rozwierają je szeroko, gdy ojciec wchodzi ze strzelbą na ramieniu i z dużym zającem. Ojciec jest wysoki, barczysty, ciemny i brodaty, wszystko, co ma na sobie ze skóry i sierści, to sam upolował. Woli zresztą polować, niż stać przy heblarce. Z zawodu jest on stolarzem i robi krzesła i drzwi dla wszystkich sąsiadów dookoła. Gdy teraz siada przy kominie i czeka, aby mu matka podała na glinianym talerzu to, co ugotowała, chłopiec przygląda się jemu i jej i myśli w duchu, że właściwie smutnej matce ciężiej jest na świecie niż ruchliwemu ojcu.

## II

W piątym roku życia jego niespokojny ojciec przenosi się z rodziną na północo-wschód. Jest tam dużo drzew i ziemia jest urodzajna. Chata ich stoi nad wart-



kim potokiem. Życie jest tu przyjemne, szczególnie w lecie, bo wtedy nie jest zimno i nie bywa się głodnym, ponieważ lasy pełne są zwierzyny. Niedaleko od ich chaty biegnie szosa. Wielu rzeczom można się tu napastryć, bo łączy ona dwa miasta. Podrastający chłopiec słyszy często nazwy dwóch miast: Louisville i Nashville. Przejeżdżają tędy wozy, niekiedy po kilka dziennie, a na wozach siedzą ludzie z dziećmi i sprzętem i posuwają się zawsze w tę stronę, gdzie zachodzi słońce. Są i tacy, co jadą wierzchem i wiozą do miasta wór kukurydzy, inni znowu mają w skrzyniach jakieś rzeczy niewiadome. Czasem maszerują także żołnierze, a ojciec powiada, że wracają z wojny do domu. Pewnego razu przybył jakiś człowiek w pięknych szatach, które — jak mówiła matka — były z wełny, i rozmawiał z ojcem o lasach na Zachodzie i o tym, ile kosztują.

Zbyt długo nie wolno dzieciom bawić się na drodze. Zaraz je matka woła i każe im plewić zielsko w ogrodzie, zbierać jagody i grzyby, które potem suszy w domu i przechowuje na zimę. Gdy chłopiec ma już lat sześć czy siedem, ojciec zabiera go ze sobą w pole, i to nie dla zabawy; musi on pomagać ojcu siać, rzucając ziarno raz za razem, jeden rząd wyżej, a drugi niżej. Męczy to, ale trzeba robić i uważać, żeby było dobrze zrobione. A tymczasem Sara pomaga matce w domu doić krowy, a wieczorem praść. W niedzielę siedzą wszyscy przed chatą, a matka śpiewa cichym, ładnym głosem stare pieśni. Albo opowiada różne historie z Biblii, bo posiada cudowną pamięć ludzi nieuczonych. I już przez całe życie w pamięci chłopca strofy te wiązać się będą z głosem, który śpiewał mu je po raz pierwszy. Ojciec siedzi z nimi i pali, a gdy chłopiec uważnie przygląda się obojgu, to czuje większy pociąg do matki niż

do ojca. Matka jest delikatniejsza i młodsza, a chociaż nie jest niższa, dzieciom jakoś łatwiej zbliżyć się do niej. Gdy chłopiec przygląda się jej swymi mądrymi, badawczymi oczami, gdy patrzy na ciemną żółtawą skórę jej twarzy, na ostre rysy, czoło, podbródek i kości policzkowe, to spojrzenie jej oczu zdaje się docierać aż do jego serca i wtedy rozumie, dlaczego matka tak lubi śpiewać swoje pieśni przeciągle.

Pewnej niedzieli wszakże, gdy udali się do przyjaciół z sąsiedniej wsi, stało się nagle, iż ujrzał matkę weselszą od innych, bo tańczyła najwięcej i zmęczenia nie było po niej widać. Więc chłopiec się zdumiewa, bo pierwszy raz spostrzega, jak to smutek przechodzi w wesołość. Jego senne uczucia poruszają się z lekka, niejasno odgaduje, że w matczynym skupieniu skrywają się jakieś tajemnice, i to go przestrasza.

Od czasu do czasu matka zabiera go ze sobą do okolicznych farmerów, u których siedzi i szyje. Ludzie ci mieszkają duże domy, ich kuchnie na dole są większe niż kuchenka rodziców Abrahama, a na górze mają po dwie izby, z łózkami jak się należy, zrobionymi przez jego ojca. Jak to jest? Ojciec i matka stolarką i szyciem chcą zarobić pieniądze, aby móc kupić konia. Ale dlaczego nie mają dość pieniędzy, jak ci, co są bogaci? Nie wiadomo.

Z coraz większym zdumieniem przygląda się chłopiec sąsiadom z okolicy. Wuj i ciotka także się tu sprowadzili. Najbardziej to może mu się podoba ciotka Sparrow: jest to kobieta bardzo żywa, żwawa, mądra i stanowcza, ma siwe włosy, ale jest zdrowsza od matki. Dzieciom opowiada bardzo dużo, bo bywała daleko w świecie i niejedno wie o tej wielkiej wojnie, w której Anglicy zostali niegdyś pokonani. Umie czytać w Biblii i umie też sposobem śmiałym pisać na arkuszu papieru,

jakby jej pisząca ręka nigdy w życiu nie trzymała siekiery.

Więc dzieci często pytają rodziców, jak to było z nimi za młodu. Matka opowiada, że daleko stąd leży Pensylwania, a tam mieszkał jej dziad, kwakier, pobożny, dobry człowiek. Ale gdy chłopiec pyta o jej matkę i ciotkę, nie otrzymuje wyraźnej odpowiedzi.

Za to ojciec opowiada chętnie, bo opowiadanie sprawia mu niemal tyle uciechy, ile jazda konna. Dzisiaj opowiada o Indianach. Mianowicie dawnymi czasy przybyli tutaj z pięknej Wirginii do ubogiej krainy Kentucky, ale naprawdę to pochodzą z Północy, jak i matka, i z Południem nic ich nie wiąże. Wtedy Indianie czaili się jeszcze na każdym kroku i napastowali białych. Było gorzej niż dzisiaj. Otóż wtedy, gdy ojciec był taki jeszcze mały, jak dzisiaj jego syn, który z szeroko rozwartymi oczami i zaciętymi ustami słucha opowiadania rodzica, znajdował się ze swoim ojcem i braćmi niedaleko chaty w lesie. Wtem huknął strzał. Ojciec padł na ziemię, bracia pobiegli do chaty po pomoc, a malec pozostał sam. Ojciec leżał bez ruchu, bo go czerwono-skórczy z zasadzki zastrzelili. Raptem Indianie wyskoczyli z zarośli i chcieli chłopca uprowadzić ze sobą; zaczął krzyczeć i opierać się, aż brat powrócił ze swoją strzelbą i strzelił. Zaczęło się strzelanie ze wszystkich stron, a dzieciak w nogi — i do domu.

Ze zdumieniem słucha chłopiec tego opowiadania. Więc to tak zastrzelili tego dziadka Abrahama, po którym otrzymał imię. Kto wie, co jeszcze ojca spotkać może! Ale ojciec śmieje się i mówi, że teraz już inne czasy.

Ojciec umie opowiadać bardzo ładnie — myśli chłopiec, i dziewczynka też. Ale czytać nie umie i lubi śmiać

się z matki, gdy ta mówi o szkole. Gdy ojciec umie robić szafy i okna, strzelać na łowach, siać i ścinać drzewa, to czegoż ma się jeszcze uczyć? Ale gdyby się umiało czytać albo i pisać jak ciotka! Wolno mu teraz przez parę tygodni chodzić do szkoły, ale mila drogi do niej, a gdy bywa mokro, to w trzewikach ze skóry zajęcej niewiele cieplej niż boso. Szkoła mieści się w takim samym blokhausie jak ich chata, nie większym, ale ma ona dwa okna z matowego papieru, większy komin, a nauczycielem jest proboszcz. Z ręki do ręki podaje dzieciom książkę, pokazuje im litery, każe wszystkim po kolei wolno sylabizować i ciągle wszystko na głos powtarzać. To ma być czytanie? Nie ma tam ani jednej opowieści, a pisać, jak pisze ciotka, nie uczą się wcale.

Za to jest tego roku dużo innych nowin. Ojciec stał się inspektorem dróg, a gdy chłopiec z nim wędruje, to w miasteczku słyszy, co ludzie opowiadają o sobie, co mówią Indianie o cudownej krainie, bardzo urodzajnej, do której zmierzają jeźdźcy na koniach i wozy, ciągnące w stronę zachodzącego słońca. Słyszy też opowiadania o wielkiej rzece Ohio, która płynie między krainami. Ojciec stał się też i dozorcą publicznym, czymś w rodzaju policjanta, a ponieważ woli czynić wszystko inne, niż stać przy heblarce, więc wędruje z miejsca na miejsce, a wszędzie zbierają się koło niego ludzie, gdyż tak świetnie umie opowiadać. Tego uczy się i chłopiec, bo przysłuchuje się uważnie i zaraz spostrzega, kiedy ojciec to samo opowiadanie dzisiaj powtarza nieco inaczej niż wczoraj. Gdy ojciec spotyka Murzyna, to zaraz go zatrzymuje i pyta, czy ma papier, który mu pozwala tędy przechodzić i nieść to, co ma na plecach. — Dlaczego? — pyta chłopiec. — Tego jeszcze nie zrozumiesz — odpowiada mu ojciec.



Ale razu pewnego ojciec zagląda do więźniów w Hodgenville. Co to za jedni ci więźniowie? Żli ludzie, tam oto siedzący, z łańcuchem na nodze. I chłopiec patrzy z przerażeniem w srogie twarze złych ludzi, którzy gniewnie patrzą na ojca, gdy ten kluczem zardzewiałym otwiera mroczną chatę. Potem zamyka ją znowu, a tamci muszą w niej siedzieć. Ale współczucie chłopca pozostaje z nimi, z tymi ludźmi w łańcuchach. I myśli chłopiec: a więc są tacy ludzie, którzy innym ludziom zakładają łańcuchy na nogi? To jeszcze gorsi ludzie od bogaczy, którym ojciec musi robić krzesła, a matka musi szyc koszule, aby można było kupić chleba i herbaty.

Tego lata widziało się też wiele innych rzeczy ciekawych i zastanawiających. Ojciec ścina najwyższe drzewa. Siekierą, którą naoliwia i ostrzy na kamieniu i prawie stale nosi przytroczoną do pasa u spodni, ścina drzewa u samych korzeni. Na co? Dom przecież mamy. A to będzie tratwa. Co to jest tratwa? To tak jakby okręt. Można na tratwie zjechać po rzece do samego morza. A morze gdzie? Na Południu. Teraz może chłopiec już podawać postronki i nawet po trosze popychać drzewo, bo ojciec wiąże pnie do kupy i wszystko razem spycha na wodę małej rzeki, która dalej na zachodzie wpada podobno do wielkiej rzeki Ohio. Wreszcie toczy jedną za drugą dziesięć baryłek. Chłopiec dowiaduje się, że ojciec je kupił i że jest w nich whisky. Matka dużo się nawzdychała w owych dniach i wreszcie dzieci dowiadują się, dlaczego wzdychała. Ojciec sprzedał chatę, bo chce się przeprowadzić do Indiany, gdzie ma być wszystko bogatsze i urodzajniejsze. Chciałby mało pracować, a dużo zbierać: taki już jego gust. Za chatę dostał dziesięć baryłek whisky i dwadzieścia dolarów na rękę. Kto wie, co ich tam jeszcze spotka na Zachodzie!

Wreszcie wszystko jest gotowe, stoją na brzegu i machają rękoma na pożegnanie odjeżdżającemu ojcu, który długim nowym wiosłem odbija się od brzegu i niebawem znika im z oczu. Ale po niedługim czasie wraca, dużo opowiada, śmieje się i poklepuje matkę po ramieniu, jest pełen dobrych myśli i nadziei, bo Indiana to istny raj. Nadchodzi jesień, zaczynają się deszcze i wtedy pakują wszystko, co mają: naczynia kuchenne i narzędzia, skóry i ubrania, wszystko ładują na dwa konie, matka z siostrą siadają na jednego konia, ojciec z synem na drugiego i ruszają w drogę na zachód, dokąd tyłu już poszło przed nimi. Podróż trwa pięć dni, w nocy ojciec strażuje, podczas gdy matka z dziećmi śpi w lesie na ziemi, bo tutaj trzeba się mieć na baczności przed zwierzętami i ludźmi.

### III

Pigeon Creek, czyli gołębnik, jak nazywają swój nowy dom, jest większy i jaśniejszy od chaty w Kentucky. Przy pomocy krewnych ojciec zbudował nowy dom bardzo szybko, a tymczasem wszyscy mieszkali w cudzym blokhausie. Bo przed nimi i po nich przybywali tu kolejno wuj, ciotka, kuzynowie. Wszyscy farmerzy, którzy się w tych okolicach osiedlają, są pełni najlepszych nadziei. Chłopiec jest ucieszony, że ojciec ścina wyższe drzewa, aby można było zbudować chatę większą, niż była poprzednio. Cieszy się też, że nowy dom będzie miał strych pod strzechą.

Ojciec jest wciąż w dobrym humorze, bo teraz wreszcie zacznie mu się szczęścić. Bogactwo widzi mu się być już całkiem blisko, a myślistwu można się tu oddawać całymi dniami i tygodniami, gdyż zwierzyny jest

bardzo dużo. Nowa farma znajduje się na niewysokim wzgórku, otoczonym polami i gęstymi krzewami. Potok jest tu nieco dalej i dzieci muszą chodzić po wodę wiorstę od domu i muszą uważać, aby się z blaszanego wiadra nic nie ulało. A poza tym ośmioletni już chłopiec musi odtąd sypiać na strychu. Włazi się tam po kilku szczeblach, które ojciec przybił między belki ściany. Łatwe to i zabawne. Na tej górcie jest ciemno, bo nie dociera tam blask ognia z kominka i nie ma okien, które by przepuszczały światło poranka. Ale zimą jest tu chłopcu daleko lepiej, bo strzecha jest niska, a szczeliny są dobrze pozalepiane i zabezpieczają przed deszczem i wiatrem. Za to w lecie jest tu straszliwie gorąco, a nie ma dymnika, przez który wnikałoby chłodniejsze powietrze.

Ma się tu dużo swobody. Rodzice matki przybyli także do Indiany, nazywają się także Sparrow i przyprawdzili z sobą swego 18-letniego przybranego syna, Denisa Hanksa. Dla małego Abrahama są bardzo uprzejmi i dobrzy. Nie są też wcale jeszcze tacy starzy.

Tutaj, w Indianie, trzeba się trzymać kupy, bo jest tu jeszcze dość dziko, a niedźwiedzie już uniosły jednego z osadników. Dlatego przed chatą wiecznie pali się ogień dla odstraszenia zwierząt i dla osuszania wilgotnego powietrza dokoła niej. Bo powietrze płynące z mokradeł jest niezdrowe, zwierzęta i ludzie cierpią przez to i nawet dzieci muszą żuć korę peru, aby się zabezpieczyć przed malarią. A kora ta jest taka, że nawet gdy pomaga, to mocno przygnębia ludzi na duchu, osobliwie dzieci, więc nie łatwo zdobywają się na wesołość. Jednakże dziwaczny jakiś strach przed prerią pędzi tych ludzi coraz głębiej w lasy, w których muszą sobie naprzód kopać nory i z wielkim trudem karczować i uprawiać



ziemię, aby można było zasiać kukurydzę. Więc i dzieci muszą tu pomagać, szczególnie taki krzepki chłopak, jak Abraham. Na wiosnę muszą siać, w sierpniu pomagać przy żniwach, potem w wydrążonym pniu drzewnym obuchem siekiery wymłócić ziarno, a w ciągu całego roku muszą pomagać matce lub też ją zastępować, czy to karmiąc świnię, czy dojąc krowy. Prócz tego trzeba pamiętać o tym, żeby nie zabrakło ani wody, ani drzewa. Tak monotennie upływa życie — dzień za dniem, rok za rokiem. Zimą bywa tak, że umyć się można tylko od czasu do czasu. Przez wiele dni ludzie siedzą skuleni w chacie przy ognisku. Przychodzi sąsiad i wszyscy, nawet kobiety, piją, palą, zażywają tabakę, spluwają i opowiadają straszliwe historie.

Ale pewnego dnia październikowego, po dwuletnim tutaj pobycie — może dlatego, że krowy naźarły się czegoś niezdrowego, a może tylko z powodu wilgoci gruntu — wybucha gwałtowna febra i zwala z nóg wszystkich i wszystko dokoła. Konie padają, owce wiją się na ziemi, mleko trzeba wylewać, ludzie zarażają się i jęcząc leżą na swoich siennikach wypchanych liśćmi. A tymczasem najbliższy lekarz znajduje się o trzydzieści pięć mil stąd i w swoim obwodzie ma pracy ponad siły. Przez ciężkie przygnębienie przebija się pragnienie uratowania swoich bliskich i siebie. Bezwład i wysiłki mieszają się ze sobą, nikt nie troszczy się o zdrowe dzieci, nikt nie pomyśli, kto tam w domu gotuje, kto opiekuje się chorym i zdrowym bydlęm, kto ostrzy siekiere, kto suszy chrust, obiera rzepę, kto szyje skóry. Matka leży chora, wszyscy w ogóle leżą i zaczynają umierać.

Sąsiedzi umierają, dziadek i babka umierają na swoich siennikach w chacie, a potem i sama matka umiera. Jej suchotnicza natura, jej postać chuda i źle odżywiana,



brak ochoty do życia potęgują i wspomagają chorobę. Chłopiec zaś, mający teraz około dziesięciu lat, stoi obok bladej milczącej kobiety i nie wie, co ma robić. Widzi, jak wielki, ociężały ojciec płacze, jego rozczochrana broda jest cała mokra. Między zgrozą a ciekawością upływa kilka dni. Od chwili gdy umarł pierwszy sąsiad, chłopiec widział, jak ojciec robił trumny z prostych szorstkich desek, a gdy je zbijał drewnianymi ćwiekami, każde uderzenie młotka przenikało chorych jak ciosy sztyletu. I zdrowych także.

Teraz przygląda się chłopiec, jak ojciec mierzy zwłoki zmarłej matki, a potem śledzi ukradkiem każdy ruch ojca, gdy ten tnie drzewo, łączy je ćwiekami, bo żelaznych gwoździ tutaj nie ma. Czasem ojciec woła na niego, żeby mu podał to lub owo, i wtedy chłopiec ojcu pomaga. Pierwszego dnia jest więc dużo roboty, bo trzeba skoczyć to tu, to tam, podać to i owo, i nie ma czasu na pytania i na zdawanie sobie sprawy z tego, co się stało.

Ale potem, gdy matkę układają w owej skrzyni, a skrzynię zakopują w ziemi i powracają do domu, a jej łóżko jest puste, melancholijnego chłopca opanowuje uczucie wielkiego opuszczenia. Ojciec przestał mu się podobać: przypominają mu się ostre jego słowa, czasem uderzenie. Wszystko dobre pochodziło od matki, która nigdy nie biła, zawsze się o wszystko troszczyła, a gdy bywała smutna, to niekiedy spoglądała na swego chłopca, który stawał się do niej coraz podobniejszy. Uczucie jakiejś tajemnej więzi, której, być może, nigdy nie było, napędza dziecko, rozwija się coraz bardziej i przeradza się w tęsknotę, która nie opuści go już nigdy w życiu. Skłonność melancholijnych natur do tęsknot za nieosiągalnym i straconym potęguje w nim miłość do wspomnianej matki i podwaja jego melancholię.

Po upływie roku wybiera się ojciec w podróż do miasta i zapowiada, że wróci nieprędko. Może on sam powiedział dzieciom, że przywodzi nową matkę, a może też ich kuzyn podsłuchał jakąś rozmowę. Melancholijny chłopiec spędza całe dwa tygodnie w wielkim niepokoju, bo w jedenastym roku życia mógł już to i owo słyszeć o macochach. Pewnego wieczoru, w grudniu, ojciec niespodziewanie wrócił. Cztery konie przyciągnęły tu wóz z Kentucky. Konie były wypasione, a wóz wyglądał doskonale. Dziecięce serca biją niespokojnie: jaka też będzie ta macocha? Wysoka, jasna, rozmowna niewiasta wysiada z wozu. Ma kędzierzawe włosy i miłe rysy. Ale któż to jeszcze jest na wozie? Onieśmiałe dzieci stoją przy płocie blokhauzu i widzą troje innych dzieci wysiadających z wozu, zaś ojciec, najbardziej ze wszystkich zakłopotany, podprowadza te dzieci do swoich i powiada, że na imię mają: Jan, Matylda i Sara. Jeszcze jedna Sara! — myślą tamte dzieci, ale nie mają czasu na rozmyślanie, bo ojciec zabiera się natychmiast do wyładowywania koszu i skrzyń, w których znajdują się tkaniny i inne rzeczy. Ukazuje się też polerowana szafa i wreszcie prawdziwe łóżka.

W ciągu niewielu dni od pierwszego nieśmiałego uścisku dłoni doszło do dużych przemian, a gdy ojciec odzywał się do nowej matki, to okazało się, że jej też Sara na imię. Natychmiast zaczyna ona wszystko poprawiać, szczeliny muszą być należycie zalepione, stół musi być wygładzony i niebawem sypia chłopiec na strychu w prawdziwym łóżku razem z Janem Johnstonem, który mu opowiada, że tak nazywał się jego ojciec i że umarł tej samej jesieni, co i jego matka. A więc ojciec znał tę nową matkę już dawniej, może już bardzo dawno? — myśli chłopiec i stara się rozjaśnić sobie te mroki. W do-

mu jest teraz zawsze dużo hałasu, bo w chacie mieszka odtąd troje dorosłych i pięcioro dzieci.

Nie wiadomo, czy ta druga mrs. Lincoln umie czytać, ale wiadomo, że ceni ona książki i dba o to, aby wszystkie dzieci chodziły do szkoły do pustelnika, który mieszka niedaleko stąd w blokhauzie. To zdobywa dla niej natychmiast serce chłopca, bo już od dawna pragnie on zbliżyć się do tajemnego skarbcza, który ukryty jest w książkach. To pragnienie jego wzrastało zawsze, gdy słyszał przemawiającego proboszcza, geometrę albo wędrownego adwokata. Ojciec wciąż jeszcze myśli o tym tylko, aby z syna zrobić stolarza, i śmieje się z nowej matki, gdy ta mówi o nauce. On sam nie uczył się nigdzie i dobrze mu się dzieje. Jego wesołe i pogodne oczy ukazują mu cały świat w barwach jak najjaśniejszych i wszędzie dostrzegają nadzieję. Co niedzielę chodzą wszyscy do kościoła — pustej, chłodnej sali, gdzie często przemawia jeden z członków kościoła — ale co mówi, tego dzieci nie rozumieją. Lecz w szkole uczy się nasz chłopiec bardzo szybko i niebawem umie nawet pisać. Że uczył się szybciej i lepiej od innych, o tym niejednokrotnie mówił później jego kuzyn.

Szkoda tylko, że papier jest taki drogi i taki niedostępny! Więc węglem drzewnym maluje litery na wieku skrzyni, a gdy mu się pisanie jako tako udaje, przynosi napisane litery na drogocenny papier. W ten sposób już bardzo wcześnie uczy się zapamiętywać rzeczy ważne i przyzwyczajają się do zwięzłości. Tak uczy się Abraham Lincoln pisania, ale dopiero w czternastym roku życia będzie umiał pisać porządnie.

Palce jego nie są zbyt zgrabne, bo do jedenastego roku życia używał ich tylko do dźwigania i popychania. W zimie marzną dzieci tak bardzo, że wkładają im do

rąk ogrzane kartofle, aby do szkoły nie przybywały z rękami skostniałymi. Gdy pieniędzy bywa mało albo gdy trzeba ojcu pomagać, to oczywiście nie może pójść do szkoły, bo rąbanie drzewa do palenia w piecu jest pilniejsze od szkoły, cieleń kosztuje osiem dolarów, a książka nie warta nic. Dla syna zaś farmera z Dziekiego Zachodu siekiera ważniejsza niż pióro.

Tak, siekiery uczy się teraz używać, bo jak na swoje lata jest duży i krzepki, więc ojciec liczy już na siły swojego jedenastoletniego syna. Zabiera go ze sobą też na łowy; ze strzelbą zaznajomił go już dawno, a teraz niech strzela sam. Zgoła blisko grzebią kury, a nieco dalej widać tęgiego indyka: celować i strzelać! Chłopiec strzela i ptak leży na ziemi zabity. Podchodzą do niego. Nagle mały strzelec się przeraża. Po raz pierwszy uświadamia sobie niebezpieczną władzę, jaką jedna istota uzurpuje sobie wobec istoty innej. Stoi nad zabitym ptakiem i zupełnie zapomina o radości, jakiej doznawał zawsze na samą myśl o niedzielnej pieczeni, gdy ojciec powracał z łowów. Teraz nie doznaje żadnego innego uczucia prócz przerażenia. Oddaje ojcu strzelbę, ten patrzy na syna zdumiony i mówi niewiele. Ale irytuje się, gdy chłopak, którego pierwszy strzał był taki celny, opiera się i nie chce strzelać ponownie. Jak to, mieszkać w preriach, być krzepkim i zgrabnym wyrostkiem i nie być łowcą? Może chłopiec myśli o więźniach, może też na swój własny sposób zastanawia się nad innymi sprawami, ale sprawy te są ciemne i nie ma światła, które by je rozjaśniło.

Pewne jest tylko to, że Abraham Lincoln strzelił tylko raz jeden i nigdy w życiu strzału nie powolił.



## IV

Najprzyjemniej teraz jeździć konno do nowego młyna. Bywa tam dużo ludzi i wszyscy, zdaje się, mają dużo czasu, bo każdy czeka, aż poprzednikowi zmielą jego kukurydzę. Każdy przypręga do kieratu własnego konia, na którym przyjechał, i każe mu dreptać w kółko. Dużo się tu gawędzi i można się wiele rzeczy dowiedzieć. Rozmawiają o nowym prezydencie i o tym, jak też się wybory zakończą: czy zwyciężą stany trzymające niewolników, czy też inne. Chłopiec słyszał o tych sprawach już razu pewnego w kościele, a gdy teraz zadaje ojcu pytanie, ten odpowiada mu na to, że stoi po stronie metodystów, którzy uważają, iż wszelką niewolę należy raz na zawsze skasować, bo to nie jest po chrześcijańsku, aby człowiek miał prawo zakuwać drugiego człowieka w kajdany i bić go biczem do woli.

Chłopiec spogląda na ojca z ukosa i słucha go bardzo uważnie, zważa też bacznie, co ojciec mówi, co robi, jaki jest dla matki i czy lubi pracować. W gruncie rzeczy obaj oni nie bardzo podobają się sobie, a ojciec stanowczo woli swego pasierba, lekkomyślnego Johnstona. Często mówią też, że ojciec jedzie do sądu, a potem słyszy, jak ojciec pomstuje na sąsiada i na rząd za to, że rząd domaga się od niego pieniędzy za grunty, które mu przydzielono. Czyż nie pracował na nich tyle lat, czy nie uprawił ziemi czyniąc ją urodzajną? I teraz za to wszystko państwo domaga się jeszcze pieniędzy? Niewolnikiem się jest czy co? W oczach chłopca te wywody ojca nie są zbyt mądre, a to, że ojciec czytać nie umie i o wielu rzeczach po prostu wiedzieć nie chce, też go w oczach syna nie podnosi. Tylko to jedno podoba się chłopcu, że ojciec woli opowiadać historie, niż brać się do roboty, bo w całej okolicy nie ma ani jednego

człowieka, który opowiadaniem umiałby tak pobudzić ambicję, jak ojciec. A jeśli nie matka ma rację, lecz ojciec? Gdy ojciec ojca, Abraham, po którym chłopiec otrzymał imię, a którego Indianie zastrzelili, wyruszył do lasów, to w ciągu długich tygodni nie robił nic, tylko polował i karczował puszcze, nie spotykając nikogo.

Ale przy sposobności słyszy znowu, że ojcowi bracia podorabiali się majątków, że mają gdzieś duże dwory i są bogaci, ale żaden z nich się u ojca nie pokazuje. Gdy chłopiec wdaje się w rozmowę ze swoim dużym kuzynem, Denisem, to zawsze dowiaduje się czegoś nowego, a wtedy idzie do domu, na górkę, i w ciemnościach długo rozmyśla o słyszonym. Niedawno dowiedział się na przykład, że ojciec ożenił się z kuzynką swojego pana. A więc był przedtem parobkiem? Co więcej, już dawno chciał ją pojąć za żonę, ale ona go nie chciała i wybrała Johnstona, który był bogatszy. Wtedy i ojciec ożenił się z inną i dopiero, gdy jednemu umarła żona, a drugiej mąż, pobrali się zeszłej jesieni.

Dziwaczne myśli tłuką się po głowie młodego chłopca. A więc prawdziwa matka chłopca była dla ojca nieprawdziwą żoną? Czy może dlatego tak często bywała smutna? A jednak na nową matkę gniewać się nie może, kocha ją, bo troszczy się ona o wszystkie dzieci jednakowo. I z uczuciami szukającymi prawdy zasypia obok swego przybranego brata, Jana, z którym nie jest spokrewniony ani przez ojca, ani przez matkę.

Czasem zdaje się mu, że ich jest w domu za dużo, bo nie dla wszystkich dość jest jedzenia, i pewnego razu, gdy ojciec odmawia dziękczynną modlitwę przy stole, chłopiec, który widzi przed sobą tylko suche kartofle, woła nagle: „No, mój ojcie, dzisiaj nie ma za co tak bardzo dziękować!” W ogóle coraz częściej robi on swciste uwagi o zdarzeniach życia codziennego. W mły-

nie krzyczy na konia przy każdym obrocie: „Ruszaj się żwawiej, stary draniu!” — i bije go biczem. Aż raz, gdy znowu konia bije i woła: „Ruszaj się żwawiej!” — koń wali go kopytem w czoło tak mocno, że chłopak okrwawiony i omdlały pada na ziemię. Gdy się nazajutrz budzi z omdlenia, z ust jego spływają dwa nie dopowiedziane słowa: „...stary draniu!” Wszyscy wybuchają śmiechem, ale on opowiada o tym zdarzeniu jeszcze po dziesiątkach lat, bo nigdy nie przestanie siebie obserwować i uczyć się na swych doświadczeniach wewnętrznych.

Pracy rąk i nóg nie lubi, ale chciałby uczyć się wiecz- nie, i to nie tak, żeby możliwie wiele wiedzieć, ale do- wiadywać się, móc porównywać, poznawać naturę ludz- ką, przede wszystkim zaś samego siebie. Oczywiście, czytuje wszystko, co mu wpadnie w ręce, ale w ręce wpada mu niewiele, a w ciągu dnia jest do czytania mało czasu, wieczorem zaś brak światła. Więc w letnie wieczory, gdy jeszcze jest widnawo, siada w kucki na przystrzeszu i czyta, a w zimie przysuwa się do ogniska, rad, gdy znajduje tyle blasku, ile go koniecznie potrzeba do czytania, bo te kilka świec, jakie matka robi sama, gdy wyrabia mydło, przeznaczone są na święta. I cóż czytuje ten podrastający chłopak, gdy leżąc na brzuchu, twarz opiera na dłoniach?

Wszystko, co przypadek przywiewa tutaj na Zachód, odsłania mu całe dziedziny wiedzy niby przez szczelinę nie domkniętych drzwi, które natychmiast się zamykają. „Wędrownik pielgrzyma” Bunyana jest dlań okazją do badania własnego sumienia. „Robinson” jest tylko ja- skrawszym obrazem ich własnego życia pionierskiego, a Biblia ma brzmienie wiekuistej melodii i odzywa się do chłopca od najwcześniejszych dni jego życia. Ale raptem wpadają do domu dwie nowe książki, przywie- zione przez jakiegoś podróżnego lub może duchownego.



„Bajki” Ezopa otwierają przed nim ironiczne perspektywy na ludzkie słabości. Na tych bajkach ćwiczy się jego dusza, krzepi się jego współczucie. Zaś „Życie Waszyngtona”, a także Franklina, z mnóstwem historii i anegdot z czasów wojny, dają mu wiele z tych opowieści, jakie dotychczas słyszał tylko z ust ojca. Pewnego razu jeden z krewnych przynosi książkę, która jest własnością wujka: „Leksykon etymologiczny” Ballaya. W książce tej znajduje piętnastoletni chłopiec każde słowo angielskie i objaśnienie jego znaczenia. Co za skarbnica wiedzy! A potem przybywa do domu jeszcze bardziej interesująca książka: „Lessons in Elocution” W. Scotta, nauka wygłaszania mów, wskazówki stylu, zasady i mnóstwo przykładów — życie wielkich mężów, mowy Demostenesa, sceny z Szekspira dla wprawy. I jeszcze do tego „Kentucky Preceptor”! Tutaj znowu są zdania o odwadze, kobietach, obowiązkach, wolności, niewoli. Jest i wstępna mowa Jeffersona w tej książce ogólnokształcącej. Wszystko to jak rwący potok wśród żyznych pól przepływa przez dziewicze serce i czysty umysł tego chłopca! Wszystko odczytuje on bardzo uważnie, a ponieważ książek ma niewiele, więc każdą czyta po dwie-trzy razy. Czasem w tobołkach i paczkach z miasta znajdują się stare gazety, więc umysł chłopca uzupełnia sobie wiadomości tym, co w gazetach jest o życiu i rozmowach znakomitych ludzi.

Jeśli mu czasem wolno pojechać do miasta, do Gentryville, to z lady sklepowej bierze gazetę i czyta o nowych wyborach, o tym, że chcą wybrać Jacksona, człowieka z ludu, przeciwko knowaniom południowych arystokratów w śmiesznych krezach.

Bo w rozmowach, którym się uważnie przysłuchuje, w strzępach gazet, jakie wpadają mu w ręce, powtarzają się bezustannie słowa o Południu i o właścicielach nie-

wolników, a także w małym sąsiednim kościółku, który budowano, gdy miał lat czternaście, często o tym samym mówiono. Nie wszystko rozumie od razu, więc siaduje całymi godzinami w zamyśleniu i ze strzępów usłyszanych zdań stara się stworzyć sobie całość.

W kościele, który jest tylko blokhauzem, duchowny odprawia nabożeństwo przy świetle świec, a ludzie śpiewają psalmy i hymny; w domu też się dużo modlą, ale to interesuje chłopca mniej niż jego własne i samotne wędrówki przez duszę ludzką. Gdyby go teraz poznał jakiś człowiek z wielkiego świata i z dużą ogłądą, to w młodzieńcu naszym dopatrzyłby się z pewnością przysłego poety, i miałby rację, bo chłopiec pisuje wiersze i czytuje je przyjacielowi. Przede wszystkim wpaja sobie głęboko sprawy, o których czyta i słyszy, pamięta dobrze, co widzi. „Uczyliśmy się wzrokiem, węchem i słuchem — opowiadał później jego kuzyn. — Rozmawialiśmy o każdej rzeczy tak długo, aż wszystkie sprawy stawały się dla nas plastyczne i jasne”.

Doświadczenie chłopca rośnie z każdym rokiem, jakkolwiek świat jego otoczenia nie rozszerza się wcale. Ale teraz wolno mu czasem pojechać do Ohio, gdzie spotyka się z sobą wiele ludzi. Tam przy piaszczystym brzegu zatrzymują się arki, domy na łodziach, wśród których uwijają się czółna; ogromne tratwy, wiozące ładunki mąki i świń, prowadzą wioślarze bardzo zręcznie przez nurt wodny, ale gdy czasem przybywa jeden z nowych parowców, to zawsze bywa zepsuty, a ludzie siedzą i pukają młotkami przy porzewiałych maszynach. Chłopca bardziej interesują tratwy i łodzie niż owe upiorne maszyny, bo od ojca nauczył się wydrążyć pnie drzewne, aby zrobić czółno, i wie, jak się wiąże tratwy.

Stąd płynie się na Południe, ku morzu, które jest o tysiąc mil odległe od tych miejsc i zaczyna się tam, gdzie się kończy Missisipi. Ku temu Południu zwracają się wszyscy farmerzy, gdy pragną posprzedawać swoje wytwory; tam one są potrzebne, tam jest dużo pieniędzy, bo tam rodzi się bawełna i dlatego są tam niewolnicy. Myśli jego urywają się zawsze na Południu, ale wszyscy mówią o nim z tajonym strachem, a inni znowu jakby z nieczystym sumieniem. To spostrzega chłopiec, gdy siedząc na brzegu rzeki śpieszy chętnie z pomocą, gdzie pomoc bywa potrzebna, a za to rozpytuje ludzi o to i owo.

## V

W szesnastym roku życia jest już taki krzepki, że nazywają go najlepszym drwalem, a w siedemnastym ma wzrostu sześć stóp i cztery cale. W trzeciej szkole, do której mógł być chodzić przez parę miesięcy, uczy się trochę staromodnych obyczajów, ale w gruncie rzeczy całe jego chodzenie do szkoły nie przekracza nawet roku. Chociaż pisze dobrze, to jednak ręce ma twarde i szorstkie, bo zawsze posługiwał się heblem lub piłą, pługiem lub lejcami, a najczęściej siekierą, z którą nie rozstawał się w ciągu długich lat. Gdy trzeba ściąć jakieś olbrzymie drzewo, to wołają jego, bo wiedzą, że jego siekiera wycina głębsze karby niż czyjakolwiek. Udźwignie też cały duży kurnik na ramionach i dlatego ojciec posyła go na robotę do ludzi obcych i każe sobie płacić za pracę syna po dwadzieścia centów dziennie. Jakie też myśli nawiedzają naszego młodzieńca przy takich robotach? Czy nie wspomina on zmarłej matki, która chodziła szyć do obcych, chociaż posiadała dom i pola? Czy może przypomina sobie owych więźniów,



których drzwi ojciec otwierał i zamykał? Ale i sam ojciec mawiał przecież, że harowanie i jeszcze dopłacanie do tego to czysta niewola.

Rozmyślanie o wszystkim potęguje się w nim z każdym rokiem. Potrafi siedzieć spokojnie w ciągu długich godzin z kolanami pod brodą i plecami opartymi o ścianę, co się u niego nazywało „siedzieć na łopatkach”. Siedzenie i leżenie bardziej mu dogadzało niż chodzenie i jazda konna. Wprawdzie praca fizyczna wymaga od niego dużo ruchu, ale przy tej pracy nie czuje się on szczęśliwy, a gdy chodzi, to niezdarnie wymachuje swymi długimi rękami. Malaria, skromne pożywienie i ciężka praca uczyniły go bardzo chudym przy wielkim wzroście, jego pierś nie jest dobrze rozwinięta, ramiona wysuwają się naprzód, a jako dziedzictwo po matce ma żółtawą suchą twarz, układającą się w przedwczesne zmarszczki, i proste rysy. Dziewczęta mówią prawdopodobnie, że ten wysoki Abraham jest brzydki, bo nie znają się na charakterze tej dużej głowy, nie dostrzegają odwagi jego męskiego nosa, nie pojmują też milczącej powagi wąskich ust, które milczą wobec wiekuistych pytań jego szarych smutnych oczu. Widzą w nim tylko jego proste rysy i godzą się zapewne z jego ojcem, który jako cieśla wyraził się o nim: „Wygląda, jakby był ociosany siekierą, ale nie oheblowany”.

Bywa też różnie usposobiony i uchodzi za śmiesznego dziwaka. Czasem na polu przy robocie odkłada łopate, wyjmuje z kieszeni książkę i zaczyna czytać. Dolną wargę wysuwa naprzód, słowa wymawia głośno, aby i jego towarzysze pracy słyszeli. Zdarza się nawet, że wzywa ich do odpoczynku, każe im usiąść na kamieniu, albo na czym się zdarzy, i zaczyna do nich przemawiać. Zrazu dziwią się jego słuchacze, ale potem dostrzegają, że on to i owo wie o rzece, o wyborach, o dawnych cza-

sach, bo o wszystkim mówi, jakby bajki opowiadał, mniej więcej tak, jak mówił jego ojciec albo jak czytał w książce Ezopa. Ale najchętniej przemawia tonem duchownego, wygłasza kazania jak ksiądz i pobudza innych do śmiechu. Chodzi mu o przemawianie, o ćwiczenie się w mówieniu, a na to potrzebuje słuchaczy, wszystko jedno jakich. Pewnego razu podchodzi ojciec do przemawiającego syna, spycha go z kamienia i wyzywa od leniów.

Innym razem Abraham widzi, że chłopcy dręczą zółwia, kładąc ogień na jego pancerzu; rozpędza dręczycieli, a w domu pisze artykuł przeciwko dręczeniu zwierząt. Jest to niezawodnie jego pierwsza próba, chociaż w owym czasie pisał był już coś niecoś przeciwko wódce i pijaństwu. Ktoś pokazywał to starszym ludziom. Wygląda ten dziwaczny młodzieniec tak, jakby pragnął poratować i zwierzę, i człowieka. Jakiegoś psa ratuje spośród kry na rzece; w walce pięściarskiej śpieszy pokonanemu z pomocą, a wszyscy boją się go jako przeciwnika, bo gdy chodzi o bieg i skoki, to przy swoich długich nogach zawsze wychodzi z zapasów jako zwycięzca. Ponieważ jest takim silaczem, więc go wołają, gdy trzeba zabić ciele, zaś on, który nie zrobiłby krzywdy nawet królikowi i nigdy nie chce strzelać do zwierzyny, zabija ciele bardzo zręcznie jednym uderzeniem i rozczłonkowuje je, jakby był myśliwym z zawodu. Za to dostaje trzydzieści jeden centów dodatkowo, prócz dniówki. Za to też cenią go ludzie, ale dziwią się, że to ten sam chłopak, który potrafi każdemu list napisać i ładnie zaadresować.

Ale ma on też swoje osobliwości dość śmieszne. Na przykład staje się nagle roztargniony i bez powodu wybucha śmiechem. Nikt tego nie rozumie prócz jego macochy. „Nigdy nie skłamał” — opowiada o nim ta mądra



niewiasta i z pewnością mówi prawdę. Ale ponieważ do siedemnastego roku życia doświadczył niejednej krzywdy, a przynajmniej zwykły los ubogiego chłopca odczuwał jako niesprawiedliwość, więc pilnie uważa, czy się innym krzywda nie dzieje. A jeśli tak, to siłacz ten zaraz śpieszy z pomocą. Dlatego też bardzo uważnie przysłuchuje się rozprawom sądu wędrownego, który posiedzenia swoje odbywa w największym blokhauzie wsi sąsiedniej, i dobrze zważa, czy też skażą na powieszenie tego, co zabił Indianina. Półświadomie współczucie jego przenosi się na Indian, którzy są przeganiani i upośledzani. Ale rozumem bada starannie wszystko, co mu serce podpowiada i czego uczy doświadczenie. Gdy pewnego razu słyszał przemówienie znakomitego adwokata, postanowił — jak o tym później opowiadał — także stać się adwokatem. Ale gdy płonąć wewnętrznym żarem wyciągnął rękę do adwokata, aby mu podziękować, znakomity pan nawet spojrzeć nie raczył na brudnego wysokiego wyrostka. Nazywał się Breckwridge, a po trzydziestu pięciu latach mieli się znowu spotkać. Młodzieniec wypożyczył sobie teraz kodeks stanu Indiana i rzucił pierwsze spojrzenie w świat ustaw państwowych.

Jednocześnie stara się i dla siebie zdobyć pewien stopień wolności i zdobywa go raczej siłą swego ramienia niż za pomocą piszącej ręki. Bo tylko krzepki i zręczny wyrostek potrafi szybko i sprawnie przeprowadzić dwóch podróżnych z tobołami z brzegu Ohio na statek parowy, tak że zadowoleni z niego rzucają mu srebrny pieniądz. Pół dolara! Lincoln nie wiedział, że w ciągu godziny można zarobić pół dolara! Ten fakt oraz wdzięczność owych obcych wryły się głęboko w jego umysł — nie zapomni o tym nigdy.

Gdy skończył lat siedemnaście, Sara kończyła dziewiętnaście i miała wyjść za mąż. Prawdopodobnie oddano mu jej papiery do przejrzenia. Przy jego dążeniu do samopoznania, przy istnej pasji poznawania rozmaiał niezawodnie już dawniej z kuzynami o swoich przodkach i natknął się przy tym na jakiś niejasny punkt. Wystarczyło przecież zapytać samego siebie, dlaczego to jego oraz Sary zmarła matka w papierach swoich nazywała się Nancy Hanks, a dziadkowie Sparrow. To przenikliwe spojrzenie chłopca, zwracającego się z zapytaniem do ciotki, musiało przecież dostrzec jej zakłopotanie, a zaciekawienie jego musiało się jeszcze wzmóc na skutek niejasnych słów kuzyna. Wiadomo tylko tyle, że dowiedział się o tym, czego mu jako dziecku nie mówiono. Babka była w rzeczywistości tylko ciotką matki, natomiast krzepka i żywa ciotka Sparrow, która miała taki śmiały charakter pisma, była jego prawdziwą babką. Czemuż nie mówiono tego dzieciom? Cóż to się stało tak osobliwego? Ze wzrastającym zdumieniem dowiadyuje się o tym młodzieniec.

Jego własna matka, której pamięć była dla niego święta, była nieślubnym dzieckiem swej matki Hanksówny. Jej surowi rodzice wygnali ją z domu, zajęli się jej córeczką nie mającą ojca, a jej bezdietna siostra wychowała ją, nie dając jej swego nazwiska. Później wyszła babka za mąż za Sparrowa i urodziła mu jeszcze dziewięcioro dzieci.

Kimże był jego dziad? — zadawał sobie pytanie badawczy umysł młodzieńca. Dochodził więc wszystkiego dalej i dowiedział się, że stara niewiasta, która pochodziła z Wirginii, była jeszcze młoda, gdy wojna dobiegała końca. W „Życiu Waszyngtona” doczytał się był przecież, jak to owego czasu żołnierze i różni awanturnicy włóczyli się w stronach południowych. Ze dziew-

czyna z temperamentem stała się wtedy łatwo matką, w tym nie było nic osobliwego, bo to się w sąsiedztwie zdarzało nieraz; dziewczyna wychodziła wtedy za ojca swego dziecka, o wszystkim się zapominało i wszystko się przebaczało.

Ale tutaj chodziło o jakiegoś nieznanego, a chociaż wnuk nie wszystkiego się dowiedział, co o życiu babki wiedzieli inni, to jednak musiał wywnioskować, że niezawodnie południowiec stał się ojcem jego matki. Co to był za jeden? Oficer? Bardzo możliwe. Pan? Prawdopodobnie. Być może, iż był to posiadacz niewolników.

W umyśle pytającego powstaje wielki zamęt. Pytań jest coraz więcej i nie skończą się one nigdy; dopiero znacznie później przyzna się on jednemu ze swoich przyjaciół, że właściwości swego charakteru i swoje uzdolnienia przypisuje owemu nieznanemu w Wirginii, który stał się jego dziadkiem. Teraz wie tylko tyle, że na świecie nie ma nic pewnego, że dokoła niego wszystko się chwieje. Ciężkie przygnębienie wzmaga jego wrodzoną melancholię i potęguje uczucie straty i osamotnienia, które mu już dawno towarzyszyły. Matka rządząca domem, jakkolwiek bardzo jest dobra, nie jest jednak jego matką, babka nie była jego babką, ojciec starał się naprzód o inną, a ożenił się nie z tą, której pragnął. Ale teraz, gdy jego siostra Sara wychodzi za mąż i łączy się z domem Grigsby, on zaś pisze na tę uroczystość wiersz, spostrzega, że przyszli krewni siostry spoglądają na nią z góry, jako że są bogaci i mają dużo pieniędzy.

Wkrótce po weselu spostrzega, że rodzina Grigsby każe młodej niewieście, jego siostrze, ciężko pracować. Następnego roku siostra umiera podczas położu, a wszyscy mówią, że zabiła ją ciężka praca. Czyż oburzenie dziewiętnastoletniego młodzieńca może znać gra-



nice wobec tego wszystkiego? Matka umarła, siostra umarła, ojciec żyje z dnia na dzień i niczego się nie dorobi, wszyscy jego krewni dzięki pewnemu kłamstwu znaleźli się wobec niego w fałszywym położeniu. I na co to wszystko? Z powodu zależności? Tak, dlatego, że są na świecie bogaci, którzy słabych uciskają, każą im za siebie szyć i drzewo rąbać, nawet z synowych swoich robią dziewczki służebne, a gdy im się podoba, to pewnego pięknego dnia uwodzą dziewczęta, jakby to były czarne niewolnice!

Nieco później, gdy w rodzinie Grigsby odbywają się od razu dwa wesela, ludzie ci obrażają swego szwagra wobec całej wsi i nie zapraszają go na wesele. Wtedy po raz pierwszy budzi się w Abrahamie Lincolnie pragnienie obrony, a gdy zaczyna się bronić, ukazuje się natychmiast gatunek jego broni. Jest to nieszkodliwa ironia, chłopski kawał własnego pomysłu. Przy pomocy innego młodziana urządza rzeczy tak, że izby obu młodych par zostają pozamieniane. Gdy po uczcie obie młode mężatki odprowadzono do ich izb, a druhny już się z nimi pożegnały, gdy z czubów kurzyło się po nadmiernym spożyciu wina, wtedy wystraszona matka obu synów biegnie do jednej z izb i woła: „Ależ, Rubenie! Kładziesz się do łóżka nie ze swoją dziewczyną!

Nazajutrz wiedzą o tym wszyscy i cała wieś bawi się kosztem nowożeńców. Zaś Lincoln pisze bezimiennie satyrę, gubi ją tak, że owa rodzina znaleźć ją musi, a jednocześnie umie się postarać o jej rozpowszechnienie. Nazywa się ona „Księgą Ruben” i jest naśladownictwem stylu biblijnego. W zdaniach pełnych sarkazmu opowiada zdarzenie przez samego siebie zaaranżowane i tak zgrabnie przesadza, że jeszcze po latach opowiadają sobie ludzie, iż historia ta była w Indianie popu-

larniejsza od Biblii. Pokazało się tedy, że w tym Abrahamie tkwiło jednak coś osobliwego.

Uczucia, które doprowadziły go do takiej satyry, by-  
łyby żywego i namiętnego człowieka o takiej sile, jaką  
rozporządzał Abraham, doprowadziły do pragnienia  
zemsty i powetowania krzywdy, ale Lincoln cechowała  
rozwaga. Był on lepszym znawcą ludzi niż ich kierowni-  
kiem, lepiej umiał opowiadać niż reformować, więc  
z jego młodzieńczych gorzkich uczuć rodzi się często  
drwina, częściej współczucie. Woli on wspomagać uci-  
śnionych, niż gnębić karać, i wszystko, czego dotknie  
radą i czynem, będzie kierowane tym jego zmysłem  
sprawiedliwości i godności ludzkiej, zmysłem, który za  
upokorzenia odpłacać będzie sercem.

## VI

Pewnego dnia życie otwiera mu oczy na rzeczy nowe.  
Na drodze złamał się powóz w topieli; z trudem przy-  
wleczono go do warsztatu ojca. Z powozu wysiadła  
jakaś pani z córkami, weszła do blokhauzu i w oczeki-  
waniu na naprawienie wozu zaczęła rozpakowywać to-  
boły, aby się zabrać do gotowania. Zdaje się, że zabawiła  
w domu Lincolnów kilka dni. Lincoln opowiadał póź-  
niej, że panie te miały ze sobą książki i czytywały  
na głos. „Jedna z panien podobała mi się bardzo i póź-  
niej dużo o niej myślałem. Gdy dnia pewnego leżałem  
w słońcu, ułożyłem sobie w głowie wiersz o tej pannie.  
W wierszu tym było, że wziąłem ojcowskiego konia,  
pojechałem za nią i dogoniłem ją, co ją bardzo zdziwiło.  
Rozmawiałem z nią i ostatecznie udało mi się namówić  
ją do ucieczki ze mną. W nocy posadziłem ją koło siebie  
na konia i ruszyliśmy przez stepy. Po kilku godzinach



przybyliśmy do pewnej wsi i przekonaliśmy się, że była to ta sama wieś, z której wyjechaliśmy. Przenocowaliśmy tam. Następnej nocy koń przyszedł na to samo miejsce — i tak się to powtarzało. Więc zrozumieliśmy, że nam nie wolno uciekać. Wreszcie zdołałem przekonać jej ojca, aby mi ją dał za żonę. Nieraz postanawiałem napisać te wiersze, ale widziałem, że to niewiele warte”.

Jak drobne to zdarzenie odsłania poetycką naturę Lincolna! — nie dlatego, że pisał wiersze, ale dlatego, że w przypadku dostrzegał symbol. Odsłania nam ono także głębię życia duchowego tego młodzieńca. Chociaż był bardziej krzepki i większy od swoich rówieśników w całej okolicy, to jednak wobec kobiet był nieśmiały. W późniejszych czasach, gdy każdy farmer umiał coś opowiedzieć o Lincolnie, żaden z nich nigdy nie opowiadał o jakichś jego przygodach z dziewczętami. Czy dziewczęta wydawały mu się zbyt szorstkie? Być może. Jedna z jego przybranych siostr, która się w nim kochała, poszła za nim pewnego razu do lasu i po indiańsku skoczyła mu niespodzianie na kark, przy czym skaleczyła się w nogę o siekiere, którą Abraham zawsze nosił przy sobie. Opatrzył wtedy jej skaleczenie, jak umiał, i odesłał ją do domu.

W tych dwóch skromniutkich przygodach zawiera się bodaj że całe życie miłosne młodego farmera-olbrzyna. Dziewcząt unika, ale za to opowiada bardzo chętnie dziwaczne, czasem wprost dzikie przygody. Że jednak przygód tych nigdy nie było, więc opowieści jego są tak przyzwoite, iż nigdy żaden człowiek nie byłby go mógł nazwać swawolnym, nawet żaden z tych przyjaciół, którym wieczorami czytywał różne swoje krzepkie kawały. Chociaż w marzeniu zabiera się do uprowadzenia wytwornej panienki, to jednak przeraża go to tak bardzo, że sam zawraca na drogę legalną, na której ubo-

giemu chłopcu taka rzecz udać się przecież nie mogła. Jednocześnie ucieka on z niebezpiecznej dziedziny realnych możliwości pod ochronę poetyckiego utworu i przenosi swoje przeżycia w świat inny, w którym wytworna panna z powozu i ubogi stolarczyk z ulicy przebiegają na jednym koniu równinę stepową, a jednak dotrzeć do siebie nie mogą. Nieśmiałość i rezygnacja, tęsknota i lęk przed rzeczywistością tkają mu kobierzec marzenia i rozplývają się w wierszach, które nigdy nie zostały napisane.

Ale świat pędzi z łoskotem naprzód i niebawem powoła ku sobie wyczekującego. Ponieważ widziano, jak młody i krzepki Lincoln umiał się krzątać nad rzeką, więc jego pracodawca, farmer, namawia go, aby towary jego zawiózł do Nowego Orleanu. Wspaniała okazja do wydobycia się z lasów i wsi, zobaczenia Missisipi i wreszcie morza. Zgadza się łatwo, razem z synem farmera buduje tratwę, na krzepkich swoich ramionach zanoszą na rzekę tuczone bydło i mąkę kukurydzianą. Za pieniądze ze sprzedaży tych rzeczy mają nakupić bawełny, tytoniu i cukru. Ma to być ładunek powrotny.

Gdy przybywają do Cairo, u ujścia Ohio rozwiera się przed nim ojciec wszystkich rzek, żółty, mętny, nieogarniony spojrzeniem. Nowi ludzie i nowe kraje, nowe kwiaty i ptaki ukazują się po drodze wiodącej ku Południowi, ale nie brak też burzy i niebezpieczeństw, ławic piaskowych i wirów zgoła niespodziewanych. Gdy pewnej nocy spoczywają w pobliżu jakiejś plantacji, zakrada się ku tratwie banda łazikujących Murzynów, którzy chcą tratwę złupić. Nasz olbrzymi flisak rzuca się na nich z drągiem, a Murzyni przerażeni widokiem olbrzyma dają się łatwo przepędzić z rzeki i wybrzeża. Zaczepiony flisak jest wszakże taki zły, że razem z towarzyszem puszcza się w pościg za rabusiami i wraca

na tratwę okrwawioną. Takie było pierwsze spotkanie Lincolna z Murzynami.

Coraz szersza jest olbrzymia rzeka, coraz gorętsze są dni i parniejsze noce. Być może, iż poeta tkwiący w młodym flisaku zadaje sobie pytanie, czy takie jest naprawdę życie. Zwierciadło wiekuistego ruchu widzi on zapewne po raz pierwszy, gdy dociera do wielkiej przystani. Oto jest Nowy Orlean, ale morza tu jeszcze nie widać, bo tysiące tratw zdają się wyjście na morze zamykać. Wielkie okręty, jakich w Indianie nigdy nie widział, statki morskie, są tu zakotwiczone, piętrzą się tu istne góry worków mąki przywiezione z Północy, dokoła pełno dymu, zgiełku nawoływań, wrzasku. Wysokie kominy statków zdają się wybiegać na ląd, bo na brzegu widać pierwszą kolej żelazną! Ale co to za toboły ogromne, których taka masa piętrzy się pod blaszanymi dachami wybrzeża? Tu i ówdzie spod opakowania wyziera biała puszysta masa i po niej łatwo się poznaje, co to jest. A więc to jest owa sławna bawełna, o której tyle się gada na całym świecie? Lincoln już od dłuższego czasu nosi bawełniane spodnie i ma bawełnianą marynarkę, którą wdzije, gdy będzie wychodził na miasto. Ale gdy sobie przepowiada wszystkie pytania, które go dręczyły, gdy myśli o niewolnikach i wyborach prezydenta, to na widok tych tysięcy bel z bawełną potrząsa głową.

Jego zdumienie wzmogło się, gdy pozbyli się ładunku i ruszyli do wielkiego miasta. Na ulicach roi się od białych, czarnych i mieszańców. W wytwornych powozach jeżdżą Europejczycy w różnokolorowych szatach, niewiasty mają na głowach wielkie kapelusze, śmieją się i wachlują. Wszyscy są weseli, zajęci, pełni wielkich nadziei, niezawisli wśród tych rozkoszy życia. A gdzie są niewolnicy? Aha, tam jest taki szyld, malowany wiel-



kimi literami: „Płacę każdej chwili najwyższe ceny za Murzynów wszelkiego rodzaju! Zakupuję na licytacjach! Zbudowałem więzienie dla ich przechowywania!” Na rogu ulicy widać inne ogłoszenie: „Sto dolarów nagrody otrzyma ten, kto przyprowadzi mego zbiegłego Mulata. Woła się go: Sam. Jasne włosy, niebieskie oczy, cera czerwonawa, taka jasna, że można go wziąć za białego”.

„Ach, więc to są ci wydziedziczeni — mówi sobie młody flisak. — Poszukuje się ich jak cennych psów, sprzedaje na licytacji jak konie, zamyka się ich w więzieniu jak zbrodniarzy“. Wszystko, co słyszał w domu od ojca, co mówił duchowny w kościele i o czym sam czytał w gazetach, nabiera teraz życia, zaciekawia go i pociąga na plac licytacji. Wchodzi do hali pod dachem z blachy, gdzie ostre światło łamie się z ostrym cieniem. Tu odbywa się oglądanie i sprzedawanie niewolników.

Kilkudziesięciu ludzi w ładnych ubraniach i dobrych butach zebrało się tutaj. Mają cylindry na głowach. Po ich ciemnej skórze widać, że przybyli ze wsi, że mają coś do sprzedania i coś będą kupować. Zdrowi wypasieni ludzie, w najlepszym nastroju portowym, gotowi zabawić się wesoło! Ludzie ci już wypili po trosze, bo hałasują, trącają się, mrugają na siebie i wybuchają śmiechem. Inni natomiast zachowują wielką godność, stoją spokojnie z dala i robią notatki. To są rycerze Południa, o których tyle razy czytał w gazetach. Są wśród nich ordynarni i wytworni, hałaśliwi i powściągliwi, a swymi obyczajami różnią się od wszystkich ludzi, jakich widywał na Zachodzie, nawet wśród bogaczy. Wszyscy ci ludzie to dziedzice, mają wielkie majątki i bogactwa po ojcach, nigdy sami nie pracowali i dlatego nie budzi się w nich żaden skrupuł, gdy kupują ludzi.

Przed nimi stoi handlarz niewolników, człowiek chełpliwie hałaśliwy, ubrany z przesadną i ordynarną elegancją, z biczikiem w rękę, którym wskazuje poszczególne nagich Murzynów, powoli krążących dokoła i pokazujących się nabywcom. Wszyscy niewolnicy mają łańcuchy na nogach, a gdy któryś z nich przystaje lub też biegnie zbyt szybko, to handlarz i jego ludzie biją go i szturchają. Wśród niewolników znajduje się Mulatka, młodzianka panna. Nabywcom podoba się ta dziewczyna osobiście. Na znak agenta występuje ona z koła, z łańcuchem na nodze, prawie naga, tak jak klejnot wyciągnięty z szopy dla sprezentowania go panom w jego zdrowej młodości. Handlarz wskazuje na Mulatkę i woła: „Panowie nabywcy będą mieli dużo uciechy!” Przy tych słowach wszyscy mężczyźni myślą o tym samym i dlatego podbijają cenę.

Przybyszowi ścisną się serce. Jest przecież młody, więc nic dziwnego, że na biedne stworzenie w kwiecie życia spogląda z niepokojem. Jest farmerem białej rasy, więc widok ten go oburza. A oprócz tego jest on przecież także poetą i dziewczęco nieśmiałym młodzieńcem nie znającym kobiety, jest to Lincoln, więc wszystko razem składa się na potężne wrażenie, które wstrząsa nim do głębi. Wszystko, co musiał wycierpieć wskutek swej zależności, każda jego myśl o losie ojca i matki, pełna goryczy, skłębina się w jednym pytaniu o nieznanego dziadka. Mógł on być akurat taki jak jeden z tych panów. Jego serce, rozmawiające samo z sobą, zamracza się męczącymi myślami. Całe jego współczucie przenosi się na tych nagich spętanych ludzi, wszystkie wątpliwości snują się dokoła tych wolnych, bogato poubieranych kupców. Z sercem zranionym opuszcza to miejsce.



Po kilku dniach rozpoczyna się podróż powrotna w górę rzeki. Gdy po trzecziesięcznej podróży wraca do domu, posiada nowe wielkie doświadczenie i dwadzieścia cztery zarobione dolary.

## VII

Po powrocie zastaje w domu wielki ruch. Krewni mieszkający jeszcze dalej na Zachodzie opowiadali, że tam, w Illinois, jest dopiero prawdziwy raj, ziemia jest tam ogromnie urodzajna i — kto szuka szczęścia, niech nie marudzi! Może rozmyślnie przesadzali, żeby przez pociągnięcie ludzi w tamte strony poprawić własne położenie. Ale wśród kolonistów Indiany dużo jest takich, którzy im wierzą, bo trzy rodziny wybierają się natychmiast w okolice Dekatury.

Tomasz Lincoln, ojciec Abrahama, ma tam krewnych, a przy swojej wiecznej pogoni za szczęściem i przy stałym poszukiwaniu dobrych łowów, niespokojny i ciekawy ten człowiek, rozgoryczony swymi procesami o ziemię, nie chce słyszeć ostrzeżeń, że na Zachodzie grasuje febra. Sprzedaje swoją posiadłość za 125 dolarów, jego żona sprzedaje posiadłość miejską po pierwszym mężu za 123 dolary, pakuje się manatki i rusza się w świat, jak wtedy, przed kilkunasty laty, gdy się opuszczało Kentucky. Ale tym razem wyrusza w drogę ośmioro dorosłych i czworo dzieci oraz czternaście sztuk bydła, więc i tobołów jest znacznie więcej, i nie za wiele dla nich dwóch wozów. Jeden z nich prowadzi ma Abraham, na którego siły liczą wszyscy. On zaś stał się tymczasem bardzo praktyczny: w mieście kupuje za wszystkie pieniądze, jakie posiada — to znaczy za jakieś trzydzieści dolarów — guziki, igły, podwiązki, trochę towa-

rów galanteryjnych oraz noży. Są to rzeczy, które wszędzie są potrzebne i drogo kosztują.

Całe dwa tygodnie trwa podróż. Wieczorami bywa chłodno jak w zimie, ale gdy pewnego razu pies się odbija od gromady i pozostaje na drugim brzegu rzeki, Abraham wybiera się po niego i bosymi nogami brnie przez wodę. Wreszcie przybywają do Dekatury, nowego miasteczka. Krewni przyjmują ich uprzejmie i na razie przygarniają do siebie. Niebawem cała preria znika pod śniegiem i w ciągu długich dni nikt nie odważa się wyjść z chaty, chyba po drzewo na opał. Ale Abraham jest kontent, bo po drodze rozprzedał wszystek swój towar, i to tak dobrze, że teraz ma przeszło dwa razy tyle, ile wydał. Ludzie są tu jacyś żwawszy i pełni nadziei. W duchu zbierają już bogate żniwa i byle się posiadło własny blokhauz, to wszystko inne pójdzie jak z płatka.

Gdy się trochę ociepliło, nasz dwudziestojednoletni olbrzym bierze w garść siekiere i zabiera się do ścinania drzew na budowę nowego domu. Gdy wieczorem zwozi je poprzywiązywane postronkami do otwartego wozu ciągniętego przez woły, gdy je na odpowiednim miejscu obciosuje, zręcznie używając siekiery i opierając wszystko na własnej sile, która jest znacznie większa od siły ojca, czy jest tu choć jeden człowiek, który przeczuwałby w jakimś stopniu, co się tu dzieje i jaki zachwyty otoczy kiedyś tę budowlę? Nikt, a już najmniej sam budujący, nie odczuwa nic innego prócz pragnienia, aby jak najprędzej zbudowany został blokhauz. Subtelne drgnienia duszy, miłość i wolność, wyrzeczenie się niewolnictwa to dla natury jego jakby symbole. Ale praca jego krzepkich rąk stała się dla niego zwyczajem i nic nie świadczy o tym, że przywiązywał do niej wagę osobliwą. Gdy wreszcie dom jest zbudowany, głównie

jego własnymi siłami, życie płynie tak samo jak w Indianie. Razem z kuzynem Hanksem przeoruje piętnaście morgów gruntu i obciosuje drzewo dla otoczenia domu płotem i zabezpieczenia go przed wilkami albo i przed ludźmi.

Ojczyzna? Jakże miało się w nim zrodzić uczucie dla ojczyzny, skoro w ciągu swego dwudziestoletniego życia cztery razy musiał zmieniać dom, wieś i krainę? Kentucky, Indiana, Illinois były dla niego tylko zmianą obrazów. Ojczyzną Lincolna jest cała Ameryka.

Tyle tylko, że tutaj nieco więcej zarabia, bo z całej okolicy wszyscy zwracają się do niego, gdy potrzebny jest mocny pracownik. Natychmiast bowiem po przybyciu na nowe miejsce pokonał w walce zapaśniczej największego miejscowego siłacza i od razu ustalił swoją sławę. Pewnego razu wywraca się łódź i nikt nie umie poradzić, ale Abraham przywiązuje u brzegu pień drzewa, na tym pniu przysuwa się do rozbitków i wyciąga ich na brzeg. O takich jego czynach rozchodzą się wieści daleko poza młodą osadę, gdzie jeszcze nie ma tradycji ludzi mocnych, bogatych albo wielkich, gdzie wszystko jest jeszcze chwiejne i zaczyna się dopiero ustalać.

Jest na przykład taki stary major z czasów wojny o niepodległość; Abraham buduje dla niego potężny płot i dostaje parę niebieskich spodni z sukna. Każdy metr tego sukna kosztował czterysta pni, które trzeba było porozszczepiać. Ale oficer ten ma książki i wypożycza je Abrahamowi. Gdy pewnego razu w mroźną zimę łódź jego wywraca się i gdy do brzegu trzeba dopłynąć duży kawał, a potem biec daleko, przybywa Lincoln z odmrożonymi nogami do pewnego farmera, który był dawniej sędzią. U zacnego tego człowieka pozostaje kilka tygodni, pomaga w robotach domowych, nosi drzewo i wodę,



jak do tego był przyzwyczajony w domu, ale zarazem czytuje kodeks stanu Illinois. Jest to druga księga prawa, jaka wpada mu w rękę.

W pobliskim Charlestonie jest też mała drukarnia i są gazety, a gdy mądra głowa zacznie porównywać to, co jest w gazetach o debatach i procesach, z tym, co się czytało w obu kodeksach, to wszystkie szczegóły łatwo można sobie powiązać w całość. Poczucie własności jest tutaj podstawą prawa, kradzież zdarza się rzadko, może jeszcze rzadziej od zabójstwa podczas bójek, i traktowana jest jako coś gorszego niż zabójstwo. Od najwcześniejszych lat Lincoln przyzwyczajony jest sam sobie radzić, a z własnych błędów uczy się więcej niż z nauk, jakie otrzymuje od dorosłych. Jako chłopiec i młodzian widział skutki zależności na ojcu, matce i siostrze, a najlepiej poznał je na samym sobie i dlatego przy swoim badawczym usposobieniu i przy stosunkach całego kraju opartych na samopomocy obraz życia prawnego odtworza bardzo łatwo z przypadków powszednich, z teorii i z praktyki. Sam zresztą pragnie bezustannie coraz większej sprawiedliwości i już jako chłopiec staje w obronie dręczonych zwierząt. Teraz młody drwal spotyka się z ochronnymi przepisami państwowymi i orientuje się w nich bardzo prędko.

Czyż trzeba się dziwić, że przy swojej skłonności do opowiadania zaczyna w sąsiedztwie przemawiać publicznie? Już choćby dla zapamiętania tego, co właśnie czytał, musi sobie te rzeczy powtarzać na głos. Oto jest na przykład człowiek, który przemawia przeciwko uregulowaniu rzeki, o które gmina zabiega w parlamencie. Lincoln zna tę rzekę, bo na niej wywróciła się jego łódź, z niej ratował tonących ludzi i na jej falach przepłynął

tysiąc mil aż do morza. Naturalnie, że trzeba ją uregulować. Więc pewnego wieczoru kuzyn jego wzywa go, aby w zgromadzeniu chłopów przemówił przeciw owemu przeciwnikowi regulacji rzeki. Nasz olbrzym gramoli się więc na skrzynię, otwiera usta i zagaduje przeciwnika regulacji tak zdrowo, że i pies by od niego kawałka chleba nie przyjął. Z opowiadacza historyjek staje się niebawem mówcą, ale opowiadaczem pozostanie przez całe życie. Na owej skrzyni w Dekaturze Lincoln wygłosił swoją dziewiczą mowę. W tym samym mniej więcej czasie napisał na podstawie tego, co czytał i słyszał, artykuł o ustroju państwowym Ameryki, później coś o alkoholu. Duchowny i adwokat, którzy te rzeczy czytali, drukują je w gazecie miejscowej.

Ale sława jego siły przewyższała sławę jego wiedzy. O tym, jak ratował ludzi z niebezpieczeństw, jak zręcznie umiał pracować, dowiedział się pewien farmer, imieniem Offut, i ten to farmer wyprawia go w towarzystwie kuzyna Hanksa z drugim, jeszcze większym transportem rzeką na Południe. Co miesiąc dostanie 16 dolarów. Na próżno stara się ojciec zatrzymać go w domu jako najtańszą siłę roboczą: taki chłopak w domu nie usiedzi. Najprzód buduje tratwę długości 80 stóp na 18 szerokości, a gdy potem odpływa w świat, porządnie ubrany, w spodniach jak się należy i w kapocie, ba, nawet w kapeluszu na głowie, to tak jakby odjeżdżał na zawsze, bo od tego czasu już tylko z rzadka zajrzy do domu we wsi ojcowskiej. Blokhauz, który sam zbudował, podobnie jak i jego tratwa, zniknie. Jest to ostatni blokhauz, w jakim mieszkał.

Mamy wiosnę, a Lincoln liczy dwadzieścia i dwa lata. Jego życie farmerskie skończyło się.



## VIII

Niebawem zagraża niebezpieczeństwo. Przy wielkim skręćcie rzeki była tama młynarza: o nią zaczepia się wielka tratwa. Wśród wiru rzeki ładunek przesunął się na tył tratwy, a ta zanurza się w wodzie. Wszyscy boją się, że zatona razem z ładunkiem. Z pobliskiej osady przybiegają ludzie, dają znaki, krzyczą, ale poradzić nie mogą. Lincolnowi udaje się przyciągnąć łódź i zabezpieczyć ładunek. Potem na przedzie tratwy robi dziurę, aby woda mogła odpłynąć, tam właśnie, gdzie się tratwa zaczepiła o tamę. Niebawem po okolicy zaczynają opowiadać o śmiałym czynie nieznanego żeglarza-olbrzyma i to ustala jego iście legendarną sławę w tej wsi, która nazywa się Nowy Salem. Ale o tej sławie nic on nie wie, a jeszcze mniej wie o możliwości jej następstw. Ostrożnie prowadzi swą tratwę dalej, na Południe, i po raz drugi ląduje w Nowym Orleanie. Tym razem nie pilno im, więc mogą pozostać w mieście przez cały miesiąc.

W całym życiu Lincoln była to jedyna okazja poznania Południa, a ponieważ sporadyczne wykształcenie zmuszało go bezustannie do zajmowania się nim, więc w ciągu tego miesiąca musiał otwierać oczy i uszy, aby przez pytania i odpowiedzi dowiedzieć się wszystkiego, co stanowiło istotę tego Południa. Jego prosta, powściągliwa natura, kryształowo czysty, w pracy i biedzie ukształtowany charakter, ubóstwo i brak stanowiska dającego duże dochody, prosty i ubogi tryb życia człowieka biednego i niemal bezdomnego ustrzegły go przed pokusami, jakie czyhają na parweniuszy. Nic nie kusiło go, aby sobie w tym bogatym mieście zdobyć stanowisko wpływowe i intratne. Stała uwaga i wzgląd na słabszych bliźnich, wstrząsające wspomnienia sprzedaży młodej

Mulatki, serce i rozsądek, jednym słowem wszystko składa się na to, aby go nauczyć spoglądać bez uprzedzeń na niewolników i na ich panów. Być może, iż wtedy wyjechał konno na wieś poza miasto i na własne oczy widział, jak to inny klimat, inne pożywienie i odzież zgoła odmienne wytwarzają warunki, domagające się wielu uwzględnień, gdy się im stawia pewne wymagania moralne.

Na pierwsze spojrzenie dostrzegł, że tutaj nie było żadnych białych służących i w ogóle niewielu białych w stosunku służebnym. Murzyn, który nie zawsze bywa czarny, a czasem bywa podobny do bruneta rasy białej, jest podbity, uległy i służy swemu panu. Któż zrezygnowałby z takich przywilejów zę względów moralnych! Przecież nawet głosiciele słowa Bożego występują w obronie niewolnictwa z łatwymi argumentami, uzasadniającymi los Murzynów. „Czarni pochodzą od Eza-wa — mówią oni — ten zaś prawo swoje sprzedał“. I oto teraz kilka milionów afrykańskich Murzynów musi w Ameryce cierpieć za chwilkę słabości żydowskiego pasterza palestyńskiego, który bardzo lubił soczewicę.

Ale czyż w niewoli nie jest im lepiej niż na wolności? „«Nasze urządzenie» — mawiają tu ludzie, aby ominąć niemiłe słowo «niewolnictwo» — jest zgoła naturalne, podczas gdy wolność Murzynów byłaby czymś wklajającym życie”. Czyż ludzie z Północy, czyli sami drobni robotnicy, trwożliwie chodzący za pługiem i pilnujący maszyn, piszący po biurach, rąbiący drwa lub polujący po lasach, mogą zrozumieć, co tu się w ciągu stuleci z ojca na syna dziedziczyło i co dla dobra całości utrzymuje się dotąd? A cóż stanie się ze Stanami Zjednoczonymi, gdy żaden Murzyn nie zechce bawełny sadzić i zbierać? Cóż powiedzą panowie z Nowej Anglii, gdy im się przestanie wysyłać rolnicze produkty potrzebne

dla ich fabryk? Czy ci oburzeni chrześcijanie mieliby może sami ochotę w gorącym słońcu od rana do nocy siać i zbierać ryż, który wolą przecież nabywać i eksportować do Europy? Dla roślin podzwrotnikowych potrzebni są podzwrotnikowi ludzie, a gdy tacy pod rozumnym kierunkiem pracują tu porządnie, to mogą sobie sprawić daleko piękniejsze łańcuchy niż te, o jakich ojcowie ich w lasach afrykańskich nie byliby śmieli marzyć. Prócz tego dostają whisky i korzystają z błogosławieństwa świętego kościoła, to znaczy, iż mogą mieć nadzieję żywota wiecznego.

Lincoln myśli, że w tym jest może niejedno ziarno prawdy, więc w centrum targowiska niewolnikami zastanawia się nad argumentami zwolenników niewolnictwa. Tak czy owak musi milczeć, bo tu na Południu nikomu nie wolno podnosić głosu przeciwko „naszemu urzędzeniu”. Na każdego przybysza z Północy lub z Zachodu spoglądają wszyscy okiem nieufnym, bo prawie każdy z nich uchodzi za przyjaciela niewolników, czyli za wrogów Południa, a Cartwright, sławny kaznodzieja wędrowny, mówił niedawno o mieszkańcach Nowej Anglii jako o pociesznych stworzeniach, które żywią się ostrygami. Ale czy ten powszechny niepokój, jaki we wszystkich posiadaczach niewolników wywołuje kwestia murzyńska, nie świadczy o wyrzutach sumienia? Czy też jest to może prosta obawa, że pewnego okropnego dnia „towar” nabywany i sprzedawany mógłby sobie uświadomić swoje prawa ludzkie? Straszliwe sceny powstania na San Domingo są groźnym ostrzeżeniem przed ustępstwami.

Sam widok kraju jest odpowiedzią na różne pytania. Tutaj nie ma wsi takich, jakie Lincoln widywał w Kentucky, Indianie i w Illinois, ale wszędzie są tylko zamki

i kraale<sup>1</sup> murzyńskie. Na wzgórzu widzi się siedzibę właściciela, z mocnymi wieżycami w stylu kolonialnym, otoczoną starym parkiem. Tutaj ucztuje się wspaniale. Chleb wypieka się z najdelikatniejszej mąki sprowadzanej z Północy, młode cielę i drób to pieczone, do tego pije się szlachetne wina sprowadzane z Europy. Synowie chodzą na polowania, wyprawiają bogate uczyty i wiodą spory o najpiękniejszą niewolnicę, córki zaś uczą się angielskich obyczajów i nudzą się. Dzieciom wolno bawić się z dziećmi murzyńskimi, ale nie wolno im zadawać się z dziećmi handlarza niewolników: uważają go za wyrzutka, jak stręczycielkę lub kata, z których usług społeczeństwo zawsze korzystało, ale też zawsze nimi gardziło.

Z czego żyją ci panowie mieszkający w swoich feudalnych zamkach? Przede wszystkim z wywozu ryżu i bawełny, które uprawiają, nie potrzebując się troszczyć o płacę roboczą. Ale w przedsiębiorstwie ich tkwi wielki kapitał, bo ci Murzyni to taki złośliwy naród! Czasem są jeszcze za młodzi, aby umrzeć, a stają się ułomni i żaden bicz nic już nie poradzi. Albo też płodzą za mało dzieci, a niekiedy odważają się nawet uciekać. Dziesięć tysięcy właścicieli plantacji utrzymuje tu trzysta tysięcy niewolników, a ponieważ tego za mało, więc z Wirginii lub z Południowej Karoliny trzeba sprowadzać nowych Murzynów. Bo od czasu, gdy wwóz niewolników, rzekomo wskutek humanizmu został zakazany, trzeba ich hodować we własnym kraju. Tam kwitnie handel niewolnikami i nieraz handlarz sprzedaje południowcom własnego brata, którego ojciec jego spłodził z Murzynką.

---

<sup>1</sup> Kraal — osada murzyńska. — Red.



Wielkie dochody daje wynajmowanie niewolników, bo wtedy można zarabiać 20 i 30 procent, czyli w przeciągu czterech lat koszt niewolnika zostaje przez niego samego zamortyzowany. Dobrze wyszkolonych mężczyzn można wynajmować jako rzemieślników, ładnie zbudowane Murzynki jako kobiety publiczne.

To wszystko widzi i o tym dowiaduje się młody podróżny, odbywając przejażdżkę wśród plantacji. Gdy rozmawia z duchownymi, nauczycielami, sędziami i choćby z daleka tylko potrąca pytaniem o „nasze urządzenie”, to zawsze słyszy w odpowiedzi te same słowa: „Ludzie ci pochodzą z wojny wszystkich przeciwko wszystkim, jak zwierzęta mordują swoich braci w lasach odwiecznych, żyją tam jak małpy. Zaś my tutaj ochramiamy ich życie, pielęgnujemy ich, dajemy im jeść, gdy są starzy, leczymy ich w chorobie, pilnujemy, aby wiedli życie moralne, podczas gdy ci spośród nich, co odzyskują wolność, dopuszczają się najohydniejszych zbrodni. Oczywiście, czasem trzeba ich bić, bo gdybyśmy ich za kradzież zamykali w więzieniu, to przy ich wrodzonej gnuśności byłoby im to bardzo na rękę. Lecz cóż to czynią wasi ludzie na Północy? Wyprawiają swoich synów albo innych figurantów na Południe, aby nam tu za drogie pieniądze posprzedawali swoich odziedziczonych niewolników, i po krótkim czasie wracają do domu z pełnym mieszkaniem i z czystym chrześcijańskim sumieniem. Wolność? Przecież Murzyni sami nie chcą wolności! Gdy się jakiemuś staremu daje wolność, żeby się go pozbyć, to ze skowytami wraca i zebrze, żeby go utrzymywać dalej jako niewolnika, bo solone mięso i ryby, syrop i rum to rzeczy niezłe“.

Po raz pierwszy ze zdumieniem słyszy Lincoln taką obronę Południa i niezawodnie zadaje sobie pytanie, czy ci biali, którzy tak mówią, nie są zależni od bogatych



panów. Własnymi oczami musi popatrzeć, gdzie też to mieszka ów towar. Opodal na równinie stoją lepianki jedna przy drugiej i zdają się być puste. Przy małych ogieńkach przed drzwiami gotują kobiety kaszę kukurydzianą w starych garnkach, niektóre dodają do kaszy bobu, ale o sławionych smakołykach ani mowy nie ma. Powiadają mu, że tylko z rzadka zręczni Murzyni pracują w godzinach nadliczbowych, za co dostają parę dolarów i mogą sobie kupić upragnionej wódki. Za domkami widzi Lincoln ogródki z jarzynami i dowiaduje się, że jarzyny wolno im wymieniać u kramarza na cukier i kawę. A więc to są te nadzwyczajne uciechy życia murzyńskiego!

W tej chwili wszyscy pracują w polu i obcy przybysz udaje się za nimi. Pracują czternaście godzin, w zimie dziesięć, pielą i dźwigają, żną, zbierają i odnoszą, gdzie należy, ci nadzy ludzie, powiązani z sobą łańcuchami, wystawieni na spiekotę słoneczną. W południe mają krótką przerwę. Pomiędzy nimi uwijają się na koniach nadzorcy, nawołując i napędzając do pracy. Gdy któryś przystanie na chwilę i nic nie robi, to długi bicz nadzorcy spada niespodzianie na jego plecy i Murzyn krzyczy i wije się z bólu. Ale i to nie jest jeszcze najgorsze.

Bo gdy o zachodzie słońca powiązane ze sobą łańcuchami szeregi kierują się do domu nadzorcy, który znajduje się między wsią murzyńską a pałacem pana, i gdy starzy i młodzi, karmiące matki i blade dziewczęta stają w półkołu na dziedzińcu, to straszliwy dozorca wywołuje niektórych po imieniu i każe im stanąć na miejscu kaźni, jako że dzisiaj w ten czy inny sposób wykroczyli przeciwko przepisom porządkowym. Jak strzelec-artysta, który nie tykając głowy umie ze strzelić z niej jabłko, tak dozorca ćwiczy biczem swoje nagie spętane ofiary. Uczył się używania bicza na wy-

pchanych figurach i dopiero po długich ćwiczeniach uchodził za mistrza. Jego pan wygnałby go natychmiast, gdyby dozorca przyprawił niewolnika o utratę zdrowia lub choćby pozbawił go zdolności do pracy na dwa dni. Rozciąć skórę aż do kości może śmiało, ale tylko w takim miejscu, żeby rana nie przeszkadzała oćwiczonemu stanąć jutro do roboty.

Potem wszyscy oddalają się w ponurym milczeniu do swoich lepianek, gdzie czeka na nich kasza kukurydziana. Po godzinie dziewiątej nigdzie nie wolno palić światła, a jeśli któryś z Murzynów w ciemnościach zakrada się do Murzynki, która nie dla niego jest przeznaczona, to swoją noc miłosną może przypłacić straszliwą chłostą. Kto zaś myśli o ucieczce, ten winien wiedzieć, że wśród dozorców są tacy specjaliści, których używa się tylko do polowania na zbiegów. Umieją oni osaczyć niewolnika jak dzikie zwierzę, zapędzić go na moczary i wreszcie, zadając mu najstraszniejsze katusze, zabić.

Gdy wzburzony przybysz powraca wieczorem do miasta portowego, to przez otwarte okno klubu widzi kilka zaczerwienionych twarzy graczy, trzymających karty w rękę, a czarny odźwierny, stojący przy drzwiach, opowiada mu głosem przyciszonym, że wczoraj wieczorem jeden z tych potężnych panów przegrał w karty dwoje swoich dzieci urodzonych z Murzynki. Hanks, towarzysz podróży Lincolna, opowiada o nim: „Jego serce krwawiło się. Nie mówił dużo, był milczący i pomizerniał. Ale wiem, że podczas tej podróży wytworzył sobie własne zdanie o niewolnictwie. Wzარło się ono w jego serce jak rozżarzony węgiel. Rzekł do mnie: «Nie chciałbym być niewolnikiem, ale nie chciałbym też być właścicielem niewolników»”.

## IX

Jako palacz na parostatku odbywa podróż powrotną na Missisipi i gdy czasem w skwarną noc czerwcową wychodzi od swoich kotłów na pokład, aby odetchnąć świeżym powietrzem, a dokoła widzi ludzi raczących się winem i roześmianych, to w jego badawczym umyśle powstają nowe myśli o prawach klasowych i niewolnictwie. Ogarnia go głębokie wzruszenie.

Offut, zadowolony ze swego zręcznego żeglarza, zatrzymuje go jako pracownika dla swego sklepu, który otworzyć zamierza w Nowym Salemie. Wysyła go tedy do tego miasta, aby wszystko należycie urządził, i Lincoln po krótkich odwiedzinach u ojca opuszcza dom ojczysty na zawsze. Nie ma ani łodzi, ani konia, więc wędruje piechotą przez wysoką trawę, mila za milą, ku swojej nowej, piątej z rzędu ojczyźnie.

W Nowym Salemie nie zastał ani sklepu, ani Offuta. Cóż można w takim małym mieście czynić tymczasem? Można robić to, można robić owo. Młodemu wszystko jedno, bo nie ma żadnych planów i z pewnością nie przeczuwa, że w tej miejscinie o tak pięknej nazwie przeżyje sześć lat swej młodości. Zawiera znajomości. Ponieważ wybory są za pasem, a pisarz wyjechał, Lincoln zajmuje jego miejsce przy układaniu list wyborczych i w ten sposób wdraża się natychmiast w politykę miejscową. Później przybywa Offut, ale o sklepie jeszcze wciąż nie ma mowy, więc na razie uprawia się stolarkę i dekarstwo. Umie już dawno budować domy i tratwy, a teraz trzeba się zabrać do dźwigania skrzyń i ustawiania półek sklepowych. W końcu nad drzwiami domu zawisa szyld: „Denton Offut“, a w sklepie stoi olbrzymi, młody sklepowy i garstce obywateli zachwala towary swego pryncypała.

Już go wszyscy znają, bo jego nowy pracodawca nie omieszkał się nim pochwalić, podkreślając jego przymioty niegorzej od owego handlarza niewolników, który zachwalał wdzięki sprzedawanej Mulatki. „To taki siłacz, że pobije nawet naszego Armstronga!” — „Zobaczymy!” Natychmiast zapowiada się walkę zapaśniczą, bo walki atletów i kogutów oraz pojedynki pijackie to w takiej nowopowstałej mieścinie najlepsze w gruncie rzeczy rozrywki. Sławnego Armstronga widział już i Lincoln, więc wie, że to barczysty, ciężki i doświadczony zapaśnik, ale gdy dochodzi do walki, przeciwnik zostaje pobity od razu. Oklaski i szemranie. Przyjaciele pokonanego wołają, że ten longinus, jak nazywają Lincolna, walczył nieprawidłowo. Ale w tej chwili podnosi się pokonany, podaje zwycięskiemu przeciwnikowi rękę i oświadcza, że wszystko jest w porządku. Siłacze stają się przyjaciółmi i pozostaną nimi zawsze. Ba, zdarzy się nawet taka chwila, że dzisiejsza przyzwoitość i rzetelność jednego z nich wywoła wdzięczność, która uratuje życie synowi drugiego.

W sklepie żyje się niegorzej. Jest w nim jasno i czysto: na półkach, w skrzyniach i w baryłkach panuje znośny porządek. Można tu dostać wszystko, czego pionier potrzebuje, a więc talerze i filiżanki, pończochy, materiały, kapelusze, cukier, sól i kawę. I znowu sypia Lincoln w przyzwoitym łóżku w izdebce przylegającej do sklepu. Oczywiście, łóżko swoje musi dzielić z pomocnikiem, ale iluż to ludzi na Zachodzie miało przed stu laty łóżko wyłącznie dla siebie? Sprzedaje się niewiele, bo w nowym miasteczku mieszka niewiele więcej niż sto ludzi, ale to już jest sprawa pana Offuta i tym nie łamie sobie głowy jego sklepowy, bo właściwie teraz dopiero ma dość czasu do czytania! Tyle tylko, że w niewielkim sklepie jest przyciasno dla długonogiego skle-



powego. Więc na końcu lady sklepowej układa stos perkalików zamiast poduszki pod głowę, układa się wygodnie na szerokiej i długiej ladzie sklepowej i czyta. Ponieważ zawsze czytuje na głos, aby, jak powiada, to, co przeczytał, przyswajać sobie tym pewniej okiem i uchem, wywiera na wchodzących klientach wrażenie wysoce komiczne. Ale tutaj znają się wszyscy, więc śmieją się wesoło, on zaś zjeżdża z lady, staje przy niej i podaje rzeczy żądane. Jeśli klient szuka zbyt długo, czego mu potrzeba, to może się zdarzyć, że pan sklepowy powróci do swego głośnego czytania.

Ale nikt nie ma powodu do skarżenia się na tego sklepowego, który w oczach zdumionego klienta sam jeden podnosi baryłkę whisky i stawia ją na ladzie lub też leżąc stawia sobie filiżankę wody na podeszwie stopy podniesionej do góry, chwytą ją potem zębami i nie rozlewa ani kropli. Zawsze jest dobrze usposobiony dla klientów i żaden z nich nie odejdzie, żeby nie usłyszeć wprzód jakiejś ciekawej historyjki. Czy właściciel sklepu znalazłby gdzieś lepszego sklepowego? Czy nie przyciąga klientów do sklepu już tym na przykład, że każdemu chętnie napisze list na poczekaniu? Nie pali, nie żuje prymki, nie pije, nigdy nie rozpoczyna z nikim zwady, chociaż jest najmocniejszy, lubi się bawić z dziećmi na ziemi i pozwala im dokuczać sobie na wszelki sposób. Przede wszystkim jest on bezwzględnie uczciwy, można mu wszystko powierzyć. Niebawem też opinia jego jest ustalona i wszyscy nazywają go „uczciwym Abrahamem”.

Czasem, oczywiście, bywa zamknięty w sobie i smutny, ale nikomu tym nie dokucza, bo nastrojów swoich nie narzuca swemu otoczeniu, lecz ma zawsze dla wszystkich wesoły uśmiech. Jeśli zaś ludzie śmieją się z niego, że po ulicy chodzi z książką i że czasem przy głośnym

czytaniu przystaje, drepząc na miejscu, to im odpowiada: „Dopiero wówczas bywam szczęśliwy, gdy myśli swoje przewaluję od północy na południe i od wschodu na zachód”.

Pewnego razu przychodzi do sklepu jakiś klient z odległej farmy i powiada, że ma w domu angielską gramatykę z ćwiczeniami, więc Lincoln wędruje natychmiast milę drogi do niego, pożycza sobie tę nową książkę i po raz pierwszy zaznajamia się z systematyką ojczystego języka. Ktoś inny daje mu Gibbonsa „Historię Rzymu”, zaś duchowny ma dla niego jakieś inne dzieło historyczne. Chodzi on też często do nauczyciela, bo od niego można się wiele dowiedzieć. W sklepie można się od ludzi dowiedzieć też niejednego, a napisy na skrzyniach to dobra nauka geografii, i dzień w dzień dowiadyje się człowiek czegoś nowego, bo nawet najgłupszy wie o czymś, trzeba tylko umieć go wypytać.

Nic dziwnego tedy, że tego wiecznie czytającego longinusa wzywa się, aby przemawiał na wiejskich zebraniach. Więc na oczekaniu mówi o drogach oraz o możliwościach przeprowadzenia przez te okolice kolei żelaznej, ale najchętniej o rzece i o tym, jak należałoby ją w okolicach młyna uregulować. Jako żeglarz i flisak bywał przecie daleko, zetknął się z rzeką bezpośrednio, a ponieważ jako pracownik dostawał wynagrodzenie w pieniądzach o różnej i niestałej wartości, więc przemawia też za bankiem narodowym, którego pieniądź miałby wartość stałą. Toteż niedługo jeden z jego przyjaciół doradza mu, aby koniecznie wystawił swoją kandydaturę na posła do parlamentu, bo w tym małym okręgu istnieje zaledwie garstka zdolnych ludzi. Zgadza się na to z wahaniem i bez nadziei powodzenia, ale już podczas przygotowania do wyborów wypadki wciągają go w swój wir.

Człowiek, który w taki prosty sposób doradził Lincolnowi karierę polityczną, nazywał się Rutledge. Jako pierwszy osadnik on właśnie założył Nowy Salem i posiadał młyn, który dzierżawił teraz przedsiębiorczy Offut, a prócz tego miał gospodę, w której zacny sklepowy chętnie przesiadywał w południe i wieczorami. Bowiem tam spotykał czarującą, smukłą córkę gospodarza o delikatnej cerze i złotych włosach, która zawsze coś szyła. Niestety, ta osiemnastoletnia Anna już jest zaręczona, ale może właśnie dlatego, że niebezpieczeństwo już nie jest groźne, pociąga ono nieśmiałego młodzieńca, który całkowicie oddaje się fantastyce marzeń, bo szorstka rzeczywistość razi go i odstręcza.

Z bogatym narzeczonym nie może, oczywiście, współzawodniczyć biedak, który nic nie posiada, tym bardziej że i stary Rutledge ma duży szmat ziemi i sporo pieniędzy, więc z córki nie zrobi prezentu pierwszemu lepszemu. Mac Namar jest bogaty, od teścia swego kupił dużo ziemi, podobno za dwanaście tysięcy dolarów, bo ma bogatych krewnych na Północy. Więc nieśmiały Abraham, który boi się dziewcząt, jeszcze przez rok i sześć niedziel przyglądałby się zakochanymi oczami pięknej pannie, gdyby Offut nie był lekkoduchem i pechowcem i gdyby w ogóle wszelka sytuacja tutaj wśród pionierów nie była niepewna.

Albowiem w miesiącu marcu, w rok zaledwie po założeniu sklepu, właściciel bankrutuje, a Herndon, konkurent, kupuje cały zapas jego towarów za marne pieniądze. Ale i jego sprawa nie stoi na zbyt pewnych podstawach i dlatego szczęście doprawdy, że w tym czasie na rzece Sangamon ukazuje się pierwszy statek parowy, który nie może przedostać się przez wiry, i Herndon między innymi zwraca się także do siłacza Lincolna. Jako pilot zarabia on przy tej sposobności



czterdzieści dolarów i to mu na jakiś czas musi wystarczyć.

Podstawy jego istnienia chwieją się znowu. Ma wielki wybór: może się stać żeglarzem, sklepowym, politykiem lub żołnierzem, albowiem jeden z wodzów indiańskich zagraża granicy, a prócz tego młodych ludzi w ogóle chętnie werbują do wojska, chociaż zawsze tylko na trzydzieści dni. Lincoln próbuje każdego z tych zawodów po kolei i czyni starania, aby zostać wybranym do parlamentu stanu Illinois.

Jego pochodzenie z ludu ma swoje korzystne i ujemne strony. Oczywiście, znają go wszyscy, i gdy się zbliża do nich, to uśmiechają się pod wąsem, bo na pewno usłyszą jakiś dobry kawał. Ale w jaki sposób zdobyć sobie uznanie dla wiedzy i zdolności? W owych czasach wybory odbywały się jeszcze w sposób zgoła prosty, więc dla dwudziestotrzyletniego farmera, żeglarza i sklepowego kandydowanie nie jest znowu sprawą tak trudną, jakby się zdawało. Oczywiście, przedstawić się musi sam i zachwalać się musi także sam, agitatorów przedwyborczych w tym małym okręgu nie ma. Gdy teraz objeżdża okolicę i pomaga ludziom przy robotach w polu, to czyni to w sposób tak prosty, że nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, iż pragnie on zdobyć ich sympatię. Wieczorem idą wszyscy do gospody, w której odbywają się pojedynki pięściarskie i pijackie, a kandydat wchodzi na stół i przemawia.

Czy mógłby się tym ludziom nie podobać? Jest bardzo mocny, ale ani człowiekowi, ani zwierzęciu krzywdy nie robi. O tym wiedzą wszyscy i prości farmerzy cenią ten rys jego charakteru jeszcze wyżej niż wydelikaceni mieszczanie, a tę zdumiewającą sprzeczność przypisują jego niewątpliwemu wykształceniu, dla którego należy go zapewne wybrać na posła. Że wiecznie czyta, to wi-



dzą wszyscy, że umie opowiadać jak nikt inny, to każdy słyszeć może, a więc na pewno będzie umiał wygłosić mowę. Z drugiej strony trzeba sobie powiedzieć, że wygląda on dość pociesznie: jego spodnie bywają zawsze o pięć czy sześć cali za krótkie, a rękawy kończą się zbyt raptownie, zaś poły żakietu są takie kuse, że gdy siada, to ich nigdy nie przysiadzie.

Dopóki stoi spokojnie z rękami założonymi w tyle, to przy swojej z gruba wyciosanej twarzy przypomina posąg z drzewa. Ale wnet zaczyna się ożywiać, długie ręce podnosi i opuszcza, zbliża się do skraju stołu i ludziska nie zważają na słowa, bo przy jego mowach więcej można zobaczyć niż usłyszeć. Głos jego nie jest ładny, trochę za cienki i za ostry, ale gdy się mówca rozgada, to i głos jego staje się przyjemniejszy. Między innymi opowiada różne historyjki, bez których jego mowa obyć się nie może, a opowiada je w sposób prosty i dla wszystkich przystępny. I już tu daje się zauważyć, że Lincoln nigdy nie będzie świetnym mówcą ludowym, ponieważ jest on urodzonym opowiadaczem, który o czymś donosi, coś rozważa, a nic nie narzuca; pragnie przekonać, a nie przegadać. Ale właśnie dlatego mowa jego działa głębiej niż występ aktora na scenie.

Od wielkiej polityki, o której i tutaj, w szynkach na Zachodzie, wszyscy gadają, trzyma się z dala i mówi tylko o tym, na czym się zna i co tutejszych mieszkańców obchodzić może, a więc o regulacji rzeki, o naprawie dróg. Trzyma się przy tym sfery, z której pochodzi i do której się zwraca. Zna swoich ludzi i nie spuszcza z nich oka. Pewnego razu widząc, że jakiś brutal napastuje jednego ze słuchaczy, przerywa swoją mowę, zeskakuje ze stołu, łapie napastnika za kark, odrzuca go na odległość dwunastu stóp, powraca, doprowadza do porządku kapotę, podciąga spodnie i kończy rozpoczęte

zдание. Czyni to instynktownie i z przyzwyczajenia, ale wszyscy cenią to bardzo i jeszcze po dziesiątkach lat będą sobie o tym opowiadali.

Do jakiej partii się przyłączy, to już sprawa nie taka ważna. Do dwudziestego roku życia zaliczał się do demokratów, jak ojciec i kuzynowie, dopiero wspaniałość mów Henry Claya, patos i logika przemówień Webstera przeciagnęły go na stronę wigów, których programu w owych czasach nikt zresztą nie umiał należycie określić. Na ogół uchodzili za bardziej wykształconych, ale od demokratów różnili się raczej personalnie. Tyle tylko, że na ogół bardzo zdecydowanie stoją na gruncie konstytucji, co odpowiada skłonnościom młodego kandydata, którego rysem charakterystycznym jest poczucie godności ludzkiej, szacunek dla założycieli stanów i ojców, czuwanie nad wolnością i równością. Już teraz jest Lincoln tym, czym pozostanie przez całe życie: zachowawcą, o ile chodzi o niepodległość i o utrzymanie równouprawnienia wszystkich obywateli, i przeciwnikiem wszystkiego, co mogłoby zachwiać tę podstawę, która w Europie od roku 1830 musiała ustępować przywilejom i uciskowi, a w Ameryce przynajmniej wobec Murzynów jest bez znaczenia. Dlatego Lincoln przez całe życie odzywać się będzie o ojcach ze czcią religijną, bo to oni ustalili zasady wolności i porządku, a szereg tworców państwowych, młodych i niepewnych, umieli połączyć w wielką całość, czyniąc to mądrze i stanowczo.

Na dzisiaj kończy młody, dwudziestotrzyletni polityk swoją pierwszą, ostrożną mowę kandydacką krótkim zdaniem: „Moja polityka jest jędrna i zwięzła jak taniec starki. Jestem za bankiem narodowym i cłem ochronnym. Jeśli zostanę wybrany, będę wdzięczny, jeśli nie, też będzie dobrze”. Kończy, schodzi ze stołu

i sadowi się wśród słuchaczy. Czy ktoś w sali zastanawia się nad dziwacznością tego zakończenia? Czy on sam zastanawia się nad nią? Bowiem i tutaj przejawia się jeden z rysów jego charakteru: Lincoln, jako człowiek, który od dzieciństwa musiał się wyrzekać wielu rzeczy, nie jest zagrożony niebezpieczeństwem wybujałej ambicji. Dla niego sprawa to więcej niż osoba, więc z poczuciem wspaniałej rzeczowości łączy się w nim fatalizm, a jedno i drugie rodzi się z jego młodości pełnej znoju i wyrzeczeń. Ten charakter pozostanie na zawsze niepodkupny.

To nie nastrój chwili dyktuje mu takie słowa, bo oto po sali wśród jego słuchaczy krąży okólnik drukowany. Napisał go Lincoln, a ponieważ nie dowierzał swej ortografii, więc przedłożył go do przejrzania swemu uczonemu znajomemu. W okólniku tym można czytać: „Urodziłem się i pozostałem w skromnych warunkach życiowych. Nie mam bogatych krewnych ani popularnych przyjaciół, którzy mogliby mnie polecić. Niezależni wyborcy sami muszą zadecydować. Jeśli zostanę wybrany, to będę swój wybór uważał za wysoki zaszczyt, który postaram się usprawiedliwić niezmierną pracą. Jeśli natomiast moi światli współobywatele uważać będą za właściwsze pozostawić mnie na uboczu, to nie będę się smucił zbyt długo, bo do rozczarowań jestem aż nadto przyzwyczajony”. Tutaj do tonu rezygnacji przyłącza się już ton ironiczny, a pochodzenie z prostego ludu podkreślane jest z wyraźnym uczuciem dumy. Człowiek, który to napisał, aby poprzeć swoją kandydaturę, wie już dobrze, że w kraju tym znojna młodość jest należycie oceniana, i dlatego z naciskiem mówi o godności ubogiego pioniera, który wszystko zawdzięcza samemu sobie.

## X

Blak Hawk — Czarny Jastrząb — wódz indiański, wszczął w owych czasach spór z białymi, którym sprzedał ziemię. Domagał się oddania mu ziemi i wtargnął w granice stanów sąsiednich. Taka była krótka wiadomość, która zaalarmowała wszystkich młodych w Nowym Salem i w okolicy. Sklep zbankrutował, nowego miejsca Lincoln jeszcze nie miał, wybory były rzeczą niepewną, a jeśli się aż do lata będzie agitowało, aby potem przepaść, to się już nie zdąży pójść na wojnę. Zresztą cała ta wojna nie będzie trwała zbyt długo, a jeśli kampania orężna skończy się przed kampanią wyborczą, to laur bojownika, który walczył z Indianami, przyda się bardzo kandydatowi. Razem z tysiącem i sześciu setkami młodzieży zgłasza się Lincoln do wojska i przez swoją kompanię zostaje wybrany na kapitana: jego pierwszy wybór przez lud! Nigdy o tym wyborze nie zapomni. Źle uzbrojone, byle jak odżywiane, maszeruje to wojsko błotnistymi drogami przez rzeki i prerie na Zachód, ale dla młodego kapitana nie ma w tym nic osobliwego, bo do takich rzeczy jest przyzwyczajony. Nieprzyjaciela nie widać, więc po miesiącu kompania się rozwiązuje, ale i z tego nauczył się Lincoln dużo: po raz pierwszy w życiu został pobity. Rezygnować nauczył się wcześniej, wymaga od życia niewiele i oczekuje jeszcze mniej, ale dotychczas towarzyszyło mu zawsze poczucie swojej siły, a tu niejaki Thompson, żołnierz z jego kompanii, powalił go w walce zapaśniczej. Było to publiczne niepowodzenie, pierwsze w życiu. Okazuje się, że młode serce musi oczekiwać od życia jeszcze mniej. Niebawem po raz drugi staje do służby wojskowej. Porucznik jego nazywa się Ander-



son. Po trzydziestu latach spotkają się znowu ze sobą w zmiennych kolejach życia.

Co po Lincolnie w wojsku? Nie lubi strzelać i polować, nie pali, nawet ubój zwierząt budzi w nim wstręt, więc gdy każdorazowo zaciąga się do wojska na trzy tygodnie, to pociąga go nie tyle pragnienie przygód, ile poczucie obowiązku, przy czym pewna rola przypada także i temu, że życie jego jeszcze nie ma określonego planu. Bo i rozkazywanie nie jest jego rzeczą. Pewnego razu, gdy szerokim frontem oddział jego maszeruje przez pole, a po drodze spotyka wysoki mur z bramą, przez którą kompania przeprowić się musi, Lincoln zastanawia się długo, jak to się w takim wypadku komenderuje, i wreszcie woła: „Kompania rozwiązuje się na dwie minuty. Przy nowym formowaniu musi się ona znaleźć po tamtej stronie muru!”

Gdy innym razem docierają do opuszczonego obozu swoich braci, widzi Lincoln oskałpowane trupy. Po wielu latach opisuje jak artysta, chłodno i plastycznie, co widział: pagórek, opuszczony obóz, poranne słońce. „Trupy leżały zwrócone ku nam na ziemi, każdy miał na głowie czerwoną plamę wielkości dolara. Widok był straszny, ale i dziwaczny. Czerwone promienie słońca zdawały się przemalowywać wszystko”. A po chwili dalej: „Jeden z zabitych miał na sobie skórzane spodnie”. Oto jest spojrzenie człowieka, wzrokowca, który od dzieciństwa zmuszony był wszystko widzieć jasno i szybko spostrzegać, gdyż w przeciwnym razie musiałby robić robotę podwójnie. Oko jego widzi rzecz dziwną i straszliwą jednocześnie. W sprawach poważnych Lincoln zawsze dostrzegać będzie i strony komiczne.

Jako wojownik Lincoln się nie odznaczył i nie tylko że nie nazabijał dużo Indian, ale przeciwnie, wyrwał

jakiegoś starego Indianina z rąk swoich własnych ludzi, którzy chcieli go powiesić na najbliższym drzewie, chociaż nieborak posiadał list bezpieczeństwa. Lincoln nie zabił ani jednego nieprzyjaciela i tylko jednego z nich wyrwał z rąk swoich przyjaciół. To jest niezapomniany czyn wojenny tego przyjaciela ludzkości.

Gdy wreszcie wojacy wracają do domu, naprzód piechotą, bo konie potracili, następnie na indiańskich łódkach własnej roboty, a w końcu znowu piechotą, nie witają ich obywatele bramami triumfalnymi i wieńcami. Co więcej, wrogowie kandydata czynili, co mogli, aby go utracić przy wyborach, a ponieważ do wyborów pozostało już tylko kilkanaście dni, zaś nowa partia nie zakorzeniła się jeszcze w opinii, więc Lincoln przegrywa swoje pierwsze wybory. Ale jego własna wieś głosuje jednomyślnie za nim, podobnie jak wszyscy zwolennicy demokracji, gdyż wybierają człowieka, a nie partię. Więc owego dnia sierpniowego w Nowym Salemie oddają obywatele dwieście i osiem głosów za nim i trzy za jego przeciwnikiem. O tyle przynajmniej mógł być zadowolony.

Ale trzeba się koniecznie do czegoś zabrać, więc zawiera spółkę ze znajomym, pożycza pieniądze, kupuje sklep Offuta, u którego pracował, i do tego jeszcze sklep Herndona, który w tym czasie także zbankrutował, ma luje szyld sklepowy i staje się współwłaścicielem firmy „Berry i Lincoln”. Ani jeden, ani drugi nie są wielkimi kupcami, a w dodatku Berry to pijak zawołany, więc niebawem wszystkie sprawy sklepu spoczywają na barkach Lincolna, co jest sprawą trudniejszą niż dźwiganie baryłek. Kupowanie i sprzedawanie odbywa się na kredyt, a jedno i drugie nie zawsze bywa dość przejrzyste dla współników. Lincolna bardziej interesują rozmowy z klientami niż ich wypłacalność, a gdy „uczciwy Abra-

ham” w niebieskiej koszuli i w spodniach zawsze zbyt krótkich stoi przy ladzie sklepowej, to można od niego dostać wszystko, choćby się nie miało pieniędzy. Szkoda tylko, że sklep bywa czasem zamknięty. Wtedy jeden ze współwłaścicieli siedzi niezawodnie w szynku, a drugi pojechał pewno w świat, bo Lincoln tymczasem stał się także poczmistrzem.

Poczmistrzowanie staje się podstawą jego bytowania, gdyż na tym urzędzie pozostaje cztery lata, i jak zawsze, tak i tym razem z tego jedyne stanowiska urzędowego wyciąga wiele korzyści. Wybrano go z racji zaufania do niego, a także dlatego, że tak dobrze zna się na drukowanym i pisanym. Teraz dopiero może sobie spokojnie odczytywać wszystkie gazety, jakie przywozi wóz pocztowy, zanim oddaje je adresatom. Jest to stary przywilej poczmistrzów na Zachodzie. Prenumeratorem ma nawet prawo oczekiwać od poczmistrza, że ten powie mu, co też nowego jest w jego gazecie. Także i ci, co dostają listy, każą je odczytywać poczmistrzowi; lecz nawet i ci, co sami czytać umieją, opowiadają mu, kto pisze i co pisze. Bardzo się to podoba zręcznemu opowiadaczowi i badaczowi duszy ludzkiej, a gdy i resztę listów roznosi po okolicy — zawsze w urzędowym kapeluszu — to poznaje ludzi coraz więcej i coraz lepiej. Przy tej sposobności i on daje się poznać.

Ponieważ wóz pocztowy musi się zatrzymywać koło jego mieszkania, więc Lincoln zakłada u siebie coś w rodzaju gospody, daje podróżnym obiad za dwadzieścia pięć centów i udziela im noclegu za dwanaście i pół centa, natomiast postój konia w stajni kosztuje dwa razy tyle. To wszystko pozwala mu w codziennych rozmowach poznać pragnienia i zamiary ludzi i w ciągu następnych lat za pomocą ucha i oka zdobywać w tej samot-

nej kolonii taką rozległą znajomość ludzi, jakiej nie mogłoby mu dać najgruntowniejsze wykształcenie.

Ale jednocześnie coraz więcej uczy się z książek. Wszystko drukowane, co przychodzi pocztą, czyta on pierwszy, interesuje się też i tym, co podróżni przywożą ze sobą i czego chętnie się pozbywają, na przykład lekkich powieści coraz bardziej wchodzących w modę. Przypadek mu sprzyja. Gdy przez dobroć serca od jednego z emigrantów, który za wiele zabrał z sobą, kupuje beczkę z różnym rupieciem i po kilku dniach opróżnia ją, to wśród blaszanych pudełek i narzędzi znajduje postrzępioną książkę: jest to Blackstona komentarz praw angielskich, sławna księga prawnicza tamtych czasów. Z książki tej dowiaduje się tysiący ciekawych rzeczy i teraz dopiero wie, gdzie i jak trzeba szukać tego, co mu jest potrzebne. Wypożycza sobie od sędziów i adwokatów rozmaite dzieła, odwraca się na jakiś czas od wszelkiego towarzystwa i studiuje gruntownie.

Później przybywa w te strony uczony lekarz, od którego Lincoln uczy się bardzo wiele. Nawija się też wykolejony aktor, który nic nie robi, tylko chodzi z wędką na ryby, ale umie na pamięć całe ustępy z Burnsa i Szekspira. Pożycza on Lincolnowi swoje książki i otwiera przed nim cały nowy świat. Teraz Lincoln interesują przeważnie książki historyczne.

Z nich dowiaduje się, że już ojcowie byli przeciwnikami niewolnictwa, że należeli do nich Waszyngton i John Adams, Jefferson i Madison, Franklin i Hamilton, przedstawiciele różnych kierunków i najlepsi mężowie kraju; nie brakło wśród nich i takich, co sami miewali niewolników, a jednak zwalczali niewolnictwo. Dla umysłu wychowanego na anegdotach musiało pozostać niezapomnianym, że Waszyngton zakazał ścigać zbiegłą



niewolnicę, pozostawiając jej uznaniu, czy zechce wrócić czy nie.

Niestety, chociaż książki są bardzo miłe i piękne, żyć z nich nie można, a znowu praca niemiła też idzie nieosobliwie. Sklep jest zaniedbany, a kto zaczyna sprzedawać na kredyt, może się dorobić tylko przy wielkim obrocie. Ale miasteczko jest małe i nie tylko że nie wzrasta, lecz raczej maleje.

Toteż pewnego dnia do sklepu przybywa policja i sekwestruje wszystek towar; wspólnik zmyka, a Lincoln bierze na siebie cały ciężar długu, wynoszącego tysiąc i sto dolarów. Chleba powszedniego mu nie brak, bo pracuje na dniówkę, jak dawniej w domu, ścina i rąbie drzewo, a ktoś opowiadał o nim, jak to w młynie siedywał na stołku przy ognisku, długie nogi wyciągał przed sobą i opowiadał historie. Prócz tego zarabia trochę pieniędzy jako poczmistrz. Ale kiedy i jak ma spłacić taki olbrzymi dług?

Wśród przyjaciół ma geometrę, który już dawno mawiał, że przy swoim rozumie może tu Lincoln zarobić daleko większy pieniądz głową niż rękami. Zabiera go ze sobą do Springfield, największego miasta w całej okolicy, aby się tam u nauczyciela nauczył tego, czego jeszcze nie umie, trochę matematyki i używania instrumentów. Spotyka też owego starego majora z wojny o wolność, Stuarta, który go bardzo lubił; ów major daje mu książki prawnicze, a po paru latach uczyni dla niego jeszcze więcej. W sześć tygodni później Lincoln dostaje posadę geometry w Nowym Salemie, gdzie jest dużo roboty, bo ludzie tam ciągle kupują i sprzedają grunty; przy wymierzaniu drogi można w ciągu pięciu dni zarobić 15 dolarów i jeszcze półtrzecia dolara za rysunek. Składa się tak doskonale, że gdy ma wymierzać kawałek pola, to może jednocześnie zabrać pocztę, czyli

że może pogodzić ze sobą dwie prace. Naturalnie, przypomina sobie z życiorysu Waszyngtona, że i on był za młodu geometrą, ale wtedy, jakieś osiemdziesiąt lat temu, zarabiał trzy razy tyle, co Lincoln. „Ano, nie każdy może być Waszyngtonem” — myśli skromny geometra i pogwizduje.

Ten tryb życia byłby ostatecznie bardzo miły, gdyby nie te długi! Teraz na przykład chcą mu zabrać konia, bez którego nie będzie mógł przecież wędrować po rozległej okolicy, potem wezmą siodło, wreszcie instrumenty. Przyjaciele postanawiają wykupić mu konia i wołają go, aby razem z nimi poszedł na licytację, ale on się opiera: nie chce patrzeć, jak będą sprzedawali jego starego poczciwego konia! Śmieją się z dziwaka i przyprowadzają mu jego własność. W tych czasach jest on bardzo ubogi i gdy nie wie, jak sobie radzić, to udaje się do przyjaciela Armstronga, pomaga przy rąbaniu drzewa albo w ogrodzie, opowiada historie, za co dostaje obiady i nocleg.

Wśród tych, co poczmistrza najczęściej zapytują o listy, jest Anna Rutledge. Narzeczony jej wyjechał do Nowego Jorku, aby załatwić tam swoje sprawy, a po powrocie ożenić się z nią. Ale nie pisze, a jeśli pisze, to tak jakoś mętnie i niewyraźnie, że ojciec mu umarł, że jeszcze długo nie wróci, i niebawem pogadują ludzie, że bogaty pan nie chce już biednej dziewczyny. Po jakimś czasie radzą jej, aby o tamtym zapomniała i wybrała sobie innego. Nie ma się co martwić, bo kandydat na męża już jest, a kandydatem tym jest Hill, przyjaciel Lincolna.

Serce Lincolna opanowuje wielki niepokój. Jego nieśmiałość wobec kobiet wzrosła tak dalece, że nawet w sklepie obsługiwał je niechętnie, a gdy pewnego razu

jakaś pani z trzema córkami zamieszkała w gospodzie przez parę tygodni, to nie siadał razem z nimi do stołu i unikał ich towarzystwa. Już niektórzy przodkowie jego cierpieli na taką nieśmiałość wobec kobiet. Wszystko to pochodzi z jego wrodzonej melancholii i wzmacnia się na skutek skłonności jego serca. Jeden z zaprzyjaźnionych farmerów, u którego Lincoln w owym czasie wymierzał pole, opowiadał o nim później, na podstawie zwierzeń geometry, jego własnymi słowy: „Wyglądam tak, jakbym się zawsze świetnie bawił, gdy jestem w towarzystwie, wesoły i roześmiany. Ale gdy bywam sam, czuję się bardzo przygnębiony i boję się nieraz trzymać nóż w kieszeni!”

Przeniknięty melancholią i rezygnacją, niedowierzeniem sobie i smutkiem, miesza się zupełnie, gdy dziewczyna, którą kocha, odzyskuje wolność. Czyżby pragnął, aby jego wybrała na męża? Czy ma się w nim powtórzyć los matki, iż sam będzie niczym, lecz jedynie zastępcą takiego, który przepadł? Czyliż nie czuł się szczęśliwszym wtedy, gdy o dziewczynie tej nawet marzyć nie mógł? A jednak jakże miałby się godzić na to, aby go wyparł Hill, który ma nad nim przewagę pieniądza jedynie? Tak czy owak przeprowadza się do gospody, która jest blokhauzem o czterech izbach, zamieszkuje tuż obok dziewczyny i puszcza wodze swoim najfantastyczniejszym marzeniom.

Ale jednocześnie nie przedsięwzię nic dla pozyskania dziewczyny. Co więcej, gdy się rozchodzi nowina, że pierwszy narzeczony jest oszustem i że miał fałszywe nazwisko, Lincoln występuje w obronie swego rywala. Zanim odjechał, kazał sobie wymierzyć kawałek pola, ale kazał je zapisać pod innym nazwiskiem, ponieważ zmuszał go do tego jakiś spór rodzinny. Lincoln nie mówił o tym nigdy, ale gdy zaczęto obcego człowieka

oskarżać, opowiedział o tym Annie Rutledge w obronie byłego jej narzeczonego. Ona zaś nie wie, co uczynić, po trosze czuje się związana, a jeszcze bardziej oszukana, waha się wobec ostatecznego kroku, ponieważ ojciec jej zubożał i stał się dzierżawcą tego obcego bogacza, którego przez małżeństwo z córką chciał pozyskać dla siebie. Teraz musi ona obsługiwać gości w gospodzie, dźwigać w koszach jedzenie do młyna, a towarzyszą jej często wielbiciele: bogaty Hill albo też ubogi, milkliwy Lincoln.

## XI

Tymczasem nadeszły nowe wybory, bo do parlamentu wybierano posłów co dwa lata, i Lincoln kandyduje po raz drugi. Wprawdzie niejednen purytanin mówił o nim, że to ateista, ale ostatecznie może poseł wierzyć w co chce, skoro jest taki usłużny i uprzejmy, zawsze dobry dla dzieci i zwierząt, a umie pisać i czytać. Został więc wybrany, potem wybrano go ponownie i tak cztery razy z rzędu; od 26 roku życia aż do 34 był członkiem parlamentu stanu Illinois. W owych czasach niewiele jeszcze wiedział o intrygach i szachrajstwach partyjnych, poznał natomiast wszystkie zagadnienia kraju, dookoła których krążyły zabiegi i mactwa partyjne. Wodzem jego był Clay, wzorem — Jefferson.

W Henry Clayu, najbardziej doświadczonym polityku owych czasów, musiał badawczy i porównawczy umysł beznamiętnego Lincolna podziwiać człowieka, który ryzykował raczej splątanie osnowy niż porwanie jej przez nadmierne napięcie, poświęcając zawsze raczej szczegół, niż narażając całość. Clay dobiegał wówczas już sześćdziesiątki i należał do tych, którzy jeszcze pamiętali ojców, więc Lincolnowi wydawał się naturalnym



strażnikiem wielkiej tradycji, godnym miłości i szacunku za tę wierność, z jaką swój urząd strażniczy sprawował. Urodzony niebawem po zdobyciu niepodległości, był senatorem przed przyjściem na świat Lincolna, brał osobisty udział w pertraktacjach przy zawieraniu drugiego pokoju z Anglią i zazdrośnie strzegł wszystkich gwarancji wolności republikańskiej. Domagał się cel ochronnych przeciwko angielskiej konkurencji, popierał roboty publiczne, handel i przemysł i podporządkowywał wszystkie zagadnienia, nawet sprawę niewolników, wielkiemu zagadnieniu utrzymania Unii. W Unii widział, podobnie jak jej założyciele, gwarancję niepodległości wobec Europy, która zdawała się tylko czekać na upadek młodego państwa. Taki więc był uczeń Jeffersona, narodowy republikanin Clay. Lincoln miał lat szesnaście, gdy po kraju rozeszła się wieść o śmierci wielkiego męża, Jeffersona, pograżając wszystkich w głębokim smutku.

Nie Waszyngton bowiem, lecz Jefferson odpowiadał naturze Lincolna i jego usposobieniu. Nie chodziło mu o jakieś bohaterstwo, ale o sprawy społeczne, o naprawienie człowieka od wewnątrz, podobnie jak i jego warunków bytowania, był on bowiem raczej znawcą serc ludzkich niż sytuacji światowej, demokratą w znaczeniu greckim. Niezawodnie znał Lincoln już wówczas pisma Jeffersona, z których zaczerpnął klasyczne słowa, tak często później cytowane: „Sądzimy, iż same przez się uzasadniają się te prawdy, że wszyscy ludzie zostali przez Stwórcę stworzeni jednakowo i wyposażeni pewnymi niezaprzeczonymi prawami, do których należy życie, wolność i prawo dążenia do szczęścia. Dla zapewnienia sobie tych praw powołują ludzie do życia rządu, a te czerpią swoją władzę wyłącznie ze zgody rządzących”.

Nic dziwnego, oczywiście, że wychodząc z takich założeń ten sam Jefferson musiał drogą niepodkupnej logiki dojść do proroczych słów o niewolnictwie. Aczkolwiek sam posiadał niewolników, napisał takie zdania: „Stosunek między panem a niewolnikiem jest wiekuistym falowaniem namiętności: z jednej strony nieograniczony despotyzm, z drugiej hańbiące poddaństwo. Na jakie przekleństwo zasługuje mąż stanu, który pozwala, aby połowa obywateli deptała prawa innych obywateli, niwecząc we wszystkich zasady moralności i miłości ojczyzny! Wszak razem z moralnością podkopuje się handel i przemysł! Któż będzie w gorącym klimacie pracował, jeśli może przymusić do pracy człowieka innego? Kto łamie prawa natury, ten ściąga na siebie ich zemstę. Drzę o przyszłość kraju, gdy myślę o Murzynie i wspominam przy tym zasady sprawiedliwości bożej!”

Jeśli tak przemawiał człowiek, który urodził się na Południu na wiele dziesiątków lat przed oświeceniem, o ileż radykalniej musiał myśleć ten, który urodził się na Północy, po oświeceniu, i razem z innymi biedakami białej rasy musiał z roku na rok ciężko pracować na kawałek powszedniego chleba! Wrodzone współczucie musiało go z nieprzepartą siłą pociągać w stronę bojowników walczących o wolność Murzynów. Bojownicy ci gromadzili się pod kierunkiem swoich wodzów na Północy i przygotowywali nową wyprawę krzyżową przeciwko despotyzmowi. Konfrontujący umysł Lincolna zabiera głos w tej wielkiej sprawie obyczajem wszystkich poetów świata, aby wysłuchać obu stron, i oto woła niepodległości państwa, która w szkole Jeffersona i Claya stała się dogmatem, przerosła w nim pragnienie niepodległości i równości wszystkich ludzi.

Albowiem zagadnienie niewolnictwa stawało się coraz wyraźniej zagadnieniem bytu lub niebytu Unii: coraz częściej i coraz ostrzej groziło Południe oderwaniem się od Unii, gdyby mu chciano odebrać warunki istnienia, jakie widziało w niewolnictwie. Lincoln studiował historię tego zagadnienia i wiedział, że jednocześnie ze statkiem „Mayflower” wylądował w Ameryce statek z dziewiętnastu Murzynami, czyli że szczęście, niebezpieczeństwo i przeznaczenie tego samego roku i u tego samego wybrzeża zarzuciły kotwicę, aby jeszcze po stuleciach staczać w sercach wnuków niebezpieczne boje. Wiedział on, że już przy układaniu konstytucji toczyły się spory, że planowano artykuł o niewolnictwie i że go skreślono, a ostateczna jego redakcja była rozmyślnie niewyraźna: „Do liczby obywateli (każdego stanu), do których należą ci, którzy zobowiązali się do służby tylko na określoną ilość lat, doliczyć należy także trzy piąte wszystkich innych mieszkańców“. Ci inni mieszkańcy to byli właśnie niewolnicy i dzięki takiemu spisowi ludności właściciele niewolników mogli wysyłać na Kongres więcej przedstawicieli niż inni obywatele, czyli że Południe majoryzowało Północ. Ale zarazem uchwalono dla krajów leżących w obrębie państwa, czyli stanów północno-zachodnich, które były wspólną własnością Unii, takie prawo: „Niewolnictwo jest tu zakazane na zawsze, podobnie jak w każdym innym stanie, który by się później ewentualnie przyłączył“.

Co za niewyczerpane źródło walk wewnętrznych! Podstawa, która jest sprzecznością w samej sobie: nowe państwo, zbudowane na zasadzie prawa równającego wszystkich ludzi, dopuszcza w swoich granicach stan niejasności tak jaskrawej, jakiej nie było nawet w starej Europie z jej rządami klasowymi. Przywilej jednej części obywateli upośledzał innych mieszkańców państwa.

A jednak zdawało się, że bilans państwa spoczywa na tej nieopłacalnej pracy milionów ludzi pozbawionych prawa, moralność zaś tłumaczyła się kolorem skóry. W jaki sposób można było wybrnąć z tych wielkich sprzeczności, jeśli nie przez szereg kompromisów? Przy zakładaniu Unii istniało sześć stanów z niewolnikami, konstytucja zakazywała niewolnictwa w stanach nowych, a jednak dzisiaj było ich już czternaście!

Kiedy bowiem zabrano się do dzielenia na stany olbrzymich terytoriów Luizjany, nabytej od Francji, przy zakładaniu stanu nad ujściem Missouri doszło do starcia. Już wtedy zagrażała wojna domowa i stary ojciec Jefferson zawołał proroczo: „To nocny dzwon na trwogę!“ Wtedy wystąpił Clay, który dla ratowania Unii, w jawnej niezgodzie z konstytucją, przeprowadził kompromis missuryjski. W Luizjanie na północ od 36° 30' szerokości północnej niewolnictwo miało być na zawsze zakazane z wyjątkiem tworzącego się właśnie stanu Missouri.

Od owego czasu sprawa ta powikłała się jeszcze bardziej. Do kraju przybyli obcy, osobiwie dużo Niemców, którzy za pomocą lepszych narzędzi w pocie czoła sami hodowali bawełnę, okopując jej krzaki, podobnie jak u siebie w kraju okopywali kartofle, i od tego czasu w Missouri i gdzie indziej zaczęła się walka konkurencyjna Zachodu z Południem. Hodowali także tytoń i ryż, i to tak udatnie, że zbierali żniwo pięć razy obfitsze od innych hodowców. I oni to stali się naturalnymi przeciwnikami niewolników, przyłączyli się do wigów i dlatego od owych czasów wyborcami Lincolna stają się przeważnie Niemcy. Przy poparciu nowego Zachodu domaga się Północ wysokich ceł ochronnych, czym na Południu wywołuje burzę. Południowa Karolina oświadcza krótko i węzłowato, że ceł nie uznaje i że wszelkie



próby rządu ściągania tych ceł odeprze z bronią w rękę. Czy rząd wyśle wojsko i każe aresztować swoich przeciwników? Bynajmniej. Spór zostaje załagodzony przez obniżenie ceł dla Południa, a przywódcy oporu sławieni są jako bohaterowie.

Nieważki pierwiastek poczucia pańskości zdawał się być decydującym. Prezydenci pochodzili przeważnie z Południa, a kto się w tym społeczeństwie szanował, ten raczej trzymał z panami, których wspaniały tryb życia wszystkim imponował, niż z owymi północnymi idealistami, którzy umieli tylko niejasno marzyć, albo z fabrykantami, którzy znowu liczyli wszystko zbyt skrupulatnie. Nastrój w stolicy kraju był zdecydowanie po stronie Południa, a jeśli nie wysławiano wręcz niewoli, to w każdym razie podziwiano wspaniałe życie właścicieli niewolników. Nawet w Illinois, gdzie wszyscy bez wyjątku byli przeciwko niewoli, kobiety omal sobie karków nie powykręcały przy oglądaniu się za bogatym państwem, wysiadającym przed gospodą w towarzystwie czarnej służby.

Takimi to sprawami przepełniona była Wandalia, miejscina, w której zasiadał parlament, składający się z osiemdziesięciu i jednego posła, a obradujący w dwóch salach niewielkiego domu zbudowanego w stylu kolonialnym ze ścianami i przysionkami z drzewa, ale z małą kopułą podobną do wielkiej kopuły waszyngtońskiej. Dom nazywał się również Kapitol. Lincoln, który na ubranie pożyczył sobie pieniędzy, siedział teraz w granatowym kostiumie na ławie tego prymitywnego parlamentu i milczał. Za każde posiedzenie otrzymywał po trzy dolary, a oprócz tego atrament, pióra i papier. O czym też myślał? Czy też mu imponowało to wielkie zgromadzenie polityków i adwokatów? Czy ci ludzie widzieli i czytali więcej od tego dwudziestosześciolet-

niego geometry i poczmistrza, który bywał już nad morzem południowym i od lat kilku studiował pilnie wszystko, co mu wpadło w rękę? Mowy, jakie tu słyszy, nie są znowu takie bardzo mądre, wybitnych ludzi też się tu dopatrzeć nie może, a jego ambicji nic tu nie pobudza. Zrazu przeto siedzi najczęściej spokojnie i milczy. Dopiero w gospodzie, gdy ludzie schodzą się z różnymi pretensjami, otwiera usta i zaczyna opowiadać historie.

Czyni go to szybko popularnym. Niektórzy nazywają go wodzem Indian Sangamonów, inni zaś przyglądają się jego skupionej twarzy z uczuciami pomieszanymi, ale ten czy ów, każdy musi zwrócić uwagę na tę dziwną postać. Jest jeden taki, osobliwie uważny i siedzący z nim w jednym rzędzie, który przygląda mu się bezustannie. Każdym szczegółem swej osoby zdaje się być przeciwieństwem Lincolna. Jest niski, mocno zbudowany, ma szerokie bary, wysoką pierś i szerokie czoło; jego postać pełna jest ruchliwej energii, wszędzie jej pełno, czujnej, uważnej, żwawej. Jest to urzędnik ze Wschodu, demokrata, zresztą równie ubogi jak Lincoln i bodaj że o kilka lat od niego młodszy. Jest to Stefan Douglas. Wywodzi się ze sfery inteligenckiej, ma w sobie dużo giętkości i rozsądku, szybko zbliża się z ludźmi, ma gładkie maniery i ogładzone uczucia, więc duchem i ciałem tworzy przeciwieństwo tego jakby z drzewa wyciosanego ironisty, milkliwego i sztywnego, jak gdyby go sobie dramatopisarz wymyślił dla jakiejś osobliwej sceny. Zrazu chodzą obydwoj koło siebie uważnie i ostrożnie, a Lincoln nawet niewiele zwraca uwagi na tego całkiem mu obcego człowieka. Natomiast Douglas przygląda się Lincolnowi uważnie, gdyż celem jego ambicji jest szybka kariera, dotarcie do najwyższych stanowisk, więc trzeba się szybko decydować, nie ma-

rudzić i pamiętać, że każdy polityk to konkurent. Każdego ocenia szybko, a wobec tego wysokiego człowieka nie traci pewności siebie: taki nie zaszkodzi mu z pewnością.

## XII

Ów obcy człowiek o podwójnym nazwisku zginął zdaje się na dobre. Gdy Lincoln powrócił z parlamentu do domu w Nowym Salemie, zastał Rutledge'ów zupełnie zubożałych. Człowiek, który pierwszy osiadł w tej miejscowości, musiał teraz nawet gospodę swoją opuścić i ze swoimi przeniósł się na farmę, która należała do zaginionego niedoszłego zięcia. Zaś piękna dziewczyna zdołała tymczasem pozbyć się swoich złudzeń i zaczęła porównywać swego pierwszego narzeczonego z obu tożsamości konkurentami. Zdaje się, że Hill przestał się nią interesować. To przybliżyła ją do człowieka, który kocha ją od lat trzech, a który spokój i ubóstwo przekłada nad rozgłos i bogactwo i nikomu nie chciałby nic zawdzięczać. Ku temu tedy człowiekowi pełnemu milczącej godności i wielkiej zacności serca skłania się teraz panna Rutledge i oto dochodzi do zaręczyn.

Jest wiosna, więc często dosiada on konia i jeździ do niej na samotną farmę. Ma lat dwadzieścia sześć, a ona jest o cztery lata młodsza. Te kilka miesięcy to bodaj najszczęśliwsza doba życia Lincolna; jego nieokiełznana wyobraźnia buja swobodnie i wypełnia godziny i dni obrazami i scenami radości i szczęścia. Gdybyśmy jednak próbowali obrazy te odtwarzać, to wykroczylibyśmy poza ramy sprawozdania i wpadlibyśmy w romantyczne marzycielstwo, z którego wyrwałaby nas okrutna rzeczywistość. Czyż to nie wymowne dla tego milkliwego człowieka, że o tej jedynej miłości jego życia nie istnieje

ani jedna legenda, podczas gdy o jego porażkach i udrękach mówi mnóstwo sprawozdań i listów? Toteż zamyślenie nasz tylko niedługi czas zabawia w krainie słodkiej sielanki szczęśliwych, bo niebawem burza wypędzi go z tej krainy.

Albowiem tego lata okolice Illinois nawiedzi zimnica i jak wtedy, w Indianie, powaliła i zabiła jego krewniaków, a wreszcie i matkę, tak teraz powali jego samego, przyjaciela i narzeczoną. Krzepka natura Lincolna przezwycięża chorobę, ale jego przyjaciel, a wreszcie i narzeczona umierają.

Lincoln bliski jest szaleństwa. Po dzieciństwie i młodości pełnych niedoli i wyrzeczeń po raz pierwszy zbliżył się do fatamorgany radości życia, po raz pierwszy odważył się wyciągnąć rękę po szczęście, jakie stawało się udziałem natur pogodniejszych i śmielszych, z serca jego wydobyła się melodia, aby zabrzmieć jemu i innym, i oto urywa się ona nagle i wszystkie przeczucia samotnego i smutnego istnienia walą się nań ciężarem nieznośnym. Czyż dziwić się trzeba, że w tydzień po śmierci ukochanej znajdują go ludzie nad brzegiem leśnego potoku rozmawiającego z samym sobą, jakby był pozbawiony rozumu? Lub że innym razem widziano go, jak bez ruchu leżał na jej grobie? Pewien lekarz zaopiekował się nim wtedy i zabrał go do znajomych; pomagał im przy żniwach i owocobranii, a nawet trzymał gospodyni przędzę, gdy ta ją zwijała. Lecz nagle podczas burzy usłyszano jego krzyk: „Nie zniosę tego, aby ona sama leżała tam pod ziemią! Niech deszcz nie pada na jej grób!“

Człowiek ten, który przy swojej melancholii przez jakiś czas bał się nosić nóż przy sobie, był teraz w bezgranicznej rozpacz.



## XIII

Ale życie płynie sobie spokojnie i kto uniknie samobójstwa, ten żyje dalej. Szybko ustalają się w nim zasady, według których się rozwijał, i nawet życie tak niespokojne, jak jego własne, bez ośrodka ambicji, bez przymusu i konieczności, łatwo się powtórzy według wewnętrznej logiki wydarzeń, ze wszystkimi szczegółami i drobiazgami. Bo Lincoln był w gruncie rzeczy zbyt zdrowy z natury, aby mógł być wytrwać długo w zamroczonym stanie duszy. Kryzys jego nerwów był ciężki, ale nie mógł być trwały, a dusza poety, która przywykła była od zarania do wyrzeczeń i ucieczki od rzeczywistości, musiała rychło odnaleźć do niej drogę.

Czasy przypadkowych studiów należały teraz, w dwudziestym siódmym roku jego życia, do przeszłości. Już nie rządził nim przypadek; Lincoln wybierał teraz książki wskazane zainteresowaniem, a więc prawo i historię. Ale jakiś uprzejmy nauczyciel odsłonił temu dorosłemu samoukowi także tajniki gramatyki. „Epoka rozumu“ rzuciła na skarbiec jego wiedzy nowe światło, cykl nauki przypadkowej zamykał się na dobre. A przy tym próżniacze życie sklepowego musiało ustąpić zwiększonym obowiązkom geometry. Jeszcze więcej niż przed dwoma laty handlowano w tym okręgu ziemią, a gdy Lincoln przybywał z instrumentami do pomiarów, to ludzie oczekiwali od niego jako od polityka ciekawych wiadomości i rozmów, anegdot od znanego opowiadacza, rozstrzygnięć w sporach od uczciwego Abrahama, gdy chodziło o zapasy pięściarskie lub inne sprawy. W taki oto naturalny sposób wzrastała zażyłość między nim a jego wyborcami, więc wybór ponowny był prawdopodobny.

Ale tę drugą walkę przedwyborczą prowadził już inaczej, bo tymczasem stał się politykiem i od innych nauczył się różnych sposobów, umiał stylizować mowy i listy, wspólnie z przyjaciółmi układać odezwy. Przede wszystkim przez zapoznanie się z niezbyt wysokimi sferami Wandalii świadomość jego wzrosła, występował więc zręczniejsz i śmielej niż przed dwoma laty. Ustalał nawet osobiste programy, za co się partia na niego krzywiła, a do redaktora pewnej gazetki pisał, że nie widzi potrzeby zatajania swoich przekonań: „Jestem za tym, aby wszyscy korzystali z opieki rządu, skoro ponoszą ciężary. Wszyscy biali winni korzystać z prawa wyborczego, przy czym kobiety nie powinny stanowić wyjątku. Jeśli zostaną wybrani, to lud Sangamonu uważać będę za swego mandatariusza, bez oglądania się na to, czy ten i ów głosował przeciwko mnie. Wola ludu będzie dla mnie drogowskazem we wszystkich sprawach, co do których głos ogółu się wypowie, w innych sprawach kierować się będę własnym zdaniem i dążyć będę do tego, co mi się wyda najlepszym i najkorzystniejszym dla wszystkich. Czy zostaną wybrani czy nie, jestem za tym, aby publiczne pieniądze pochodzące ze sprzedaży ziemi przydzielane były poszczególnym stanom, abyśmy razem z innymi mogli budować kanały i koleje, nie będąc zmuszonymi pożyczać pieniądze i płacić procenty“.

Ton tych odezwy jest energiczniejszy niż podczas pierwszych wyborów, więc nie opuszcza go też spokój, gdy z założonymi rękami stoi i słucha przemówienia swego przeciwnika, którym jest jakaś wielkość miejscowa w Springfieldzie, występująca przeciwko niemu. Przeciwnikiem tym był zamożny obywatel miasteczka, który ku zdumieniu wszystkich współobywateli kazał założyć pierwszy piorunochron na swoim domu. Lincoln odpiera jego wywody zrazu całkiem rzeczowo, ale

w końcu daje przeciwnikowi odpowiedź i odprawę: „Mówca powiedział o mnie, że ten młody człowiek da się łatwo wyprowadzić w pole... Temu panu się zdaje, że jestem za młody. Zapomina on, że mam bogate doświadczenie życiowe, choć może nie znam się zbyt dobrze na różnych wybiegach polityków. Pragnę żyć, szukam stanowiska, na którym mógłbym się wyróżnić. Ale wolałbym umrzeć, niż doczekać się dnia, w którym jak ten pan zrzekłbym się swoich przekonań dla stanowiska, choćby mi ono dawało trzy tysiące dolarów rocznie, i w którym musiałbym na swoim domu ustawić piorunochron dla zabezpieczenia swego niespokojnego sumienia przed karzącym Bogiem!”

Zdaje się, iż zbudziła się w nim ochota do walki, a jego ironia, która dotychczas była tylko dobroduszną zabawą, staje się teraz ostrą bronią. Jego wrodzone poczucie godności potężnieje w nim tego roku wobec konieczności walczenia i przeradza się w pewność siebie i dumę, ilekroć zostaje zadrażniony. Oto jakiś człowiek zamawia pismo, później dopiero płaci należność poczcie i domaga się pokwitowania. „Dziwi mnie to — odpowiada Lincoln jako poczmistrz. — Prawo żąda przedpłaty gazet, przez cały rok czekałem na należność, a panu przychodzi teraz do głowy, aby mnie obrażać napomknieniami, iż mógłbym może dwukrotnie żądać od pana zapłaty“.

Gdy podczas walki wyborczej jego kontrkandydat wyraża co do Lincolna jakieś podejrzenie, otrzymuje on od niego taką odpowiedź: „Dowiaduję się, że w nieobecności mojej chełpił się pan posiadaniem jakichś faktów, które gdyby wyszły na jaw, to Edwardsa i moje widoki w tej kampanii wyborczej zostałyby całkowicie unicestwione, i dlatego tylko przez wzgląd na nas zachowuje pan milczenie. Nikt bardziej ode mnie nie pragnie życzliwości bliźnich i mało kto przyjmował jej dowody

skwapliwiej ode mnie. Ale w tym wypadku życzliwość pańska byłaby niesprawiedliwością wobec obywateli i dlatego przepraszam pana, iż z pańskiej życzliwości nie skorzystam. Że zawsze posiadałem zaufanie współobywateli, o tym wszyscy wiedzą, a jeśli świadomie czy nieświadomie dopuściłem się czegoś, co wymaga tylko ujawnienia, aby mnie pozbawić tego zaufania, to ten, co przemilcza takie fakty, musi być uważany za zdrajcę kraju i jego pomyślności. O fackie czy o faktach, o jakich pan mówi, rzeczywistych czy domniemanych, nie umiem sobie wytworzyć najmniejszego pojęcia. Ale moje przekonanie o pańskiej prawdomówności nie pozwala mi wątpić, iż pan wierzy w to, co pan mówi. Osobiste względy pańskie pochlebiają mi bardzo, ale mam nadzieję, że po gruntownym namyśle da pan pierwszeństwo interesom publicznym przed prywatnymi i zaryzykuje pan nawet rzecz najgorszą, jaka by mnie spotkać mogła. Publiczne ujawnienie tego faktu, o którym pan mówi, nie zdoła, zapewniam pana, zachwiać przyjaźni, jaka mnie z panem łączy. Oczekuję na ten list odpowiedzi od pana i pozostawiam do pańskiego uznania sprawę opublikowania obu listów“.

Tu mamy do czynienia z Lincolnem jako ujawniającym się mistrzem-stylistą. Że pod względem moralnym czuje się on zupełnie pewny siebie, to nie ulega wątpliwości, bo nie na próżno nazywa się przecież uczciwym Abrahamem, a że podstępna intrygę przeciwników przejrzał na wylot, to zgoła pewne. Cóż więc szkodziłoby mu wyzwąć przeciwnika ostrymi słowy? Takt przyjaciela i taktyka polityka. Przeocząc sprawę obrazy, może tym mocniej podkreślić swoją dbałość o dobro ogółu i podporządkowanie mu spraw własnych, że zaś nie gardzi życzliwością współobywateli, lecz raczej zabiega o nią, to podkreśla jego skromność. Podczas więc



gdy adresat przy czytaniu tego listu, trapiiony niemiłymi uczuciami, zagryza wargi, ostatnie słowa uderzają w niego niby grom: „Oczekuję, że...“ Wszystko to na tle walki wyborczej jest zaiste bardzo pożądanym zdarzeniem, bo jeśli przeciwnik listu tego nie opublikuje, to Lincoln potrafi sam się o to postarać, a dzięki milczeniu przeciwnika musi się podnieść zaufanie do niego. Tak wytwornie paruje ciosy wymierzone przeciwko swemu honorowi.

Jeśli zaś przeciwnik jego jest uprzejmy i na pojedynek oratorski zabiera go do swego powozu, gdy udaje się do sąsiedniego miasta, to Lincoln kończy swą mowę tak: „Jestem zbyt ubogi, aby trzymać powóz; mój przeciwnik podwiózł mnie tutaj. Chciałbym, żebyście wybrali mnie, ale jeśli nie chcecie mnie, to wybierajcie mego przeciwnika, bo powiadam wam, że to setny chłop“.

Wreszcie wigowie wkraczają do nowego parlamentu z wielkim hałasem i od razu jest ich sześciu chłopów „jak tyki chmielowe“, którzy z miejsca rozpoczynają dość awanturniczą politykę finansową. Lincoln zachowuje się zresztą zawsze jak „dziki“, bo do komisji wybiera nie partię własną, ale zawsze zdolnego człowieka. Z powodu całej swojej przeszłości i swej natury nie może się w parlamencie czuć jako fachowiec i wypowiada to całkiem otwarcie w jednej z mów: „Widzę tylko sprawę polityków, to jest sprawę grupy ludzi, którzy prócz interesów ludu mają jeszcze swoje własne interesy i przynajmniej jako grupa oddalają się o krok od ludzi uczciwych“. Jest to tylko zwrot formalny, gdyż zaraz dodaje, że sam jest także politykiem i nikogo obrazić nie zamierza, ale w rzeczywistości może tak przemawiać tylko człowiek, który uważa się za innego niż koledzy siedzący przy nim na ławach poselskich. Nie jest to pcha, ale z pewnością jest to świadomość uczciwych za-

miarów, podczas gdy wszyscy oni ukrywają prawdziwe zamiary za pięknymi frazesami.

Oczywiście zna on świat, nędzę i wartość pieniędzy, a gdy zostaje wybrany, to oblicza własne korzyści, jak każdy rozsądny człowiek, ale nigdy dla własnej korzyści nie doradzałby i nie popierałby czegoś niewłaściwego. Ta niepodkupność jego charakteru znajduje poparcie w rysach zasadniczych jego istoty. Jest on taki, jakim być musi. Ponieważ bowiem platoniczna natura Lincolna w każdej sprawie dostrzega dwie strony, uważa on za zgoła naturalne, że wyrównywanie przeciwieństw jest koniecznością. Wyrównywań takich nie potrzebuje bronić przed samym sobą i dlatego nie ma on żadnych niejasnych motywów, które by się przed innymi ukrywać musiały. Oto przykład:

Z pewną grupą przyjaciół zabiega Lincoln o to, aby parlament stanu z nędznej Wandalii został przeniesiony do większego miasta Springfield, formalnej stolicy. Handel, drogi, sądy, cały rozwój młodego stanu wskazują na to. Jednocześnie jest on tu zainteresowany osobiście, bo czuje, że czasy wsi minęły bezpowrotnie. Potrzebuje szerszych kół i pragnie połączyć z nimi swoją działalność polityczną. Inni natomiast związani są swymi interesami z Wandalią. Trzecia grupa, od której głosów zależy rozstrzygnięcie, gotowa jest głosować za przeniesieniem parlamentu tylko wtedy, jeśli ta grupa, której ma oddać swoje głosy, poprze sprawę, jaka leży jej na sercu. W tej pokusie odzywa się czysty głos Lincolna: „Możecie ciało moje spalić, a popioły rozrzucić na wietrze. Możecie duszę moją wygnać w mroki rozpacz i wiecznie ją dręczyć. Ale nikt nie skłoni mnie do tego, abym głosował za sprawą, którą uważam za złą, a to jedynie dlatego, iż przez to mógłbym służyć sprawie, którą uważam za dobrą“.

W zdaniu tym zawarte są wszystkie pierwiastki jego mowy: patos i logika, niepodkupność i szczerść. I to są właśnie pierwiastki, które w owym czasie i w owym kraju były drogą ku powodzeniu. Lincoln zdołał przeprowadzić sprawę przeniesienia parlamentu.

A jednak podstawowy ton moralny jego istoty nie doprowadził nigdzie do wzbudzenia względem niego nieufności wyborców. Przed taką możliwością zabezpiecza go prostota. Gdy ludzie siedzą w gospodzie, on zaś zaczyna opowiadać swoje anegdoty, wszyscy się śmieją; gdy bywa zmęczony, prosi kogoś, żeby zagrał na skrzypcach, a sam siedzi w kącie i słucha, bo muzyka zdaje się zawsze wpływać nań kojąco. A po upływie godziny robi się w gospodzie wesoło jak się patrzy, bo Douglas tańczy z rębajłą Shielsem kankana na stole. Oczywiście, za porcelanę, którą przy tej sposobności potłuka, muszą zapłacić. Podczas takich wybuchów wesołości Lincoln milczy; nie pija wódki i nigdy nie tańczyłby na stole kankana, jak ci panowie z wyższych sfer społeczeństwa. Ale w duchu czuje przewagę nad nimi i jego pewność siebie wzrasta, bo już teraz wypowiada się do jednego z przyjaciół, że pragnie zostać reformatorem Illinois.

#### XIV

„Lincoln miał o kobiecie wysokie mniemanie. Mogę zaświadczyć, że w ciągu długiej z nim znajomości nigdy nie usłyszałem z jego ust słowa obrażającego jakąś kobietę i nigdy Lincoln nie zrobił rubasznej uwagi o niewiastach w ogóle, jak to mężczyźni na ogół czynią. Czuł wielki pociąg do kobiet i nie umiał bez nich żyć, a jednak ku czci jego muszę powiedzieć, że wiódł życie czyste. «Kobieta — mówił — posiada nie mniej i nie więcej

praw od mężczyzny do przekraczania przepisów wierności małżeńskiej», ale jego poczucie lojalności zabraniało mu włamać się w czyjekolwiek życie małżeńskie. W późniejszym życiu widywałem go nieraz walczącego z pokusą, ale i wówczas umiał powściągnąć się od zbliżenia z kobietami“.

Z tych kilku ostrożnych zdań, które późniejsze życie całkowicie potwierdza, wyziera już część dylematu, w jaki uwikłał się Lincoln w swoim stosunku do kobiet. Jego samotna natura pełna tajemnego liryzmu potrzebowała kobiet, ale jego subtelność i wrodzona nieśmiałość powstrzymywały go od zbyt realnych stosunków z nimi. Ponieważ brakło mu w tym względzie przedsiębiorczości, więc zwracał na siebie uwagę kobiet zaczepnych, które odwracają role i chętnie zbliżają się do takich dziwacznych mężczyzn. Do serca jego przemówił niegdyś delikatny głos pięknej dziewczyny, ale odważył się zbliżyć do niej dopiero po latach czekania, aż stała się wolna od słowa danego innemu. Zbliżył się do swej ukochanej dopiero gdy była opuszczona i smutna. Ta jedyna umarła. Teraz, po roku, ukazała mu się druga.

W Nowym Salemie, gdzie spędzał czas wolny od posiedzeń parlamentu, bywał w domu pewnej młodej niewiasty; opowiadała ona często o swojej siostrze. Rodzinę tę znał dzięki swemu nauczycielowi gramatyki, który był z nią spokrewniony. Siostrę swojej znajomej widywał dawniej podczas jej odwiedzin i teraz pół żartem, pół serio dał się namówić do starania się o nią, gdy przybędzie ona niebawem do Nowego Salemu w gościnę. „Oczywiście, propozycję przyjąłem, bo cóż miałem zrobić? Prawdę powiedziawszy byłem zadowolony z tego planu. Przed trzema laty siostra ta wydała mi się mądrą i miłą, nie miałem więc nic przeciwko temu, aby się



z nią połączyć na całe życie“. Tak zaczęła się ta sprawa: dwie niewiasty zmówiły się, aby wydać za mąż pannę, która zbyt długo czekała na małżeństwo. Była bowiem starsza od swego wybrańca, zaś niewiasty były zdania, iż jest ona bardziej wykształcona i bogatsza od młodego geometry. Tymczasem on, nieśmiały jak zawsze, szczególnie po przeżyciach ostatniego roku, zgodził się na wszystko, „bo cóż miałem zrobić?“

Mary Ownes przybywa, ale wtedy w Lincolnie budzi się niepokój. „Tak szybkie przybycie zdawało mi się wyrażać nadmierną skwapliwość. Ale może jej siostra nic jej nie powiedziała. Postanowiłem więc nie zastanawiać się nad tym szczegółem dalej, o ile nie zdarzy się nic osobliwego. Po kilku dniach spotkaliśmy się z sobą, ale jakże inaczej wyglądała teraz! Że była to osoba nadnaturalnej wielkości, o tym wiedziałem, ale teraz zdawała mi się pasować tylko na żonę Falstaffa. Nazywano ją starą panną, o tym wiedziałem również, co zaś do jednej połowy tego określenia, nie było żadnej wątpliwości. Patrząc na nią, nie mogłem nie przyrównywać jej do swojej matki, lecz bynajmniej nie z powodu zwiędłych rysów, gdyż skóra jej była zbyt tłusta, aby się na niej mogły tworzyć zmarszczki, lecz z powodu braku zębów. Zastanawiałem się nad tym, czy ta wielka niewiasta mogła urósć w czasie krótszym niż 35—40 lat. Jednym słowem, zachwycony nie byłem.

Lecz cóż miałem czynić? Siostrze jej powiedziałem, że się z nią ożenię tak czy owak, więc sprawa ta stała się dla mnie sprawą honoru i sumienia, tym bardziej zaś należało dotrzymać słowa, że chodziło w tym wypadku wszak nie tylko o mnie samego, lecz i o innych. Byłem święcie przekonany, że żaden mężczyzna na całym świecie nie zechciałby jej wziąć za żonę, i dlatego miałem pewność, iż mnie nie puści. Tak myślałem i po-

wiedziałem sobie: nie dopuszczę się tego, iż miałbym nie dotrzymać słowa. Zacząłem natychmiast wyobrażać ją sobie jako swoją żonę i czyniłem największe wysiłki, aby odkryć w niej jakieś doskonałości, które można by przeciwstawić jej brakom. Próbowałem wyobrażać sobie, że wygląda ona dobrze, i rzeczywiście, pominąwszy jej korpulencję, wyglądała istotnie dobrze. Poza tym wyjątkiem nie widziałem nigdy kobiety o piękniejszych rysach. Starałem się też wmówić w siebie, że jej stronie duchowej należy się ocena wyższa, bo pod względem umysłowym przewyższała wszystkie kobiety“.

Zakłopotanie Lincolna jest tu wielkie i tym przykrzejsze, iż źródłem tego zakłopotania są jedynie jego dobre przymioty. Co zaś do humoru, który się tu przebija, to zapewne odżył on w nim dopiero po pokonaniu tego kryzysu, to jest w dwa lata później, gdy opis tego zdarzenia przesyłał swojej przyjaciółce. Na razie wszystko jest w zawieszeniu; Lincoln wyjeżdża na posiedzenie parlamentu, liczy na jakiś nieoczekiwany przypadek, ale gdy wraca, widzi, że nic się nie zmieniło. Wyczekując i milcząc, siedzi olbrzymia niewiasta wciąż jeszcze przy stole swojej siostry i pije herbatę. Razem z jego nowymi planami życiowymi, które miały go stąd wyprowadzić na szerszy świat, wzrastał jego niepokój. Przygnębienie, w jakim wyciągnięto z niego półprzrzeczenie, czy ćwierćprzrzeczenie, minęło, a nic takiego nie widać, co mogłoby tych dwoje ludzi zbliżyć do siebie. Cała jałowość takiego związku musiała się stać jasna także dla obydwóch sióstr. On zaś, zamiast wykorzystać okazję zmiany miejsca pobytu, stoi wytrwale na posterunku.

„W ciągu tego całego czasu, jakkolwiek byłem zdecydowany niezłomnie, jak skała stawiająca czoło burzliwym falom, wytrwać przy swojej obietnicy, jakoś nie mogłem przestać żałować swej płochości. Przez całe

życie dotychczasowe byłem zupełnie wolny, a przynajmniej wyobrażałem sobie, że nim jestem... Po moim powrocie nie widziałem żadnej drogi odwrotu i zmiany myśli: pozostały one takie same, jak dawniej, i ja też. Teraz zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób trzeba będzie żyć dalej... i w jaki sposób oddalić ów dzień fatalny, w którym trzeba będzie schylić kark pod jarzmem. Bałem się jak Irlandczyk“.

Szczęście, że on zaczyna się jej nie podobać w różnych drobiazgach: brak mu na przykład akuracności, która właśnie jest podstawą szczęścia kobiecego. Skarży się na to dobrze wychowana stara panna, a gdy pewnego razu w towarzystwie znajomych udają się konno w sąsiedztwo i gdy wszyscy mężczyźni pomagają swoim towarzyszkom przy zsiadaniu z koni, tylko on nie pomaga swojej, ta karci go za to, lecz on jej odpowiada: „Oho, jest pani dość sprytna, da pani sobie sama radę!“ Gdy Lincoln wyciąga z błota świnię i niszczy sobie marynarkę, ona nazywa go sentymentalnym, a gdy nie zgadza się dźwigać dzieciaka jakiejś kobiety idącej pod górę, nazywa go brutalem. W taki sposób mnożą się szczęśliwie nieporozumienia, a gdy po paru tygodniach powraca z pomiarów ziemi, nadąsana narzeczona każe mu zrazu powiedzieć, że jej nie ma w domu.

Wreszcie po pięciu latach ospałego życia budzi się ruch w tym życiu. Parlament przenosi się do Springfield, co właśnie on sam zdołał przeprowadzić, i oto teraz odważa się na krok, do którego przygotowywał się już dawno. W Springfield postanawia osiąść jako adwokat. Nie potrzeba na to egzaminów, lecz jedynie formalnego zezwolenia, a Lincoln w ciągu paru ostatnich lat nauczył się z pożyczanych książek daleko więcej, niż umiał tu niejeden z tych, co się nazywali prawnikami. Czuje on, że w tej dziedzinie ważniejszą

jest rzeczą znajomość ludzi i doświadczenie życia powszedniego niż kilka pojęć prawniczych, które niesie z sobą praktyka i które poznać nie tak trudno. Czyż nie znają go wszyscy, bliżsi i dalsi? Czyż jako geometra i poczmistrz, jako sklepowy i robotnik, a wreszcie jako kandydat na posła nie dał się poznać połowie stanu Illinois? Jako poseł nauczył się przemawiać, jako urzędnik poznał kraj i ludzi, wreszcie wzrosła w nim pewność siebie i odwaga do podjęcia śmiałej próby. Jeśli mu się nie uda, to przecież dużo jest na świecie takich, którym nie wszystko się udawało.

Uboższy jest bardziej niż kiedykolwiek, ale żeby się miał z bogacić przez ożenek, o tym przy prawości swego serca nawet myśleć nie chce. Tak więc na pożyczonym koniu jedzie dwudziestoosmioletni Lincoln w nowe życie z siedmioma dolarami w kieszeni, a za sobą pozostawia przeszło tysiąc dolarów długów i półnarzeczoną, której nie cierpi.



*Księga druga* / OBYWATEL



## I

Springfield już przed dziewięćdziesięciu laty było miastem jak się patrzy. Przy ludności liczącej 1 500 mieszkańców i przy czterech zajazdach nie miało ono żadnego konkurenta w Illinois i mogło z wysoka spoglądać na powstające w owym czasie Chicago, które miało wprawdzie taką samą liczbę mieszkańców, ale nie miało w swoich murach parlamentu. A to było nie byle co, bo w Springfield były już dawniej sądy i urzędy centralne, a teraz przybywał jeszcze parlament podnoszący ogromnie znaczenie młodego miasta. Było tak jakoś, jakby tu na daleki Zachód przywiewały wiatry atmosferę stołecznego Waszyngtonu. Pewność siebie posłów, niepomiernie przecenianych przez obywateli, wzrastała tu ogromnie. Tworzyło się tu nowe społeczeństwo, bogatsi obywatele mieli domy murowane, przybywali bowiem z Południa i próbowali zaprowadzać tu wielkopańskie maniery, chociaż i bez niewolników. Pokpiwano sobie z nich i śpiewano o nich uliczne piosenki:

„Stuarty, Toddsy i Edwardsy są między nami

Ze służbą, z psami i z klechami!”

Ale z tego wszystkiego nie można było jeszcze zrobić miasta światowego, bo żaden porządny pionier nie da się tak łatwo przekonać, że miasto może mu zakazać pędzenia świń środkiem ulic głównych, gdy idzie na targ. Władzom miejskim nie pozostało tedy nic innego, jak tylko złagodzić taki zakaz w tym sensie, że przez miasto nie wolno pędzić świń bez kolców w ryju. W ten sposób

czyniło się zadość wymaganiom bogaczy z Południa, zadającym wielkiego szyku, i nie obrażało się innych obywateli. Panowie posłowie też się daremnie uskarżali na nadmiar dziczyzny i kuropatw w jądłospisach. W swoim długoletnim życiu farmerskim i łowieckim byli dziczyzną przesyleni, a tutaj mieli przecież prawo do codziennej pieczeni cywilizacyjnej, bo i na cóż otrzymywało się ostatecznie diety zapracowane w służbie społecznej? Pierwsze, co nowa stolica uczyniła dla nich, a oni dla niej, był wielki bal; wśród tych, co na ten bal uroczyście zapraszali, był podpisany Lincoln. Nie mógł on nawet przeczuwać, jakie skutki dla całego jego życia wynikną z tego pierwszego spotkania między społeczeństwem a jego posłami.

Jako człowiek ubogi poszedł zaraz pierwszego dnia do jednego z towarzyszy broni, który miał w mieście niewielki sklepik, i poprosił go o łóżko dla siebie, obiecując zapłacić za nie później. Speed był człowiekiem miękkiego serca, a to, że jego kobiecą twarz obrastała jasna długa broda, czyniło z niego zjawisko zgoła wyjątkowe wśród twardych i smagłych głów tych kół. Był to nieśmiały marzyciel, podobny do Lincoln, ale przyzwyczajony do wygodniejszego życia, bo pochodził z rodziny zamożnej, i był też bardziej zmysłowy, chociaż nie posiadał sił fizycznych i duchowych, które tamtemu zapewniały w świecie pewność siebie i godność. W każdym razie był to zacny chłop, bo uboższego towarzysza przyjął natychmiast, postawił dla niego łóżko w pokoiku za sklepem, gdzie niebawem znalazły się jeszcze dwa łóżka i gdzie przez długi czas mieszkało razem czworo ludzi. Na razie układa Lincoln swój tobołek na ziemi i oświadcza: „Tak, mój Speedzie, więc się tu sprowadziłem!“



Oblady spożywa pod „Długą Dziewiątką“, czyli u Butlera, starego znajomego, który traktuje go najczęściej jako gościa. Bowiem diety otrzymuje Lincoln tylko podczas obrad parlamentarnych, bo poczmistrzem i geometrą zarazem mógł być tylko w Nowym Salemie, a przy tym trzeba było jeszcze stale spłacać długi. Musiał więc szukać pośpiesznie nowych dochodów i już po trzech tygodniach łączy się ze znanym w mieście adwokatem, który zna Lincolna z partii. Stuart, ów adwokat, już dawniej pożyczał Lincolnowi książki prawnicze, a teraz kandydował do Kongresu w Waszyngtonie i potrzebował w domu zastępcy. Miał zaufanie do zdolności krasomówczych i rozumu Lincolna, chociaż wiedział, że jego znajomość prawa jest niedostateczna. Decyduje się tedy szybko, a ponieważ w Nowym Salemie już dawno znikł szylc „Berry i Lincoln“, może się teraz na głównej ulicy miasta Springfield, a nawet w gmachu sądowym, pojawić tablica nowa: „Stuart i Lincoln“. Utrzyma się ona przez cztery lata.

Nieduża izba, szafa, stół i kilka krzeseł, dużo papierów i jeszcze więcej kurzu — oto kancelaria, w której prześiadywać będzie nasz długonogi znajomy; dotychczas zawsze przebywał on wśród ludzi i na świeżym powietrzu, często zmieniał zajęcie, pracując rękami i głową, a każdego bodaj ranka był całkiem wolny i mógł sobie dzień układać, jak mu się podobało. Dla tego biednego, ale wolnego człowieka to nowe zajęcie będzie ciężką i twardą próbą. Takie a takie akta musi regularnie przepisywać, punktualnie stawać na rozprawach sądowych, zaskarżać ludzi o pieniądze. Z wolnego Cygana ma się stać biurokratą. Czy stanie się nim naprawdę? Tylko na poły, a powołanie swoje przystosuje do swego charakteru.

Zrazu wszystko jest łatwe i nudne, bo doświadczony Stuart jako szef zachowuje dla siebie sprawy ciekawsze, niedoświadczonemu wspólnikowi przekazując tylko sprawy bieżące i błahe: Lincoln bywa więc zastępcą prawnym ludzi, którzy mają spory z powodu kupna—sprzedaży ziemi, czyli że są to sprawy, jakie umie rozstrzygnąć każdy geometra, albo też broni ludzi procesujących się o parę wołów czy nawet o piecyk żelazny. Ale niebawem pewna sprawa zyskuje młodemu adwokatowi rozgłos, i to w sposób zgoła osobliwy. Bo Lincoln nigdy nie odczuwał specyficznej uciechy prawników, nie pociągała go powikłana logika ustaw i zręczne manewrowanie paragrafami, ale z powołaniem adwokackim łączyło go jedynie głębokie poczucie sprawiedliwości i współczucie dla pokrzywdzonych. Walkę z korupcją, którą poznał był dostatecznie w życiu politycznym, przenosi z istną pasją w powszednie życie obywatelskie. Z niesprawiedliwości tego życia zrodziło się właśnie jego uczucie.

Oto przybyła do miasta pewna wdowa, aby objąć spadek po mężu, dziesięć akrów gruntu w pobliżu. Tymczasem ziemię tę wziął w posiadanie jakiś stary generał. Stuart i Lincoln, którzy podjęli się obrony wdowy, spostrzegli, że generał sfałszował jakieś nazwisko. Przybył on tu ze Wschodu, starał się o urząd i pragnął zostać sędzią pokoju. Gdy zauważył, że fałszerstwo wyszło na jaw, oświadczył, iż jacyś źli ludzie wsunęli sfałszowany dokument między jego papiery z zamiarem zaszkodzenia mu. Lincoln się zapala. Na kilka dni przed wyborami sędziego pokoju każe po mieście porozrzucić anonimowe ulotki, w których historia fałszerstwa opowiedziana jest szczegółowo. Opowieść ta kończy się słowami: „Sprawę tę opowiedziałem tylko dlatego, ponieważ zaliczony zostałem między tych, którzy jakoby mieli

dokument sfałszować i rozmyślnie wsunąć między papiery generała, i ponieważ milczenie moje mogłoby być uważane za przyznanie się. Imienia mego nie podaję, ale upoważniam redaktora gazety, aby wymienił je każdemu, kto by się o nie pytał“.

Pomimo to generał zostaje wybrany na sędziego, imię Lincolna jako autora ulotki jest na ustach wszystkich i zaczepiony generał rzuca się teraz na swego przeciwnika: „Ten człowiek nie ma żadnego wychowania... Gdy przybył między nas, próbował narzucić się nam jako adwokat i doprowadził istotnie do tego, że jakiś morderca szukał u niego obrony. obrońca dostał należne mu wynagrodzenie, ale broniony został powieszony“. Lincoln odpowiedział: „Wszystko to jest fałsz ohydny jak piekło. Muszę bronić także swego charakteru, ale żebrać nie będę. Do widzenia, panie generale. W sądzie spotkamy się niebawem, a wtedy pogadamy o tym, czy ziemia należy do pana czy do wdowy“. Sprawę sądową wygrywa Lincoln na rzecz wdowy, zdobywa popularność i staje się odtąd biczem i postrachem dla wszystkich faryzeuszów.

## II

W gruncie rzeczy dwudziestoosmioletniemu adwokatowi nie brakło niczego prócz pieniędzy, lecz o pieniądze się nie ubiegał. Udało mu się już bardzo wiele: został kierownikiem partii politycznej, współnikiem wyborczego adwokata, współpracownikiem i inspiratorem gazety, ulubieńcem miasteczka, bo wszyscy wiedzą, że to on przeprowadził tutaj parlament. Jednocześnie uczy się wielu ciekawych rzeczy w nowych warunkach życiowych, pokonywa przeciwników w zapasach sportowych i jest opowiadaczem, którego wszyscy lubią słuchać.

Najprzyjemniej jest mu, gdy może siedzieć w sklepiku Speeda i filozofować. Spotyka tam mądrego Browninga i światowca Bakera, Stuarta, który zawsze znajdzie dość czasu, aby posłuchać Lincolna, oraz duchownego, Thomasa, a wszyscy oni siedzą na ladzie i na skrzyniach i słuchają, podczas gdy Speed krząta się po sklepie i zajmuje się swoimi czynnościami. Czasem przychodzi także Douglas, giętki demokrat, który łatwo się z każdym zgadza. Ci młodzi ludzie więcej mają czasu i siły, niż wymaga tego od nich małe miasteczko, więc zajmują się polityką i administracją, namiętnie czytują gazety i są przekonani, że w Waszyngtonie poczynaliby sobie daleko roztropniej od innych. Do tego towarzysstwa nie trzeba Lincolna wciągać przemocą, gdyż lubi on posiedzieć i pofilozofować, a opowiadanie historyjek jest dla niego zajęciem miłszym, niżli robienie uwag na marginesie nudnych akt. Niebawem sklep Speeda staje się czymś w rodzaju izby debat. Nie przeszkadzają tu kobiety, bo przyjaźń możliwa jest tylko między mężczyznami. Tutaj odczytuje się krytyki i próby pióra, Lincoln wygłasza tu swoje własne wiersze, na przykład o cnocie niewieściej i o uwodzicielskich sztuczkach mężczyzn. Jeden z tych wierszy kończy się na przykład tak:

„Więc choćby cały wielki świat  
Dziewczęta biedne winił,  
To nie upadnie żadna z nich,  
By chłop się nie przyczynił“.

Oto są nastroje, w jakich przyjemniej jest bronić aktorów, niż stawać przed sądem w sprawach agentów od sprzedaży ziemi. Toteż staje on w obronie wędrownego trupy aktorskiej, której purytanie nie pozwolili urządzić w mieście przedstawienia, i w sądzie broni aktorów bezinteresownie, a z takim humorem, przypominając nawet o wozie Tespisa, że zyskuje zgodę



na przedstawienie. Ale tym wystąpieniem zakreśla on nowe koło swojej działalności: zaczynają go pomawiać o bezbożność.

Bo w tych dalekich koloniach i w owych czasach sprawy moralne rozpatrywano w ścisłej łączności ze sprawami życia praktycznego, a zaciętość wobec Południa mogła zasady moralne tylko spotęgować. Czyż nie groziła wojna domowa co lat kilka? Właśnie niedawno van Buren, nowy przyjaciel Południa, zgłosił weto przeciwko wszelkim próbom wprowadzenia ustawy wrogiej niewolnictwu. I znowu jedna z partii w Południowej Karolinie proponowała ogłosić Unię za rozwiązaną. Wzburzenie jest wielkie. W St. Louis schwytano jakiegoś Mulata i spalono, jednego z czołowych bojowników emancypacji zamordowano; toteż wołanie o wyzwolenie rozlega się na nowo na Północy i na Zachodzie. Stosunki stały się tak dalece niepewne, że pewien zaniepokojony ojciec wyprawia syna na Zachód, aby go zabezpieczyć przed fanatykami, którzy chcą się mścić na nim za jego życzliwość dla niewolników. Młodzieniec ten to dziewiętnastoletni Herndou, który niebawem staje się uczniem, wielbicielem, a wkrótce i współlokatorem Lincolna. Znamienne związki życiowe zawiera się w tych czasach pod znakiem walki przeciwko niewolnictwu.

Wtedy to Lincoln wygłosił swoją pierwszą wielką mowę w pewnego rodzaju liceum założonym specjalnie dla politycznego wychowania młodzieży. Mówił on „O naprawie naszych wolnych urządzeń“ i do mowy tej starannie się przygotował. „Z zewnątrz nikt nam nic uczynić nie może. Wszystkie armie Europy, Azji i Afryki razem wzięte, choćby z Bonapartem na czele, nawet w ciągu tysiąca lat nie mogą nam zabrać ani kropli wody z Ohio... Tylko wśród nas samych może się dla

nas zrodzić niebezpieczeństwo... Jako naród z ludzi wolnych złożony, musimy żyć wiecznie lub zginąć śmiercią samobójczą... Mówię tu o wzrastającym nieposzanowaniu prawa, które naszemu krajowi zagraża". Tu zaczyna mówić o mordercy zabitego Mulata:

„Oto są skutki samosądów masowych. Takie sceny mnożą się w kraju, który dopiero dawał się poznać jako ostoja pokoju i ładu... Co przeciwko temu uczynić należy? Odpowiedź jest prosta: Wezwijcie każdego Amerykanina, każdego przyjaciela wolności, który wierzy w przyszłość kraju, aby na krew przelaną w rewolucji przysiągł, iż nigdy w najdrobniejszej mierze nie dopuści się wykroczeń przeciwko prawom kraju i u innych takich wykroczeń nie ścierpi. Wzorem stanów każdy Amerykanin winien teraz dążyć tylko do utrzymania konstytucji i szanowania ustaw, nie szczędząc mienia i honoru... Nauczajmy tego w szkołach i na uniwersytetach, piszmy o tym w czytankach, powieściach i kalendarzach, jednym słowem, podnieśmy do zasad religijnych w całym narodzie, aby ustawy, nawet złe, były przestrzegane, dopóki nie uchwalono lepszych!... Dość się znajdzie znakomitych i dzielnych ludzi, których ambicje zmierzają tylko ku fotelom Kongresu, ku udziałowi w rządzie lub nawet ku stanowisku prezydenta. Ale tacy nie należą do pokolenia lwów i do rodziny orłów. Bo jakże? Czyliż mniemacie, że takie stanowiska byłyby wystarczyły takim ludziom, jak Cezar lub Napoleon? Prawdziwy geniusz nigdy nie chadza ścieżkami przez innych wydeptanymi. Dotychczas namiętność bywała dla nas błogosławieństwem, ale już nim nie jest, teraz staje się ona wrogiem naszym. Przyszłość naszą musi teraz opanować chłodny rozum, skrupulatnie wszystko obliczający!“

Ten kwiecisty i wzniosły ton jest czymś obcym w ustach Lincolna. W ciasnym środowisku niewielkiego miasta, przy blasku kopających świec, mąż zwracający się do młodzieży podnosi głos i wygłasza zdania skrupulatnie ułożone w takim stylu, w jakim głowa państwa w chwili groźnego niebezpieczeństwa zwracałaby się do obywateli albo w jakim przemawiają niektórzy kaznodzieje. I być może, że kiedyś tak samo przemawiać będzie głowa państwa. Ale nikt, a już najmniej sam mówca, niczego podobnego nie przeczuwa, ćwiczy jedynie siłę głosu i huczy wśród czterech ścian niby wielkie organy zamknięte w zbyt małej przestrzeni. Chwilami w mowie tej jaśnieją obrazy niby żywe świadectwo ambitnej wyobraźni, która sięga do wielkości dawnych czasów i z wielkim naciskiem miesza dyktaturę z dobrem powszechnym, rozumem i panowaniem jego nad namiętnościami. Z polotem, który u Lincolna tylko z rzadka się pojawia, odsłania on tajemne głębie swej duszy, które tak starannie ukrywa przed własnym i cudzym spojrzeniem ironizujący opowiadacz anegdot.

A jednak słowo rozum znalazło się na końcu jego napomnień nieprzypadkowo. Znojna młodość, trudności przy zdobywaniu wykształcenia, bardzo powolne posuwanie się naprzód, poznanie lenistwa serca ludzkiego — wszystko to prowadzi go ku temu, aby w dążeniu ku najlepszym celom postępować metodycznie i praktycznie.

Jeśli nad takim rozumem czuwać będzie nieustannie badawcze i porównywające oko, które jednym spojrzeniem obejmuje blaski i cienie, jeśli karmiony on będzie sercem, które ku sprawiedliwości dąży nawet przez wyrzeczenie, to i w sprawie niewolnictwa musi on postępować bardzo ostrożnie.

Lincoln spostrzega, że bezwzględni emancypatorzy niewolników Nowej Anglii, ku którym pociąga go serce, uprawiają politykę niebezpieczną, i nie przyłącza się nawet do tych, którzy domagają się od rządu prostej deklaracji, że w granicach Unii już się nikt niewolnikiem nie urodzi. Jego umiarkowane stanowisko ujawnia się najwyraźniej w proteście, który w owym czasie skierował do swojej partii parlamentarnej.

„Jesteśmy przekonani, że niewolnictwo opiera się tak samo na niesprawiedliwości, jak i na zasadach, które dla dobra powszechnego są niebezpieczne, ale wiemy, że prosta i bezwzględna teoria emancypacyjna może się raczej przyczynić do pogorszenia zła niż do złagodzenia go. Zdaniem naszym Kongres nie jest kompetentny, aby mógł zabierać głos w sprawach poszczególnych stanów. W Kolumbii (która znajduje się pod bezpośrednim zarządem Unii) Kongres ma prawo skasować niewolnictwo, ale z prawa swego winien korzystać tylko za zgodą ludności“.

To stanowisko pośrednie zajęte przez Lincolna na zasadzie jego doświadczeń zdobytych na Południu, na zasadzie historii i obecnego ustosunkowania sił odpowiada temu, co jego mistrz Jefferson napisał był przed półwieczem: „Nikt goręcej ode mnie nie pragnie doczekać się dowodów, że przyroda udzieliła naszym czarnym braciom tych samych talentów, jakimi wyposażyła białych, i że pozorny brak tych darów należy przypisać jedynie ich nieszczęśliwemu położeniu w Afryce i Ameryce. Nikt żywiej ode mnie nie pragnie takiego dobrego systemu, który by ich podniósł pod względem duchowym i fizycznym, a który dałby się zastosować, jak tylko brzemień ich obecnej sytuacji i inne okoliczności na to pozwolą“.



Jak dalece sformułowania Lincolna pełne były umiaru, o tym świadczy samo Południe, które wypowiedziało się wtedy, że w Illinois ludzie należący do partii Claya są całkiem rozsądni. Jak bardzo byli rozsądni i jak groźnymi stali się później, o tym przekonało się Południe w następstwie. Ci umiarkowani byli największymi jego wrogami.

W kościele i w sali sądowej, która wieczorami służy obywatelom za miejsce zgromadzeń, sprawy te omawiane bywają w dalszym ciągu, a gdy Lincolnowi nudzi się w kancelarii, to przez lukę w podłodze może się przysłuchiwać, o czym mówią na dole. Pewnego razu, gdy leży sobie w kancelarii na ulubionej sofie, słyszy, że nagle powstaje wielki hałas, bo jeden z jego przyjaciół zaczął odsłaniać korupcję szerzącą się wśród demokratów. Raptem zgromadzeni widzą w luce powały parę długich zwisających nóg, jakiś człowiek spuszcza się na salę, śpieszy na estradę i woła: „Hola! Tutaj panuje wolność słowa! Pan Baker ma prawo wypowiedzieć się! Należy go wysłuchać! Przychodzę tu, aby mu pomóc!“ Innym razem, gdy wigowie w parlamencie zaskoczeni zostali głosowaniem, którego uniknąć mogli jedynie przez nieobecność, Lincoln jako pierwszy wyskakuje z zamkniętej sali oknem i tym skokiem i swawolą ratuje sytuację.

Lecz rękami i nogami umie on nie tylko bronić swej sprawy; potrafi on także unicestwiać przeciwników. Pewnego razu naśladował na estradzie tak doskonale proboszcza Thomasa, że cała sala ryczała ze śmiechu, a proboszcz wybuchnął płaczem. Za to „odarcie ze skóry“ przeproszał on Thomasa później, a po paru dziesiątkach lat wyrzekł takie gorzkie słowa: „Gdyby w pamięci ludzkiej moje dobre uczynki przechowały się tak dobrze jak ten zły wybryk, to mógłbym mówić o szczęściu“. Bo sam jest bardzo wrażliwy. Pusta sala, jak sam powiada,

pozbawia go wszelkiego polotu, a gdy pewnego razu w zapasach krasomówczych pobity zostaje przez Douglasa, swego przeciwnika i światowego bywalca, to porażką swoją jest głęboko przygnębiony i nie uspokaja się, dopóki nie udaje mu się pobić go przy innej sposobności.

### III

Serce jego żyje samotnie w tych pierwszych czasach pobytu w Springfield, jest ono samotniejsze niż kiedykolwiek dawniej. Bo cóż może mu dać nowe towarzystwo? Toteż jak za dawnych czasów, tak i teraz, lubi pójść do znajomych; zakradnie się do ich drwalni, narąbie drzewa i cicho odejdzie, jak przyszedł. Albo też pożyczą sobie od innych adwokatów książki prawnicze. Jeden z nich opowiada o nim: „Lincoln posiadał mało ogłady towarzyskiej, był nieśmiały, a w rysach jego wryty był smutek. Ale gdy zaczynał mówić, to smutek jego zniknął, a mówiący stawał się mocny i cięty zarazem. Przy każdych odwiedzinach zdumiewał nas coraz bardziej“. Pewien niepokój wnosi w jego obecne życie jedynie Mary Ownes, półnarzeczona, która przybywa od czasu do czasu do Springfield do krewnych. W takich razach spędzają wieczory razem, a potem on ją odprawia do domu. Czasem znowu on odbywa konne przejażdżki do Nowego Salemu, nie brak im więc sposobności do przekonania się, jak dalece do siebie nie pasują. Wszystko pomimo to pozostaje w zawieszeniu; mężczyzna czuje się skrępowany swoim słowem, panna zdaje się czekać na jego oświadczenia. Ale żadne z nich nie wyraża się jasno, tylko oboje pisują do siebie listy analityczne:

„Droga przyjaciółko, zacząłem dwa listy i podarłem je. Pierwszy był nie dość poważny jak dla mnie, drugi był zbyt poważny, ale ten, który piszę teraz, odeślę. Życie w Springfield jest dość nudne, jestem tu taki samotny, jak wszędzie i zawsze w życiu. Dotychczas tylko raz zagadała do mnie kobieta, ani razu nie byłem w kościele i nie wiem, kiedy pójdę w ogóle, bo nie umiem się tam zachowywać. Często myślę o tym, co mi pani mówiła, a mianowicie że chciałyby się pani przeprowadzić na stałe do Springfield. Obawiam się, że podobać się tu pani nie będzie. Tutaj jeżdżą ludzie we własnych powozach, a pani nie miałaby swego. Byłaby pani uboga, a nie posiadałaby pani środków, aby swoje ubóstwo ukryć. Czy zniosłaby pani takie życie? Kobietę, która chciałaby los swój połączyć z moim, pragnąłbym, gdyby się która na to odważyła, wszelkimi siłami uszczęśliwić i dać jej zadowolenie. Największym ciosem byłoby dla mnie, gdybym tego uczynić nie zdołał. Z panią, wiem o tym, byłbym daleko szczęśliwszy, niż jestem teraz, gdybym nie wiedział, że musiałyby pani być niezadowolona. Być może, iż żartowała pani tylko, a ja się na tym nie poznałem. W takim razie zapomnijmy o tym. Jeśli jest inaczej, to mam nadzieję, że pani zastanowi się bardzo gruntownie, zanim się pani zdecyduje ostatecznie. Co powiedziałem, tego dotrzymam bezwzględnie, jeśli tylko pani sobie tego życzy. Wprawdzie jestem zdania, że lepiej by pani zrobiła dając tej sprawie spokój. Pani nie zna biedy, a życie moje obfituje w wyrzeczenia większe, niż pani może przypuszcza. Umie się pani wypowiadać o każdej sprawie bardzo jasno i jeśli pani zastanowi się nad wszystkim gruntownie, to poddam się jej decyzji. Niech pani napisze do mnie długi, dobry list. Mam dużo czasu. Nawet gdyby się pani jej list wydawał nie dość interesujący, dla mnie będzie on miał duże zna-

czenie w tej zgiełkliwej puszczy. Niech pani powie swej siostrze, że nie chcę nawet słyszeć o tym, aby się miała wyprzedać i przenieść gdzie indziej. Sama myśl o tym czyni mnie melancholijnym. Raczy pani itd. Lincoln“.

Istny majstersztyk! Tak pisze człowiek, którego chcą ożenić, a który chciałby się uratować, ale wrodzona przyzwoitość i wzrastająca w nim skłonność do wyrzeczeń nie pozwalają mu na własną decyzję w tej sprawie. Czy swoich szczerych wywodów o biedzie nie powinien zakończyć słowami: Tak się rzeczy mają i dlatego cofam słowo. Czy w ogóle zobowiązywał się wobec tej dziewczyny jakimś słowem? I czy nie powinna przestrzec go uparta wytrwałość, z jaką ta dziewczyna od przeszło roku rozmyślnie zamyka oczy na jego powściągliwość, jakby jej widzieć nie chciała? Już to samo powinno go od niej oderwać i uwolnić. Ale nie, decyzję pozostawia on jej rozsądkowi, otacza się istnym żywoplotem uprzejmej frazeologii i posługuje się językiem, jakiego nikt nie oczekiwałby od człowieka, który jeszcze przed sześciu laty był tylko drwalem i flisakiem. A jednak przebija w jego liście głęboki niepokój urodzonego samotnika i Cygana, który pragnie, aby siostra jego półnarczonej nie wyprowadzała się z Nowego Salemu, bo sama myśl o tym, że wpadając przygodnie nie znalazłby już izby u niej i pogawędki, napełnia go melancholią.

Sprawa jest więc nadal w zawieszeniu, jest to rozstanie bez pożegnania przy możliwości spotkania. Ale w końcu nabiera on jednak rozpędu i pisze do niej:

„Będzie się pani dziwiła, iż piszę do niej, skoro dopiero dzisiaj rozstaliśmy się z sobą, ale właśnie nasze częste spotkania obecne zmuszają mnie do tym częstszego myślenia o pani. Ostatnio wymieniliśmy ze sobą tylko niewiele myśli. Niechże pani wie o tym, że nigdy nie mogę myśleć o pani obojętnie, a jednak mogłaby się pani my-



lić co do moich uczuć dla niej. Gdybym wiedział na pewno, że jest inaczej, to nie trudziłbym pani tym listem. Wszyscy mężczyźni orientują się zapewne daleko lepiej ode mnie nawet bez słów. Ja uważam za swój przywilej, że w tej dziedzinie jestem zgoła nieświadomy, a pani obowiązkiem jest przyznać mi prawo do tego przywileju.

W każdej sytuacji chciałbym postępować jak się należy, szczególnie względem kobiet, a już zgoła osobliwie względem pani. Gdybym wiedział, że lepiej będzie opuścić panią, co uważałbym bodaj za najwłaściwsze, to uczyniłbym tak. Aby się wyrazić zgoła jasno, powiem, że może pani porzucić ten temat, i jeśli kiedykolwiek zaprzątałem jej myśli, wykreślić mnie z nich. Dość będzie, jeśli mi pani nie odpowie. Posunę się jeszcze dalej: jeśli to panią może jeszcze bardziej uspokoić, to byłoby nawet moim pragnieniem, aby mi pani nie odpowiedziała. Pragnąłbym, aby pani była zależna jedynie od własnej decyzji, i proszę nie myśleć, że chciałbym nasz stosunek zerwać. Jeśli sprawia on pani w dalszym ciągu przyjemność, to z pewnością pomnoży też i moją. Jeśli zaś czuje się pani tak czy owak zobowiązana względem mnie, to gotów jestem uwolnić panią od tego uczucia na każde jej życzenie, podczas gdy z drugiej strony gotów byłbym tym mocniej przywiązać panią do siebie, gdyby to się mogło przyczynić do jej szczęścia. W tym jest całe zagadnienie. Nic nie mogłoby mnie tak unieszczęśliwić, jak unieszczęśliwienie pani przeze mnie, nic nie byłoby dla mnie większym szczęściem niż szczęście pani... Jeśli pani woli nie odpowiadać mi, to żegnam panią! Życzę pani długiego i radosnego życia. Jeśli woli pani odpowiedzieć, to niechaj pani wypowie się tak otwarcie jak ja... Przyjaciel Lincoln“.

Tym razem był jeszcze wyraźniejszy, a nazywając siebie przyjacielem zamiast podpisać list „itd.“, powiększył jeszcze odległość między obojgiem. Musiała to zrozumieć i zdecydować się ostatecznie. Zaś Lincoln stoi wobec świata i wobec samego siebie bez przygany i nie wiadomo doprawdy, czy bardziej należy podziwiać dżentelmena w drwalu czy dyplomate w adwokacie, który z taką stylistyczną zręcznością umiał napisać notę do obcego państwa podczas zatargu z nim. Co mu ona odpowiedziała, tego nie wiemy, tylko tyle wiadomo, że Lincoln zdecydował się na krok ostateczny: oświadcza się. Lecz cóż się dzieje? Stało się to, czego już sam nie odważył się oczekiwać. Panna odpowiedziała: Nie!

„Zrazu myślałem, że jest to afektacja czy nawet skromność, z którą byłoby jej nie bardzo do twarzy. Ale gdy oświadczyły swoje ponowiłem, otrzymałem odpowiedź jeszcze ostrzejszą. Powtarzałem oświadczyły kilkakrotnie, zawsze z tym samym skutkiem. Wreszcie musiałem zrezygnować, co mi wbrew oczekiwaniu przyszło z niemałym trudem i przyniosło z sobą wielkie przykrości. Dla stu powodów było mi tak, jakby mnie kto w łeb zwałił... Moja próżność była dotknięta do żywego na samą myśl, iż byłem zbyt głupi, aby odgadnąć jej zamiary, aczkolwiek nigdy nie wątpiłem, że rozumiałem ją wybornie. Zaskoczyło mnie i to, że odrzuciła mnie kobieta, o której w swojej wielkiej zarozumiałości mniemałem, iż nikt się o nią starać nie zechce. Wreszcie *last not least*, zacząłem sobie wyobrażać, że kto wie, czy nie byłem w niej trochę zakochany... Inni bywali wystrychiwani na dudków przez dziewczęta, o sobie tego powiedzieć nie mogłem, bo to ja sam raczej wystrychnąłem się na dudka. Postanowiłem tedy już nigdy więcej nie myśleć o ożenku, a to dlatego, że z żadnej żony nie byłbym zadowolony, choćby się znalazła taka głupia,

która by za mnie wyszła. Po otrzymaniu tego listu napisz mi jakąś długą historię albo cokolwiek, co by mnie ubawiło“.

W ostatnim zdaniu tego listu do przyjaciela poprzez humor przebija się tym większe przygnębienie, które daremnie pragnie pokonać. To, czego tak dawno życzył sobie, odzyskanie wolności, stało się, lecz jego nerwowe usposobienie przeraża się, jak zawsze przy nagłym spełnieniu się życzenia. Podczas gdy dawniej dowcipkował i żartował z jej korpulencji, teraz przychodzi mu do głowy, że jednak był w niej zakochany; robi sobie więc wyrzuty za swoją próżność, chociaż powinien sobie powinszować sukcesu swej dyplomacji. Dusza Lincoln jest zgoła obca rzeczywistości, gdy chodzi o najsubtelniejsze sprawy wolności i miłości, do których miesza się jego imaginacja. Tak dalece nie dorasta on do tej rzeczywistości, że błędnie, gdy życie wikła wytwory jego fantazji. Po tragedii jego pierwszego narzeczeństwa i po komedii drugiego nikt nie może się chyba spodziewać czynnej roli ze strony tego nieśmiałego człowieka w jakiejś trzeciej sprawie tego rodzaju.

#### IV

„Pan Lincoln zachowuje się publicznie jak kłown, ale w gruncie rzeczy jest on tylko dobrym komediantem, umiejącym dobrze zagrać swoją rolę... Przemawiał dobrze, ale szpeci go pewne błazeństwo, jakie sobie przyswoił, i efekciarstwo. Język swój stara się on dostosować do swoich manier, aby słuchaczy pobudzać do śmiechu, ale kawałami nie przekonywa się żadnego poważnego człowieka, a na ogóle swoich słuchaczy nie wywiera on żadnego wrażenia”.

Ta krytyka wymierzona przeciwko trzydziestoletniemu działaczowi przez jakieś pisemko prowincjonalne jest sygnałem zbliżającego się znaczenia Lincolna. Bo właśnie teraz, gdy jego tłuśta Mary zwróciła mu słowo, czy też puściła go kantem, został po raz trzeci wybrany do parlamentu, stał się rzecznikiem swojej partii, czyli że przypadło mu w Illinois kierownictwo wśród zwolenników polityki Claya. Gdy w roku następnym cały kraj jest podniecony wyborami prezydenta, gdy namiętności polityczne mieszają się z jarmarcznym hałasem, wypadki wysuwają Lincolna, który dotychczas przemawiał najwyżej do kilkuset słuchaczy, przed rzesze tysięczne i polityk nasz na poczekaniu uczy się sekretów skupiania uwagi wielkiego tłumu. Wtedy zaczyna doskonalić swoje wrodzone talenty i pewne naturalne skutki swoich przeżyć w młodości potrafi wyzyskiwać jako dowolne efekty. Przy tym mowy swoje dostosowuje do okoliczności i słuchaczy zgoła rozmaicie, bo już zdołał opanować wszystkie rejestry. Pewnego dnia przemówi do słuchaczy kwiecistym patosem, który naturze jego na ogół jest obcy:

„Wiem zupełnie dobrze, że wielki wulkan waszyngtoński... rozsadzi lawa korupcji politycznej, która rozlewa się po całym kraju i nigdzie nie pozostawia nawet piędzi zielonej murawy... Lawa ta może zatopić i mnie, ale ja się jej nie poddam... Zawsze, gdy dusza podnosi się we mnie i łączy się z wielkimi masami ludu, które godne są zaiste swego Stwórcy, gdy widzę, że sprawa mego kraju opuszczona jest przez wszystkich, czuję swoje osamotnienie i wtedy wyzywam zwycięskich gnębieli. Tutaj przed okiem Boga i świata przysięgam wieczną wierność sprawie sprawiedliwości, krajowi mego życia, mojej wolności i miłości! A kto czuje tak samo jak ja, czyliż nie powtórzy za mną tej przysięgi bez



trwożliwego oglądania się na kogokolwiek?... Gdybyśmy się mylili, byłoby to niedorzecznością, ale i wówczas mielibyśmy dumną pociechę sumienia, że sprawy kraju naszego..., która jest nam droga, nie przestawaliśmy bronić w nieszczęściu, w pętach, w męce, a nawet w śmierci!“

Innym razem użyje przykładu zaczerpniętego z życia ludu. Przy dokładnej znajomości szczegółów, które umożliwiają mu wygłoszenie mowy liczącej 34 wiersze druku, poświęconej zagadnieniom finansowym, stara się on zilustrować rzeczowość sprawy przykładem z życia powszedniego i w ogóle zawsze stara się łączyć sprawy wyjątkowe z powszednim biegiem życia, jak po wszystkie czasy geniusz polityczny łączył się zawsze z poetyckim. Toteż szeregi przytaczanych liczb przerywa takim wywodem: „W jaki sposób zdołamy się w ogóle przekonać, czy wynik będzie taki, jakiego pragniemy? Tylko przez porównywanie terażniejszości z przeszłością. Co raz się zdarzyło, to w okolicznościach podobnych powtórzy się zawsze. Powiew wiatru może zgasić świecę, która tu płonie koło mnie. Wiemy o tym wszyscy. Gaśnięcia tej świecy nie widzieliśmy jeszcze ani razu, ale z doświadczenia życiowego każdy wie, iż świeca gaśnie, gdy wiatr dmuchnie prosto w płomień. Tak samo wiemy, że musimy umrzeć. Jak to, przecież jeszcze nigdy nie umarliśmy... Z taką samą pewnością wiemy, że urząd skarbowy nie daje takiej pewności dobrego administrowania pieniędzmi publicznymi, jaką może dać Bank Narodowy“.

Albo na przykład pragnie zilustrować słuchaczom zawodność ludzkiej pamięci, zabiera się do nich szorstko i przypomina im prawdy niemiłe. „Tylko na właściwym miejscu i w odpowiedniej chwili posiada wielki rozum dobroczynną władzę uspokajania wzburzonych umy-

słów. Po naszej śmierci wszystkie smutki nasze i radości przygasną nawet w naszym własnym domu, a gdzie indziej nawet śladu po nich nie zostanie“.

Jednocześnie szybko rozwija się w nim zrećność agitatora, więc już obecnie potrafi wyzyskać swoją znojną młodość dla wywołania odpowiedniego wrażenia. Ponieważ wigowie, do których należy, bywają zaczepiani przez demokratów z powodu swoich światowych manier i arystokratycznego ubioru, rozpina jednemu z takich przeciwników marynarkę tuż na estradzie przed wszystkimi, wskazuje na wytworne zakładki jego koszuli i przy ogólnym śmiechu rzuca sali słowa: „W swoim czasie byłem ubogim chłopcem, który jako żeglarz zarabiał osiem dolarów miesięcznie, posiadał tylko jedną parę spodni, i to jeszcze ze skóry. Wiecie, co to za spodnie. Gdy zmokną i wyschną, to się kurczą. Z moimi spodniami powtarzało się to często, więc między spodniami a skarpetką błyszczało zawsze parę cali łydki. Podczas gdy ja stawałem się coraz dłuższy, spodnie były coraz krótsze i ciaśniejsze, a ich szwy wrzynały się w ciało silnym śladem, który jeszcze dzisiaj jest widoczny. Jeśli to jest arystokracja, to bardzo przepraszam!“

Tak potrafi trzydziestoletni Lincoln szybko zdezorientować swoich przeciwników opisem swego ciężkiego życia młodzieńczego albo wskazaniem na znikomość tego wszystkiego, co doczesne. Namacalne przykłady z życia, patriotyczny patos to środki, którymi ten mówca umie przykuć uwagę słuchaczy, pobudzając ich kolejno do śmiechu, do zadumy, do oklasków. Gdy niemal całe Illinois zbiera się w Springfield, aby wziąć udział w wielkim zgromadzeniu z powodu wyboru prezydenta, gdy na wozach podobnych do blokhauzów, z zatkniętymi na nich drzewkami i z wypchanymi dzikimi zwierzętami, przybywają całe rodziny, gdy wszędzie panuje nieopisa-

ny zgiełk i rozbrzmiewa muzyka wszelkiego rodzaju, a Chicago przysłała wóz z symbolicznym okrętem, bo właśnie w owym czasie połączono z sobą jeziora — wtedy na tle tego wielkiego zbiegowiska jeden z naczynych świadków przedstawia postać Lincolna:

„Stał na wozie i przemawiał do tłumów... były to czasy jego największej siły fizycznej... Miał wtedy trzydzieści jeden lat, ale już uchodził za najlepszego mówcę między wigami podczas tej kampanii. Już wówczas znano go jako tego, który przemawiał szczerze, prosto i jasno. Mówił o sprawie taryfowej, o naprawach, zagadnieniach rządowych, o podziale dochodów ze sprzedaży dóbr publicznych, często z nieodpartą logiką, zawsze przekonywająco. Były to sprawy sercu jego nie najbliższe, więc nie nastęrczały mu wiele sposobności do popisu, zabrał się więc do opowiadania anegdot dla zilustrowania pewnych spraw i do ośmieszania przeciwników. Takie przemówienia ceniono bardzo wysoko i dlatego pokonał on łatwo prawie wszystkich, co mu przeczyli... Właściwie anegdoty te nie nadawały się do publicznego opowiadania, lecz on opowiadał je tak, że nawet szczegóły drażliwe nie mogły obrazić najsubtelniejszych słuchaczy. Inny nie byłby się mógł odważyć na coś podobnego“.

Przemówienia te były na ogół bardzo starannie przygotowywane. W listach do przyjaciół, pisanych w owych czasach, spotykamy się z dosłownymi fragmentami tych przemówień. Sam uważa te szczegóły za dość ważne, bo przyjaciółm zaleca, aby je czytali w gazetach, to jest, aby jeden czytał, a inni słuchali. Czasem jego przyjaciele partyjni są z niego niezadowoleni, bo mu się zdarza, że na zebraniu jest zgoła bierny, co jest cechą ludzi nerwowych, albo że bywa zbyt kanciasty czy też nie dość radykalny. Istotnie jego wielka wyrozumiałość pozba-



wia go niekiedy tej wybuchowości, bez której w walkach politycznych nie może być sukcesu. Dlatego najlepiej przemawia wtedy, gdy ma do czynienia z dzielnym i krzepkim przeciwnikiem.

Takim przeciwnikiem jest Douglas. Wygląda na to, że ten demokrata chodzi za nim krok w krok. Karierę swoją rozpoczęli w Wandalii tego samego dnia, w pięć lat później dopuszczeni zostali jako adwokaci przy sądzie wyższym, a teraz oto w tym samym kole propagują każdy swego prezydenta. Ten to Douglas drażni Lincolna. Czy Lincoln może czuje, że przeciwnik jego posiada właśnie to, czego jemu brak? Mianowicie wytworność słowa i giętkość myśli? Czy może nie podoba mu się niska, elastyczna postać przeciwnika, która zdaje się być zaprzeczeniem jego własnej postaci? Wiadomo tylko tyle, że Douglas broni wielkich wydatków swego kandydata van Burena i w długich wywodach stara się je uzasadnić.

„Przejdziemy pokrótce listę tych wydatków — odpowiada Lincoln stając na platformie. — Mam świadków na to, że te nieliczne punkty tej listy, które są prawdziwe, niczego nie dowodzą, zaś inne są nieprawdziwe“. I oto bije swego przeciwnika miażdżącymi liczbami, przy czym stale słyhać zdanie: „Jest to zgoła nieprawdziwe...“ Mowę swoją kończy: „Pan Douglas zadowolił się wyrażeniem mi swego żywego politowania i sądził zapewne, że jestem pokonany. Ale gdy oświadczył, że 5 milionów ostatniego budżetu poszło na odszkodowania francuskie, o czym wiem, że to nieprawda; że 5 milionów otrzymała poczta jako zaliczkę, o czym wiem, że to nieprawda; że 10 milionów poszło na... wojnę, o czym wiem, że to nie tylko nieprawda, ale zgoła śmieszne zmyślenie; gdy okazał się dość naiwny, mając nadzieję, że te śmiałe jego twierdzenia puszczą płazem, postano-



wilem rozsądkowi tego zgromadzenia pozostawić rozstrzygnięcie zagadnienia, czy on zasługuje bardziej na szacunek ogółu czy ja... Tak. A teraz opowiem wam pewną anegdotę, która mi się bardzo w porę przypomniała. Pewien dowcipny żołnierz Irlandczyk...“

Takim ciętym potrafi stać się ten sprawiedliwy, takim złośliwym ten poczciwy człowiek, ale nie dlatego bynajmniej, iż tamten jest demokratą, lecz dlatego, że jest on jakby naturalnym, mistycznym przeciwnikiem człowieka, który wydobywa z siebie wszystko z wielkim trudem i z niepodkupną odpowiedzialnością, a zarazem tak jasno i prosto, jak prostą dał mu Bóg postać i oblicze.

## V

Po przeciwnej stronie ulicy, w ładnym ogrodzie, stał duży dom z drewnianymi kolumnami, z zasuwanymi oknami i długim balkonem. Należał on do bogatego Edwardsa i uchodził za jeden z najznakomitszych domów nowej stolicy. Tutaj spotykali się ze sobą politycy i adwokaci, między innymi Lincoln i Douglas, obaj koledzy Edwardsa z parlamentu. Ludzie zbierający się w tym domu nie dzielili się na partie, ale naśladowali raczej wielki oświecony świat: imitowano tam Waszyngton.

Pani Edwards pochodziła z domu jeszcze znakomitszego niż jej małżonek, bo Toddsowie w Kentucky, Szkoci z pochodzenia, walczyli z honorem już w wojnie o niepodległość; pradziad był generałem, jego wnukowie — gubernatorami. Byli to ludzie z tradycją rodową, więc znaczenie mieli niemal takie samo jak wielcy plantatorzy z Południa. Ojciec pani Edwards był majorem, a teraz był w Lexington dyrektorem banku, miał

kilka młynów i żył otoczony bogactwem i szacunkiem jak prawdziwy patrycjusz. Na wsi hodował ładne konie i bydło, miał owce oraz niewolników, a w domu miejskim, który zdobiły obrazy przodków, dzieci były chowane tak starannie jak wykształceni dziedzice w Europie.

A jednak dom ten opuściło sześcioro dzieci, jedno po drugim, bo po śmierci ich matki wzięła go w posiadanie druga żona ojca, która miała jeszcze kilkoro dzieci i tym własnym dzieciom dawała pierwszeństwo. Wśród tych dzieci Mary była bardziej ambitna od innych i świadoma swoich celów; pragnęła ona wielkiego życia i szukała męża, który by jej takie życie mógł zapewnić. Postanowiła znaleźć go w Springfield, skąd pisała do niej starsza siostra, że tworzy się tam nowe towarzystwo. Wsiadła tedy do własnego powozu i przybyła do siostry i szwagra.

Gdy Lincoln i Douglas witali się z przybyłą po raz pierwszy, ujrzeli pulchną i zwinną dziewczynę o delikatnej ładnej cerze i umiejętnie ufryzowanych włosach, ubraną w bajecznie wielką krynolinę z głębokim dekoltem. Była to młoda dama z wielkiego świata, która wspaniale umiała mówić, na wszystkim się znała, do mowy swej wtrącała francuskie zdania, a nawet klasyków cytowała zgoła płynnie. Jedynie gdy milczała, na wargach jej ukazywał się twardy rys, a gdy padało skądś słowo najłagodniejszej krytyki, zimne jej szaroniebieskie spojrzenie zdawało się kamienieć.

Na pierwszym balu wywołała istną sensację; tańczyła bajecznie i wszystka młodzież ubiegała się o względy tej mądrej i ładnej panny. Tylko Herndon, młody student, którego Lincoln przyjął był właśnie na praktykę do swego biura, nie przebiera w słowach i powiada: „Tańczyła pani jak wąż“. W uwadze tej nie było złośliwości i niezawodnie była ona trafna, ale panna spojrzała

na niego wrogo, odwróciła się i wraz z tym spojrzeniem zaczęła się nienawiść trwająca przez całe życie. Inni młodzieńcy też nie pociągają młodej panny, gdyż nie imponuje jej ani męska piękność, ani elegancja, nie nęci jej ród, nie pociągają pieniądze, co jest bardzo dziwne wobec jej arystokratycznego wychowania. Wygląda na to, jakby się broniła przeciw wszelkim instynktom kobiecym. Ale Mary rozważa tylko jedną sprawę: który też z tych młodych ludzi ma najlepsze szanse świetnej kariery? Tak już sobie w duchu ułożyła i często o tym później mówiła, że ani mniej, ani więcej, tylko zostanie prezydentową! I z nieomylnym instynktem szybko wyróżnia z reszty towarzystwa dwóch ludzi najbardziej utalentowanych, acz ubogich i nieświeżego pochodzenia: małego i dużego, Douglasa i Lincolna.

Douglas poznaje się na tej kobiecie równie szybko, jak ona poznaje się na nim, gdyż oboje łączy niezłomna ambicja, i gdy dziewczyna marzy o Białym Domu, to w swoich marzeniach może się tam spotkać z Dougla-sem, bo myśli jego bezustannie zwracają się ku temu najwyższemu stanowisku, jego całe życie jest na tym dążeniu ugruntowane, a we wszystkim, co czyni, lub czego nie czyni, kieruje się tym celem. Lincoln natomiast, acz ambitny, jest jeszcze bardziej pesymistyczny, i w owym czasie nie myśli o stanowisku najwyższym, a jeśli pomyśli o nim czasem, to z zastrzeżeniami, jakie cechują oryginałów. Douglas zawsze bierze to miejsce w posiadanie dla siebie, Lincoln myśli może, że ono mu się będzie należało, ale kto wie, czy dotrze do niego. Douglas jest zbyt zarozumiały, Lincoln nie docenia siebie. Czyż jest w tym coś dziwnego, że Douglas od pierwszej chwili podziwia piękną Mary i hołduje jej, podczas gdy Lincoln trzyma się z dala? Dziwne jest raczej to,



że pomimo powściągliwości Lincolna oko jej daje pierwszeństwo jemu.

Lincolnowi zaimponowała ona zrazu, jej przewaga zaskoczyła go. Posiadała ona sztukę, która jemu była zgoła obca, a mianowicie sztukę konwersacji, płynnego dziergania słów o nierównej wartości, rzucania pytań bez czekania odpowiedzi, zdań bez osobliwego znaczenia, bez celu, jednym słowem, czegoś przeciwnego opowiadaniu. Siedział tedy i milcząc podziwiał sztukę, z jaką u kobiety nie spotykał się dotąd, a u mężczyzny poznał tylko w Douglassie. Czyż nie musiała mu bezustannie przypominać Douglassa wszystkimi swymi talentami, a nawet postawą i postacią? Zresztą serce jego nie jest zupełnie wolne, bo od pewnego czasu stał się wielbicielem sześćnastoletniej Sary Rickhart, bywa z nią na przedstawieniach, towarzyszy jej na spacerach, żartuje czasem, że ich biblijne imiona tworzą całość, ale ona trzyma go w pewnym od siebie oddaleniu, albowiem powiada, że „jego manieri nie mogły oczarować panny z towarzystwa“.

Gdy Lincoln jako znawca ludzi przygląda się uważnie owej Mary Todd, to charakter jej przedstawia sobie bardzo łatwo. Spostrzega, jak szybko zmienia się jej wyraz: w tej chwili promienieje, ale natychmiast tryska gniewem, szybko blednie lub się rumieni. Cierpi ona na migrenę, boi się burzy, a przy najdrobniejszym skaleczeniu płacze. Gdy czasem ocenia ludzi według ich manier przy stole, to Lincoln cieszy się może, że na tym punkcie może ona nim gardzić, ale gdy ją widuje przy boku siostry, przyjmującą gości, to staje wobec niej z wielkim uznaniem i zdumiewa się jej wielką zręcznością. Zawsze zna wszystkie nowiny, o wszystkim dowiaduje się szybko, a przy grach towarzyskich goni za nagrodami. Może Lincoln słyszał nawet, że już jako podłotek robiła sobie z wierzbowych prętów krynolinę, aby się



nią popisywać w szkole. Była to jej mania, która po upływie lat trzydziestu doprowadzała ją do szaleństwa.

Wszystko to go zdumiewa, ale w żaden sposób nie może się w tym wszystkim połapać i nie wie, co z tym fantem zrobić. Gdy się do niej zbliża, to szuka u niej dobroci, życzliwości, przychylności, to jest tego, czym darzyła go jego ukochana w Nowym Salemie. Nie o jej wiadomości mu chodzi i jej rozum, bo te posiada sam. A jednak jego zdolności analityczne wyczuwają, że właśnie ta kobieta ma w sobie tempo i bodźce, których jemu brak. Być może, że w jej obecności wyczuwa wyraźnie, iż talenty jego składają się raczej na całość bierną, zaś jej twórcza niecierpliwość mogłaby się złączyć z jego biernością i uzupełnić ją. Podczas gdy ona była żwawa i elastyczna, ale w gruncie rzeczy słaba, on był powolny i ociężały, ale za to mocny.

Tak czy owak, Mary wyczuwała to wszystko i gdyby nic innego nie było świadczyło o jej rozsądku, to jej wybór i upór, z jakim przy nim trwała, byłby wielkim świadectwem trafności jej instynktu, a raczej jej ambicji kobiecej. Tak jest, wszystko przewidziała szybko i trafnie. Bo jeśli przy swym usposobieniu nie mogła była dopatrzeć się zalet osobliwych w Lincolnie, który — aczkolwiek ulubiony — był jednak ubogi i rzecz można brzydki, niezręczny i nie dość ambitny, cóż wówczas świadczyło o tym, że jest to człowiek przyszłości? Natomiast wszyscy byli przekonani, że Douglas ma wielką przyszłość przed sobą. On też zabiegał o względy panny z wielką żarliwością, wyczuwając w niej wielką pomoc w walce o władzę.

Ale Mary nie daje się zbić z tropu. Nie przywiązuje ona zbyt wielkiej wagi do przykrótkich spodni Lincolna i do jego nieokrzesanych manier, nie zraża się tym, że nie umie on ładnie tańczyć, bo widzi jedynie niewi-

działną dla innych jasną aureolę dokoła jego kościstej głowy i właśnie tą jego aureolą pragnie się z nim podzielić. Ręką pewną siebie zakreśla krąg dokoła wybranego.

Czyni to wbrew swej wyniosłej niechęci dla Lincolnów i Hanksów, o których słyszała to i owo, a być może, i wbrew radzie siostry i szwagra. Taki Lincoln to przecież nie żadna kariera dla panny, ale raczej poniżenie. Lecz to tym bardziej potęguje w niej upór, o którym wyraża się później: „Byłam przekonana, że będzie on kiedyś prezydentem. Dlatego wysłałam za niego, bo istotnie ładny nie był“.

Gdy sytuacja staje się krytyczna, a Lincoln nie mogąc się zdecydować, szkicuje list w swój nieśmiały, powściągliwy sposób i pokazuje go Speedowi, ten czyta o tym, że Lincoln rozważył wszystko drobiazgowo, ale doszedł do wniosku, że jej nie kocha tak bardzo, jakby należało. Tym razem jest zdecydowany: nie będzie się dręczył całymi latami jak z grubą Mary. Ale Speed odmawia mu i nie chce odnieść tego listu. „Co jest napisane, to zawsze będzie świadczyło przeciwko tobie“ — mówi przyjacielowi i wrzuca list do pieca, doradzając mu, aby ustnie powiedział pannie, co jej ma powiedzieć, byle szybko i zwięźle. Tutaj sklepikarz staje się wybornym dyplomata, ale niestety, nie jest on znawcą ludzi.

Mary natomiast wyczuwa doskonale, w jaki sposób zdobywa się takich nieśmiałych mężczyzn. Gdy Lincoln wraca wreszcie do domu około jedenastej wieczorem, opowiada przyjacielowi w sposób tragikomiczny: „Gdy jej powiedziałem, że jej nie kocham, zaczęła płakać, zerwała się z krzesła, załamywała ręce i mówiła coś o oszukańcu, który oszukuje samego siebie. Takich rzeczy wytrzymać nie mogę. Omal że sam się nie rozbe-

czałem, więc ją porwałem w objęcia i całowałem ją“. Speed śmieje się z niego, on zaś powiada: „Jeśli teraz jestem zaręczony, to już niech tak będzie“. Są to niemal takie same słowa biernej rezygnacji, jakimi powitał zaręczenie go przed trzema laty z jego pierwszą Mary.

Narzeczeństwo upływa między niepokojem a wybuchami zazdrości. Ponieważ ona zawsze chce panować i zawsze była niezawisła, więc przeciwieństwa ich natur oraz sposobu bycia prowadzą często do zatargów. Drażni go ona, gdy na ulicy ukazuje się z Douglasem pod rękę, on zaś zdaje się pocieszać z jej szwagierką, piękną Matyldą, która właśnie także przybyła w gościnę do domu Edwardsów i z zazdrosną Mary musi sypiać w jednym łóżku. Matylda wyjeżdża wszakże niebawem, ale wtedy narzeczona zdaje się gniewać na narzeczonego za jego stosunki z małą Sarą i może miała po temu słuszne powody. Bo cóż naturalniejszego dla delikatnego serca męskiego, nie umiejącego sprostać kobietom, gdy bezpośrednio przed małżeństwem, przed którym ostrzega je głos wewnętrzny, szuka ono ratunku dla siebie? Niepokój roku zeszłego wznawia się w nim i podwaja, gdyż obecnie listami dyplomatycznymi nic się zrobić nie da. W domu narzeczonej widzi Lincoln przygotowania i słyszy o nich, wesele staje przed nim jak groźne widmo.

Dzień ślubu ustalono na pierwszy stycznia, nowy rok miał być początkiem nowego życia. Ceremonia i uczta weselna to sprawy już omówione, i to niezawodnie z taką dokładnością, z jaką do takich rzeczy zabiera się panna wychowana na światową damę. Ale podczas gdy narzeczona i jej domownicy zajęci są sprawą welonu, pantofelków i rękawiczek, gdy omawiana jest kolejność gości przy stole, jadłospis i przemówienia, nastrój narzeczonego dochodzi stopniowo do gorączkowego napięcia.



Samotny, wolny człowiek, który się do kobiet zbliżał, a następnie uciekał od nich, który kochał jeden raz w życiu, zdobywając szczęście długo i szybko je tracąc, aby potem otrzymać jako drugą narzeczoną pocieszoną starą pannę, której trzeba było pozbywać się w ciągu paru lat, czuje się teraz pojmany legalnie, chociaż cała jego istota przestrzegała go przed tą sytuacją. Jego natura powściągliwa, zdobywająca się jedynie na decyzje drobne, przyzwyczajona do swobodnego życia starokawalerskiego, odczuwająca wstręt na samą myśl o jakichkolwiek formalnościach, dająca pierwszeństwo życiu bezplanowemu, nie troszcząca się o pieniądze i stanowiska, bo od nikogo nie chce być zależna — wzdryga się na myśl o energicznej żonie, której trzeba się bać, i marzy o subtelnej dziewczynie, którą można by kochać. Wszystko to składa się w nim na fizyczny stan niepokoju, który nazywa się niedomogą. Ale to wszystko jedno, jak tę rzecz nazwiemy: szaleństwem, trwogą, chorobą — nazwa jest obojętna, jej istota jest poważna.

Co i jak się stało w dniu krytycznym, o tym nic pewnego nie wiemy. Czy narzeczoną była już w stroju oblubienicy i czy goście byli już zebrani, czy też doszło do ostrej sceny w dniu poprzednim? Czy wszystko było już przygotowane — jak zapewniają najlepsi świadkowie — aż do placka weselnego włącznie? Czy to prawda, jak zapewnia siostra Mary, że Lincoln miał głośno zawołać, iż nienawidzi narzeczonej, co wszakże uznane zostało jedynie za wariację? Wiadomo tylko tyle, że Lincoln nie przybył na swój ślub. Dzień ten spędził w parlamencie, prawdopodobnie dlatego jedynie, aby się stać niedostępnym, a w godzinie wyznaczonej na jego ślub wnosił właśnie bill o licencjach i w ciągu pierwszych tygodni styczniowych gorliwie pracował.



## VI

Bo Lincoln był chory. Ta zdrowa, krzepka natura zamalała się pod wpływem denerwujących przeżyć ostatnich tygodni i musiała przeżywać stany lękowe, o jakie nikt nie byłby podejrzewał byłego drwala. Jego lekarz skierował go do neurologa w Cincinnati, który na długi list odpowiedział krótko, że musi chorego zobaczyć. Chory czepił się swego pierwszego lekarza i bał się, że ten zostanie mu odebrany. Raz za razem pisał namiętne listy do swego współnika Stuarta w Waszyngtonie, listy, których części jeszcze dzisiaj nie zostały ogłoszone drukiem.

„Obecnie jestem najniezwyklejszym człowiekiem na świecie. Gdyby to, co odczuwam, zostało rozdzielone między całą ludzkość, to na świecie nie byłoby ani jednej twarzy wesołej... Czy kiedykolwiek będzie mi lepiej, tego nie wiem, i zdaje mi się, że chyba nie. Pozostawanie w takim stanie, jak obecnie, jest niemożliwe: muszę umrzeć albo wyzdrowieć... Piszę panu o tym wszystkim, bo zmiana otoczenia mogłaby mnie może uzdrowić. Gdybym miał wybór, to najchętniej pozostałbym tutaj. Dalej pisać nie mogę“. Jednocześnie prosi on swego współnika, iżby się w stolicy postarał o mianowanie jego lekarza poczmistrzem. „Ostatnimi czasy ośmieszyłem się swoją hipochondrią, ale mam wrażenie, że doktor Henry jest mi potrzebny do istnienia. Jeśli nie dostanie on tego miejsca, to opuści Springfield... Serce moje pragnie tylko tego, aby go tutaj zatrzymać“.

Nigdy dotychczas i nigdy później nie uważał Lincoln, aby jakiś człowiek był mu potrzebny do istnienia. Cóż takiego musiało zajść w jego duszy, zawsze samodzielnej, śmiałej i mocnej, która nie potrzebowała ani lekarza, ani pomocy, ani też żadnej zmiany otoczenia? Lecz

szalejący Orestes znajduje w porę swego Pyladesa, bo Speed tegoż samego „fatalnego dnia noworocznego“ sprzedaje swój sklep, udaje się do Kentucky na piękną farmę swej matki i zaprasza przyjaciela na lato w jego strony rodzinne.

I oto ów człowiek tak chory na duszy czuje się raptem jak zaczarowany. W dużym domu wiejskim, którego szerokie stopnie wiodą do obszernej hali tej pańskiej siedziby, niewolnik podaje mu śniadanie do łóżka. Może tu jeździć konno i powozem, ile mu się podoba, miłe maniere matki przyjaciela, urok jego młodszej siostry, pogoda beztroskich właścicieli dóbr, gry, zabawy i kokieteria uspokajają wzburzone serce. Raz w życiu żyje Lincoln, jak żyją panowie Południa, przyjaciel Murzynów każe Murzynowi podawać sobie ubranie, trzymać uzdę, a zranione serce jego przywiązuje się chwilami do siostry przyjaciela, zaś przyjaciel jego stara się tymczasem o rękę kuzynki innego właściciela dóbr i Lincoln musi bawić tego starego pana polityką, aby Speed tym spokojniej mógł obcałowywać swoją Fanny.

A jednak czasem widują go zamyślonego i jakby nieprzytomnego. W zadumie i w bezruchu spogląda przed siebie, jakby widział coś osobliwego, a gdy chwyta za pióro, to pisze, o dziwo, artykuł o samobójstwie, jak człowiek, który przeżył wielkie niebezpieczeństwo i przez dokładną analizę pragnie pozbyć się tego niebezpieczeństwa raz na zawsze. Błąkając się pragnieniami między życiem a śmiercią, między spotęgowaną pewnością siebie a rozczarowaniami, wyraża się pewnego razu do przyjaciela: „Jeszcze nic takiego nie uczyniłem, co kiedyś przypomniałoby choć jednemu człowiekowi, że istniałem na świecie. A jednak celem mego życia jest pragnienie, abym mógł przekazać ludziom imię swoje związane z jakąś wielką sprawą“. W sło-

wach tych widzimy przewyciężenie kryzysu, a jednocześnie są one oznaką, że w trzydziestodwuletnim polityku ambicja wzrosła ogromnie i że stawia on sobie wymagania połączone z całą ludzkością.

Charakter owych zamroczeń i wzburzeń w niczym nie wyraża się równie jasno, jak w kilku listach, które pisał do Speeda w rok po fatalnym dniu noworocznym, gdy już dawno był uspokojony i mógł powrócić do pracy. Przyjaciel jego, natura wrażliwa i subtelna, przeżywał bezpośrednio przed swoim ożenkiem mniej więcej to samo, co przed rokiem w stopniu wyższym przeżył Lincoln.

„Gdybym ci przed swoim wyjazdem był powiedział, co ci teraz piszę, byłbyś o tym zapomniał właśnie dlatego, iż chodzi tu o twoje dobro. Ponieważ muszę przypuścić, że między chwilami obecnymi a ostatecznym spełnieniem się twoich pragnień przeżywać będziesz stany przykre, więc mam nadzieję, że list ten odczytywać będziesz w jednej z takich przykrych chwil. Diagnoza moja opiera się na trzech podstawach, które tworzą jedną całość.

Główną przyczyną twego cierpienia jest to, że z natury masz temperament nerwowy. Mówię ci to na podstawie osobistego doświadczenia oraz na podstawie różnych uwag twej matki o tobie i o bracie twoim, gdy stracił żonę... Spośród przyczyn szczegółowszych pierwszą jest ta, że w drodze musiałeś walczyć ze złą pogodą, co na słabe nerwy oddziaływa fatalnie. Wiem o tym z doświadczenia. Drugą przyczyną jest brak zajęcia i pogawędek z przyjaciółmi, którzy cię bardzo często odwozili od głębokiej zadumy. Przy takich stanach wszystkie najmilsze rzeczy stają się pustymi i gorzkimi jak śmierć. Powodem trzecim jest szybkie zbliżanie się kryzysu, dokoła którego skupiają się wszystkie twoje myśli

i uczucia... Gdybyś wszystkie te trudności zdołał pokonać bez osobliwych załamania duchowych, to cieszyłbym się z tego szczerze, ale byłoby to dla mnie niespodzianką. Jeśli więc nawiedzają cię, jak sądzę, stany depresji, to proszę cię, abyś tego nie przypisywał żadnym siłom tajemnym i podszeptom szatana. Mówię jako człowiek doświadczony.

Zapytasz może, czy to się nie powtarza u wszystkich ludzi w sytuacjach podobnych. Stanowczo nie. Okoliczności ogólne mogą się odnosić do wszystkich w podobnej sytuacji, ale przyczyna szczególna, twoje usposobienie nerwowe, jest kluczem, który wyjaśnia okoliczności uboczne. Bez tej głównej przyczyny wszystko byłoby drobiazgiem i ona wyróżnia cię spośród tysięcy, z niej powstaje ta bolesna różnica między tobą a resztą świata“.

Następnie rozprasza niepokój przyjaciela, czy aby on i jego narzeczona pasują do siebie z powodu różnic istniejących między nimi. „Przede wszystkim pociągnęło cię ku niej wrażenie jej postaci i postawy... Czyż to nie jej czarujące czarne oczy stały się przyczyną twego pierwszego oszołomienia?... Niepokoję się o ciebie tak dalece, że chciałbym ci pisywać każdą pocztą“. Gdy bezpośrednio przed weselem narzeczona Speeda rozchorowuje się i przyprawia go o wielki niepokój, Lincoln tłumaczy mu, że stopień tego niepokoju jest dowodem wielkiego przywiązania, co do którego Speed nie przestaje mieć wątpliwości. „Gdybyś jej nie kochał, to zrezygnowałbyś łatwo, choćbyś sobie niekoniecznie musiał życzyć jej śmierci. Ale być może, iż ten punkt nie nastęrcza ci już żadnych wątpliwości, a moje bezustanne piłowanie uważasz może za brutalne wtrącanie się do twoich uczuć. Jeśli tak, to mi przebac. Znasz piekło, jakie ja z podobnego powodu przeżyłem, i wiesz, jaki wrażliwy sta-



łem się w takich sprawach. Co do hipochondrii, to orientuję się w niej całkiem dobrze, a od chwili twego wyjazdu czuję się lepiej niż zeszłej jesieni. Sarę widziałem tylko raz. Zdaje mi się, że była szczęśliwa, ale nie przypomniałem jej nic z tego, o czym dawniej mówiliśmy“.

W pełni rozpełtanej wyobraźni przeżywa Lincoln wesele swego przyjaciela tak żywo, jak tylko poeta przeżyć coś może. „Gdy list ten otrzymasz, będziesz od kilku dni mężem Fanny... Będziesz więc znał dziedzinę życia, która pozostała mi obcą... Jeśli się nie mylę i jeśli obok nadmiaru radości przeżywasz głębokie przygnębienie, to pamiętaj o tym, iż stany, które wydawać ci się będą rozpaczliwymi, miną tak szybko, jak przyszły. Nie wątpię, iż kochasz żonę z całej duszy, ale nerwy twoje mogą ci sprawić niejednen zawód; jeśli je wszakże opanujesz, to przygnębienie zniknie raz na zawsze... O ile wytrzymałeś ceremonie, a przynajmniej zdołałeś się opanować tak dalece, aby nie zwracać na siebie uwagi uczestników, to masz święty spokój i po miesiącu czy dwóch będziesz szczęśliwym małżonkiem“. Dopisek: „Od czasu twego wyjazdu stałem się mężczyzną w całym znaczeniu tego słowa“.

Ale Speed pisze o nowych niepokojach. Wówczas krzepiący go przyjaciel urywa nagle ton pocieszający i pisze swoim zwykłym stylem rezygnacji: „Nie mam już najmniejszej wątpliwości, iż los nasz, mój i twój, jest jednaki: obaj marzymy o jakichś Elizeach, przekraczających wszystko, czym nas ziemia może obdarzyć... Ale chociaż marzenia są nieziszczalne na ziemi, to jednak spośród ziszczalnych nikt nie spełnił ci ich tyle, ile piękna czarnooka Fanny. Gdybyś umiał spojrzeć na nią moją wyobraźnią, to ani przez chwilę nie śmiałybyś się uważać za nieszczęśliwego. Mój stary ojciec mawiał:

«Jeśli kupiłeś jakiś towar za drogo, to tym mocniej przywiąż się sercem do niego!»

Żadne dokumenty dotyczące Lincolna nie rzucają na jego rysy istotne takiego jasnego światła, jak te listy, będące istnymi objawieniami. Przede wszystkim mamy tu wolę jasności we wszystkich uczuciach i sztukę analizy, jaka łączy lekarza duszy z poetą z jednej strony, a z prawnikiem z drugiej, umiejącą wyprowadzić motywy uboczne z motywu głównego. Wie on nie tylko o wpływach pogody, podróży i lenistwa na nerwy, jest on jednocześnie tak doskonałym znawcą dusz, że wysnuwa logiczne wnioski ze stanów matki i brata, czym znowu poucza nas, jak dalece musiało zaprzętać jego uwagę nieznanne pochodzenie jego matki. Zarazem roztacza się przed nami braterstwo uczuć dla przyjaciela oraz namiętność artysty przenikania innych, wzywania się w ich położenie, odgadywania ich uczuć.

Listy te wszakże są najlepszym objaśnieniem jego własnego niepokoju oraz tego, jak on sobie ten niepokój tłumaczy. Mówi o rozpaczach, o goryczy śmierci, o piekle — i to w rok po przebytych kryzysach, w czasach spokojnego pełnienia obowiązków obywatelskich! Skąd mu się to wszystko bierze? Z nerwowego temperamentu, który ich obu odcina od reszty świata i wystawia na niedole grozy i lęków, jakich nie znają ludzie zdrowi. „Marzymy o jakichś Elizeach, przekraczających wszystko, czym nas ziemia może obdarzyć“.

Tu jest podstawa melancholii Lincolna i powód ostateczny, dla którego jego poetycka natura, pomimo siły i krzepkości fizycznej, pomimo roztropności, doświadczenia i powodzenia w walce ze światem, zawsze spotykać się będzie z bolesnymi rozczarowaniami.

Tutaj jest punkt tragiczny jego duszy, który wyraża się melancholią jego wielkich rysów.

## VII

Ożenek przyjaciela wzburzył jego nerwy, odświeżył wspomnienia, pogłębił osamotnienie. „Bez przyjaciela nie ma radości, a gdy przyjaciela posiadamy, to często go tracimy i to boli podwójnie. Miałem nadzieję, że dom swój założycie tutaj, ale ostatecznie nie mam do was żadnych praw“. Gdy Speed donosi mu wreszcie, że on i żona są teraz istotnie jednym ciałem i jedną duszą, Lincoln triumfuje niby zwycięzca. Jednocześnie znika dawne napięcie między przyjaciółmi, lecz gdy jeden z nich donosi drugiemu o swojej farmie, ten odpowiada, że dla niego przedstawia głębsze zainteresowanie tylko jedno, a mianowicie, czy ożenek przynosi z sobą szczęście, czy też go nie przynosi. Teraz tkliwość jego zwraca się ku młodej małżonce przyjaciela, o której przyjaciele pisywali sobie poza jej plecami, i list Lincoln żywo przypomina korespondencję z „Cierpień Wertera“: „Mały fiołek, który dołączyłeś do swego listu, dotarł do moich rąk, ale był taki zeschnięty, że przy pierwszym dotknięciu rozsypał się jak popiół. Jego sok wysechł i pozostawił na papierze plamę. List z plamą przechowam i strzec go będę przez pamięć dla tej, która fiołek uszczknęła“.

W takich nastrojach Lincoln zbliża się ponownie ku kobietom swego miasta. Unika ich stale, a jednak obyc się bez nich nie potrafi. Znowu widuje Sarę Rickhart, kilkakrotnie wspomina o niej w swoich listach, ale uczucia przypominają mu stale Mary, której osoba niepokoić musi jego myśli. „Mógłbym być zgoła szczęśliwy, gdyby mnie nie dręczył bezustannie obraz człowieka nieszczęśliwego, w którego nieszczęściu sam zawiñem. Ta świadomość jeszcze ciągle dręczy moje serce. Robię sobie wyrzuty, iż staram się o szczęście dla siebie, podczas gdy

ona szczęśliwa nie jest. Podobno w dużym towarzystwie odbyła podróż koleją do Jacksonville, będzie temu miesiąc, a potem miała się wyrazić, że podróż ta sprawiła jej wiele przyjemności. Chwała Bogu!“ Miał też dowiedzieć się, jakoby Mary pomimo wszystko nie zrezygnowała z niego zupełnie.

Bowiem dumna dziewczyna na wymierzony jej cios nie odpowiedziała gwałtownym zerwaniem wewnętrznym. Jest to dość dziwne, bo wstyd, jaki ją spotkał ze strony ubogiego adwokata, powinien był przy jej stanowisku i zamożności skłonić ją, już przez sam wzgląd na jej bliższe otoczenie, do opuszczenia miasta raz na zawsze, gdyby jej upór nie był większy od dumy. Lincoln zdaje się rozważać ze swoim przyjacielem to i owo, gdyż pisze do niego następnego lata: „Ani milczenie twoje, ani milczenie całego świata nie może sprawić, abym zapomniał o tej bolesnej rzeczy. Rada twoja jest dobra, ale zanim zdecyduję się na to lub na owo, muszę odzyskać zaufanie do samego siebie, czy potrafię dotrzymać zobowiązania wziętego na siebie. Pod tym względem byłem zbyt wysokiego mniemania o sobie, uważając wytrwałość za jedyny, czy też główny klejnot mego charakteru. Utraciłem go — jak i kiedy, o tym wiesz — i jeszcze go nie odzyskałem. Na razie nie mogę sobie zaufać w żadnej ważnej sprawie. Gdybyś był wtedy zrozumiał mnie tak dobrze, jak później ja ciebie rozumiałem, to może przy twojej pomocy byłbym ominął zdradliwe wiry... W tym roku nie będę chyba mógł przyjechać do Kentucky; jestem ubogi i czynię tak niewielkie postępy w świecie, że w ciągu jednego bezrobotnego miesiąca tracę wszystko, co w ciągu roku uciulałem“.

Tak potężnie wstrząsnęło to zdarzenie jego poczuciem obowiązku, podstawą jego siły, zaufaniem do samego



siebie i swej uczciwości, że jeszcze po upływie półtora roku od owego fatalnego dnia noworocznego dręczony jest wątpliwościami co do swej wartości moralnej. A jednak pośrednio coś go przymusza, aby zło przez siebie wyrządzone naprawić; jest to jedyny motyw, bo nigdzie poza tym nie wyraża się tęsknota za porzuconą dziewczyną.

Lecz oto Mary wraca znowu do Springfield. Nic ją do tego powrotu nie zmusza, więc krokiem tym zdaje się mówić wyraźnie sobie i swemu towarzystwu, że pomimo wszystko Lincoln nie stał się dla niej nieznośny. Jeśli los dwoje tych ludzi przeznaczył dla siebie, to sam postara się o to, aby ich ze sobą połączyć. Zdarza się więc, co się w takiej mieścinie zdarzyć musi: spotykają się ze sobą. Przez pewnego redaktora i jego żonę zostają zaproszeni jednocześnie. Są to ludzie bezdzietni, a żona redaktora ma manię kojarzenia małżeństw. I oto dwoje tych ludzi staje przed sobą w wielkim zdumieniu i zakłopotaniu.

Następnie spotykają się kilka razy w towarzystwie wesołym, w którym humor Lincolnu bawi wszystkich i w którym zmyśla się polityczne kawały, gdy się nadarzy dobry przeciwnik. W owym czasie panowała nieufność względem finansowej gospodarki demokratów, podrwiwano sobie, że podatki państwowe nie będą mogły być wpłacane w banknotach państwowych i śmiano się z generała Shieldsa, który jako urzędnik podatkowy podpisał o tym dziwaczne ogłoszenie. Generał Shields był to awanturnik, marynarz i wieczny student prawa oraz demokrata lubiący się afiszować, ale w tym wypadku zgoła niewinny. Do tego Shieldsa każe Lincoln jakiejś fantastycznej Rebecce napisać trzy listy otwarte i ogłosić je w gazetce miejscowej. Listy te w stylu zachodnio-farmerskim, pełne jego własnych wspomnień,

wspaniałe pod względem stylistycznym, złośliwe i trafiające w sedno rzeczy, są tak wesole, że całe miasto się śmieje.

Zaczepony milczy. Wówczas Mary Todd i wspomniana już żona redaktora wspólnymi siłami układają list czwarty, daleko rubaszniejszy i bardziej zaczepny, w którym mityczna Rebeka oświadcza się generałowi i zaraz dołącza pieśń weselną. Teraz generał Shields traci resztę cierpliwości i domaga się ujawnienia autora.

Jako polityk nie powinien był Lincoln brać na siebie figla kobiet. Jeśli żona redaktora w gazecie męża zaczyna wyrabiać takie niestosowne kawały, to niech sama ponosi za nie odpowiedzialność. Poseł do parlamentu musi przecież uwzględniać interesy swej partii, a wytrawny stylistą weźmie na siebie raczej wszystko inne niż kiepskie wiersze. Ale chodziło tu o Mary Todd, która była inspiratorką tego figla, czy to przez swawolę, czy przez złośliwość, czy też z wyrachowania. Lincoln czuje się zobowiązany własną osobą zasłonić damę, której winien jest zadośćuczynienie. Nie ulega wątpliwości, że korzysta on z okazji skwapliwie, a ponieważ generał dyszy zemstą i wyzywa swego przeciwnika na pojedynek, Lincoln oświadcza, że aczkolwiek jest stanowczym przeciwnikiem pojedynków i nawet do zajęcia strzelać nie chce, stawi się generałowi, aby go w miarę możliwości zgładzić.

Daleko od miasta, w pobliżu jakiejś pogranicznej miejsciny, spotykają się przeciwnicy rankiem oznaczonego dnia, a spotykają się na pograniczu dlatego, że od czasu gdy Jackson pojedykował się z powodu swej żony, barbarzyńska ta rozprawa jest w stanie Illinois zakazana. Ale chociaż pojedynek jest zakazany, to jednak i tutaj, w Nowym Świecie, stał się on modny, i oto przybywa nań nawet kilku ludzi, aby się przypatrzeć temu wielkie-

mu meczowi. Zgodzono się na szable kawaleryjskie. Lincoln umie używać jedynie siekiery, ale na siekiery pojedynkować się nie można, a szabli do niedawna nie miał nigdy w rękę. Sekundanci wymierzają miejsce po dziesięć stóp długości, na środku leży deska. Tymczasem nasz longinus siedzi na pniaku.

„Jego twarz była skupiona i poważna — pisze świadek naoczny. — Nigdy nie widziałem, aby tak długo milczał i nie opowiedział jakiejś historyjki. Pochylił się naprzód, wyjął jedną z szabel z pochwy i przesunął po niej kciukiem jak po klindze brzytwy. Powstał, wyciągnął swe długie ramię i machnięciem szabli obciął gałąź zwisającą mu nad głową. Żaden inny nie byłby mógł sięgnąć tak wysoko i absurdalność faktu, że ten olbrzym ma się zmierzyć na szable z malutkim człowieczkiem, pobudzała mnie do burzliwego śmiechu. Gdy z westchnieniem wsunął szablę z powrotem do pochwy, spostrzegłem, że powieki jego mrugają szybko, jak zwykle, gdy zbierał się, żeby opowiedzieć jakąś anegdotę. Czekałem, czy wobec bliskiej śmierci swego przeciwnika opowie on jakiś wesoły kawał“. Lecz ostateczne układy doprowadziły do porozumienia, każdy z przeciwników złożył odpowiednie oświadczenie i wszyscy z zadowoleniem pojechali do domu.

Życie człowieka o takim charakterze jak Lincoln obfituje zawsze w sceny ironiczne. Nie ma wśród nich sceny piękniejszej nad tę właśnie. Oto przeciwnik łowiectwa i wojny, który jako żołnierz dokazał tylko tego, że jednemu z nieprzyjaciół uratował życie, ale ani jednego nie zabił, siedzi, ogromny jak Goliat i poczciwy jak Dawid, na pniaku i myśli o tym, że trzeba będzie zabić starego oficera, jeśli się nie zechce zginąć samemu, i po raz pierwszy próbuje szabli. Ale zamiast jeszcze naprędcie poćwiczyć się w machaniu szablą, jak ćwiczył się

wczoraj, cóż on robi? Budzi się w nim drwał i instynktownie ramię jego obcina gałąź drzewa zwisającą mu nad głową, jak gdyby mieszkał jeszcze w Indianie i jak gdyby jakiś krzepki drab siedzący nad nim wyzywał go do cięcia. Wtem przypomina mu się jakaś doskonała historyjka, więc mruga oczami i gotów byłby ją opowiedzieć, lecz oto dochodzi do porozumienia i tragedia staje się komedią.

Ale niezupełnie, bo jeśli z tego niedoszłego pojedynku wyszedł on bez szwanku, to jednak spotkanie to zadecydowało o losie jego życia. Rycerskość jego pojednała z nim dziewczynę całkowicie; wobec swoich może o nim napomykać jako o rycerzu, cała ta sprawa zbliża oboje na nowo, ludzie się śmieją, winszują sobie, a wreszcie winszują także i im. Bo gdy Lincoln widzi, że panna myśli o nim jeszcze, nie waha się ani chwili ożenić się z nią. „Wiedział, że jej nie kocha, ale przyrzekł ożenić się z nią“ — tak tłumaczy Herndon, który mieszkał z nim wówczas, jego decyzję. Drugiemu przyjacielowi, który był zarazem jego drużbą, powiedział Lincoln wszystko: „Jimmi, ja się muszę z tą dziewczyną ożenić“. W dniu zatargu z Shieldsem dziwacznymi literami wypisywał sobie zestawienie głosów, jakie w latach ostatnich padły na niego, aby sobie unaocznic, jak liczba tych głosów stale wzrastała. Papier ten kazał urzędowo poświadczyć i zapieczętować, a kopertę przewiązał różową wstążką. Chciał więc może pokazać swej damie, że jeszcze ciągle godzin jest jej uwagi.

Lecz bezpośrednio przed skokiem w wodę Lincoln zaczyna drżeć wobec pytania, czy posiada dość siły, aby wszystko wytrzymać, i zaufanemu przyjacielowi Speedowi stawia zdumiewające pytanie „w sprawie, która jak wiesz, napawa mnie nieopisanym lękiem. Te okrutne cierpienia, jakie od początku września do połowy



lutego znosić musiałeś, dawałeś mi poznać, a ja rozumiałem cię zawsze doskonale. Teraz jesteś od niemal ośmiu miesięcy mężem czarującej kobiety. Że jesteś szczęśliwszy niż w dniu wesela, o tym wiem, bo inaczej żyć byś nie mógł... Pomimo to muszę ci w tej chwili przedłożyć pytanie bardzo trudne: Czy jesteś teraz zarówno uczuciowo, jak i rozumowo zadowolony z ożenku, czy też nie jesteś? Gdyby ci pytanie takie zadał ktokolwiek inny, musiałbyś je uważać za impertynencję, ale mnie je wybaczysz. Proszę, odpowiedz mi szybko. Z niecierpliwością czekam na twoją odpowiedź“.

Tak oto dygocą nerwy człowieka, który obawia się, czy sprosta obowiązkom serca i ciała, boi się utraty wolności, skrępowania nowymi obowiązkami, gdy o pewnej godzinie trzeba będzie w odpowiednim ubraniu być na oznaczonym miejscu, a z każdego nastroju usprawiedliwiać się i za wszystko przeproszać. I na co to wszystko? Aby mieć żonę, której istota jest mu zgoła obca? Nic go ku niej nie pociąga, a dwa lata temu uciekł od niej pod wpływem rozpaczliwej decyzji. A teraz ona sama nalega, aby ślub odbył się jak najprędzej, pogania szwagra, aby się śpieszył z przygotowaniami z dnia na dzień, zrzeka się kwiatów i uczyty, domaga się jedynie obecności duchownego przy ślubie i oto sprawa jest tak daleko, że Lincoln odwiedza pewnego ranka swego przyjaciela, gdy ten leży jeszcze w łóżku, i mówi do niego: „Dzisiaj się żenię“.

Gdy pamiętnego dnia lipcowego stoją przy ołtarzu, on, olbrzym trzydziestotrzyletni, ona mała dwudziestoczteroletnia niewiasta, to łatwo zauważyć, że on nie wygląda na człowieka szczęśliwego, a po ślubie będzie przyjaciołom swoim opowiadać rozpaczliwie komiczne rzeczy. Przy niewielkim stole biesiadnym był podobno dość wesoły i miał opowiadać anegdoty. W każdym ra-

zie był to piątek, a oboje państwo młodzi byli w najwyższym stopniu zabobonni. W jednym z listów Lincolna można było niebawem potem wyczytać zdanie:

„U nas nic nowego prócz mego ożenku, który jest dla mnie sprawą głębokiego zdumienia“.

## VIII

Drugą przyjaźń zawarł Lincoln niedługo potem z Herndonem, żywym i rozmownym obrońcą niewolników, który z obawy przed zemstą uciekł w owym czasie z domu i przybył do Springfield, a za radą Lincolna zabrał się do studiowania prawa, aby następnie stać się jego przyjacielem i jednym z najpierwszych wielbicieli. Lincoln zaufał mu bardzo rychło, a przyjaźń ich trwała do samej śmierci. Rozum i dzielność czyniły zeń pożądanego współpracownika przy robocie, idealizm czynił zeń cennego towarzysza w polityce i w sprawie najważniejszej, a humor i ironia zalecały go zawsze. Ponieważ Herndon był o cały dziesięć lat młodszy od Lincolna, który liczył sobie właśnie lat trzydzieści i kilka, więc starszy miał dla młodszego uczucie iście ojcowskie i po raz pierwszy w życiu przypadła Lincolnowi w stosunku podobnym rola kierownicza.

Albowiem jeszcze i Loghan, który po rozejściu się Lincolna ze Stuartem stał się jego współnikiem, był jego nauczycielem jako surowy jurysta, który na pomocnika potrzebował dobrego mówcy, ale z człowiekiem bez zewnętrznej poprawności zbyt długo pogodzić się nie mógł. A Lincolnowi brakło właśnie wszystkiego, co podziwiał w swoim przełożonym: wytrwałości, dokładności, pilności. Pomimo to nauczył się od swego nowego nauczyciela bardzo wiele i po raz pierwszy w życiu zarabiał dość,

aby opędzać potrzeby własne i żony. Imię jego partnera, jego własny rozgłos polityczny, szybki rozrost miasta, które teraz budowało sobie własny Kapitol — wszystko to razem przyczyniało się do szybkiego rozwoju firmy adwokackiej i obaj wspólnicy byliby się może świetnie uzupełniali, gdyby nie byli politycznymi konkurentami i gdyby polityka nie była ich z sobą skłóciła.

Po tym zerwaniu ukazała się w mieście tabliczka nowa, na której imię Lincolna stało na pierwszym miejscu, a imię wspólnika na drugim: „Lincoln i Herndon“. Tabliczka ta wisiała gdzieś na drugim piętrze na drzwiach niedużej izby, gdzie stały dwa zielone stoły zestawione w kształt litery T, szafa z książkami, stare biurko z licznymi przegródkami i długa sofa, zawsze nieco przykrótka dla Lincolna i mocno już rozklekotana. Takie było urządzenie tej izby, w której nie panował zbyt rygorystyczny porządek. Gdy kiedyś od zarządu partii przysłano kilka worków nasion dla zwolenników politycznych i gdy trochę ziarna wysypało się na podłogę, to nasiona znalazły na niej grunt dość podatny, aby zakiełkować.

Uczciwość Lincolna stała się przysłowiowa. Nikt, nawet jego partner Herndon, nie byłby wpadł na pomysł, aby od Lincolna żądać regularnego prowadzenia kasy. „Siadaj pan, oto pańska połowa“ — mawiał Lincoln, gdy nadchodziło honorarium, i dzielił papierki. Razem z jego uczciwością wzrastała z latami jego wrodzona dobroć, zamiast, jak to bywa u ludzi dziwaczkich, zmniejszać się stopniowo. Dobroć ta kłóciła się nieraz z jego powinnościami adwokackimi. Gdy pewnego razu bronił starca, któremu jacyś dwaj młodzieńcy zabrali wóz i nie zapłacili zań, to popierał on argumentację partii przeciwnej, że młodzieńcy ci nie byli jeszcze pełnoletni, i wstawiennictwem swoim potrafił życzliwie

usposobić sąd do oskarżonych, aby sędziowie nie skazywali ich na więzienie i nie wykolejali w latach młodości. Albo do klienta, którego sprawa jest zgoła pomyślna, powiada: „Sprawę pańską mogę wygrać i zyskać dla pana 600 dolarów, o które chodzi, ale tym samym pograżymy uczciwą rodzinę w nieszczęściu. Ja tego nie zrobię. Nie przyjmę więc ani pańskiej sprawy, ani pańskiego honorarium. Zaś gratis udzielę panu takiej rady: Niech pan idzie do domu i niech pan dobrze pomyśli, czy nie dałoby się zdobyć 600 dolarów w sposób uczciwy“.

Szlachetność i czystość tych sądów salomonowych na tle praktyki owych twardych czasów i ludzi walczących ze sobą ostro i bezwzględnie wyróżniała się jaskrawo i w trzydziestym piątym roku życia przyniosła Lincolnowi tak samo, jak przed laty dziesięciu, przydomek dziwaka. Ksiąg prawniczych studiował on niewiele, nie lubił się rozczytywać w orzecznictwie sądów wyższych, potrzebne wiadomości zdobywał sporadycznie, polegał na jasności sprawy, na zdrowym rozumie sędziów i na własnym niezawodnym poczuciu sprawiedliwości, które bardzo wcześnie rozwinęły w nim znojna młodość i ociężała jego natura. Nie bardzo też interesował się sprawami pieniężnymi: ściąganie honorariów było sprawą młodszego współnika. Lecz gdy pewnego razu przybył do niego urzędnik, aby po wielu latach zażądać zwrotu 17 dolarów należnych od dawnego poczmistrza, otworzył Lincoln kuferek i wyjął z niego nieduży mieszek, w którym suma owa była z roku na rok przechowywana na zawołanie.

Także w sądzie przyjaciele nazywają go dziwakiem i człowiekiem osobliwym: „Nie trzymał się żadnego systemu, nie dbał o porządek w sprawach zewnętrznych, nie miał pisarza ani biblioteki, nie prowadził spisu ani



księgi kasowej. Jeśli chciał przechować jakieś notatki, to wkładał je do szuflady, do kieszeni od kamizelki albo do kapelusza. Podczas więc gdy poza jego głową wszystko było anarchią, w głowie panowała symetria i metoda. Nie potrzebował ani biurka, ani pióra i atramentu, ponieważ warsztat jego mieścił się w głowie, bo główna część jego pracy polegała na pogłębianiu samego siebie“. Niebawem kapelusz Lincolna stał się głośny jako skład czeków i listów, a do pewnego klienta pisał, tłumacząc się z opieszałości: „Po pierwsze, miałem dużo roboty, po drugie, włożyłem pański list w swój stary kapelusz, a ponieważ potem kupiłem sobie kapelusz nowy, więc list pański straciłem z oczu“. Prócz tego miał na biurku kopertę z napisem: „Jeśli tego nigdzie znaleźć nie możesz, to zajrzyj jeszcze tu!“

Przy takich właściwościach charakteru mógł on znosić obok siebie tylko ludzi młodszych od siebie. Swego współpracownika Herndona nazywał po prostu dalej Billy, a ten odpowiadał: panie Lincoln. Ale nigdy nie bawił się Lincoln w jakąś pańskość i do biura wchodził na przykład z pytaniem: „Bill, co to jest antyteza?“ W ogóle oryginał ten nie krępował się w swej pracowni niczym; z rana, leżąc na sofie, czytywał gazety na głos, w ciągu jednego dnia różnym swoim klientom powtarzał te same anegdoty albo też przez dwa dni z rzędu nie pozwalał zawracać sobie głowy aktami i uzbrojony rysunkami, liczbami, linią i cyrklem próbował rozstrzygnąć kwadraturę koła.

Czyż trzeba się dziwić, że każdy mu ufał? Proboszcz, który przynosi mu sumę na hipotekę, nie każe się zapisywać i nie żąda pokwitowania. Dwaj farmerzy, którzy wiodą ze sobą spór o kawałek pola, zobowiązują się dobrowolnie, iż-poddadzą się rozejmowi Lincolna, bo tego typu ludzie, których na Zachodzie było w owych cza-

sach jeszcze sporo, wyczuwają w adwokacie dawnego farmera, który nie przemawiał do nich z góry jako uczoney, ale jako towarzysz niedoli stał na jednym z nimi poziomie i przemawiał do nich ich własnymi słowami i własnym ich narzeczem. Bo czyż nie wygląda on jeszcze i dzisiaj jak przebrany farmer?

Ubierał się bowiem, jak przystało na młodego małżonka; trzewiki miał z miękkiej cielejącej skórki, na szyi nosił porządny kołnierzyk i krawat, a głowę nakrywał wysokim cylindrem, który czynił go jeszcze wyższym. Tylko że żadna z tych rzeczy nie pasuje do niego: kamizelka jest zawsze pomięta, spodnie wygniecione na kolanach, bo ich nie oszczędza, kołnierzyk jest zbyt luźny z powodu wystającej grdyki, krawat przekrzywiony jest na bok. Tak oto staje przed ludźmi z obwisłymi ramionami i rękami, z głową pochyloną nieco i podaną naprzód, a gdy patrzy na bliźnich swymi dużymi, szarymi oczami, to albo myśli o czym innym, albo też zagląda im w serce.

## IX

Mary przyniosła mu ze sobą zrazu niejeden zysk. O ile mało interesowały ją sprawy adwokackie, o tyle żywo zaciekawiała ją polityka, osobliwie personalia polityków, gdyż od pierwszego dnia nie odwracała oczu od kariery, dla której zrealizowania wyszła za Lincolna. Ponieważ serce jej było chłodniejsze, a jej nieufność czujniejsza niż jedno i drugie u niego, ponieważ motywy działań ludzkich traktowała z większym sceptycyzmem, a przeto ostrożniej od niego, przede wszystkim zaś szybciej je odgadywała, więc jej świadoma swych celów natura w życiu światowym musiała górować nad jego usposobieniem kontemplacyjnym. W każdym człowieku wi-

działa ona przede wszystkim współzawodnika w dążeniu do celu, on zaś w każdym współzawodniku nawet widział przede wszystkim bliźniego, gdyż oboje oceniali świat i ludzi podług samych siebie. Mary musiała więc na usposobienie męża, opieszale i bierne, oddziaływać jak ostry bodziec, a w sprawach politycznych dnia bieżącego było to stanowczo sprawą ważną i cenną.

W domu ulegał jej bardzo chętnie, śmiał się z niej, gdy ona się irytowała, a jeśli irytacja trwała zbyt długo, wybierał się na spacer. Liczył się też z jej słabostkami, śpieszył do domu, gdy nadciągała burza, aby być przy niej, i nie przestawał jej uspokajać, gdy bezustannie wyrażała obawy przed włamywaczami i złodziejami. Ponieważ oboje byli bardzo zabobonni, przeto dzielili się swymi spostrzeżeniami, ale rzecz charakterystyczna: ona po kobiecemu trzymała się różnych „znaków“, on zaś obyczajem męskim wierzył w sny.

Zrazu musiała zaciskać zęby i przymykać oczy, bo utrzymywać się za cztery dolary tygodniowo i mieszkać w dwóch izbach zajazdowych było dla niej, pochodzącej z bogatych Toddów, rzeczą niełatwą, a gdy on obstawał przy swoim, że tak być musi, gdyż ma jeszcze długi do spłacenia, to pewno nieraz pomyślała, że może jednak lepiej było wyjść za człowieka bogatego. Droga do obranego celu wydaje się jej zbyt długa, środki zbyt małe, trudności zbyt wielkie i powszednie. Cel zdaje się znikać gdzieś daleko. Dobrze więc, że niebawem staje się matką, aby imię dumy rodowej miało swego przedstawiciela. Ani słyszeć nie chce o tym, aby jej wyczekiwany syn miał otrzymać imię Jozue po przyjacielu męża, Speedzie; obstaje przy tym, aby synowi jej było na imię Robert, jak jej ojcu, a w ciągu lat ani jednemu z synów Lincolna nie zgadza się dać imienia ojca albo imienia jednego z jego krewnych i dopiero ostatniego

syna chrzci imieniem ojca męża, a to dlatego jedynie, że ojciec ten właśnie umarł. Bo w ciągu dziesięciu lat ambitna ta kobieta zdawała się być stworzona na to, aby rodzić samych synów, jak lady Macbeth.

Przyjaciół umie trzymać z dala od siebie, osobiwie ich żony. Przesyłane przez Lincolna „pозdrowienia dla Fanny“ zamieniły się niebawem w „ukłony dla mrs. Speed“. Herndona, codziennego współpracownika swego męża, nienawidzi Mary od pierwszego walca przetańczego z nim w Springfield. Na próżno starała się nie dopuścić do powstania nowej firmy i w ciągu wielu lat przechodziła obok jej biura bez ukłonu, lecz z suknią uniesioną, jakby dla zaznaczenia, że z tymi ludźmi nie chce mieć nic wspólnego. Zresztą Lincoln stał się zbyt doświadczonym człowiekiem, aby miał i dzisiaj jeszcze, jak niegdyś, wypowiadać się na piśmie o swoim małżeństwie. Do Speeda pisze dopiero po dwóch miesiącach takie dwuznaczne słowa: „Jak jest z życiem małżeńskim, o tym powiem ci, gdy się z tobą spotkam“. Następnie robi mocno humorystyczną uwagę o odmiennym stanie swej żony i na ojcostwo spogląda zrazu ze strony prozaicznej: „bo prócz ubóstwa i konieczności pozostawania w biurze także i te nadchodzące sprawy nie pozwolą mi przybyć do Kentucky“.

Niebawem środki Mary i hipoteka na jej domu umożliwiają zbudowanie własnego białego domku, który pani domu prowadzi nienagannie. Jest ona oszczędna, pilnuje domu, sama wszystko szyje, a gdy się dorabiają, a mąż dużo rozdaje, zgoła inaczej niż ludzie, którzy byli ubodzy i sami się dorobili, to pani domu skreśla mu połowę wszystkich sum przeznaczonych na jałmużny. Na to Lincoln odpowiada starym i skutecznym trikiem politycznym i proponuje od razu dwa razy tyle, ile dać zamierza, aby przynajmniej połowę uratować.



Ale jak tych dwoje ma się do siebie przystosować? Czyż nie lubi on siadywać przy stole bez marynarki i czyż nie zrywa się, aby otworzyć, gdy dzwonią? Tego żona nie znosi, bo lubi formy, a on ma je za nic. W jaki sposób ma sobie dawać radę z mężem taka kobieta świadoma swoich celów, drobiazgowa i wychowana w wielkim świecie, gdy ten mąż jest wprawdzie bardzo poczciwy, ale niepunktualny, delikatny i wesoły, ale roztargniony i zapominający o wszystkim? Czy nie wy-leguje się najchętniej w salonie na dywanie, tak że obok tego długonogiego człowieka trzeba zataczać koło, aby się nie wywrócić o jego nogi? Tak samo lubi się bawić z dziećmi na ziemi, a w towarzystwie wyrwie się na przykład z przechwałką, że sucharki umie jeść tak szybko, iż dwie niewiasty nie nadażyłyby je piec dla niego. Ponieważ ma krowę, podobnie jak jego sąsiad szewc, czemuż nie można by jej podoić, gdy się ma na to czas? Czy dlatego może, że się jest adwokatem i zasiada się w parlamencie? Dlaczego nie można by się zabrać do dojenia w starych spodniach zawieszonych na połowie szelek, w ciężkich prostych pantoflach i tak sobie oto paradować z kubłem mleka po podwórzu?

Ale na taki widok kurczy się dobrze wychowane serce pani, komizmu takich sytuacji nie umie ono pojąć i dostaje przypadłości nerwowych, gdy pan małżonek otwiera drzwi dwóm eleganckim paniom i powiadamia je: „Moja żona zaraz przyjdzie. Ale naprzód musi się wysztafirować!“ — Lepiej jest panować, niż być dowiecipnym, myśli ona, a gdy pewnego razu zostaje zaproszona na przejażdżkę powozem, a przedtem musiała pokłócić się ze służącą, odzywa się gniewnie, siadając do powozu: „Gdyby Lincoln miał umrzeć przede mną, to dusza jego musiałaby mnie szukać w stanie, gdzie można trzymać niewolników! Tylko tam by mnie znalazła“.

Wyborne słowo, rzucające blask na setki rozmów, bo w tym żarcie tkwi tragiczna prawda. Jeśli ta kobieta, tak żadna władzy, daje pierwszeństwo czarnym niewolnikom przed służbą białych, to w słowach jej wypowiedzi się cała wielkopańska tradycja Południa, tradycja, w której została wychowana. Opuściła ją, rzecz osobliwa, dla człowieka, którego cała istota zwraca się do walki z panami tej tradycji.

Z dziećmi postępuje on w swój sposób powolny, jaki uważa za właściwy, a ich pretensje przecza. Zdaniem jego winny się one uczyć przyzwoitości, a nie jej form. Zresztą, do pokoju dziecięcego zagląda z humorem. „Mamy drugiego chłopaka; jest prawie taki sam, jak Bob w jego wieku, ale zdaje się, że będzie z gatunku dłuższych. Bob jest niski i przysadzisty i zawsze bodaj takim zostanie... Jest już bardzo roztropny i czasem boję się, czy nie będzie taki jak te dzieci, co zbyt szybko dojrzewają i w piątym roku życia są mądrzejsze niż w całym późniejszym życiu. Ma w sobie dość takich przywar, jakie cechują ten gatunek ludzi. Gdy list ten zaczynałem pisać, przyszedł ktoś z wiadomością, że Boba nie ma. Tymczasem jego matka odszukała go i sprząła należycie, a teraz zbiegł on niezawodnie po raz drugi“. Opowieść ta jest pełna takiego ironicznego wdzięku i jest w niej tyle subtelnej znajomości ludzi, że nie dostrzega się mnóstwa nutek, które się tu odzywają, szczególnie zaś nutki rezygnacji.

Albowiem w słowach Lincolna od czasu zawarcia małżeństwa nuta melancholii nie przycicha, ale się wzmacnia. Kogóż on kocha? Zazdrość żony odwraca od niego przyjaciół, z bratem ma niewiele wspólnego, ojcu posyła czasem trochę pieniędzy, a gdy razu pewnego jego rodzina pragnie przyjechać do niego w odwiedziny, żona nie dopuszcza do tego. Niejeden widywał

go w biurze, jak siadywał na krześle przysuniętym ku ścianie, obejmując rękami wysoko podniesione kclana i całymi godzinami spoglądając przed siebie oczami pustymi, ocienionymi kapeluszem, którego nie zdejmował z głowy. W takich godzinach nikt nie odważał się przemówić do niego. Jeśli pisze lub przepisuje wiersze i uczy się ich, to zawsze są one melancholijne.

„Tak krótko przecież trwa wędrówka nasza,  
 Takie niedługie życie jest. Więc po co  
 Człek tyle sił i pragnień swych rozprasza,  
 Gdy trud i dzień się kończą śmierci nocą?  
 Wnuk idzie drogą, którą dziad szedł stary,  
 Skroś słońca blask, to znowu w cieniach chłodu,  
 Z pałacu tylko jeden krok na mary...  
 Czyż życie warte trudów i zachodu?“

Podczas jednej z podróży politycznych zwiedza Lincoln Indianę, swój drugi kraj rodzinny, „gdzie matka moja i siostra są pochowane i gdzie nie byłem już piętnaście lat. Kraina jest bardzo prozaiczna, ale gdy ujrzałem dawnych ludzi i dawne okolice, stałem się bardzo poetyczny. Czy z uczuć tych powstały prawdziwe poezje, to już inna sprawa, ale uczucia swoje przelałem w cztery utwory wierszowane“. Oto jeden z tych utworów:

„Lat dwadzieścia mija cwałem,  
 Gdy krainie pól i lasów  
 I zabawom dawnych czasów  
 Do widzenia powiedziałem.  
 Gdzież odnajdę tu swe ślady?  
 Braci mam tu już niewiele,  
 Wymierają przyjaciele,  
 Gaśnie radość — nie ma rady!  
 Oczy zgasły, twarze zbladły —  
 Innych żegnał chłopiec mały!  
 Drogie głowy posiwiwały  
 Albo w grób się spać pokładły.

I zmęczone mówią słowa:  
Jakie ciężkie jest konanie,  
Jak bolesne jest rozstanie,  
Gdy brat brata w grobie chowa.  
Krok mój cichy w pustkę dąży,  
W pustkę ściernisk na jesieni  
I w orszaku drogich cieni  
Moja myśl wokoło krąży“.

## X

Po ośmiu latach pracy w parlamencie krajowym po raz pierwszy zwraca się Lincoln ku Waszyngtonowi. Nie stawia już swojej kandydatury w ciasnym kółku miejscowym, bo pragnie wypłynąć na szeroki horyzont narodowy. Ponieważ decyzja ta powstała w nim w pierwszym roku małżeństwa, więc inicjatywę jej należy przypisać żonie Lincoln. Niepisana umowa zobowiązywała kierowników partii do wzajemnego popierania się przy wyborach do Kongresu. Ale ze trzech było kandydatów, a Baker pierwszy przeprowadził swoją kandydaturę, więc Lincoln znowu spotkało rozczarowanie, bo dla swego stanowiska w partii, osobliwie zaś dla swoich uzdolnień, miał prawo czuć się w niej pierwszym. „Gdy teraz popieram Bakera, to podobny jestem do drużby, który najchętniej sam byłby poślubił pannę młodą“. Tymczasem został wybrany kandydat trzeci, Bakera wycofano i po dwóch latach znowu wystawiono jego kandydaturę, tak że Lincoln musiał cztery lata czekać, zanim mógł kandydować do Kongresu. Był to okres między 33 a 37 rokiem jego życia, gdy mężczyzna bywa najruchliwszy i gdy działa z największą energią, a błędy przyjaciół irytują go bardziej od własnych niepowodzeń. Podniętą i bodźcem Lincoln była niezawodnie jego ambitna żona.



W każdym razie przy drugiej kampanii wyborczej razem z wyborcami prezydenta wystąpił Lincoln energiczniej niż dotychczas, popierając Henry Claya. Nie tylko ze względów partyjnych, lecz i dla osobistych sympatii pragnął Lincoln ujrzeć go na czele państwa.

Z każdym rokiem fatalna sprawa niewolnictwa stawała się coraz mroczniejsza i groźniejsza dla stanów. Teksas, uwolniony spod panowania Meksyku, który miał właśnie zostać przyjęty do Unii, uchwalił emancypację niewolników, zażądał jej i otrzymał ją, ale prezydent związał z tą sprawą kompromis, pozostawiając ostateczne rozstrzygnięcie co do tej uchwały nowym stanom utworzonym z Luizjany. Ponieważ sprzeciwiało się to kompromisowi missuryjskiemu i dawało ogromną przewagę Południowi, Clay przeciwstawił się temu jako twórca owego kompromisu missuryjskiego i przedstawiciel Północy.

Razem z tym zagadnieniem czekała na rozstrzygnięcie sprawa, która powstała między aneksjonistami i pacyfistami, a Clay był rzecznikiem połowy narodu, gdy oświadczył: „Aneksję Teksasu w chwili obecnej bez przyzwolenia Meksyku uważam za krok, który wypaczy nasz charakter narodowy i z pewnością uwikła nas w wojnę z Meksykiem, a także z innymi państwami. Sprawa ta jest niebezpieczeństwem dla całości Unii, wielce niepożądana przy naszej obecnej sytuacji pieniężnej, a nawet nie popierana przez opinię publiczną“. Nawet lepsza część oficerów, którzy na ogół wojnę popierają, była tym razem wojnie przeciwna.

Natomiast Polk, demokratyczny przeciwnik Claya, obiecywał narodowi krótką zwycięską wojnę z Meksykiem oraz aneksję kwitnącego Teksasu i dlatego przez całe Południe wynoszony był pod niebo. Bo i to przyczyniało się do wojny o niewolników, po której zwycię-

skim zakończeniu Wirginia i Południowa Karolina spodziewały się przyrostu niewolników i bawełny oraz pomnożenia pieniędzy. Tak więc w tej walce wyborczej, w której działał Lincoln przede wszystkim jako mąż zaufania swej partii, uczucia jego były bezwzględnie i bez zastrzeżeń po stronie Claya. Mowy, z którymi wędrował obecnie z miejsca na miejsce, były wyrazem jego przekonania, które dojrzało w nim od bardzo dawna. Walczył nie tylko o pomyślność państwa, ale także o to, co jego zdaniem było sprawiedliwością i gwarancją szczęścia ludzkiego. „Nigdy nie przypuszczałem — pisze w jednym z listów z owych czasów — aby z aneksji mogło powstać coś dobrego, bo przecież tamci są także ludem wolnym, jak i my. Z drugiej strony nie byłbym sądził, że aneksja spotęguje zło niewolnictwa... Jakkolwiek brzmi to bardzo paradoksalnie, za pierwszy nasz obowiązek uważam przez wzgląd na Unię, a może i przez wzgląd na wolność, pozostawienie sprawy niewolnictwa decyzji stanów zainteresowanych. Żresztą ani pośrednio, ani bezpośrednio nie powinniśmy przyczyniać się do powiększenia granic niewolnictwa czy bodaj stwarzania dla niego nowych podstaw, skoro nawet na podstawach dawnych już się ono utrzymać nie może“.

W notatkach swoich z owych czasów, robionych przy układaniu przemówień, znajdują się potężne argumenty, mądre i popularne zarazem, które można by nazwać sokratesowskimi: „Jeśli A może dowieść, że ma prawo z B uczynić niewolnika, dlaczego B nie miałby mieć tego samego prawa? Powiadasz, że A jest biały, B — czarny. A więc chodzi tu o sprawy koloru i o to, że ludzie jaśniejsi mają prawo robić z ludzi ciemnoskórych swoich niewolników?... Pilnuj się tedy, abys się nie stał niewolnikiem pierwszego lepszego, jeśli na drodze spotkasz człowieka o cerze jaśniejszej od twojej... A więc

nie o kolor chodzi — powiadasz? Twierdzisz, że biali są mądrzejsi od czarnych? Miej się na baczności, bo przy najbliższej sposobności możesz się stać niewolnikiem kogoś, kto jest mądrzejszy od ciebie. A teraz wywodzisz znowu, że jest to kwestia interesów! Jeśli odpowiada to twoim interesom, to możesz innego człowieka przemienić w niewolnika. Ale w takim razie i on miałby prawo, aby z tych samych względów uczynić niewolnika z ciebie!“

Albo bierze obraz z natury, dobrze znany każdemu farmerowi, i za pomocą prostej logiki wyprowadza z niego prawo Murzynów do rewolty. „Mrówka, która z wielkim trudem przydźwigała do mrowiska okruszynę, będzie jej broniła przeciw każdemu napastnikowi. Nawet najbardziej tępy i najgłupszy niewolnik, jaki kiedykolwiek harował na swego pana, wie dobrze, iż wyrządzą mu krzywdę. A chociaż pozapisywano całe tomy, aby dowieść, jakie to w gruncie rzeczy świetne urządzenie — niewolnictwo, to jednak nikt z dobrej woli nie chce się stać uczestnikiem tego świetnego urządzenia. Większa część rządów opiera się na odmawianiu ludziom jednakich praw... nasz rząd zaczął od tego, że proklamował równość praw dla wszystkich. Mówią nam, że nie brak takich, którzy są zbyt ciemni lub niegodziwi, aby mogli współrzędzić. Odpowiadamy, że to możliwe, ale za pomocą pewnego systemu chcecie ich nadal w takim stanie utrzymać, my zaś wolelibyśmy dać im sposobność, aby ze słabych stali się silnymi, z głupich mądrymi i abyśmy się wszyscy razem stali lepszymi. Spróbowaliśmy tego na sobie i udało się nam. Przypatrzcie się tej sprawie i zastanówcie się nad nią!“ A w dniu urodzin Waszyngtona streszcza podobne wywody swoje w takim zdaniu: „Jedynym zwycięstwem, jakim powinniśmy uzupełnić zwycięstwo jego, byłoby to, abyśmy mogli proklamować, że na całym bożym



świecie nikomu nie wolno być niewolnikiem i pijakiem!“

Razu pewnego w owym czasie przypadek spletał mu zgoła osobliwego figla. Nie dość dobrze zorientowany, przyjął sprawę jakiegoś właściciela niewolników, który zaskarżył zanego lekarza za to, iż ten udzielił przytułku zbiegłemu niewolnikowi. Tenże sam lekarz zwraca się także do Lincolna z prośbą o obronę. Lincoln jest wzburzony, a lekarz dowiedziawszy się, jak rzeczy stoją, czyni mu wyrzuty. Po paru godzinach Lincoln posyła do niego z wiadomością, że tamtą stronę odrzucił i może mu służyć obroną. Za późno, bo lekarz postarał się już o innego obrońcę; Lincoln staje się tylko doradcą strony skarżącej, a gdy jego kolega przemówił, broniąc interesów właściciela niewolnika, Lincoln wygłasza drugą mowę i mową tą pograża ostatecznie sprawę, której miał bronić: właściciel niewolnika zostaje skazany, lekarza uniewinniono. Tyle tylko, że skazany ulatnia się i nie płaci!

Wszystkie myśli Lincolna o Murzynach wywodzą się z jego rozważań o uciśnionych białych. Społeczne odczucie Lincolna zrodziło się z goryczy młodości pełnej rozczarowań i pogłębiało się w miarę, jak poznawał życie społeczeństwa. Toteż uwagi jego na tematy społeczne są sprawiedliwe i trafne. „Nie ma u nas żadnej permanentnej klasy robotników najemnych. Przed dwudziestu laty byłem takim najmitą. Dzisiaj pracuje każdy dla samego siebie, a jutro najmie innych, aby pracowali dla niego... Ponieważ praca jest wspólnym obowiązkiem całej naszej rasy, przeto wszelkie zakusy zepchnięcia tego obowiązku na barki innych są wiekuistym przekleństwem naszej rasy. Skoro najcenniejsze dobra wytwarzane są przez pracę, więc z tego wynika, że powinny one należeć do tych, których praca je wytworzyła. Pomimo to po wszystkie czasy część ludzkości pracowała, a inni, gnu-



śne pasożyty, próżnując, tuczyli się owocami jej pracy. Jest to niesprawiedliwe i nie powinno się to utrzymać na przyszłość. Celem każdego dobrego rządu winno być zabezpieczenie każdemu robotnikowi pełnego zarobku za jego pracę albo prawie pełnego“.

Zdania podobne notuje sobie Lincoln podczas podróży swoich jeszcze przed rewolucjami europejskimi w roku 1848, a czerpie je z dzielnego, odważnego rozumu, z serca szlachetnego filantropa i z takiej dokładnej znajomości stosunków życiowych, która narzuca mu zastrzeżenie „albo prawie pełnego“. W zdaniach tych zawierają się proroctwa reformatora, który wypowiadał je o ćwierć wieku za wcześnie dla czarnych i o pół wieku za wcześnie dla białych. Także dla umiaru i rozumu Claya Ameryka nie była wtedy jeszcze dojrzała. Ten znakomity mąż stanu i tym razem, jak przed ośmiu laty, pokonany został w wyborach przez demagoga, którego imienia ludzkość dzisiaj już nie wspomina.

Zaś imię Lincolna wyplęło w toku kampanii wyborczej. Czasy były bardzo proste: obaj przedstawiciele przeciwnych stronnictw jeździli, często jednym powozem, z miejsca na miejsce, zamieszkiwali w jednym domu i kazali rozgłaszać, że przyjechali mówcy. Wtedy wszyscy zbiegali się z pola do miasteczka, jeden z mówców sadowił się na murze albo włożył na płot, wygłaszał przemówienie i spokojnie pozwalał przemawiać przeciwnikowi. Wszyscy widzieli, że głosy zdobywa się najpewniej w zamian za osobiste uprzejmości, osobliwie względem niewiast, które zwracały na mówców baczną uwagę i kroki swoich mężów ostro kontrolowały. Zdarzyło się pewnego razu, że obaj agitatorzy przeciwnych obozów usiłowali pozyskać dla swoich partii farmerkę pod nieobecność jej męża. Ale niewiasta nie daje się wziąć na żadne obietnice, odwraca się od mówców

i idzie do obory doić krowę. Ci za nią! Demokrata jest tak dalece uprzejmy, że wyręcza gospodynię w dojeniu i jest pewien wygranej, lecz gdy się po chwili odwraca, spostrzega, że tymczasem Lincoln wyzyskując kwadransik czasu zawrócił z gospodynią do mieszkania, aby opowiadaniem wesołych anegdotek przekabacić niewiastę na swoją stronę.

Clay zostaje pobity, ale Lincoln i tę swoją porażkę przyjmuje z humorem. „Przy całej mojej życzliwości dla Claya i pragnieniu jego zwycięstwa miałem jednak niezgorszego pietra jako mówca przedwyborczy wobec wstrętnych manewrów demokratów. Miałem przed sobą kampanię sześciotygodniową i musiałem się liczyć z tym, że mi nieraz wypadnie przemawiać dwanaście razy dziennie. Co do przekonań moich, byłem ich pewien, ale nie będąc Douglasem, nie byłbym mógł przysiąc, że mając mówić zawsze o tym samym, nie popadnę w kręctwo... Biedny Clay razem ze swoją znaczną mniejszością był przez Polka już dawno pokonany, ja ochłonałem z gniewu, ale ilekroć znajdowałem się sam, zdawało mi się, że słyszę swoją trąbę, odzywającą się z platformy lub z pniaka“.

## XI

Lincoln dojrzał dla Waszyngtonu. Obu kolegom partyjnym ustąpił bardzo niechętnie i nawet dzisiaj, po czterech latach czekania z jego strony, przyjaciele partyjni mniemali, że ich ustępliwy kolega i tym razem da się usunąć. Gdyby za kulisami nie była działała jego energiczna żona, to Lincoln i tym razem nie byłby dotarł do celu. Porzuca teraz nawet praktykę adwokacką, aby wszystkie siły poświęcić akcji przedwyborczej, pi-

suje do przyjaciół i obcych, aby ich dla siebie pozyskać. a chociaż przy swoich 37 latach jest w pełni sił męskich i pragnie więcej dokonać niż dawniej, to jednak energia, jaką obecnie rozwija, jest stanowczo w stylu Toddów. Jego ambitną działalność lat następnych śmiało można przypisać jako zasługę jego żonie.

„Słyszał pan niezawodnie — pisze on do pewnego wpływowego działacza — że generał Harding i ja współubiegamy się o nominację wigów na Kongres z naszego okręgu. On już raz posłował, więc ja argumentuję: Raz ty, raz ja. Cieszyłbym się, gdyby ten argument trafił i do pańskiego przekonania“. Podobnie pisuje do wielu znajomych, zaznaczając, że mógłby się wycofać, „ale w danych warunkach zdaje mi się, iż ustąpiłbym przeciwnikowi, który bez wahania poświęciłby mnie dla siebie. Na to nie zgodziłbym się łatwo. Że Harding jest utalentowany, energiczny, na ogół też hojny i wielkoduszny, o tym mówiłem już dawniej i temu nawet dzisiaj nie przeczę, ale uważam to za sprawę prostej przyzwoitości, aby raz posłował jeden, a potem drugi. A na to właśnie nie zgadza się mój konkurent. Jeśli zechciałby mi pan poświęcić parę chwil czasu, to prosiłbym o wiadomość, jakie są widoki w tamtym dystrykcie, oraz o podanie mi nazwisk naszych zwolenników, abym mógł do nich napisać w sposób odpowiedni. Jeśli nie znajdę nikogo, kto by mi tę usługę wyświadczył, to przy swojej dawnej liście Harding mnie ubiegnie“.

W taki to sposób wciągnięty zostaje do ostrych walk partyjnych człowiek o charakterze lojalnym, nawet skłonny do rezygnacji, gdy budzi się w nim pewność siebie i potęguje ambicja. Pisze nawet tak: „Gdyby ktoś czasem mówił, że Lincoln nie chce kandydować do Kongresu, to proszę pana, aby pan jako mój osobisty przyjaciel zechciał temu zaprzeczyć. Istotnie bowiem kandy-



duję bardzo chętnie“. Wreszcie upragniona nominacja przychodzi, a mianowicie z Nowego Petersburga, który przed dziesiątkami lat przemierzał w ciągu paru tygodni i przy tej sposobności dał się poznać jego obywatelom. Teraz gorączka jego wzrasta jak w wielkim meczu; pisuje dużo listów, czyni zabiegi na wszystkie strony. „Niedawno temu wyraził się ktoś — pisze Lincoln od ręki — że określony dystrykt rozstrzygnie walkę, a ten dystrykt ma być wątpliwy. Czy nie wiadomo panu, kto to powiedział? Niechże mi pan napisze natychmiast, gdy się pan dowie o tym, i niech mi pan o wszystkim doniesie, szczególnie zaś imiona tych, którzy są stanowczo przeciwko mnie“.

Jego kontrkandydat na Kongres był przeciwnikiem niebezpiecznym; był to nie byle kto, bo proboszcz Cartwright, którego połowa Illinois znała z płomiennych mów, a który jednocześnie i Południe reprezentował tutaj lepiej, niż byłby to zdołał uczynić którykolwiek kandydat Północy. Proboszcz ten miał wszędzie zwolenników w kołach kościelnych, uchodził za przyjaciela Jacksona i wygłaszał kazania w niezliczonych gminach. Cóż tedy czyni, skoro Lincolnowi zarzucić nic nie można? Oświadcza on, że Lincoln nie jest dobrym chrześcijaninem. Ponieważ Mary spokrewniona jest z kołami kościelnymi, zaś Lincoln nie należy do żadnej gminy kościelnej, można go uważać dowolnie za członka którejkolwiek sekty albo też nazwać ateistą. Faktycznie, niegdyś przemawiał Lincoln w pewnym kościele przeciwko nadmiernej surowości chrześcijan, którzy pijanych i innych grzeszników traktują zbyt surowo, zamiast dobrocią pozyskiwać ich dla poprawy. I oto teraz politykujący proboszcz wynajduje podstęp.

Wygłaszając w kościele kazanie, wzywa proboszcz do powstania tych wszystkich, którzy nie chcą się dostać



do piekła. Lincoln, który dostrzegł proboszcza, siedzi sam jeden, gdy wszyscy powstali. Proboszcz wywołuje go po imieniu, wywołany musi wstać i tłumaczyć się, do czego zmierza i czego chce. Lincoln odpowiada: „Przybyłem tutaj jako spokojny słuchacz, nie przypuszczałem, że zostanę napadnięty przez jednego z braci. Jestem zdania, że sprawy religijne należałoby traktować z powagą. Sprawa ta jest bardzo poważna, ale nie czuję się powołanym, aby odpowiadać na pytanie, jak odpowiadają inni. Lecz jeśli ksiądz proboszcz pyta mnie bezpośrednio, do czego zmierzam i czego chcę, to odpowiem równie szczerze: Zmierzam do Kongresu i chcę się dostać do niego!”

Tą wspaniałą odpowiedzią zyskał wiele nowych głosów i przeciwnika zaszachował. Tak samo odpowiada, gdy mu zarzucają jego pańskość z powodu spokrewnienia się z rodziną bogatych Toddów: „Starszych obywateli musiałoby rozśmieszyć, gdyby słyszeli, że ja, obcy, ubogi niegdyś chłopiec, bez wychowania, który jako żeglarz pracował za dziesięć dolarów miesięcznie, jestem traktowany jako przedstawiciel bogaczy i arystokratów“. I przy wielkiej znajomości świata nie waha się w tej kampanii wyborczej oświadczyć, że jedynym jego krewnym, jaki przybył do tego miasta, jest pewien człowiek oskarżony o kradzież organków.

Ponieważ wojna z Meksykiem była wtedy nierozstrzygnięta, więc Lincoln w czasie niebezpieczeństwa wzywa wszystkich do walki bez względu na to, jak się zapatrują na tę wojnę i jej przyczyny, oraz bez względu na to, kto jest wodzem w tej wojnie. Wszyscy wigowie, także i przyjaciele Lincoln, poszli na wojnę lub wysłali swoich synów. Także i w tej pozornej sprzeczności, którą reprezentuje, okazała się obosieczność jego myślenia

i brak wszelkiego fanatyzmu. Później będziemy go widzieli występującego przeciwko tej wojnie.

Gdy wreszcie zostaje wybrany do izby niższej, wszystkich zdumiewa ogromna większość głosów, jaką skupił wokół siebie, bo jeszcze nigdy żaden wig nie dostał w Illinois tyle głosów, co on. Nawet Clay nie miał ich tyle. Partia wyznaczyła mu na koszty podróży agitacyjnej 200 dolarów. Po wyborach oddaje jej Lincoln 199 dolarów i 25 centów, powiadając: „Kosztów nie miałem żadnych, bo wszędzie jeździłem na swoim koniu. Tylko na moszcz wydałem 75 centów, bo kilku farmerom trzeba było fundować“.

Pierwszy swój cel Lincoln osiągnął, lecz o tym pisze do swego przyjaciela Speeda tylko jedno zdanie: „Jako poseł na Kongres zostałem więc wybrany, ale chociaż przyjaciółom swoim wdzięczny jestem za ich trudy, muszę się przyznać, że powodzenie to nie zadowoliło mnie tak, jak się tego spodziewałem“.

Na ludzi żyjących raczej wyobraźnią niż rzeczywistością osiągnięcie celu nie wywiera niby zbyt silnego wrażenia, bo marzenia ich zawsze przewyższają rzeczywistość. Spoza tego wyznania zdaje się wyzierać wyznanie inne, uczynione temu samemu przyjacielowi, o owych marzeniach elizejskich, które przewyższają wszystko, co ziemia dać może. Te same doświadczenia, jakie poczynił z kobietami, powtarzają się w dziedzinie władzy i wszystko już odtąd będzie w jego życiu takie, jakie jest w miłości i w ambicji. Taki jest los poety.

## XII

Mary była szczęśliwa. Przy boku swego męża, wybranego przez naród, mogła się przechadzać po ulicach Waszyngtonu i niezawodnie skłonna była podzi-

wiać w nim stolicę, pomimo iż miasto to około roku 1850 pełne było stajen i obór, zwierząt i brudu. Z galerii Kapitolu mogła się przyglądać miejscu zajmowanemu przez jej męża, a zarazem mogła się napatrzeć na znakomitych mężów, których imiona już w latach dziewczęcych napełniały jej serce niepokojem i zawiścią. Mogła też okiem krytycznym przyglądać się paniom, które przy boku posłów zagranicznych dumnie siedziały w powozach. Miała wreszcie dostęp do Białego Domu.

A ów Biały Dom stał na otwartym placu i bez ogrodzenia, daleko prostszy, niż go sobie wyobrażała. Wszystko było osiągalne i bliskie: tutaj był pokój prezydenta, tam kancelaria i przedpokój. Zaś nieco dalej była wielka sala balowa, w której szczęśliwa pani Polk, jako pierwsza dama kraju, mogła przyjmować panów i panie, a wszyscy musieli jej hołdować. Czyliż nie była równa królowej, jakie są w Europie, o których mówiono, że wywodzą się z Bożej osobliwej łaski? Gdy się miało na sobie wspaniałą suknię i drogocenny łańcuch, to można było obyć się bez korony. Ba, czyż taka kobieta nie była czymś więcej niż królową, skoro cały naród wybierał tego, którego przed laty wybrała ona, a tym samym potwierdzał trafność jej sądu i bystrość spojrzenia? Mary widywała się w marzeniach panią Białego Domu.

Ale gdy później powracała do skromnego pensjonatu, ponieważ nie stać ich było na wielki hotel, jako żona obcego człowieka, którego nikt nie znał, doznawała zapewne uczuć przygnębiających, bo choć się było znakomitością w mieście Springfield, w Waszyngtonie wśród setek ludzi podobnych było się niczym. Cóż to za jeden ten longinus? Adwokat z Zachodu.

Ale co się dzieje? Pan Douglas, jego nieodstępny cień, jest i tutaj także? Jednocześnie z Lincolnem wkracza



na Kapitol ów mały ruchliwy człowieczek o energicznym karku i niby duch zdaje się wszędzie chodzić za tamtym. Wybrany został do Senatu, a ponieważ senator znaczy bądź co bądź więcej od posła, więc Mary zastanawia się, czy się może nie przeliczyła. Ale wigowie zaczynają wreszcie brać górę i po raz pierwszy mają większość w Kongresie. Z uczuciami nieokreślonymi wraca Mary niebawem do domu. Jako prawdziwa głowa rodziny miewa teraz Lincoln do czynienia nawet z pończochami dla dzieci, które ma w stolicy kupować, lecz nie wie, gdzie. Doradza żonie listownie, aby najęła służącą, i do każdego listu załącza: „Ucałowania dla dzieci“. Były to dla obojga czasy niezawodnie dobre, bo nawet Herndon, jej wróg, opowiadał, iż miała się wyrazić o mężu: „Prezencja jego nie jest może osobliwa, ale ludzie nie przeczuwają, że serce jego jest tak wielkie, jak długie są jego ramiona“.

Po kilku tygodniach cały Kapitol znał Lincolna jako najlepszego opowiadacza. Zrazu przysłuchiwał się skromnie, gdy obcy koledzy zbierający się w kuluarach gawędzili z sobą, i sam zabrał głos dopiero wówczas, gdy się osłuchiwał należycie. Teraz lubił siadywać przy kominku i wspierać swoje długie nogi na kracie. Gdy w pensjonacie przy stole pragnie się wtrącić do rozmowy, to odkłada na bok nóż i widelec, łokciami opiera się o stół, twarz obejmuje dłońmi i zaczyna od słów: „Przypomina mi to pewne zdarzenie“. Jeśli przy stole powstaje spór, to przy pomocy anegdoty umie on rychło zaprowadzić spokój i pojednać przeciwników, czym i tutaj pozyskuje rychło uznanie za swoją dobroć, która cechuje zazwyczaj humorystów i melancholików. Mimo swych długich nóg i rąk nie może się nauczyć grać w kręgle, ale chętnie chodzi między kręglarzy, porażki swoje przyjmuje wesołymi uwagami i tak samo obojętnie opowiada przy stole



o tym, jak słuchacze jego w parlamencie zachowywali się wczoraj, gdy wygłaszał swoją pierwszą mowę. Jednocześnie pisze do Herndona:

„Aby się tu dać poznać, wygłosiłem krótką mowę o pocztach, wzbudzając powszechne zainteresowanie. Uważam, że przemawia się tu tak samo, jak wszędzie, gorączkowałem się nie więcej i nie mniej niż podczas przemówień w sądzie. Ponieważ wszystkim wam tak pilno, abym się wyróżnił, postanowiłem uczynić to niebawem“. Ze słów tych przemawia obojętność i dobry humor, bardzo względną wydaje mu się wartość tego zgromadzenia, a spomiędzy wierszy przebija się coś, jak gdyby sobie podrwiwał z zaufania swoich przyjaciół.

Ale już w styczniu po krótkiej mowie, o której pisał, przychodzi kolej na wielką mowę. Wojna była, rzecz można, zakończona, Veracruz wpadło już podczas wyborów w ręce wojsk Unii, generał Taylor zdobył wielkie połacie Meksyku północnego i opozycja przeciwko wojnie stała się bezprzedmiotowa. Lincoln nie należał wszakże do tych, którym powodzenie mogłoby imponować i narzucić politykę zasadniczo potępianą. Nie, właśnie w chwili gdy naród widział armię swoją maszerującą od zwycięstwa do zwycięstwa, odważył się on zabrać głos, aby powiedzieć wszystkim, że wojna ta była jednak wojną niesprawiedliwą. W taki sposób robi sobie nieprzyjaciół w obu obozach, bo wzywając do wydatnego poparcia armii i głosując za wydatkami dla niej, naraża się radykalnym wigom, a jednocześnie drażni nacjonalistów tym, że prezydentowi jawnie przypisuje winę za tę wojnę i wszystkie jej ofiary w ludziach. Podczas roztrząsania niebezpiecznego zagadnienia wojny zaczepnej i zastanawiania się nad sprawą, czy miejsce pierwszej potyczki leżało na terytorium Unii, czy też na

terytorium nieprzyjacielskim, stawia on prezydentowi jasne pytanie:

„Prezydent musi odpowiedzieć nam prosto, jasno i wyczerpująco, faktami, a nie argumentami. Niechaj pamięta o tym, że siedzi w stolicy Waszyngtona i że winien odpowiedzieć tak, jak odpowiedziałby on. Ponieważ narodu nie można wprowadzać w błąd, jak nie można wprowadzać w błąd Boga, przeto nie ma prawa uchylać się od odpowiedzi. Jeśli może nam dowieść, że miejsce, na którym połała się krew ludzka najpierw..., leżało na naszym terytorium, wówczas będzie wytłumaczony. Ale jeśli nie może czy nie chce tego uczynić, wówczas pozostaje mi moje przekonanie, że jest on świadom niesprawiedliwości swego postępowania, że słyszy, jak krew przelana w tej wojnie woła o pomstę do nieba, że generałowi Taylorowi rozkazał wkroczyć w granice spokojnych siedzib, aby zapoczątkować wojnę, że zrazu miał poważne powody do rozpętania wojny między obu krajami i że dla uniknięcia krytyki odwracał oczy narodu od rozlewu krwi ku wspaniałym zwycięstwom, które wznoszą się niby tęcza z oparów krwi i błyszczą jak oczy węża, który czaruje swą ofiarę, zamim ją zabije! On wprowadził wojska w granice kraju obcego, popychał je coraz dalej, aż zawiedziony w swoich nadziejach szybkiego i łatwego zwycięstwa nad Meksykiem, znalazł się obecnie w sytuacji, z której nie widzi wyjścia. Prezydent jest człowiekiem zamroczonym, który zabrnął w sytuację okropną. Daj Boże, iżby mógł nam dowieść, że w sumieniu jego nie ma nic gorszego nad to zamroczenie duchowe!“

Z takim wspaniałym polotem, z taką odwagą i otwartością staje Lincoln po raz pierwszy przed całym narodem, gdy nie chodzi o nic innego, tylko o sprawiedliwość. Czyliż za prezydentem nie przemawiało głośno

jego powodzenie? Czyż mówca, podobnie jak wszyscy, nie mógł przewidzieć tego, co po kilku tygodniach stało się faktem? A mianowicie wspaniałego zwycięstwa i pokoju, odstąpienia przez Meksyk spornych terytoriów pod pozorem kupna ich za piętnaście milionów oraz kandydatury zwycięskiego generała Taylora na stanowisko prezydenta? Oczywiście, w mowie Lincolna było też dużo polityki partyjnej, bo kto zrazu występował przeciwko wojnie zakończonej ostatecznie zwycięsko, ten weto swoje mógł motywować jedynie względami moralnymi. Rzecz prosta, że prezydentowi przysługuje prawo odmowy odpowiedzi, bo jest on głównodowodzącym i broni go ustawa konstytucyjna. Ale wszystkie te okoliczności polityczne bynajmniej nie pomniejszają siły ataku Lincolna, przeciwnie, w perspektywie atak ten zyskuje na tragicznym rozmachu, gdy się już z góry wie, że w dwanaście lat później z tej samej trybuny takie same ataki zwracać się będą przeciw dzisiejszemu mówcy.

A jednak nikt nie rozumie dokładnie jego wielkiej gorliwości; nawet dla jego przyjaciół jest ona ciemna. „Głosowanie to dowodzi — pisze Lincoln po mowie do Herndona, swego prywatnego krytyka — że wojna ta była niepotrzebna i że została zapoczątkowana przez prezydenta wbrew konstytucji. Głowę daję, że na moim miejscu byłby pan głosował tak samo jak ja. Czy może byłby pan mógł głosować za czymś, co uważałby pan za grzech? Czy przed głosowaniem nie byłby się pan raczej ulotnił?... Trzeba przemawiać uczciwie. Istnieje tylko jedna alternatywa i trzeba się decydować albo na prawdę, albo na kłamstwo... Powody, dla których konstytucja nasza decyduje o pokoju i wojnie pozostawia Kongresowi, są zdaniem moim następujące: królowie wikłali swoje narody w wojny i zawsze zubożali je tymi wojnami, ale nie przestawali zapewniać, że na względzie mieli tylko

dobro swych narodów. W tym właśnie dostrzegli ojcowie nasi niebezpieczny przywilej korony i dlatego wszelką jednostkę pozbawili tak wielkiej władzy. Zaś pańskie poglądy odwracają stosunki i stawiają prezydenta tak wysoko, jak nie bywali postawieni nawet królowie... Gdy pan ochłonie z przestachu z powodu mej mowy, to niech ją pan jeszcze raz odczyta zdanie za zdaniem, a potem niech mi pan napisze, co pan o niej myśli“.

Ale przyjaciel ten i inni przyjaciele potrząsają głowami, a Herndon napisał mu bodaj jakieś słowa o młodości i starości, między którymi trudno o porozumienie, bo Lincoln odpowiedział: „Żaden list nie dotknął mnie tak boleśnie jak pański. Sądzę, iż myli się pan co do pobudek starszych ludzi; prawdopodobnie i ja należę już teraz do tych starszych... Czy sądzi pan, że byłbym się kiedykolwiek wysunął naprzód, gdybym był czekał na starszych, aby mnie znaleźli, ocenili i popchnęli do działania? Młodzież sama zakłada kluby leśne, polne i łąkowe, aby wygłaszać w nich mowy. Przyjmujcie więc każdego, kto się zgłasza do was, zbierajcie do kupy dzikich drabów poza miastem bez oglądania się na ich wiek“.

Niestety, Lincoln pozostaje człowiekiem samotnym, nawet teraz i tutaj chodzi samopas. Bo który z polityków napisałby wśród zgłębku wyborczego takie słowa do domowników? „Stephens z Georgii, mały, blade, suchotniczy chłop, przemawiał właśnie całą godzinę i wygłosił najlepszą mowę, jaką słyszałem kiedykolwiek. Moje stare wysuszone oczy są jeszcze pełne łez po tej mowie“. Ani jeden, ani drugi nie przeczuwali, że spotykają się ze sobą w wielkiej, decydującej chwili, gdy łyż przemienią się w gniew. Na razie ten Stephens jest przyjacielem Lincolna.



Dzisiaj może się tak odzywać jedynie człowiek, który na ławie swojej siedzi odosobniony i w sali pełnej posłów umie zachować całkowitą niezależność. A jego wyborcy? Otóż ci wyborcy potrzęsają niezawodnie głowami, gdy słyszą, że poseł ich nie umie przygodnie wystarać się dla kogoś z nich o miejsce tylko dlatego, że takie miejsca nie ma wolnego! Uczciwy Abraham! Zapewne, że tytuł to ładny, ale kto nie wyje z wilkami, tego wilki pożrą!

Na przykład w Springfield opowiadają sobie o pewnym wyborcy, któremu Lincoln odmówił jakiegoś miejsca i taki oto list do niego napisał: „Od początku naszej znajomości żywiłem dla pana uczucia najlepsze i miałem nadzieję, że pan odplaca mi wzajemnością. Okoliczności, o których panu pisałem, nie pozwoliły mi ostatniego lata dać panu poleceń, o które pan mnie prosił. Niebawem potem dowiedziałem się, że pan mnie z tego powodu oczernia publicznie. Oczywiście, byłem tym zaskoczony. Gdy otrzymałem ostatni list pański, zadałem sobie pytanie, czy pan chce mnie jednocześnie wyzyskiwać i obrażać, czy też może napisano mi o panu nieprawdę. W wypadku pierwszym nie powinien bym panu odpowiadać, w wypadku drugim należałoby się panu odpowiedź i dlatego wahałem się. Załączam też dla pana żądane polecenie, aby pan z niego mógł skorzystać według swego uznania“.

Jakiego dziwaka wysłaliśmy tym razem na Kongres? Niepodkupny jest, to prawda, nie poleci nigdzie żadnego kandydata, jeśli nie uważa go za dzielnego pracownika, bo sprawę państwa stawia zawsze wyżej od spraw przyjaciół partyjnych. Ale zarazem jest on zbyt dobroduszny, aby umiał zdobyć się na prostą odmowę, i polecenie daje z takimi zastrzeżeniami, jakby je odwoływał. Takiego nie należy wybierać ponownie.

## XIII

Z okien Kapitolu, który ma stać na straży wolności, widać targowisko niewolników, „coś w rodzaju stajni dla Murzynów, gdzie handlowano całymi gromadami niewolników i gdzie znajdowali oni czasowy przytułek i utrzymanie, dopóki nie wyprawiano ich na południowe targi, jak się wyprawia konie“. Tak opowiadał o tym później Lincoln. W stolicy przeciwieństwa moralne były jeszcze nieznośniejsze niż na Południu, więc Lincoln postanowił wymierzyć handlowi niewolnikami pierwszy potężny cios w samym centrum państwa. Jego projekt analizował wszystkie obiekcje. Najprzód zakazuje on trzymania niewolników w stanie Kolumbia, ale zezwala urzędnikom państwowym, będącym obywatelami stanów posiadających niewolników, na przeniesienie swoich gospodarstw domowych. Przewiduje czasowy system wychowania dzieci, których matki urodziły się jeszcze jako niewolnice. Właścicielom zostanie przyznane odszkodowanie, gdy prawo ogłosi wyzwolenie niewolników. Powrót zbiegłych niewolników ze stanów sąsiednich zostaje uregulowany. Prawo to miało być uchwalone przez plebiscyt ludowy.

Tutaj, jak w charakterze Lincolna w ogóle, widzimy umiar obok zasady sprawiedliwości, zastrzeżenia obok patosu; niczego nie łamie się przez kolano, wszystko się nagina, a system zarządzeń i stanów pośrednich ma zapobiec rozłamowi, rewolcie i wywrotowi, bo dla stałego i rzetelnego charakteru Lincolna zachowanie Unii jest warunkiem podstawowym. Ponieważ ojcowie — wywodzi on tak samo jak przed dziesiątkiem lat — niewolnictwa nie skasowali, więc i my uczynić tego nie możemy, ale musimy stworzyć ustawy dla nowych stanów, o których ojcowie myśleć nie mogli. W tej chwili

właśnie zaludnia się młoda Kalifornia, w której znajduje się złoto i inne skarby, a zaludnia się tak gęsto, że mogłaby zostać przyjęta do Unii jako stan. Ale stany południowe sprzeciwiają się temu, bo Unia składa się obecnie z piętnastu stanów z niewolnikami i z tyłuź bez niewolników, a nowy stan, w którym gromadzą się poszukiwacze przygód z całego świata, wypowiedział się przeciwko niewolnictwu. Podobnie Teksas, który po zwycięskiej wojnie ma się również przyłączyć do Unii, był już pod rządami meksykańskimi wolny od niewolników, a demokrata Wilmot wystąpił wówczas ze swoją głośną formułą, która niewolnictwa w Teksasie faktycznie zakazuje.

Jakiż był los projektu Lincolna w sprawie Kolumbii? Dla Waszyngtonu takie wystąpienie nie było miłe. Społeczeństwo, które lubiło przepych i niezależność, Europejczycy nadający ton, czyli ludzie, którzy tutaj, w wolnej Ameryce, lepiej mogli hołdować swoim pańskim zachciankom niż u siebie w domu, tysiące takich, którzy poczuli się do prawa współrządzenia i którym formy arystokracji bardziej imponowały, niż prostota ich ojców kiedykolwiek zdołała pomyśleć, wpływ bogaczy z Południa, którzy jako senatorowie i posłowie przybywali tutaj z końmi i niewolnikami, a ucztami swymi i biesiadami demonstrowali rozkosze władzy jako cel istnienia — wszystko to wytwarzało atmosferę, w której idea Lincolna rozwinąć się nie mogła. Nie pasowała ona do Waszyngtonu i nigdy do niego pasować nie będzie. Na razie towarzystwo to zmusiło filantropijnego komisarza miasta do cofnięcia swego spontanicznego uznania dla tego projektu, zaś kierownictwo Izby Reprezentantów, zawsze zabiegające o to, aby nie dopuszczać do debat wywołujących wzburzenie, odsuwało projekt tak długo, aż sesja dobiegła końca, bo na sesji następnej, jak mnie-

mano, niewygodny projektodawca zasiadać tu pewno nie będzie. Istotnie, Lincoln przybył tutaj dopiero po latach dwunastu, ale wówczas wyposażony w taką władzę, że ostrożny swój projekt mógł przemienić w obszerną ustawę.

Sprawiedliwość i logika stanowią zawsze i wszędzie bodziec i drogowskaz jego politycznego działania. W najbardziej prozaicznych zagadnieniach administracyjnych ujawnia się to równie namacalnie, jak w owym zagadnieniu wyzwolenia ludzi ujarzmionych. Gdy razu pewnego chodzi o centralizację administracji, Lincoln oświadcza w izbie niższej: „Marynarka jest najogólniejszym ze wszystkich urzędów, a jednak daje ona przewagę pewnym miejscowościom, bardziej uprzywilejowując stany przybrzeżne niż wewnętrzne, jak na przykład Illinois. Wszystkie urzędy ogólne dają także korzyści lokalne i na odwrót. Nic nie może być tak dalece lokalnym, aby nie dawało jednocześnie korzyści ogólnych. Z tych założeń nie wolno wszakże wysnuwać wniosku, że jeśli naród odmawia przeprowadzenia pewnych ustaw, ponieważ mają one znaczenie wyłącznie miejscowe, to z tych samych powodów i poszczególne stany mogłyby odmówić uchwalenia ustawy miejscowej, ponieważ dawałaby ona korzyści ogółowi. W takim razie pierwszy z brzegu stan mógłby rzec do narodu: «Jeśli ty nie czynisz nic dla mnie, to i ja nie uczynię nic dla ciebie». Podobny argument uniemożliwiłyby wszelki postęp... Przypuśćmy wszakże, że pewien stopień niesprawiedliwości jest faktem. Takiego stanu rzeczy nigdy uznać nie powinniśmy! Czyż w takim razie należy odsunąć na bok wszystkie dobre sprawy, które zawierałyby w sobie pewien stopień niesprawiedliwości? Należałoby wtedy pousuwać wszelkie możliwe rządy... Ten oto Kapitol zbudowany został wspólnym kosztem dla celów



ogólnych, ale kupcy waszyngtońscy korzystają z niego więcej niż kupcy w Illinois. Aby tej nierówności zapobiec, musielibyśmy Kongres rozpuścić“.

Z każdego przykładu, z każdego porównania promieniuje sprawiedliwość mówcy, a prócz tego połyskuje figlarne spojrzenie życiowego praktyka, który sprzecznych interesów nie chce motać na chudy wałek idei, lecz szuka rozumnego wyrównania, jakiego domagać się można od ludzkiej niedoskonałości.

Lecz nagle mądry ten pojednawca zmienia ton i przechodzi do ataku ironicznego, tak dalej wywodząc: „Gdy mówię o jaskrawych przykładach, to nie mam na myśli dzisiejszego prezydenta, pod którego rządami większość dźwiga brzemień dla korzyści niewielu wybranych, tak iż niektórym ludziom stanowisko prezydenta wydaje się przykładem i dowodem nierówności. Uczciwy górnik za 70 centów dziennie wydobywa dużo węgla, podczas gdy prezydent za 70 dolarów dziennie wydobywa z siebie mnóstwo abstrakcji. Węgiel jest przecież daleko cenniejszy od abstrakcji, a jednak co za nierówność w cenie! Czy dla tych przyczyn prezydent nosi się może z zamiarem opuszczenia swego stanowiska? Nikt od niego tego nie żąda! Najlepszym sprawdzianem, czy coś należy przyjąć czy też odrzucić, nie jest to, że może przy tym powstać trochę zła, lecz to, czy nie powstanie więcej zła niż dobra. Prawie wszystko, osobliwie w rządzie, jest nierozzerwalnym połączeniem jednego i drugiego, tak że najlepszy nasz sąd o równowadze między obojgiem winien być ustawicznie na straży“.

Czy z trybuny tej słyszano już wiele takich sokratesowskich dowodzeń, takich subtelných sofizmatów?

I skądże ten drwał posiadał sztukę tańczenia między ostrymi nożami bez skaleczenia się? Jest to zdobyc jego samowychowania, któremu zawdzięcza więcej, niż

mógłby zawdzięczać szkole, zdobył przynajmniej trwającego dziesięć lat i zmierzającego uparcie ku pewnemu celowi, a wreszcie jest to wytrwała obserwacja ludu, z którym żył i pracował. Bo właśnie wśród tego ludu rozwinął się jego wrodzony talent porównywania i stała konieczność rezygnowania. Co więcej, skłonność do wyrzeczenia stopniuje się aż do wypowiedzania się o własnych i obcych skłonnościach, a rezultatem jest ogólna ironiczna tolerancja. Tak łagodnie odzywa się o ludzkich słabościach tylko melancholik, poeta.

Lecz drzemia w nim i inne tony, które tylko czekają na to, aby się odezwać. Oto gdy zbliżają się wybory i gdy trybuna Kongresu zmienia się dla wielu w estradę agitatorów, wielki ten humorysta zabiera się wesoło do kandydata demokratów. Niejasność stosunków doprowadziła w owych czasach do paradoksalnej uchwały, na mocy której wigowie, którzy byli przeciwnikami zasadniczymi wojny, teraz chcieli wynieść zwycięskiego generała Taylora na stanowisko prezydenta, chociaż trzymał on niewolników i nigdy się w sprawie emancypacji nie wypowiadał. Demokraci natomiast wystawiali kandydaturę mniej popularnego generała Cassa i z pewną dozą słuszności mogli sobie z wigów podrwiwać, że ci trzymają się poły generalskiego mundurku. Ten zabawny obrazek posłużył Lincolnowi za temat do dowcipu, którego ostrze skierowane było przeciwko demokratom:

„Poła generalskiego mundurku Jacksona — woła on z trybuny — była nie tylko dość długa dla samego generała, lecz i dla kandydatów demokratycznych, z których każdy czepiał się jej z rezolutnym uporem... Gdzieś ktoś zrobił odkrycie, za pomocą którego człowieka starego mógł przemienić w młodego, a nawet starczyło mu materiału na zmajszowanie małego żółtego psa. Tak

samo ma się rzecz z popularnością Jacksona wśród was, moi panowie. Nie tylko że zrobiliście z niego dwukrotnie prezydenta, ale majstrowaliście prezydentów z dość niepozornych, małych ludzi... Poseł ze stanu Georgia uznał za dobre mówić tu obszernie o połach... Ja bym takiej debaty nie wszczynał i chciałem panom z przeciwka jedynie pokazać, że przytaczanie zużytych obrazów jest grą, która prowadzi nie tylko do zwycięstw...

A zresztą, czy wiecie, panowie, że i ja także jestem bohaterem wojennym? W czasach wojny z Black-Hawkiem wojowałem i przelewałem krew razem z innymi. Ponieważ mówicie, panowie, o karierze generała Cassa, więc przypomina mi się moja własna kariera. Nie byłem, oczywiście, przy porażce Stillmana, ale znajdowałem się niemal w takim samym położeniu jak Cass przy poddawaniu Hullu i podobnie jak Cass widziałem pobojowisko zaraz po bitwie. Miecza swego oczywiście nie złamałem, bo go nie miałem, ale strzelba moja pocięła się przy pewnej sposobności dość znacznie... Jeśli generał Cass zawsze ostro atakował czarne jagody, to ja jeszcze ostrzej atakowałem jeżyny. Ponieważ widział on prawdziwe walki z Indianami, więc widział więcej ode mnie, za to ja musiałem staczać bardzo ostre boje z moskitami, a chociaż z utraty krwi nie omdlałem, to jednak bardzo chciało mi się jeść. Gdybym się chciał stroić w to, czego moi demokratyczni przyjaciele dopatrują się we mnie, mianowicie w czarny kokardowy federalizm, i gdyby z tego powodu chcieli mnie wystawić jako swego kandydata na prezydenta, to zaprotestowałbym przeciwko temu, aby sobie ze mnie mieli tak pokpiwać, jak bawią się kosztem generała Cassa, gdy chcą z niego zrobić bohatera wojennego“.

Krytyce przeciwników wytrąca tu Lincoln zaiste po mistrzowsku wszelki pretekst do zarozumiałości, bo po-

kpiwając z własnych czynów wojennych nie tylko że nastraja słuchaczy nieżyczliwie do domniemanego bohatera, lecz pozyskuje ich dla siebie, przy czym ton jego przemówienia wyklucza z góry wszelkie podejrzenie o zawiść. Ale Lincoln jest niewyczerpany w doborze tonacji i rejestrów, zaraz też przechodzi w tonację humorystycznej statystyki, aby przeciwnika unieszkodliwić ostatecznie:

„Przypuśćmy, że nasz przyjaciel z przeciwnika zrobił dobry dowcip — ciągnie Lincoln dalej — dajmy na to, że generał Cass był istotnie wielkim wojownikiem i mistrzem ataku, chociaż powiedziałbym nie tyle w atakowaniu nieprzyjaciela, ile skarbu państwa. Jako gubernator stanu Michigan winien był czuwać nad sprawami indiańskimi w ciągu 17 lat, 9 miesięcy i 22 dni. W ciągu tego czasu otrzymał on ze skarbu państwa za swoje usługi i na osobiste wydatki 96 028 dolarów, co w ciągu całego czasu jego urzędowania wynosi dziennie przeciętnie 14 dolarów i 79 centów. Suma taka uciulała się dzięki temu, że w tych samych miejscach generał sprawował różne urzędy, a z jednymi stanowiskami umiał godzić stanowiska inne; wszystko w tym samym czasie“. Następnie podaje Lincoln druzgoczące dowody, że w siedmiu urzędach skupionych w ręku Cassa nie potrzebował on ani sekretarza, ani mieszkania, ani opału.

„Chciałem panom jedynie pokazać cudowną siłę fizyczną tego człowieka: widzimy, że ten urzędnik nie tylko spełnia obowiązki różnych ludzi jednocześnie, i to w miejscach oddalonych od siebie po kilkaset mil, lecz zarazem i w jedzeniu posiada on zdolności niesłychane. Od października 1821 r. do maja 1822 r. zjadał dziennie po dziesięć porcji w Michiganie, po dziesięć porcji, gdy bawił tutaj, w Waszyngtonie, i przejadał niemal po pięć



dolarów dziennie, gdy znajdował się w drodze między Michiganem a Waszyngtonem. Tutaj stwierdzamy ważne odkrycie, a mianowicie, że mamy tu do czynienia ze sztuką dostawania pieniędzy za jedzenie, zamiast płacenia za nie... Słyszałem o pewnym zwierzęciu, które stało między dwiema kopami siana i zamorzyło się na śmierć. Coś podobnego nie zdarzyłoby się nigdy generałowi Cassowi! Nawet gdyby obie kopy siana znajdowały się o tysiąc mil jedna od drugiej, generał stałby sztywno między nimi, a jednak pożarłby obie jednocześnie, nie mówiąc o tym, że i zielona trawa przydrożna na tej przestrzeni ucierpiałaby coś niecoś. A zróbcież go, panowie, jeśli wola wasza, prezydentem! Jako zwycięzca postara się on o pożywienie obfite dla was, o ile oczywiście jeszcze coś pozostanie, gdy posłuży naprzód sobie“.

Wygłaszając to miażdżące oskarżenie w tonie opowiadacza bajek, ale na podstawie ścisłego materiału liczbowego, wie on doskonale, że nawet najdalszy farmer przy odczytywaniu tej mowy wybuchać będzie śmiechem, jak przy jej wygłaszaniu wybucha śmiechem sala, i osiąga swój cel, bo wybór generała Cassa staje się niemożliwy w całym kraju. Jedna z gazet pisze: „Wywody i styl pana Lincolna były tak oryginalne, że kończąc swą mowę w ciągu pół godziny zmuszał salę do bezustannych wybuchów śmiechu. Zaczął przemawiać przy jednym z przejść, chodził, gestykulując, tam i z powrotem, i przy końcu jednego z ustępów mowy znalazł się raptem na środku sali, przy biurku pisarza. Potem zawrócił, zaczął mówić o czymś innym, zeszedł powoli ze schodków i tak przemawiał dalej“.

I znowu widzimy, że mówcy temu obce jest wszelkie aktorstwo. Wrażenie mów swoich opiera nie na geście lub na jakimkolwiek wyrachowanym tricku. Oddziaływa on wyłącznie na umysł słuchaczy.

## XIV

Mary miewała teraz chwile wielkich nadziei. Gdy przy boku swego męża pokazywała się w Chicago, gdzie wszyscy znali doskonale posła z Illinois, część szacunku, jaki okazywano mężowi, spływała na nią; daleka przyszłość zdawała się przybliżać coraz bardziej. Ale widziała też, jak jej małżonek, rozpoczynając mowę, zdejmował mankiety i podciągał rękawy niby przed początkiem meczu, a w stanach Nowej Anglii, gdzie męża jej jeszcze nie znano, zrazu na przemówienia jego przybywało niewielu słuchaczy. Bowiem żona towarzyszyła mężowi podczas jego przedwyborczych podróży agitacyjnych, gdy propagował kandydaturę Taylora na prezydenta, pracując obecnie w daleko szerszym zakresie, a zarazem z lepszym skutkiem niż cztery lata temu, gdy pracował dla Claya. I tutaj najlepsze rezultaty zawdzięczał ostremu dowcipowi, z jakim zwracał się przeciwko demokratom.

Sam po raz pierwszy poznał przy tej sposobności krasomówstwo Wschodu, patos bojowników o wolność Murzynów. Zarazem poznał on nowe strony zagadnienia emancypacji, a w Bostonie wzruszył się do głębi mową Sewarda, z którym po kilkunastu latach związać go miał przypadek losu. Podczas jednego z bankietów na cześć Taylora usłyszał Lincoln po raz pierwszy mowę Jeffersona Davisa, który przemawiał bezpośrednio przed nim.

W tym też czasie poznał wielkie fabryki i własnym okiem badał teraz to, co w liczbach i pojęciach już dawno znał jako różnicę między Północą a Południem. Widział też wodospad Niagarę i pisał o nim: „Jego siła jest wielka i pobudza do rozmyślań i wzruszeń. Geolog wyłoży nam, że wodospady te znajdowały się dawniej przy

jeziorze Ontario i że ziemia nasza liczy sobie co najmniej 4 000 lat... Bezmiernie daleka przeszłość wyłania się tu przed nami. Gdy Kolumb odkrywał tę część świata, gdy Chrystus chodził po ziemi, a nawet wówczas, gdy Adam wychodził z rąk Stwórcy, wodospad Niagara ryczał tak samo, jak ryczy obecnie“. Takie romantyczne myśli rodzą się w nim na widok cudu natury i niezawodnie pozostawiają w jego sercu trwałą ślad. Ale gdy przyjaciel jego zaczyna się Niagarą entuzjasmować i gdy inny przyjaciel wyraża uczucia zbliżone do uczuć Lincolna, ten przerywa mu szorstko i we właściwym sobie tonie ironicznym rzuca słowa: „Ciągle musiałem sobie zadawać pytanie: skąd się bierze tyle tej wody?“

Gdy podczas jego podróży parostatek osiada na mieliźnie, porusza to jego zmysł praktyczny. Kapitan rozkazuje podwładnym wsuwać pod statek wszelkie kawałki drzewa, jakie znajdują się pod ręką, aby zepchnąć go z mielizny, a Lincoln przypomina sobie własny podobny wypadek na rzece Ohio i sposób, w jaki sobie wtedy poradził, a zarazem zastanawia się, co należałoby uczynić teraz. Próbuje swoich zdolności inżynierskich, rysuje model czegoś w rodzaju wielkiego miecha, podkładanego z obu stron statku pod linią wody, aby przez napełnienie go powietrzem można było ruszyć statek z mielizny. W domu każe mechanikowi zbudować odpowiedni model, a choć w biurze pokpiwa z własnego wynalazku, liczy wszakże na swój pomysł i pół żartem, pół serio przepowiada przewrót w żegludze parowej. Patent Lincolna jeszcze dzisiaj leży w Waszyngtonie.

Tutaj widzimy, jak ogranicza on swoją działalność naturalną, gdy brak mu podstaw ku temu. Aczkolwiek zawsze taki skory do pomagania wszystkim swymi olbrzymimi rękami, których sile żaden pasażer statku nie



mógłby dorównać, nie schodzi do rzeki, aby razem z innymi spychać statek z mielizny, chociaż byłby to niezawodnie uczynił, gdyby chodziło o tratwę, nie krępując się bynajmniej, że stał się propagatorem kandydata na prezydenta. Tej tu sprawy nie zna, więc zamiast jako laik udzielać rad nieokreślonych i popisywać się wśród pasażerów dowcipem, skupia się w sobie, cofa się w teoretyczną dziedzinę swego myślenia i zabiera się do konstruktywnego rozwiązania sprawy. Tak samo zachowywać się będzie później w sprawach państwowych, w których większe doświadczenie zapewni mu, oczywiście, większe powodzenie.

Tymczasem wszakże podczas tych podróży propagandowych kończy się sesja Kongresu, a Lincoln ma już do Waszyngtonu nie wracać. Z powodu swej dziwacznej postawy wahającej się między wojną a pokojem, swej niepodkupności w sprawach poleceń oraz z powodu cofnięcia jego projektu prawa dla Kolumbii stracił więcej zwolenników, niż ich potrzebował dla zapewnienia sobie dalszego posłowania w stanie Illinois. Osobliwie zaś wrodzona jego rzetelność nie pozwala mu postępować tak, jak przed nim postępowali jego towarzysze partyjni. „Oświadczyłem, iż nadal kandydować nie będę, bo w stosunku do kolegów swoich pragnę pozostać niezależny i rzetelny... Gdyby wszakże nikt inny nie kandydował, to nie sprzeciwiałbym się wystawieniu mojej kandydatury. Na to zaś, abym miał sam występować jako konkurent lub też narzucać się komukolwiek, nie pozwala mi moje słowo i mój honor“.

Taylor został wprawdzie wybrany, chociaż nie umie ani porządnie pisać, ani dobrze mówić, lecz Lincoln opuszcza stolicę niechętnie. Aczkolwiek bowiem życie partyjne nie przypada mu do smaku, to jednak tutaj poznał dopiero istotę Unii i pragnąłby dowiedzieć się



o niej jeszcze więcej. Przeciwnikom wiedzie się dobrze: Shields został właśnie senatorem, a wpływy Douglasa wzrastają. Czyżby Waszyngton był dla niego tylko krótkim intermezzo? Któż po raz drugi wyprawi go ze Springfieldu do Waszyngtonu? I co każe mu wracać do nudnego małego miasteczka? Dom, w którym żyć musi pod rygiorem i karcącymi spojrzeniami żony, biuro, w którym rozstrzyga się obojętne sprawy prawne, gazetka, w której zdanie swoje może wypowiadać tylko w ramach zasady partyjnej?

Najwyżej dzieci. Ale czyż nie będzie sporów o wychowanie? Mary także jest przygnębiona, gdy widzi, jak szybko rozwiewają się marzenia. Serce jej przywiązane jest do wielkich spraw i stosunków, w których wszystko jest potężne i wspaniałe. Pisze ona z Nowego Jorku: „Gdy patrzyłam na wielkie statki wybierające się do Europy, w sercu moim budził się smutek z powodu naszego ubóstwa. Czasem żartuję z tego powodu i mawiam do Lincolna: «Na drugi raz wyjdę za mąż za człowieka bogatego!»“



*Księga trzecia* / BOJOWNIK





## I

Rozczarowanie Lincolna i Mary było wielkie. Gdyby został pobity w wielkiej bitwie jako wódz, przygotowujący się ze zdwojoną energią do nowych zapasów, to małość i ciasnotę stosunków miłośnicy położonej na dzikim bądź co bądź Zachodzie mógłby uważać za wypoczynek między dwiema bitwami. Lecz oto wracał do tej miłośnicy dlatego, że godzina jego minęła i że ani dla samego siebie, ani dla współobywateli nie chciał być niczym innym, jeno żołnierzem, który spełniwszy swój obowiązek został ze swego stanowiska odwołany. W parlamencie krajowym nie zasiadał już, jako adwokat dużo stracił podczas nieobecności; zamiast wysokich diet płynęły znowu wyłącznie skromne honoraria. Co zaś do poszerzenia horyzontu wewnętrznego, to pobyt w Waszyngtonie utwierdził go w przekonaniu, że stolica jest trzęsawiskiem, a polityka bajorem, w którym toną tylko ludzie uczciwi.

Nic więc dziwnego, że resztkami swej ruchliwej przedsiębiorczości próbował wydostać się na szerszą arenę bez uzależniania się od dusznej atmosfery życia parlamentarnego. Natychmiast po powrocie do miasteczka zabiegał pisemnie i ustnie o miejsce w generalnym urzędzie ziemskim, to jest w kierownictwie władzy centralnej wydzielającej ziemię. Urząd ten ze względów politycznych miał przypaść wigom, a mianowicie jednemu z wigów illinoiskich. Stanowisko w owym urzędzie było interesujące, ważne, związane z polityką, do-

chodowe, a dla Lincolna, jako dla byłego farmera, geometry i adwokata, jakby stworzone. Prezydentowi Taylorowi, który był względem niego zobowiązany, wyłuszczył Lincoln jedenaście punktów przemawiających za mianowaniem go na to stanowisko. Do przyjaciół politycznych napisał dużo listów w tej sprawie, naśladując zwyczaje posłów znane mu z Waszyngtonu. Oto jeden z tych listów:

„Wielce szanowny panie, chciałbym pana prosić o wyświadczenie mi pewnej, niezbyt kłopotliwej grzeczności. Generalny urząd ziemski, jak się dowiaduję, ma zostać przeniesiony do Illinois i podobno ma go objąć Butterfield. Daję panu słowo, że mianowanie to byłoby dużym błędem politycznym, bo kandydat ten zlikwidowałby tutaj wszystkie wpływy polityczne wigów... Jeśli przekonanie pańskie pozwala panu, to proszę, aby pan zechciał napisać natychmiast do Taylora, że zdaniem pańskim powinienem zostać mianowany ja lub też ktoś, kogo bym ja polecił jako człowieka odpowiedniego na to stanowisko. Zabiegi swoje ograniczam do stanu Illinois, ponieważ w swoim stanie macie już kogoś, a w takim razie nie chciałbym się narzucać. Zawsze panu oddany“.

„Butterfield otrzyma to stanowisko — pisze w innym liście — jeśli się temu zdecydowanie i szybko nie przeciwstawimy. Gdyby więc pan sądził, że mianowanie to raczej rozczaruje wigów naszego stanu, niż zadowolni, i że energię ich w przyszłych walkach pomniejszyć musi, że mianowanie Butterfielda w 41 r. jest jeszcze dzisiaj uważane za starą ranę, której nie pozwolą chyba rozdrapywać na nowo... to niech pan napisze w tym sensie. Ani chwili nie ma do stracenia. Niech pan uważa ten list za poufny“.

Listy te stylizowane są ze zręcznością dyplomaty zależnie od adresata, a ponieważ ostrzeżenie przed wyborem rywala uzasadnia Lincoln rzeczowo, ponieważ czasem pisze o sobie, czasem znowu o kimś, kogo by polecić mógł, a nawet w wypadkach, gdy eksponuje się wyrażniej, zachowuje pewien chłód rezerwy, więc przeciwnicy jego są zdezorientowani. „Prócz braku wytrwałości — uzasadnia postawę Lincolna stary jego przyjaciel, Hernon — cechowała go też mglista świadomość przewagi i dumy, nie pozwalająca mu na giętkość przekonań, tak zwykłą i skuteczną u łowców dobrych miejsc“. Zwięzłość i męskość tych listów, które nikomu nie schlebiają, czyni je ostrzejszymi w tonie niż wiele innych podobnych listów pisywanych przez niego jako posła w interesie ludzi, którzy za jego pośrednictwem otrzymywali stanowiska pomniejsze.

Oczywiście, że stanowisko podrzędne jest nie dla niego. Pisze o tym i uzasadnia to właśnie w owych czasach: „Nie ma we mnie niczego, co by mnie upoważniało do zabiegania o miejsce czołowe, a miejsce podrzędne nie wynagrodziłoby mi tego, że spoglądaliby na mnie wzgardliwie ci, co sami zabiegali o takie miejsce“. Duma i powściągliwość, skromność i pewność siebie, a zarazem delikatna ironia w stosunku do ludzi przebijają z tych słów. Postawa Lincolna wobec świata zawarta jest całkowicie w tym jednym zdaniu, ale gdy po latach wysunięty zostanie na stanowisko najwyższe, to skromny ten człowiek nie będzie tym zdziwiony.

Lecz jakże przerazić musiał go fakt, że przyjaciele odnosili się do jego rzeczowych zabiegów z podejrzliwością! Na przykład taki Edwards, stary przyjaciel i towarzysz z Wandalii, który chciałby otrzymać to samo miejsce i czuje się zawiedziony. „Edwards gniewa się na mnie z powodu urzędu ziemskiego — pisze Lincoln do

jednego z przyjaciół. — Napisał przeciwko mnie list, który został przedłożony urzędowi. Najlepsza podstawa życia to przyjaźń, a moja przyjaźń dla Edwardsa była taka serdeczna! Nie zawiodłem go. Wystarczyło jednego tylko słowa, a mogłem otrzymać ten urząd, zanim jeszcze pomyślano o Butterfieldzie, tak przynajmniej twierdzą Ewingowie i prezydent. Słowa tego nie powiedziałem, i to między innymi także ze względu na Edwardsa. Gotów byłem stracić urząd, który on pragnął otrzymać, ale utrata jego przyjaźni bez jakiegokolwiek winy z mej strony przygnębiłaby mnie bardzo, gdybym nie był świadom swej rzetelności“.

Nawet gdyby tego nie dowodziły wyjątki z jego późniejszych listów dokładnie datowanych, cała jego istota musiałaby być dowodem prawdziwości tych słów. Jednocześnie odzywa się tu jego zranione serce. Ponieważ bowiem jest tak dalece rzetelny, że wyznaje otwarcie, iż nie myśli uważać się za lepszego od innych, ponieważ w osamotnieniu swoim wyżej ceni serce nielicznych swoich przyjaciół niż korzystne stanowisko, więc tym bardziej musi go boleć, gdy go przyjaciel denuncjuje i gdy pierwszy lepszy urzędnik w biurze stolicy wlicza tego długonogiego adwokata w szeregi łowców stanowisk, gotowych poświęcić wszystko dla władzy i pieniędzy.

Toteż gdy ani Edwards, ani on miejsca tego nie otrzymali, mógł śmiało napisać: „Rozczarowany jestem nie bardzo. Życzyłbym sobie, aby sprawa ta była tak załatwiona, iżby pobudziła odwagę przyjaciół na przyszłość, a nawet uczucia Edwardsa względem mnie. Prócz tych dwóch punktów wszystko inne jest mi obojętne, a przynajmniej sądzę, że tak jest“. Tak szybko odzykuje Lincoln spokój wewnętrzny, chociaż spotyka go niepowodzenie bolesne, a gdy prezydent chce mu wy-



nagrodzić zawód przez mianowanie go komisarzem na dalekim Zachodzie, w Oregonie, po krótkim namyśle Lincoln odmawia.

Na decyzję tę wpłynął nie tylko nastrój; przede wszystkim wpłynęła na nią Mary. „Gdy zostaniemy odsunięci na Dzikie Zachód, to będziemy mieli stanowisko państwowe w ciągu bardzo długiego czasu, ale na równie długo, może na zawsze, odsunięci będziemy od Waszyngtonu“. Fakt, że nie chciało się jej odgrywać roli pani komisarzowej w lasach Dzikiego Zachodu, że wołała nieokreśloną sytuację małego miasteczka, i to w chwili rozczarowania, jest dowodem jej niezachwianej wiary w Lincoln'a i w jego przyszłość. Występując czynnie w tej sprawie, powzięła decyzję korzystną dla męża i dla całego narodu.

Ale i biernie, oczywiście, w sposób ironiczny, była mu wielce pożyteczną. Harmonijne współzycie byłoby go zatrzymało w Springfield, ponieważ jednak życie to było nieharmonijne, więc coraz częściej przyłączał się jako adwokat do sądów wędrownych, których przeczucie się z miejsca na miejsce bardziej odpowiadało jego naturze koczowniczej niż drobnomieszczański dom o ulizanych pokoikach, z obiadami i kolacjami, z obowiązkami towarzyskimi i ubiorami. Od spółki w biurze adwokackim w Chicago, do którego zapraszano go wtedy, uchylił się oświadczeniem, że cierpi na suchoty i że stałe siedzenie w biurze byłoby dla niego zabójcze.

Przy sądach wędrownych zarabiał się znacznie mniej niż w biurze, ale za to przez całe pół roku, wiosną i jesienią, było się stale w podróży, z dala od straszliwego i z każdym dniem wstrętniejszego biurka stojącego nieodmiennie w tym samym domu, w tej samej izbie, w tym samym kącie, o tych samych godzinach. Przy takim wojażowaniu nie trzeba było siedzieć punktualnie

przy biurku, zajmować się sprawami dzieci, służby i znajomych, kłopotać się o nową bieliznę i o to, aby krawat był i wieczorem jeszcze porządnie zawiązany, a cylinder wyczyszczony, nie trzeba też było przesiadywać z kilku znajomymi paniami i gawędzić z nimi o nowomodnych wózkach wiklinowych, zaprowadzanych obecnie w Europie, czy nawet o niewolnictwie, zważając przy tym, aby się broń Boże nie oprzeć łokciem o błyszczący i chwiejny stoliczek.

Jakże inaczej żyło się przy wędrownym sądzie! Z rana wyjeżdżało się do jakiegoś miasteczka w starym rozklekotanym powozie albo też jechało się konno, na pożyczanym zrazu, a potem na własnym koniu. Z sędzią i kilku adwokatami siedziało się w południe w niewielkiej izbie sądowej, przez którą bez jakiegokolwiek obrzędowości przesuwiał się rząd chłopów procesujących się o ziemię, czasem prezentował się pobity z tym, który go pobił, albo taki, co ukradł wieprzka; chodziło o to, aby winowajcę choć trochę wybielić, dłużnikowi wyjednać odroczenie terminu spłaty, wierzycielowi zjednać niezawodne gwarancje. Po paru godzinach wszyscy udawali się do gospody; Lincoln szedł razem z innymi ze swoim zielonym parasolem bez gałki w prawicy, a w lewicy dźmierzył tekę z pstrokatego materiału kobiercowego. Natychmiast zbiegało się do gospody całe miasteczko, rozmawiano o życie i żniwie, o wyrębie drzewa i sprzedaży bydła i Lincoln słyszał od poszczególnych farmerów, co któremu było potrzebne, czy kolej, czy statki rzeczne, i o tym, jak oddziaływało na drobne sprawy życia cło ochronne. A gdy Lincoln zilustrował jakąś sprawę za pomocą jędrnej anegdoty, to wszyscy garnęli się do niego, aby go słuchać, bo zarówno powodowie, jak i pozwani, oskarżyciele i oskarżeni, sędziowie i świadkowie, którzy brali udział w rozprawach są-

dowych, wiedzieli dobrze, że ten długonogi adwokat to najweselszy człowiek i niewyczerpane źródło zabawnych anegdot.

„Widywałem go — opowiada Herndon — otoczonego przez 200—300 ludzi, wyczekujących końca rozpoczętej przez niego opowieści... W opowiadaniu zdawała się uczestniczyć twarz jego i wszystkie rysy. Gdy opowiadanie dobiegało do zabawnego końca, jego szare oczy błyszczały, kąciki ust drgały od powstrzymanego śmiechu, cała postać zapowiadała wybuch śmiechu, a gdy wreszcie padało ostatnie słowo, to sam śmiał się serdeczniej niż słuchacze. Opowiadanie takich anegdot... uważałby adwokat współczesny za coś niewłaściwego dla siebie... Niektórych z nich nie można by powtórzyć, inne miały morał nieubłagane chłoszczący ludzkie słabości, jeszcze inne liczyły sobie tysiąc lat wieku i tylko daty i imiona były w nich zmienione... A przy tym trafiał się zawsze jakiś głupi chłop, który anegdotę zrozumiał dopiero po upływie pół godziny, a wtedy cała sala śmiała się razem z nim i z niego jeszcze raz... Sędzia, zazwyczaj uosobienie powagi, siedział razem z innymi i nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Nazajutrz siedział znowu w sądzie i rozpatrywał sprawę jakiegoś ciężkiego przestępcy, a Lincoln siedział w skupieniu obok niego“.

Wychowany wśród ludu i związany z nim życiem i krwią, dzielił Lincoln najserdeczniejsze jego uczucia, a podczas gdy bezustannie uczył się od niego, lud ten od jednego końca Illinois po drugi poznawał go podczas jego wędrówek coraz lepiej, dzięki czemu Lincoln zdobył tę popularność, bez której w dziesięć lat później nie byłby mógł zwyciężyć. Co i kiedy dają jeść, jest mu w gruncie rzeczy obojętne, jak mu bywało obojętne przed dwudziestu laty, gdy w takich samych miastecz-



kach rąbał drzewo, komu się nadarzyło, albo sprzedawał guziki. I tak samo jak niegdyś, leżąc na ladzie sklepowej czytywał książki, tak i teraz partner jego, który dzieli z nim łóżko, widuje zawsze jego przydługie i zwijsające nogi oraz ich właściciela przy blasku świecy do drugiej w nocy studiującego Euklida, podczas gdy wszyscy inni towarzysze izby zgodnie chrapią. Albo zdarza się, że do północy gra z sędzią w szachy, a potem siada na krawędzi łóżka w swojej zawsze zbyt krótkiej koszuli flanelowej i długo dyskutuje z nim o niewolnictwie, a gdy się rano sędzia budzi, to spostrzega Lincolna siedzącego w zadumie na łóżku i mówiącego tak spokojnie, jak gdyby między końcem a początkiem rozmowy nie było godzin nocy: „Zapewniam pana, że naród ten nie utrzyma się przy zachowaniu niewolnictwa, chociaż z drugiej strony bez niewolnictwa nie wytrzyma“.

Podczas takich wędrówek zawsze można się czegoś nauczyć. Spotka się na przykład człowieka wędrującego z latarnią czarodziejską, którą można rozłożyć na części i poznać dokładnie, albo też natknie się człowiek na przenośną wystawę. Wieczorem siedzi Lincoln wśród ludzi i opowiada o maszynie elektrycznej, którą widział na takiej wystawie. Zdarzy się nawet, że się natknie na gramatykę niemiecką i zacznie się nią interesować, ale gdy mu nie bardzo idzie, napisze na niej po niemiecku: „Nix kommt raus!“ (Nic się nie udaje). Gdzie się zdarzy, pomaga ludziom przy piłowaniu drzewa, a nawet w oborze, bo to dobrze zachować trochę wprawy w tym, co się umie, a ludziska patrzą z podziwem na adwokata umięjącego wydoić krowę, która nazajutrz ma się stać przedmiotem rozprawy.

Sędzia i koledzy też są radzi obecności Lincolna, ale żaden z nich — ani Trumbull, ani Browning, ani sędzia



Davis, postać jakby żywcem wycięta z obrazu Fransa Halsy, aczkolwiek wędrują razem w ciągu lat, nie przypuszczają, podobnie jak i on sam, że później kiedyś zespolą się z nim jeszcze ściślej, w pracy daleko większej i że służyć mu wtedy będą. Bo pod względem politycznym mają jednakie poglądy, oddziaływają na siebie podczas nie kończących się debat i tworzą zaródź nowej partii, którą w stanie tym będą później reprezentować. Nastrój psuł się jedynie wówczas, gdy do zespołu należał Douglas, więc wszyscy są radzi, że obecnie jest on bardziej senatorem niż sędzią i woli przebywać w Waszyngtonie na Kapitolu, w klubie niż w drewnianych gospodach lub wojażować po wyboistych drogach Illinois.

Podczas gdy ten stary współzawodnik coraz bardziej odwraca się od prawa ku polityce, Lincoln w tym samym czasie — między 41 a 46 rokiem życia — coraz bardziej odwraca się od polityki i skłania się ku prawu.

## II

„Nakłaniaj swoich sąsiadów wedle możliwości do zgody i pojednania. Tłumacz im, że formalny zwycięzca bardzo często jest przegrywającym, gdy zliczy się koszty, honoraria, stratę czasu. Jako pojednawca posiada adwokat tysiące możliwości, aby być człowiekiem porządnym. Interesów jest i tak jeszcze dość. Byle nie wszczynać żadnych sporów. Trudno wyobrazić sobie człowieka gorszego od takiego podszczuwacza... Zasada naczelna: nie przyjmuj nigdy honorariów z góry, najwyżej drobną zaliczkę. Byłbyś czymś więcej niż zwykłym człowiekiem, gdybyś po otrzymaniu zapłaty zachował dla sprawy należyte zainteresowanie“.

Notatki te, które Lincoln zrobił sobie przed wykładem o prawie praktycznym, odzwierciedlają część jego pojmowania teorii, którą w codziennej swojej praktyce wyłożył daleko ciekawiej i bardziej wzorowo niż słowem wykładowcy. Bo chociaż nie był on namiętnym prawnikiem, to jednak od czasu, gdy był farmerem, zachował w sobie namiętne poczucie sprawiedliwości i prawnikiem stał się bynajmniej nieprzypadkowo. Dopiero gdy się poznało jego głowę, a jeszcze lepiej, jego serce w tych sprawach, można poznać go także w sprawach politycznych, i wtedy poznaje się go tym gruntowniej. Był to bowiem charakter, który się w każdym rysie życia praktycznego objawiał całkowicie i bodaj nic w życiu nie uważał za tak podrzędne, aby można było podejść do tego bez skupionej uwagi. Był to człowiek niezłomnie wierny samemu sobie, w każdej chwili życia ten sam Lincoln, cały i jednolity. Dla niego obrona ubogiej kobiety przeciwko machinacjom lichwiarza była taką samą sprawą jak obrona obyczaju ojców przeciw drapieżności partii albo obrona kilku milionów afrykańskich Murzynów przeciw brutalnej przemocy ich panów.

A jednak ten jasny charakter nie miał w sobie nic z proroka lub kaznodziei. Jego siła fizyczna i wzrost wysoki, znojna młodość i brak wszelkiej opieki kształciły i wzmacniały go w szkole życia, ale serca jego nie uczyniły zatwardziałym. Umiał tedy jako adwokat posługiwać się wszystkimi środkami, ironią, znajomością ludzi, dowcipem i złośliwością, aby zachwiać wiarogodność jakiegoś świadka, oskarżyciela czy oskarżonego.

„Nazywa się pan J. Parker Green. Co znaczy to J.?”

„J. znaczy John“.

„Ach tak. Więc dlaczego nie nazywa się pan tak, jak jest w zwyczaju: John P. Green?” I przysięgli natychmiast zaczynają uśmiechać się pod wąsem, a podczas

gdy Lincoln żongluje obu imionami, ich właściciel traci na postawie i godności. Albo taki na przykład Loghan, niegdyś współnik, a dziś przeciwnik w sprawie o jakieś oszustwo przy sprzedaży konia, wdział koszulę lewą stroną do góry, co Lincoln z tyłu widzi, bo w sądzie pozdejmowano marynarki. „Pan Loghan mówił tu teraz bitą godzinę o koniach — zaczyna Lincoln swoją replikę — aby tym zacnym farmerom pokazać, czego się nauczył z podręcznika weterynarii. Ale jak można zaufać jego znajomości koni, skoro nawet koszuli nie umie wdziać jak się należy!“ Odwraca go, ośmiesza i tym łatwiej bije go w tej sprawie.

Jakiś bogacz obił kogoś kijem i skaleczył. Obity zaskarżył bogacza żądając 10 000 dolarów odszkodowania moralnego. Lincoln broni winowajcy. Przeciwnik jego wzruszył sąd aż do łez, przeciwstawiając rzetelność ubożego człowieka swawoli bogacza. Gdy Lincoln podnosi się powoli i zdejmuje marynarkę, aby rozpocząć przemówienie, oczy jego nie przestają spoglądać na papier leżący przed nim; wreszcie sięga po ten papier, zdaje się badać go skrupulatnie i wybucha śmiechem. Wszyscy zaciekawiają się i chcieliby się też pośmiać. Ale Lincoln odkłada papier, zdejmuje krawat, sięga znowu po papier i śmieje się jeszcze serdeczniej. Wszyscy, zamagnetyzowani tym śmiechem, śmieją się razem z nim. Zdejmuje kamizelkę i śmieje się znowu; tym razem śmieje się z nim cała sala. Teraz zwraca się adwokat do sądu, przeprasza go i oświadcza wysokiemu trybunałowi, iż z papieru, który trzyma w ręku, widać, że oskarżyciel i powód otaksował rany zadane jego czci na 1 000 dolarów i dopiero gdy się zastanowił nad bogactwem swego przeciwnika, podniósł ich cenę o 9 000 dolarów. Potem adwokat zgodził się na to, że poszkodowanemu należy się kil-

kaset dolarów, opowiedział jakąś komiczną anegdotę i sąd zgodził się całkowicie z jego wywodami.

Czasem postępuje on chytrze, po chłopsku. Pewien adwokat winien jest jakiemuś bogaczowi półtrzecia dolara, a ponieważ dług nie spłaca, więc poirytowany wierzyciel chce go oskarżyć. Lincoln odradza mu proces.

„Będzie pana więcej kosztowało, niż pan zyska“.

„Nic nie szkodzi“.

„W takim razie musi mi pan zapłacić 10 dolarów“.

Otrzymawszy pieniądze, idzie Lincoln do kolegi, dzieli się z nim otrzymanymi 10 dolarami, opowiada mu wszystko i doradza, aby połową otrzymanych pieniędzy spłacił dług bogaczowi.

Niekiedy odnosi zwycięstwo przy pomocy swoich talentów mimicznych. W takich razach talent opowiadacza wspomaga wydatnie talenty adwokackie, przy czym opowiadacz bierze górę nad adwokatem, gdy chodzi o drobne sprawy życia powszedniego. Pobili się jacyś dwaj chłopcy i chodzi o ustalenie, kto zaczął i kto winien. Lincoln wywodzi:

„Klient mój był w położeniu człowieka, który idąc z widłami na ramieniu zostaje napadnięty przez psa. Ponieważ nie miał ochoty dać się pogryźć kundlowi, więc go zakłuł widłami.

«Czemu zabił mego psa?»

«Czemu pies chciał go pogryźć?»

«Dlaczego nie bronił się tępym końcem wideł?»

«Dlaczego pies nie napadał na niego tępym końcem?»“

I Lincoln w podskokach cofa się tyłem ku przysięgłym, aby im unaocznić, w jaki sposób pies powinien był napadać na jego klienta tępym końcem. Dzięki wrażeniu komizmu tej sytuacji wygrywa sprawę.

Jego niezbyt częste obcowanie z podręcznikami prawnymi jest dla niego wysoce korzystne, bo zabezpiecza go



przed wszelką sofistyką. Czepianie się znaczenia słów i słówek jest mu zgoła obce; przemawia on zdaniem krótkimi, jakby rąbał drzewo, i tym właśnie ten człowiek z ludu oddziaływa na przysięgłych, wywodzących się także z ludu. Ba, powszechnie o nim mówią, że argumenty przeciwników czyni zazwyczaj jeszcze jaśniejszymi, aby je następnie jeden po drugim obalać. Przy takich sposobnościach jest dla niego wielce korzystny jego zmysł i zwyczaj porównywania różnych spraw i rzeczy. Argumenty obu stron rozważa i oświeśla szczegółowo i sumiennie, czym zdobywa zaufanie sądu łatwiej od adwokatów, którzy uznają tylko argumenty swoich klientów.

Bo w taki naturalny sposób stapiają się w jego charakterze rysy poety z rysami sprawiedliwego, rysy logika z rysami moralisty. Lincoln mógłby się stać idealnym sędzią. Stał się wreszcie sędzią swego narodu. Zdaniem kolegów swoich bywał najslabszym adwokatem, gdy w przebiegu sprawy zaczynał spostrzegać, że nie ma racji. Gdy spostrzegał to od razu, to sprawy wątpliwej nie przyjmował. Pewna pani przesłała mu 250 dolarów, aby podjął się obrony jej sprawy. Odesłał jej pieniądze z tymi słowy: „Nie znajduję ani jednego punktu, o który można by zaczepić pretensje pani“. Jakiegoś przestępcę poszukującego obrony przekazał swemu koledze: „Ten człowiek jest winien przestępstwa, ja go bronić nie mogę. Niech pan go broni“. Innym razem słucha wywodów adwokata strony przeciwnej i przekonany nimi, powiada: „Ponieważ widzę, że klient mój nie ma racji, więc mu proces odradzę“.

Wybiegi, jakie podpowiada mu niekiedy jego zdrowy humor, zatrzymują się u granic moralnych, jak gdyby szlachetny wierzchowiec cofał się przed niewidzialną przeszkodą. Herndon słyszał pewnego razu, że adwokat

przeciwnej strony niezupełnie był pewien swej sprawy, obawiając się, że może zająć to czy owo, i dlatego rozpowszechnił bluff w tym kierunku. Lincoln był wtedy poza domem i po powrocie pytał Herndona, jak się rzeczy mają z tym bluffem. „Czy to fakt? Nie? W takim razie ten punkt cofniemy. Bluff to przecież tylko inna nazwa kłamstwa. Nie mówmy o tym wcale i niech to pójdzie w zapomnienie. Taka przeklęta sprawa mogłaby się ludziom przypomnieć, gdy o procesie już nikt nie będzie pamiętał“. Tutaj ujawnia się jednocześnie praktyczny zmysł polityka i kto by nie znał autora tych słów, mógłby mniemać, że przebija się w nich raczej ostrożność niż moralność. W istocie zaś setki podobnych decyzji altruistycznych zwracają uwagę nie na niego, lecz na źródło. Jedynie przez wzgląd na słuchacza i partnera pragnie uniknąć gestu faryzeusza, bo w oczach świata w ogóle woli uchodzić za ostrożnego niż za czystego.

Gdy wszakże uważał Lincoln swego klienta za niesłusznie uciśnionego, to potrafił natrzeć na przeciwnika ostro i według opowieści sędziów bez miłosierdzia razić go strzałami oskarżeń o istotne występki. Gdy pewna uboga wdowa po żołnierzu została przez agenta oszukana o połowę swej wdowiej zapomogi, rozgniewany adwokat notuje sobie jako końcową uwagę przemówienia: „Oskarżonego oskalpować“. Innym razem w sprawie o morderstwo, gdy wyrok sędziów wydał mu się niesprawiedliwy, zerwał się na równe nogi ku przerażeniu wszystkich „i w chwili tej wyglądał straszliwie. Ryczał jak lew podrażniony w swej norze i w ciągu dziesięciu minut powiedział więcej, niż kiedykolwiek słyszeliśmy od niego“.

Na uświadomienie sobie, czy dana sprawa jest sprawiedliwa, potrzebował Lincoln jako adwokat trochę

czasu. Wszystko było w nim powolne — jego krok, wstawanie, jedzenie i trawienie — więc też nigdy nie był improwizatorem, lecz do przeciwnika zabierał się metodycznie, krok za krokiem, jak człowiek, który nigdy nie używał broni, ale dużo pracował siekierą. Ponieważ i tu nie chodziło mu bynajmniej o popis, ponieważ jako adwokat i jako polityk zawsze troszczył się o sprawę, a nie o siebie, więc nie oceniał skutków olśniewających przemówień. Pewnego razu młodszy jego partner doradzał mu, aby w przyszłości spróbował przemawiać żwawiej. „Niech mi pan poda swój nóż z krótkim ostrzem, a potem mój stary nóż łowiecki ze stołu. Mały nożyk jest ostry i tnie szybko, ale przecina niewiele, natomiast długi jest powolniejszy, ale za to tnie głębiej. Umysł mój porusza się wolno i nie bez trudu, nie umiem wyrażać się tak szybko jak inni. Natura moja zmusza mnie, abym mówił wolno. Rozumie pan?”

### III

Jakże małą mięsciną wydawała się stolica stanu, gdy się wracało z szerokich wiejskich rozłogów! Gdy po trzech miesiącach takiego wojażowania wracał Lincoln do domu, jakże nudne, tępe, zgryźliwe musiało się wydawać małe Springfield jego naturze koczowniczej. Do domu i biura nie bywało mu nigdy pilno i powrót swój raczej odwlekał, podczas gdy inni korzystali z każdej sposobności, aby wpaść na dni kilka do domu. Cóż mogło pociągać go do miasta? Nic, nawet jego szybki rozrost.

Ludzie znali go oczywiście bardzo dobrze i gdy z rana z koszykiem w rękę robił zakupy u piekarza i rzeźnika, to pozdrawiali go uprzejmie, że zaś Lincoln nie pamiętał

imion małych, kłaniających mu się dziewczynek, więc odpowiadał chętnie: „Dzień dobry, siostrzyczko!“ Wszyscy znali także jego chód, dość zresztą dziwaczny, bo Lincoln stawiał od razu całą podeszew stopy i od razu ją też od ziemi odrywał, a jednak takie stąpanie nie było niezgrabne, bo w kroku jego była siła.

Tylko jego mały synek, którego często zabierał ze sobą, nie mógł na zamarłej drodze dotrzymać kroku długim nogom ojcowym, a ściskaniem kościstej ręki ojca nie zdołał zwrócić na siebie uwagi, bo ojciec zajęty był własnymi myślami. Gdy w szarym i starym swoim szalu, omotanym dokoła szyi niby lina okrętowa, kroczył z synkiem ulicą, to ludzie w miasteczku nazywali go starym Lincolnem, aczkolwiek był dopiero po czterdziestce. Młodo nie wyglądał nigdy, a jeśli ktoś się za nim oglądał, to przez współczucie dla jego smutnego spojrzenia, które zdaniem przyjaciół zjednywało mu sympatię i było przyczyną jego powodzeń. Gdy się ktoś do niego odezwał, to Lincoln przystawał zdziwiony, ujmował dłoń spotkanego w obie ręce, dwa razy powtarzał pytanie: „Co słyhać?“ i zatrzymywał znajomego, aby mu opowiedzieć jakąś anegdotę.

W biurze jego panował bałagan jak zawsze, aczkolwiek pracy było więcej. Jak dawniej, tak i obecnie, trzyma się Lincoln z dala od świata paragrafów, w jego słowach słyszy się ton lekceważenia, gdy przygodnie pokpiwa sobie z przyjaciela: „No, panie Herndon, powiedz nam pan, co tam jest w książkach“. Najchętniej wyleguje się na starej sofie i czyta. Czytuje stale Szekspira, przytacza różne wiersze, Don Juana Byrona posiada w kilku egzemplarzach i zakreśla tekst w wielu miejscach, Burnsa lubi wyjątkowo i pewnego razu zamiast akt, odczytuje swemu współnikowi cały wiersz „Nieśmiertelność“. Także pierwsze utwory młodego



Walta Whitmana omawia w swoim biurze. Na Lincolnie wywierają one głębokie wrażenie, zabiera je do domu, ale niebawem przynosi je z powrotem do biura, „bo moja żona byłaby tę złą książkę najchętniej spaliła“. W innych nowych książkach odwraca jakby od niechce-  
nia kartki, upuszcza książkę na podłogę, przymyka oczy i powtarza sobie słowa czytane. W domu nie gromadzi nic, ma na stole w salonie tylko kilka złożonych albumów, których nie dotyka, bo z magistratu wypożycza sobie to, co go interesuje. Stara się poznać nowe drogi botaniki, fizyki, budowy maszyn i elektryczności, zaleca te książki przygodnie także farmerom i z nadziejami człowieka o społecznym sposobie myślenia spogląda z radością w przyszłość, ciesząc się, że maszyna będzie wykonywała pracę, którą on musiał wykonywać rękami, nie lubiąc jej.

Doświadczenia młodości przydają się niejednokrotnie i adwokatowi. W sprawie o koło młyńskie zaskoczył on sędziów znajomością techniki, w której niegdyś pracował, a gdy jako adwokat broni budowniczych mostu na Missisipi przeciwko towarzystwu żeglugi rzecznej, to przydaje się mu doświadczenie żeglarza, a jednocześnie odzywa się w nim polityk, który w połączeniu Wschodu z Zachodem widział urzeczywistnienie swego marzenia. Zdaje się, że w procesach częściej zwyciężał, niż je przegrywał, i że częściej bronił oskarżonych niż oskarżycieli. Skromność jego wymagań była znana powszechnie, a ponieważ honoraria obliczał według spornych sum, zażądał 3 dolary i 50 centów od kogoś, kto byłby mógł zapłacić 600 dolarów. Dobiegał już czterdziestki, kiedy po raz pierwszy zarobił na pewnym procesie więcej niż sto dolarów, ale potem stał się głośnym i zarabiał do 3 000 dolarów rocznie. Gdy pewien nowy hotel płaci mu za wypis papierów rejentalnych 25 do-

larów, Lincoln pisze: „Uważacie mnie, panowie, za człowieka o bardzo wysokich cenach. Jesteście zbyt rozrzutni. Piętnaście dolarów będzie dość za tę sprawę. W załączeniu pokwitowanie i 10 dolarów zwrotu“.

Ale obrażać się nie pozwoli. Po wygraniu przeciwko byłemu wspólnikowi Loghanowi największego procesu swego życia, w którym zyskuje dla kolei illinoiskiej zwolnienie od podatku, żąda za swoje trudy 2 000 dolarów. „Jest to tyle, ile mógłby zażądać adwokat pierwszorzędny“ — powiada jakiś urzędnik i posyła mu 200 dolarów. Lincoln zaskarża kolej, żąda przyznania mu 5 000 dolarów i wygrywa. W taki sposób reaguje ta dumnie-skromna natura, gdy czuje się niesprawiedliwie obrażoną. Zna on dokładnie swoją wartość i w zwycięstwie, które odniósł, nic go bodaj tak nie cieszyło, jak przewaga jego nad obu wybitnymi przeciwnikami. O pieniądze nie ubiegał się nigdy, więc i z tej niezwykłej jak dla siebie sumy byłby po przyjacielsku coś opuścił, ale gdy mu posyłają dziesiątą część sumy żądanej, i do tego urzędnik pozwala sobie na niedelikatną uwagę, budzi się w nim obrażona duma. Wyzyskuje tedy niejako samego siebie, podczas gdy podobne postępowanie ośmieszył był w sprawie klienta obitego przez bogacza.

Dzięki powodzeniu jego chwiejna natura zyskuje stopniowo na pewności siebie. Jako samouk ceni on w sądzie i w życiu praktycznym ludzki rozsądek wyżej niż paragrafy, a poczucie sprawiedliwości stawia wyżej od rozsądku. Po śmierci Claya stwierdza on we wspólniejszej mowie, że niedostateczne wykształcenie Claya jest dla każdego pożyteczną nauką, iż w tym kraju nikt nie jest tak dalece ubogi, aby nie mógł zdobyć odpowiedniego wykształcenia, jeśli tylko chce. Do pewnego młodzieńca, który pragnie u niego praktykować, pisze: „Jeśli chce pan naprawdę zostać adwokatem, to już

tym samym sprawa jest do połowy załatwiona. Czy pan będzie się u kogoś uczył, to nie takie ważne. Ja nie uczyłem się u nikogo. Niech pan czyta książki, które na ogół pan zrozumie, a o to głównie chodzi i do tego nie potrzeba wielkiego miasta. Sam uczyłem się w Nowym Salemie, gdzie było 300 mieszkańców. Niech pan zawsze pamięta o tym, że wola zwycięstwa jest ważniejsza od wszystkiego innego“.

Sam miał tę wolę nie zawsze. Owe marzenia eliżejskie, których ziemia zaspokoić nie może, ugruntowały w nim już z góry nastrój wyrzeczenia, stający na przeszkodzie rozwojowi ambicji. W czterdziestym roku życia poznał się Lincoln zapewne na swej wartości, ale nie zdawał sobie niezawodnie sprawy ze znaczenia głosu ludu w zabiegach polityków, jednak czuł, że tylko na ludzie oprzeć się można i z nim podążać ku wielkim celom. Po obcości i pustce, jaką poznał w Waszyngtonie, czuł się w środowisku małego miasta stanu zachodniego w gruncie rzeczy jednak lepiej niż w stolicy. Tutaj wywierał wpływ polityczny, o ile chodziło o niego samego, traktując go jako coś więcej niż grę sił i środek do zdobywania pieniędzy, zaś dla partii, z którą był mocno związany, można było w najmniejszym zakątku państwa czynić bardzo wiele. I pod jednym, i pod drugim względem życie jego przedstawia w owych czasach liczne przykłady wielkich wysiłków.

Bo i w owych czasach nie trzymał się Lincoln z dala od polityki. Wybory i wybory uzupełniające, obejmowanie wybitnych stanowisk przez przyjaciół partyjnych interesowały go bodaj jeszcze bardziej niż niegdyś sprawy osobiste. Pisywał więc listy do Niemców i innych cudzoziemców, chcąc zdobyć ich głosy, zakładał alfabetyczne spisy i księgi, aby nie spuszczać z oczu wszystkich dostępnych wyborców. Nie lubi rozsyłania formularzy



i okólników, bo adresat inaczej ocenia list odręczny, a w odpowiedziach wyborców z tonu i charakteru pisma też się można doczytać wielu rzeczy, „bo gdy ktoś jest przy pisaniu niespokojny, to zdaje mi się, że to dostrzegam, gdy widzę list przed sobą“.

Jego zdolności do pertraktowania zrodzone z subtel- nego wyczucia dialogicznego głosu świata, wzmocnione przez kierującą nim wolę sprawiedliwości i rozwinięte w ostatnich latach, uzupełniają się wzajemnie w prak- tyce adwokata i polityka. Z jego dwóch najbliższych przyjaciół jeden nazywa go najlepszym dyplomata- światła, a drugi powiada o nim: „Lincoln jest bardzo powściągliwy i z myśli swoich oraz zamiarów ujawnia tylko tyle, ile jest z pożytkiem dla jego dążeń. Umie on pozyskiwać zaufanie ludzi, darząc ich pozornie zaufa- niem własnym. Jest to jeden z najroztropniejszych lu- dzi, bynajmniej zaś nie można go uważać za człowieka niedoświadczonego, jakiego widzą w nim niektórzy“. A jeden z kolegów dodaje do tego: „Kto by go chciał uważać za pocziwego prostaczka, ten mógłby się za- wieść zgoła szpetnie. Jako szachista jest on także bardzo ostrożny, występuje zawsze w pozycji obronnej aż do chwili, gdy może atakować z całą pewnością wygranej“.

Kto chce poznać jego znajomość polityki i ocenić jej krytykę, ten winien znać jego odpowiedź na pytanie, nad czym właściwie winien panować polityk cieszący się powodzeniem. Lincoln wywodzi: „Musi on umieć wywołać przyczynę, która ma skutki, a następnie skutki te musi zwalczać“. Słowo to jest głębokie jak studnia. W jasnych blaskach południa, w drobnych utarczkach podjazdowej walki powszedniej widzimy tu gwiazdy ludzkiej mądrości. W zdaniu tym śmieje się ironista z przebiegłości wodzów i słabości ludzi przez nich wie-



dzionych, ale zarazem odzywa się tu gniew człowieka, który chciałby, aby ludzkość była lepsza, niż jest.

Bo zawsze, gdy Lincoln myśli o polityce, to myśli o ludzkości lub raczej o człowieku. Chociaż punktem wyjścia bywa dla niego Springfield i Illinois i chociaż wikła się w walkach polityczno-lokalnych, to jednak oko jego dostrzega skutki ich w Waszyngtonie, gdzie zapadają decyzje dotyczące całego wielkiego kraju, ale uczucie jego serca sięga daleko poza Waszyngton i kraj cały. To, co powiedział o Clayu, można by powiedzieć o nim samym: „Kraj swój kochał gorąco, ponieważ był on jego ojczyzną, a jeszcze goręcej kochał go za to, że był to kraj wolności“. W pewnym przemówieniu na bankiecie wyraził tę myśl w sposób następujący: „Opinia publiczna ma zawsze jakąś ideę centralną, z której wywodzą się wszystkie idee uboczne. Równość wszystkich ludzi była zawsze i pozostała do dzisiaj taką ideą centralną, a chociaż ludzie poddawali się cierpliwie nierówności, która wydawała się im konieczną, to jednak rozwój tej idei zmierza ku rzeczywistej wolności wszystkich ludzi“.

Ten sam człowiek, który w praktyce życia powszedniego pisze i w 400 odpisach rozsyłać każe list do zwolenników partyjnych, gdy chodzi o zjednanie wpływu partii przy obsadzaniu pewnego stanowiska, ulega najelementarniejszemu poczuciu sprawiedliwości i odpowiedzialności, gdy bez jakiegokolwiek tytułu prawnego i bez specjalnego powodu siada i pisze list do sekretarza stanu w Waszyngtonie:

„Nie bez wahania zabieram się do pisania tego listu, a jednak pragnąłbym, aby nie tylko pan zastanowił się nad nim, ale i cały gabinet oraz prezydent. Ponieważ żyję wśród ludu, podczas gdy pan i inni z dala są od niego, mam nadzieję, że mi pan zuchwałość moją wy-

baczy. Prezydent wprowadził zwyczaj spychania odpowiedzialności za mianowania na różne wydziały. I mnie wydawało się to zrazu właściwym, ale teraz niepokoi mnie wrażenie, jakie sprawa ta wywołuje na prowincji. Zasada ta daje prezydentowi zgoła niebezpieczny pozór biernego figuranta. Temu trzeba zapobiec, bo w przeciwnym razie wszyscy poniesiemy szkodę. Mówią, że generał Taylor odbył kiedyś naradę wojenną, a potem pomimo zdania przeciwnego wszystkich swoich oficerów jednak rozpoczął bitwę. Ten fakt, prawdziwy czy nieprawdziwy, uczynił go popularniejszym, niż mogło to uczynić dziesięć tysięcy ustępstw, choćby i w ustępstwach tych było wiele mądrości i wielkoduszności. Mianowania nie muszą być koniecznie lepsze od obecnych, ale ludzie muszą wiedzieć, że decyzja co do nich jest w ręku prezydenta. Od czasu do czasu winien on zawołać albo przynajmniej przybrać taką postawę, jakby wołał: Do stu tysięcy diabłów, ja tu przecież odpowiadam! — Zdania takie uczyniły z Jacksona istnego Samsona, a doświadczeń takich zapominać nie wolno“.

Z jakich pobudek zabiera się obywatel, nie posiadający władzy, do pisania takiego listu? Czy pragnie się przypomnieć władzom centralnym? W takim razie pisałby coś zgoła przeciwnego. Czy może chce poderwać czyjaś opinię? Pragnie ją raczej utrwalić. Czy może przez rozpowszechnianie odpisu tego listu wśród swoich chce podnieść własne znaczenie? Odpis tego listu znalaziono dopiero w 40 lat po jego śmierci. Tylko sprawa niepokoiła go, tylko o *salus rei publicae* w znaczeniu dosłownym mu chodziło, gdy jako człowiek na poły zapomniany udziela rady, o którą nikt go nie prosił. Cała nędza ludzkości chwyta go za serce, gdy wypowiada się on przeciwko niewolnictwu, głęboka melancholia jego szarych oczu zwraca się istotnie ku braciom; patrzy



Lincoln w roku 1848





przed siebie, a nie za siebie, chce być sprawiedliwy i tolerancyjny. Gdy rozpoczyna się agitacja przeciwko Niemcom, którzy wtedy tłumnie emigrowali do Ameryki, to rzuca on publicznie pytanie: „Kto jest Amerykaninem? Czyż Amerykanie nie chodzą w skórzanych spodniach i nie noszą noży do skalpowania? Czyż nie wygnaliśmy ich z ich siedzib? A teraz oto zwracamy się przeciwko innym, którzy tym tylko różnią się od nas, że ich przodkowie nie przybyli tutaj tak wcześnie, jak nasi“.

Takie to myśli goszczą w tej głowie, która stale podlega kontroli serca, i takie są sprawy, które poruszają go do głębi. Nie chodzi mu ani o ambicję, ani o pieniądze, ani o rodzinę. Lecz gdy pewien kupiec nowojorski pragnie się od niego dowiedzieć, w jakim stopniu można mieć zaufanie do pewnego obywatela Springfieldu, Lincoln odpowiada mu: „Człowiek ten ma żonę i dziecko, które winny być ocenione na 500 tysięcy dolarów. Prócz tego ma biuro, a w nim stół półtora metra długości i trzy krzesła za dolara. Nadto jest tam dziura, wygryziona przez szczury, w którą zajrzeć można. Odany panu A. Lincoln“.

#### IV

„W ciągu ostatnich trzech tygodni prawie każdego wieczoru bywaliśmy w gościnie, a dwa czy trzy wielkie przyjęcia odbędą się w tym tygodniu. Nie wyobrażasz sobie, jak wiele czasu potrzebuję, aby ochłonać ze znużenia i odpocząć po bardzo pięknym balu miejskim. Niestety, przybyło nań tylko 300 osób“.

Tak pisze Mary do siostry i takie oto troski, pragnienia i triumfy wypełniają jej głowę, a gdy własnym powozem kupionym jej przez męża, z którego on wszakże

nigdy nie korzysta, jeździ po mieście i składa wizyty, to czuje się jakby w małym Paryżu. Prócz tego, ponieważ mąż zarabia teraz więcej i nie ma już długów, dobudowuje nowe piętro domu. Na dole może przyjmować gości daleko wytworniej, a ponieważ miasteczko się rozrasta — dom jej, który dawniej znajdował się na skraju, a teraz jest w śródmieściu, dla niej stał się podwójnie miły, a dla niego niezawodnie podwójnie obcy. Jedyne drzewo przed domem kazała ściąć, ale lichtarze swoje, przedstawiające dziwaczne pary miłosne, ceni ogromnie, a gdy siedzi przy biurku, to może nakręcić pozytywkę, znajdującą się między obu otworami kałamarzy. Ale na co zdało się to wszystko, skoro mąż jej w dalszym ciągu sám chce sobie czyścić buty i skoro urwany guzik u spodni zastępuje patykiem, przeciągniętym przez dziurkę od szelek i tak zmajstrowaną całość nazywa jowialnie szubienicą!

Niełatwa to sprawa żyć z takim mężem. Gdy stół już jest pięknie nakryty, a jedzenie podane, nieraz musi posyłać najstarsze dzieci, aby poszukały ojca, który tymczasem siedzi sobie na skrzyni gwoździ w sklepie między sąsiadami, przysłuchując się i gawędząc. Nawet po wyjściu ze sklepu widzi się go stojącego z kimś na ulicy i chociaż chłopcy ciągną go za poły żakietu do domu, to jednak opowiada on rozpoczętą anegdotę z niewzruszonym spokojem do końca. Czasem chłopaki zaczynają beczeć. „Co się stało?“ — pyta jakiś przechodzień. „A cóż się miało stać? — odpowiada Lincoln. — Mam trzy orzechy, a każdy z nich chce dwa“.

Czyż można się dziwić, że Mary denerwuje się w domu? Lincoln jest rad, gdy chłopiec wymawia nieprawidłowo słowo „dzentelmen“, które matka lubi, a którego on nie lubi, i bawiąc się z chłopcem podrzuca go niekiedy pod sam sufit. Gdy się ktoś pyta, dlaczego

Toddowie mają w nazwisku dwa „d“, odpowiada: „God (Bóg) zadowolnia się jednym „d“, ale Toddom potrzebne są aż dwa“.

Lincoln nie nadaje się na dobrego wychowawcę. Gdy w niedzielę zabiera starszych chłopców ze sobą do biura, podczas gdy matka jest w kościele, to nie dostrzega, pochłonięty czytaniem, że chłopcy tymczasem wyginają pióra, rozlewają atrament, akta rozrzucają po ziemi, a ołówki wtykają do spluwaczki. W takim stanie znajduje pokój nieszczęsny współnik, gdy do niego wkracza w poniedziałek rano.

W domu jest na ogół ustępliwy, żadnych rachunków nie sprawdza, portfel kładzie gdziekolwiek, aby żona mogła czerpać z niego w miarę potrzeby, pozostawia jej ostatecznie decyzję co do urządzenia ogrodu i swoją uprzejmą biernością nieraz doprowadza żonę do nerwowych wybuchów.

„Gdy siedzi w domu, jest do niczego — powiada Mary. — Nic nie robi, tylko się grzeje i czyta, zagłębia w swoich własnych sprawach. Sprawunki muszę robić sama; Lincoln jest naprawdę najbardziej niepożytecznym stworzeniem na świecie“. A gdy jej siostra chwali go i powiada, że byłaby dumna, gdyby miała męża o takim umyśle, to łatwo się z nią zgadza, uspokaja się i przyświadcza, że istotnie chodzi jedynie o drobiazgi. Podczas gdy ona wszczyną spory ze wszystkimi, z siostrami, służbą i, rzecz prosta, także z nim, on wypisuje sobie zasadę: „Nie wdawać się w żadne spory. Kto chce możliwie wiele wykonać, ten nie ma czasu na zbyciu, jeśli chce brać na siebie odpowiedzialność i nad wszystkim zastanawiać się gruntownie. W poważniejszych sprawach ustępuj, jeśli nie masz do nich praw większych od innych, w mniejszych ustępuj nawet

wówczas, gdy masz do nich prawo zgoła niezaprzeczone“.

W taki sposób życie szło przez jakiś czas całkiem znośnie. Śmierć czteroletniego synka niezawodnie jeszcze bardziej zbliżyła z sobą małżonków. Gdy Mary obawiała się, że Lincolnowi zagrażają suchoty, nakazała lekarzowi, aby mu o tym nie mówił. W rzeczach wielkich nigdy nie stawiała sprawy na ostrzu noża, a później przyznała się: „Bardzo był łagodny w obejściu, ale okrutnie twardy, gdy uważał coś za konieczne. Wiedziałam z góry, kiedy w swoich rozważaniach dochodził do punktu ultymatywnego: zrazu był uprzejmy, potem popadał w zadumę i wreszcie zaciskał usta. Widząc to, stosowałam się do tego, a inni czynili później podobnie“.

Czasem bywało gorzej. On sprowadza sobie nową gazetę, ona pisze do redaktora z przyganą, list zostaje opublikowany. Lincoln nie może publicznie odpowiedzieć i rozchorowuje się z tego. Albo na przykład podczas gdy Lincoln pertraktuje w domu ze swoim kolegą, drzwi otwierają się raptownie i Mary pyta, czy mąż załatwił jakąś sprawę. Gdy słyszy w odpowiedzi, że nie, wybucha: „Jestem coraz bardziej zaniebywana, odsuwana na bok!“ Drzwi zamykają się z trzaskiem, gość jest zaskoczony i zakłopotany. Lincoln się śmieje: „Gdyby pan wiedział, jak dobrze zrobił jej ten drobny wybuch i jakiej doznaje ulgi rozkosznej! Czasem musi szukać okazji do takiego wybuchu, żeby ulżyć swoim uczuciom“.

Niekiedy wszakże sytuacja stawała się nieznośna. W takich razach Herndon zastaje go w biurze już o siódmej rano. Leży zwyczajem swoim na sofie albo siedzi na krześle z nogami opartymi o okno, a na „dzień dobry“ odpowiada tylko jakimś mruknięciem. Gdy Herndon wychodził, Lincoln zamykał się od wewnątrz.



Jeśli zdarzało się wyjść Lincolnowi, to znajdował trochę dystrakcji w sądzie lub gdzie indziej, ale chociaż dom był blisko, powracał w porze obiadowej do biura z kawalkiem sera i paru sucharkami; pozostawał w biurze także wieczorem, wdawał się w rozmowę z kimkolwiek napotkanym w sionce i przesiadywał w biurze do późnego wieczora, gdy już wszystko było pozamykane. Dopiero późną nocą widziano tego olbrzyma, jak wolnym krokiem sunął wśród drzew ku domowi.

Tylko raz się wygadał, a wtedy oskarżył samego siebie. Znowu oto siedział milczący w biurze od rana do południa, z kapeluszem zsuniętym na oczy, w południe kupił sobie jakiś drobiazg do zjedzenia i mówił, że żona jego była w złym humorze i że od samego rana wszystko ją irytowało. Najprzód milczał, ale to jeszcze pogorszyło sytuację, a gdy z drogi musiał zawrócić po coś zapomnianego, przyjęła go z taką pogardą, że się zapomniał, ujął ją za ramię, wypchnął przez drzwi do kuchni, wcisnął ją do kąta tuż przy wyjściu i krzyczał na nią głośno, zapomniawszy zupełnie, że ktoś może to widzieć z ulicy. I oto siedział teraz złamany, oskarżał się sam i mówił: „Chciałbym umrzeć“.

Można się więc godzić z zaufanym przyjacielem Lincoln, gdy ten mówi: „To, że Mary Todd charakterem swoim zmierziła Lincolnowi życie domowe, przyniosło mu wielki pożytek, bo dzięki temu pozostał w świecie polityki i interesów. Zamiast grzać się przy własnym ognisku domowym, był on ciągle poza domem przebywając wśród prostych ludzi, debatował z farmerami przed sądem i w ratuszu, przysłuchiwał się ludziom, którzy wieczorem siadywali po sklepach, i dzięki temu stał się popularny“.

Nie byłoby niczym dziwnym, gdyby Lincoln podczas swoich długich wędrówek zakochał się raz czy drugi.

Wrogiem niewiast nie był, ale był człowiekiem nieśmiałym. Unikał jedynie towarzystwa i nienawidził go, a szukał wyłącznie ludzi, z którymi łatwo mu było zrozumieć się. Gdyby dostał żonę kochającą, ustępliwą i łatwo dającą sobą kierować, to i sam byłby się jej poddawał w swoich nastrojach, łatwiej wyzbyłby się swego smutku i na ogół byłby niezawodnie szczęśliwszy. Pewnej śpiewaczki, która z zespołem swoim jeździła po miastach z koncertami, nie mógł się nasłuchać, aż zaczęto mu nią dokuczać, a nawet przestrzegać go. Odpowiedział na to: „Dajcież mi spokój, jest to jedyna kobieta, która mówiła mi rzeczy miłe“. Żaden z jego politycznych przeciwników, którzy później doszukiwali się wszystkiego, czym można by mu było zaszkodzić, nie mógł mu zarzucić jakiegoś uchybienia w sprawach moralności, a także Mary, która tyle razy siedziała w domu sama, a była wzburzona i podejrzliwa, w okresie tym nigdy nie była zazdrosna.

Przy rozwodach niejednokrotnie z powodzeniem bronił kobiety, a gdy pewnego razu kilka rezolutnych kobiet wylało wódkę w szynku, w którym upijali się ich mężowie, wymowa Lincolna przechyła zdanie sądu na ich stronę. Nawet wbrew prawu staje po stronie kobiet. Pewnego upijającego się szewca, który stale maltretował swoją żonę, ostrzegał kilkakrotnie, aby żony nie krzywdził. Gdy pewnego razu usłyszał w biurze, że szewc znowu hałasuje, udał się z kilku innymi obywatelami do jego mieszkania, wyciągnął go z domu, przywiązał do słupa, kazał dać jego żonie bicz i ochłostać pijaka, co też niewiasta po pewnym wahaniu z zadowoleniem uczyniła. Za to pan adwokat i notariusz mogli ponieść dużą karę, bo ten sam człowiek, który w głębi duszy był przeciwny gwałtownemu uwolnieniu niewolników jako nieprawnemu, dał się porwać współczuciu

i gniewowi do czynu, z którego nie byłby się mógł tłumaczyć brakiem doświadczenia ani młodzieńczą krewkością. Ale w jego rozumieniu sprawa niewolnictwa i alkoholizmu kojarzyła się tak ściśle, że gdy zaczynał mówić o jednym, to natychmiast przypominało mu się drugie. W przypadku pijanego szewca spojrzenie jego zwróciło się ku cierpiącej kobiecie i widok jej po raz pierwszy skusił go do czynu nieprawnego.

Swój pociąg i powściągliwość wobec kobiet wyraził kiedyś, gdy go pytano, dlaczego zachowuje się tak dziwnie względem nich, następującą historyjką: „W Indianie matka moja piekła czasem pierniki. Gdy razu pewnego zwąchałem ten rzadki przysmak, zabrałem trzy takie piernikowe figurki i usadawiłem się pod klonem, aby się nimi nacieszyć. Sąsiadujący z nami farmerzy byli jeszcze ubożsi niż my, więc gdy przybiegł ich chłopiec do mnie i prosił o piernik, dałem mu jeden, a wreszcie dwa. Siedziałem potem bez piernika i pytałem go rozczarowany: «Zdajesz się przepadać za piernikami? Tak — odpowiedział zapytany — nikt na świecie nie przepada tak za piernikami jak ja, i nikt ich chyba nie dostaje tak mało jak ja»“.

Czy to nie jest głos człowieka starzejącego się przedwcześnie? Czyż w drobnej tej opowieści nie odzywa się wyraźnie smutek i swawola, rezygnacja, a zarazem przewaga rezygnującego? Pytają go o kobiety, które lubił bardziej, niż przypuszczano, i oto przypominają mu się matczyne pierniki, klon i chłopiec z sąsiedztwa. On zaś nie przyrównywa tego do siebie, aby w jakiejś sentymentalnej retrospekcji nie wyglądać na człowieka, który zawsze wszystkim ustępował. Jest tylko tym drugim chłopcem, który tak szalenie lubi pierniki i tak mało ich dostaje. I oto we wspomnieniu klonu indiańskiego budzą się w nim wszystkie gorycze człowieka,

któremu stawała w drodze zrazu jego domniemana brzydota, potem śmierć narzeczonej, później lęki nerwowe i wreszcie poczucie moralne, nie pozwalając mu zbliżyć się do kobiet, które męską jego naturę byłyby wyzwoliły z melancholii.

## V

Jak daleko pozostała młodość! Czy naprawdę już dwa dziesiątki lat minęło od chwili, gdy zwłoki subtelnej Anny Rutledge złożono w mogile? Jej zaginiony narzeczony już dawno wrócił, szukał jej i nie znalazł. Dowiedział się jedynie o swoim rywalu. „Ach, to ten dzielny geometra — pomyślał — zacny chłop“. A ponieważ z geometry stał się tymczasem adwokat, cieszący się w Springfield wielkim zaufaniem, dobrze będzie zwrócić się do niego w ważnych sprawach. Więc Mc. Namar pisze do niego, a Lincoln, nie pamiętając lat udręk, których przyczyną był ten obcy i szczęśliwy człowiek, odpowiada mu teraz: „Szanowny panie, w sprawach opłat od kupna ziemi...“

Tak samo daleko gdzieś pozostali bracia i ojciec. Staruszek liczy sobie przeszło sześćdziesiąt lat i kołacze się pomiędzy długami i groźbami licytacji, między nadziejami i nawrotami przygnębienia, jak w czasach swego pierwszego małżeństwa, a gdy już w żaden sposób radzić sobie nie może, to zwraca się do syna, który zdobył sobie dobre stanowisko. „Mój drogi ojcze... chętnie posyłam ci te dwadzieścia dolarów, jakie według listu twego potrzebne ci są dla uratowania kawałka ziemi przed licytacją. Dziwne to, że mogłeś zapomnieć o wyroku sądowym przeciwko tobie i jeszcze dziwniejsze, że twój powód tak długo dał ci spokój i nie upominał się o należność, skoro chyba zawsze miałeś dość



pieniędzy, aby taką wierzytelność zaspokoić. Zanim należność zapłacisz, upewnij się dobrze, czyś aby już nie zapłacił... Pozdrów matkę i wszystkich znajomych. Twój serdecznie ci oddany syn A. Lincoln“.

Jak delikatnie osłania w tych słowach swoją nieufność do wywodów ojcowskich, a jednak osłania ją tylko na poły. Tak pisze syn, który zarazem jest adwokatem, adwokat, który jednocześnie jest przyjacielem prawdy, którego każda niewyraźna sytuacja niepokoi nawet w człowieku obcym. Niezadowolenie, że coś podobnego spotyka go ze strony własnego ojca, można łatwo utaić, ale z każdego słowa wyziera smutek z tego powodu, że oto ludzie są właśnie tacy i że jego bliscy nielepsi są od innych.

A swoich najbliższych nie zna przecież dobrze, o niektórych nie wie nic. Razu pewnego, gdy z Herndonem jadą gdzieś za miasto dla spisania testamentu, otwiera przed nim swe serce w tej sprawie. Właśnie jadą przez pola i łąki i wtedy przypominają mu się żywo niejasne sprawy jego pochodzenia. Mówi o tym współnikowi i dodaje, że jeśli bardziej jest utalentowany od swoich krewnych, to nie może tego przypisać ani Lincolnom, ani Hanksom, bo żaden z nich niczym się nie wyróżniał. Wszystko trzeba przypisać nieznanemu dziadkowi z Południa. W ogóle dzieci zrodzone w legalnym małżeństwie mniej bywają utalentowane od tak zwanych dzieci nieprawych. Istnieje taka teoria. Czyż myśli takie, które w ciągu dziesięcioleci nie przestają zajmować jego samotniczego umysłu i bezustannie pociągają go ku nieznanemu ojcu jego matki, nie muszą oddzielać go tym bardziej od ludzi znajomych, z którymi nic go nie wiąże prócz potrzeby jego pomocy? Stanowisko, rozgłos i zażyłość to dla niego sprawy obojętne, bo nawet wówczas, gdy imię jego stanie się jeszcze głośniejsze, nie

zmieni się on w niczym i pozostanie takim, jakim był nawet w stosunkach z najuboższym farmerem. Brak mu jedynie kochającej pamięci ludzi jego stron ojczystych, ale z rozkoszą melancholików również i tu zamyka się w sobie coraz bardziej.

Po kilku latach domownicy piszą mu, że stary ojciec ma się bardzo źle. Czy syn wybierze się teraz do niego? „Sam wiesz — odpowiada na list — jak bardzo zależy mi na tym, aby ojcu i matce nie brakło niczego, czy to w zdrowiu czy w chorobie, i niezawodnie powołałeś się na mnie, aby zapewnić ojcu opiekę lekarską i wszystko, co potrzeba. Chwilowo sprawy nie pozwalają mi opuścić domu, tym bardziej że żona moja jest chora i leży w łóżku... Mam nadzieję, że ojciec wyzdrowieje niebawem. W każdym razie poradź mu, aby zaufał naszemu wielkiemu i miłościwemu Stwórcy, który w żadnej niedoli nie odwraca się od nas. On widzi wróbelka spadającego ze strzechy i liczy włosy na naszej głowie, więc nie odwróci się i od umierającego, który ma w nim ufność. Powiedz mu, że gdybyśmy się teraz spotkali, to nie wiadomo, co przeważałoby bardziej, czy radość, czy ból. Gdyby zaś było jego przeznaczeniem opuścić nas teraz, to oczekiwałoby go rychłe radosne spotkanie z ukochanymi, którzy go wyprzedzili... Napisz niebawem. Serdecznie ci oddany“.

Każde zdanie liczy się tu subtelnie z psychologią umierającego farmera, który w ciągu życia mniej myślał o Bogu niż piszący, ale z pewnością mocniej w niego wierzył. Są to tylko zwykłe słowa pociechy ostatniego namaszczenia i Lincoln pisze te słowa, ponieważ zgodnie z wiarą swoją i naturą nie mógłby ich wypowiedzieć. Jakiż bowiem ból musiałby ojciec odczuwać, gdyby syn jego, który zdobył sobie imię i stanowisko, pochylał się nisko przy wchodzeniu do ubogiej izby, aby swymi ja-

snymi oczami spojrzeć w gasnące oczy ojcowskie? Zaiste, syn obawiał się ojcowskiego łoża śmierci tak samo, jak panna młoda obawia się łoża ślubnego, jego uczucia są zbyt głębokie i zbyt samotnicze. Wielka samotność, wytwarzająca się dokoła tego człowieka, czyni go trwożliwym wobec każdego wzruszającego spotkania i zmusza go do zamykania się w samym sobie.

Dla przybranego rodzeństwa pozostał nawet z daleka na poły pomocnikiem, na poły wychowawcą. Nie wiemy o wszystkim, co dla nich uczynił, ale wiemy, że oni nie uczynili dla niego nic. Tak samo jak wtedy, gdy z siekierą kroczył obok wozu zaprzęzonego w woły, gdy zbudował im dom i otoczył go płotem, tak i dzisiaj z dala od nich i w obcym otoczeniu jest dla nich siłaczem, który ma im pomagać i ich ochraniać. W tym samym czasie, gdy pisał list do brata, wypadło mu także napisać list do brata przyrodniego, mieszkającego niedaleko rodziców.

„Kochany Johnstonie, prośby twojej o osiemdziesiąt dolarów nie mogę zaspokoić. Ilekroć dopomogłem ci, mawiałeś, że teraz będzie już dobrze, ale niebawem znajdowałeś się w tych samych trudnościach. Przyczyną tego stanu rzeczy jest jedynie brak energii. Nie jesteś leniwy, ale jednak próżnujesz. Od czasu gdy się widzieliśmy ostatnio, nie przepracowałeś bodaj ani jednego dnia jak się należy. Pracą nie brzydzisz się z pewnością, ale robisz niewiele, bo ci się zdaje, że praca daje ci mało. Ten twój zwyczaj trwonienia czasu bezużytecznie wien jest wszystkiemu. Bardzo to ważne dla ciebie, a jeszcze bardziej dla dzieci twoich, abys się wyzbył tego przyzwyczajenia. Pamiętaj, że dzieci żyć będą dłużej od ciebie i łatwiej unikną próżniaczki, gdy widywać cię będą przy pracy... Proponuję ci, abys zaczął pracować i abys dzielnie pracował u każdego, kto za pracę płaci.



Pozostaw ojcu dozór nad dziećmi w domu i nad mie-  
niem, przygotuj wszystko do żniwa, a gdy się sam ze  
żniwem uporasz, idź na robotę i pracuj, gdzie płacą naj-  
lepiej, abyś się pozbył długów.

W nagrodę za to obiecuję ci, że do każdego dolara,  
jaki zarobisz między dniem dzisiejszym a 1 maja w go-  
tówce czy na spłaty, dodam ci dolara osobno. Jeśli więc  
zgodzisz się do pracy za dziesięć dolarów miesięcznie, to  
możesz liczyć na dwadzieścia. Nie chodzi o to, abyś węd-  
rował do St. Louis czy do kopalni ołowiu w Kalifornii,  
lecz o to, abyś się miał pracy zarobkowej w pobliżu swej  
rodziny. W taki sposób pozbędziesz się niebawem długów  
i przyzwyczaisz się żyć bez zaciągania nowych pożyczek.  
Gdybym cię dzisiaj z długów wyciągnął, to w przyszłym  
roku będziesz w nich tkwił na nowo. Piszesz mi, że swo-  
je miejsce w niebie oddałbyś najchętniej za 70 lub 80 do-  
larów. To bardzo tanio, bo przy mojej propozycji łatwo  
możesz zapracować 60 lub 80 dolarów w ciągu czterech  
lub pięciu miesięcy. Piszesz mi, że za pieniądze gotów je-  
steś oddać mi swą ziemię w zastaw i zrzec się jej, gdy-  
byś mi długu nie oddał. Głupstwo! Jeśli teraz nie umiesz  
wyżyć z ziemią, jakże mógłbyś dać sobie radę bez zie-  
mi! Byłeś dla mnie uprzejmy, a więc i ja nie chcę być dla  
ciebie nieuprzejmym. Jeśli zastosujesz się do mojej  
rady, to przekonasz się, że jest ona cenniejsza od 80 razy  
po 80 dolarów. Twój kochający cię A. L. “

W tym prostym liście osiąga Lincoln wyżyny tonu,  
jakie przekroczy tylko w niewielu mowach dotyczących  
państwa. Ani jednym słowem nie obraża próżniaka, któ-  
ry już dawno ma żonę i dzieci, i ani jednego słowa ka-  
znodziejskiego nie ma tu o błogosławieństwie pracy. Bra-  
cia ci mówią o miejscu w niebie jak chłopci, nie zaś jak  
pobożni wierni. Jeden z nich jest chytry, bo znając zacne  
serce tamtego, może mu śmiało oddać ziemię w zastaw —



nie zabierze mu jej przecież! Ale w gruncie rzeczy spotkał się z graczem jeszcze sprytniejszym, bo przy całej wielkiej swojej dobroci nie myśli on rzucać bezustannie pieniędzy w dziurę bezdenną, której niczym zatkać nie można. Osiemdziesiąt dolarów? Owszem, ale w przeciągu ośmiu miesięcy, gdy sam zarobi drugie osiemdziesiąt. Propozycję swoją ogranicza nie sumą, ale czasem, aby młodszego od siebie wychowywać i nie obiecywać mu zbyt wiele. Takim oto widzimy Lincolna, praktycznego idealistę i filantropa, który wprawdzie życzy każdemu wszystkiego najlepszego, lecz jedynie na podstawie realistycznej. Jest to człowiek, w którego charakterze serce i głowa wciąż kontrolują się wzajemnie.

Zresztą nie kłopotczy się on o pieniądze dane bratu, lecz musi się troszczyć o żonę i dzieci tamtego, bo on sam już się wychować nie da. Gdy stary ojciec umiera i gdy brat pragnie matkę wykorzystać, Lincoln zmienia ton i od razu staje się gorzki i ostry w stosunku do brata, bo tylko postawą surowego autorytetu może obronić macochę przed chciwością jej własnego syna.

„Gdy wczoraj w Charlestonie dowiedziałem się, że chcesz się wyprzedać i wyemigrować do Missouri, zacząłem się nad tym zastanawiać i muszę ci powiedzieć, że twój pomysł jest dziki. W jakiż to sposób ma ci się tam lepiej powodzić niż tutaj? Czy ziemia jest tam bogatsza? Czy mógłbyś jej tam więcej uprawiać nie pracując? Czy może będzie tam ktoś pracować za ciebie wydawniej niż tutaj?... Tu nie zrobiłeś nic porządnego, a teraz chcesz tylko wyprzedać się, zabrać pieniądze i pójść sobie... Do takiego szaleństwa ręki przyłożyć nie chcę przez sam wzgląd na ciebie, a przede wszystkim przez wzgląd na matkę. Czterdzieści morgów ziemi pragnę dla niej utrzymać, dopóki ona żyje. Jeśli nie chcesz ich uprawiać, to nawet dzierżawa będzie dość dochodowa. Swój

własny udział w innych czterdziestu morgach może ci, owszem, oddać... Idź i pracuj, bo w tym jedyny twój ratunek“.

Tak ostro odzywa się teraz ten sam głos, który przed paru miesiącami brzmiał łagodnie niby głos wychowawcy. Takim stanowczym stanie się Lincoln, gdy przeciwieństwa piętrzyć się będą dokoła niego, a przeciwnik stanie się nieobliczalny. Mowa Lincolnna ma, jak Biblia, dźwięki metaliczne, bo tak jak ona, tak i on posłuszny jest prawom moralnym.

Tymczasem nie ma już powodów, dla których opierał się sprzedaży gruntu, bo widzi, że matka jest zabezpieczona, ale bratu grozi, że nie wyśle mu dokumentu, dopóki pieniądze nie będą „zabezpieczone ponad wszelką wątpliwość w wysokości 10 od sta“. A po dalszych kręctwach brata pisze: „Co do matki, to nie jestem zadowolony. Chciałem ją zabezpieczyć i jestem zobowiązany zważać, aby się jej żadna krzywda nie stała. Ma ona prawo do udziału wdowiego, to jest do korzystania z trzeciej części czynszu do końca życia z obu innych gruntów mających po 50 morgów. Zdaje się, że przekazała ci je bez zastrzeżeń. Brat chce jej wypłacać tylko 8 od 200, co czyniłoby olbrzymią sumę 16 dolarów rocznie. Jeśli chcesz się układać w tym duchu, to beze mnie!... Ziemia może dawać rocznie co najmniej 30 dolarów, a ja nie mogę wziąć na siebie takiej odpowiedzialności, aby zamiast tego miała otrzymać 16 dolarów. Twój itd. A. L.“

Gdy Lincoln podpisuje się „itd.“, to nadciąga burza. Walczy tedy dalej w obronie macochy przeciwko jej rodzonemu synowi i zgadza się wziąć na wychowanie jednego z bratanków. Natomiast nie zaprasza matki do siebie, a przyczyny domyślić się łatwo. Radzi jej, aby sko-

rzystała z zaproszenia starego przyjaciela i pobyła u niego przez jakiś czas.

Gdy w kilka lat później przemawiał publicznie w kościele jakiegoś małego miasteczka, zwrócił się sekretnie do zaufanego przyjaciela i rzekł: „W waszym więzieniu ma być chłopiec. Chciałbym go zobaczyć, ale tak, by się o tym nikt nie dowiedział. Niech pan pomówi z dozorcą“. Chłopiec ten, który już parę razy dopuszczał się kradzieży, zaś ostatnio ukradł zegarek, a prawdopodobnie także strzelbę, jest synem Johnstona. „Poratuję go w obu tych sprawach, ale będzie to po raz ostatni. Gdyby się to powtórzyło, to nie będę chciał ani słyszeć o nim“. Potem idzie ku otworowi blokhauzu mieszczącego więzienie i przemawia do chłopca. Ten beczy, wysuwa zaświechtaną Biblię i przyrzeka wszystko. Lincoln układa się potajemnie z poszkodowanymi, którzy zrzekają się pretensji, i władze wypuszczają chłopca na wolność. „Lincoln był bardzo smutny — opowiada świadek nacowny. — Nigdy nie widziałem go smutniejszym“.

Co za chwile i co za uczucia! Czyż nie musi doznawać uczucia wstydu za siebie, za swoich, ba, za całą ludzkość, gdy obrażony w swoim głębokim uczuciu sprawiedliwości stoi przy kracie więzienia i widzi, jak syn próżniaka marnuje się niewinnie skutkiem zaniedbanego wychowania? Jakże to? Człowiek, który już w wieku młodzięcym nazywany był uczciwym Abrahamem, dzisiaj zaś cieszy się dużym rozgłosem i zaproszony zostaje przez współobywateli, aby przemawiał o wielkich zagadnieniach kraju, potajemnie zakradać się musi do młodego złodzieja, którym ludzie gardzą, w sekrecie musi się układać z okradzionymi, którym niezawodnie wypłacił odszkodowanie z własnej kieszeni, i musi się cieszyć, że wbrew prawu chłopiec zostaje wypuszczony na wolność. A to wszystko dlatego, że ojciec jego ożenił



się z wdową mającą dzieci niedobre. Czy może czyni on to właśnie dla tej starej kobiety, której był wdzięczny przez całe życie? Ależ takie same rzeczy czynił dla ludzi zgoła obcych i w ogóle całe życie Lincolna można by nazwać próbą filantropa, pragnącego wyrównać sprzeczności istniejące między prawem a współczuciem.

## VI

„Gdy szedł, to melancholia zdawała się kapać z niego“. Tym plastycznym obrazem określa Herndon zasadniczy rys charakteru Lincolna. Przecież już matka jego miała takie samo usposobienie. Wczesna śmierć matki, tajemnica jej pochodzenia, niestałość ojca, brak stałego kraju rodzinnego, mnóstwo niepowodzeń, tęsknota za kobietami i nieśmiałość wobec nich, marzycielskie usposobienie jego duszy, która budząc się, była jakby wyganiana ze swego Elizeum — wszystko to razem musiało spotęgować w nim wrodzony smutek tak dalece, że w spojrzeniu jego było jakby melancholijne pytanie zwracające się do całej ludzkości. Że przy takim usposobieniu Lincoln nie stał się mizantropem, to uważać należy za największą może i najszlachetniejszą jego zasługę.

Siedzą na przykład w izbie sądu wędrownego, Stuart zwraca komuś uwagę na Lincolna i tamten opowiada o nim później: „Widziałem go siedzącego w kącie, z dala od wszystkich, roztargnionego i smutnego. Zdawało się, że rozmyśla nad jakimś bolesnym tematem, roztrząsając go systematycznie i wszechstronnie, a twarz jego przybierała nieraz wyraz smutku. Napięcie w wyrazie jego twarzy trwało przez cały czas rozpraw sądowych i dopiero potem wypełził z nory swej melancholii jak



ktos budzacy sie ze snu". Inny swiadek, jeden z towarzyszy wspolnych noclegow, widzial go z rana po przebudzeniu siedzacego na lozku, przy czym Lincoln „wygadywal najdziwaczniejsze rzeczy. Ktos obcy uwazalby go za wariata, ja zas znam go, wiec bez zdziwienia sluchalem i smialem sie. Slyszałem go mowiacego przynajmniej w ciagu pieciu minut po przebudzeniu. Jak dlugo trwal ten monolog, zanim sie zbudilem, tego nie wiem. Potem wyskoczył z lozka, szybko sie umyl i ubral, dolozyl drew do ognia i w zadumie siedzial przed kominkiem, dopoki nie zadzwoniono na sniadanie. Drgnal przestraszony, jakby sie zbudil ze snu, i poszedl z nami. Nie rozmawialismy z nim, bo znalismy ten rys jego charakteru, lecz tego ranka zaznaczyl sie on mocniej niz zwykle“.

Gdy na koncercie slyszy pieśni melancholijne, to je sobie zapisuje na kartce: „Wiersz. Podoba mi sie“:

„O wietrze, powiedz, znasz-li kraj,  
Gdzie ludzkie oczy łez nie ronia?  
Czy wiesz, gdzie śniony znajde raj?  
Gdzie sie przed bólem dusze chronią?  
Wiatr cichym echem płynie w dal  
I w odpowiedzi szepcze: Nie wiem...  
Wiec sie kamieni pytam, fal,  
Morza, co z wieków w wieki szumi,  
Czyli powiedziec mi nie umie,  
Gdzie szczescia szukać i pokoju?  
A fala szumi: Nie wiem, nie wiem...“

Pewnej nocy gwiazdzistej z dala od Chicago siedzi towarzystwo na tarasie w poblizu jeziora, a pani domu opowiada o Lincolnie: „Zdawal sie byc porwany pieknością tej scenerii i owym lagodnym głosem, którym odzywalo sie zawsze jego wzruszone serce, a który tak bardzo odpowiadäl otoczeniu, zaczął mówić o tajemnicy,

która od tysiącleci otacza dalekie światy i naszą ziemię od nich oddziela, o pięknie i poezji, o wzruszeniu starożytnych, gdy Orion i Arktur ukazywały im się podczas nocnych wędrówek, o wynalazku teleskopu, o cudach wiedzy, która zdołała wymierzyć bezmiary dzielące słońce od słońc i ziemię od reszty świata. Potem rozwoził się o potędze wiedzy utajonej w soczewce teleskopu, a gdy noc stawała się coraz chłodniejsza, wyciągnął nogi daleko przed siebie, ręce założył w tyle i zaczął mówić o innych odkryciach“.

Tak oto marzycielska jego dusza wznosi się w pogodną noc aż ku gwiazdom, a potem zawraca jasnymi myślami z powrotem ku sprawom ziemskim. Zrazu jest zachwycony, potem rzeczowy, wahający się między patosem a pragnieniem wiedzy, zawsze kroczący pośrednią drogą prawdy.

Ale nie zawsze bywa panem swoich nerwów, bo stałą melancholię może utrzymać w równowadze jedynie przez stałą ironię, więc dowcip Lincolna jest tylko pasem ratunkowym, na którym trzyma się on na powierzchni życia, a jego niewyczerpane wesołe anegdoty są nieświadomym zabiegiem higienicznym. Nosił nawet notatnik, w którym zapisywał niezliczone wesołe kawały, podobnie jak niektórzy ludzie noszą przy sobie wódkę lub sole do wążania. Dlatego często popada jakby w stan zapamiętania. Pewnego razu podczas recytowania nudnych wierszy, które towarzystwo przyjmuje z bierną tępotą, wybucha nagle szorstkim, jowialnym śmiechem, aby już w następnej chwili popaść z tego powodu w przykre zakłopotanie. Zdarza mu się też, że ku własnemu przerażeniu zaczyna raptem mówić coś na głos.

Niekiedy nerwy wypowiadają mu nagle posłuszeństwo. Pojechał na przykład do Nowego Salem, aby przemawiać nad grobem starego przyjaciela. Po wielu

latach widzi znowu dawnych ludzi, otaczających trumnę i zwracających oczy ku niemu. I raptem zawodzi głowa i zawodzi głos, panowanie nad sobą i obowiązek. Gestem daje znak, aby trumnę zabrano, i cofa się milczący. Mamy tu do czynienia z takim samym załamaniem wewnętrznym, jakie w większej mierze zdarzyło mu się w pamiętnym dniu niedoszłego ślubu.

Jego postać zdaje się być symbolem takich i podobnych stanów. Od wczesnej młodości jest on człowiekiem, który lubi chodzić, i tak samo, jak wielu innych myślicieli, zapewniał, że przy chodzeniu myśli mu się najlepiej. Ponieważ wszystko było w nim nadnaturalnie długie i duże, spojrzenie spokojne, chód ostrożny, więc też i podłużna, koścista jego głowa zawierała więcej cech charakteryzujących badacza niż głowa człowieka czynu. Jego długi, tępo zakończony nos, dwie mocne szczęki z nieco naprzód wysuniętym podbródkiem, twarz przekreślona bardzo dużymi suchymi wargami — wszystko to mogło być równie dobrze własnością człowieka pospolitego, ale głowa ta osadzona była na ładnej krzepkiej szyi, która dawała jej męską równowagę, nad oczami sklepiało się szlachetne czoło wyznaczone ostrymi zarysami brwi, spod których wyzierał blask stalowego spojrzenia, zmuszającego wszystkich do milczenia, ponieważ oczy przemilczały widocznie jeszcze więcej.

Wszystko świadczy o tym, że natura wyznaczyła temu człowiekowi wiek biblijny. Właśnie dlatego, że właściwie nie był on nigdy młody, a więc i ognisty, ponieważ życie rozpoczynał pytaniem filozofa, a nie ciekawością młodzieńca, więc potrzebował dużo czasu, zanim rozwinął się do stanu samodzielności, w której miał dać wielką próbę swego doświadczenia życiowego. Umiarkowanie jego uwarunkowane jest właściwościami jego ciała, zarazem jest ono fundamentem jego myśli pań-



stwowej. „Czy jestem abstynentem? Nie, ale jestem taki umiarkowany, że nie piję“. Podczas całodziennej podróży dyliżansem nie przyjmuje niczego, czym go podróżni częstują: ani prymki, ani wódki, ani cygar. „Jest pan osobliwym człowiekiem — powiada jeden z podróżnych oddalając się. — Pewno się już ze sobą nie zobaczymy. Ale niech mi pan wierzy: ludzie, którzy nie mają żadnych namiętności, miewają też diabelnie mało cnót“. Lincoln lubił o tej przygodzie opowiadać, powtarzał często słowa obcego i kto wie, czy w chwilach niedowierzania samemu sobie nie uważał ich za wyrocznię.

Nie był on też cnotliwy dla samej cnoty, bo poczucie sprawiedliwości było u niego czymś wrodzonym i zmuszało go do czynienia rzeczy dobrych. Od pieniędzy i bogactw trzymał się z dala nie dla purytańskich zasad, a chodził w znoszonym surducie i jeździł w rozklekotanym wózku nie dla moralności, lecz dlatego, że jego zmysły i cała jego istota pochłonięta była myślami bardzo dalekimi od wszystkich spraw zewnętrznych i powszednich. Tylko dlatego prowadził życie nieregularne, bo niczego tak nie cenił i niczym się tak nie rozkoszował jak swoją niezależnością, a przeto nic nie pociągało go do punktualnych posiedzeń przy stole czy też do jakichkolwiek spotkań umówionych. Jadać lubił, gdy był głodny, a spać, gdy był senny; przepisy regulujące jedno i drugie były mu obce. Tak samo jak unikał wszelkich pozorów pompatyczności aż do prostoty swej mowy włącznie, tak też nie chciał nigdy nic przedstawiać, co byłoby rolą w jakimkolwiek znaczeniu słowa, choćby chodziło o rolę męża i ojca. Takie wyjątkowe natury nie mają w zwyczaju oceniać ludzi według uczuć przyjaźni czy też uprzedzeń, aby ich następnie odpowiednio traktować. Ich zmysł poetycki broni raczej osób spotykanych, tłumaczy ich postępowanie, bo je od-



gaduje, i czynom ich przypisuje motywy najszlachetniejsze. „Pragnąłbym, aby Loghan wybrany został (do sądu wyższego), po pierwsze, dlatego, że byłby on najlepszym sędzią, po drugie, dlatego, że porażka bolałaby go bardziej niż kogokolwiek innego“.

A jednak nie jest on anachoretą, lecz przez całe życie był i pozostał synem chłopca, który umiał oceniać własne korzyści, chociaż korzyści te widział we wpływie swoim na życie publiczne. Rzecz prosta, że Lincoln był ambitny, bo gdy z biegiem lat poznawał coraz lepiej wartość swoją, gdy uciśnionych pragnął wyzwolić, a przynajmniej zdobyć dla wolnych gwarancje, iż przez nowe ustawy nie będą uciskani, to rzecz prosta, musiał zabiegać o stanowisko, które zapewniałoby jaką taką władzę. Toteż gdy staje do walki po raz drugi, to stawia sobie cele wysokie i w walce tej skupia wszystkie siły. „Jak trudno jest umrzeć — rzekł pewnego razu podczas podróży do Herndona — gdy się swego kraju nie uczyniło lepszym! Jest wtedy akurat tak, jakby człowiek nigdy nie żył. Sytuacja świata zdaje się być beznadziejna, bo ze wszystkich stron odzywają się pytania: Co ma być dalej? Czy w ogóle ma być coś dalej? Kiedy i w jaki sposób ma to się stać?... Czy i pana nawiedzają niekiedy podobne myśli?“

Te wielkie słowa pozwalają spojrzeć głęboko w duszę człowieka dążącego ku wyżynom, który nie jest dość jednostronny, aby kładł nacisk na formę jako artysta ani na konsekwencję jako myśliciel, ani też obyczajem ludzi światowych nie dąży do przemienienia świata na obraz i podobieństwo swoje. Jest to raczej fragment monologu szlachetnego filantropa badającego świat i stającego się wychowawcą. Człowiek ten bada z wielką powagą życie i siebie, aby znaleźć odpowiedź na pytanie, czy jest powołany do uporządkowania powszechnego chaosu.

Co się ma stać, to zdaje się wiedzieć, lecz jak to się ma stać, kiedy i przez kogo — oto jest wieczne pytanie. Ale nagle urywa on swoje wynurzenia niby wielki pan, który za dużo sobie pofolgował wobec sekretarza, i myśli swoje zamyka pytaniem, na które nie oczekuje odpowiedzi.

## VII

*„Tutaj spoczywa Jonni Kongapod,  
Bądź mu miłościw, dobry Boże,  
Tak, jakby on był tobie, Boże.  
Gdybyś był Jonnim Kongapod”.*

W tym pogodnym napisie nagrobnym, ułożonym przez Lincolna dla pewnego Indianina, zawarta jest podstawa jego wiary w braterską solidarność ludzką i we wzajemną gotowość pomagania sobie; jest to uczucie, jakie przez całe życie miał dla swoich bliźnich. Ale zarazem odzywa się w nim dowcipniś, który nawet wobec mogiły nie nakazuje milczenia swej ironii. I w tych słowach widzimy dążenie do równości, bo i tu szuka on sprawiedliwości, nie chce uznać pana i niewolnika, mściciela i nagradzającego. Wszyscy przyjaciele Lincolna poświadczają, że ani w dwudziestym, ani w pięćdziesiątym roku życia, ani też później nie był chrześcijaninem w potocznym znaczeniu tego słowa, o ile wywnioskować to można z jego przemówień.

Już w Nowym Salemie stał się niedowiarkiem, a nazywano go teistą i fatalistą właśnie wtedy, gdy najczęściej cytował Biblię. Sam on przyznaje, że wątpliwości jego wzrastały od czasu, gdy utracił swą narzeczoną. Około trzydziestego roku życia tak dalece zbliżył się do ateizmu, że „aż mnie to przeraziło“ — jak się wyraził do Herndona, który tak mówi o sobie: „Wierzyłem

wtedy jako młody student w to, czego nauczyła mnie moja zacna matka. Lincoln przybywał do biura, w którym pracowaliśmy, przynosił ze sobą Biblię, czytywał ją i argumentował przeciwko niej... W niewiarę swoją wkładał wiele entuzjazmu. Później stał się dyskretny i z obcymi nie rozmawiał na ten temat“. Niemał tymi samymi słowy potwierdza to Stuart, jego pierwszy wspólnik: „Przeciwko chrześcijańskim dogmatom i zasadom posuwał się dalej, niż mi się słyszeć zdarzało... Lincoln przeczył zawsze, jakoby Jezus był Mesjaszem i Synem Bożym w tym znaczeniu, w jakim nauczał tego kościół“. W dziesięć lat później poświadczył sędzia Davis, że Lincoln nie miał wiary w chrześcijańskim znaczeniu tego słowa, lecz że wiara jego opierała się na prawach, zasadach, przyczynach i formach. „Rzekł do mnie — stwierdza czwarty świadek — że ma pewną wiarę w nieśmiertelność duszy, ale nie umie sobie wyobrazić wiekuistego potępienia“. Piąty mówi o wierze Lincolna, iż wierzył on w Stworzyciela „będącego zasadą, według której cały świat się porusza, powstają zwierzęta i rośliny; harmonia natury mówi wyraźnie o tej zasadzie. Byłoby większym cudem, gdyby to wszystko powstało samo przez się, niż gdyby zostało powołane do istnienia przez potęgą wyższą... Dowody boskości Chrystusa zostały nam, oczywiście, przekazane w postaci budzącej wątpliwości, ale systemat chrześcijański jest genialny i popiera dobro“.

To moralne i niedogmatyczne chrześcijaństwo, jakie wszyscy filantropowie przed nim i po nim wyznawali, potwierdzają i u Lincolna najwiarogodniejsi świadkowie: „Idee jego znajdowały się poza sferą dogmatu chrześcijańskiego — powiada o nim jeden z jego przyjaciół — ale jego życie moralne i duch jego postępowania były właśnie tym, co zazwyczaj nazywamy chrześcijań-



stwem“. Jego żona Mary streściła to później w takich słowach: „Nie miał on żadnej wiary i żadnej nadziei w powszednim znaczeniu słowa i nie przyłączał się do żadnego kościoła, ale z natury był człowiekiem religijnym... Dusza jego żyła raczej pewną postacią poezji. Nikt nie wierzył bardziej niezachwianie w Opatrzność Bożą niż on, ale słowa Bóg, którego w ostatnich latach często używał, nie należy brać w znaczeniu Boga osobistego. W 54 roku swego życia prosił mnie, abym skreśliła słowo Bóg, którego użyłam w pewnym przemówieniu naszkicowanym i przedłożonym mu do przejrzenia. Polecił je skreślić dlatego, że zdanie moje kazało się domyślać Boga osobistego. Był on mocno przekonany, że takiego osobistego Boga nie ma“.

Równie szczerze, jak całe swoje postępowanie, motywował on także swoją moralność. „Jakiś stary człowiek rzekł do mnie razu pewnego: «gdy uczynię coś dobrego, czuję się dobrze, a gdy uczynię coś złego, czuję się źle». I to jest moja religia“. Innej religii mieć nie mógł, chociaż czytywał Kanta i Locke'a, Fichtego i Emersona, a także sprawozdania wolnomularzy illinoiskich i niektóre książki ze Szkocji. Pisma te nie zdołały w niczym pobudzić jego umysłu i do serca jego nie trafiły niczym. Oczywiście umie on, spisując testament pewnej biednej niewieście, zacytować jej z pamięci psalm, gdy ta sobie tego życzy, a gdy po śmierci synka żona jego przyłącza się do prezbiterianów, Lincoln opłaca w ich kościele ławkę, ale do kościoła tego nie wstępuje. Podczas długiej rozmowy z duchownym wyraża się w ten sposób: „Taki zapewne jest już mój los, abym dalej kroczył w blasku przyćmionym, czując i myśląc przez całe życie, jak to czynił niewierny Tomasz“.

Gdy wszakże jeden z jego synów został pokąsany przez wściekłego psa, Lincoln zawiózł go aż do Indiany



do „kamienia szalonych“. Wielka bowiem była zabobonność farmerów, wśród których się wychował. Zabobonność ta nie pomniejszała się, lecz jedynie wysubtelniła, gdy zetknął się on z wiedzą i powątpiewaniem. Im bardziej starzejący się Lincoln zbliżał się ku wyżynom swego życia, tym większą stawała się jego zabobonność.

Ale to było rzeczą zgoła naturalną. Samo jego osamotnienie i świadomość, że jest człowiekiem osobliwym, musiało tego sceptyka przykuć do znaków i dziwacznych zjawisk. Zarazem odpowiadało to podstawowej zasadzie jego mądrości życiowej. „Nie ma przypadku w mojej filozofii: każdy skutek musi mieć swoją przyczynę. Przeszłość jest przyczyną teraźniejszości, a ta stanie się przyczyną przyszłości. Wszystko to są ogniwa łańcucha wiążącego skończoność z nieskończonością“. Lincoln drwił sobie z wolności woli, a siłę i słabość postawy ludzkiej wyraził w pięknym słowie: „Należy raczej mówić o wolności ducha“. Lubił cytować wiersz: „Jest boskość, która rządzi życiem naszym, i żadna moc przemienić jej nie zdoła“.

Jego niezachwiana wiara w przeznaczenie znalazła swój wyraz w wypowiedzi o Brutusie: „Prawa i okoliczności, znajdujące się poza sferą jego władzy, zmusiły go do zabicia Cezara“. Długo potem, gdy jemu samemu Brutus się ukazał, w słowach jego żony przechowała się jego wiara w przeznaczenie: „Jedyną filozofią Lincolna było: co się ma stać, to się stanie i żadna modlitwa nie zdoła przeznaczenia odmienić“.

Ten łańcuch ustalonych przyczyn i skutków prowadzi od zabobonu do logiki, nie stawia mu żadnych alternatyw, lecz przy uczuciu zależności od nieuniknionego skłania go raczej do zważania na znaki i przepowiednie. Toteż zabobonność Lincolna stawiała mu zawsze tylko bierne pytania i nigdy nie prowadziła go do decyzji

czynnej. Próbował on jedynie podczas kryzysów swego życia objaśniać sobie sny i zwiidy, ale nigdy według tych znaków nie postępował. Tyle tylko, iż usiłował spojrzeć za zasłonę i w nerwowym napięciu wyglądał zdarzenia, którego odmieniać nie myślał. Nigdy niczego nie odkładał, nie zmieniał, nie odwracał i nie odmawiał jedynie dlatego, że taki lub inny znak mógłby go przyprawić o niepokój. Ale niekiedy budzi się w przeczuciu nadchodzących zdarzeń. Nawet w dniu śmierci znajdziemy go pełnego tych delikatnych przeczuć.

A jednak zachowuje on z dnia na dzień pewność siebie zarówno w sprawach drobnych, jak i w wielkich, ma zaufanie do celu, jasności, logiki i rozsądku. Używa swoich zmysłów, które widzą lub czują, korzysta z doświadczenia i z biegu czasu. Czyż dlatego, że wszystko jest z góry przeznaczone, mielibyśmy przestać działać? Przez kogo i kiedy miałyby się przeznaczone ziścić? Czyż ręka i głowa jednostki nie jest potrzebna, aby się stało to, co tkwi w istocie rzeczy? Na cóż więc wszelka analiza, skoro skorzystać z niej nie możemy? Poznawaj pobudki działania ludzkiego, sięgaj po nie, przekształcaj je! „Nie ma żadnych postępków bezinteresownych — twierdzi on — bo za każdym postępkim ukrywa się jaźń“. Gdy młody Herndon próbuje mu przeczyć, to starszy przyjaciel tak długo i szczegółowo analizuje przyczyny jego postępowania, aż młodszy się poddaje. Nic więc dziwnego, że Herndon należy do tych przeciwników niewolnictwa, którzy chcieliby je usunąć od jednego zamachu, podczas gdy Lincoln jest jednym z tych, którzy się cieszą, że niewolnictwo się przynajmniej nie rozpowszechnia. I ten, i tamten spoglądają na świat idealistycznie, ale jeden z nich jest sceptykiem, podczas gdy drugi sądzi, iż świat można uczynić lepszym przemocą. Lincoln wie, że losu nikt odmienić nie zdoła. Tak się więc dzieje,

że wielkiego humanistę, człowieka kryształowo czystego w pobudkach i postępkach nazywają zimnym. „Lincoln widział sprawy i rzeczy raczej w skostnieniu niż w ruchu... bez jakichkolwiek ułud miażdżył on wszystko nieścisle, puste i fałszywe, niczego nie pozostawiał w stanie mglistym, soczewka jego była zawsze nastawiona ostro... Wszystkie jego wielkie przymioty ugięły się pod ciężarem despotycznej logiki“.

Tak więc z bezustannych przeciwstawień dobroci i sceptycyzmu, z równowagi między jasnością a współczuciem mógł się wreszcie zrodzić mąż stanu, który drogami polityki partyjnej podążał ku wielkim celom ludzkości.

## VIII

Z wielkim zgiełkiem rozpoczął się na nowo wielki spór, który przez czas niejaki zdawał się drzemać. Ciemny szatan potęgi okrutniejszej od wszystkich, jakie od stuleci trapiły ludzkość, usadowił się wśród szanów twierdzy, którą ludzkość współczesna od dawna oblegała, nie próbując jej szturmować. Ucisk, którego sprawiedliwość stulecia dłużej znosić nie chciała, ciążył na sumieniach nie tylko Ameryki i dręczył poczucie odpowiedzialności narodu chrześcijańskiego tak bardzo, że po dziesięcioleciach prób zmierzających ku temu, aby nieprzejednane pojednać z sobą, powstawało pytanie ostateczne, czy obie części społeczeństwa mają podtrzymać jedną i tę samą zasadę moralną, czy też muszą się rozejść.

W żadnym kraju Europy niewolnictwo nie przybrało nigdy postaci tak paradoksalnej jak tutaj, gdzie po raz pierwszy w dziejach ludzkości naród zjednoczył się pod sztandarem nowego prawa, głoszącego równość wszyst-

kich ludzi. Gdy car wszechrosyjski i wielcy jego państwa od stuleci podtrzymywali niewolnictwo, to na usprawiedliwienie swoje mieli, przynajmniej to, że przodkowie ich zdobyli ten kraj ogniem i mieczem, że go powiększali, czuwali nad jego bezpieczeństwem jako klasa panująca, która potrzebuje ludu, aby móc nad nim panować. W kraju tym było zawsze tak, że nad milionami panowały jednostki i ich swawola, a niewolnik-chłop przywykł do tego, że niewolę otrzymywał razem z życiem po swoich pozbawionych praw dziadach i pradziadach, którzy nie posiadali ani siły, ani nadziei wyzwolenia się kiedykolwiek z niewoli, a czasem brakło im nawet pragnienia wolności.

Tutaj wszakże był nowy kraj, w którym garść śmiałych i mężnych ludzi wyzwoliła się najprzód spod panowania Europy, a następnie zebrała się, aby wymagania filozofów, postulaty myślicieli państwowych i myśli poetów po raz pierwszy od czasów klasycznej starożytności wcielić w życie, uczynić je prawdą. Lecz oto w tej samej Ameryce, której sprawiedliwość promieniowała nad Oceanem niby młodsze słońce, pozostała część dawnych mroków. Założyciele państwa nie odważali się ich zniszczyć, chociaż mogli to uczynić tymi samymi pociągnięciami pióra, którymi przekreślili stare klasowe panowanie Europy. Spoglądali na ciemny punkt, a sumienie ich dręczyło. Bo czyż urzędnicy ich mogły uchodzić za lepsze od rosyjskich jedynie dlatego, że ich niewolnicy byli czarniejsi, mieli płaskie nosy, grube wargi i kędzierzawe włosy? Czyż teorie Rousseau, aforyzmy Diderota, wymagania Woltera miały znaczenie tylko dla białego pigmentu skóry? W takim razie były one śmieszne, bo jeśli było sprawiedliwe uważanie Murzyna nie za człowieka, ale za rzecz, to było też całkiem w porządku dzielenie białych według pochodzenia, posiadania i wy-



kształcenia na klasy, których najwyższa miała panować, a najniższa mogła już tylko trwać w ślepych posłuszeństwie.

Ale wtedy, przy zakładaniu Unii, to jest przed laty osiemdziesięciu, potężni panowie Południa ani słyszeć nie chcieli o pozbyciu się Murzynów i odesłaniu ich do Afryki. Ludzie ci pełni byli wszelkich uprzedzeń starego świata, bogaczami stali się jedynie dzięki swoim przywilejom, a jeśli przystosowywali się do takich czy innych zasad Północy, zgoła im obcych, to tylko dlatego, aby się pozbyć niemiłych dla siebie ceł i innych opłat. Natomiast ojcowie, o ile pochodzili oni z Południa, ale w nowym otoczeniu pozbyli się swoich kastowych uprzedzeń, nie mogli się zdobyć na nic innego, tylko na pomniejszenie liczby własnych niewolników, na poprawę ich losu, na częściowe wyzwolenie ich.

Nastawał nowy wiek i potęgował przeciwieństwa. Technika tego wieku uczyniła z człowieka niewolnika maszyny, ale jednocześnie obniżyła ceny różnych towarów i udostępniła je wszystkim. Ubogi otrzymywał coś w rodzaju odszkodowania za dostatki bogaczy, rozprasały się pewne złudzenia, a podczas gdy między panem a sługą przeciwieństwa pozornie malały, gdy rodziła się nowa klasa, ambitna i energiczna zarazem, maszyna zdołała ustokrotnie produkcję bawełny, odziewając nią miliony ludzi, którzy nie byliby się zgodzili na hodowanie bawełny w klimacie niemal tropikalnym. W miarę tedy jak po świecie coraz głośniej rozlegało się wołanie o powszechną równość i zniesienie niewolnictwa, a tempo pracy się wzmagало, Murzyni zdawali się być coraz bardziej potrzebni, a nawet niezbędni.

Czemuż panowie nie proklamowali wolności Murzynów? Bali się tego i byli zbyt sprytni. Bo któż chciałby z dobrej woli opłacać pracę, którą otrzymać może dar-

mo? Który gospodarz najmowałby wyrobników do roboty, którą może wykonać wół? Tysiące niewolników, będących własnością panów, tworzyło żywiol, który sam się rozplądzał w ich wsiach, a kukurydza, którą niewolnicy pożerali, rosła bez żadnego zachodu. Miejsce starych i umierających zajmowali młodzi. Lecz cóż byłaby ta dzika horda uczyniła, gdyby dnia pewnego łagodna ręka zdjęła łańcuch z ich nóg, odrzuciła bicz i rewolwer, a głos życzliwy oświadczyłby w imieniu ludzkości, że wszyscy są wolni? Czy któryś z tych dzikusów byłby sobie w takim razie przypomniał o Chrystusie i jego dziwnej nauce, wpajanej mu z wielkim trudem?

Z wściekłością byliby się rzucili na swoich panów, paląc i mordując, niszcząc pola swej wiekuistej pracy, byliby powyłamywali składy z wódką i bronią. Najprzód połamaliby narzędzia pracy, potem rozszarpaliby dozorców, potem powystrzelaliby panów i pogwałciliby panienki zamkowe, jak gdyby one były Murzynkami, a oni białymi ich właścicielami. Nie, tutaj można było stosować tylko jeden środek: czas i cierpliwość, zakaz nowego dowozu niewolników, przede wszystkim zaś ograniczenie zła do pewnych stanów, w których ono powstało i wydawało się jeszcze potrzebne. Gdyby się udało ograniczyć chorobę do pewnego organu, który nie był organem centralnym, to organizm mógłby żyć dalej, gdyby się natomiast choroba rozwijać miała, to całość znalazłaby się w niebezpieczeństwie. Do takiego kompromisu zmuszeni byli wnukowie ludzi, którzy ongiś, pomimo takich wewnętrznych sprzeczności, postanowili stworzyć Unię. Gdyby się Południe zgodziło na korzystanie ze swego przywileju i życia takiego, jakim żyli ojcowie, to byłoby ono może zachowało instytucję, w której przy pozorach wolności niewolnicy byliby musieli pracować tak samo jak w kopalniach złota, w któ-

rych formalnie wolni Murzyni spełniać musieli pracę niewolników.

Ale Północ rozwijała się i potężniała. Ludzie, pieniądze i siły twórcze przy pomocy nowych maszyn i nowych myśli wytworzyli w ciągu kilku dziesięcioleci taką potęgę w państwie, że zagrażała ona coraz bardziej panowaniu Południa. W miarę jak siekiery pionierów wyrąbywały sobie coraz więcej dróg na Zachód, odgłos tych siekier budził coraz większy strach w sercach panów z Południa. Zrozumieli oni, że trzeba koniecznie stworzyć sobie większość w stolicy państwa, gdyż na peryferii stawali się mniejszością i pod względem liczbowym, i pod względem potęgi. Podczas gdy otwierało się nowe olbrzymie pole pracy, gdy Europa wysyłała tu tysiące swoich synów, gdy lasy przemieniały się w pola uprawne, prerie w łąki, a knieje w miasta, gdy ziemia ta, budzona z tysiącletniego snu, zmuszona była wydawać ze swego łona złoto, żelazo i ołów, potężniejący Zachód stawał się zmorą Południa. Bowiem cała olbrzymia praca wykonywana tam była rękami białych, a każda nowa komórka, jaka się tworzyła, aby zbogacić organizm, była komórką białą, zagrażającą potędze czarnych. Istniała zgodność między życiem powszednim i moralnością, co podkopywało potęgę i znaczenie panów z Południa. Jeśli nie stworzą oni w Waszyngtonie własnej władzy, to przyjdzie czas, gdy urządzenie ich zostanie zniesione doszczętnie.

Jakież środki obrony pozostały im jeszcze? Grozić odebraniem się. Kuba i Ameryka Środkowa były przecież dość blisko ze swoimi plantacjami bawełny, ryżu i herbaty, potrzebującymi tym wyłącznie wydatnej pracy Murzynów. A i Anglia wspomogłaby przecież każdego, kto odwołałby rewoltę zeszłego stulecia i oderwanie się od kraju macierzystego, a przez rozdział Unii osłabiłby



ją, czy nawet przygotowałyby cały kraj do nowego ujarz-  
mienia. Gdyby się wnukowie buntowników oddzielili od  
swoich braci, to mogliby się chyba spodziewać tylko na-  
grody. Im, południowcom, nikt wolności odebrać nie  
może, a osłabiona Północ zostałaby powstrzymana  
w swoim zwycięskim pochodzie przez niezawodną inter-  
wencję lub co najmniej przez ograniczenia gospodarcze,  
a to zmusiłoby ją później do ustępstw, których obecnie  
odmawia.

Położenie Północy było bardzo ciężkie i dlatego czy-  
niła ona ustępstwa raz tu, raz ówdzie. Zrazu nazywało  
się to kompromisem: prócz stanu Missouri na Północy  
nie mógł powstać ani jeden stan, który by trzymał nie-  
wolników. Potem mówiono, że na życzenie osadników  
zostaną założone jeszcze cztery takie stany. Wreszcie je-  
den z wigów, sam Henry Clay, cofnął się jeszcze o je-  
den krok i znalazł sposób uniknięcia nowej walki, zga-  
dzając się na to, aby nowe stany przejęte od Meksyku  
miały prawo trzymania niewolników. Natomiast młoda  
Kalifornia będzie stanem wolnym, a co do łowców nie-  
wolników, to prawo zostanie zaostrome. W taki sposób  
dotarła aż do najdalszej Północy teoria głosząca, że nie-  
wolnik nie jest wolną osobą, lecz rzeczą, chociaż prze-  
ciwko temu buntował się niepodkupny duch kwaków  
i burzyło się każde serce i każda głowa. Ponieważ każdy  
obywatel obowiązany był chwytać na ulicy zbiegłego  
Murzyna i ponieważ komisarze otrzymywali po dziesięć  
dolarów od sztuki takiej zbiegłej zwierzyny, przeto  
wszyscy byli wychowywani na łowców niewolników.

W walce tej uczestniczyły w równej mierze gospo-  
darka i moralność, interesy i uczucia. Podczas gdy Pół-  
noc chciała zaludniać Zachód białymi, Południe chciało  
tam mieć czarnych; Północ potrzebowała monopoli dla



ochrony swoich fabrykatów, Południe domagało się wolnego handlu, aby mogło swobodnie wywozić swoje wyroby. Każdy ubogi obywatel Północy musiał się przeciwstawiać niewolnictwu, które zagrażało jego własnemu istnieniu, ale na Południu niewolnictwo pozostawiało białemu robotnikowi część samodzielności, bo niewolnik stał znacznie niżej od niego. Na Północy pracę otacza szacunek, na Południu jest ona w pogardzie. Jest tu stała walka między autorytetem a demokracją, między dziedzicami ludzi bogatych a pracownikami wolnymi, między tradycją a dzielnością i walka ta domaga się rozstrzygnięcia. Bawełna nie wytworzyła sytuacji, lecz ją jedynie uwydatniła.

Lecz teraz podnosi się duch bawełny, wszczyna ruch przeciw rewolucji i stwarza nową metafizykę na swoją korzyść. Tak zwani „Freesoilers“ wołają na Północy: wolność ziemi, wolność pracy, wolność słowa! A tymczasem na Południu ciągle jeszcze nie brak kapłanów trwających uparcie przy legendzie o Ezawie i misce soczewicy jako wyroku samego Boga. Ba, Południe miało nawet własnych filozofów! Na jednym z uniwersytetów północnych napisana została książka „Sami ludożercy“, a w książce tej czytał Lincoln takie zdanie: „Społeczna wolność na zachodzie Europy jest błędem. Zasada ta upadnie także i w Ameryce. Północ przyświadcza temu milcząco“. Następnie autor zaleca obezwolnienie białych i życzy sobie, aby nowe terytoria były porozdawane panom i aby bezrobotni biali byli im poprzydzielani jako własność pańszczyźniana. „Kto posiada tysiące dolarów, niech się stanie opiekunem ubogiego białego o wartości przeciętnej, bo słowo „pan“ brzmi niesympatycznie. Kto ma dziesięć tysięcy, temu należy dać dziesięciu białych, a milionerowi tysiąc ludzi na własność. Byłby to czyn

prostej sprawiedliwości i dobrodziejstwo, bo wszak i dzisiaj kapitaliści żyją z pracy ubogich, panują i używają wszystkiego w proporcjach zaznaczonych“.

## IX

Los musiał skłócić z sobą osobiste interesy dwóch ludzi, aby wielkie zagadnienie zostało należycie sformułowane i w wielkiej bitwie ostatecznie rozstrzygnięte. Pewien senator chciał zostać prezydentem, pewien niewolnik domagał się wolności. Ambitnym senatorem był Douglas. Obliczył on dokładnie swoje szanse i przeforsował ustawę, która miała go uczynić ulubieńcem wszystkich, ale niebawem doprowadziła do zamętu, wywołała rozłam w jego partii, spowodowała powstanie nowej partii i ostatecznie uwarunkowała jej zwycięstwo. Niewolnikiem, który domagał się wolności, był Dred Scott. Po wyemigrowaniu swego pana przeniósł się on do wolnego stanu, ogłosił się wolnym, wniósł sprawę do sądu i zmusił Sąd Najwyższy do wydania wyroku, który wzburzył cały kraj. Obaj przegrali: senator nie stał się prezydentem, niewolnik nie odzyskał wolności. Natomiast Unia po dziesięcioleciu walk wewnętrznych, w czym było cztery lata wojny domowej, wyszła z tego przesilenia wzmocniona. Senator nie żył już wtedy, a niewolnik, jeśli jeszcze żył, to został ostatecznie uwolniony razem z milionami swoich czarnych braci.

Było to w roku 1854. Po dwóch latach miały się odbyć wybory na prezydenta, a Douglas, najpopularniejszy i najbardziej wpływowy demokrat, zdążył do swego celu. Do tego celu mógł wszakże dotrzeć tylko przy pomocy Południa, a Południe mógł pozyskać jedynie przez rozszerzenie niewolnictwa na nowe terytoria. Wpraw-

dzie jeszcze przed rokiem nazwał on kompromis missuryjski „świętością w sercu narodu“, której nikomu dotykać nie wolno, ale teraz, gdy stał się niejako ambasadorem Południa wobec Północy, a jednocześnie przedstawicielem niezliczonych tysięcy demokratów z Północy, którzy nie życzyli sobie wznawiania hałasu i cofania wypadków z powodu obmierzłej już sprawy — teraz utworzenie nowych dwóch stanów dało mu sposobność do zasadniczego zwrotu.

Kansas i Nebraska znajdowały się w stanie nie narodzonych embrionów, których płeć jeszcze nie została określona. Położone na północ od dawnej linii kompromisowej, a więc bezsprzecznie wolne, zamierzały przyłączyć się do Unii. Obie partie nacierały na te dwa nowe stany, żądając od nich wypowiedzenia się za niewolnictwem czy też przeciw niewolnictwu, bo Południe i Północ jednakowo były zainteresowane w kierunku ich decyzji. Douglas, przewodniczący komisji do spraw nowych terytoriów, gorliwie szukał rozstrzygnięcia możliwie mglistego, które nie skłóciłoby go ani z Południem, ani z Północą, i znalazł je wreszcie. Oświadczył on, że upłynęło dwadzieścia pięć lat od zawarcia kompromisu, że więc sprawę trzeba uporządkować na nowo i że byłoby to przeciwne duchowi konstytucji ograniczać nowe stany pod jakimkolwiek względem. Była to jego zasada „suwerenności ludu“. Według tej zasady obywatele wszystkich stanów mieliby prawo nadawać sobie własną konstytucję, której ustawy dopuszczałyby niewolnictwo lub też je wyłączały. Przypomniał on też słowa Colburna, który przed trzydziestu paru laty powiedział, że tak samo jak nie można obywatelowi zabronić, aby przenosząc się z jednego stanu do drugiego nie zabierał ze sobą krów, narzędzi czy laski, tak też nie można mu zakazywać, aby nie zabierał ze sobą swoich niewolni-

ków. „Prawdziwą treścią i znaczeniem tej nowej ustawy jest to, że ani ona nie zakazuje, ani też nie zaprowadza niewolnictwa w pewnych stanach czy na pewnych terytoriach. Owszem, pozostawia się ludowi całkowitą swobodę regulowania swoich domowych spraw według własnego uznania, przy czym liczyć się trzeba jedynie z konstytucją Stanów Zjednoczonych. W prawie tym byli obywatele dotychczas ograniczani; przywracamy im pełnię tego prawa“.

Projekt ten, bardzo zręcznie przez Douglasa sformułowany, opierał się pozornie na ostatnim kompromisie Claya, dotyczącym zbiegłych niewolników, i zdawał się rozwijać go poniekąd. W ten sposób udawał wobec wigów, że jest kontynuatorem tradycji ich największego przywódcy, zwolenników Północy zapewniał, że mieszkańcy Kansasu wypowiedzą się stanowczo przeciwko niewolnictwu, a południowcom dawał do zrozumienia, że przy dopływie nowych ludzi każdą ustawę można obalić przy pomocy plebiscytu. Przebiegłym manewrowaniem udało mu się już pod koniec sesji przeprowadzić projekt przez obie izby i przy pomyślnym układzie głosów znaleźć dla niego odpowiednią większość. Radość z powodu przyjęcia tej uchwały była tak wielka, że po głosowaniu artyleria strzelała ze wzgórzka kapitolńskiego na wiwat. Naprawdę zaś były to pierwsze strzały wojny domowej na siedem lat przed jej wybuchem.

Bowiem naród odpowiedział na to wzburzeniem umysłów, jakiego Unia jeszcze nigdy nie przeżyła od chwili swego powstania. Na łeb na szyję śpieszył się ambitny senator, aby postawić naród wobec faktu dokonanego, że odtąd każdy stan będzie mógł według swego uznania zaprowadzić niewolnictwo. Ustawa ta, uchwalona wbrew tradycji i duchowi ojców, nosiła na sobie faryzejskie piętno swego twórcy, który dążąc przy jej pomocy do



prezydentury grał rolę męczennika i wołał: „Fanatycy będą na mnie napadali i będą mnie szkalowali, wielu z tych, którzy mi dawniej ufali, będzie mnie teraz nie-nawidzić i wieszać mnie będą *en effigie*“.

Powszechnemu wzburzeniu odpowiadał też styl głosowania. Ponieważ Kansas zgodnie z warunkami swego klimatu i gruntu nie nadawał się dla Murzynów, ale dla pracowników białych, więc towarzystwa Nowej Anglii finansowały imigrantów, tak że kraj ten niebawem został zaludniony przez północnych, częstokroć obcych, farmerów i wypowiedział się stanowczo przeciwko niewolnictwu. A Południe? Wysyłało całe wyprawy i gromady, bandy i hordy awanturników, dokonywało pozornych zakupów ziemi, urządzało fikcyjne osiedla, a wszyscy wysłani przez nie ludzie byli uzbrojeni. Gdy nadszedł dzień głosowania, agenci właścicieli niewolników z Południa napadali na mieszkańców Północy, dopuszczali się na nich gwałtów, nie pozwalając im głosować, sami zaś oddawali po kilka głosów. Dzień głosowania zakończył się kilku morderstwami i przyjęciem ustawy o prawie trzymania niewolników. Przed głosowaniem i po głosowaniu hordy awanturników włóczyły się po kraju, mordując i rabując oraz hańbiąc kobiety; pojmały nawet gubernatora i przywiązały go do drzewa w prerii. Władze były wobec tego wszystkiego bezsilne, a może i bezradne, podczas gdy właśnie w taki sposób zaczynała się wojna domowa. Oto jest dzieło demokratów! — odzywają się głosy na Północy i tysiące ludzi odpada od stronnictwa, zasilając partię wigów przez przyłączenie się do niej i podrywając znaczenie wielkiej starej partii.

Najbardziej zachwiane jest stanowisko samego Douglasa. Jego senatorstwo kończy się niebawem, a ponieważ bez tego mandatu działać nie może, przeto musi

śpieszyć do Illinois, aby w parlamencie krajowym, który wybiera senatorów, utrwalić na nowo swoje stanowisko. Stan ten jest bardzo długi i ciągnie się od szerokości, na której leży Nowy Jork, aż do granic Kentucky; jest to więc stan reprezentujący obie tradycje i obie obraził Douglas swoją dwulicową grą. Nie spodziewał się on, że reakcja przeciwko niemu będzie tak gwałtowna. Prasa wyrzuca mu jego utajone motywy, a mianowicie zdążanie ku stanowisku prezydenta. Ale cóż robić, trzeba brnąć dalej.

Gdy wjeżdża do Chicago, widzi flagi na wielu domach poopuszczane na pół masztu, a gdy wieczorem udaje się na zebranie, aby na nim przemawiać, słyszy dzwony żałobne. Przepelniona sala przyjmuje niedawnego ulubieńca miasta milczeniem. Najprzód zaczyna on mówić o swojej „suwerenności ludu“, a gdy słuchacze rzucają mu gorzkie pytania, traci szybko cierpliwość, ostrymi słowami odpowiada na zaczepki, rozpętuje sprzeczkę między gwizdzącą większością a garstką przyjaciół na sali, stoi z płonącymi policzkami i zmarszczonym czołem i odgraża się pięściami. „Spiskował pan z Południem!“ — krzyczy sala. Powstaje wielki tumult, dalej mówić nie można. Na zakończenie, około północy, Douglas woła: „Zaczyna się niedziela, ja idę do kościoła. A wy, jeśli chcecie, możecie iść do diabła!“

Potem objeżdża Illinois, aby odzyskać dawnych przyjaciół, i niebawem przybywa do Springfield, gdzie bawi dużo farmerów na targach jesiennych. Tutaj przemawia z powodzeniem przez trzy godziny, a pod koniec powiada: „Słyszę, że pan Lincoln, mieszkaniec tego miasta, chce mi odpowiedzieć. Jeśli tak jest istotnie, to proszę, aby zechciał wystąpić“. Lincoln nie ma na sali, ale przyjaciele jego zapewniają, że jutro Douglasowi odpowie.

Nazajutrz przemawia Lincoln przez cztery godziny przeciwko Douglasowi i ustawie kansaskiej, przeciw „suwerenności ludu“ i niewolnictwu. Mowa ta nie została spisana, ale niezawodnie była ona podobna do jego mów późniejszych. Wrażenie tej mowy było raczej głębokie niż głośnie. Przed mówcą siedział Douglas, zaskoczony, ale opanował się i zaczął odpowiadać: „Przyjaciel mój, pan Lincoln, prosił mnie, abym wysłuchał jego przemówienia i odpowiedział na nie. Dziękuję mu za jego uprzejmą propozycję“.

Pierwszy ten pojedynek nie przyniósł rozstrzygnięcia.

## X

Minęło już dobrych kilkanaście lat od chwili, gdy podczas podróży swą rzeką Missisipi Lincoln pisał do siostry Speeda: „Miałem tu na statku doskonałą sposobność do zastanowienia się nad wpływem okoliczności na ludzkie szczęście. Pewien pan zakupił w Kentucky 12 Murzynów i wywoził ich do swego majątku na Południu. Byli ze sobą powiązani po sześciu: cienkie kółko żelazne obejmowało lewe przedramię, a przez nie przeprowadzony był cienki łańcuch związany z łańcuchem głównym tak luźno, iż miało się wrażenie, że to jest dwanaście ryb nawleczonych na suchą linę. W taki sposób zostali uprowadzeni raz na zawsze z miejsca swego dzieciństwa i najwcześniejszych radości, od swoich rodziców i rodzeństwa, aby na zawsze stać się niewolnikami i w niewoli zakosztowywać bicia ostrzejszego i niemiłosierniejszego niż gdziekolwiek na świecie. A jednak i w tych straszliwych warunkach wydawali się oni najweselszymi i bodaj najszczęśliwymi istotami na statku. Jeden z nich, który z miłości dla swo-

jej żony narobił długów i dlatego został sprzedany, grał ciągle na skrzypcach, inni tańczyli, śpiewali i grali w karty przez cały dzień. Jakież to prawdziwe, że Bóg łagodzi wiatr dla strzyżonego jagnięcia! Można rzec także, iż czyni on najgorsze warunki znośnymi, a najlepsze czyni też nielepszymi“.

Tak oto brzmi głos Lincolna, gdy zastanawia się on nad wielką sprawą i gdy ze sceptycyzmem mędrca wykreśla granice swoim dążeniom, a jednocześnie rozważa względność ludzkiego szczęścia, o które chciałby walczyć. Że przy jego poczuciu względności, zdolnościach i potrzebie wzywania się w stany innych dusz ów obraz i ów dzień nie mogą oddalić go od obranej drogi do wielkiego celu, to świadczy o źródłach i ujściach jego myśli. Przed dwudziestu laty widział on po raz pierwszy nagą Mulatkę wijącą się pod poządliwymi spojrzeniami nabywców i pod szturchańcami sprzedawcy, dzisiaj czuł po raz pierwszy grozę przeżyć duszy ludzkiej. Ale dzisiaj nie jest on już młodzieniaszkiem i na samym sobie oraz na innych doświadczył nieraz, że i białą bywa wydany na łup tysiącznych niedoli, a serce ludzkie równie wrażliwe jest na ból bez względu na to, czy bije pod białą skórą czy pod czarną.

Ach nie, tu nie chodzi jedynie o współczucie, lecz o bodźce patetyczne zmuszające go do buntu jak Beethovena. Jego poczucie godności ludzkiej budzi w nim pragnienie zdobycia tej godności także i dla tych Murzynów na statku, chociaż bawią się oni i zdają się nie odczuwać łańcuchów na swoich rękach. Liryczny ton tego listu pisanego w 32 roku życia, na statku krążącym po wodach Missisipi, zmienił się teraz w ton męski, gdy Lincoln pisał do swego przyjaciela Speeda, posiadacza niewolników i obrońcy niewolnictwa.



„Przyznajesz w oderwaniu niesprawiedliwość niewolnictwa, ale powiadasz, że zanim zrzekłbyś się prawa posiadania niewolników... wolałbyś raczej doczekać się upadku Unii. Nie wiem, czy ktoś wymaga od ciebie czegoś podobnego. Ja nie... Przyznaję, iż jest dla mnie nieznośny widok tych nieszczęśliwych istot ściganych i chwytanych, bitych i zmuszanych do nie opłacanej pracy, ale zacinam zęby i milczę. W roku 41 odbywaliśmy obaj nudną podróż statkiem... Przypominasz sobie dwunastu niewolników związanych ze sobą łańcuchem. Ich widok był dla mnie bezustanną udręką i obraz ten przypomina mi się zawsze, gdy zbliżam się do rzeki Ohio lub do granicy jednego ze stanów niewolniczych.

Skąd twoje przypuszczenie, że jestem obojętny dla sprawy, która zawsze budzi we mnie uczucie przygnębiające? Powinieneś raczej dać wyraz uznaniu, że ludzie z Północy tak dobrze opanowują swoje uczucia dla utrzymania ładu i zachowania Unii. Sercem i rozumem zwracam się przeciwko rozszerzeniu niewolnictwa i nie poczuwam się do obowiązku względem czegoś przeciwnego. Gdyby sprawa ta miała nas obu rozdzielić, to musielibyśmy się rozejść. Piszesz mi, że gdybyś był prezydentem, to przywódców rozruchów w Kansas kazałbyś powiesić. Jeśli wszakże Kansas głosował legalnie przeciwko niewolnictwu, to należało go do Unii przyjąć albo też Unię rozwiązać. Ponieważ jednak głosowanie zostało sfalszowane, więc rodzi się pytanie, czy ma być Kansas przyjęty do Unii, czy też Unia ma być rozwiązana... Powiadasz, że jeśliby się ten stan wypowiedział przeciwko niewolnictwu, to jako chrześcijanin musiałbyś się z tego cieszyć. Tak mówią wszyscy przyzwoci właściciele niewolników, ale głosują inaczej. Jak mi się zdaje, upadek nasz postępuje szybko. Kiedyśmy się organizowali jako naród, oświadczyliśmy głośno, że

wszyscy ludzie stworzeni są jednakowo. Teraz czytamy to zdanie tak: Wszyscy ludzie stworzeni są jednakowo z wyjątkiem Murzynów. Niebawem będzie to brzmiało: Wszyscy ludzie stworzeni są jednakowo, z wyjątkiem Murzynów, cudzoziemców i katolików. Jeśli dalej tak pójdzie, to wyemigruję do jakiegoś kraju, w którym nikt nie udaje, że kocha wolność, na przykład do Rosji, gdzie despotyzm istnieje w stanie niesfałszowanym, bez nędznej domieszki obłudy“.

Serce i rozum — powiada Lincoln. Ale gdy tutaj pragnie przekonać przyjaciela, jak później przekonuje tyśiące współobywateli, to nie powołuje się na uczucie, bo nie chce nikogo niczym zaskoczyć. Oczywiście nie zapomina on o swoich najwcześniejszych doświadczeniach życiowych, jakich doznał jako ubogi biały robotnik, pamięta o niejednym niepowodzeniu własnym i o niepowodzeniach przodków, a z wszelką pewnością pamięta on dobrze o nieuchwytej postaci bogacza-południowca, który porzucił ubogą dziewczynę, jego babkę, ze swoim dzieckiem... Dla tych wszystkich powodów uczucie jest oczywiście pierwszym bodźcem wszystkich jego myśli. Ale gdy po latach we wspomnieniu jego odzywa się brzęk łańcucha, którym spętani byli Murzyni, jadący tym samym statkiem co i on, to już nie słyszy tonów skrzypiec i pieśni, mieszających się z brzękiem łańcucha, i serce tego człowieka, mieszkającego z dala od stanów niewolniczych, napełnia się raczej gniewem niż współczuciem. Znowu wzywa go głos ludzkości.

Wraz z głową serce jego podziela pragnienie sprawiedliwości. Pragnienie to jest w nim tak potężne, iż niekiedy zaczyna się wydawać, że Lincolnowi mniej chodziło o wyzwolenie czarnych niż o wychowanie białych w duchu sprawiedliwości. Poczuciu sprawiedliwości poświęca na ślepo wszystko, czego sam pragnie,

i wszystkich, których kocha. Ponieważ ustawa Douglasa stała się prawem, więc trzeba ją szanować i Kansas może się legalnie wypowiedzieć za niewolnictwem. Gdy Speed oświadcza się za niewolnictwem, to trzeba się z nim rozstać, aczkolwiek jest on jedynym towarzyszem młodości Lincolna i przyjacielem wiernym jak Achilles. I tutaj zaczyna się już walka w jego duszy, która każe mu dokonać najcięższego wyboru: miłość kraju czy miłość wolności? Co należy stawiać wyżej? Nie dopuszcza on żadnych frazesów, które zamazują jasność. Wyraźnie krytykuje on swój kraj, gdy w jednym z listów owych czasów pisze:

„Gdyśmy się wyzwalałi jako polityczni niewolnicy króla Jerzego, wypowiedzieliśmy się, że wszyscy ludzie jednakowo są stworzeni, i nazwaliśmy to zdanie prawdą immanentną. Teraz, gdy sami się wolnością nasyciliśmy i nie potrzebujemy się obawiać, że staniemy się znowu niewolnikami, zabiegamy tak usilnie, aby stać się panami, iż immanentną prawdą naszą stała się maksyma całkiem przeciwna... Prędzej zdecydowałby się car rosyjski na złożenie korony i obdarowanie swoich poddanych wolnością, niż nasi amerykańscy panowie zdobyliby się na dobrowolne wyzwolenie niewolników“. Jeszcze tylko kilka lat upłynie, a pierwsza połowa tej metafory, dotycząca cara, stanie się rzeczywistością, bo Europę przewiewa świeży wiatr, i to, czego Nowy Świat nauczył się od Świata Starego, aby słowo ciałem uczynić, oddziaływa na Świat Stary i rewolucjonizuje go.

Nastrój ten odzywa się także w przemówieniach Lincolna, gdy czasem odbiega od swego tematu głównego i daje wyraz klasowym uczuciom, rodzącym się wśród białych wyrobników. Przed farmerami przemawia przeciwko zbyt wielkim posiadłościom i nazywa je tak niepraktycznymi, jak zbyt ciężkie uzbrojenie, wywodzi,

dłaczego w kraju tym nikt nie potrzebuje przez całe życie pozostawać wyrobnikiem, i streszcza się w końcu tak: „Praca poprzedza kapitał, jest więc od niego niezależna. Kapitał jest owocem pracy i nie mógłby istnieć, gdyby najprzód nie było pracy. Praca może istnieć bez kapitału, ale kapitału bez pracy nie ma. Dlatego praca zawsze stoi wysoko ponad kapitałem“. Tak samo odsłania i określa przed ludem ukrywane uciechy panów i ich sekretne wyznania: wielkim bogactwem można się popisywać przed innymi, gdy się ma dużo Murzynów, nie zaś gdy się ma dużo ziemi. „Niewolnictwo jest to najbardziej nachalny i najbardziej ostentacyjny stan posiadania. Gdy młody panek poszukuje żony, to pierwszym pytaniem jest, ilu niewolników ma ona, ilu on. Namiętność posiadania niewolników zdaje się przytłumiać wszelkie inne światowe namiętności“.

Tą prawdą przeniknięty staje Lincoln do walki i tylko powolności swego charakteru i wyczekującemu usposobieniu zawdzięcza on to, że siebie i przyjaciół swoich powstrzymuje od czynów przemocy. Nie jest on takim „wyswobodzicielem“, jakim pragnąłby go uczynić Herdon. Lincoln powściąga raczej i ostrzega: „W demokracji rządzącej przez większość i przy pomocy kartki wyborczej na podstawie prawa — fizyczne powstania i krwawe bunty są zasadniczym wykroczeniem przeciwko konstytucji, są one zdradą główną... Róbcie rewolucje przy urnie wyborczej!“

Pomimo to trzeba działać. Podczas gdy adwokaci uchylają się na ogół od spraw, w których chodzi o obronę Murzyna, Lincoln podejmuje się kilku takich spraw, nie troszcząc się o to, że tak zwane towarzystwo oburza się na niego. Gdy syn pewnej Murzynki jako marynarz parostatku przybywa do Nowego Orleanu bez papierów, chwytają go, jego statek odcho-



dzi na Północ, on zaś sam, wyjęty spod prawa i bezradny, zostaje sprzedany do niewoli; matka jego biegnie do Lincolna do Springfield, a ten udaje się do gubernatorów dwóch stanów, którzy jednak trzymają się z dala od tej sprawy, bo w owych krytycznych czasach żaden nie chce ryzykować swego stanowiska z powodu jakiegoś tam Mulata. Wówczas Lincoln robi składkę, wysyła zebrane pieniądze do jednego ze swoich przyjaciół z Południa, każe chłopca wykupić i ten jako wolny może powrócić do swoich.

## XI

Przesilenie, wywołane przez Douglasa i jego przybycie, pobudziło Lincolna po pięciu latach przerwy do nowej działalności. Niepokój człowieka, który pragnie świat naprawić, gniew wobec egoisty, który dla celów osobistych zdradza sprawę, dawne uczucie, że Douglas jest jego metafizycznym przeciwnikiem, posiadającym to, czego jemu brakło, i nie mającym nic z tego, co on sam posiadał — wszystko to, oraz pragnienie wyzyskania dla swej partii osłabionego stanowiska Douglasa, skłoniło go, aby po raz pierwszy kandydował do Senatu. Przeciwnika swego nazwał wtedy poufnie „najniebezpieczniejszym wrogiem wolności, ponieważ jest on najdostępniejszy“, i tak dalej wywodził: „Piramidy obalić nie można, trzeba ją podkopać: to jest teraz moim zamiarem“. Był dobrej myśli, pisywał z niezwykłą pewnością siebie, że ma więcej widoków niż ktokolwiek inny, i przez korespondencję starał się zapewnić sobie poparcie ludzi najbardziej wpływowych.

Mary była pełna zapału. Po latach pustki i nudy widoki stania się panią senatorową musiały wydać się jej czymś wysoce pożądanym. W duchu widziała się już

może w Waszyngtonie, bardziej poważana, większym otaczana szacunkiem i większym dostatkiem niż dawniej, i dlatego dzielnie wspomagała męża w tej i następnej walce wyborczej. Tylko z jednym nie mogła pogodzić się zupełnie, a mianowicie z tym, że nie był on demokratą, gdyż tak czy owak partia demokratyczna była wytworniejsza, a prócz tego była to teraz i zawsze jej partia. „Nie sądź wszakże — pisała do swej siostry — że Lincoln jest takim wyswobodzicielem, jakich tylu jest w jego partii. Od tego jest on bardzo daleki i chce tylko zapobiec dalszemu rozszerzaniu się niewolnictwa. Moje słabe serce niewieście zbyt jest związane z Południem, aby mogło odczuwać inaczej, niż odczuwa Filemore (demokrata); zawsze byłam jego wielką wielbicielką... Wy tam, w Kentucky, pojęcia nie macie, ile my, niewiasty, musimy się tu nazłościć z naszymi dzikimi Irlandczykami!“ (służbą domową).

W słowach tych spotykamy się z jej dawniejszymi wyrażeniami o niewolnikach. Źródłem westchnień tej kobiety zdążającej do władzy są jej utarczki ze służbą i w tym zawarty jest symbol. Tak samo jak ta kobieta w swoim gospodarstwie domowym chciałaby rządzić sprawami i ludźmi bez oglądania się na kogokolwiek i, jak wyraża się do siostry mieszkającej na Południu, bardzo trudno bywa głosować w zgodzie z moralnością, tak samo jak wrodzona jej jest władcza postawa, tak samo też jest w szerszych kołach jej krewnych albo i ze Speedem w Kentucky: wszyscy ci ludzie traktują swoich niewolników niewątpliwie jak najlepiej, ale nie umieliby się bez nich obywać, tak samo jak nie umieją wielcy magnaci Południa.

Przez jakiś czas Lincoln tkwił po uszy w wirze prac i dążeń partyjnych. Nauczył się też pewnych wybiegów, jakich dawniej nie znał, i stał się kutym dziennikarzem.

Gdy niezdecydowana „Gazeta Konserwatywna“ zyskuje zbyt wielki wpływ w Springfield i głosi, że sprawa niewolnictwa nie jest znowu taka ważna, Lincoln stara się poderwać jej wpływy w jakikolwiek sposób. Podsuwa tedy ograniczonemu redaktorowi artykuł jakiegoś południowego pisma będący wielką pochwałą niewolnictwa, umie zasugerować redaktora, aby artykuł ten przedrukował, i tym podstępem podrywa znaczenie pisma, które traci od razu tylu prenumeratorów, że ostatecznie upada.

Granice partii też są nieokreślone i mgliste: wigowie nie wiedzą dokładnie, jak daleko sięgają ich wpływy, a połowa demokratów w Illinois fronduje przeciwko Douglasowi i głosi przeciwko niewolnictwu. Prowadzi to do przegrupowań i zmusza także Lincolna do zmiany postawy. W ostatniej chwili wymuszają wystawienie innego kandydata, a mianowicie Trumbulla, który jest przeciwnikiem niewolnictwa i przyjacielem Lincolna od wielu lat. Lincoln obawiając się rozbitcia partii lub porażki cofa swoją kandydaturę i przyjaciółom partyjnym doradza głosowanie na Trumbulla. Wielkie przyjęcie przygotowane przez siostrę Mary dla uczczenia wyboru Lincolna zmieniło się w przyjęcie na cześć Trumbulla.

Jakież pobudki skłoniły go do ustąpienia? Czy jako idealście o nic innego mu nie chodzi, tylko o nastrój przeciw niewolnictwu w Senacie? Czy może jako praktyk pragnął przyczynić się do rozbitcia partii demokratycznej? Czy może jako mąż stanu widzi nieunikniony rozkład starych partii, a więc i własnej, i zachowuje siebie dla celów wyższych? W każdym razie pisze on: „Moja porażka jest dla mnie dość bolesna, ale głowy nie tracę“.

W dwa lata później nadeszły wybory prezydenta, mianowicie wybory, do których Douglas od lat przygotowywał się jako kandydat. Przyniosły one ze sobą przeobra-

żenia w życiu partyjnym. Podczas gdy demokraci, wewnętrznie skłócenii, zachowali jedność na zewnątrz, wewnątrz rozłożyli się wewnętrznie i zewnętrznie. Postanowiono powołać do życia nową partię polityczną. „Free-soilerowie“ i przeciwnicy niewolnictwa obu partii łączyli się ze sobą, uskrzydleni wezwaniami i wierszami najlepszych ludzi Ameryki. Nawiązując do Jeffersona, który już od lat dwudziestu był wzorem Lincolna, nazwali się republikanami, za siedzibę zaś wybrali Filadelfię, aby podkreślić swoje konstytucyjne stanowisko, a jako kandydata wystawili Johna Fremonta, sympatycznego bohatera i poszukiwacza przygód, wywiadowcę i pioniera. Wyglądem i wiekiem, doświadczeniem życiowym i przekonaniami Fremont był całkowitym przeciwstawieniem Buchanana, którego demokraci wysunęli jako swego kandydata.

Że przy kształtowaniu się nowej partii Lincoln wysunął się w Illinois na czoło, było rzeczą zgoła naturalną. Można śmiało rzec, że nowa partia była całkowicie jego partią, a to poczucie było w nim i w innych od samego początku tak mocne, że aczkolwiek w Filadelfii osobiście go nie znano, to jednak już wtedy omal nie wysunięto jego kandydatury na wiceprezydenta. Zresztą cała jego kariera życiowa nieuniknienie wiodła go ku temu. Z ambicji Douglasa zrodziła się ustawa kansaska i likwidacja dawnych kompromisów, z likwidacji zaś wiodła droga do kryzysu w partii demokratycznej i do powstania nowej partii, której początki w bardzo znacznej mierze spoczywały na krzepkich barkach Lincolna. Nic też dziwnego, że gdy partia ta okrzepła, sama z kolei dźwignęła Lincolna na swą tarczę. Był to dla niego nowy przywilej bez jakiegokolwiek rangi i stanowiska, bo Lincoln nie prezydował nigdy nawet w najmniejszej komisji. Nowy rodzaj władzy przypadł mu przy zakła-



daniu partii bez specjalnej nominacji, a ujawniło się to najpierw w Dekaturze, gdzie komitet organizacyjny zaproponował go jako kandydata na gubernatora w stanie Illinois.

Ze był to pierwszy stopień wiodący ku prezydenturze, o tym wiedział tak dobrze on sam, jak i wszyscy inni. Lincoln odrzucił jednak tę kandydaturę z miejsca: „Gdybym został wybrany, to demokraci powiedzieliby natychmiast, że chodzi o zgalwanizowanie starej obumarłej partii wigów. Jeśli zostałbym wybrany, to tylko jako wig, a nowe myśli rozproszyłyby się jak mgła“. Zaproponował tedy na kandydata pewnego pułkownika, który miał wprowadzić do nowej partii wielu demokratów. Znowu widzimy tu przykład powściągliwości, której przyczyny nie spoczywają już pośrodku między skromnością a wyrachowaniem. Jego pewność siebie wzrasta w tych ostatnich czasach wprost dostrzegalnie, a świadczą o tym liczne oznaki.

Teraz, gdy po raz czwarty, a zarazem po raz ostatni, ma propagować kandydata na prezydenta, otrzymuje wiele zaproszeń z różnych miast, między innymi także z Bloomington. Mowa, którą tam wygłosił, nie została zapisana dla przyczyn zgoła osobliwych. Po kilku pierwszych minutach przedstawiciele prasy poodkładali ołówki, przestali robić notatki i całą uwagę skupili na słowach mówcy. Ten szczegół tak dobitnie charakteryzuje potężne wrażenie mowy, jak ukazanie się Heleny na murach Troi, które Homer opisuje tylko przy pomocy wrażenia, jakie ona wywarła na siedzących tam ludziach. Wszyscy świadkowie opisują tę mowę jako czyn człowieka, który zbliżał się ku przesileniu życiowemu. Zaczął mówić z głębokim wzruszeniem, zrazu nieśmiało, potem zapalając się coraz bardziej. Gdy z głębi sali wyłaniał się bardzo wolno, z rę-

kami wspartymi na biodrach, blady, z płonącymi oczami i mówiący rozedrganym głosem, obecnym zdawało się, że człowiek ten rośnie. W pewnej chwili podniósł się na palcach, jakby w natchnieniu, a jeden ze słuchaczy, sędzia, napisał o nim: „W owej chwili wydał mi się najpiękniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałem“.

Głębszą przyczyną tego wzburzenia był szybki rozwój ruchu na Południu, zmierzającego do oderwania się od Unii; jego wieszczę spojrzenie widziało fatalne skutki tych poczynań, które go przerażały, a w słowach jego przebijało się serdeczne pragnienie, aby do rozłamu nie doszło. Lincoln mówił wtedy więcej o Unii niż o niewolnictwie, słuchaczy swoich raczej przestrzegał, niż przekonywał, a mieszkańcy małego miasteczka doznawali głębokiego wrażenia, iż są słuchaczami mowy przedstawiającej wartość dla całego narodu, mowy, która powinna być ogłoszona raczej w zamkniętym kole rady gabinetowej w Waszyngtonie. A jednak każde zdanie tej mowy było niezwykle wyraziste i proste, tyle tylko, że pole walki rozszerzało się dostrzegalnie, w miarę jak mówca od zagadnień gospodarczych i moralnych przechodził ku podstawowym zagadnieniom istnienia. Obywatele Bloomington słyszeli po raz pierwszy huk podziemnego gromu pod swymi stopami i oklaskiwali mówcę miotani uczuciami trwogi i zadowolenia estetycznego. „Nie odstępimy od Unii i wam także nie wolno!“ — krzyknął mówca na zakończenie swej mowy, jakby się zwracał do niewidzialnego przeciwnika. Słowa te powtarzano później tysiące razy.

Niebawem rozgłos tej mowy obiegł całe Illinois. Chciano ją czytać, ale nikt jej nie zapisał. Niektórzy spośród słuchaczy tej mowy mówili: Tutaj wyrasta nowy kandydat na prezydenta.

## XII

Buchanan został wybrany. Jeszcze raz odnieśli demokraci zwycięstwo, ale spośród czterech milionów głosów, jakimi rozporządzali, utracili jednak milion i trzysta tysięcy na rzecz nowej partii, co było dla nich ostrzeżeniem. Czołowi mężowie narodu stali przeważnie po stronie nowej partii, między innymi Emerson, Motley. Poeta Longfellow tylko dlatego nie wyjechał do Europy, aby mógł oddać swój głos przeciwko niewolnictwu. Jako jeden z ludzi wybitnych zasiadał w nowym Senacie Chase, autor odezwy za wolnością i przeciwko niewolnictwu. Był to człowiek czysty i zdecydowany, młody jeszcze i pełen energii w oczach. Obok niego siedział Seward, chuda postać o wyrazistych rysach twarzy, ambitny, ale niepodkupny, badawczym spojrzeniem mierzący przeciwnika, lecz zbyt wielki optymista, aby mógł uniknąć rozczarowań. W przeciwieństwie do dawnych przywódców ludzie ci coraz ostrzej i już od lat wielu występowali przeciwko rozszerzaniu kompromisu.

Ale najwybitniejszym wśród nich człowiekiem o bystrym umyśle był Sumner, nauczyciel prawa państwowego na uniwersytecie harwardzkim, wykształcony w Europie, nieustraszony, płomienny, a jednocześnie przeniknięty ideą sprawiedliwości tak samo jak Lincoln. Gdy rozprawy o stanie Kansas i o oszustwach wyborczych dobiegały zenitu, a wzburzenie z tego powodu dotarło aż do Kongresu, gdy na trybunę izby niższej wszedł poseł z rewolwerem u pasa, a w Senacie pewien senator zaczął przemawiać mając dwa nabite rewolwery kawaleryjskie, Sumner wystąpił z ostrymi oskarżeniami przeciwko jednemu senatorowi z Południowej Karoliny i śmiało mówił o zbrodniarzach z Kan-

sas. Kuzyn owego senatora, Brooks, rzucił się za to z miejsca na Sumnera i tak mocno uderzył go kijem w głowę, że dzielny ten człowiek padł nieprzytomny; przez parę lat był niezdolny do pracy i do końca życia pozostał częściowo sparaliżowany.

Był to pierwszy zamach znamionujący wojnę domową. Brooksa uwielbiano jako bohatera, studenci ofiarowali mu laskę ze złotą rączką, mieszkańców Północy wykpiwano jako tchórzy, ponieważ nikogo nie wyzwali na pojedynek, Północ zaś drwiła z rycerzy Południa, wyzywano się szydlerczo na kule karabinowe poprzez wodospad Niagarę, a cały kraj odpowiadał oklaskami lub oburzeniem.

Jeszcze większe wzburzenie powstało skutkiem wyroku wydanego wtedy przez Sąd Najwyższy. Jakiś pan z Południa wyemigrował na nowe północno-zachodnie terytoria razem z niewolnikami. Jeden z niewolników, który wiedział o ruchu emancypacyjnym więcej, niż jego pan mógł sobie życzyć, uważał siebie i swoich towarzyszy niedoli za wyzwolonych przez samą zmianę miejsca, gdyż stan ten był wolny. Pewien adwokat zajął się Murzynem, dopomógł mu do przeprowadzenia procesu w niższych instancjach i sprawa zakończyła się u Turneya, najwyższego sędziego Unii, filaru całego narodu, czcigodnego i powszechnie poważanego. Ale atmosfera w Waszyngtonie, nastrój społeczeństwa, które razem z nowym prezydentem przejęło zasady pańskiej moralności, udzieliły się także i jemu, i innym sędziom najwyższym, wybieranym na całe życie i nieusuwalnym strażnikom świętego znicza prawa. Zadekretowali tedy: Murzyn nie może wszczynać procesu i ani Kongres, ani parlamenty poszczególnych stanów nie mają prawa zakazywać komukolwiek importu niewolników.



To orzeczenie w sprawie wolności niewolnika Dreda Scotta zadekretowało o wolnościach Stanów Zjednoczonych. Jeśli najwyżsi sędziowie biorą w opiekę niewolnictwo, to program nowej partii jest sprzeczny z konstytucją. Cała Północ wrzała z oburzenia, całe Południe wybuchało radością i przysięgało, że wystąpi z Unii, jeśli to orzeczenie sądowe nie zostanie uznane przez wszystkich. Wzburzenie z tego powodu spotkało się z inną falą wzburzenia, bo w tym samym czasie konstytucja narzucona stanowi Kansas została przyjęta przez prezydenta w Senacie, ale nie była przedłożona izbie niższej i nowy stan stanął wobec alternatywy: albo wejść do Unii z taką konstytucją, albo nie wejść wcale.

Dwie błyskawice oświeciły położenie kraju. Każdy z wodzów dążył do wiadomego sobie celu. Tylko jeden stał niezdecydowany między prawicą a lewicą, a mianowicie Douglas, który znalazł się na najtrudniejszym miejscu swojej mocno powikłanej drogi. W jaki sposób można było pogodzić zasadę suwerenności ludu z orzeczeniem Sądu Najwyższego, a tym bardziej z sytuacją narzuconą stanowi Kansas? W jaki sposób utrzymać przy sobie wyborców z Illinois przy wyborach do Senatu w roku przyszłym, a zarazem nie utracić głosów Południa przy późniejszych wyborach na prezydenta? Z Murrinem można sobie ostatecznie dać radę, ale ciosu zadanego stanowi Kansas usprawiedliwić nie podobna. Tedy decyduje się Douglas na krok stanowczy: aby uratować dla siebie głosy demokratów z Północy, przemawia on i głosuje przeciwko ustawie dla stanu Kansas. Pierwszym następstwem tego kroku było niebezpieczeństwo rozbicia jego partii, której przywódca zwalczał prezydenta popieranego przez Douglasa. Drugim niebezpieczeństwem było to, że albo zepsuje sobie opinię w Waszyngtonie, albo straci głosy w Illinois. Wiedząc, że po-

rażka przy wyborach do Senatu pozbawiłaby go wszelkich widoków na przyszłość, postanawia zdobyć wyborców w swoim okręgu i śpieszy do swego stanu, aby go uspokoić.

W tym niebezpiecznym momencie nadarzyła mu się nieoczekiwana okazja, której wykorzystanie wymagało więcej młodzieńczej energii, niż jej jeszcze posiadał. Po takim zwrocie, który skłócił go z demokratami, postanowili republikanie przeciągnąć go na swoją stronę, aby wykorzystać dla siebie jego wpływy i zdolności. Greely, wydawca dziennika „New York Tribune“, najbardziej wpływowy dziennikarz Północy — Seward i inni przywódcy nowoangielscy, obawiający się już od dawna, że radykałowie mogą ich przeciągnąć do obozu wyswobodzicieli, mieli nadzieję, że pod kierunkiem Douglasa partia zostanie zabezpieczona przed zbyt radykalną postawą i ułatwi sobie jednocześnie nawiązanie porozumienia z Południem, jako że od dobrych z nim stosunków zależała sytuacja gospodarcza, spokój, a nawet zachowanie Unii. Greely jeden z pierwszych wypowiedział się, że stanowisko nowej partii jest zbyt patetyczne, szukał zasad praktyczniejszych i czytelnikom z Illinois doradzał wybór Douglasa, aby tym największym komplementem przeciągnąć go na swoją stronę.

I wtedy po raz pierwszy odzywa się potężny głos Lincolna: jako przywódca lewych republikanów przestrzega przed takimi machinacjami, które pokalać mogą sztandar młodej partii. „Greely jest względem mnie niesprawiedliwy. Jestem szczerym republikaninem, zawsze stawałem w walce na najbardziej zagrożonym miejscu. A teraz widzę, że trzyma on z Douglasem, tym typowym ugodowcem, do niedawna narzędziem Południa, a dzisiaj jego wrogiem, i stara się przeciągnąć go na nasz front... Chodzi tu jedynie o zaufanie do zręczności i doświad-

czenia Douglasa, które wyrównać mają jego brak przekonania, tak iż ponowny jego wybór byłby cenniejszy niż wybór jednego z naszych mniej zdolnych ludzi... Do czego w ogóle zmierza „New York Tribune“ swoim bezustannym zachwalaniem i wyołbrzymianiem zalet Douglasa? Czy takie są może myśli republikanów w Waszyngtonie? Czy doszli oni może do wniosku, że sprawa nasza zyska w ogóle najwięcej na tym, gdy w Illinois poświęcimy się dobrowolnie? Jeśli tak jest istotnie, to pragnęlibyśmy dowiedzieć się o tym jak najrychlej; oszczędzimy sobie dużo pracy, gdy poddamy się od razu. Dotychczas nie widziałem tu jeszcze ani jednego republikanina, który przeszedłby do Douglasa. Ale jeśli dziennik ten w dalszym ciągu będzie w taki sposób urabiał czytelników w Illinois, których jest od 5 do 10 000, to możemy wyzbyć się wszelkiej nadziei. Nie skarżę się bynajmniej, lecz chciałbym wiedzieć, jak się rzeczy mają“.

Mamy tu Lincolna zgoła nowego, walczącego! Wybucho on gniewem, że ma zostać poświęcony i ofiarowany komuś sprytniejszemu od siebie. Listy pisane przez Lincolna w tej sprawie obiegają Waszyngton, a ci, co je czytać będą, zdumieją się, że długonogi adwokat ze Springfield ma dość odwagi, aby się przeciwstawić Douglasowi. Nikt nie widział iskry, która strzeliła z serca męża czekającego zbyt długo swej kolei, gdy stary jego współzawodnik miał mu zostać narzucony jako rodzaj kolegi i jako taki miał nawet otrzymać pierwszeństwo przed nim. Douglas jako przeciwnik, owszem, to pobudzało do walki, ale Douglas jako przełożony i towarzysz w walce przeciwko niewolnictwu, to było dla Lincolna oburzające.

Czy partia była jeszcze naprawdę młoda i czysta? Czy nie należało uważać jej raczej za zużytą i rozbitą

wewnętrznie, gdy tuż przed jego oczami przywódcy jej staczali z sobą walki, podczas gdy walka o zasadę zepchnięta była gdzieś w tył niby fryz wyłącznie dekoracyjny? Nowy przywódca jest już zmuszony do robienia wywiadu nie w obozie nieprzyjaciela, ale wśród własnych przyjaciół, a Herndon, wysłany dla zbadania nastrojów w partii, przynosi ze swej podróży na Wschód wiadomości zgoła sceptyczne. Seward ma już być zazdrosny, Greely intryguje na jego korzyść, a w dwa lata po wyborach prezydenta przygotowuje się już wybory nowe. Nieufność Nowego Jorku zwraca się ku miastu Springfield i ku Lincolnowi, który właśnie dopiero teraz ma się stać senatorem i zmuszony jest oświadczyć, że przeciwko Sewardowi nic nie przedsięwziął: „Nie otrzymałem żadnej propozycji, nie wiadomo mi nic o nominacjach kandydatów na najbliższe wybory prezydenckie czy też na wybory gubernatora u nas. Ani pośrednio, ani bezpośrednio nie połączyłem się w tej sprawie z nikim ani się do nikogo nie zbliżyłem... Chodzi jedynie o to, abyśmy się pozbyli niesprawiedliwych podejrzeń względem siebie. O nic więcej“.

### XIII

Będąc w tak niepewnym położeniu Lincoln zmuszony był zabrać się energiczniej do swoich spraw i właśnie teraz, u końca swojej kariery adwokackiej, przeprowadził i wygrał kilka procesów, które imię jego rozślawiły i niebawem bardzo mu posłużyły także w walce politycznej. Jego zwycięstwo w walce kolei centralnej ze skarbem państwa uczyniło go popularnym wśród tysięcy wyborców. Następnie występował w sprawie o morderstwo, w której to sprawie oskarżeni i oskarżyciele





Lincoln w roku 1855



należeli do najprzedniejszych rodzin miasta, byli ze sobą spokrewnieni i zaprzyjaźnieni. W sporze politycznym jakiś młodzieniec zabił swego rówieśnika, który pracował w biurze Lincolna, a jednak Lincoln bronił zabójcy. Oskarżony był wnukiem sławnego Cartwrighta, który dwadzieścia lat temu w walce wyborczej występował przeciw Lincolnowi z argumentem, że nie jest on chrześcijaninem. Gdy teraz siwiutki starzec stawał przed sądem, aby świadczyć o wnuku, obrońca tego wnuka umiał zadawać swemu dawnemu przeciwnikowi takie taktowne i subtelne pytania o trybie życia, zwyczajach i skłonnościach oskarżonego, że dzięki właśnie tym pytaniom i odpowiedziom wytworzył przychylny dla niego nastrój i osiągnął wyrok uniewinniający.

Zabójstwa z powodu pijaństwa i rozpolitykowania były wtedy na Zachodzie zjawiskiem dość częstym. Tak na przykład pewnego dnia Lincoln przeczytał w gazecie, że w pobliskiej miejscowości dwaj młodzi ludzie po libacji zabili swego rówieśnika. Jeden z nich przyznał się do zabójstwa i został skazany. Drugi oskarżony o morderstwo siedział w więzieniu i nie przyznawał się do winy. Młodzieniec ten nazywał się Armstrong. Lincoln ogarnia przerażenie. Byłżeby to syn starego przyjaciela, młodzieniec, który nigdy nie wyróżniał się życiem porządnym? Trzeba to ustalić. Lincoln przybył kiedyś do Nowego Salému jako dwudziestoletni flisak i wtedy pokonał największego siłacza wsi w walce zapaśniczej. Wszyscy krzyczeli na niego, że walczył nieprawidłowo, tylko pokonany bronił go. Potem stał się on jego przyjacielem, a Lincoln przyjacielem jego domu. Przygarnęli go do siebie, gdy śmiertelnie smutny wrócił znowu z mogiły Anny. Siadywał u nich i nogą poruszał kołyskę z dzieckiem. I właśnie to dziecko ma teraz zostać powieszane jako morderca.

„Droga pani Armstrong! Dowiedziałem się właśnie o głębokim smutku pani, o uwięzieniu pani syna oskarżonego o morderstwo. Trudno mi uwierzyć, aby był zdolny do czegoś podobnego. Wydaje mi się to niemożliwe. W każdym razie chciałbym, aby sprawa została przeprowadzona sprawiedliwie, i wdzięczność moja za wieloletnią przyjaźń w czasach, gdy powodziło mi się źle, skłania mnie do bezinteresownego zaofiarowania pani moich skromnych usług i pomocy. Będzie to dla mnie sposobnością do odwdzięczenia się w drobnej mierze za wszystkie dowody życzliwości otrzymane od pani i jej zmarłego męża wówczas, gdy pod ich strzechą znalazłem pożądaną przytułek bez zapłaty i ceny“.

Oto adwokat na głębokiej prowincji i uboga wdowa, której od lat dwudziestu nie widział. Wspomina on o zacisznej gościnności pod ubogą strzechą, a jednak ma się wrażenie, jakby tu ktoś przemawiał do całej ludzkości. Głos ten brzmi tak, jakby się poczuwał do odpowiedzialności wobec wszystkich wieków przyszłych. Ani jednego słowa patetycznego, które można by uważać za zbędne, owszem, z rozmysłem zacieśnia Lincoln moralne podstawy swej propozycji, zestawia bezinteresowną gościnność z bezinteresowną obroną swoją, gdyż wie, że przemawia do farmerki i dlatego załatwia ten punkt po chłopsku. Ale jednocześnie odzywa się w nim przyjaciel i filantrop.

Proces ten trzeba przygotować bardzo ostrożnie. Lincoln stara się, aby mieć do czynienia z możliwie młodymi przysięgłymi, aby świadków usposobić jak najżyczliwiej; umie on wszystkim tak pokierować, że sprawa odbywa się w mieście sąsiednim, bo całe rodzinne miasto oskarżonego jest bezwzględnie przeciwko niemu, jako że wszyscy znają jego opinię, natomiast z największym zaufaniem odnoszą się do świadka głównego.



O tym świadku głównym dowiaduje się obrońca niebawem, że jest on większym wrogiem oskarżonego, niż oskarżony był wrogiem zabitego. Gdy ten główny świadek jeszcze raz pod przysięgą potwierdza, że widział Armstronga o jedenastej wieczorem na skraju lasu, jak tłukł zabitego po głowie i jak zadał mu ranę śmiertelną, Lincoln rzuca mu pytanie, jak można było widzieć taką rzecz z pewnego oddalenia i w nocnym mroku.

„Przy blasku księżyca“.

Obrońca każe sobie podać kalendarz, zagląda do niego i oddaje go służącemu. Rozprawa toczy się dalej. Matka płacze i trwoży się, Lincoln podchodzi do niej i mówi: „Spokoju, pani Hanno! Przed zachodem słońca syn pani będzie wolny!“ Odpowiada mu spojrzeniem nadziei i trwogi, które biegnie z zapłakanych oczu ku wysokiemu obrońcy jej syna. Wreszcie gdy obrońca dochodzi do słowa, zaczyna przemawiać powoli i ostrożnie, podkreśla sprzeczności w zeznaniach świadków, posuwa się naprzód, jakby szedł po omacku. Gdy w mowie swojej dochodzi do świadka głównego, każe sobie podać kalendarz i udowadnia przysięgłym, że w chwili zabójstwa księżyc nie świecił i było ciemno, tak że nikt w takiej ciemności nie mógł widzieć ruchów czyichkolwiek z pewnego oddalenia.

Lecz oto nagle zmienia front i wymierza świadkowi straszliwe ciosy, potępiając go za krzywoprzysięstwo, którego ofiarą omal że nie padło życie niewinnego. Świadek załamuje się, jak pijany wykrada się z sali, a sąd i wszyscy obecni są wstrząśnięci do głębi. Teraz dopiero zaczyna obrońca mówić o młodości i dzieciństwie oskarżonego, opisuje jego rodziców i przyjaźń, jaką mu okazali, porusza serca i, zgodnie z przyrzeczeniem danym matce, uwalnia jej syna jeszcze przed wieczorem.

Już wówczas sprawa ta nabrała wielkiego rozgłosu, ale dopiero w długi czas po śmierci Lincolna przyczyniła się do spotęgowania jego popularności. I czyż nie trzeba się zdumiewać, że pokusy i okazje, sytuacje i próby losu zbliżają się do tych, którzy są dla nich stworzeni? Sprawa o morderstwo z fałszywym świadkiem, z udziałem obcego adwokata byłaby rychło przez wszystkich zapomniana, lecz ów list Lincolna, ów patos jego wystąpienia, zanim jeszcze niewinność oskarżonego została stwierdzona, wiążą się ze zręcznością obrońcy tak samo jak w sprawie niewolników. Zawsze jest to ten sam charakter, który dzisiaj staje w obronie kilku niewinnych, a jutro wyzwoli miliony. Jest to praktyczny idealizm, który odczuwa żywo sprawiedliwość wiekiustą, ale jednocześnie czyni wszystko, czego wymaga chwila bieżąca, aby się wiekiuste mogło urzeczywistnić w tym świecie twardych faktów. Lincoln kroczy naprzód powoli, krok za krokiem, przekonywa argumentami, demaskuje nagle kłamliwego przeciwnika, ale zarazem źródło uczuć swoich ukrywa, bo uważa je za swoją własność niedostępną dla kogokolwiek. Dlatego masie pokazuje naprzód myśl swoją, zanim pokaże jej serce. I tak samo jak dnia pewnego jeszcze przed zachodem słońca uwalnia od winy i kary młodego Armstronga, tak też na krótko przed zachodem słońca swego życia stanie się oswobodzicielem niewolników.

Przy swej mądrości i smutku, przy sprawiedliwości swojej i wzrastającej władzy nad ludźmi przypomina on pod niejednym względem starzejącego się króla Saula. Zdaje się on zatajać tę dziwną moc, która z niego promieniuje, trzyma z ludem jak zawsze, przysłuchuje się temu, co mówią na ulicy, przesiaduje w kramach, wypytuje i opowiada, a jednak jest on tajemniczym królem. Lecz mamy tu także wielką samotność, która wyróżnia

go spośród otaczających go ludzi; dlatego też rozgląda się on za młodym Dawidem i znajduje go. Lamont jest o dwadzieścia lat młodszy od niego, jest promiennym człowiekiem Południa, krzepkim, barczystym i delikatnym zarazem, arystokratą o czarnych, z lekka polśniewających włosach i małym wąsiku, wytwornym i lekomyślnym, lubiącym wino, konie i kobiety i nigdy nie umiejącym obywać się bez muzyki. Z zawodu jest on adwokatem, poznał Lincolna w sądzie wędrownym i stał się jego przedstawicielem w małym mieście. Zdaje się wszakże, że mistrz i uczeń mało rozprawiali o przedmiocie prawa, a jeszcze mniej o polityce, bo z usposobienia młody przyjaciel Lincolna skłania się raczej ku właścicielom niewolników z Wirginii, z których się wywodzi, niż ku ich przeciwnikom.

Ale jakież mnóstwo piosenek zna ten młody człowiek! Żeglarskich, górniczych, farmerskich! Trubadur staje obok opowiadacza, śpiewak obok posępnego myśliciela: jeden świat oddziela ich od siebie, drugi łączy ich ze sobą. Spędzają ze sobą niejedną wieczór, a koledzy zastanawiają się nad tym, jak można wdawać się tak dalece z młodzieńcem nie bardzo wykształconym i w ogóle jak może Lincoln wdawać się z rycerzem Południa, który nie podziela przecież jego ideałów i nie dąży do tych samych celów. Ale Saul wie, na co potrzebny jest mu Dawid. Człowieka tego i spotkanie z nim traktuje jako poeta, dlatego też daje temu przyjacielowi imię ładniejsze, nazywa go Hillem. Gdy nachodzi go melancholia, zasępia, obezwładnia i wyczerpuje, jak się to powtarzało w ciągu całego jego życia, ta melancholia, której nie płoszyła nigdy żadna delikatna rączka — wówczas proszącym spojrzeniem przywołuje zawsze wesołego Hilla, aby sięgnął po swe banjo i śpiewał mu pieśni ludowe i pieśni prerii, wesołe i poważne, tkliwe



i złe. I wtedy ustępowały ciężkie uczucia, gnębiące serce. Wielkie zagadnienie jego duszy, które w milczeniu przedkłada sobie coraz częściej, zamilka, i oto Lincoln, który nie posiada ani wina, ani kobiet, nie umie grać ani śpiewać, powraca w jasną krainę młodości, której nigdy nie posiadał.

#### XIV

„Dom, który się rozpada od wewnątrz, ostać się nie może!“ Głosem gromkim rzucił Lincoln to zdanie biblijne w przepelnioną salę swego miasta, aczkolwiek przyjaciele bezpośrednio przed jego wystąpieniem odradzali mu użycie tego właśnie zdania, uważając, iż brzmi on jak bęben wojenny. „A wy? — pyta Lincoln. — Czyliż sami nie należycie do oswobodzicieli?“ Douglas bowiem bawił w Illinois, a jego gładki sposób przemawiania skłonił Lincolna do ataku. I oto teraz na sali siedzą wystraszeni ludzie, a mówca prawi dalej: „Nie sądzę, że dom się rozpadnie, ale wierzę, że przestanie się rozpadać i zjednoczy się. Musi się z nim stać albo jedno, albo drugie... W państwie tym nie mogą stale istnieć obok siebie wolność i niewola“. Następnie zwraca się do nieobecnego na sali Douglasa i zmusza go, aby się jasno wypowiedział przed całą Ameryką, co sądzi o stanie Kansas i o Dredzie Scotcie i czy pragnie niewolnictwo ograniczyć czy też rozszerzać je dalej. Ale zarazem zwalcza z całą stanowczością teorię oswobodzicieli, którzy każdą pogoń za niewolnikiem powstrzymują przemocą, zaznacza, że orzeczenie w sprawie Dreda Scotta jest prawomocne i że tylko na drodze legalnej można je zwalczać.

W coraz innej formie wyraża teraz swoje zasadnicze wskazania. „Protestuję przeciwko wykrętnej logice, że ponieważ nie chcę Murzynki jako niewolnicy, chciałbym



ją jako żonę. Wolno mi w ogóle niczego więcej nie chcieć i wolno mi dać Murzynce spokój. Rzecz prosta, iż pod niejednym względem nie jest mi ona równa, ale w swoim prawie naturalnym, w prawie spożywania chleba, na który sama sobie zapracuje, jest mnie i nam wszystkim zupełnie równa i nikogo o nic w tej sprawie pytać nie potrzebuje. Gdyby Scott i jego córki byli wolni, to córki te z wolnego wyboru mogłyby wychodzić za mąż za białych. Ponieważ zaś jest inaczej, przeto z musu służyć muszą jako narzędzie rozkoszy swoim panom. Jest to stan, który ma na sumieniu dziewięć dziesiątych wszystkich Mulatów i dzięki któremu krew naszego ludu coraz bardziej miesza się z krwią czarnych“.

Takimi potężnymi argumentami zapala swoich słuchaczy i niebawem rozchodzi się po całym kraju wieść o jego płomiennej mowie. Lincoln ocenia należycie następstwa tej mowy, gdy przygodnie wyraża się nieco uroczyściej niż zazwyczaj: „Gdybym jednym pociągnięciem pióra mógł przekreślić dzieje swego życia, a tylko jedno pozostawić, to pozostawiłbym tę mowę“. Tak silnie przeczuwa on to, co się właśnie przygotowuje, i powoli zaczyna samego siebie pojmować historycznie.

Tak samo Douglas pojmuje sens historyczny tej mowy i widzi, że kryzys zbliża się coraz bardziej. Obyczajem swoim pragnąłby uniknąć otwartego współzawodnictwa. „Między nami mówiąc — wyraził się w owym czasie do swoich przyjaciół — nie chciałbym się wdawać w tę dyskusję. Mnie zna cały kraj aż po jego granice, Lincoln w stosunku do mnie nie bardzo jest znany, więc gdyby w dyskusji tej zwyciężył, to ja utraciłbym wszystko, on zaś miałby wszystko do zyskania. Natomiast jeśli ja zwyciężę, to zyskam tylko niewiele. Wolałbym więc nie wdawać się z nim“.

Publicznie przemawia inaczej i w mowach swoich przedstawia Lincolna jako jednego z tych, którzy chcą oswobodzić Murzynów przemocą, a co do zdania o rozpadającym się domu, to Lincoln pragnie widać siać niezgodę i doprowadzić do rozdarcia wbrew woli połowy obywateli państwa. Lincoln odpiesza takie przekręcanie jego słów i przeciwstawia się im metaforą: „Oczekuję śmierci, ale nie mam zamiaru umrzeć“. „Pan Lincoln jest uprzejmy, miły i mądry człowiek“ — odpowiada Douglas i cytuje mowę Lincolna fałszywie.

Wówczas Lincoln decyduje się na krok stanowczy, jaki w dziejach Ameryki nie ma sobie równego. Wzywa on swego przeciwnika do walki na mowy, a raczej na cały szereg takich walk: „Czy zgodziłby się pan na to, abyśmy mogli przemawiać równocześnie przed tymi samymi słuchaczami? Pan Judd, który przybędzie do pana z tą propozycją, jest upoważniony do odebrania pańskiej odpowiedzi, a jeśli zgadza się pan na propozycję, to mógłby się od razu ułożyć z panem co do warunków“. Był to krok odważny, ale i roztropny zarazem, bo w taki sposób można było pozyskać dla siebie publiczność Douglasa. Douglas nie pali się do tej propozycji i zrazu próbuje uchylić się od niej wymówkami, że już poustalał miejsca i czas zebrania partii demokratycznej i że dziwi się, iż przeciwnik jego nie zrobił mu takiej propozycji już dawno. Wreszcie jednak proponuje kilka miast jako miejsce spotkań. Lincoln protestuje przeciwko zamaskowanemu zarzutowi nierzetelności i zgadza się na terminy wyznaczone w siedmiu różnych miastach. „Co do reszty szczegółów, to życzę sobie tylko równych praw i niczego więcej. Pragnę przemawiać tak długo jak pan; przemówienia końcowe wygłaszać będziemy kolejno. To wszystko“.

I oto w Ottawie, na platformie pod gołym niebem, rozpoczynają swój pierwszy pojedynek o fotel senatorski. Douglas przemawia godzinę, Lincoln mówi półtorej godziny, po czym Douglas mówi jeszcze pół godziny. Tysiące słuchaczy zbiera się, aby być świadkami tego osobliwego meczu, całe Illinois rozpisuje się o nim, telegraf rozsyła na wszystkie strony wieści o tym widowisku. Po trzecim spotkaniu wiadomo o tym w całej Unii i wszyscy pytają: Co to za jedni ci dwaj przeciwnicy, stojący obok siebie na platformie?

Dość spojrzeć na nich, gdy stoją na trybunie, aby spostrzec, że są nieprzejednani. Jednego nazywają małym olbrzymem: jest on niski, przysadzisty, ale ma szeroką pierś i krzepkie bary, a jego masywna głowa osadzona jest na tęgim karku, jakby stworzonym do walki i oporu. Przy tym jest to człowiek ruchliwy i niemal elegancki. Dobrze skrojony garnitur, śnieżnobiała bielizna stroją tę przysadzistą postać. Gdy przemawia, to potrząsa głową i długie, z lekka siwizną przyprószone włosy odrzuca w tył, jego twarz jest ruchliwa, między brwiami biegnie głęboka bruzda, zdradzająca upór woli, a jego niebieskie ładne oczy mają siłę zwodniczą. Dopiero gdy sam staje się słuchaczem, po twarzy jego widać, że nadużywał alkoholu, bo jest obrzękła. Znać też po nim, że jest to człowiek miejski, a gdy eleganckim ruchem białej ręki podkreśla swoje słowa, to staje się w tym otoczeniu dziwnie obcy. Przeciwnik jego jest o tyle za wysoki, o ile ten jest zbyt przysadzisty, i taki jest kościsty, jak ten jest pulchny, lecz jego nos jest śmiały, jego oczy zdają się raczej szukać niż chwycić, proste są jego pomarszczone rysy. Na jego ramionach ubranie zwisa osobliwie, nie pasuje do jego figury, jest za krótkie, byle jakie, wadliwie uszyte. Jego stopa stąpa bardzo ostrożnie, a żylasta ręka świadczy o przyzwyczajeniu



do dźwigania ciężarów. Trzeba by wieszca, aby się przy takiej konfrontacji zdecydował postawić na tego drugiego.

Jaka jest przeszłość obu tych ludzi, stojących obok siebie na platformie? Jeden z nich urodził się przed 45 laty jako syn lekarza, wcześniej zubożał i został pozostawiony samemu sobie; musiał najpierw pracować jako robotnik rolny, aby zapracować na opłacenie nauki, stał się stolarzem w szkole, która kształciła jego ojca, zaoszczędził trochę pieniędzy i zabrał się do studiów, aby w 20 roku życia zostać nauczycielem, a w następnym już adwokatem. Niesłychana wytrwałość wiodła go krok za krokiem naprzód i w młodym jeszcze wieku zaprowadziła do Kongresu, gdzie przyjmowany był z otwartymi ramionami jako przedstawiciel młodego pokolenia; psuto go, rychło wtajemniczono w stosunki waszyngtońskie, a jednocześnie dano mu sposobność do szybkiego wzbogacenia się przy spekulacjach ziemią. Człowiek ten przyzwyczał się prędko do kojarzenia polityki z interesem. Jeszcze przed czterdziestką był członkiem obu izb Kongresu, sędzią sądu wyższego, sekretarzem stanu i przewodniczącym komisji do spraw nowych terytoriów. Podczas podróży swej po Europie był przyjmowany przez cara rosyjskiego i królową angielską jako układny dyplomata i już podczas minionych wyborów był bliski stanowiska prezydenta. Jako mąż córki oficera, który trzymał niewolników, zetknął się z niewolnictwem i zgadzał się z nim jako z instytucją, którą poznał w warunkach dość sympatycznych, ale przez ostrożność pozostawił własność przy żonie. Po jej śmierci ożenił się z mądrą i piękną katoliczką, damą światową z Waszyngtonu, która utrzymywała stosunki towarzyskie wyłącznie z Południem. Taki jest więc ten przywódca swej partii, jeden z najprzedniejszych



ludzi, bogaty, potężny, a przy tym szarmancki, elegancki i władczy. Jest to człowiek, którego się boją.

Drugi nie zna ani ambicji, ani chciwości, nie szuka ani uznania, ani władzy. Tylko świadomość własnej przewagi wywiodła go z ubóstwa, które było udziałem jego dzieciństwa. Podczas gdy przeciwnik szedł planowo ku swoim celom i wytrwale układał kamień na kamieniu, budując wieżę swego powodzenia, aby z jej szczytu móc rozglądać się dokoła, nie dzieląc się nią z nikim, Lincoln szedł przez życie bez planu, rozglądając się i wypytując, prawie nigdy nie miał określonego celu, ale daleko przed sobą widział stale ogromny szczyt nie-doścignętego, wysokiego ideału. Gdy na życzenie swej towarzyszki życia kilka razy opuścił równinę i wszedł na jakiś pagórek, cofał się natychmiast przed trudnościami i zamiast walczyć o swoje powodzenie, z uśmiechem zadawał sobie pytanie: „Po co?” Czyż władza i wpływy mogły go uszczęśliwić? Czyż utrata wolności wewnętrznej jako cena za udział w dziele całości nie jest ceną zbyt wysoką? Niejeden buduje lekką tratwę, przemyka się między wirami partyjnymi i w końcu dociera do wielkiej przystani dziejowej. Inny znowu przysłuchuje się, gdzie będzie budowana nowa kolej, kupuje ziemię, przez przyjaciół swoich umie się postarać, aby linia kolejowa biegła tak, a nie inaczej, sprzedaje kupioną ziemię i z dnia na dzień staje się człowiekiem bogatym. Jeszcze inni kupują zbankrutowane firmy, wylegują się na ładach sklepowych i czytają, a gdy wstają, to mają długi tak duże, że przez dwanaście lat muszą je spłacać powoli. Albo też nie chcą występować przeciwko swoim przyjaciołom i za to tracą poważne stanowisko, opuszczają stolicę i rodzinę, wędrują po kiepskich drogach od miasteczka do miasteczka i po odrapanych zajazdach opo-

wiadają długie sowizdrzalskie historie o ludzkich słabościach, bawiąc nimi siebie i bliźnich.

Toteż nic dziwnego, że żwawy mały zawsze i wszędzie wyprzedzi i ubiegnie powolnego dużego prócz może spraw serca. Mały może opowiadać o łaskach cesarzy i królów i może się pochwalić, jak to się przed nim pochylali w ukłonach marszałkowie dworów, podczas gdy duży mógłby co najwyżej opowiadać o królach z bajek. Gdyby zaś miał się doszukiwać, kto i kiedy mu się kłaniał, to oczywiście nie znalazłby nikogo, bo i samego siebie nie mógłby zaliczyć do takich, co się kłaniają. Tak się tedy dzieje, że ściśle i planowe dążenie prowadzi na wyżyny ponad powierzchnią społeczną, której punkty poszczególne można dokładnie obliczyć, podczas gdy wszystko inne zapomina się lub odrzuca, a tymczasem marzyciel błąka się bez celu i wznosi się ku „marzeniom elizejskim, których nie dosięże żadna rzeczywistość“. I dlaczego ten, co się nigdy nie kłaniał, musiał w młodości swojej pożyczyć sto dolarów od tamtego i niezawodnie oddał mu je bez uczucia specjalnej wdzięczności. Tylko raz w życiu wysoki pokonał niskiego, a mianowicie w walce o Mary Todd, ale wtedy walka rozstrzygnęła się właściwie w sercu kobiety i to jedyne zwycięstwo było zwycięstwem pirrusowym.

Nie, nie, tak już jest i tak będzie: Douglas zwycięży! Dość spojrzeć na niego: przecież to istny król Illinois! Podróżuje pociągiem specjalnym, a jeśli to niemożliwe, to przynajmniej wagonem specjalnym. Gdy pociąg jego przybywa do miasta, to brązowa armata, ustawiona na platformie wagonowej, wystrzałem oznajmia jego przybycie, a miasto odpowiada 32 wystrzałami, czyli liczbą stanów, które jeszcze ciągle są zjednoczone. Dokoła najpiękniejszego powozu miejskiego, jakim jedzie on i jego wytworna małżonka, gromadzi się 32 panów i pań na

koniach i taka oto wspaniała bandera odprowadza go do ratusza czy też do hotelu. On zaś stoi w powozie z kapeluszem w ręku, kłania się na wszystkie strony i myśli: „Ten kraj jest mój“. Natomiast Lincoln musiał podróżować przepełnionym wagonem, bo nikt nie zaliczy go do panów i żaden z urzędników kolejowych nie dostarczy mu wagonu specjalnego. Ale pewnego razu, gdy Lincoln czeka w towarowym pociągu, stojącym na bocznym torze, i gdy obok tego pociągu przejeżdża pociąg Douglasa, zwraca się on do swoich towarzyszy i dumnie rzuca ironiczne słowo: „Tamten pan jadący specjalnym pociągiem nie doszukałby się chyba żadnych ksiąg wśród nas“. Gdy Lincoln przybywa do miasta, nikt na wiwat nie strzela, przyjaciele jego odwożą go ze stacji na wysokim wozie drabiniastym, zaprzężonym w konie robocze, a jeśli do tego przyłącza się kapela, to nasz bohater czuje się nią mocno skrępowany.

Gdy Douglas przed wygłoszeniem mowy przyjmuje swoich zwolenników, to na ustach jego przez całą godzinę pozostaje ujmujący uśmiech. Swobodnie i kordialnie ściska on ręce swoich gości, nie jako dostojny senator, ale raczej jako wzór prostego człowieka z ludu, który każdego znajomego poznaje i wszystkich rozpytuje o ich troski. Bezustannie żuje prymkę i spluwa, dużo pije i wszystkich częstuje wódką, podczas gdy żona jego napomina go dyskretnie, aby nie pił za wiele, bo picie to jego zgubna namiętność. Gdy między tych ludzi wchodzi Lincoln, to otoczony ciekawymi i niezyczliwymi osobami nie zdobywa sobie tego obcego środowiska tak łatwo jak tamten. Aby otwarcie pogadać z jednym czy drugim, na to za wielu jest świadków, a gdy któremuś z przywódców lokalnych trzeba prawić pochlebstwa, Lincoln stoi wyniosły jak Rzymianin i sztywny jak Koriolan.



Lecz oto wstępują na estradę i niebawem ich usłyszymy! Dzisiaj zaczyna Douglas i już z góry widać, że spotka się z aplauzem, gdy pełen ruchliwości kłania się na lewo i na prawo i przykuwa do siebie spojrzenia obecnych. Jego piękny baryton jest krzepki jak jego kark; głos ten jest nieco szorstki, ale mocny. Dykcja jego jest wyrazista, gesty i mina mają swoją wymowę. Wprawą i sofistyczną logiką umie przykuć do siebie uwagę słuchaczy, może właśnie dlatego, że nie przemawia językiem ludowym, lecz wyszukany, pełnym wybiegów i zaczepności, to znowu szczerym i ustępliwym albo dufnym i zarozumiałym. Mowa ta przykuwa uwagę słuchaczy, ale podobna jest do fajerwerku, o którym się zapomina, gdy gaśnie.

Po takim wspaniałym zakończeniu Lincoln ma zadanie trudne. Zrazu staje na estradzie człowiek niezgrabny, na którym każda część ciała i odzieży zdaje się wisieć: rękawy, ramiona, głowa. Stoi prosto jak tyka, noga przy nodze, o nic się nie opiera, a gdy jeszcze do tego złoży zwisające ręce i kciukami robi młynka, to można by go wziąć za bakalarza, który cierpi na niestrawność i ostrym głosem zaczyna wypytywać swoich uczniaków. Ale stopniowo się rozgrzewa, jego głos staje się bardziej nalegający, postawa zatraca sztywność: lewe ramię odrzuca w tył, prawą dłoń opiera na biodrze, nabiera rozpędu. Do gestykulacji używa częściej głowy niż rąk albo też kościstymi palcami wbija swoje tezy w głowy słuchaczy. Gdy zaś w pewnej chwili wielkim gestem podnosi obie ręce do góry, aby przedstawić wielkie szczęście, albo gdy potępiając zaciska obie pięści w niesłyszalną klątwę przeciwko niewolnictwu, to takie niezwykle obrazy wbijają się w pamięć słuchaczy bardzo głęboko. W takich chwilach stoi ten człowiek na skraju estrady i pomimo zapadłej piersi wywiera wrażenie



imponujące, bo wszyscy czują, że wzburzenie jego jest prawdziwe.

Przemówienie swoje zaczyna od dwóch ustępstw na rzecz przeciwników: jego poczucie sprawiedliwości i jego platoński sposób myślenia skłaniają go i tu, podobnie jak przed sądem, aby się starał zrozumieć przeciwnika i ocenić słuszność jego argumentów z męską rzetelnością. Tym pozyskuje sobie zaufanie. Potem analizuje każde twierdzenie przeciwnika bardzo szczegółowo i słuchaczom swoim przedstawia je tak wyraziście, aby każdy mógł wytworzyć sobie osobiste zdanie o ich wartości, o ich dobrych i złych stronach. I dopiero wtedy przy pomocy kryształowo jasnej logiki rozpoczyna atak, czerpiąc przykłady z życia farmerów, których nie brak wśród jego słuchaczy i wśród których sam spędził wiele lat życia. Punkt za punktem posuwa się naprzód i w słowach prostych i jasnych gromadzi przesłanki dla swego ostatecznego wniosku. Podczas bowiem gdy cel jego od początku do końca jest na wskroś moralny, droga jego do tego celu jest drogą logiki.

W dyskusji Douglas przemienia się do gruntu. Najprzód potrząsa swoją głową gladiatora, przekręca argumenty przeciwnika, ponieważ osłabić ich nie może, a oklaskami swoich przyjaciół podnieca się aż do grubiańskich napaści. Lincoln odpowiada ostro, groźnie, złośliwie, staje się niemiłosierny, podczas gdy Douglas chętnie naigrawając się z niego, sam staje się śmieszny. Zdaje się, że w dyskusji dowcip zawodzi dyplomatę, podczas gdy dopisuje on adwokatowi, kameralnemu mówcy zdaje się nie dopisywać akustyka, nad którą farmer panuje. Toteż niski Douglas przyciąga tłum słuchaczy, podczas gdy wysoki Lincoln trafia do przekonania jednostek, tamten oddziałuje szybko i mocno, ten natomiast wolniej, ale za to trwalej. Gdy przemawia Dou-

glas, to słuchacze jego myślą: „Więc to tacy są panowie w Waszyngtonie!“ Lecz gdy przemawia Lincoln, to może powstaje w nich życzenie: „Takiego człowieka, jednego z naszych, byłoby dobrze mieć w Waszyngtonie!“

Jeden z tych dwóch działaczy musiał odnieść zwycięstwo doraźne i krótkie, drugi zwyciężył później, ale zwycięstwo jego było wielkie.

## XV

Walka z niewolnictwem parła Lincoln naprzód z potęgą istic żywiolową. Wobec wstrząsających następstw, jakie ujawniły się tuż przed wybuchem wojny domowej, powstaje niejednokrotnie pytanie, czy takie zaostrenie sytuacji było nieuniknione i czy rozwiązanie, do jakiego zmierzali umiarkowani politycy obu stronnictw, było istotnie niemożliwe. Oczywiście, nikt nie sądzi, że dyskusje toczone w Illinois doprowadziły do wojny, ale ich echo rozchodziło się dalej niż echo jakiegokolwiek innej dyskusji czy mowy wygłoszonej w Waszyngtonie. Podczas tych dyskusji rozchodziły się wśród szerokich mas słowa, których treść napelniła niebawem serca milionów, a które zdecydowanie zaostrzały konflikt. „Nie twierdzą, że jestem bezinteresowny — przemówił Lincoln w jednej z debat — nikomu nie dowodzę, że nie chciałbym zostać wybrany do Senatu; takie frazesy faryzeuszowskie nie pasują do mojej osoby. Ale powiadam wam, że w tej potężnej walce obojętne jest dla narodu, czy po tym wieczorze sędzia Douglas albo ja wystąpimy znowu, czy nie wystąpimy. Dla nas obu posiada to znaczenie, ale w związku z wielką sprawą, od której zawisły losy kraju, jesteśmy niczym“. Tak więc immanentne prawo moralne, które wyznacza jego

życie i doprowadzi go aż do krzyża, pędzi go naprzód coraz potężniej, on zaś tym mocniej pragnie zwycięstwa wielkiej sprawy, im bliżej jest zwycięstwa osobistego.

Także i Douglasowi nie brak odczucia siły przeznaczeń. Przeciwnikowi swemu każe on powiedzieć: „Powiedzcie Lincolnowi o moich powodach i dodajcie, że rzekę przekroczyłem, a mosty za sobą popaliłem“. Jest to patos zgoła niezwykły i zasadniczo różniący się od jego na ogół wytwornych manier. Być może, iż wierzył w to, co tak często powtarzał jako zasadę: „Jest mi wszystko jedno, czy się będzie głosowało za niewolnictwem czy przeciwko niewolnictwu; jest to bowiem tylko zagadnienie dolarów i centów. Wszechmocny przeprowadził przez ten kontynent linię i po jednej stronie tej linii po wszystkie czasy ziemia będzie uprawiana przez niewolników, po drugiej stronie jest ona wolna“.

Przeciwko temu jasno odzywa się głos Lincolna: „Nasz świat jest światem wzajemności. Kto sam nie chce być niewolnikiem, musi się zgodzić na to, że i sam niewolników posiadać nie będzie. Kto innym wolności odmawia, sam jej nie wart“. A jednak zawsze wypowiada się praktycznie, wskazując na konstytucję: „Sądzę, że pod słowem człowiek (wszyscy ludzie stworzeni są jednakowo) rozumie się także Murzyna, czyli że niewolnictwo obraża nasze prawo podstawowe. Lecz przy rozbudowie kraju prawo to nie stało się zasadą i obowiązkiem państwowym, przeciwnie, poszczególne stany mają prawo według swego uznania niewolnictwo odrzucić lub je zachować... Konstytucja została uchwalona w takiej postaci, ponieważ niewolnictwo istniało w kraju faktycznie, ale takich konieczności nie znają stany, w których niewolnictwa nie ma“. I powołując się na orzeczenie sądowe w sprawie Scotta, Lincoln kończy: „Dawniej mógł pan uwolnić niewolnika; dzisiaj powstał

taki przymus sądowy, że wyzwolenie jest faktycznie zakazane“.

„Suwerenność ludowa Douglasa — wywodzi Lincoln dalej — czyni z niewolnictwa sprawę narodową i uniknięcie doprowadzi na nowo do afrykańskiego handlu niewolnikami, gdyż praktycznie jedno prowadzi ku drugiemu. Jeśli nikt mi nie może zakazać, abym swoich niewolników mógł zabrać do Nebraski, tak samo jak się zabiera świnie, to czemuż ojcowie zagrozili karą śmierci łowcom niewolników, którzy by jeszcze po roku 1820 importowali afrykańskich Murzynów? Czemuż nie zagrozili karami łowcom dzikich świń? Czemuż handlarz niewolnikami jest na Południu człowiekiem wzgardzonym, któremu nie podaje się ręki, którego dzieciom nie wolno bawić się z dziećmi panów, podczas gdy dzieciom niewolników bawić się z nimi wolno? I czemuż to uwolniono tylu niewolników, jeśli nie dla uczynienia zadość wymaganiom sumienia? Jeśli odwrócimy się od zasady ojców, że wszyscy ludzie zostali stworzeni jednakowymi, i zaczniemy uważać Murzynów za ludzi niższych, to krok następny poprowadzi nas ku niższości białych... Gdzież pozostanie wtedy podstawowa myśl naszej konstytucji, iż żaden człowiek nie stoi tak wysoko, aby posiadał prawo rozkazywania innym bez ich zgody na to?... Ludzie zmierzający do władzy wywodzą zawsze, że nie chodzi im o panowanie, lecz jedynie o dobro ludu, nad którym chcą panować. Ten królewski argument nie staje się lepszy w ustach przedstawicieli ras wyższych, którzy używają go przeciwko niższym“.

Jednocześnie powraca stale podstawowa myśl społeczna. Gdy Douglas oskarża strajkujących szewców Północy i zarzuca im, że nie chcą się zadowolić 250 dolarami rocznego dochodu, Lincoln odpowiada: „Chwała



Bogu, że posiadamy system pracy, przy którym wolno strajkować!“

Z rzadka tylko w czasie tych dyskusji folguje swojej namiętności. Do głębi obraża go nie przekleństwo czarnych ciał, lecz gnuśność białych serc; dlatego nienawidzi on w gruncie rzeczy Douglasa, pozornie neutralnego, a nienawidzi go bardziej niż gwałtownych panów z Południa, którzy do zasad swoich przyznają się otwarcie. „Nienawidzę tej obojętności! — woła w jednej ze swoich mów. — Osłabia ona poczucie sprawiedliwości w naszym państwie, przeciwnikowi pokojowej ustawy daje pozór prawa do nazywania nas obłudnikami, a jednocześnie prawdziwemu przyjacielowi wolności daje powody do powątpiewania o naszej szczeroci“. Innym razem odzywa się: „Przyzwyczajcie się tylko deptać naturalne prawa innych ludzi, a utracicie ducha własnej wolności i staniecie się zdolni do tego, by popaść w poddaństwo pierwszego lepszego tyrana, jaki wśród was powstać może! Sprawy takie przygotowują się z dziejową logiką i nadejdą, gdyby wybory pokazać miały, że przyszłe orzeczenie w sprawie Scotta i wszystkie inne zostaną przez lud spokojnie przyjęte... Przez pewien czas można cały lud oszukiwać, a część ludu można oszukiwać zawsze. Ale całego ludu i stale oszukiwać nie można!“

Z takiego patosu wpada on rychło w ironię i posługuje się obrazami z życia ludowego, które zawsze niby scherzo następują po largach jego natury. Gdy na przykład pragnie powiedzieć, jak pracują Buchanam, Douglas, sędzia sądu wyższego i jeszcze jeden z przywódców waszyngtońskich, to używając popularnych imion tych ludzi mówi tak: „Kto stanie przed masą obrobionego drzewa budulcowego i zobaczy przy robocie na przykład Stephena, Rogera, Franklina, Jamesa, a jed-

nocześnie dostrzeże, że praca każdego z nich jak najdokładniej pasuje do pracy każdego innego z tych czterech, ani mniej, ani więcej, to trudno oprzeć się myśli, że ci czterej pracują od samego początku według wspólnego planu“. Albo na przykład chce określić postawę różnych stanów wobec sprawy niewolnictwa: „Kiedy na ulicy spostrzegam jadowitą żmiję, to zabijam ją pierwszym lepszym kijem, gdybym wszakże taką żmiję znalazł w łóżku swoich dzieci, to kij mój mógłby pokaleczyć tych, których chciałbym ratować, w dodatku żmija mogłaby dzieci pokąsać. Jeszcze gorzej byłoby, gdybym taką żmiję znalazł między dziećmi sąsiadów, wobec których byłbym zobowiązany nie mieszać się do ich spraw... Lecz oto buduje się nowe łóżko dla dzieci, a jednocześnie przychodzi propozycja, aby do tego łóżka włożyć gniazdo żmij!“

Obok takich mocnych przypowieści pojawiają się dowcipy, niekiedy złośliwe, jakimi przeciwnicy częstują się wzajemnie, skrzydlate słowa i bystre odpowiedzi. Douglas był wielki w takiej szermierce, ale Lincoln był od niego nieskończenie większy. Już podczas jednego z pierwszych swoich przemówień odczytał Douglas jakiś stary program radykalny z podpisem Lincolna, aby przeciwnika swego napiętnować jako „oswobodziciela“. Było to oczywiście fałszerstwem i gdy Douglas innym razem znowu wydobywa jakiś dokument, Lincoln mówi mu w oczy, że po tamtym wypadku „dokumentom“ jego wiary dawać nie można. Gdy przy jakiejś sposobności Douglas zmienia niepostrzeżenie postawę i wypiera się poprzedniego stanowiska, Lincoln mówi: „Ja twierdzę, że pan zdjął kapelusz z głowy, a pan nazywa mnie kłamcą, wkładając kapelusz na nowo na głowę“.

Niekiedy ośmieszał przeciwnika, ujmując jego zasady w formułę. Douglas: „Mając do wyboru między białym

a czarnym, daję pierwszeństwo białemu. Mając do wyboru między Murzynami a krokodylami daję pierwszeństwo Murzynom“. Lincoln: „Stosunek Murzyna do białego jest taki sam, jak stosunek krokodyla do Murzyna. Ponieważ Murzyn ma prawo traktować krokodyla jako gada, przeto i biały ma mieć prawo traktować Murzyna jako gada. I o to tu jedynie chodzi“. Albo innym razem: „Czy prawo, według którego lud rządzi się sam, wynalazł pan Douglas? Niekoniecznie. Idea ta jest stara jak Kolumb... A jeśli Douglas tego prawa nie wynalazł, to co właściwie wynalazł? Może prawo emigrantów do rządzenia sobą i jeszcze do tego gromadą Murzynów w Kansas i w Nebrasce? Zasadę tę głosił generał Cass już przed sześciu laty. Cóż tedy wynalazł ostatecznie mały olbrzym?... Cass nie był tak bezczelny, aby przymocować białych nad czarnymi osłaniać szlachetnym słowem suwerenności ludu. Takiej zuchwałości jeszcze nie było w owym czasie, aby prawo bicia nazywać prawem samowładztwa ludu. Tak więc przedstawiam wam wszystkim odkrycie Douglasa: prawo biczowania Murzynów w Nebrasce i gdzie indziej nazywa on suwerennością ludu“.

Tak złośliwym stawał się Lincoln, gdy przed oczami błysnęła mu fałszywa moneta. Gdy w takim nastroju słuchacze drażnią go uwagami, to im odpowiada: „Nie mamy czasu na to, aby się ze sobą przekomarzać. Chodzi mi jedynie o stwierdzenie prawdy i o zwolnienie sędziego Douglasa od jego impertynenckich poprawek!“ Gdy zaś Douglas zapytuje go publicznie, dlaczego w czasie wojny meksykańskiej głosował przeciwko pożyczce, gdy faktycznie Lincoln głosował za pożyczką, ten nie odpowiada nic, lecz spośród zgromadzonych wybiera jednego z najlepszych przyjaciół Douglasa, z którym przed dziesięciu laty razem zasiadali w Kongresie, pro-



wadzi go ku estradzie i woła: „Nie chcę temu panu zrobić nic złego, chcę wam go jedynie pokazać twarzą w twarz i zapytać go, czy to, co pan Douglas właśnie powiedział, jest prawdą“. I podczas gdy wszyscy się podnoszą, zapytany zmuszony jest odpowiedzieć, że twierdzenie jego przyjaciela nie odpowiada prawdzie.

Wzbudza wesoły śmiech, gdy powiada, że Douglas jest cuttlefish, to jest taka mała ryba, która w strachu puszcza dokoła siebie czarną ciecz, aby zamącić wodę i tym łatwiej uciec przed swoimi prześladowcami. Owszem, Lincoln wysila cały swój humor, aby przeciwnika ośmieszyć. „Senator Douglas — powiada — nosi imię sławne na całym świecie. Od dawna już wszyscy ambitni politycy spoglądają ku niemu jako ku naszemu najbliższemu prezydentowi. Na jego okrągłej twarzy widzą urzędy pocztowe, ziemskie, marszałkostwa, fotele gabinetowe, poselstwa i nie wątpią, że je z jego rąk otrzymają niby z rogu niewyczerpanej obfitości. W te czarujące obrazy wpatrywali się tak długo, że podczas przemian, jakie zaszły w ich partii, nie zdołali się zdecydować na pożegnanie z nadzieją. Ze wzrastającą chciwością otaczali go coraz ciasniejszym kołem i urządzali na jego cześć pochody z pochodniami, triumfy i przyjęcia, wspanialsze od tych, jakie urządzano na jego cześć w czasach jego największego powodzenia. We mnie natomiast nikt nie chciałby się dopatrywać prezydenta, a moich suchych i prostych rysów nie wieńczy łysina. Dla nas, republikanów, jest to niekorzystne. Dlatego też siłę swoją musimy opierać wyłącznie i jedynie na zasadach“.

Pewnego razu Lincoln zastawił sidła na swego przeciwnika. Było to podczas drugiej ich mowy zapaśniczej i właśnie w pytaniu, które rzucił, zawarta była nie tylko antyteza, lecz była w niej sformułowana zawikłana



sytuacja tych dwóch współzawodników. „Czy obywatele pewnego terytorium mają prawo drogą ustawową — wbrew życzeniu jednego z obywateli — zakazać na terytorium swoim niewolnictwa, zanim stan uchwali konstytucję?”

Według nauki Douglasa o suwerenności ludu każdy stan mógł postępować według swego uznania, o ile nie wykraczał przeciwko konstytucji Unii. Natomiast według wyroku Sądu Najwyższego przy imigracji ze stanu niewolniczego do stanu wolnego można było zabierać ze sobą niewolników. Jeśli teraz Douglas zaprzeczy takiemu prawu, a więc odmówi stanowi Kansas prawa zniesienia niewolnictwa z własnej woli, to w Illinois już nikt na senatora wybierać go nie będzie; jeśli przyświadczy pytaniu, to oburzy na siebie całe Południe, bez którego pomocy nigdy nie stanie się prezydentem. Z tego dylematu wybrnął zręczny Douglas takim pytaniem: „Wyrok w sprawie Scotta, jako rzecz oderwana, nie wchodzi tu w rachubę, natomiast pod względem praktycznym każdy stan ma prawo do wydawania ustaw, na mocy których niewolnictwu odmawia się opieki policyjnej, czyli w istocie może niewolnictwo skasować“.

Tymczasem tysiące chłopów i małomieszczan przysłuchując się przemówieniom widziało, że jeden chytrze pytał, a drugi chytrze odpowiedział i w jednej chwili powstał wielki hałas, a muzykanci, którzy zawsze towarzyszyli obu kandydatom, wpadli w ten hałas fanfarami. Lecz nikt nie rozumiał snadź znaczenia pytania i odpowiedzi, nawet przyjaciele Lincolna.

A jednak z tego wybiegu powstało decydujące pytanie, gdy adwokat stał się później mężem stanu. W dwa lata później stało się to, co się stać musiało. Lecz już obecnie, gdy odpowiedź Douglasa wszyscy znali, na ca-

łym Południu nastrój zwrócił się przeciwko niemu, gdyż południowcy domagali się właśnie, aby Unia na całym swoim terytorium otoczyła opieką niewolnictwo. Tak więc zyskał Douglas owej godziny fotel senatorski, ale stracił możliwość zostania prezydentem. A co odczuwał Lincoln? Czy chodziło mu wtedy jedynie o zaprzepaszczenie sprawy szkodliwego przeciwnika? Czy dwuletnia walka miała dla niego znaczenie rzeczowe? Douglasa przejrzał on na wskroś, od razu, i w listach poufnych nazywał go już dawno oszukańcem, a jego pochód triumfalny przez Illinois uważał za „bombastyczny i pusty jak biuletyny Napoleona z Rosji“. Wyraził się też, że Douglas ma dziesiątki tysięcy ślepych zwolenników. „Moim zadaniem jest przywrócić tym ślepych zdolność widzenia“. Powstawało pytanie, czy i w przyszłości będzie chciał z nim współzawodniczyć.

„Było gorąco — opowiada jeden z jego zwolenników — gdy Lincoln w hotelu w Springfield przemawiał w kole przyjaciół. Ocierając pot wyszedł na dwór, aby odetchnąć świeżym powietrzem i pytał o mój dystrykt. Odpowiedziałem mu, że jesteśmy wszyscy gotowi, ale nie wiadomo, czym zakończą się dysputy z Douglasem. Przez jego twarz przeleciał cień, w ślad za tym oczy jego błysnęły, a gestem dał mi do zrozumienia, że rozumie moje powątpiewania. «Niech pan siada — rzekł. — Mam właśnie chwilę czasu i opowiem panu pewną historyjkę». Siedział na kamiennych schodach hotelu, ja stałem tuż przy nim. «Czy widział pan już dwóch ludzi, którzy gotują się do walki ze sobą?» — Oczywiście, widziałem nieraz. — «A więc. Jeden chełpi się, czego to on nie zrobi, podskakuje do góry, trzaska obcasami, zaciska pięści, zużywa siły i pragnie ludzi nastraszyć. A teraz popatrz pan na tego drugiego, który stoi bez słowa... Jego ramiona zwisają, pięści są zamknięte, gło-

wa przechyla się ku ramieniu, usta zaciskają się. Tak oszczędza swoje siły przed walką. Jak pewne jest, że dojdzie do walki, tak też pewne jest, że ten zwycięży, a tamten zostanie pokonany»“.

Lincoln zrazu przegrał, następnie zwyciężył, lecz ostatecznie zginął przy swoim zwycięstwie.

## XVI

Pierwszą część walki wygrał Douglas. Zwycięstwo było walne: wybrany na senatora, wyjechał do stolicy państwa, podczas gdy przeciwnik jego jako adwokat powrócił do małego miasta. Zdawało się, że wszystko pozostanie po staremu. Lincoln przeżył kilka momentów strasznych. W Petersburgu wygwizdywano go przez pół godziny, w Ottawie młodzież obnosiła go na ramionach, i to tak, że zgromadzenie widziało jego kalesony aż po kolana, a w jakimś trzecim mieście został omotany girlandami: nie wiedział, co z tego wszystkiego było nieznowniejsze. Jakaś dama drażniła go lalką przedstawiającą Murzyna, bujając ją przed jego oczami, aż wreszcie Lincoln spokojnie zapytał: „Proszę pani, czy pani jest matką tego dziecka?“ Innym razem jakiś szlachcic z Południa podjechał do samej estrady i krzyknął: „A może chciałby pan też sypiać z Murzynom?“ Lincoln nie odpowiedział na to, ale spojrzał na napastnika takim mocnym milczącym spojrzeniem, że ten zawrócił konia i zaczął się wycofywać, podczas gdy obecni pluli na niego.

A jednak stała się rzecz doniosła: Ameryka poznała imię Abrahama Lincolna i podczas gdy zagniewani demokraci po jedenastu latach odebrali Douglasowi przewodnictwo w komisji spraw zagranicznych za jego dwulicową politykę, cała Północ podawała sobie z ust do ust

słowo o „Abrahamie, zabójcy olbrzyma“. Śpiewano piosenkę, w której znalazła się taka strofka:

„Z zachodu idzie sława w kraj z niewielkiej gdzieś miejsciny,  
Za Clayem były niegdyś matki, a za Lincolnem są dziewczyny“.

Nowopowstające miasto w Illinois nazwało się jego imieniem, aczkolwiek sprzeciwiał się temu, a wielka gazeta na Wschodzie pisała: „Czy wiecie, że znakomitszych mów jeszcze nigdy nie słyszeliśmy?“ Inna gazeta dodała: „Jeszcze nikt nie wyrósł w oczach swoich współobywateli tak szybko jak Lincoln podczas swoich dysput“. Pewien obcy człowiek pisał do niego: „Przypomina pan lorda Byrona, który zbudziwszy się pewnego dnia, spostrzegł, że jest sławny. Z dnia na dzień przemienił się pan z dzielnego chłopca i adwokata w Illinois w człowieka o sławnym w narodzie imieniu“. Z tego wszystkiego wywnioskowali jego domorośli przyjaciele, że może on się przydać nie tylko partii, lecz że jest może naprawdę wielkim człowiekiem.

A jakie wnioski wywodził z tego on sam?

Było to pewnego wieczoru sobotniego podczas dysput. Lincoln w towarzystwie Villarda czekał na małej stacji na pociąg, gdy nadciągnęła burza. Przed deszczem uciekli do pustego wagonu towarowego i schronili się w jego ciemnym wnętrzu. W tej raptownej przemianie otoczenia, w tej biedzie bez krzesła i światła przypomina się mu jego młodość, myślą cofa się o dwadzieścia pięć lat wstecz i zaczyna monologizować, że gdy był sklepowym w Nowym Salem, największą jego ambicją było dostać się do parlamentu illinoiskiego; potem roześmiał się i rzekł:

„Od tego czasu urosłem oczywiście cokolwiek, ale w te sprawy tutaj wciągnęli mnie jedynie moi przyjaciele. Nie uważałem się za dość zdolnego dla Senatu



i dużo czasu potrzebowiałem, aby się przekonać, że jest inaczej. Zaś teraz — wywodził dalej, przerywając swoje słowa dziwnymi wybuchami śmiechu — przekonują się, że jestem dobry na senatora. A jednak co dzień powtarzam sobie, że cel ten jest dla mnie za wysoki i że go nie osiągnę. Lecz Mary nalega na mnie, abym się stał senatorem. Ba, chce jej się nawet, abym się stał prezydentem!“ Słowa te zakończył wybuchem wesołego śmiechu. Siedział, obejmując kolana rękami i kiwał się na wszystkie strony, tak go bawiła ta ambicja jego żony. „Niechże pan sobie wyobrazi jako prezydenta taką figurę jak ja!“

Jedna z najpiękniejszych scen z życia Lincolna została nam tu przekazana przez dowcipnego i krytycznego obserwatora. Oto między dwoma dniami, w których muzyka grać będzie na jego cześć, a domy poozdabiane będą flagami, aby uczcić jego, bohatera dnia, siedzi z dziennikarzem w mrocznym i twardym wnętrzu wagonu towarowego, jak nieraz siadywał nocą w chacie w Indianie, ale nie sprawia mu to najmniejszej przykrości. Przeciwnie, takie nastroje otwierają jego serce i nie tylko że nie psują mu humoru, ale rozwiązują jego język, a półmrok ułatwia temu na ogół milkliwemu człowiekowi wyznania, podczas gdy ostra ironia jego słów i śmiechu nicuje wartość Senatu i wszelkiego dążenia ludzkiego, nie oszczędza jego samego i rozlega się niby delikatna muzyka krasnoludków w pustym wagonie. Siedzi oto i odsłania tajemne pobudki swej działalności publicznej, a gdy mówi o ambicjach swej Mary, przebija się w jego słowach natura poety, który wszystko widzi w obrazach, nawet wówczas, gdy duma nad projektami ustaw. Skromny z natury, łączy w sobie geniusz i charakter, orientuje się doskonale w kulisach życia i wie, jak lichy może być geniusz, jak chwiejny charakter,

gdy dąży do władzy. A gdy jeszcze w ciągu tygodnia musiał porównywać siebie ze sławnym amerykańskim taktykiem politycznym, to szacunek dla Douglasa musiał się obniżyć coraz bardziej, a samopoczucie musiało wzrastać.

Bo gdy później, jak wszyscy w ogóle politycy, zaczął myśleć o sobie jako o prezydencie, to chociaż czynił to na swój sposób, jednak ani na chwilę nie tracił wiary we własne talenty i nie dopuszczał myśli, że to brak zdolności mógłby pokrzyżować najgorętsze życzenia jego żony. Ale zwierciadło jego serca ukazuje mu postać rzeczy i oto z taktem człowieka mającego przewagę wy-czuwa rzecz niezwykłą, niesympatyczną, zmysłem humorysty odgaduje komizm sytuacji, gdyby najpierwszy obywatel kraju był jednocześnie najwyższy wzrostem. Że miałoby mu zbywać na manierach, jak mówią jego przeciwnicy, nawet do głowy mu nie przychodzi, bo jego subtelne serce już dawno przyswoiło sobie sposób bycia, jaki widział u wytwornych panów w salonach Waszyngtonu. Zresztą Franklin był introligatorem, a Jackson pasterzem. Ale jego chuda i wysoka postać, która z trudem tylko poddaje się świeckiej elegancji i zwyczajom dyplomatów, pobudza go do śmiechu.

Po porażce wszakże, gdy imię jego staje się w całym kraju daleko głośniejsze niż w wypadku, gdyby zdobył godność senatorską, wraz ze wzrastającą pewnością siebie wzrok jego staje się daleko bystrzejszy i dostrzega nowe możliwości. Ten nastrój tymczasowości odtwarza on nadzwyczaj trafnie, gdy na pytanie, jak się czuje, odpowiada: „Jak chłopak, który się uraził w nogę. Zbyt się złości, aby mógł się śmiać, i zbyt jest duży, aby mógł płakać“. A do swego starego lekarza, Henry'ego, pisze: „Jestem jednak rad, że wziąłem udział w tym wielkim meczu. Wielkie zagadnienie epoki znalazło tu jednakże

rozgłos, jakiego poza tym nigdzie nie można byłoby wytworzyć. A chociaż teraz zniknę z widowni i popadnę w zapomnienie, to jednakże rzuciłem kilka pytań w sprawie wolności, które moim zdaniem jeszcze długo po moim ustąpieniu działać będą“.

Cała dumna rezygnacja jego istoty mieści się w tych słowach. Tutaj wypowiada się on otwarcie, że w gruncie rzeczy nieskończenie więcej zależy mu na sprawie wolności niż na prezydenturze. Przecież to już dwadzieścia lat mija od czasu, gdy jako członek małego klubu dyskusyjnego w Springfield i nieznany marzyciel przemawiał o wielkich mężach, jak Cezar i Napoleon, którym żadne stanowisko prezydenckie nie mogłoby zaimponować. Abraham Lincoln zbyt wysoko stawia godność ludzką, którą chciałby zwrócić niewolnikom, ale nie pozwoliliby odebrać sobie, aby folgując namiętności swej żony mógł się ubiegać o oznaki władzy zewnętrznej.

A jednak może w tych oznakach jest coś więcej niż symbol? Gdyby na przykład za pomocą tego symbolu można było urzeczywistnić te sprawy, które dla niego stały się sprawą wolności? Na tym punkcie wniosków i uczuć osoba i sprawa łączą się w jedną całość i tak samo w tej sprawie, jak w każdym wielkim życiu jednego od drugiego oddzielić nie podobna.

Pewien znajomy spotyka go na ulicy i wszczyna z nim prostą rozmowę. Chce mu coś powiedzieć, a mianowicie, że na Wschodzie już nieraz była mowa o tym, co to za jeden ten Lincoln. „Powiedziałem, że to drugi olbrzym. Dlatego sędzę, że może on zostać prezydentem, nawet gdyby przeciwko niemu stanęli Seward i Chase“.

„Ale mnie znają tylko w Illinois, a ci dwaj są przywódcami“.

Tamten stara się zaprzeczyć, mówi o stanach, które nie chcą wybierać żadnego mieszkańca Nowego Jorku, i prosi go wreszcie o życiorys. W tej chwili, według opowieści, Lincoln zawija się szczelnie w swój szary stary szal: „Ambitny jestem, temu nie przeczę, jestem także wrażliwy na komplementy i pragnę powodzenia dla sprawy. Ale tyle szczęścia nie mam, abym mógł stać się prezydentem. Zresztą w życiu moim nie ma nic takiego, co mogłoby interesować pana lub kogokolwiek. Albo jak powiedziałaby Davis: Nie warto gadać. Dobranoc!“

Na ponowną prośbę godzi się Lincoln wymienić miejsce i dzień urodzenia, po czym zgadza się dopisać, co następuje:

„Rodzice moi wywodzą się z Wirginii i pochodzą z ludzi prostych, rzekłbym z rodzin drugorzędnych... Dziad mój ze strony ojca wyemigrował do Kentucky w roku 1781 lub 1782, gdzie w rok potem czy w dwa lata został zastrzelony przez zaczajonych Indian, w chwili gdy chciał założyć farmę w lesie. Jego przodkowie, którzy byli kwakrami, przybyli z Pensylwanii... Gdy dziad został zabity, ojciec mój liczył dopiero sześć lat i rósł bez jakiegokolwiek wychowania. Przeniósł się do Indiany...

Gdy tam przybyliśmy, w ósmym roku mego życia, stan ten został właśnie przyjęty do Unii. Była to dzika kraina, po której włóczyło się dużo niedźwiedzi i innych drapieżników. Tam się wychowałem. Było tam kilka tak zwanych szkół, których nauczyciele umieli tylko czytać, pisać i trochę rachować. Gdy jakiś poszukiwacz przygód przybywał tam przypadkowo i rozchodziła się o nim wieść, że umie po łacinie, to w oczach wszystkich ludzi uchodził za jakiegoś czarnoksiężnika. Nie było tam niczego, co byłoby po-



budzało pragnienie oświaty. Oczywiście, wiedziałem niewiele, gdy dorosłem, ale jakoś nauczyłem się czytać, pisać i porządnie rachować, i to było wszystko. Od tego czasu do żadnej szkoły nie chodziłem. Drobne postępy, jakie tymczasem poczyniło moje wykształcenie, zawdzięczam przygodnemu naciskowi okoliczności.

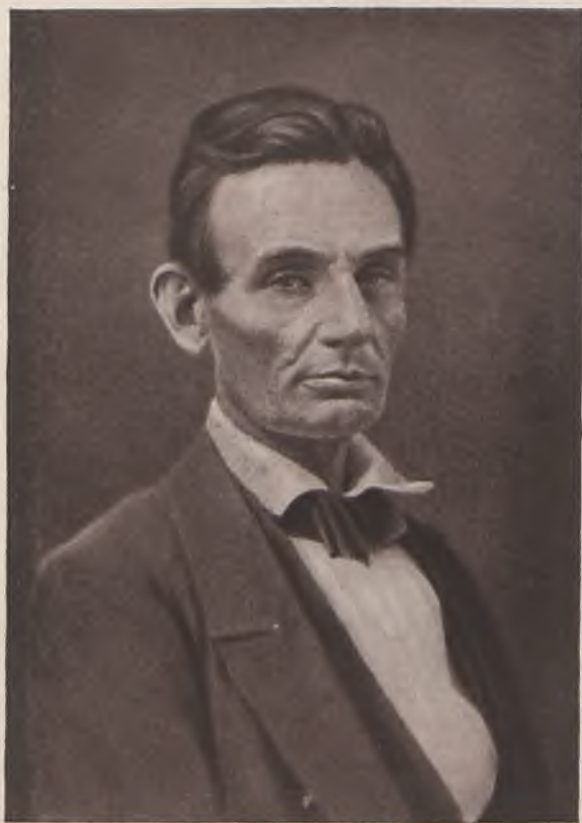
Wychowałem się do pracy rolnej, którą wykonywałem do dwudziestego drugiego roku życia... Przybyłem do Nowego Salemu, gdzie przez rok byłem czymś w rodzaju sklepowego w pewnym sklepie. Potem przysła wojna z Black-Hawkiem, stałem się kapitanem ochotników; było to powodzenie, które sprawiło mi więcej uciechy niż którekolwiek późniejsze. Brałem udział w wyprawie wojennej, awansowałem, kandydowałem do parlamentu, ale wybrany nie zostałem. Było to jedyne niepowodzenie wyborcze, o którym decydował lud. W wyborach następnych i późniejszych byłem wybierany, dopóki nie przestałem kandydować. W tym czasie studiowałem prawo i przeniósłem się do Springfield, aby stać się praktykantem. W roku 1846 zostałem raz jeden wybrany do izby niższej, ale później kandydatury mojej już nie stawiano. Od roku 1849 do 1854 włącznie zajmowałem się prawem żywiej niż kiedykolwiek. W polityce byłem zawsze wigiem i najczęściej figurowałem na listach tej partii, a w walkach przedwyborczych brałem czynny udział. Stopniowo zainteresowanie moje dla polityki malało, dopóki nie wzburzyło mnie zniesienie kompromisu. Co robiłem od owego czasu, jest dość dobrze znane.

Gdyby potrzebne były dane osobiste, to można dodać, że mam prawie sześć stóp i cztery cale wysokości, jestem chudy, wagę przeciętnie 180 funtów, skórę mam ciemną, włosy szorstkie i czarne, oczy szare. O innych znakach lub bliznach nie wiadomo“.

Dopisek: „Niewiele w tym ciekawego, jak sądzę, bo też niewiele ciekawego jest we mnie. Jeśli zostanie to w jakikolwiek sposób opracowane, to proszę, aby to było uczynione skromnie. Oddany panu A. Lincoln“.

Czy można wyobrazić sobie ton bardziej suchy? Nie ma tu nic takiego, z czym zazwyczaj występuje próżność, ale jest wszystko, co mogłoby się zwrócić przeciwko Lincolnowi. Bogactwo obrazów, które zazwyczaj zdobią jego styl, subtelność jego listów — wszystko to zastępuje sucha rzeczowość, poza którą tylko znawca dostrzeże zdumiewającego stylistę. Jest tu tak, jak gdyby znakomity kuchmistrz nagotował cienkiej, nie solonej polewki, aby nakarmić wielu, którzy jedynie przez ciekawość chcieliby liznąć coś niecoś z sekretów jego sztuki.

A jednak mamy tu do czynienia z majstersztykiem w wypowiedaniu się i w przemilczaniu. Że dziad jego poległ jako pionier i męczennik, a wychowanie syna swego musiał przekazać niedźwiedzim, o tym wszyscy dowiedzieć się mogą. To ich nastroi natychmiast życzliwie dla nowego kandydata. Można też dodać, że w Indianie napotkał raczej czarnoksiężnika niż właściwego nauczyciela. Potem zaznacza, jak trudno dotrzeć do źródeł wiedzy; jak mało mógł z nich czerpać, o tym nie mówi, bo na to jest zbyt dumny; wtrąca więc raczej jakiś frazes o małych postępach i o nacisku okoliczności. Ani słowa o tym, czego domagał się w parlamencie, o co walczył w Kongresie. Ale nie jest zbyt dumny, aby nie miał wspomnieć o zdobyczy najistotniejszej, o tym, że zdobył sobie przyjaźń i przywiązanie towarzyszy i współobywateli, którzy na polu walki i w kampanii przedwyborczej zapalali jego serce. O to mu nawet chodzi. Sprawy osobiste? Czy ma się zwierzać ludziom, których poetów lubi, że nie pije wódki, ale że lubi opo-



Lincoln w roku 1858





wiadać i że woli rąbać drzewo bez marynarki i kamizelki niż we fraku paradować w salonie? Sześć stóp i cztery cale wzrostu, ale oddaje „prawie“, aby nie uchylić się od prawdy. Sto osiemdziesiąt funtów wagi, szorstkie włosy, poza tym żadnych blizn.

Tą wspaniałą formułą kończy swą epistołę niby Don Kichot.

## XVII

Praktyczny wynik tej walki na mowy był ten, że Lincoln wrócił do domu o dwadzieścia funtów cięższy i o kilka tysięcy dolarów lżejszy. Biuro jego pod kierunkiem Herndona pracowało tylko połową swej zwykłej siły, a wydatki Lincolna znacznie wzrosły i jeśli na razie nie potrzebował obawiać się niczego, to jednak środki jego nie wystarczały wtedy na opędzenie potrzeb bieżących. Gdy więc przewodniczący partii, sędzia Judd, domagał się w dodatku pieniędzy od niego, Lincoln napisał mu w odpowiedzi: „Według możliwości składki swoje wpłacę, ale nie umiem zabrać się do tego, aby i innych nakłonić do płacenia. Tak długo nie zarabiałem, lecz wydawałem wyłącznie, że jestem zupełnie bez pieniędzy i nie mam nawet tyle, ile potrzeba na bieżące potrzeby domowe. Jeśli może mi pan dać 250 dolarów, to pokryję nimi długi komitetu po omówieniu tej sprawy z panem. Suma ta razem z sumą już wpłaconą i z tym, co się jeszcze należy, przekroczy moje zobowiązanie na 500 dolarów. Nie wliczam tu jeszcze swoich wydatków i nie uwzględniam straty czasu i wydatków osobistych, które bardzo obciążają człowieka tak niezamożnego, jak ja. Ponieważ jednak przyjąłem to stanowisko jako honorowe, więc nie wolno mi skąpić grosza“.

Że partie domagały się pieniędzy od swoich przywódców, było w owych czasach rzeczą zwykłą, ale że Lincoln przy swoim położeniu materialnym wziął na siebie takie obowiązki, było rzeczą niezwykłą, gdyż nie osiągnął dochodów senatorskich, a jednak partii swojej posłużył więcej niż ktokolwiek inny. Zresztą powodziło się mu nienajgorzej: za dawną służbę w wojsku otrzymał od państwa kawałek gruntu, drugi kawałek przypadł mu w spadku, co razem z domem w Springfield i z należnościami od różnych dłużników tworzyło wartość 15—20 000 dolarów. Praktyka adwokacka dawała mu w najlepszych latach 3 000 dolarów.

Mary potrzebowała dużo pieniędzy, kupiła sobie teraz nowy powóz, on zaś płacił bez słowa protestu wszystko, co ona kupiła. Otaczała blaskiem jego coraz popularniejsze imię, umiała reprezentować, promieniowała, gdy było trzeba, z mody krynolinowej umiała korzystać, jak z niej korzystały otyłe niewiasty, i tylko z rzadka robiła sobie nieprzyjaciół, gdy gwałtownie kogoś potępiła lub gdy orkiestrę balową ganiła tak głośno, że muzycy słyszeć musieli jej słowa. Gdy Herndon, którego nienawidziła od lat dwudziestu, otrzymał korzystne miejsce syndyka bankowego, zabiegała o to, aby Lincolna od niego odciągnąć, bo młodszy wspólnik otrzymywał stale połowę dochodów, chociaż wielkie sprawy prowadził właściwie wspólnik starszy. Dla niej Herndon był tylko proletariuszem, wychowanym w zajezdzie, radykałem antykościelnym, podobno upijającym się niekiedy, a jako zdecydowany oswobodziciel niewolników był dla opinii Lincolna szkodliwym partnerem. Pragnęła ona zbliżyć męża z jednym ze swoich krewnych, z dżentelmenem z Kentucky, ale dla Lincolna określenie takie bynajmniej pociągające nie było.

Zresztą przyjaciółom swoim był wierny przez całe życie, osobiście Herndonowi.

Wydarzenia ostatnich lat wstrząsnęły nim zbyt mocno: namiętności polityczne, groza przesilenia, pokusy miłości własnej były zbyt mocne, aby powrót do zajęć adwokata w małym mieście był dla niego łatwy. Wprawdzie gdy zaproponowano mu wygłaszanie przemówień podczas podróży po kraju, odpowiedział zrazu odmownie, bo „ubóstwo jest rzeczą złą. Zejdę całkiem na psy, jeśli sprawy swoje będę w tym roku zaniedbywać jak w zeszłym“. Pomimo to dał się porwać. Przede wszystkim pomyślał o swoich mowach, których streszczenia gazeciarskie zbierał starannie, i postanowił wydać je drukiem, lecz nie znalazł nakładcy, a gdy wreszcie znalazł się chętny wydawca, Lincoln musiał do swojej pierwszej i ostatniej książki dopłacić 50 dolarów. Mowy swego przeciwnika wydane równoległe ze swoimi czerpał z prasy demokratycznej, aby i pod tym względem postępować zgoła sprawiedliwie; zastrzegł się też przeciwko jakimkolwiek zmianom z tej czy tamtej strony i przeciw skreśleniom swoich własnych inwektyw. Postępował jak historyk, a nie jak bojownik, gdyż wydawało się mu, że właśnie w perspektywie historycznej będzie zwycięzcą. Lincoln odczuwał tak samo jak cały naród, że walka ta nie jest jeszcze zakończona.

Nawet walka na mowy! Bo i teraz podróżowali obaj przeciwnicy, chociaż nie razem, po Zachodzie, i właśnie teraz orkiestry wojskowe wychodziły na spotkanie pobitego Lincolna, choć sobie żadnych manifestacji nie życzył. Dopiero w obecnych przemówieniach swoich rozskubał teorie Douglasa na strzępy. „Czymże w gruncie rzeczy jest pana Douglasowa suwerenność ludu? Oto tym, że człowiekowi, który drugiego człowieka robi niewolnikiem, nie może się nikt sprzeciwić... Do ta-

kich spraw senator Douglas nie przywiązuje zbyt wielkiej wagi. Taką już ma naturę, że smagnięcie bicia spadającego na jego właśnie plecy zaboląoby go, ale bicz smagający cudze plecy nie boli... Jego ideą centralną jest obojętność... Wszystko kieruje się jego polityką, której słodziutka nazwa brzmi: suwerenność ludu... Gruntuje się ona na powszechnej obojętności. Ale nie ma przecież nikogo, kto mógłby być obojętny! Wszyscy opowiadają się albo za wolnością, albo też przeciwko niej... Senator Douglas jest jedynym człowiekiem, który jeszcze ani razu nie wypowiedział się, czy niewolnictwo uważa za rzecz sprawiedliwą czy niesprawiedliwą“.

W Kansas i w Kentucky, gdzie Lincolna przyjmują z zapalem, po raz pierwszy odzywa się on tak ostro i głośno, jak nigdy dotąd. „O co nam, republikanom, chodzi? Chcemy i nadal starać się o to, abyście byli ludźmi równie porządnymi jak my... równie rzetelnymi jak inni... Będziemy się żenił z waszymi córkami, ilekroć nadarzy się sposobność, rzecz prosta z córkami białymi. Przygodnie mam zaszczyt zrobić uwagę, że ja sam skorzystałem był już z takiej sposobności“. Jest to ton wielkiej przewagi osobistej, melodia mówcy, który już nie o słuchaczy walczy, głos męża, którego myśli wybiegły daleko naprzód. Jest to już człowiek niecierpliwiący się. Tonem ironicznym przemawia dalej: „Z pewnością jesteście ludźmi równie odważnymi, takimi, jakich spotyka się gdzie indziej w świecie. Każdy z was walczyłby w obronie sprawiedliwej sprawy równie dzielnie jak ktokolwiek... Ale jest was mniej, pobić nas nie możecie. Gdyby nas było mniej, to moglibyście nas pobić, a gdyby siły nasze były jednakie, to walka byłaby nierozstrzygnięta. Ponieważ zaś je-



steście w mniejszości, tedy próba wasza, aby nas po-  
bić, udać by się nie mogła“.

Cóż to się z nim stało, że oto zaczyna przemawiać tonem, jakim w komediach Szekspira przywódcy lub uwodziciele przemawiają do ludu? Byłaby to reakcja po zbyt długim wyczekiwaniu? Czy może doznaje uczuć aktora, któremu rola jego podobać się przestała? Czy też może z nicości podpływa ku niemu poczucie wielkiej odpowiedzialności? Albo jest to zdenerwowanie serca, przerażającego się na widok swego posłannictwa, w które ono tajemnie wierzyło?

Oto opowieść człowieka, który omal że nie dostał się do więzienia za to, że wspomógł uciekającego niewolnika: „Przecież to się sprzeciwia nie tylko konstytucji, ale elementarnym zasadom człowieczeństwa!“ — skarży się ów człowiek.

Lincoln jest smutny, wymachuje długimi ramionami i przyświadcza: „Tak! Tak! To jest niesprawiedliwość! Dowodzić tego nie trzeba, ale takie jest prawo krajowe, a prawa trzeba słuchać, jakiegokolwiek ono jest!“

„Ileż razy przyrzekał pan stać wiernie na straży konstytucji! Chcemy teraz wystawić pańską kandydaturę na prezydenta. Cóż pan powie, przysięgając na tę niemoralną konstytucję i wzywając Boga na pomoc?“

Lincoln opuścił głowę, palce zanurzył we włosach, spoglądał przed siebie ze smutkiem, a wreszcie położył dłoń na kolanie swego rozmówcy i rzekł głosem niemal obcym mu: „Nie ma sensu gmerać się ciągle w tych trudnych sprawach!“

Pelen wątpliwości, co się stanie i co uczynić wypadnie, żył w stałym niepokoju. I zaraz pierwsze wydarzenie, o którym wieść przyszła ze świata, zmieszało go

do głębi. John Brown, bogaty farmer, stary przywódca oswoobodzicieli, idealista i bojownik, którego w Kansas obawiano się jako awanturnika, człowiek, któremu bandy południowców zamordowały syna i za którego głowę wyznaczyły nagrodę, został zabity przy swojej najzuchwalszej awanturze. Ten ładny, smukły i wyzywający purytanin, którego orli nos zdradzał arystokratę, a broda i włosy charakteryzowały łowcę, zarazem kwakier, filantrop i romantyczny przyjaciel wolności, żarliwie liczący na pomoc aniołów, wtargnął z garścią oswoobodzicieli i Murzynów do Harpers Ferry, aby stamtąd wywołać powstanie niewolników na Południu. Pucz ten, zaczęty dość naiwnie, upadł rychło, Brown został schwytyany przez swoich wrogów, skazany i powieszony. W ciągu niewielu tygodni stał się on męczennikiem Północy, legendy, pieśni i obrazy otaczały jego imię i podczas gdy Douglas mógł z triumfem wskazywać na ten fakt jako na skutek szkodliwej agitacji, Lincoln zrozumiał od razu, jaką szkodę wyrządził sprawie wolności bohater Północy.

Niebawem nadarzyła się mu sposobność do powiedzenia tego publicznie. Było to w lutym roku 1860, zaczęła się właśnie kampania wyborcza. W maju mieli być mianowani kandydaci na prezydenta. Roznamietnienie w kraju było większe niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich dziesięcioleci, bo wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że te wybory mogą zachwiać jednością Unii. O oderwaniu się i zniesieniu Unii myślano niezawodnie tylko na Południu, ale Północ była niepewna i chwiejna, bo nie wiedziała, czego ma chcieć i do czego dążyć. Szerokie koła przemysłowo-kupieckie obawiały się po trosze republikanina, do którego wyboru przyłożyłyby jednak rękę, gdyż demokraci byli rozbici i skompromitowani. Ale w okręgach kulturalniejszych żył jeszcze

duch kwaków lub też budził się do nowego życia i on to widział w tej walce podstawowe zagadnienie ludzkości, a zarazem mocno je podkreślał. Tymczasem pycha Południa rosła bezustannie, groźby oderwania się rozbrzmiewały coraz głośniejsze, jak gdyby sprawa rozwiązania Unii zależała jedynie od Południa, i to drażniło Północ coraz bardziej, bo wszyscy zdawali sobie sprawę, że Południe przedstawiało więcej niż połowę kapitału w sensie sił wytwórczych i pieniędzy, potęgę i przyszłość Stanów Zjednoczonych.

W tym nastroju niepewności Lincoln został zaproszony przez obywateli Wschodu, którzy zapragnęli własnymi oczami i uszami poznać jego i jego zasady. Z planu przemówienia w Brooklynie wzmożone zainteresowanie wzbudził w chwili ostatniej odczyt w wytwornym Instytucie Coopera w Nowym Jorku. Zaskoczony zaproszeniem, mówca stanął zakłopotany przed tymi przemądrzałymi słuchaczami, których moralny płaszcz był jednak podszywany bawełną. Uczucia nieufności i niepewności były zrazu wzajemne: słuchacze z zadowoleniem stwierdzali staromodny krój wygnieczonego surduta, on sam zaś według własnych słów był roztargniony, gdyż bezustannie spoglądał na wytworne ubiory swoich słuchaczy i porównywał je z własnym surdudem. Wydawało mu się też, że jego kołnierz szpetnie odstaje i że ludzie to widzą.

A oto wyjątki z dwóch sprawozdań: „Głowa jego kiwała się niby na wysokiej, chudej tytce, a gdy czyniąc gest rozkładał ręce, to widziałem od razu, jakie one były wielkie. Zaczął przemawiać głębokim tonem jak ktoś przyzwyczajony do przemawiania pod gołym niebem i obawiający się, że słowa jego mogą brzmieć zbyt głośno, używał niekiedy słów staroświeckich, które słuchaczy bawiły. Powiedziałem sobie: No, mój zacny

człowiecze, to dobre na Dzikim Zachodzie, ale nie w Nowym Jorku... Pod każdym względem należał on do tych prostych ludzi, do których zawsze się zaliczał. Zrazu nic w nim nie imponowało, ubranie wprost wisiało na jego wysokiej, chudej postaci, rysy jego były ciemne, blade, bezbarwne, szorstkie i jakby wykute przez wyrzeczenie i nędzę, a jego głęboko osadzone oczy były smutne i zatroskane... Niebawem wszakże dobrnął do swego tematu, twarz jego zajaśniała wewnętrznym płomieniem, jego głos stał się dźwięczny, a jego rysy zdawały się godzić ze wszystkimi słuchaczami. Styl jego mowy był prosty i surowy, było w nim coś przypominającego wielką prostotę Biblii... Gdy wygłaszał najważniejsze części swej mowy, słychać było tylko łagodne syczenie gazu. Ale gdy dotarł do punktu kulminacyjnego, to burzliwe oklaski budziły wprost przerażenie. Nagle stałem razem z innymi, krzychałem i klaskałem jak Indianin. To samo czynili wszyscy. Co za bajeczny chłop!«

Ta mowa, przygotowana troskliwie, ułożona była na kształt kazania, przy czym za tekst służyły jej słowa Douglasa: „Ojcowie rozumieli całą tę sprawę równie dobrze, jak my, czy może nawet lepiej“. Od najprostszych argumentów konstytucyjnych i historycznych, znanych każdemu dziecku, przechodził powoli z nieubłaganą logiką do wymagań stawianych przez życie, tak iż wszystko wydawało się ogromnie jasne. Następuje wielka część mowy, w której zwracał się wprost do mieszkańców Południa, jak gdyby siedzieli przed nim na sali i jak gdyby rozprawiał się z nimi: Groziliście, że zerwiecie Unię, a nam przypiszecie winę. To śmiało, zaiste! Zbój przykładą mi do ucha pistolet i mów zgrzytając zębami: «Stój i poddaj mi się, a potem uznaj się za mordercę!»



Natomiast wyrzekł się wszelkiej, choćby nawet pośredniej, łączności z Brownem, co w owym czasie było niebezpieczne, gdyż postawa przeciwna była właśnie popularna. „Przedsięwzięcie Browna było tak absurdalne, że sami niewolnicy przy całej swojej ciemnocie od razu spostrzegli, że udać się ono nie może. Znamy przecież podobne próby mordowania cesarzy i królów: jakiś entuzjasta tak długo rozmyśla nad uciskiem pewnego ludu, iż wreszcie zdaje się mu, że niebo powołuje go jako wybawiciela. Zabrał się on do rzeczy, która bodaj że niczym innym skończyć się nie mogła, jak straceniem go... W walce przeciwko niewolnictwu byliśmy jednego zdania, ale przemocy, przelewu krwi i zdrady usprawiedliwić to nie może“.

Nazajutrz uchodził Lincoln i tu, na Wschodzie, za wielkiego mówcę, inne stany zapraszały go również, pewien profesor z New Haven jeździł za nim, robił notatki literackie i wygłosił odczyt o jego mowie. Wszystko to oddziaływało nie tylko na Illinois, lecz i na samego Lincolną: po raz pierwszy zetknął się on tutaj z obcym światem, czyli z tak zwanym światem wielkim, zmierzył się z nim, poznał potęgę zewnętrzną i niemoc wewnętrzną, ale ostatecznie przekonał się o przewadze rzeczy najgłębszych nad tym zgiełkowym światem, a gdy powrócił do domu, czytał o sobie po raz pierwszy jako o możliwym kandydacie na prezydenta z ramienia republikanów. Jeszcze kilka tygodni temu nie było jego imienia na pierwszej próbnej liście liczącej 34 nazwiska, a przed pół rokiem sam on pisał, że bardzo szanuje gubernatora Chase, ale „na stanowisko prezydenta nie będzie on chyba człowiekiem najodpowiedniejszym. Muszę dodać, że i sam nie uważam się za odpowiedniego na to stanowisko“.

Ale teraz, w kwietniu, pisze do Trumbulla: „Powieм całkiem szczerze, że już mi to i owo zaczyna smakować i to odbiera mi niezawodnie zdolność logicznego rozumowania. Ale może pan być pewien, że niczyja rada nie zdoła życzeń moich doprowadzić tam, gdzie one mogłyby zaszkodzić dobru powszechnemu“. Słowa takie pisane w zaufaniu są u Lincolna najczystszą prawdą: jego kontrola i analiza własnej osoby jest tak wielka, jak jego sumienność względem przyjaciół i względem partii, a ponieważ może się on ostać przed zwierciadłem bożym, przeto nie obawia się własnego i w sekrecie przyznaje się do życzeń i pragnień ludzkich, jakie innym przebacza. „Ponieważ wiem, jak człowiek nie bardzo wielki łatwo traci głowę, gdy bywa wymieniany jako kandydat na wysokie stanowisko“... — przeto umysł jego czuwa specjalnie w ciągu tygodni tych wy-czekiwań i pragnień.

Lecz właśnie w tym czasie nie należy wyobrażać sobie Lincolna jako człowieka biernego, przeciwnie, jest on czynniejszy, niż był kiedykolwiek, pisuje do przyjaciół partyjnych, gdzie i jak należy walczyć, gdyż zadaniem jego „było znaleźć się na właściwym stanowisku, aby wydarzenia zastać go tam mogły“, jak się wyraził jeden z jego przyjaciół. Także prasę potrafi sobie zjednywać. „Kochany Hardingu — pisał już przed paru laty do jednego z redaktorów — gazetę pańską czytywałem od trzech czy czterech lat i nigdy za to nie płaciłem. Załączam dziesięć dolarów... Wsadź je pan do kieszeni bez niepotrzebnego gadania. A teraz powiem, że cieszyłbym się, gdyby pan w tym tygodniu w piśmie swoim wymienił Loghana jako kandydata Sądu Najwyższego“. Na krótko przedtem kupił on także niemiecką gazetę w Illinois za 400 dolarów — w sekrecie, tak że nawet Herndon nic o tym nie wiedział — i ta gazeta

popierała go obecnie. W ogóle pamiętał Lincoln o głosach imigrantów; należy wystrzegać się głosów Irlandczyków i obcych, którymi demokraci posługują się jedynie podczas wyborów, a którzy wyprowadzają się później. „Czy nie można by wśród nich mieć przebranego detektywa, który w czasie odpowiednim kontrolowałby ich głosy? Byłoby po prostu śmieszne, gdybyśmy nie spróbowali wybiegu, który tyle razy stosowano względem nas“.

Takim przebiegłym umiał być Abraham Lincoln, lecz jeśli niektórzy nazywali go wtedy lisem, to nie mieli najmniejszej racji, gdyż takie postępowanie nie było dlań czymś typowym, lecz wyjątkowym, a wybiegi przeciwników wychowały go zbyt twardo, aby przy sposobności nie miał ich naśladować. Prócz tego w ciągu dziesiątków lat walczył dla innych i za mało był faryzeuszem, a za bardzo chłopem, aby nie użyć przygodnie własnego rozumu także we własnej sprawie, tym bardziej że sprawa ta była zarazem sprawą całego kraju.

## XVIII

Ale nagle spostrzegł Lincoln, że od strony wewnętrznej zwalczany jest gwałtowniej niż od zewnątrz. Postępa republikanów wzrastała tak szybko, a ich program był przy tym taki zręczny, ostrożny i wielostronny, że ktokolwiek zostałby przez nich wystawiony jako kandydat na prezydenta, mógł być pewny, że wybrany zostanie. I właśnie dlatego nie chciano wystawiać jego kandydatury. Współzawodnicy jego byli pod każdym względem mocniejsi od niego. Herndon pisał wtedy: „Nie miał pieniędzy, aby założyć sobie biuro polityczne, brakło mu też zupełnie talentu organizacyjnego. Wszy-

atko to posiadał natomiast jego konkurent Seward, który prócz tego miał za sobą wspaniałą karierę senatorską“. Istotnie, każdy umiejący myśleć spokojnie musiał dać pierwszeństwo Chase'owi, gubernatorowi Ohio, Sewardowi, gubernatorowi Nowego Jorku. Bojownikami przeciwko niewolnictwu byli tak dawno i tak zdecydowanymi jak Lincoln, a Chase był nawet radykalniejszy; prócz tego obaj ci konkurenci Lincolna mieszkali w Waszyngtonie i byli na urzędach administracyjnych. Seward osobiwie przewyższał małomiasteczkowego Lincolna wysokim wykształceniem i doświadczeniem politycznym, podczas gdy ten zaledwie raz jeden, i to przed dwunastu laty, zasiadał w izbie niższej i niczym się nie wyróżnił. I gdyby Grilly, potentat prasowy Wschodu, nie był akurat wrogiem Sewarda, to ambicji tego polityka byłoby niewątpliwie przypadło najwyższe stanowisko w państwie.

Przypadek działał, że augurowie stanu Illinois odbywali konferencję wstępną w Dekaturze, w mieście, do której Lincoln przybył na wozie zaprzężonym w woły. Tutaj chciano się naradzić po cichu, zanim dojdzie do wielkiego zgromadzenia, i jeśli będzie można, uzgodnić działania. Przy stole w gospodzie radziło się tak i owak, a łowcy stanowisk, których Lincoln wydrwił, badali twarze kandydatów, aby wiedzieć, co się z nimi da zrobić. Lecz cóż to za pochód zbliża się raptem ku gospodzie, z muzyką na czele i z dziwaczną chorągwią przyczepioną do dwóch starych kołów od płota? Wszyscy wychodzą przed drzwi, oczywiście Lincoln też. Patrzy, jakby w południowym słońcu widział ducha uzbrojonego w jakąś upiorną broń.

Przecież to krewniak John Hanks, który tutaj w sąsiedztwie pomagał mu przed jakimś trzydziestu laty budować dom dla ojca! Czegóż to on chce? Z komicz-



nym ukłonem staje przed zebranymi politykami, przed tłumem współobywateli i zaczyna wygłaszać mowę. Tu oto jest kuzyn jego, uczciwy Abraham, który razem z nim budował tu jeden z pierwszych domów, gdy przez ten las nie prowadziła jeszcze ani jedna droga, albowiem ojciec jego był wielkim pionierem, który walczył dla ojczyzny, gdy jeszcze było dużo wilków! A potem olbrzym Abraham poszedł do roboty jako wyrobnik i wyciosał ze trzy tysiące kołów do płotu, swą potężną siekierą ścinając i rozszczepiając drzewa lasu dziewiczego. A te oto dwa koły są świadkami jego czynów!

Z ogniem w oczach spogląda tłum na te oba koły, każdy rozumie symbol pioniera. I oto człowiek, który powalił tysiąc drzew, staje się nagle czymś więcej niż ten, który mowami swymi pobił Douglasa. Ale uczucia Abrahama są pomieszane: jego stary ojciec, który nigdy nie należał do ludzi najdzielniejszych, ma się oto w sposób zgoła osobliwy stać sławny, a ten, który siekiery używał jedynie na to, aby zarobić na swoje utrzymanie pół dolara dziennie i móc sprawić sobie kapotę, ma oto po dziesiątkach lat otrzymać za to taką nagrodę? Śmieje się Lincoln z tego, czy przynajmniej się uśmiecha? Czy zrozumiał znaczenie tych kołów dla dnia jutrzejszego i czy wie, że znaczą one więcej niż wspomnienie dnia wczorajszego? „Na to muszę chyba coś odpowiedzieć — odzywa się wreszcie. — Oczywiście, nie mogę powiedzieć, że akurat te koły przyciosałem, ale nie ulega wątpliwości, że naciosałem takich kołów całą masę i że były one równie dobre, a może i lepsze“.

Entuzjazm potęguje się, a pewien mądry świadek wyraża się przy tej sposobności:

„Teraz Seward przepadł!“ Został odkryty nowy symbol, najpopularniejszy symbol bojownika: drwał rozszczepiający pniaki! Nazwa ta jest lepsza od „uczciwego Abrahama“, obiega ona cały kraj i po paru tygodniach przydomek ten będzie znany każdemu dziecku. Był to pomysł Johna Hanksa, a przeto jest on jedynym krewniakiem, któremu Lincoln miał coś do zawdzięczenia.

A gdy w maju kongres partyjny obradował w swoim nowym „wigwamie“ w Chicago, gdy w młodym, rozbudowującym się mieście szukało miejsca 40 000 obcych, a wszędzie grała muzyka i przemawiali niezliczeni agitatorzy, gdy młoda partia po raz pierwszy spostrzegła, że jest stronnictwem w wielkim stylu, i ze zdwojonym zapałem zabrała się do szukania kandydata na prezydenta, wszyscy byli przekonani, że będzie nim Seward. Dla niego z samego Nowego Jorku zjechało tu 2 000 ludzi, wśród których nie brakło dość ciemnych agentów. Sewarda znały wszystkie stany. Na korzyść Lincolną pracowali jego przyjaciele, Herndon i Loghan, Davis i Swett, sędziowie i adwokaci sądów wędrownych, gazeta „Chicago Tribune“, a wreszcie i ta korzystna okoliczność, że wielu miało własnych swoich kandydatów i ci właśnie godzili się raczej na nowicjusza niż na Sewarda. Udało się im także ustrzec Lincolną przed wiceprezydenturą, od której ten natychmiast się uchylił. Lecz jeszcze ostatniego dnia pogorszył swoją sytuację przez nałogową rzetelność, pisząc do przyjaciół kartkę tej treści: „Nie róbcie żadnych układów, które by mnie wiązały!“ W taki sposób utrudniał przyjaciołom zwykle obietnice rozdawania miejsc, za pomocą których kupowało się głosy.

Tymczasem Lincoln siedział w domu w Springfield wzburzony nie mniej od Carmen, siedzącej przed mu-

rami cyrku, wsłuchiwał się w zgiewk, w okrzyki tłumu, odczytywał depesze przyjaciół, które sam odbierał na poczcie. Próbował zająć się czymkolwiek, czytaniem, pogawędką z Burnsem, grał nawet w piłkę, aby uspokoić wzburzone nerwy, miotające się między nadzieją a wątpliwościami, i wreszcie rzucił się w biurze na swą starą sofę. „Sądzę, że teraz znowu zacznę pracować jako obrońca“, i ostatecznie był zdumiony, gdy chłopiec, biegnący z urzędu telegraficznego, wpadł do sklepu, w którym Lincoln siedział, i zawołał: „Panie Lincoln, jest pan mianowany jako kandydat!“ Gromadki ludzi, wołania i okrzyki. On zaś stoi milczący parę minut wśród tłumu i odzywa się raptem: „Tak, a teraz muszę pójść do domu, o tam, za rogiem. Jest tam moja żoneczka, której trzeba o tym powiedzieć“.

Być może, iż ten jego powrót do domu był najszcześniejszą chwilą w ich współżyciu.

Dnia następnego oboje przyjmują małą deputację, on odpowiada na przemówienie kilku poważnymi słowami bez zdenerwowania i zakłopotania. Później sławiono taktowną postawę Mary, a na odchodnym mówił jeden do drugiego o Lincolnie: „To ma być nieszlifowany diament? Rzadko zdarzało mi się słyszeć przemówienie bardziej wytworne“. Drugi rzekł: „Może bylibyśmy mogli znaleźć kogoś wspanialszego, ale z pewnością nikogo lepszego“. Gdy zaś wieczorem przed bramą jego ogrodu zebrał się tłum, Lincoln załatwia się z nim szybko, mówiąc: „Kochani współobywatele! Dla każdego polityka nastaje chwila, w której najlepiej trzymać język za zębami. Zdaje mi się, że taka chwila dla mnie właśnie nadeszła“.

Ale gdy napisał list urzędowy, że kandydaturę przyjmuje, nawiedzają go nagle wątpliwości, czy wiedza jego nie ma zbyt wielkich luk, a chociaż w ciągu 22 lat swej

praktyki adwokackiej spisał tysiące aktów i przesyłał je do urzędów, cóż robi dzisiaj? Z listem swoim idzie do wyższego radcy szkolnego i powiada: „Panie bakałarzu — tak nazywał go zawsze — tu oto jest list. Ponieważ w gramatyce nie jestem zbyt krzepki, proszę pana, aby go pan przeczytał. Chciałbym, aby w tym liście nie było błędów“. Radca czyta i proponuje drobną zmianę, przestawienie słów: zamiast — zamiarem moim będzie nie używać siły — ma być: nie jest moim zamiarem używanie siły. Autor odczytuje to, a po pewnym namyśle powiada: „Tak. Więc pan uważa, że lepiej będzie nie mieć zamiaru“ — i przystosowuje się do rady nauczyciela.

Czy widziano kiedyś króla albo prezydenta w sytuacji sympatyczniejszej? Nie jest tu tak jak w bajce, gdy oracza od pługą prowadzą na tron, aby panował, chodzi tu o człowieka, który przekroczył pięćdziesiątkę, osiwił w praktyce sądowniczej, w polityce i w różnych innych sprawach, a który po wielu mowach do narodu, po długoletniej walce zostaje narodowi przedstawiony jako kandydat na prezydenta. Sam o sobie wie, że jest zdatny, ale istnieje mnóstwo takich drobnych rzeczy, na których tak doskonale znają się królowie i Douglassowie, mianowicie gładko odprasowane surduty nowojorczyków, spodnie panów w Waszyngtonie, które nigdy nie bywają przykrótkie, albo takie oto sprawy gramatyczne, które muszą tkwić w odpowiednim miejscu jak dobrze zawiązany krawat i muszą błyszczeć jak cylinder. Byłoby przecież rzeczą fatalną, gdyby się tutaj zrobiło błąd! Mary zna się na trzewikach i krawatach, umie też po francusku, ale z listem lepiej pójść do nauczyciela, który tego chyba nikomu nie powie, a jeśli powie, to też się nic wielkiego nie stanie.



Idzie tedy jutrzejszy pan prezydent do starego nauczyciela i zasięga rady w sprawach, których nie uczył się w Indianie, bo tam musiał ścinać drzewa.

## XIX

Poetą był pierwszy z tych, którzy zrozumieli, co tu się dzieje. Bryan pisał: „Biedny flisak! Tak wyglądają prawdziwi wodzowie narodu!“ Ale Lincoln był osamotniony, gdyż w partii jego panowało przygnębienie. „Miałem chwilę ostrego bólu fizycznego — pisze jeden z tych republikanów. — Co za kandydat! Czy taki może poprowadzić partię ku zwycięstwu? Czemuż nie wybrano człowieka sławnego?“ Na Wschodzie uważano, że Seward został poświęcony Lincolnowi, aczkolwiek był on głównym przywódcą młodej partii. Przeciwnictwa i chłód ujawniły się z taką siłą, iż doradzano Sewardowi, aby się bronił i aby wbrew uchwale partyjnej sam wystawił swoją kandydaturę. Seward zachował się jednak jak dżentelmen, powinszował swemu przeciwnikowi, a gdy w Nowym Jorku nie znalazł się nikt, kto by o nim napisał, sam wystąpił z artykułem wprawdzie chłodnym, ale pochwalnym dla Lincolnna.

To, co jednocześnie pisali demokraci, było niespodzianką pomimo napięcia w atmosferze walki. Wywodzono na przykład, że ten jakiś Lincoln przed dwunastu laty na Kongresie przemycił rachunek za buty między koszty papieru. Pisano, że jest to zero, któremu obca jest nawet gramatyka, że nie umie porządnie po angielsku, opowiada niestosowne dowcipy, nie mógłby się pochłubić rodowodem, rozsiada się na krześle bez marynarki, umie robić tylko płoty, a wygląda jak afrykański goryl.

Skutki nominacji zapowiadały się groźnie. Od roku i sześciu tygodni Południe odgrażało się wciąż, że zerwie Unię, gdyby czarny republikanin miał się stać prezydentem. Teraz zaś, po wysunięciu kandydatury Lincoln, która sprowokowała Południe bardziej, niż byłaby to uczyniła kandydatura Sewarda, zagadnienie niewolnictwa przycichło nagle i cały naród pytał: Czy Unia wytrzyma taki wybór? Było tak, jak gdyby człowiek na rozdrożu swej kariery długo walczył z sobą, czy ruszyć na prawo czy na lewo, i raptem powalony ciężką chorobą musiałby sobie zadawać pytanie, czy się utrzyma przy życiu.

Potężniej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich lat osiemdziesięciu bucha płomień nienawiści w stronę Północy, bo nienawiść była tylko na Południu, a głębsze powody tej nienawiści odgadnąć nie trudno, gdy się zważy, jakie to moralne stanowisko względem niewolnictwa zajmowała Północ. Kto na takim punkcie czuje się słaby i wzgardzony, ten zawsze walczyć będzie raczej namiętnością niż argumentami. „Wolne społeczeństwo? — pisała jedna z gazet. — Obrzydzenie ogarnia nas na samą myśl o nim! Jest to przecież zbieranina zatłuszczonych mechaników, brudnych wyrobników, skąpych chłopów i lunatycznych teoretyków! Na całe Północy nie ma społeczeństwa, które byłoby odpowiednim towarzystwem dla dobrze wychowanego dżentelmena. Ludzie, jakich się tam spotyka, osobliwie w Nowej Anglii, to przeważnie inżynierowie, którzy pragną wyglądać możliwie elegancko, oraz drobni rolnicy, nie nadający się na towarzystwo nawet dla kamerdynerów pana z Południa“.

Przy takim podszczuwaniu zgłaszają się pierwsi oficerowie, aby ostrzegać publicznie, że jeśli człowiek ten zostanie wybrany, to oficerowie niektórych fortów po-

granicznych wycofają się na Południe. Kupcy z Północy są przerażeni, handel zamiera, dłużnicy z Południa nie zechcą płacić, giełda jest chwiejna, pieniędzy coraz to mniej, obawy świata kupieckiego i przemysłowego graniczą z rozpaczą. Wszędzie odbywają się mitingi i mówi się na nich o Unii oraz o koniecznych kompromisach. W Bostonie rozwścieczony tłum rozpędza zgromadzenie przeciwników niewolnictwa. Ale rychło przychodzi spostrzeżenie, że te wybory są dla Południa jedynie wyczekiwaną i od dawna pożądaną okazją do zaostrenia sytuacji, że nie chce ono żadnych kompromisów, ponieważ w ogóle nie chce utrzymania Unii. Południe pragnie stworzyć własny związek stanów.

Najbardziej przeraża się Lincoln. W swoim zaścianku otrzymuje od pewnego majora pierwsze sekretne wiadomości o przygotowaniach do wojny. Zastanawia się: czy w tej chwili jest czymś więcej niż którykolwiek ze współobywateli, skoro jutro może zostać przegłosowany i zapomniany? Ów major jest urzędnikiem państwowym, a chociaż wiadomości podobne są dla Lincolna ogromnie cenne, pisze do niego jednak, aby mu dostarczył nowych wiadomości tylko o tyle, „o ile to się nie sprzeciwia pańskiemu urzędowi i nie jest przeciwko honorowi, co pan sam najlepiej oceni“.

Co też Lincoln w ogóle myśleć może o podkupności i głupocie ludzkiej? Co sądzi na przykład o ludziach, o których dowiaduje się, że gdy wybór jego był zapewniony, wielu z tych, co chcieli głosować inaczej, pośpieszyło zmienić zdanie, aby się przypodobać człowiekowi, który będzie mógł rozdawać stanowiska? Albo jak przyjmuje dziennikarzy, przychodzących po wywiad i opisujących jego dom, rodzinę, przyzwyczajenia, aby krajowi pokazać, że nie jest on przecież jakimś włóczęgą? Jakie też uczucia powstają w sercu tego ironisty,

gdy teraz bywa wychwalany niby za jakąś zasługę za to, że co dzień chadza w czarnym sukienym surducie, że jest niemal elegantem, że żona jego mówi po francusku, a syn studiuje na uniwersytecie?

Wobec farmerów jest on jednocześnie zachwalany jako człowiek od kołów z płota. Republikanie noszą medale ze skrzyżowanymi kołami, dla reklamy są one malowane na fajkach, o Lincolnie-flisaku krążą piosenki, wszyscy mówią o drwalu i patriarsze i nawet powstaje spór o prawdziwe koły, ozdobione wieńcami i oświetlone w głównej kwaterze partii, a jeden z klubów chwali się, że posiada prawdziwą siekiereę Lincolna. Jakiś stary człowiek z rodzinnych stron Lincolna posyła mu kół z płota jako łaskę; kół ten miał zostać ociosany przez sławionego mówcę, gdy liczył on dopiero szesnaście lat. Do walki wyborczej stają młodzieńcy w czarnym uniformie z odznakami i pochodniami. Chłopiec roznoszący gazety, który sprzedawał obraz Lincolna, nazywał się Tomasz Edison.

Natomiast demokraci rozdwarzają się, bo teraz spełnia się to, co Lincoln już przed dwoma laty dostrzegł okiem męża stanu. Dwulicowość Douglasa, do której stwierdzenia zmusiło go fatalne pytanie Lincolna, rozbiła partię, a tym samym zniweczyła jego własne poglądy. Lincoln można było całkiem słusznie, i dla głębszych powodów, nazwać nie tylko rozszczepiaczem pni, lecz i rozszczepiaczem partii. Teraz odwzajemnia się Południe Douglasowi, pozostaje względem niego nieprzejednane i nie chce słyszeć jego pochlebczego głosu, który zachwala niewolnictwo i aneksję, bo wbrew obyczajowi wszędzie przemawia sam. Niebawem Lincolnowi przeciwstawia się trzech kandydatów, a wszyscy oni bardziej zwalczają się wzajemnie niż wszyscy razem Lincoln. Takie rozszczenie umożliwił Douglas,



a Lincoln wymusił je niejako, można tedy rzec, że szanse tych wyborów sam dokładnie obliczył i rozstrzygnął osobiście.

W owym okresie walki wyborczej musiał Lincoln zmienić do pewnego stopnia swoje postępowanie, ale w gruncie rzeczy pozostał tym, kim był zawsze. Nawet przez myśl mu nie przeszło, aby posyłać kogoś na pocztę po listy; sam je odbierał i wtedy każdy mógł do niego podejść i wdać się z nim w rozmowę, a nawet zajść do niego do domu, gdzie nie było odzwiernego i gdzie drzwi jego pokoju były przez cały dzień otwarte, aczkolwiek już wówczas grożono mu zamachami. Tyle tylko, że przyjął do pomocy nowego sekretarza, Nicolai, Niemca z pochodzenia, poważnego, pracowitego, dyskretnego; był to student, który właśnie praktykował u Lincolna. Później przyjęty został jeszcze muzykalny i pełen jędrnego humoru Hay. Obaj oni byli najbardziej powołani do napisania pierwszego źródłowego życiorysu swego przełożonego.

Ci wszyscy, którzy teraz gromadnie przybywali do Springfield po wiadomości czy też z radami albo w poszukiwaniu posad, byli przyjmowani uprzejmie i za rady im dziękowano, ale żaden z nich nie otrzymywał jakichś określonych przyrzeczeń. „Widzę, że pan nie zna moich przemówień, służę egzemplarzem“ — mawiał Lincoln i setkami egzemplarzy rozdarowywał „Debaty“, aby się pozbyć różnych petentów. Innym wykręcał się tym, że opowiadał wesołe historyjki. Gdy widział, że publicznie został źle rozumiany lub że go szkalowano, to błędy takie prostował tylko drogą prywatną, aby przeciwnikom nie dawać sposobności do nowych polemik, gdyż teraz uważał za wysoce wskazane „trzymać język za zębami“. Gdy rad napływało coraz więcej, Lincoln odpowiadał na nie schematycznie przez swoich

sekretarzy: „Pan Lincoln otrzymał dużo listów o charakterze podobnym, ale zarazem otrzymał niemało i takich, które twierdzą coś zgoła przeciwnego. Niejeden zaklina go, aby broń Boże nie wypowiadał się o zasadach politycznych, bo poglądy jego są znane, więc niechaj nie zakłóca spokoju wyborów takimi czy innymi słowy. Pan rozumie, że nie jest on w stanie odpowiadać wszystkim“. W zdaniu podobnym nie ma nic takiego, co mogłoby nieznanego adresata urazić głębszym rozumieniem odpowiadającego; dowiaduje się on, że inni myślą podobnie jak on, i oto cel zostaje osiągnięty w formie najbardziej uprzejmej.

Gdy wszakże razu pewnego przybywa do niego jakiś impertynent i sadowi się bez ceremonii na krześle gospodarza, podczas gdy ten stoi na uboczu, Lincoln odzywa się do niego spokojnie, podaje mu rękę z takiego oddalenia, że gość musi wstać, i wtedy siada na swoim krześle, które zajął nieproszony intruz. Tak postępuje człowiek, który otarł się o ludzi, przerósł ich, ale ich nie zapomniał. Nie dopuszcza do jakichś gniewów, które mogłyby wywołać karcące słowa, nie ma tu także fałszywego bratania się jowialnym zagadywaniem, lecz jest prosty podstęp zapaśnika, który przeciwnika swego wyciąga z korzystnej dla niego pozycji. Takiej szybkiej orientacji mógłby mu pozazdrościć każdy dyplomata.

Przy tym jest on zupełnie swobodny i nieskrępowany; gdy Karol Schurz ma za nim przemawiać w Springfield, Lincoln udaje się z nim na plac publiczny, a że sierpniowy dzień był gorący, więc marynarkę i kamizelkę zostawił w domu i narzucił na ramiona płaszcz od kurzu, „na którym nie brakło śladów dżdżystych dni, a z tyłu odznaczały się zarysy dwóch półkul“. W takim pomiętym płaszczu i znoszonym cylindrze pa-

raduje on z mówcą po mieście wśród grających trębaczy i milicjantów, a gdy w witającym go tłumie spostrzeżę znajomych, to woła: — Jak się masz, Ben! Co porabiasz, Dick? Dzień dobry, Bill! — Tak naśladuje Koriolana, zamiast grać jego rolę poważnie, a wszyscy śmieją się przy okrzykach: „Niech żyje stary Abraham!“

Wśród rad, jakie otrzymywał masami w ciągu ostatnich miesięcy, znalazła się też dziwaczna rada młodej dziewczyny, która pisała do niego, aby zapuścił brodę. W liście tym było niezawodnie coś o córkach, bo Lincoln odpowiedział: „Droga pani, jej bardzo miły list otrzymałem. Niestety, muszę stwierdzić, że córek nie mam. Mam tylko trzech synów w wieku 17, 9 i 7 lat, razem z matką swoją tworzą oni całą moją rodzinę. Co do zapuszczenia brody, to nigdy jej nie nosiłem. Czy nie sądzi pani, że gdybym teraz zaczął nosić brodę, to ludzie uważaliby, że jestem śmieszny? Pozostaję dobrym przyjacielem pani i życzę jej szczerze wszystkiego dobrego. A. L.“

Czy list ten poruszył sprawę nową, czy też może był głosem w dyskusji między Lincolnem a jego żoną, tego nie wiemy, ale faktem jest, że Lincoln mógł decydować o takich sprawach tylko w zgodzie z żoną i że ostatecznie zgodził się, niestety, zapuścić brodę. W ciągu następnych tygodni poczciwi współobywatele jego w Springfield widzieli, jak na podbródku i szczękach Lincolna rośnie broda i jak niebawem otacza ona całą twarz, tak jak się to widuje na obrazach przedstawiających starych rybaków. Wygolona i koścista twarz Lincolna wywierała wrażenie głębokie dzięki swej kościistości i swoim zmarszczkom, podczas gdy zarost czynił ją ustępliwą i łagodną: z ust znikał upór, z ostrego podbródka — niezłomność, a śmiała szyja z wystającą

grdyką była na poły zakryta. Tak więc zdarzyło się, że wysoce oryginalna głowa Lincolna została potomności przekazana na miękkim tle zarostu, jaką ją widzimy na markach pocztowych.

Wreszcie nadszedł listopadowy dzień wyborów. Według wszelkich oznak nie można było wątpić, że zostanie on wybrany, ambicja jego miała więc na widoku tylko to, aby w swoim własnym mieście i w swoim stanie otrzymał możliwie jak największą ilość głosów. Jak przed 25 laty w Nowym Salemie, tak i teraz w Springfield na cześć Lincolna demonstrowali nawet demokraci, chociaż i tym razem nie wolno im było oddawać głosów na niego. Lincolnowi chodziło wyłącznie o najbliższy krąg współobywateli i to też w szkicu swego życiorysu podkreślał: tutaj, wśród tych, którzy znali jego gruntowną rzetelność i cenili ją, było źródło jego zadośćuczynienia i nic nie dotknęło go w owych dniach równie boleśnie, jak jednomyślna wrogość duchownych jego miasta.

Poza jego stanem głosowanie dało mu 1 900 000 głosów prawyborców przeciw 1 400 000 głosom, które otrzymał Douglas. Jego kontrkandydaci mieli razem o milion głosów więcej, tak że faktycznie wybrany został mniejszością głosów Północy. W dziesięciu stanach nie otrzymał ani jednego głosu z kół prawyborców. Przy głosowaniu otrzymał Lincoln 180 głosów z 303, a z 15 stanów ani jednego głosu. Po raz pierwszy od czasu istnienia Unii Północ przegłosowała Południe swoją przewagą liczebną: był w tym symbol, groźba i przepowiednia rozstrzygnięć, gdyby doszło do wojny domowej.

Czy do niej dojdzie? — pytał się w duchu ów poważny milczek, we dnie i w nocy nie znajdując spokoju i nie umiejąc zdobyć się na tę pogodę ducha, która go zawsze w życiu krzepiała. Nie zdobył się na nią zapew-



ne nawet wówczas, gdy przed jego domem przeciągał piętnastokilometrowy pochód z muzyką, okrzykami, wybuchami radości. Ileż tysięcy ludzi zebrało się wokół niego, aby mu złożyć hołd czci! Czy wygrał wielką bitwę? Czy uratował ojczyznę albo ją zjednoczył? Dokądże wiodło go przeznaczenie, w którego wytknięte drogi wierzył? Jakie walki oczekiwały go w dalekiej chłodnej i obcej stolicy, która lubiła Południe? Czy zdolności jego, których bogactwo i granice znał tak dobrze, jakby one należały do kogoś innego, będą dość duże, aby się można było przeciwstawić owej atmosferze wytworzonej przez Douglasów, atmosferze wyczerpującej najmocniejsze serca? I co będzie, jeśli Południe przyczepi się do jego imienia zamiast do partii, jeśli może sama Północ pragnęła raczej człowieka kompromisu i jeśli dadzą mu do zrozumienia, aby zrezygnował? Czy wobec samego siebie mógł jeszcze podtrzymywać pretensje, na które zgodziła się większość narodu, ale które dla mniejszości były czymś tak nieznośnym, że gotowa ona była zniweczyć wielkie dzieło ojców, aby do nich nie dopuścić?

Przez chmury milczących myśli przebijały się okrzyki, fanfary trąb i pieśni tysięcy osób, on zaś stał na drewnianym balkonie ze swoją Mary, która niestrudzenie odpowiadała na powitania, uśmiechając się i kiwając głową. Ona przynajmniej była szczęśliwa. Dzieci tuliły się do niej, a tłumy ludzkie na ulicy, które bezmyślnie hołdują każdemu wybrańcowi, wydawały się dziećmi samym sobie. Tylko Abraham Lincoln przytłoczony był ciężkimi myślami, gdy sobie przypomniał, że on, który jako chłopiec w ubogiej chacie farmerskiej przy blaskach ognia płonącego na kominie gorejącymi oczami odczytywał życiorys Waszyngtona z postrzępionej książki, sam oto stał się piętnastym jego następcą.

## XX

A jednak jeszcze nim nie był! Cztery miesiące dzieliły go od chwili, w której miał objąć urządowanie. Czas ten był może najcięższy w jego życiu. W czasach spokojnych mógł wybraniec korzystać z owych dziesięciu miesięcy, jakie oddzielały nominację na kandydata od objęcia urządowania, aby się zapoznać ze sprawami i ludźmi i wytyczyć sobie linię własnego postępowania. Jest to czas podobny do narzeczeństwa, a prezydentura przypomina narzeczoną, której przyszły mążzonek przygląda się uważnie, stara się ją poznać i aż do chwili ślubu rozmyśla nad tym, jak trzeba będzie z nią postępować, jak się do niej odzywać czy też wychowywać ją dla siebie. Są to tygodnie pełne pogody, podczas których narzeczeni przyrzekają sobie wszystko, nie doświadczając udręk dnia powszedniego, i mogą się oddawać najłudniejszemu nadziejom, chociaż narieczona jest wielokrotną wdową posiadającą bogate doświadczenie. Usposabia ją to bardziej sceptycznie niż jej dziewiczego wybrańca, który może jeszcze wierzyć w doskonałe szczęście.

Takiego okresu narzeczeństwa Lincoln nie zaznał. Zamiast dźwięków muzyki weselnej słyszał z dala granie bojowych surm, groźne przepowiednie zmieniały się w złą rzeczywistość i w świecie myśli prezydenta rozlegał się raz za razem głuchy huk i trzask. Nazajutrz po wyborach gazety charlestońskie podały depesze z Północy w rubryce: „Wiadomości zagraniczne“, gubernator Karoliny Południowej w orędziu publicznym doradzał zakupić broń i amunicję, a zarazem pismem sekretnym porozumiewał się w tym względzie z innymi gubernatorami Południa, którzy już od wielu lat byli zdecydowani wyłamać się spod władzy prezydenta-re-

publikanina. W cztery dni po wyborach senatorowie tego stanu opuścili Waszyngton, a w tydzień później w Południowej Karolinie ukazały się pierwsze gazety nadzwyczajne, zwiastujące ogromnymi literami: „Unia rozwiązana!“ Proklamowano wolny, suwerenny i niepodległy stan na ulicy, w pięć tygodni później oficjalnym wystąpieniem z Unii.

Jednocześnie Północ domagała się kompromisu, żądano rezygnacji z pewnych punktów programu. Wywodzono, że nie stany południowe zawiniły, lecz że winien jest upór radykałów, a przede wszystkim nowy człowiek. Lincoln otrzymywał mnóstwo listów obelżywych, w których odnoszono się do niego jak do Murzyna, Mulata, błazna, i grożących mu obiciem, spaleniem, zastrzeleniem i powieszeniem. On zaś nie spoglądał ani na Południe, ani na Północ, lecz ku Waszyngtonowi.

Tak więc wszystko zależało od prezydenta. Jeśli dochowa on wierności swej przysiędze i stanie w obronie Unii przeciwko wszelkim próbom zdrady, jeśli prawa Unii ujmie mocnymi dłońmi i zagrozi siłą każdemu stanowi, który chciałby Unię zerwać, to wystąpienie Południowej Karoliny nie będzie miało żadnych następstw, bo armia i marynarka, poczta i cła są i pozostaną wspólnotą Unii.

Buchanan był to stateczny, starszy pan o siwej głowie, o ukośnie spoglądających oczach. Białą chusteczką pod szyją upodabniał się do duchownych; w istocie był to człowiek zimny i uparty, ostrożny, lecz i chwiejny zarazem. Nazywając go starym praktykiem wyświadczano mu za wiele honoru, bo jego zręczności brakło oparcia, jego przebiegłość była trwożliwa. Zresztą było rzeczą całkiem zrozumiałą, że starszy pan bezpośrednio przed końcem swej władzy nie myślał ryzy-

kować imienia, nerwów, a może nawet życia. Niechże się kłopotcze o wszystko długonogi adwokat z Illinois! Aczkolwiek wybrany głosami Południa, był Buchanan bądź co bądź głową całego państwa, rządził zgoła symbolicznie niejako pośrodku, dążył jedynie do odwleczenia kryzysu na jakieś dwanaście tygodni, gdy będzie u siebie w bezpiecznym domu i gdy będzie mógł przyglądać się wydarzeniom jako nie ponoszący odpowiedzialności świadek. Dlatego też wyraził się w Kongresie, że żaden stan nie ma prawa odrywać się od Unii, ale jeśli się oderwie, to Unia nie posiada takiej siły, aby mogła zatrzymać go przy sobie przemocą. Tym zachęcił Południe do secesji i utrwalił w Europie mniemanie, że Unia należy do przeszłości.

W istocie pozwolił się prowadzić swemu gabinetowi, w którym większość była za utrzymaniem Unii, ale na stanowiskach decydujących znajdowali się zwolennicy Południa. Dwaj członkowie gabinetu zachowywali się lojalnie: generał Cass, ten sam, którego Lincoln w swojej mowie kongresowej tak bardzo ośmieszył, ustąpił, aby nie być zdrajcą państwa, i Stanton, drugi urzędnik prokuratury generalnej, który pewnego dnia udał się do prezydenta i rzekł: „Jako prawny doradca pański mam obowiązek powiedzieć panu, że nie ma pan żadnego prawa zrzekać się tego, co jest własnością państwa, i przeciwnikom przekazywać żołnierzy i okręty. Kierunek, jaki doradza panu minister spraw wewnętrznych, jest zdradą i wciągnie do zdrady zarówno pana, jak i wszystkich, którzy z panem współdziałają!“ Po czym ustąpił ze swego urzędu.

Natomiast Black, przełożony Stantona i najwyższy urzędnik sądowy kraju, oświadczył, że ani Kongres, ani prezydent nie mogą zbrojnie występować przeciw któremukolwiek stanowi. Jednocześnie minister wojny



przesunął znaczne części armii na Południe, kazał zabrać broń i amunicję z fortów północnych i tylko w Pittsburgu opór obywateli przeszkodził w zabraniu dział. Zarazem podsekretarz stanu w ministerstwie skarbu przekazał wszystkie rozporządzalne pieniądze Południa, a gdy skarb opustoszał, szybko podał się do dymisji. Minister spraw wewnętrznych doradzał w tym czasie, aby forty Charleston-Habour oddane zostały Południowi, a major, który się temu opierał, miał zostać odwołany. Minister ten wyraził się do pewnego senatora z Karoliny Północnej:

„Jestem wyznaczony do rokowań, aby pański stan nakłonić do oderwania się“.

„Nie wiedziałem wcale — odpowiedział senator — że pan ustąpił z urzędu“.

„Nie ustąpiłem i nie ustąpię. Buchanan chce, abyśmy urzędy swoje przekazali dopiero 4 marca“.

„A czy Buchanan wie, co zamierzacie zrobić z Północną Karoliną?“

„Naturalnie“.

„Jeszcze nigdy nie słyszałem — rzekł potem stropiony senator — aby przedstawiciel władzy wysyłał członka swego gabinetu dla zorganizowania rewolucji mającej zniweczyć jego władzę“.

Podczas gdy w Kongresie i w rządzie wszyscy konspirowali, senatorowie z Południa kazali jeszcze nąprędce wypłacić sobie diety z kasy państwowej, której bankructwo przewidywali. Zasiadali w komisjach pojednania i pokoju, wysłuchiwali projektów Sewarda, mających na celu kompromis, śmieli się z Corwina, sędziwego bojownika, który gasnącym swoim głosem z trybuny senatorskiej jeszcze raz przestrzegał cały kraj, bawili się, gdy galeria klaskała, zastanawiali, czy należy Waszyngton zrobić stolicą planowanej nowej

konfederacji, a wieczorem w klubie prześcigali się wzajemnie w wydrwiwaniu śmiesznie odzianego kniejowca, który wyobraża sobie zapewne, że jest prezydentem.

On zaś siedział w swoim domku w Springfield z dala od rozstrzygnięć, za które miał być niebawem odpowiedzialny. Przysłuchiwał się, rozmyślał, badał bezustannie myśli i sumienie. Gdy z rana czytał gazetę albo wieczorem udawał się do którejś z redakcji, aby przeczytać najnowsze depesze, o czym to się dowiadywał? Każdy dzień strącał dosłownie kawałek muru warowni, którą zbudowali ojcowie, i co dzień nadchodziły ostrzeżenia z Północy i groźby z Południa, mnożyły się malowane sztylety i puginały, co dzień proszono go pojednawczo, aby przemówił publicznie, wyznaczając przynajmniej kierunek polityczny. Odmówił, gdyż został wybrany dla swoich poglądów, jakie przedłożył, ale nie mógł sprawić, aby przynajmniej jeden z nich w czyn przemienić. Każdy intrygancki sekretarz w stolicy ma dzisiaj daleko większą władzę niż jutrzejszy, wybrany właśnie, prezydent.

Jednocześnie oblegany jest przez odwiedzających, a przyjaciele doradzają mu, aby przynajmniej połowy z nich nie przyjmował. Odpowiada im: „Żądają przecież tak mało, a otrzymują tak niewiele! Trzeba ich przyjmować“. Oto człowiek z ludu, któremu potrzebne jest stałe obcowanie z ludźmi swego środowiska dla wewnętrznego pokrzepienia i dla zdobycia pewności siebie. „Podczas tych przyjęć — opowiada pewien świadek — ujawniał on szybką i bystrą orientację co do charakteru i przymiotów odwiedzających, przystosowywał się do nich bardzo szybko, nie uchylał się od odpowiedzi na żadne stosowne pytanie i zawsze znajdował właściwą odpowiedź. Ponieważ miał stale w pogotowiu argument podawany w oryginalnym tonie, więc na

ogół miał zawsze przewagę“. Ale gdy do Springfield przybywa Greely i nie odwiedza go, to Lincoln, prezydent Stanów Zjednoczonych, wybiera się do niego do hotelu, aby go tam wyszukać. Parogodzinna rozmowa nie doprowadza do porozumienia, nawet żadna z wesołych anegdotek nie zostaje opowiedziana. W przygnębieniu opuszcza Lincoln przeciwnika.

Cofnąć się? Ustąpić? Proponują mu to publicznie. Czy się tym coś zyska? Oczywiście tylko wówczas, gdy się poczyni ustępstwa. Czy należy robić ustępstwa? Nigdy! Na tym jednym punkcie jest nowy prezydent niezłomny już od pierwszego dnia i takim pozostanie do dnia ostatniego. „Przepowiadają nam z góry, że rząd zostanie rozwiązany, jeśli nie podda się tym, których pobiliśmy w walce wyborczej. Są to albo drwiny, albo bierze się to na serio. Jeśli poczynimy ustępstwa, to będzie to koniec rządu i nas. Wówczas tamci będą mogli próbę swoją powtarzać *ad libitum*. W roku przyszłym będą mogli żądać, abyśmy zagarnęli Kube, bo w przeciwnym razie wystąpią“. W kilka dni po wyborach: „Nic nie zyskuje się tym, że się pochlebia łotrom, którzy winni są obecnej depresji. Niech pracują dalej i niech naprawią zło wyrządzone, a wówczas zmądrzeją... Nie może być żadnych kompromisów w sprawie rozszerzenia niewolnictwa! Jeśli zaczniemy robić ustępstwa, to nas pokonają, praca nasza przepadnie i będziemy musieli zaczynać od nowa... Jeśli katastrofa jest nieunikniona, to lepiej, gdy dojdzie do niej teraz niż później!“ Nieco później: „Nie ma kompromisów!... Raz się to nazywa linią missuryjską, innym razem suwerennością ludu, a zawsze chodzi o to samo. Jeśli jedno z dwojga powróci, to będziemy mieli szcęk broni i nowe niewolnictwo. Na tym punkcie trzymajcie się mocno, jakbyście byli łańcuchem ze stali!“ A gdy

w grudniu dochodzi przy pomocy Sewarda do nowego kompromisu według stopni szerokości geograficznej, Lincoln wypowiada się prywatnie przeciwko niemu.

Sprawa sumienia, w której wola mocy walczy bezustannie z miłością kraju, zostaje rozstrzygnięta przez przeciwnika: każda propozycja porozumienia wywołuje na Południu wybuchy grubych drwin. Lincoln znajduje wspaniałe porównanie: „Idźcie nad brzeg rzeki z wielkim przetakiem, nasypcie węń żwiru, a przekonacie się, że drobne kamyki przesieją się razem z piaskiem, choć niektóre pozostaną w rzeszocie, ale przy ponownym potrząsaniu na wierzch zostaną wyrzuczone największe kamienie. Jeśli wojna jest nieunikniona, a kraj przeżywa wstrząs, to mali ludzie wszędzie poznikają, masy spoczną na gruncie solidnym, a wielcy ludzie staną u góry. Spośród nich wysunie się jeden największy i ten będzie wodzem w zatargu“. Albo opowiada o gminie, która chciała budować most, a jakiś pobożny człowiek zaproponował jej dzielnego inżyniera, który wszakże nie chodził do kościoła. „Jestem gotów zbudować wam most do piekieł“ — ozwał się ów człowiek ku przerażeniu obywateli, którzy ze zdumieniem zwrócili się ku jego protektorowi. Tamten odpowiada: „Znam naszego Johny, jest to człowiek, który słowa dotrzymuje. Jeśli podejmie się zbudować most do piekieł, to go zbuduje. Jedno jest tylko niepewne, czy po tamtej, mianowicie diabelskiej, stronie podbudowa będzie równie solidna jak po tej stronie“.

Taki jest Lincoln, gdy wobec gróźb przeznaczenia czerpie siłę ze zdolności jasnego zdawania sobie sprawy z sytuacji. Ale tak bywa rzadko. Przygnębienie jego wzmaga się z każdym tygodniem, nie je, chudnie. Przyjaciele uważają, że wyraz jego twarzy staje się złowróżbny, więc próbuje żartować, czym wprowadza



w zdumienie innych znowu ludzi. Gdy jest podrażniony, potrafi być bardzo szorstki. Pewnemu człowiekowi, który przynosi mu ostrzegawcze listy z okręgów przemysłowych, oświadcza, że nie handluje swymi przekonaniem nawet z takimi, co chciwość swoją osłaniają etykietami moralnymi. Wysłaniec pokazuje mu drugą listę z licznymi podpisami i pyta, czy nie zna on tych poważnych ludzi. „Owszem, znam tę bandę kłamców i łotrów, którzy ostatniego roku podpisali oświadczenie dotyczące Sewarda!“ I nagle wybuchając śmiechem dodaje: „Rozzłościłem się tak tylko dlatego, że pan nazwał tych ludzi poważnymi!“

Przybywają artyści, aby go portretować. Jeden z nich, który chce wyrzeźbić jego posąg i pragnie zrobić odlew jego ręki, prosi go, aby wziął w rękę coś twardego. Lincoln idzie do szopy, przynosi stamtąd stare miotlisko i usiłuje z niego coś wyciąć. Rzeźbiarz powiada, że nie o to chodzi. „Ach — odpowiada Lincoln — myślałem, że i to można zrobić porządnie“. Lincoln stał się człowiekiem, który nie ma czasu i oczywiście także potrzeby, aby koniecznie wygładzać kij od miotły, ale takie już ma nałogi w tych rzeczach od samego dzieciństwa i dlatego przykłada do nich więcej wagi niż do akt.

Pewnego głośnego i modnego malarza, przysłanego mu przez snoba, zrazu nie chce Lincoln przyjąć, ale potem go przyjmuje i przy pozowaniu siedzi jak skamieniały, bez życia i barwy, osepiał w swoich ponurych myślach. Artysta nie widzi w nim nic prócz rysów proletariackich, bo słyszał o jego prostactwie i jego niewybrednych historyjkach. Aby go więc ożywić w tonie, jaki uważa za najodpowiedniejszy, rzuca kilka nie bardzo wytwornych słów. Wtedy Lincoln podnosi ku niemu oczy i spogląda na niego z wyrazem osobliwym. „W jego

spojrzeniu było zrozumienie moich myśli poprzednich i niemal bolesne rozczarowanie z powodu takiego z mej strony nieporozumienia“.

Niby w tragicznej scenie rozwijają się tu motywy i skutki wypływające z dwóch charakterów. Wielkomiński malarz, który pełen uprzedzeń przybywa do Springfield z rubasznymi żartami, aby za pieniądze swego mecenasa sportretować tego komicznego człowieka, nie rozumie nic z tego, co widzi w tym kamiennym obliczu, dostrzega w nim tylko niejasne pochodzenie. I to jest jedyny szczegół, który jak mniema daje mu przewagę nad wielkim człowiekiem, wyprowadza stąd bezmyślny wniosek co do jego charakteru i pragnie go ożywić jakąś rubaszną glossą. Tamten spostrzega natychmiast, co artysta myśli, ale zamiast jednym gestem pozbyć się człowieka i pozowania, budzi się w nim znowu to współczucie dla ludzi, wyrosłe z rozczarowania spowodowanego osamotnieniem, i ot darzy obcego artystę spojrzeniem, które go jako człowieka zawstydzia, ale jako artystę podnosi na duchu.

Gillespie, który przybywa w gościnę do swego starego przyjaciela, siedzi razem z Lincolnem przy kominie i próbuje wspominać stare dobre czasy, „ale zamiast dawnej rzeźkości spostrzegam w przyjacielu ośepiałość i zniechęcenie, tak mu zawsze obce... Składa ręce na poręczy krzesła i przechyla na nią głowę w tył, tak samo, jak to nieraz czynił, gdy powracaliśmy z denerwujących posiedzeń sądowych. Nagle ożywia się i mówi: «Gillespie, chętnie oddałbym dwuletni okres z mego życia, gdybym w zamian za to mógł przeskoczyć te dwa miesiące, które oddzielają mnie od chwili objęcia urzędu, i gdybym natychmiast mógł złożyć przysięgę».

— Dlaczego?

«Bo z każdą godziną rodzą się nowe trudności, które ja mam rozwiązać. Bo rząd dzisiejszy nic nie czyni, aby zapobiec rozkładowi. A ja, powołany do dźwigania tej straszliwej odpowiedzialności, jestem zmuszony siedzieć tutaj, nic nie robić, niczemu nie mogę zapobiegać... Narzekam na to nie przez wzgląd na siebie. (Słowa te wyrzekł z goryczą większą, niż w głosie jego kiedykolwiek wyczuć zdołałem). Odszczepieństwu nie przeciwdziała się, ale się je popiera, a jeśli zasada ta rozpowszechni się w stanach pogranicznych, to będzie to ciężką klęską... Czytałem opowieść o Gethsemane, gdzie Syn Boży daremnie się modlił, aby go ominął gorzki kielich. Teraz ja sam jestem w ogrójcu, a kielich mój jest przepelniony»“.

Potem prowadzi przyjaciela do swego pokoju i nagle powiada: „Zapewne zapomniałeś, Joe, o tym procesie, w którym wspólnik twój popsuł ci całą sprawę. Widziałem, jak dawałeś mu znaki, ale on nie pozwolił się powstrzymać. Tak samo jest ze mną i z Buchananem. On przegrywa mój proces, a ja nie mogę mu nic powiedzieć i nie mogę niczemu zapobiec. Dobranoc“.

W tych słowach jest cały Lincoln: mężny przy całym swoim przygnębieniu, skąpy w patosie i nawet w takiej sytuacji daleki od wszelkiej przesady. Nie mówi tak, jak to się czytuje w książkach, że chętnie oddałby życie, aby przeskoczyć dwa miesiące dzielące go od objęcia urzędowania; mówi o dwóch latach, co jest ceną wysoką, ale możliwą jeszcze. Gdy porównywa się z Jezusem, to słowu takiemu pozwala brzmieć tylko chwilę, urywa je nagle i zawracając w świat rzeczywistości przypomina pewien przegrany proces, aby nim zilustrować swoje położenie: „Buchanan przegrywa mój proces“. Nazajutrz jest on w lepszym usposobieniu i powiada: „Pragnąłbym tylko, abym do Waszyngtonu



przybył w porę, iżbym mógł zamknąć bramę stajni, zanim koń zostanie skradziony“. Myśli jego, nawet gdy już sprawuje urząd prezydenta, i to w ciężkiej sytuacji państwowej, stale powracają ku tężyznie jego młodych lat, spędzonych wśród farmerów.

Ale jednocześnie bacznie śledzi wszystko, co się dzieje, bo między polem chłopca a polem filozofa wznosi się stare wielkie drzewo zabobonu i rzuca cienie na oba pola. Raz, po dniu pełnym męczącego zamętu, rzucił się w domu na starą sofę stojącą przed szafą z lustrzanymi drzwiami. Leżąc widział się w zwierciadle w całej swej długości i zauważył, że twarz jego daje w odbiciu dwa osobne obrazy i że ostry nos jednego z tych obrazów znajduje się mniej więcej o trzy cale wyżej od drugiego. „Coś mnie spłoszyło, przestraszyłem się, wstałem i zajrzałem do lustra, ale złudzenie znikło. Gdy położyłem się ponownie, ujrzałem je znowu, bodaj że jeszcze wyraźniej, i zauważyłem też, że jedno z tych odbić było nieco bledsze, powiedzmy o jakie pięć odcieni. Wstałem i złuda prysła znowu. Wyszedłem i niebawem w zamęcie owych dni zapomniałem o tym. Ale niezupełnie, bo sprawa ta przypominała mi się, i to zawsze tak jakoś, jakby się stało coś przykrego. Gdy razu pewnego wracaliśmy w nocy do domu, opowiedziałem o tym żonie. W kilka dni później powtórzyłem próbę i — musiałem się śmiać — rzecz się powtórzyła. Ale później już mi się to nigdy nie udało, aczkolwiek czasem bardzo się wysilałem, aby zjawisko to pokazać żonie, która się z tego powodu bardzo niepokoiła. Uważała to za znak, że będę wybrany ponownie, ale z powodu owej bladości twarzy nie przeżyję tego drugiego okresu urzędowania“.

Oczywiście musiało go to zaniepokoić. Jakże często podczas tych tygodni wracało uporczywe pytanie, czy



przez wzgląd na pokój państwa nie byłoby lepiej ustąpić, aby doszło do nowych wyborów i aby w zmienionych warunkach umysły mogły się uspokoić. Jednym słowem, aby przez wyłączenie swej osoby zapobiec wojnie domowej! Jeśli tego nie uczynił, to wobec właściwości jego charakteru na postępowanie jego mogły wpłynąć tylko pobudki rzeczowe. Lecz oto przestraszają go znaki, a chociaż zadaje sobie trud, aby wytłumaczyć to sobie na swój sposób, to jednak mówi bardzo ściśle o trzech calach i pięciu odcieniach, zapomina o zdaniu, przypomina je sobie, powtarza je i zatracza, ale w gruncie rzeczy pozostaje w nim niepokój, którego pozbyć się niesposób.

Ale Mary przebiega ostry dreszcz. Jej żywotność nie pozwala jej dopatrywać się w tym znaku ostrzeżenia, bo zastosowanie się do niego musiałaby opłacić zrzczeniem się marzenia swego życia, ale niezawodny instynkt kobiecy, którym przewidziała bieg życia Lincoln, już dzisiaj ukazuje jej jego koniec.

## XXI

W grudniu Unia miała na Południu już tylko jeden fort koło Charlestonu. W forcie tym siedział major Anderson w sytuacji wprost fatalnej, otrzymywał z Waszyngtonu rozkazy raz takie, raz inne, musiał oddawać karabiny, gdy prosił o posiłki, i wreszcie wycofał się do najmocniejszego fortu Sumter, czyniąc to na własną rękę, ponieważ widział, że stanowisko jego ma być przekazane Południowi. Przeciw temu protestował gubernator Południowej Karoliny, uważając to za naruszenie władzy w jego stanie, i odebrał arsenał i cekhaus. Buchanan nie mógł uczynić nic innego, jak tylko

wbrew woli posłać Andersonowi posiłki. Wyprawił więc do niego statek, który był przez południowców ostrzeliwany i musiał zawrócić. Było to pierwsze wydarzenie w tej wojnie. W Charlestonie, stolicy Południowej Karoliny, urządono obchód publiczny i tańczono podczas uroczystości po sztandarze Unii. W styczniu wystąpiło pięć dalszych stanów ze związku Unii: Floryda, Alabama, Georgia, Luizjana, Missouri. Stany te zajęły natychmiast pozycję obronną.

W Waszyngtonie ustąpili ostatecznie Cass i Black, bo dalej już odpowiedzialności ponosić nie mogli, minister skarbu zaś po opróżnieniu kas ustąpił z publiczną motywacją swego kroku, że teraz musi pracować dla nowego związku stanów. Wtedy Buchanan zdecydował się na wielki krok i znalazł wyjście dość osobliwe: dla zapobieżenia nieszczęściu narodowemu wyznaczył on na 4 stycznia dzień pokuty i modłów. Gdy zaś w dniu poświęconym pamięci Waszyngtona stary generał Scott chciał urządzić paradę wojskową, Buchanan nie pozwolił na nią zrazu, ale potem w ostatniej chwili zgodził się jednak. Powołał też oficerów do fortów, a gdy się stawili, odwołał ich znowu. Wszyscy rozprawiali w Białym Domu zgoła otwarcie o kradzieży papierów z archiwów.

Na Północ waliła się jedna hiobowa wieść za drugą. Chciano pokoju. Dla paru tysięcy niewolników, dla jakiejś tam idei miano by się wyrzec dobrobytu i handlu? Wpływowi mężowie pisali do południowców, że pragną się pojednać i że w Kongresie ujawniają się takie same dążenia. Nie zdawano sobie sprawy z wewnętrznych pobudek powstania na Południu, nie dostrzegano gniewu, a przede wszystkim nie odczuwano jeszcze nawet po osiemdziesięcioletniej wspólnocie, że tam były stany pańskie, nie znające równości, o którą

zawsze zabiegali ojcowie, a którą jednak udało się przeprowadzić tylko na Północy. Na Południu były stany dawnego typu z panami i niewolnikami, z rozkazem i posłuchem, przy czym tylko niewielu rozkazywało i kierowało. Podczas tego kryzysu na Południu więcej było roznamiętnienia niż przyczyn po temu.

Zresztą łatwo sobie wyobrazić gniew tych książąt i baronów, którzy pragnęli żyć i rządzić wszystkimi według swej woli, jak żyli i rządzili wielcy panowie w starej Europie. Nie trudno też pojąć ich walenie pięścią w stół kongresowy, gdy od lat dwudziestu czy więcej powtarzano im raz za razem, że są niemoralnymi oprawcami biednych ludzi. Na cóż to sobie pozwalali ci nowoangielscy kramarze, którzy nie umieli ani konia dosiadać, ani z pistoletu strzelać, a przy tym swymi kościstymi, faryzejskimi palcami bezustannie wskazywali na łańcuchy, jakimi z powodów całkiem słusznych spętani byli niewolnicy! Czy może ci panowie kupcy i fabrykanci raczyliby sami pofatygować się do roboty pod tropikalnym słońcem, aby skubać bawełnę, z której zyski obracali na budowanie w Nowym Jorku kiepsko imitowanych pałaców europejskich? Pełni prawdziwego oburzenia byli tylko przywódcy tych stanów. Chodziło im tylko o to, aby mogli czynić, co im się podoba, i aby wiecznej krytyce mogli raz na zawsze zamknąć usta. Ba, wydawało się im, że walczą o własną wolność, gdy zrywali więzy Unii, bowiem właściciele niewolników czuli się akurat tak samo skrupowani, jak w oczach ich przeciwników byli skrupowani niewolnicy.

„Zaproponowano — tak się pisało na Południu — wznowienie afrykańskiego handlu niewolnikami, ale Kongres nie da się w żaden sposób nakłonić do tego. Powinniśmy zaanektować Meksyk i Amerykę Środ-

kową, aby otworzyć sobie neutralną drogę dla takiego handlu. Jeśli to się nie da zrobić po dobremu, to trzeba użyć broni. Bóg stworzył Murzynów tylko na to, aby byli drwalami, nosiwodami i niewolnikami białych. Mieszkańcy Południa należący do najcnotliwszych, najbardziej oświeconych i najpotężniejszych ludów, prosperujących obecnie na ziemi, zbyt długo nie doceniali siebie. Nigdy Północ nie zapanuje nad Południem. Jeśli usiłowaniom tym nie zapobiegnie miłość ojczyzny, to zapobiegnie im miłość bawełny i tytoniu. Niewolnictwo Murzynów uzasadnia Biblia, człowieczeństwo i zdrowa filozofia“.

A cóż mówili na to sami Murzyni? Świat nie dowiedział się o tym, bo ich więzienia były otoczone murami i strażnikami i od szeregu pokoleń baczono pilnie i z wielką nieufnością, aby agenci z Północy nie stykali się z nimi. Tylko pewna okoliczność przyniosła im wieść o walkach, jakie na Północy toczyły się w ich interesie: Murzyni byli służącymi podczas wszystkich zgromadzeń południowców i w taki to sposób z kontrargumentów swych panów dowiadawali się o doktrynie oswobodzicieli. Stali ci niewolnicy zgoła obojętni i z tępym wyrazem twarzy, jakby ich to wcale nie obchodziło; taką samą minę przybiera pies, gdy chce odwrócić uwagę swego pana, aby następnie wymknąć się niepostrzeżenie przez nie domknięte drzwi. Sterczeli w swych białych koszulach, trzymali w rękach kapełuszki i laski swoich panów i spoglądali przed siebie z ustami zaciśniętymi i okiem obojętnym albo też leżeli przed progiem otwartych drzwi, bawili się szklanymi kulkami, przesuwali z rąk do rąk suszone owoce nieszpane na sznurek i zdawało się, że drzemią. Ale czasem, gdy któryś z mówców przytaczał ustęp z przemówienia przedstawiciela Północy, odczytywał urywek z gazety



albo z manifestu, niepostrzeżenie i ostrożnie spotykały się ze sobą dwa spojrzenia i białka ich oczu promieniały w ciągu sekund, jak gdyby już wschodziło słońce wolności.

A gdy w nocy leżeli w ciemnych swoich szałasach u żon i dzieci, wówczas z ust do ust szła wieść radosna, w obcych dźwiękach cichutko szeptała i wtedy wewnątrz ciemnego szałasu jaśniało blaskiem wszystkich rozwartych oczu, które zwracały się ku sobie, aż jęk dolatujący z któregoś zakątka dawał znak, aby przestać łudzić się nadziejami, które ojców i dziadów już tyle razy zawiodły.

Gdy w pieśniach kościelnych ekstatycznie sławili radości nieba, o których mówili im księża, wtedy zawsze była mowa o tym, że tam będzie równość i nie będzie różnic w kolorze skóry. Myśli o tym przenosili w swych marzeniach na doczesność. Każde dziecko murzyńskie знаło imię Johna Browna i Lincolna, którego ich panowie nazywali czarnym republikaninem, a który przez Murzynów czczony był potajemnie jako czarny Mesjasz.

A tymczasem „Mesjasz“ siedział ciągle jeszcze w swoim ustronnym zaścianku bezsilny i wyczekujący. Z Waszyngtonu pisał do niego Seward i doradzał mu, aby przybył wcześniej. Ba, gdyby to on był senatorem jak Seward albo jak Douglas, znanym wśród wszystkich polityków! Ale cóż? Był człowiekiem obcym, nikomu nie znanym i pociągającym ku sobie jedynie krytyków i ciekawych. Nie posiadał żadnego punktu oparcia i nie mógł się na nic ważyć. Czy może miał uczynić to, co mu doradzali przyjaciele? Mianowicie, aby na czele 100 000 ochotników, których partia mogła dla niego zorganizować, wkroczyć do stolicy i zmusić rząd do ustąpienia o kilka tygodni wcześniej? Lincoln

jako triumfator, przyjaciel pokoju, jako zdobywca własnej stolicy!

Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko przez sekretne listy i za pośrednictwem wysłańców dowiadywać się o tym, co się dzieje we własnym kraju: był królem w niewoli. Gdy oficer z fortów Charlestonu bratu swemu w Nowym Jorku przesyłał sekretne wiadomości, to prezydent siedzący w Springfield rad był, gdy udało mu się coś niecoś z tego pochwycić. Było też szczęściem dla niego, że stary i zacny generał Scott był przez ustępującego prezydenta źle traktowany i dlatego za pośrednictwem osób trzecich zwracał się do nowego prezydenta, od niego zaś otrzymał odpowiedź pośrednią: „Byłbym mu bardzo zobowiązany, gdyby się według możliwości swojej przygotował do utrzymania fortów lub ich odebrania, zależnie od tego, jak ukształtuje się sytuacja przy ustępowaniu Buchanana“. W sposób tak ostrożny musiał wybraniec narodu porozumiewać się z obrońcą Unii, jak gdyby obaj byli spiskowcami. Trumbull był w Waszyngtonie jego zaufanym i do niego pisywał wiele. Na Boże Narodzenie pisał tak: „Posiadam wiadomości, że na rozkaz prezydenta czy też za jego zgodą forty mają się poddać. Nie chce mi się w to wierzyć! Gdyby to miało być prawdą i gdyby przyjaciele nasi w Waszyngtonie byli tego samego zdania, to natychmiast oświadczyłbym publicznie, że forty te po objęciu przeze mnie urzędowania zostaną odebrane. Dla stronnictwa Unii będzie to hasłem bojowym, a przygotowania nasze będą u nas czynione tak samo jak tam“.

Z Południem łączył Lincolna tylko jeden most: wkroczył nań dlatego, że jeszcze nie potrzebował zachowywać się jak głowa narodu. Przedstawicielem umiarkowania, można by rzec Lincolnem Południa, był

Stephens z Georgii. Dwanaście lat miało właśnie od czasu, gdy obaj zasiadali w Kongresie, wprawdzie nie obok siebie, bo Stephens był demokratą, ale bardzo byli do siebie zbliżeni, gdyż obaj byli praktycznymi idealistami. Był to ten sam Stephens, którego mowa przeciwko wojnie z Meksykiem do łez poruszyła Lincoln, wtedy jeszcze odosobnionego i nikomu nie znanego posła. Stephens mówił wówczas, że ludzie wolni zbyt szybko zapominają o swoich zasadach, gdy zaimponuje im potęga. Wtedy też byli współzałożycielami klubu Taylora, aby popierać jego wybór. Kto widywał ich onego czasu razem, musiał chyba wybuchnąć śmiechem: obok chudego olbrzyma dreptał malutki, kaleki człowieczek. Tylko suche zmarszczki twarzy były wspólnym rysem, ale piękna, delikatna głowa i wspaniałe oczy czyniły Stephensa bardziej pociągającym dla ludzi, aczkolwiek on sam byłby wolał mieć siłę i postawę, bo kiedyś napisał w swym dzienniku takie słowa: „Sądzę, że ze mnie nie będzie nic i myśl ta mnie zabija. Wyglądam zbyt pacholęco, niemęsko, a mój głos i mój sposób bycia mają w sobie coś z zabawki“.

Od owego czasu obaj ci ludzie nie tracili się z oczu, nawet wówczas, gdy spór zaostrzył się bardzo i gdy obaj stawali się przywódcami partii przeciwnych. Bezpośrednio przed swoją nominacją na kandydata prezydentury Lincoln napisał do Stephensa najdłuższy w swym życiu list. W liście tym polemizował z jego mową, aczkolwiek czynił to w szlachetnym tonie ustalającej się przyjaźni. Teraz oto, w grudniu, przeczytał Lincoln dwie wielkie ostrzegawcze mowy Stephensa: „Wybory zostały przeprowadzone według konstytucji — wywodził Stephens. — Rebelia jest środkiem niepewnym, a wojna może się zakończyć także skasowaniem niewolnictwa na podstawie prawa wojennego lub przez



proklamację“. Mowa ta, ostatnie ostrzeżenie pod adresem roznamiętnionego Południa, wywarła w całym kraju, a także na Lincolnie, głębokie wrażenie. Lincoln zwrócił się do Stephensa z uprzejmą prośbą o przysłanie mu skorygowanej odbitki tej mowy.

Stephens wskazuje na sprawozdania gazet i chłodną odpowiedź kończy słowami: „Kraj znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie. Nikt nie wziął na siebie równie ciężkiej odpowiedzialności w tym kryzysie, jak pan“. Lincoln odpowiedział natychmiast: „Czy ludzie na Południu wyobrażają sobie naprawdę, że rząd republikański mógłby pośrednio lub bezpośrednio mieszać się w sprawę posiadania niewolników? Jeśli takie wyobrażenia istnieją, to chciałbym pana, jako dawnego przyjaciela, i mam nadzieję, że nie obecnego wroga, zapewnić, że do takich obaw nie ma najmniejszych podstaw. Pod tym względem nie będzie Południowi nic zagrażało, tak samo jak nie zagrażało mu nic za czasów Waszyngtona. Lecz nie o to tu chodzi. Wy uważacie niewolnictwo za sprawiedliwe i żądacie jego rozszerzenia. My uważamy je za niesprawiedliwe i chcemy je ograniczyć. Oto jest jedyny punkt, który nas różni“.

Jest to po męsku przykrojony styl. Korzysta się tu z możliwości nawiązania do ostatnich wydarzeń, aby jednego z przywódców Południa zapewnić, że nikomu nie zagraża ograniczenie wolności działania, ale jednocześnie dodaje się tu proste i moralne słowo, jak gdyby się chciało uchwycić za pojęcie starego przyjaciela, z którym na gruncie ludzkich uczuć tak łatwo było zawsze się porozumieć. Stephens odpowiada krótko i węzłowato, że Lincoln potępia i wyklina obyczaje połowy obywateli amerykańskich. Ale u siebie czyni Stephens wszystko możliwe, aby stan swój powstrzymać od odezwania się od Unii, i w dniu Nowego Roku pisze bratu



takie mądre słowo: „Południe utrzymał Jefferson przez lat osiem, Maddison przez lat osiem itd. Samo Południe na siedemdziesiąt i dwa lata istnienia Unii przez lat sześćdziesiąt przyczyniało się do jej administrowania. Czyż można nas nazywać «marną mniejszością», która musiałaby się zdać na łaskę i niełaskę północnej despotii, pragnącej nas przeżyć i splądrować?»

A jednak niedługo nadejdzie chwila, w której da on pierwszeństwo ojczyźnie bliższej i podporządkuje sprawy ojczyzny szerszej celom partykularnym; Georgia ze swymi rzekami i drzewami, braćmi i miastami potężniej poruszać będzie jego serce niż umiejętny wytwór Unii. Zostanie on porwany przez wielki prąd i sam nie znajdzie w sobie dość siły, aby się przeciwstawić, więc optować będzie za sprawą Południa i jako nawrócony wysunięty zostanie na czoło: natychmiast zamiast go wiceprezydentem nowego związku.

Bo w początkach marca zebrali się w Montgomery przedstawiciele dziewięciu stanów i ukonstytuowali się jako „Stany Skonfederowane“ z własną konstytucją bardzo podobną do starej. Jeffersona Davisa, senatora Missisipi, mianowali prezydentem i właśnie Stephens był tym, który zaraz potem w wielkiej mowie fakt ten uzasadnił.

„Nowa konstytucja usuwa raz na zawsze wszystkie drażniące kwestie, jakie powstały z powodu naszego urzędzenia, czyli niewolnictwa afrykańskiego. Było ono bezpośrednią przyczyną zerwania i rewolucji. Doktryna panująca, jaką Jefferson i wszyscy prawie przywódcy przyjmowali za swoją, głosiła, że niewolnictwo pod względem społecznym, moralnym i politycznym jest zasadniczo niesprawiedliwe. Nasz nowy rząd opiera się na zasadzie przeciwnej. Jej kamieniem węgielnym jest wielka prawda, że Murzyn nie jest równy białemu, jego

podporządkowanie białemu jest naturalne i normalne. Nasz nowy rząd jest pierwszy w dziejach, który opiera się na tej wielkiej fizycznej, filozoficznej i moralnej prawdzie. Zerwanie stało się konieczne, gdy Północ nie chciała uznać tej wielkiej moralnej, politycznej i religijnej prawdy, że nie ma tak solidnej podstawy, jak niewolnictwo Murzynów. Wielkie cele ludzkości osiągane bywają najlepiej wówczas, gdy zgadzają się z prawami i przepisami Stwórcy“.

I to wszystko wypowiada ten sam głos, który niegdyś poruszał Lincolna do łez. Tak szybko opanowuje umysł człowieka pewne hasło, gdy serce jego mocniej bije dla stron rodzinnych niż dla ludzkości. Lincoln nie stał wobec takiego dylematu, ale wszystko, co wiemy o jego charakterze, pozwala wnioskować, że z próby takiej byłby wyszedł inaczej niż Stephens.

## XXII

„Jest pan wybrany. Winszuję panu i dziękuję Bogu. Wielki cel naszych pragnień i trudów trwających od lat dziewiętnastu został osiągnięty, partia niewolnicza została usunięta i pokonana. Teraz mamy drogę wolną dla zapoczątkowania polityki wolności na solidnej podstawie. Pan ma dowództwo. Odpowiedzialność jest wielka. Niech Bóg da panu siłę do spełnienia swoich obowiązków!“

Takie było pierwsze powinszowanie, jakie Lincoln nazajutrz po swoim wyborze otrzymał. Tak winszował mu jego rywal Chase. Gdy Lincoln układał teraz swój gabinet ministerialny, życzeniem jego było powołać na ministrów przede wszystkim Chase'a i Sewarda, aczkolwiek obaj uchodzili za ekstremistów. Seward namy-

ślał się przez trzy tygodnie i przyjął tekę ministra spraw zagranicznych, Chase zastanawiał się trzy miesiące i został sekretarzem skarbu. O inne teki rozpoczęły się targi, które Lincolną przeraziły. „Z przyjaciółmi swoimi z ósmego sądu wędrownego — rzekł do jednego z przyjaciół — mógłbym utworzyć gabinet i uniknąć wojny“.

„Ależ wszyscy oni są demokratami!“

„Ja wiem, ale wolałbym pracować z demokratami, których znam, niż z republikanami, których nie znam“. Niewielki hotel w Springfield stał się istną giełdą, gdzie poszukiwano różnych stanowisk i rozdawano je, bo ze wszystkich stron zjeżdżali się ludzie, aby przy tej pierwszej sposobności znaleźć stanowiska dla siebie lub dla swoich przyjaciół, przy czym zabiegano także o stanowiska niższe. Dokoła osoby Camerona rozgrywały się najprzykrzejsze walki. Ten niewyraźny co do postawy człowiek został Lincolnowi narzucony jako skutek pewnych obietnic partyjnych udzielonych w Chicago. Lincoln mianował go, następnie chciał się go pozbyć i znowu musiał go przyjąć, co tak go podrażniło, że gdy i Davis zaczął się domagać stanowisk dla siebie i dla innych, odrzekł, że tego wszystkiego ma już dość. Natomiast szybko porozumiał się z Hamlinem, wybranym na wiceprezydenta, i zawarł z nim przyjaźń, która trwała aż do końca życia.

Starzy przyjaciele dotrzymują mu wierności. Gdy spotyka się ze Speedem i jego żoną i gdy wspominają dawne czasy, Lincoln zapytuje go nagle: „Kochany Speedzie, jak tam z twoją kasą? Jesteś bogaty czy ubogi?“

„Mogę przewidzieć, panie prezydencie, co mi teraz powiesz. Powodzi mi się znośnie, powiedziałbym nawet, że dobrze. Sądzę, że w urzędach twoich nie ma stano-

wiska, które mógłbym przyjąć“. Uczucie ulgi przenika serce człowieka tak bardzo dręczonego i rozczarowanego: oto nareszcie jest przyjaciel młodości, który niczego nie chce!

Mnóstwo starych znajomych, którzy nigdy się nim nie interesowali, pojawia się nagle nie wiadomo skąd. Nawet jeden z Grisbych, którzy jego i jego siostrę tak źle traktowali, ale przed wyborami przypomnieli się mu na wszelki przypadek jako przyjaciele, aby ewentualnie skorzystać coś niecoś, otrzymał uprzejmą odpowiedź: „Z trzech naszych rodzin, które wyemigrowały z Indiany, umarł mój ojciec... Wszyscy inni żyją, młodzi się pożenili i mają dzieci. Ja mam trzech synów, najstarszy liczy lat siedemnaście. W Missouri jest teraz wyłożona lista republikańska, tak że możecie wybierać mnie, jeśli sąsiedzi nie sprzeciwią się temu. Radzę panu jednak, aby się pan z tego powodu nie narażał na przykrości. Proszę pozdrowić swojego brata, Charlesa“.

Teraz, zanim uda się do Babilonu, pociąga go coś w zaciszne strony młodości. Konno objeżdża te swoje strony, odwiedza żyjących jeszcze przyjaciół, Hanków i Johnstonów, każe postawić nagrobek na nie pielęgnowanym grobie ojca. Ludzie widząc go śmieją się i niejeden starzec opowiada, że go widywał, będzie temu lat ze trzydzieści, jak zapędzał woły. Tylko zacna macocha nic nie mówiła i zdaje się, że go szepciem przestrzegała; podobnie Hanna Armstrong. Ostrzeżeń wysłuchuje spokojnie i powiada: „No, moja Hanno, jeśli mnie zabiją, to nie będę potrzebował umierać po raz drugi“.

Z uczuciem trwogi i zyczliwości słyszy takie ostrzeżenia pogrobowiec i sam chciałby go ostrzec. Ale wino jest nalane i trzeba je wypić. W domu niewiele jest do porządkowania: dom zostaje odnajęty, meble ustawia



się na strychu, jakaś kuzynka otrzymuje tekę z papierami literackimi i z upoważnieniem, że gdyby dla jakichkolwiek powodów miał nie wrócić, to może z nimi zrobić, co jej się będzie podobało. Całe paczki listów spala, podczas gdy jeszcze niedawno wiersze swoje troskliwie odkładał na stronę.

Przedtem układa sobie jeszcze mowę, którą chce wygłosić przy obejmowaniu urzędu, a do opracowania jej każe sobie podać tylko mowy Claya, Jacksona, Webstera oraz tekst konstytucji. Píše ją sam, zamknięty w swoim pokoju, a Herndon mówi o tej mowie, jak i o wszystkich poprzednich: „Nikt mu nie pomagał, gdyż zwykł był wszystko robić sam, a przeto i odpowiedzialność ponosił także sam. Nigdy nie napisałem dla niego ani jednego wiersza i nigdy mnie o to nie prosił; nigdy nie wywarłem na niego najmniejszego wpływu. Tylko w sprawach stylu radził się mnie niekiedy, ponieważ miałem w tej dziedzinie więcej doświadczenia. Czasem pytał mnie o zastosowanie takiego lub innego słowa czy też zwrotu, ale gdym mu zalecał zmianę jakiegoś słowa wyrażającego jego uczucia, to był niezłomny“. Gdyby ta wiadomość nie miała innego znaczenia, to przemawiałaby jak najpiękniej o charakterze Herndona, którego później nieraz szkalowano — bo cóż było łatwiejszego jak przypisanie sobie wpływu na mowę Lincolna, styl i układ gabinetu, gdy się było tak długo współnikiem wielkiego człowieka? W istocie mowa Lincolna napisana jest jego własną ręką i niemal bez zmian, a potem sekretnie wydrukowana.

Mary była pełna radosnych nadziei, mówiła o „naszym awansie“, cieszyła się z podarowanego mu cylindra, pojechała do Nowego Jorku, aby nakupić ubrania, kapeluszy, czepków i wiele innych rzeczy. Miała do dyspozycji pociąg specjalny, zabrała więc ze sobą

swoją siostrę i była bardzo szczęśliwa. Podczas przyjęcia pożegnalnego wyglądała tak wytwornie we francuskiej sukni z koronek z długim trenem, w łańcuchu na szyi i z subtelnym strojem głowy w kształcie liści wina, że nazajutrz mogła czytać o sobie:

„Pani Lincolnowa jest damą o pięknej postawie i pociągających manierach, powołaną ku temu, aby przynieść zaszczyt Białemu Domowi i obdarzyć go swym wdziękiem“.

W ostatnie popołudnie przed odjazdem przybywa Lincoln do biura, zbiera jeszcze kilka papierów, rzuca się na swoją starą sofę i w milczeniu patrzy w powalę, a potem pyta:

„Jak długo pracowaliśmy razem, Billy?“

„Przeszło 16 lat“.

„Przez cały ten czas nie powiedzieliśmy sobie ani jednego złego słowa, co?“

„Stanowczo nie“.

Potem sprowadza rozmowę na kilka spraw z najwcześniejszej praktyki, sięga po paczkę z papierami, chce odejść, zawraca i mówi:

„Wie pan co, panie Billy: zostaw pan nasz szyld firmowy tak jak jest. Pokażmy klientom, że wybór mój nie zmienia firmy Lincoln & Herndon. Jeśli będę żyć, to tu kiedyś wrócę, a wtedy będziemy dalej bronili“.

Potem, gdy razem wychodzą, Lincoln powiada: „Urzędu swego mam już dość. Strach mnie po prostu ogarnia na samą myśl o tym, co mnie jeszcze czeka“. Wieczorem, gdy w hallu hotelowym poustawiano ich kufry, Lincoln każe sobie podać białego papieru do nalepek i pisze: „A. Lincoln, Biały Dom, Waszyngton“. Następnie sam obwiązuje kufry sznurami.

Czemuż by nie? Czyż miałyby sobie przyswajać nowe zwyczaje jedynie dlatego, że od jutra będzie przedsta-

wicielem państwa? Wrodzone poczucie godności, właściwe jego charakterowi, w pełnej harmonii z poczuciem godności ludzkiej w ogóle, stanowisko jego w Białym Domu niezawodnie utrwali, ale nie znaczy to, aby nagle odzwyczaił się od samopomocy i od dawania sobie rady z kufkami jedynie dlatego, że przygląda się temu portier hotelowy i kilku ciekawych! Albo szyld! Czyż po szesnastu latach ma go kazać zdjąć dlatego, że to nie wypada, aby nazwisko prezydenta wisiało na rogu ulicy niby przynęta dla klientów? Kto myśli w podobny sposób, ten nie może go obrazić, a ludzie rozumni zrozumieją go łatwo. Nie, to tylko pierwszy przykład, jaki daje ludziom, i nawet nie on jest twórcą tego przykładu. Jest w tym jeszcze niesfałszowany i rzetelny duch amerykański, że w przedwieczór wyjazdu prezydent sam pakuje swoje kufry.

Jest chłodny ranek, połowa lutego; na małej stacji kolejowej stoi setka ludzi, aby się z nim pożegnać. W wagonie siedzą jego starzy przyjaciele, sędziowie Judd i Davis, prócz tego nowi sekretarze, Nicolai i Hay, dwaj gubernatorzy, kilku oficerów, szwagier Todd. Wśród nich jest także młoda roześmiana twarz, pokazująca w uśmiechu ładne zęby; jest to Hill, którego Lincoln zabrał po prostu ze sobą, aby młody Dawid mógł rozweselać smutnego Saula.

Na peronie stoi Mary; na stałe do Waszyngtonu przybędzie za mężem po paru dniach, a w tej podróży zachowa się wybornie i nieraz okaże odwagę. Dzisiaj wszakże czuje się Lincoln osamotniony, gdy opuszcza to miasto Springfield, do którego przybył już dawno temu, a do którego już nie wróci. Oto stoi w swoim dziwnym cylindrze i podczas gdy śnieg zaczyna padać, staje na podjeździe i improwizuje kilka słów.



„Drodzy przyjaciele, nikt... nie uwierzy, jak bolesne jest dla mnie to pożegnanie! Gminie tej zawdzięczam wszystko, czym jestem. Spędziłem tu przeszło ćwierć stulecia i z młodzieńca stałem się starcem. Tutaj stała kolebka moich dzieci, a jedno z nich tu jest pochowane. Nie wiem, czy tutaj powrócę i kiedy powrócę. Czekają na mnie obowiązki trudniejsze zapewne od tych, jakie od czasów Waszyngtona obarczały kogoś z obywateli. Bez pomocy Opatrzności dzieło Waszyngtona nie byłoby się mu udało. Sprawa moja, czuję to, zależy od tej samej pomocy. Ufajmy tej Opatrzności, która idzie ze mną, a jednak i z wami pozostać może, a wszędzie prowadzi wszystko ku dobremu końcowi. Miejmy nadzieję, że wszystko obróci się jeszcze ku dobremu... Jeszcze raz: Bywajcie zdrowi!“

Wolno padają płatki śniegu na obnażone głowy. Głęboko sięga melancholijne spojrzenie i ton jego przemówienia. Słowa jego brzmią jakby znad grobu, ale współobywatelom swoim rzuca on wyraz nadziei, że może jeszcze... Nikt nie spodziewa się niczego dobrego, gdy pociąg jego znika we mgle porannej.

Dziesięć dni trwa podróż przez stany północne, bo wszędzie chcą go widzieć i słyszeć. Często bywa zakłopotany i rozczarowuje ludzi; niekiedy zdumiewa przeciwników, którzy przybywają dla zaspokojenia ciekawości. Na ogół jest przygnębiony, trzyma się źle, wygląda blado i smutno i tylko wtedy, gdy Hill sięga po banjo, aby śpiewać piosenki murzyńskie, wypogadzają się jego oczy i serce. Czuje on sam i czują to niezawodnie tysiące, że te pochody z pochodniami i serenady nie pasują do powagi chwili. W mowach swoich musi być ostrożny i bardzo się ograniczać; niekiedy trzeba je przystosowywać do ostatnich wiadomości, jakie telegraf przynosi z Alabamy, bo właśnie podczas tej jego po-



dróży obraduje tam kongres przeciwników. Przemówienia jego są więc niejednakowe i tylko jedno zdobi je wszystkie: serdeczny popularny ton i pojednawczy wyraz.

„Współobywatele Kentucky, przyjaciele i bracia, czy wolno mi na nowym moim stanowisku tak was nazywać?“ Albo w Nowym Jorku: „A teraz, drodzy przyjaciele, czy nie za długo mówię? (Nie! Nie!) W takim razie poglądy nasze różnią się w tej sprawie i zagadnienie to muszę rozstrzygnąć samodzielnie“. W Pittsburgu cytuje wiersz Longfellowa „Budowanie okrętu“ i przyrównywa Unię do owego budowanego okrętu. Zaś w Indianopolis powiada: „Pozwólcie przypomnieć sobie, że to sprawa wasza, a nie moja. Jeśli zginie Unia i wolność, to dla człowieka 52-letniego znaczy to niewiele w porównaniu z trzydziestu milionami obywateli i ich potomstwem... Nie w ręku polityków i prezydenta i nie w ręku poszukiwaczy stanowisk spoczywa rozstrzygnięcie, ale w ręku waszym!“ W Trenton staje wzruszony na polach dawnych walk i wyznaje: „Czytałem o tych walkach jako chłopiec i myślałem, że musiało być czymś niezwykłym to, o co walczyli tamci mężczyźni. Było to coś więcej niż niepodległość jedynie, była to wielka obietnica składana ludom świata dla przyszłości! Dlatego jestem taki zatroskany, czy obietnica ta zostanie dochowana w swej pierwotnej czystości“.

Wreszcie w Filadelfii wspomnienie ojców przyprawia go o wzruszenie głębokie — i tutaj wbrew postanowieniu po raz pierwszy podczas tej podróży przemawia o tym, co należałoby uczynić, a czego poniechać: „Często zadawałem sobie pytanie, co za idea tak długo utrzymywała związek Unii: samo oderwanie się od kraju macierzystego nie przyczyniło się do tego. Ta idea to poczucie proklamowania niepodległości, które wol-

ność przyrzekało nie tylko temu krajowi, lecz całemu światu na całą przyszłość, jak śmiem wierzyć. Tutaj złożona została obietnica, że w odpowiednim czasie zdjęte zostanie brzemień z ramion wszystkich ludzi. Wszyscy mają korzystać z równych praw do życia. Czy kraj nasz na tej podstawie może zostać uratowany? Jeśli to jest możliwe, to uważałbym się za człowieka najszczęśliwszego, gdybym zdołał kraj nasz uratować. Lecz gdyby kraj ten miał być uratowany jedynie kosztem tej wielkiej zasady, to oświadczam z miejsca, że wolałbym tu natychmiast zostać zamordowany niż zrzec się jej!... Nie pragnę krwawego rozwiązania sporu, o ile nie zostanie on nam narzucony, ale wówczas będzie on dla nas aktem obrony. Drodzy przyjaciele, mowa ta jest dla mnie zgoła niespodziewana, nie pomyślałem nawet, że będę tu przemawiał. Mniemałem, że mam tu jedynie wywiesić sztandar. Być może, iż powiedziałem coś niedyskretnego. Ale nie powiedziałem nic takiego, dla czego nie pragnąłbym żyć, a gdyby taka była wola Wszechmocnego — umrzeć“.

Każdy ze słuchaczy odczuwał szczerłość tych słów, jak odczuwa ją każdy dzisiaj, po latach siedemdziesięciu: bo gdy Lincoln powiada, że gotów byłby umrzeć, to zna on głębię tego słowa. Rzeczywistość potwierdzi je niedługo. Zanim przybędzie do Baltimore, detektyw ostrzeże go, że chcą go tam zamordować. Zrazu nie może w to uwierzyć, ale gdy zaraz potem syn Sewarda przynosi mu ostrzeżenie swego ojca, Lincoln porównuje obie wiadomości, ustala, że informatorzy jego nie znają się, i postanawia podróż skrócić. Niektórzy z przyjaciół jego mniemają, że wyrze to złe wrażenie, ale na to jest Lincoln za bardzo chłopem. Dla niczego, dla zwykłego przyjęcia, setnego może w tych tygodniach, miałby ryzykować życie? Ba, gdyby się w Bal-

timore zanosilo na bitwe, w ktorej wezwanie prezydenta miałyby pokrzepić wojsko, byłyby to co innego. Ale dla niczego, dla popisania się swoją odwagą, miałyby się udać do gniazda spiskowców, którzy go zdradziecko zamordują? Bocznyimi drzwiami opuszcza tedy ostatnie zebranie w miękkim kapeluszu na głowie, porzuca swój pociąg specjalny i na lokomotywie każe się podwieźć do pociągu zwyczajnego, który czeka, bo „ważny pakiet ma być zabrany do Waszyngtonu“, jak powiedziano konduktorowi. Jednocześnie druty zostają przecięte.

Tylko jednego towarzysza zabiera ze sobą Lincoln w owej godzinie pełnej wzburzenia, gdy wszystkich porzuca: żonę, synów, przyjaciół partyjnych i oficerów, którzy jadą dalej pociągiem specjalnym. Jeden tylko towarzyszy mu w tym ostatnim awanturniczym etapie podróży: jest nim Hill, z którym Lincoln rozstać się nie chce.

O godzinie szóstej rano w lutym jest jeszcze ciemno, ulice toną w mroku, a latarnie już są pogaszone. Tylko dwaj ludzie wiedzą, kto to przybywa do miasta: Seward i Wushburn. We czworo zajeżdżają do hotelu. Cicho oddycha spokojne miasto, ale ci, co są wtajemniczeni, wyczekują z napięciem wiadomości z Baltimore, czy się zamach udał. Nikt zaś nie przypuszcza, że człowiek, którego miano zgładzić, znajduje się już w murach miasta i powozem jedzie jego ulicami. Jeśli może jakaś gromadka panów z Południa wraca o świcie z nocnej biesiady, to przypuszcza zapewne, że w powozie, którym jedzie Lincoln, siedzą kupcy, którzy przybywają, aby przewąchać kąty, czy nie da się zdobyć dla siebie dostaw wojennych. A może szpiedzy?

Przez nikogo nie poznany, dla wszystkich obcy, wjechał Abraham Lincoln do swej stolicy potajemnie, o porannym mroku, aby stać się następcą Waszyngtona.



## XXIII

Jeśli w tej chwili przedrannej wspominał swój ostatni dzień w Waszyngtonie sprzed lat dwunastu, to musiał się zdumiewać, jak wiele osiągnął. Ale ani chwila nie nadawała się do takich rozważań, ani natura jego nie była do nich usposobiona. Raczej stwierdzał może, jak bardzo jego chłodny pokój hotelowy przypominał pokój ówczesny, jak niepewna jest przyszłość jego również dzisiaj i jak bardzo jest osamotniony. Albowiem i w tej chwili nie było żony przy jego boku. Miała ona przyjechać dopiero jutro pociągiem specjalnym.

Gdy wyglądał oknem, cóż widział przede wszystkim? Niewolników. Po raz pierwszy od chwili przesilenia znalazł się w stanie niewolniczym. Co słyszał najpierw? Pieśń o Dixi i inne wojownicze śpiewki południowe. A gdy wyszedł na ulicę, jakież widział twarze? Trwożliwe, badawcze, bo jeden boi się drugiego, a pełno tu jest zamachowców i szpiegów. Tutaj nie zna on nikogo i nikt nie zna jego. Tu wszyscy załatwiają swoje interesy, tylko on nie załatwia swoich. Z tego, co wczoraj było przedmiotem rozmów salonowych, mógł wywnioskować tylko jedno: może mu się przytrafi coś ludzkiego. Niebawem zostanie stąd wyprawiony jako żywy lub umarły, a Jefferson Davis wkroczy do miasta jako prawdziwy prezydent i cała zabawa będzie skończona. Nawet dzisiaj, na kilka dni przed objęciem urzędu przez niego, robią tu zakłady, że Lincoln nigdy nie będzie zaprzysiężony.

Jaki małomówny jest Seward, jaka chłodna i niezadowolona jest jego twarz! Gdy mu coś doradza, to w oczach jego nie ma ciepła, a jego ton jest mroźny. Czy jest tu ktoś, kto wyszedłby mu na spotkanie z dobrym, miłym słowem? Dobrze, że w pobliżu jest Hill,



bo wszystko poza nim jest chłodem, milczeniem, powinnością. Jakie wieści przynoszą gazety z fortów? Z Alabamy? Z dnia na dzień te same mowy. Lecz oto jest wiadomość z Europy i nagle dokoła samotnego, zziębniętego człowieka roztacza się błogie ciepło. „Car rosyjski obdarzył wolnością wszystkich chłopów pańszczyźnianych“. Jakże musiało drgnąć serce człowieka, który zmierzał do tego samego i w nowej Ameryce nie mógł osiągnąć tego, co stało się faktem w starej Europie, w pogardzanej Rosji! Jest tak, jak gdyby o północy wschodziło słońce oświecając bezmierny, daleki ocean.

Ale niebawem robi się ruch dokoła nieznanego człowieka, gdy rozchodzi się wieść o jego przybyciu. Jak w Springfield, wszyscy tłoczą się dokoła niego, jedni przez ciekawość, drudzy przez niezyczliwość, kilku za ledwie przybywa z uczuciami przyjaznymi. Wszyscy chcą go widzieć. Schody i korytarze pełne są przybywających, wszystkie drzwi otwarte są na oścież, nie ma tu żadnej kontroli i wczorajszy zamachowiec miałby wejście swobodne. Nawet Douglas przybywa i obaj ci ludzie, wysoki i niski, którzy na drewnianych estradach obrzucali się jeszcze niedawno takimi uprzejmościami, którzy jeszcze podczas ostatniej walki wyborczej tysiącokrotnie doznawali dla siebie uczuć nienajlepszych, ściskają sobie ręce, uśmiechają się uprzejmie, a Douglas myśli może: Nie chciałbym siedzieć w skórze tego człowieka.

Gdy na czwarty dzień burmistrz wita nowego pana mową zgoła chłodną i bąka coś o przeciwwolucyjnych zarządzeniach, Lincoln przeciwstawia się po raz pierwszy słowem krytycznym: „Bardzo dużo myślę o rozdźwiękach, jakie istniały i istnieją między ludem krajny, z której przybywam, a ludem tutejszym. To są nieporozumienia. Żywię uczucia wyłącznie życzliwe dla

ludu tego stanu, podobnie jak dla ludu stanu mego. Nigdy nie myślałem o tym, aby w mierze choćby najdrobniejszej ograniczać was w dobrodziejstwach konstytucji... Jednym słowem, gdy lepiej poznamy się wzajemnie, to mam nadzieję i pewność, że będziemy się sobie podobać daleko więcej. Dziękuję za życzliwe przyjęcie". Istny majstersztyk: po królewsku, uprzejmie, formalnie, a jednak z niezatajoną prawdą w zakończeniu, że na razie nie lubimy się.

Walka o fotele ministerialne doszła w owych dniach do punktu kulminacyjnego. Prezydentowi odradza się z całą stanowczością tych, co już są mianowani, i tych, co są kandydatami. Senatorowie, członkowie izby niższej tłoczą się dokoła prezydenta, aby zdobyć miejsce dla swoich przyjaciół albo wyprzeć z tych miejsc przeciwników. Targi, jakie toczyły się w Springfield, są tu dziesięć razy żywsze i pierwsze znajomości, jakie nowy ten człowiek zawiera tu z mnóstwem osób, są znajomościami wielkiego targowiska interesów.

Seward znajduje się w pobliżu, ale wydaje się zgorzkniałym i zamkniętym w sobie. Musi się zapewne czuć piątym kołem u wozu, gdy jego nowy przełożony, na którego miejscu sam chciał się znaleźć, nie powierza mu nawet ułożenia mowy inauguracyjnej, jak to przed nim czynili prezydenci daleko od niego bardziej doświadczeni! A gdy wreszcie otrzymuje gotową mowę inauguracyjną dla wypowiedzenia się o niej, przeraża go szczerłość jej tonu, więc pisze: „Niech mi pan pozwoli powiedzieć sobie, że druga i trzecia część pańskiej mowy, nawet gdyby zostały zmienione, dałyby secesjonistom korzystne atuty w rękę, że odpadłyby stany Wirginia i Maryland i że po upływie czterdziestu lub sześćdziesięciu dni bylibyśmy zmuszeni walczyć z Południem o jego stolicę... i nie mielibyśmy ani jed-

nego lojalnego urzędnika na południe od Potomaku... Dlatego z całym szacunkiem proszę o skreślenie obu tych ustępów... Argumenty są zresztą mocne i decydujące, ich skracać nie należy. Ale prócz argumentów potrzeba jeszcze czegoś, co pokrzyżowałoby przesady Południa i jego namiętność i co spłoszyłoby nieśmiałość i trwożliwość Wschodu. Kilka słów uczuciowych, pełnych spokojnej i radosnej ufności!“

Seward chciał obyczajem swoim z dyplomatyczną ostrożnością osłonić istotę sprawy za pomocą wspólnie wystylizowanych zdań końcowych, podczas gdy dla Lincolna jedno i drugie spływało w całość z nieubłaganą i jasną logiką. Dlatego Seward zaproponował takie zakończenie mowy:

„Kończę. Nie jesteśmy ani wrogami, ani obcymi i nie możemy nimi być — jesteśmy rodakami i braćmi. Choć namiętność napięła więzy miłości zbyt mocno, to z pewnością nie zerwą się one. Struny mistyczne, które od tyłu pobojowisk i grobów zbiorowych przebiegają serca i ogniska tego rozległego kontynentu, zestrojają się znowu w dawną harmonię, gdy je owionie tchnienie anioła-stróża tego narodu“. Lincoln zmienia to projektowane zakończenie tak: „Trudno mi kończyć to przemówienie. Nie jesteśmy wrogami, ale przyjaciółmi. Nie wolno nam być wrogami! Nawet napięcie namiętności nie może zerwać więzów miłości. Mistyczne struny wspomnień, które z każdego pobojowiska i z każdego grobu zbiorowego prowadzą ku każdemu żywemu sercu i ognisku rodzinnemu skroś cały ten rozległy kraj, zawsze jeszcze odzywać się będą w chórze Unii, bo z pewnością dotykać ich będą duchy opiekuńcze naszego narodu“.

Zdarzyło się tedy, że mąż stanu zaproponował poecie poetyckie zakończenie mowy, a poeta rozwinął je



ostatecznie na swój sposób. Zaś obie części wysoce polityczne, które Seward chciał skreślić, pozostawia Lincoln bez zmiany, bo zna wrażenie wywierane na masach. Nie docenił jedynie wrażenia, jakie one wywarły na Sewardzie. Bo natychmiast po tym przemówieniu, w przededniu objęcia urzędowania, otrzymuje nagle od dotkniętego Sewarda list, w którym ten mu pisze, że nie może objąć urzędu ministra spraw zagranicznych. Nowy cios w pierwszej chwili urzędowania. Co robić? Odkłada list na bok i postanawia czekać do jutra.

Nastaje dzień 4 marca. Jeszcze wczoraj robiono w mieście zakłady przeciwko Lincolnowi. Dzisiaj w południe zajeżdża otwartym powozem przed hotel stary Buchanan: fałszywy duchowny w białej chustce na szyi, o starej twarzy mocno pomarszczonej i z głową dziwacznie przechyloną ku lewemu ramieniu. Na głowie ma niski kapelusz z szerokim rondem, ubrany jest w staromodny żakiet z połami naśladowującymi jaskółczy ogon. Odjeżdżają razem. Po raz pierwszy ulice wiodące na Kapitol obsadzone są wojskiem. Niebawem z bram Senatu wychodzi wspaniały pochód, jak to bywa zresztą co cztery lata. Tarasy nie są szczelnie wypełnione, bo wielu z obawy przed kulami pozostało w domu. Pomimo to zebrało się wspaniałe towarzystwo pełne wyczekiwania. Wszyscy spoglądają na najwyższego mężczyznę w pochodzie, on zaś idzie wolno i poważnie, trzymając w ręku cylinder i laskę i zbliżając się ku platformie przed bramą wschodnią. Gdy stary jego przyjaciel, senator Baker, przedstawia go tłumom, te witają go bardzo żywo.

Oglądając się, widzi z trzech stron ławki zajęte przez najwyższych dygnitarzy państwowych: po lewej stronie siedzą dyplomaci, których nie zna, po prawej se-



natorowie, całkiem blisko na wewnętrznym końcu ławki widzi Douglasa; na ławce przed nim żona i trzech synów. Co też widzą ci wszyscy, którzy spoglądają ku niemu? Oczy wszystkich zwrócone są ku temu olbrzymowi, ale przyjaciele jego są z niego niezadowoleni. Oto przykład tego niezadowolenia.

„Jego broda przypominała szczotkę do butów, była siwa, szorstka, brzydka. Szpeciła ona tę twarz, w której wyrażały się siła i patos. Miał na sobie nowiutkie ubranie, frak zamiast zwykłego surduta, błyszczący cylinder prosto z pudełka, a w rękę trzymał olbrzymią laskę hebanową ze złotą gałką wielkości jajka. W tym niezwykłym ubiorze wyglądał tak nieosobliwie, że można było współczuć mu tylko. Gdy dotarł do estrady, był jeszcze bardziej zakłopotany, bo nie wiedział, co ma zrobić z laską i cylindrem. Stał więc na oczach tysięcy, trzymając w rękę jedno i drugie, istny obraz bezradnego zakłopotania. Po pewnym wahaniu wsunął laskę w kąt żelaznej kraty, ale nie widział miejsca, na którym mógłby położyć cylinder, prócz podłogi, a widziałem, że tego właśnie nie chciał ryzykować. Douglas, zorientowawszy się w położeniu, pośpieszył swemu staremu rywalowi z pomocą, wziął z jego rąk kapelusz i trzymał go tak długo, dopóki właściciel nie potrzebował go znowu“.

Scena zaiste jakby z Szekspira zaczerpnięta! Oto stoi człowiek odziany w szaty narzucone mu niezawodnie przez jego elegancką żonę, aby broń Boże nie wywierał wrażenia pospolitaka z Dzikiego Zachodu. Jest to człowiek przyzwyczajony do zdejmowania surduta albo do noszenia go bez osobliwej troski o elegancję, a tu musi trzymać w rękę zgoła zbędną laskę z błyszczącą gałką, wysztafirowany niby figura z operetki, a zarazem cel milczącej drwiny. Stoi oto i po raz pierwszy przemawiać ma do całego narodu, ale ta obca laska ze złotą

gałką stoi mu w drodze, a tu jeszcze ten straszliwy wyglansowany kapelusz! Co robić? Okropne sekundy! Lecz oto Bóg posyła mu dawnego wroga, który niby w persyjnej rozkoszy ogląda jego porażkę z bezpośredniej bliskości, posyła mu tego wężowato giętkiego człowieka, który w najtrudniejszych sytuacjach orientuje się szybko i znajduje radę. Oto Douglas wybawiciel, Douglas jako garderobiany, wyciąga krótkie swoje ramię, przyjmuje kapelusz i przez cały czas, bodaj że przez pół godziny, niby służący trzyma go oburącz, aż wreszcie wszystko się kończy i nowy prezydent z uprzejmym skinieniem głowy odbiera go z rąk pana senatora.

Siedzi oto senator Douglas i podczas gdy wsłuchuje się w mowę prezydenta, być może, myśli jego zaprzęta ten niezwykle wielki kapelusz, podsuwając mu komiczny obraz: jak głęboko na uszy wjechałby mu ten kapelusz i jak śmiesznie wyglądałby Lincoln w kapeluszu Douglasa. Ukradkiem zagląda może do wewnątrz za pasek skórzany, czy nie ma tam jakiejś kartki, bo wszyscy wiedzą, że Lincoln używa kapelusza jako portfela. Czy może myśli o głowie, na której dopiero co siedział ten kapelusz, porównuje własną inteligencję z inteligencją Lincolna i musi swojej dać pierwszeństwo? W końcu z rezygnacją zwraca się znowu ku przeciwnikowi.

Przeciwnik zaś wykazał najpierw, że partia jego nigdy nie przedsiębrała najmniejszej próby ograniczenia Południa w jego urządzeniu. „Składam dzisiaj przysięgę urzędową bez jakichkolwiek ukrytych zastrzeżeń, bez najmniejszego zamiaru komentowania ustaw i konstytucji w sposób hiperkrytyczny“. W ciągu 72 lat rządziło tutaj piętnastu różnie usposobionych obywateli, najczęściej z dobrym wynikiem, lecz on, który właśnie teraz przybywa, znajduje się w położeniu najtrudniejszym. „Zerwanie Unii, aczkolwiek jest to na razie groź-

ba, zdaje się być straszliwie blisko... Władza, jaka mi jest powierzona, będzie użyta na to, aby utrzymać całą własność należącą do rządu i ściągać podatki i cła. Poza tym nie będzie w łonie narodu nigdzie ani inwazji, ani przemocy... Że nie brak takich, którzy wykorzystują każdą sposobność, aby Unię zniszczyć... tego ani twierdzą, ani temu nie przeczą. Jeśli tacy istnieją, to dla nich nie mam ani słowa". A potem zadaje pytanie, w jaki sposób można się fizycznie oddzielić od siebie. Czy należy użyć przemocy? A co będzie potem?

„Czy łatwiej obcym zawierać z sobą układy niż przyjaciółom uchylać ustawy? Czy układy między obcymi łatwiej można wymusić niż ustawy między przyjaciółmi? Przypuśćmy, że dojdzie do wojny; przecież nie będzie można prowadzić jej wiecznie. A gdy wreszcie po wielkich stratach po obu stronach wojna się skończy bez zwycięstwa, to między nami wyłonią się te same zagadnienia... bez względu na to, czy Wszechmocny Pan wszystkich narodów stałby po stronie Południa czy po stronie Północy. Nawet zwycięska wojna mogłaby położenie Południa tylko pogorszyć. Niewolnictwo na Południu byłoby wówczas zabezpieczone, ale takim jest ono i dzisiaj. Dlatego rozważa konieczna jest w obu obozach!"

W punktach głównych słuchacze oklaskiwali mowę. Buchanan wsłuchiwał się w nią uważnie, ale najważniejszym słuchaczem był Douglas, który w końcu ujął mówcę za rękę i przyrzekł mu swą pomoc. Lecz w tej chwili zbliża się już klerk z Biblią, wszyscy powstają. Stary Buchanan ze swoją przechyloną głową stoi najbliżej. W tej chwili wysuwa się prastary Taney i na mumiowatą postać swoją przywdziewa togę. Jest to ten sam sędzia najwyższy, który wydał orzeczenie w sprawie niewolnika Dreda Scotta i wziął za

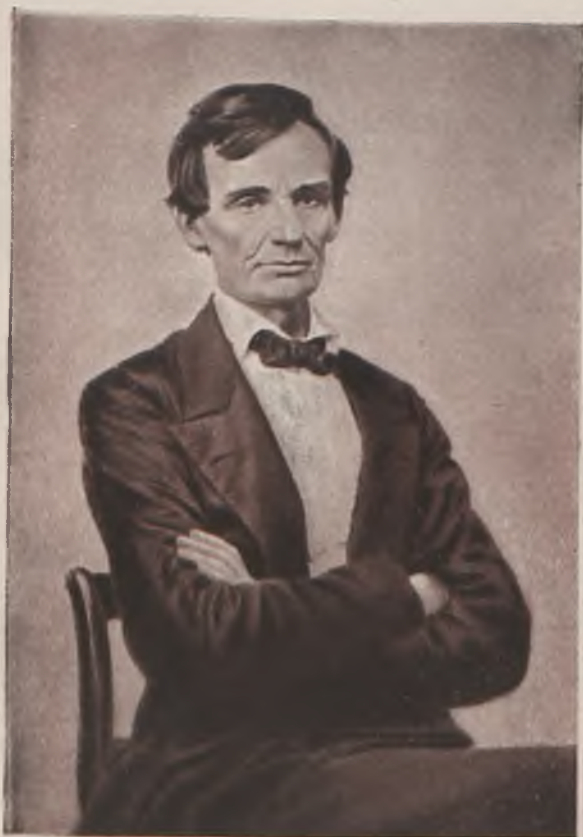


nie odpowiedzialność na siebie. Niegorszy od Lincolna, przyjaciel ojczyzny, ujawnia on wielkie zdenerwowanie, w którym temu swemu przeciwnikowi przez odebranie od niego przysięgi niejako przekazuje władzę wykonawczą. Wszyscy widzą, jak Lincoln rzuca na starca spojrzenie pełne czci, jak olbrzymią dłoń swoją kładzie na Biblii, którą po raz pierwszy pokazywała mu matka w blokhausie w Kentucky, i słyszą, jak wolno przysięga: „Ja, Abraham Lincoln, składam świętą przysięgę, że urząd swój jako prezydent Stanów Zjednoczonych wiernie wykonywać będę i że według wszystkich sił swoich konstytucji Stanów Zjednoczonych przestrzegać, ochraniać i bronić będę“.

Teraz nastaje ogólne poruszenie, stary prezydent ujmuje nowego pod ramię i odprowadza go do sali. Tylko jeden z obecnych pozostał do ostatka, stojąc wyzywająco podczas całego aktu z założonymi rękami, niby ostry szczyt piramidy słuchaczy: był to powszechnie znany senator ze stanu Teksas, który wsparty o górną bramę Kapitolu z wyrazem wzgardliwym przysłuchiwał się wszystkiemu. Ostatni senator Południa, który pozostał w stolicy, wysłaniec, symbol i szpieg Południa. Ten stojący człowiek to był wróg.

Teraz powóz odjeżdża do Białego Domu. Mary jest szczęśliwa. Wszyscy ci służący i służące, te niezliczone ręce pomocne i milczące liberie, muszą jej przecież przypominać jej rodzinne strony południowe. Tak, podróż trwała do tego celu długo, osiem dni, a przedtem dwadzieścia lat, ale wreszcie się do niego przybyło ze znużeniem i wzruszeniem zarazem. Cel jest rzeczywistością, marzenie się skończyło. Szybko przegląda sale, piękne wazy, miękkie dywany, a złoty krąg krzeseł i pryzmatyczne blaski szlifowanych koron olśniewają jej oczy tak samo, jak oczy dzieci idące za jej spojrze-





Lincoln w roku 1860



niem! To i owo trzeba lepiej poustawiać, inaczej uporządkować, dużo będzie do roboty, ale czasu ma się dość, najmniej cztery lata, w ciągu których tylko śmierć wygnać nas może z tego domu.

Z myślą zasepioną przechadzał się Lincoln po tych samych salach i w duchu zadawał sobie pytanie, czy nie ma czasem innej siły prócz śmierci, która mogłaby go razem z Unią wygnać z tego domu. I podczas gdy Mary podziwiała obicia ścian, Lincoln zadaje sobie pytanie, co też te ściany w ciągu ostatnich trzech miesięcy słyszeć mogły, bo wiadomo, że wszystko, co tu było mówione, żwawe języki szybko przekazywały Południowi. Na niego czeka tu tylko biurko, bardziej zawałone papierami niż jego biurko w Springfield w czasach największej roboty i w chwili gdy zaczyna dyktować, oczy jego rozglądają się po całym tym zimnym blasku i szukają może starej skórzanej sofy.

Pierwszy list, jaki pisze tu na arkusiku z nagłówkiem „Biały Dom“ jeszcze tego wieczoru, poświęcony jest jego najbliższej trosce, sprawie Sewarda, który zrzekł się teki ministerstwa spraw zagranicznych. List ten brzmiał: „Wielce szanowny panie, wiadomość pańską z dnia drugiego, z prośbą o odwołanie z urzędu spraw zagranicznych, otrzymałem. Sprawa ta napełnia mnie żywą troską i zmusza prosić pana o cofnięcie tej prośby. Interes publiczny, jak sądzę, wymaga tego od pana, a moje uczucia osobiste idą w tym samym kierunku. Proszę, aby pan raczył zastanowić się nad tym i odpowiedzieć mi przed dziewiątą rano. Sługa oddany“. Znowu taka dostojność królewska i wytworna powściągliwość, a między innymi słowo o szacunku osobistym, lecz zarazem ultimatum do jutra rano, a w końcu grzeczny i chłodny podpis.

Szczury opuszczają okręt nieprzyjacielski — musiał pomyśleć kapitan w chwili, gdy stawał na mostku. Co też myśli w tej chwili, gdy oknem wygląda w mroki nocy? Te ciemne cienie, jakie widzi na dole, to szpiegdy, zamachowcy czy niewolnicy? Czy miasto naprawdę pełne jest rebeliantów? Czy nie ma w nim także życzliwych serc zaniepokojonych obywateli, którzy teraz spoglądają ku oświetlonym oknom i myślą o mocy nowego człowieka? Naprzeciwko widać kancelarię skarbu, który jest pusty, bo pieniądze zostały wywiezione na Południe. Ów drugi dom — to ministerstwo wojny: są tam może liczne szafy z aktami, ale wojska są poza granicą kraju z armatami i amunicją. Może nie ma już ani jednego okrętu.

W dali ciągnie się szeroki jak morze Potomak, z okien widać go doskonale. Za nim, po drugiej stronie, stoi uzbrojony nieprzyjaciel i w rękę swoim trzyma forty, pieniądze, wojsko, a w sercu jego goreje ogień namiętności. Może uderzy jutro, może za parę tygodni. Czy jest się panem Białego Domu, czy też jest się jego jeńcem?

Chodzi jedynie o to, aby się umiało stawić czoło losowi.



*Księga czwarta* / OSWOBODZICIEL



Jeśli mianem tragedii określimy taki zatarg, w którym dwie potęgi walczą na śmierć i życie, obie są przepełnione poczuciem prawa i zdecydowane prawa tego bronić, lecz tylko jedna z nich opromieniona jest myślą o przyszłości, druga zaś ocieniona jest mrokiem przeszłości; jeśli tragiczną nazwiemy walkę idei, która rozgrywa się poza chmurami interesów, ambicji i pieniędzy, w blaskach jaśniejszych, ale dla oczu bojowników ziemskich tak niedostępna jak walka bogów, którzy występowali za homeryckimi wojownikami lub przeciwko nim — to amerykańska wojna domowa podobna będzie do tragedii antycznej. Zarówno ta tragedia, jak i ta wojna domowa budzi współczucie i lęk i kończy się uczuciem, jakie po wielkiej burzy rodzi się w krajobrazie na nowo opromienionym blaskami słońca.

Gdy pogrobowiec śławi zwycięstwo wolności nad niewolnictwem, niekoniecznie potępić musi stronę pokonaną, i to nawet wówczas, gdy czuje, że jako współczesnik owych walk odczuwałby tak samo jak dziś. Jeśli gardzi panami południowymi tylko dlatego, że władza ich opierała się na ucisku niewinnych ludzi, nie zdoła rozwikłać tego ludzkiego zamętu, w którym pogrążyli się wtedy najlepsi mężowie obu stron przeciwnych. Nie zrozumie on nawet tych późniejszych rozstrzygnięć brutalnej siły, które trwałymi stać się mogły jedynie dzięki potędze myśli.

Czynów mniejszości, która w ciągu czterech lat broniła się tak heroicznie, nie można ocenić sprawiedliwie,

jak nie można ocenić wspaniałej cierpliwości i umiarkowania Północy i jej wodza, który w ciągu 1 500 dni swej prezydentury we dnie i w nocy, przy zmiennym szczęściu wojennym i przy zmiennym usposobieniu ludności, nie stracił równowagi ducha i wiary, nie zachwiał się w humorze swoim i w mądrości, lecz przeciwnie, przy wzrastających trudnościach potęgował w sobie siły swych cnót, rozwijał zdolności, a nawet słabości swoje czynił twórczymi, byle tylko urzeczywistnić pewną myśl, a raczej dwie myśli, które stopniowo stapiały się w jedność patetyczną. Tylko ten może uwielbiać Lincolna, kto poznał namiętność, ambicję i wytrwałość Południa.

Czy tak trudno zrozumieć Południe? Przecież po wszystkie czasy długotrwałe posiadanie władzy wytwarzało poczucie prawa tej władzy, przekazując je wnukom i prawnukom. Arystokraci wszystkich krajów w odwiecznej walce między panem a sługą w ciągu tyłu stuleci dziedziczyli swoje prawa, uważając je za nietykalne pod każdym względem i za bezwzględnie moralne, aż w ciągu wieków brąz i żelazo przemocy pokryła czcigodna patyna obyczaju. Bo kiedyż to rycerze i baronowie oddawali bez walki tradycyjne przywileje swoje nowym czasom i otwierali twierdze swoich zamków jedynie dlatego, że do ich bram patetycznie pukała zbudzona moralność?

A zresztą, czy pukali sami apostołowie? Południe widziało w nich zimnych przemysłowców i kupców, potomków saskich chłopów małorolnych, szukających jedynie profitu, lecz dzisiaj dość zamożnych, aby mogli sobie pozwolić na trochę chrześcijańskiego oburzenia. I ci ludzie sięgali zdecydowanie po władzę nad Unią, aczkolwiek zdaniem Południa zdolności rządu po-



siadali równie mało, jak kultury. A oni, południowcy, potomkowie szlachty normañskiej, bytujący na wyższych angielskiej izby wyższej, oni, którzy dwanaście razy na piętnaście brali na siebie prezydenturę, a tym samym odpowiedzialność za Unię, a także dostarczali dwa czy trzy razy więcej ministrów i wyższych urzędników państwowych niż Północ, zrodzeni dla panowania i żądni czci, prawdziwi wodzowie narodu w wojnie i w pokoju — mieliby się teraz spokojnie przysłuchiwać tym, którzy ich wyzywają od niemoralnych?

Sytuacja taka trwała już od lat przeszło trzydziestu, a w ostatnim dziesięcioleciu stała się wprost nieznośna, i to dlaczego? Oto dlatego, że na Północ przybywali imigranci tysiącami, same wykolejone istnienia, szumowiny starej Europy, które wsiąkały w złotodajne pola Kalifornii; ludzie ci szybko porastali w dostatki, nie uchylając się od hańbiącej pracy, jaka przystoi tylko Murzynom. Oczywiście, że tam, gdzie żadna ręka nie chce darmo pracować, łatwo jest głądzić o wolności i demokracji, bo wolność oznacza tam pieniądze. Gdzie maszyna parowa zastępuje człowieka, tam istotnie żaden czarny grzbiet schylać się nie potrzebuje, a gdzie mnożą się wielkie miasta, ośrodki plebejskiej pracowitości, tam można bezpiecznie głosić równość, której sam Bóg przeczy. Jeśli Północ w ciągu ostatniego dziesięciolecia doliczyła się 19 milionów mieszkańców, podczas gdy Południe miało tylko 8 milionów białych, to chyba nie ma w tym żadnej zasługi, gdy się w izbie niższej przedstawiciele o jedną trzecią więcej i także w Senacie rozporządza się zwycięską większością.

Takie myśli nawiedzały przywódców Południa, małą potężną grupę, i one też potęgowały ich samowiedzę i upór, aż wreszcie wybory w roku 1860 doprowadziły

napięcie ich sił do wybuchu. Przeciwwstawiał się tu człowiek wiejski człowiekowi miejskiemu, łowca i jeździec stawał przeciwko rachmistrzowi i fabrykantowi, oficer opierał się biuraliście, a czcigodna stara tradycja zwalczała niecierpliwie nowe porządki. Klasa występowała przeciwko klasie, rasa przeciwko obrońcom rasy innej, namiętność panów, ich tradycja, ich pycha, ich honor — przeciwko niwelującej potędze myśli społecznej, ba, tutaj młoda część świata przeciwstawiała się Europie i dlatego właśnie Południe mogło liczyć na sympatie Europy.

Uczucia takiej przewagi zdawały się być usprawiedliwione prawem państwowym i gospodarką państwową. Czyliż autorytet Calhouna nie wykazał, że Unia jest jedynie umową stanów suwerennych, od której to umowy każdy, kto uważa, że została ona pogwałcona, odwrócić się może? A co do bogactw mineralnych, którymi Bóg tak obficie obdarzył Południe, to jeden z senatorów Karoliny Południowej wypowiedział wtedy słowa, które wyrażały przekonanie bodaj że wszystkich: „Południa, które trzyma niewolników, nikt zmóc nie zdoła. Może dojść do przemijających rozruchów, lecz światem rządzą bawełna, tytoń i ryż. Bez nas Północ byłaby osieroconym cielęciem, które potrafi tylko beczeć i pozostawione samemu sobie ginie od strupów i głodu“.

A jednak na namiętnym Południu wszystko zdawało się przemawiać za postawą obronną, nawet kobiety, podczas gdy chłodniejsza, spokojniejsza Północ została zmuszona do postępowania zaczepnego, które jej temperamentowi i charakterowi zatargu wcale nie odpowiadało, a co do motywów nie leżało w jej intencjach. Że oderwanie się sześciu stanów południowych doszło do skutku teraz, a nie dawniej i nie później, to miało

dwa powody: albo uda się olbrzymi bluff, tak że wystraszona Północ ustąpi i tym razem, podobnie jak przed dziesięcioleciem, albo musi dojść do wojny, a wtedy jest po temu czas najwyższy, aby jeszcze podolać Północy, która staje się coraz potężniejsza. Bez takich rozważań Południe po tak długich zatargach oczekiwałoby jeszcze trochę, tym bardziej że nikt nie zamierzał odebrać mu czegokolwiek, a już najmniej niewolników. Przy nowych wyborach mogłoby przeprowadzić swoje zamierzenia, jak je przeprowadziło już tyle razy; czarny prezydent nie miał zdecydowanej większości w żadnej z izb, a tym bardziej w ludzie.

Przede wszystkim nieokiełznana agitacja wytworzyła stan podrażnienia, który stopniował się bezustannie. Stan ten nie mógł trwać wiecznie, bo masa nie mogła się mu długo opierać, jak nie oprze się męczyzna psychologicznym warunkom przygody miłosnej i ostatecznie zdobywa kobietę nawet wówczas, gdy już przestał jej pożądać. „Po obu stronach stoją przeciwnicy jak buldogi, z niecierpliwością wyczekując walki“ — pisał wówczas Tomasz Corwin. Nic też dziwnego, że na całym Południu sadzono drzewa wolności, przy czym zawsze grywano Marsylianę, chociaż polityka właścicieli niewolników doprowadzała do absurdu tę najpłomienniejszą pieśń wolności. Gdy tysiące bogatych, próżnujących synów południowców próbowało pistoletów i koni, aby wreszcie znaleźć do popisu publiczność większą niż gromadka wystraszonych białych i miliony zezwierzęconych Murzynów, gdy w świecie panów, niemal zupełnie jednomyślnym, odgłos trąbki, szum sztandaru, blask pojęcia honoru oczarowywał umysły rycerzy, chociaż nie było dokoła nich ludu, który odważyłby się szemrać lub choćby przestrzegać, gdy wreszcie przez secesję zniknęła wszelka więź państwowa



i nie było już żadnej instancji, której byłoby trzeba odmawiać posłuszeństwa — to każdy wyczuwał, że tu są wielkie pokusy ku wojnie bez jakiegokolwiek kontroli.

Pod względem wojskowym Południe musiało stanowczo odczuwać swoją przewagę nad Północą. Co się tyczy liczby obywateli, znajdowało się ono w mniejszości — to prawda, ale przecież jeszcze przed pierwszym wystrzałem zapewniono tu sobie dwa razy tyle wojska, ile wynosiła cała armia czynna, i przewidziano prawo trzykrotnie wyższego werbunku. Jeśli wojna nie potrwa zbyt długo, to Południe może czuć się w posiadaniu wszystkich przywilejów. Posłuszeństwo wpojone białym robotnikom, spotęgowane niebezpieczeństwem, a przez demokrację nie podkopane nadmiernie; oficerowie wsławieni w wojnach poprzednich, wyćwiczeni trybem życia i przywilejami stanu; prawie zupełny brak sporów partyjnych; w walce linia wewnętrzna, wzdłuż której łatwo i szybko można przerzucać wojska, gdzie trzeba — oto jakie atuty miało Południe. A jak było na Północy? Każdy ochotnik rezonuje sobie po swojemu, ma samodzielny charakter, przy każdym rozkazie pyta: dlaczego? Oficerowie, którzy nie tak dawno jeszcze siedzieli przy biurku; wystraszone mieszcuchy maszerujące tygodniami, aby okrążyć nieprzyjaciela — a odbywa się to na terytorium nieprzyjacielskim, gdzie się roi od szpiegów i wolnych strzelców; walki partyjne — wszystko to utrudnia prowadzenie wojny przy całkowitym braku pobudek dyktowanych niebezpieczeństwem i braku jednoczących namiętności. Jeśli można było poruszyć tę całą masę zaczepną, to jedynie za pomocą słowa, w którego prawdziwość wierzyła tylko część Północy, a po pierwszych porażkach w ogóle wierzyć przestanie.



Południe mogło się więc obawiać tylko jednego: długiej wojny, w której Północ mogłaby czerpać ze swoich olbrzymich rezerw ludzkich i z zapasów, a jednocześnie ćwiczyć wojska i oficerów, a przede wszystkim zagłodzić Południe przez możliwą dla niej blokadę. Ale przeciwko długiej wojnie przemawiał zamęt polityczny i brak zaciekłości na Północy. Gdyby tam chciano utrzymać długo nastrój wojenny, który na Południu rodził się ze świadomości niebezpieczeństwa, to potrzebny byłby tam wódz wybitny, człowiek umiejący kierować, mocny i popularny zarazem, a takiego człowieka nikt nie dopatrywał się w czarnym prezydencie.

## II

Gdy Lincoln po raz pierwszy zbudził się w Białym Domu nazajutrz po zaprzysiężeniu, na biurku jego leżał list z fortu Sumter. Komendant napisał ten list do nowego prezydenta, skoro stary prezydent od miesięcy nic dla niego nie uczynił. Pisał on teraz, że fort swój może utrzymać jeszcze tylko przez tydzień i że potrzebuje odsieczy. Może adresat tego listu przypomina sobie, odczytując podpis majora, że Anderson jest tym samym majorem, który przed laty trzydziestu podczas wojny z Indianami odbierał od niego przysięgę, i w duchu porównywa może tamtą przysięgę z wczorajszą. Czy jedna z tych przysięg mniej była święta od drugiej? Tyle tylko rzec można, że wczorajszej przysięgi trudniej było dotrzymać. Tak jest, wczoraj przysięgał, że zachowa Unii wszystko, co do niej należy, a bez wątpienia należy do niej ów fort. „Jeśli Anderson opuści fort Sumter, będę musiał opuścić Biały Dom“ — wyraził się w owych dniach.

Od stycznia fort ten, położony na wyspie w porcie Charleston, miał mniej niż 300 ludzi załogi, ale był obficie zaopatrzony w działa, i w walce, która toczyła się między partiami, trwał jakby w stanie zawieszenia broni. Dopóki fort nie otrzyma nowej załogi, posiłków i sprzętu wojennego, które mogłyby budzić podejrzenia w południowcach, do starcia nie dojdzie: taki był niepisany pakt między skłóconymi braćmi.

Lecz oto sam Seward doradza opuszczenie fortu, aby nie drażnić stanów środkowych, ba, nawet taki generał Scott twierdzi, że fortu i tak nie da się utrzymać. Jest to pierwszy wypadek małoduszności; ten najbardziej pokojowy prezydent zmuszony jest pobudzać ducha swoich wojowników, a to będzie się w ciągu tej wojny stale powtarzało. Zarazem jest to zagadnienie nie tylko odwagi, lecz i dyplomacji. Poddanie się, ustąpienie — byłoby to precedensem dla Południa i zachętą do dalszego skutecznego wymuszania wszystkiego na Północy. Wyprawić tam wojsko i broń znaczyłoby to na oczach całego świata wyzywać Południe, rozpoczynać wojnę, z góry usposobić Europę przeciwko sobie, a wszystkim wrogom we własnym kraju rzucić hasło krytyki.

Przecież przeciwnicy i tak już się srożą niemało! Radykalna prasa pisze bezustannie, że prezydent jest ślepy, nieudolny lub tchórzliwy, bo pokojowe usposobienie Sewarda wzięło nad nim górę. Cóż on bowiem czyni? Odmówił przyjęcia buntowników i to jest jedyny jego czyn. Jednocześnie północni demokraci piszą: forty należy opuścić, pokój zachować za wszelką cenę. Z tym czarnym republikaninem nie mamy nic do czynienia! Zarazem kraj niepokoją najdziwsze wieści, że coraz więcej oficerów przebiega na Południe. Lincoln wsłuchuje się we wszystkie te głosy prasy i gości swoich, fachow-

ców, obywateli i w ciągu całego marca szuka jakiegoś rozstrzygnięcia.

Wreszcie znajduje wyjście. Zbliża się koniec marca, położenie Andersona staje się coraz fatalniejsze, być może, iż w forcie panuje już głód. Odbywa się pierwsze wielkie przyjęcie w Białym Domu: Lincoln stoi w nowym fraku obok swej małej, wytwornej żony, a tysiąc zdradliwych spojrzeń wyczekuje jakiegoś *faux pas* z jego strony. Jest on jak zwykle swobodny, wesoły, towarzyski, a nazajutrz opowie korespondent „Time-sa“ mnóstwo wesołych anegdot z życia pijanych woźniców, o koniach i innych sprawach życia na Zachodzie, które słyszał z ust nowego prezydenta. Bezpośredniego niebezpieczeństwa nie widać — myśleli niezawodnie goście, gdy opuszczali Biały Dom — i do tego właśnie zmierzał Lincoln. Tylko ministrom swoim mówi, że jest przeciwnie. Po przyjęciu zatrzymuje ich nocą u siebie, mówi im o nacisku Scotta, który domaga się szybkiego opuszczenia fortu Sumter. Wszyscy w wielkim wzburzeniu opuszczają go, aby za kilka godzin, rankiem, wznowić posiedzenie i dowiedzieć się, co prezydent postanowił. Lincoln zamierza wyprawić do fortu statek z żywnością i nazywa to zwykłą pomocą dla głodujących, donosząc o wyprawieniu statku południowemu gubernatorowi. Jeśli gubernator zachowa spokój, to powaga rządu będzie ocalona i załoga fortu również, jeśli natomiast jest tak wojowniczy, jak o tym od tygodni opowiada, to pozwoli się sprowokować i odda ów niebezpieczny pierwszy strzał, który przerwie nieznośne napięcie, weźmie całą odpowiedzialność na siebie i wywoła na Północy wzburzenie, bez którego zwyciężyć nie można.

Lincoln wydaje tedy pierwszy rozkaz w tym duchu, bo jako prezydent jest zarazem najwyższym wodzem sił

zbrojnych Unii na lądzie i morzu; w tym charakterze może czynić i uczyni też wiele, czego w drodze cywilnej bez rządu i Kongresu uczynić by nie mógł. Jest to prosty koncept chłopski, pomysł dyplomaty i wszystko rozwija się w porządku przewidzianym. Równocześnie z północnym statkiem wychodzącym z Nowego Jorku Południe wyprawia pod fort wojska i gdy bezbronny statek przybija do portu, wojska te działami rozbijają fort w gruzy, rozstrzeliwują sztandar Unii i Anderson musi kapitulować i ustąpić. Cały świat pamiętać będzie dzień 14 kwietnia, bo w dniu tym wojna rozpoczęła się rzeczywiście, ale nikt nie przeczuwa, czyją to krwią owa data jeszcze raz zostanie ochrzczona.

Skutek jest straszliwy i zarazem pełen wzniosłości. Całą Północ obiega wielki krzyk: gwiazdzisty sztandar rozstrzelany przez wojska Unii! Wezwanie do pomszczenia tego czynu jednoczy od razu miliony Północy, partie maleją, przeciwnicy nawracają się albo milczą — wszyscy czują, że stało się coś tak straszliwego, jak jeszcze nigdy od czasu, gdy przed laty osiemdziesięciu sztandar ten wznosił się nad głową Waszyngtona. W chwili tej Lincoln ma cały kraj w swych rękach — ale tylko w tej jedynej chwili! Na jego głos, wzywający ochotników do broni, zamiast 75 tysięcy zbiera się ich w niewiele dni 92 tysiące, a w czerwcu będzie ich już 300 tysięcy. Ale wszyscy oni wezwani są tylko na trzy miesiące, to jest na termin ustawowo najdłuższy.

Dzisiaj wszakże nie widać jeszcze ani jednego żołnierza. Do dyspozycji jest na razie 3 tysiące stałego wojska. A gdzie są ochotnicy? Kto zdoła ich z dnia na dzień zgromadzić, uzbroić, wyćwiczyć? I w ogóle gdzie toczyć się będzie wojna? Tej wojnie domowej brak jakiegokolwiek planu. Jak zachowają się stany graniczące z Południem, a przede wszystkim co powie



Wirginia, kraj leżący przed bramami stolicy? Oto już przybywają stamtąd ludzie i zadają mu lakoniczne pytanie, jakie stanowisko zajmie względem skonfederowanych. On zaś wskazuje niedwuznacznie na swoją mowę inauguracyjną, jako że w niej zawarty jest jego kurs: „Polecam staranne przestudiowanie tego najlepszego wyrazu moich zamierzeń“. Zaraz potem Wirginia zgłasza swoje wystąpienie z Unii, wskutek czego Potomak staje się granicą państwa. Po drugiej stronie rzeki, widzialny z Białego Domu, stoi teraz nieprzyjaciel. Stało się to, czego obawiał się nowy mieszkaniec Białego Domu, gdy się do niego przed pięciu tygodniami wprowadzał.

Wiść o odpadnięciu Wirginii podziałała na stolicę paraliżująco. Gdzież są wojska? Waszyngton znalazł się nagle niby na wyspie ze wszystkich stron otoczonej nieprzyjaciółmi. Nawet od tyłu może zostać zaatakowany, bo tam jest głęboka dolina znajdująca się w ręku nieprzyjaciela. Po mieście krążą wieści pełne zaniepokojenia, że jutro nadejdzie nieprzyjaciel. Prowianty do miasta! Przed Kapitol barykady z beczek cementu! Dawać płyty żelazne! Wyprowadzić z miasta kobiety i dzieci! Kto jest komendantem? Siedemdziesięciopięcioletni Scott, a prócz niego nowomianowany minister wojny, dotychczas finansista, i Lincoln, którego jedynym czynem wojennym było uratowanie wrogiemu Indianina od kary śmierci.

Nie ma odsieczy, nie ma ani jednego nowego żołnierza! Lincoln przechadza się po pokoju tam i z powrotem. „Czemu nie przybywają?“ Wieści: w Wirginii zostali wyłapani! Prezydent siedzi sam w swoim pokoju. „Do serca jego wdzierało się — opowiada Schurz po kilku dniach — uczucie zupełnego opuszczenia i bezradności. Mały oddziałek wojska mógłby

przebyć długi most na Potomaku i zagarnąć go razem z całym rządem“. Nagle słyszy strzał armatni: już idą! Nieustannie oczekuje takiej wiadomości. Nic. Schodzi na dół, rozpytuje urzędników. Nic. Wychodzi na ulicę i idzie coraz dalej aż do cekhauzu, gdzie wszystko stoi otworem i każdy może zabierać broń. Zapytuje ludzi, czy nie słyszeli dalekiego huku dział. Nic. Teraz dopiero poznaje autosugestię. Tak delikatne stają się nerwy tego człowieka przy wzburzeniu, a dzisiaj napięte są tak samo jak w dniu jego pierwszego, niedoszłego ślubu. Czy ten wódz najwyższy, najmniej wojowniczy ze wszystkich wodzów, upora się z wojną?

Wreszcie gwizdże oczekiwana lokomotywa, całe miasto wybiega na dworzec, bo przybywa pułk nowojorski. Wszyscy doznają uczucia ulgi, ale tylko na chwilę. Bo gdzież reszta wojska? „Zaczynam przypuszczać, że już nie ma żadnej Północy — przemawia Lincoln do wojska. — 7 pułk jest mitem. Rhode Island podobnie. Jesteście jedyną rzeczywistością!“ Ze słów tych, stanowczo niewłaściwych, które wojsko przyjmuje może z niezadowoleniem, a po części nie rozumie ich zapewne, można wywnioskować, jak bardzo zgnębione było jego serce. Oto człowiek, który nigdy nie był urzędnikiem, wysunięty nagle na najwyższe stanowisko znajduje swój kraj w położeniu, które nie ma podobnego w dziejach Stanów Zjednoczonych, i sam jeden, bez Kongresu, przy pomocy wątpliwego, nieżyczliwego mu gabinetu musi brać na siebie odpowiedzialność za najtrudniejsze rozstrzygnięcia, jakie kiedykolwiek spoczywały na barkach prezydenta.

Królestwo za wodza! Najmądrzejszy ma być Lee, ale on siedzi w Wirginii, był zawsze lojalny i wypowiedział się przeciwko secesji. Jemu więc przekazuje prezydent najwyższe dowództwo w owych trudnych czasach. Lee

odmawia przyjęcia tego stanowiska, ponieważ nie chce uczestniczyć w najeździe na stany południowe. Jednocześnie zawiadamia swego zwierzchnika i rodaka wirgińskiego, generała Scotta, o swoim ustąpieniu ze stanowiska w armii. „To rzecz gorsza niż przejście do wroga dwudziestotysięcznej armii“ — powiada stary Scott i ma niestety rację. Jednocześnie Baltimore przestrzega prezydenta przed dalszym przeprowadzaniem wojska przez terytorium miejskie. Dobrze, niech wojsko maszeruje obchodząc miasto. Ale zaraz potem miasto oświadcza, że jest neutralne i że północne wojska nawet obchodzić miasta nie powinny. „Potrzebujemy tych wojsk — odpowiada Lincoln. — Ponieważ nie mogą przelecieć w powietrzu ani przepelznąć pod ziemią, muszą koniecznie maszerować przez Maryland“. W odpowiedzi na to tamci niszczą most na rzece, na skutek czego Waszyngton zostaje z trzech stron odcięty od własnych wojsk, które do niego nadciągają. Czwarta strona też nie jest zabezpieczona przed nieprzyjacielem. Po pierwszym starciu rannych znoszą na noszach do miasta i układają na Kapitolu.

Tam właśnie po raz pierwszy widzi Lincoln krew braci swoich przesiąkającą przez założone naprędce opatrunki. Jest to krew niewinnych młodzieńców trzymających się z dala od polityki. Młodzieńcy ci pośpieszyli z pomocą jedynie dlatego, iż rozległo się wołanie: Unia się rozpadła! Ta pierwsza krew przelana nie na Kapitolu, ale na Kapitolu płynąca, widoczna dla oczu wielkiego filantropa, potwierdza prawdziwość jego głosu wewnętrznego, że ta wojna bratobójcza w oczach ludu nie toczy się o jakiś abstrakcyjny ideał, że lud może przelewać krew za swą ojczyznę Amerykę, ale nigdy za wolność czarnych Afrykanów.

## III

Gdy dwie rodziny z wielkim hałasem zrywają ze sobą stosunki i z dnia na dzień stają się coraz bardziej wrogie, jest jeszcze jako tako, ale gdy dwaj bracia mieszkający pod jedną strzechą stają się nieprzyjaciółmi, niełatwo przychodzi im przejawić wobec siebie wrogość. Wojna ta po pierwszym burzliwym wybuchu miała trzy miesiące zawieszenia broni i obie strony korzystały z tego czasu dla czynienia przygotowań lub też dla pokonania pewnego zakłopotania. Był to czas zbrojeń, ale zarazem i czas pauzy przyzwoitościowej. Już sam fakt, że południowcy nie skorzystali z drogi, która stała przed nimi otworem, i nie wtargnęli do stolicy, co było przeoczeniem niepowtarzalnej okazji, świadczy o braku decyzji. Północ zrozumiała to jako wyraz zakłopotania.

Jak Lincoln rozumiał tę walkę pod względem historycznym i moralnym, o tym wypowiedział się w jednej z najwspanialszych swoich mów, wygłoszonej w Kongresie, który zebrał się w lipcu. Była to mowa, która nie uzasadniała wojny ani dla Europy, ani dla Ameryki. Najprzód żąda prezydent od kraju pół miliarda dolarów. „Suma ta stanowi około 23 części tego, co jest własnością ludzi, którzy wyrazili gotowość ofiarowania wszystkiego, co posiadają“. Następnie porównuje chwilę obrony państwa z chwilą jego założenia, ustala, o ile bogatszy stał się kraj od owego czasu, i oświadcza: „Motyw zachowania wolności jest równie potężny, jak motyw jej zdobycia“. Także zagadnienie prawno-państwowe rozpatruje zrazu od strony pieniężnej, bo naród „za swoje pieniądze kupował te ziemie, na których następnie utworzone zostały niektóre



stany (południowe). Czy byłoby sprawiedliwe, aby teraz odeszli od nas bez zwrócenia nam wydatków?”

Rychło jednak dociera do głębszego rozumienia sprawy i z Konstytucji Południa umie wysnuć wnioski prawnofilozoficzne oraz wykazać różnice istniejące między obiema stronami. „Przeciwnicy nasi wydali manifest, w którym brak słów Jeffersona o tym, że wszyscy ludzie zostali stworzeni jednakimi. Dlaczego brak tych słów? Uchwalili dla siebie Konstytucję tymczasową, a we wstępie do niej nie spotykamy się z takimi zwrotami, jak za dobrych czasów Waszyngtona, kiedy to się mówiło: «My, lud». Dzisiaj mówią: «My, delegaci suwerennych i niepodległych stanów»“. Z tych przejawów wnioskuje on o istocie „...tej zdecydowanie ludowej walki. W walce tej Unia stoi po stronie, która chce zachować formę i treść rządu pragnącego ulepszyć stosunki między ludźmi, podzielić ciężary równo między wszystkich, utorować ogółowi drogę do uczciwej pracy, a we współzawodnictwie stworzyć dla wszystkich równe warunki... Nasz rząd ludowy często nazywany był próbą... Teraz mamy przed sobą zadanie uratowania go przed próbą wewnętrznego przewrotu. Musimy pokazać całemu światu, że kto zdoła przeprowadzić walkę wyborczą, ten zdoła także pokonać rebelię, że kartki wyborcze są prawowitymi i pokojowymi następcami kul i że nie ma i być nie może skutecznego powrotu do kul w sprawach, które mądrze i rzetelnie załatwione zostały przy pomocy kartek wyborczych... Tym samym pokaże się światu, że to, czego nie można załatwić za pomocą kartek wyborczych, jest też nieosiągalne za pomocą wojny. Tym samym ujawni się również całe szaleństwo tych, którzy tak lekkomyślnie do wojny parli“.

Po mistrzowsku przemawia tu Lincoln przy pomocy liczb i przy pomocy idei najprzód do wyborców, a potem do całego świata o istocie Unii, która nazwana została próbą uczynioną w oczach świata. Nie jest to bynajmniej jakaś demagogiczna statystyka, lecz prawdziwa religia Lincoln, ta sama podstawowa myśl jego młodości, do której wracał tyle razy. Jest to jeffersonowskie i clayowskie odczuwanie świata, które znajduje tu swój wyraz. Chodzi tu o coś więcej niż o losy tego państwa. Wzrok Lincoln zwraca się nieustannie ku całej ludzkości. Sprawę Unii stawia on wprawdzie wyżej od sprawy niewolnictwa, ale podporządkowuje ją zasadzie wolności, a gdy dowodzi, że trzeba dać światu dobry przykład moralny, odzywają się tu tony jego serca.

Tony te są tym szersze, że społeczna strona zagadnienia tutaj, jak i gdzie indziej, porusza go głębiej od strony politycznej. W późniejszym orędziu swoim wypowiada się, iż chodzi w tej walce o uratowanie zasady demokracji. „Niech się na Południu dobrze zastanowią, czy to nie będzie miało skutków monarchicznych“. Lecz na Południu jest jeszcze jeden mniej znany punkt do rozważenia, a mianowicie jest tam usiłowanie postawienia kapitału na tej samej stopie, co praca, czy nawet wyżej. Praca, powiadają, może istnieć tylko łącznie z kapitałem, nikt nie może pracować, o ile kapitalista nie zamówi pracy. Potem pytają dalej, czy to lepiej, gdy kapitał robotników najmuje i każe im pracować dobrowolnie, czy też gdy robotników kupuje i zmusza do pracy. Doszło do tego, iż wnioskuje się, że wszyscy robotnicy są albo najmitami, albo niewolnikami, a dalej, że jeśli ktoś jest najmitą, to musi nim pozostać przez całe życie.

„Takiego stosunku między pracą a kapitałem nie ma i nie ma też wolnych ludzi, którzy byliby zmuszeni przez całe życie pozostawać najmitami. Oba założenia i wszystkie wysnute z nich wnioski są błędne. Najprzód idzie praca, kapitał jest tylko jej owocem i nie mógłby bez niej istnieć. Praca ma pierwszeństwo przed kapitałem i godna jest tym większego szacunku. Kapitał ma też swoje prawa, które zasługują na ochronę, podobnie jak wszelkie inne prawa, będzie też zawsze istniał stosunek między jednym a drugim na korzyść obu. Błędne jest natomiast mniemanie, że cała praca społeczeństwa opiera się na tym stosunku.

Kapitał posiada ludzi niewiele, tych niewiele unika pracy i dlatego każdy z nich najmuje lub kupuje robotników. Trzecia klasa nie należy ani do jednych, ani do drugich: ludzie ci nie pracują dla innych ani też nie trzymają innych, którzy pracowaliby na nich. We wszystkich niemal stanach południowych ogromna większość to ani najmici, ani najmujący. Mężczyźni i ich rodziny pracują w swoich farmach, domach i sklepach, wszystkie dochody zabierają dla siebie i nie szukają żadnego oparcia ani w kapitale, ani w najmitach czy niewolnikach... Zręczny ubogi pracownik początkujący najprzód pracuje za zapłatę, oszczędza i za oszczędzone pieniądze kupuje narzędzia lub ziemię, zaczyna pracować na siebie, a wreszcie sam najmuje nowych pracowników początkujących. Jest to system sprawiedliwy, lojalny i wydajny, który wszystkim otwiera drogę do pracy, do dobrobytu i postępu. Nikt spośród nas nie zasługuje bardziej na takie zaufanie jak ten, który wszystko zawdzięcza wyłącznie pracy swojej. Nikt nie jest mniej od niego skłonny do wzięcia lub dotknięcia czegoś, czego by sam ucziwie nie zapracował. Tacy ludzie niechaj nie wyzbywają się władzy

politycznej, jaką posiadają, niech też nie zamykają drzwi powodzenia przed innymi, lecz raczej niech biorą na siebie nowe trudy i ciężary, aby tylko zachować wolność“.

Gdyby zdania te były wypisane w podręczniku albo wygłaszane z katedry przez uczonego, byłyby tylko przekonywujące; jako zdania napisane przez prezydenta w owych czasach są wprawdzie przeznaczone dla farmera i robotnika, którzy niebawem czytać je będą w całym kraju, a także dla białego najmity południowego, który przez te słowa stanie się sceptyczny, lecz siła ich i głębia historyczna spoczywa w osobie autora. On jako taktyk i stylista, jakim się stał, nie postawiłby takich zdań teoretycznych na samym końcu długiego manifestu wojennego, gdyby nie miał na oku zawsze dobra powszechnego, gdyby nie usiłował przemawiać zawsze do uszu całego świata, który w owych latach zajmował się już nowymi doktrynami społecznymi. Zaiste jest on dawnym drwalem i wyrobnikiem, który w tym wolnym kraju nie musi zacierać swego pochodzenia, jak to się robi w Europie, ale śmiało wskazać może na swoją przeszłość i zwracając się przeciwko nieprzyjaciołom, przeciw wrogom społeczeństwa Waszyngtona, tego nazwać godnym najwyższego zaufania, który sam był najmitą i tylko dzięki talentowi i pracowitości wybić się zdołał.

#### IV

Szósta godzina rano, dokoła jest pusto, aczkolwiek ranek letni oświecał ulice już od dawna. Jakiś człowiek przechodzi obok Białego Domu i widzi stojącego w drzwiach olbrzyma w niebieskich skarpetkach



i wielkich pantoflach. Poznaje tego człowieka i jego głos, gdy ten odzywa się do niego: „Dzień dobry! Wypatruję właśnie chłopca z gazetami. Gdy pan dojdzie do rogu, niech mi go pan zaraz przyśle“. Jest taki sam, jaki był w Springfield jako adwokat, chociaż i tam już zwracał uwagę swymi prostymi obyczajami farmerskimi. Oczywiście, że nie co dzień wystawał tak przed drzwiami, ale ta opowieść wskazuje, jak to nieraz zaciekawienie i niepokój przywracały mu jego stare nałogi i zwyczaje.

Przy tym wystarczyłoby mu pociągnąć za długi, ładny sznur od dzwonka, który wisi nad biurkiem, ale gdy teraz zasiada przy biurku w urzędowym fotelu, zadzwonić może na służącego, lecz z pewnością jeszcze nie na sekretarza Nicolay, bo ten prezydent w pracy wyprzedza bezwzględnie wszystkich obywateli Stanów Zjednoczonych. Nigdy nie był on przyzwyczajony do regularnego życia, lecz z natury i wychowania folgował raczej chwilowym impulsom, gdy coś zaczynał robić lub też coś porzucał, i wobec tego jest po prostu zdumiewające, jak ten człowiek pod brzemieniem obowiązków zaczyna się przyzwyczajać do systematycznej pracy. Aby się dostać do pracowni położonej na południowej stronie domu, musiał schodzić na dół i przebywać połowę hallu, nawet jeśli nie wychodził przez drzwi od ulicy jak dzisiaj, a jeśli wychodził w godzinach późniejszych, stawał się łupem mnóstwa czekających, którzy go natychmiast oblegali. Dopiero po trzech latach zabezpieczył się przed takimi interesantami kawszyszy zbudować boczny korytarzyk.

Pracownia jego jest duża: stoi w niej długi stół dębowy, przy którym odbywają się posiedzenia gabinetu, a dwie wypchane włosiem sofy, jakie się w niej znajdują, są wprawdzie bardzo proste, ale są aż dwie, może

więc ku wielkiej swojej uciesze kłaść się na jednej lub na drugiej, bo jak dawniej, tak i obecnie lubi leżeć z wygodnie wyciągniętymi nogami i czytać. Te dwie sofy to jedyny komfort i jedyna zdobycz jego prezydentury. Stary portret Jacksona, wiszący nad kominem, zastał tu niezawodnie i z pewnością nie bardzo się mu przyglądał, ale fotografię Johna Brighta, przywódcy robotników angielskich, sam tu sobie ustawił, a tym samym wszystkim dał do zrozumienia, jak wysoko ceni partię radykalną. Na ścianach wiszą mapy, które każdemu gościowi przypominają, że jest wojna.

Mężowie, którzy o dziewiątej wkraczają do pracowni, nie mają w sobie nic wojennego, a gabinet, którym Lincoln sprawił krajowi niespodziankę, byłby w czasach pokojowych niezawodnie taki sam. Gdy w tej chwili zasiada na czołowym miejscu przy stole, aby załatwiać sprawy bieżące, a także zakomunikować ministrom różne wiadomości, jest tak spokojny i pewny siebie, że nikt nie zdołałby po nim poznać, iż człowiek ten do chwili obecnej, to jest do 53 roku życia, jeszcze nigdy nie przewodniczył w żadnym posiedzeniu. A przecież ci, co siedzą przy stole i z mniejszą lub większą nieufnością spoglądają ku niemu, to wszystko starzy praktycy, z których każdy więcej ma zaufania do samego siebie niż do niego. Dlaczegoż to ten nowicjusz nie otoczył się osobistymi przyjaciółmi? Dokoła niego jest falanga obcych, z których połowa należy do jego przeciwników partyjnych, a druga połowa do przeciwników osobistych, chociaż są to przyjaciele partyjni. Gdy go pytano, dlaczego mianował czterech demokratów, a tylko trzech republikanów, odpowiedział: „Ja też jestem republikaninem, więc podział jest równy“. Jest to znamię niezwyklej mądrości państwowej, że w tak

znacznej liczbie przyciąga do współpracy przeciwników partyjnych, i to takich, którzy widzą w nim rywala.

A spod przymkniętych oczu siedzącego obok ministra wyziera jakby niezadowolenie i nadmierny krytycyzm. Nawet gdyby Seward był mniej próżny, niż był w istocie, któż mógłby mu brać za złe, że on, którego wykształcenie i zasługi wysuwały na pierwsze miejsce, a talenty i opinia powoływały na najwyższe stanowisko, czuł się upośledzony wobec tego, który tak czy owak jest teraz jego przełożonym? Wytwornie zarysowany nos i usta nie zatajają goryczy, a mądrość spojrzenia zdaje się być przesłonięta zasłoną ambicji. Gdy w owych pierwszych tygodniach ktoś zwraca się do Sewarda i mówi mu, jak boleśnie rozczarowało go omińnięcie pewnego kandydata na pewne stanowisko, ten odpowiada: „Mnie pan mówi o czymś rozczarowaniu? Mnie, któremu po sprawiedliwości należała się kandydatura, a musiałem stanąć na uboczu i przyglądać się, jak zdobywał ją drobny adwokat z Illinois? Mnie pan będzie opowiadał o rozczarowaniu?“ Nie jest on może przejednany, gdy tu zasiada, ale każe się nazywać premierem, co znowu bawi innych, a przygodnie popisuje się wiedzą tajemną, którą jakoby posiadał.

Także ten, co siedzi naprzeciw niego, trapiiony jest zawiścią, a chociaż nie mówi nic przeciwko Lincolnowi, milczy o nim niemal dosłyszalnie. Bo i on był konkurentem Lincolna, i on czuje się oszukany przez swoją partię. Ale postawa Chase'a jest sztywne, jego spojrzenie jest swobodne, jego wygolona twarz jest pełniejsza i młodsza i zdaje się, że ma on nadzieję, iż nastaną dla niego lepsze czasy i to pociesza go wobec doznanego upośledzenia. Niezachwiany przeciwnik niewolnictwa, we wszystkim płomienniejszy od Sewarda, a nawet od Lincolna, jest on jako minister finansów

wyłącznie niewolnikiem zimnych liczb, a czasami bywa nieco pompatyczny, lecz jego samowiedza nie pomniejsza w niczym rzetelności służby wobec tego, który został wybrany. Nie jest on ciemny w sprawach osobistych czy nawet urzędowych i dlatego prezydent pozostawia mu wolną rękę, bo talent jego i jego charakter czynią wszelką kontrolę zgoła zbędną.

I ten, co siedzi obok niego, równie doświadczony, jak rozporządzający wielkimi wiadomościami, czuje się tu nieszczególnie. Jest to Gideon Welles, którego pierwsze spojrzenie natychmiast przypomina morze, ale jego ostre ptasie oczy, ze zwisającymi pod nimi woreczkami, jego biała broda, jaką noszą marynarze, która jednak nie zasłania wąskich ust, jego długie, siwe, kędzierzawe włosy — wszystko to zdaje się charakteryzować raczej kapitana z dawnych czasów, prawdziwego wilka morskiego, w którym nie łatwo dopatrzeć się od razu ministra marynarki. Przez cztery lata będzie on wiernie oddany swej sprawie i w końcu osiągnie daleko większe powodzenie niż którykolwiek z jego kolegów. Być może, iż dzisiaj siedzi i Fox obok niego, jego młody sekretarz stanu, wielki wróg Anglii, który swego ostrożnego przełożonego młodzieńczym ogniem pobudza do czynu.

Ludzie ci tworzą całość i trzymają ze sobą. Szwagier Foxa, siedzący obok niego, to człowiek o młodej, twardej twarzy, ostrym nosie, bystrym spojrzeniu i zaciśniętych ustach; można by go uważać za matematyka. Jest minister poczty, Blair, członek wpływowego rodu z rozległymi stosunkami, równie namiętny przeciwnik rebeliantów jak Fox i jak on praktyczny. Bats, prokurator generalny, zdaje się być znacznie spokojniejszy. Pochodzi on z Missouri i niezawodnie dobrze rozumie Południe. Smith, minister spraw wewnętrznych, po-



chodzący z Indiany, jest dobrym obywatelem, przyzwoity, swoimi szeroko otwartymi jasnymi oczami zdaje się lepiej dostrzegać bliskie rzeczy poszczególne niż daleką linię, która gubi się w nieznanym.

Gdy Lincoln, znawca dusz ludzkich, rozgląda się bystrym spojrzeniem po tych, którzy zasiadają z nim przy stole, głowa ostatniego, siódmego ministra musi wydawać się mu odmienną od innych, aczkolwiek i tych sześciu też się różni między sobą. Jest to twarz wygolona, a na głowie nad ładnym czołem bielą się siwe włosy; duży nos, agresywne spojrzenie oczu i mocno zaciśnięte usta, które wolą milczeć niż mówić, oto rysy człowieka bez zapału, który zdaje się cieszyć tym, że pogardza ludźmi, śmiało przeciwstawia się całemu światu i zawsze gotów jest każdego wyprowadzić w pole. To jest Cameron, który został Lincolnowi narzucony przez jego własną partię i którego nie podobna było się pozbyć. Dzisiaj jest on ministrem wojny, a więc byłby osobą główną, gdyby mu Lincoln pozostawiał tyle wolności działania, ile jej pozostawia jego koledze, ministrowi marynarki. Ponieważ wszakże ani jeden, ani drugi na wojnie się nie znają, a jeden z nich umie robić korzystne interesy, podczas gdy drugi jest ojcem ojczyzny, minister ten nie będzie mógł resortu swego prowadzić sam i nie będzie mógł temu sprostać zbyt długo.

Gabinet składający się z typów tak różnych nigdy jeszcze nie zasiadał przy jednym stole. Pierwszym i najtrudniejszym zadaniem prezydenta było trzymanie w kupie tych ludzi o zgoła rozbieżnych dążeniach i poglądach, a następnie przekonanie ich o swoich zdolnościach i podporządkowanie swojemu kierownictwu, które na razie posiadał tylko na papierze. Była to próba ogniowa dla znawcy ludzi i praktyka życiowego. Z pró-

by tej wyszedł ręką obronna, co jest bodaj największym zwycięstwem Lincolna, a w każdym razie jest to podstawa i warunek jego zwycięstwa w wojnie. Tu bowiem, gdzie żywiły rozkładu przez oddzielenie się połowy narodu stały się pozornie legalne, gdzie tysiące głów i serc jeszcze wczoraj ze sobą związanych nagle przeciwstawiło się sobie, gdzie rasy i różnice narodowe wprowadziły do walki nie tylko rozbieżne interesy, lecz nawet różne poglądy wśród tych samych członków społeczeństwa i doprowadziły do zatargów — sprzeczności musiały się ujawnić w każdej dyskusji, przenikać do każdego urzędu, a szczególnie do gabinetu ministrów, którego członkowie dobrani zostali nie według ich zasadniczej postawy wobec najważniejszego zagadnienia; decydowały tu raczej względy partyjne i oglądanie się na poszczególne stany. Prócz tego ludzie ci zaskoczeni zostali niezwykłymi zadaniami, wobec których laik okazuje zazwyczaj więcej uporu niż fachowiec.

Zarazem ogólne uprzedzenie musiało się zwracać przeciwko wodzowi, który jeszcze nigdy wodzem nie był, ba, nawet nie przewodniczył żadnej komisji w Senacie, a tym mniej zdawał się być powołany do przewodniczenia Radzie Ministrów. Zamiast tedy zapoznawać się z nowymi dla siebie formami i zachowywać je, Lincoln postępował tak, jak gdyby od wielu lat nic innego nie robił, tylko przewodniczył Radom Ministrów: zachowywał się całkiem swobodnie, rozmowy prowadził w formie konwersacji, z rzadka zadawał pytanie bezpośrednio, wysłuchiwał uważnie wszystkich zdań, rozróżniał starannie to, co rozumiał, i to, czego nie rozumiał, w końcu ujmował w całość tylko te rzeczy, które uważał za dobre, z rzadka tylko dawał poznać, co odrzucał, zabezpieczał się przed obcą opieką przez

codzienne odwiedziny, szczególnie w Ministerstwie Wojny, a wszystko to czynił, jak się wyraża jego sekretarz, z największą uprzejmością: „Z niezrównaną delikatnością respektował on nie tylko autorytet, lecz także uczucia i mniemania oraz wiek członków swego gabinetu“.

W taki sposób już w pierwszych tygodniach swego urzędowania męskim gestem umiał sobie zapewnić kierownicze stanowisko. Seward, który na początku marca, bezpośrednio przed objęciem urzędowania przez prezydenta, chciał się wycofać z gabinetu Lincolna, w przeddzień wybuchu wojny zwrócił się do niego z takimi morałami na piśmie:

„1. Urzędujemy już od miesiąca, a jeszcze nie mamy polityki wewnętrznej ani zewnętrznej. 2. Jest to nie tylko obowiązkiem, lecz koniecznością; posiedzenia Senatu i liczni łowcy stanowisk przeszkodzili nam załatwić rzeczy poważniejsze. 3. Dalsze prowadzenie polityki wewnętrznej i zewnętrznej bez określonych wytycznych zaszkodziłoby nie tylko rządowi, lecz zagroziłoby niebezpieczeństwem krajowi. 4. Aby sobie zapewnić spokój, musimy pozbyć się łowców stanowisk... 5. Polityka wewnętrzna: wiem, że poglądy moje są nieosobliwe i może niejasne. Moja myśl zasadnicza jest ta, że wobec ludu musimy zagadnienie niewolnictwa, czyli wyzwolenia, przemienić w zagadnienie Unii i secesji, ze sprawy partyjnej musimy zrobić sprawę ojczyzny. (Następuje rada opuszczenia fortu Sumter)... 6. Polityka zagraniczna: zażądałbym natychmiast kategorycznych oświadczeń od Hiszpanii i Francji, o podobne poprosiłbym Anglię i Rosję, do Kanady, Meksyku, Ameryki Środkowej wyprawiłbym agentów dla zbudzenia mocnej opozycji przeciwko mieszanemu się Europy do spraw amerykańskich. Gdyby Hiszpania



i Francja nie dały odpowiedzi zadowolających, wypowiedziałbym im wojnę.

Jakąkolwiek wybierzemy ostatecznie politykę, będzie ona musiała być energiczna. Ktoś musi odważnie ująć ją w swoje ręce i prowadzić ją prosto i bez przerw. Kierownikiem polityki musi być i czuwać nad nią bezustannie albo sam prezydent, albo też musi on ją przekazać jednemu z członków Senatu. Gdy raz zostanie przyjęta, wszelkie dyskusje o niej muszą się skończyć, wszyscy muszą się jej podporządkować. Jest to sprawa mego resortu; odpowiedzialności za to ani z siebie nie zrzucam, ani też nie zabiegam o wyłączność w tej dziedzinie“.

Było to ultimatum Sewarda. Już raz uległ prośbie swego przełożonego i pozostał na stanowisku; teraz stawał przed nim z nabitym pistoletem i w suchych słowach niezbędnego ministra oświadczył, że politykę zagraniczną pragnie prowadzić sam albo gotów jest zrzec się stanowiska. Minimum grzeczności zawarte w słowach, że prezydent mógłby sam rządzić, zostało przekreślone ostatnim zdaniem, w którym była groźba. Przy czytaniu tego memoriału Lincoln doznawał może takich samych uczuć, jak w sprawie opuszczenia fortu Sumter, która w tych dniach także się zaostrzała i w Sewardzie znajdowała rzecznika błędnego rozwiązania przez ustępliwość. Podobnie jak Lincoln odrzucił radę ustąpienia z fortu, ponieważ jeden krok w tył byłby wywołał nowe żądania Południa, tak też nie zgodził się i na ten krok w tył. W obu wypadkach instancje niższe domagały się od prezydenta ustępliwości: z jednej strony grupa stanów, z drugiej minister. Jeśli Anderson ustąpi z fortu Sumter, to ja będę musiał ustąpić z Białego Domu — powiedział wtedy. Wydawało mu się, że będzie tak samo, jak gdyby ustąpił



z fortu spraw zagranicznych. Tego samego dnia jeszcze otrzymał Seward odpowiedź taką:

„Wielce szanowny Panie, od chwili gdy się rozstałmy, rozmyślałem nad listem pańskim dziś otrzymanym. Na początku miesiąca powiedziałem w swojej mowie inauguracyjnej: Powierzonej mi władzy użyję na to, aby posiadłościami i terytoriami należącymi do rządu administrować i zabezpieczyć je, a cła i podatki ściągać. Spotkało się to wtedy z wyraźnym uznaniem pańskim. Rozkaz dany generałowi Scottowi, aby wszelkimi środkami forty nasze utrzymywał i wzmacniał, to właśnie wyraz naszej polityki wewnętrznej, jakiej się pan teraz domaga, z tym jednym wyjątkiem, że fort Sumter opuszczony nie będzie... Wczorajsza wiadomość z San Domingo wnosi pewien szczegół do naszej polityki zagranicznej. Dotychczas wygotowywaliśmy noty okólnikowe, instrukcje dla naszych posłów i tym podobne pisma, wszystko w zupełnej zgodzie i bez jakiegokolwiek uwagi z pańskiej strony, że nie posiadamy polityki zagranicznej. Co do ostatniej propozycji pańskiej, to zaznaczam: co być musi, to oczywiście uczynię. Jeśli zostanie przyjęta linia ogólna, to nie widzę żadnego niebezpieczeństwa w tym, gdyby zaszła konieczność zmian czy dyskusji nad tymi sprawami. W sprawach poszczególnych, jakie wyłonić się mogą, życzę sobie i mam prawo zasięgać rady całego gabinetu. Od-dany Panu sługa A. L.“

Jest to ton człowieka, który od dziesięcioleci wydaje się być przyzwyczajony do rozkazywania. Ministrowi przypomina się jego zgodę na to, w czym brał udział. W sprawach nie wymagających jego zgody nie będzie o nią proszony. Sprawa wojny z dwoma państwami europejskimi pozostaje poza dyskusją. Jedynie później, i to prywatnie, wypowiada się Lincoln: „Jedna wojna

na razie wystarczy“. Kierownictwo spraw zagranicznych zostaje w sposób prosty ustalone, a próba wtargnięcia w prerogatywy prezydenta jest odparta mocnym ciosem, że w razie potrzeby zasięgać się będzie rady całego gabinetu. Oddany panu sługa.

Cóż dalej? Czy Seward ustąpi? Przy całej swej ambicji miał on jednak dość charakteru, aby uznać przewagę prezydenta, gdy tylko dostrzec ją zdołał. W maju wysłał decydującą depeszę do Anglii i zgodził się na skorygowanie jej przez prezydenta. Na początku czerwca pisał do swej żony: „Siła i moc to przymioty rzadkie. Prezydent jest najlepszy z nas wszystkich“.

## V

Tak samo jak ongi sklepowy postępował z kupującymi, a adwokat z klientami, bez jakichkolwiek określonych form i przepisów, od przypadku do przypadku, tak też obecnie wbrew wszelkim tradycjom Białego Domu obcuje prezydent ze swoimi urzędnikami. Stan wojny przesłania i usprawiedliwia tę anomalię, a niekiedy czyni ją konieczną. W tym wypadku moglibyśmy powiedzieć, że niezwykle stan kraju, a więc także administracji, odpowiada niezwykle charakterowi prezydenta lepiej, niż odpowiadałyby mu czasy pokojowe. Bo rodzaj tej wojny, jej przypadkowość i konieczność przytępiają formy same przez się i podnoszą znaczenie wszystkiego, co jest oryginalne. „Posyłam panu jednego z najlepszych ludzi, a jeśli w ogóle można go z kim porównywać, to powiem, że jest to człowiek, który będzie panu przyjemniejszy ode mnie“ — wyraża się Lincoln w liście polecającym do pewnego wysokiego urzędnika. A przy mianowaniu innego urzędnika pisze:

„Mam do pana specjalną prośbę: niech pan się nie pokłóci z X., który jest również moim przyjacielem, i to dawniejszym niż pan. Byłbym panu nawet bardzo zobowiązany, gdyby pan przy sposobności zrobił dla niego to i owo“. Jeszcze do innego pisze tak: „Szanowny Panie! Niech mnie Bóg wspomaga! Mówią mi, że pana obraziłem. Niechże mi pan napisze, czym się tego dopuściłem. Szczerze panu oddany“. Odpowiedź brzmi, że tamten o niczym nie wie. Lincoln na odwrotnej stronie listu robi uwagę: „Rad jestem, że się nic nie stało“.

Albo na przykład chodzi o to, aby pewnego człowieka namówić do zawiezienia tajnych papierów dla gubernatora Teksasu. „Jest to poselstwo sekretne. Prócz mnie i mego gabinetu nikt o tym nie wie. Teraz zaprzysięgnę pana jako ministra. Niech pan podniesie prawicę. Tak. Teraz może się pan uważać za członka gabinetu“.

„Czy nie wolałby pan wysłać urzędnika?“

„Każdego urzędnika powieszono by“.

„A mnie, jeśli zostanę złapany?“

„Gdybym to przypuszczał, nie namawiałbym pana. Ponieważ pan tam mieszka i właśnie powraca w swoje strony, więc mam nadzieję, że zabierze pan te papiery“.

W taki sposób zyskuje kuriera. Lecz gdy gubernator usprawiedliwia zwłokę w wysyłce wojska tym, że rachmistrze nie zdążyli z wypłatami, otrzymuje odpowiedź: „Niech pan powie tym panom, że jeśli nie będą pracowali żwawiej, to zabiorę się do nich bardzo żwawo. W imię rozsądku! Czy naprawdę trzeba tyle czasu, aby wypłacić żołd pułkowi wojska? Bodaj nigdy wojsko nie było tak potrzebne jak teraz!“ Pewnego razu jakiś senator chce go zmusić do niemiłej dla niego rzeczy i powiada: „Zawsze nazywał się pan obrońcą ludu. Ta sprawa uczyniłaby pana bardzo popularnym“. Lincoln odpowiada: „Ani myślę ulegać klientom, którzy dora-

dzają mi sprawy przeciwne moim przekonaniom... Będziecie państwo mieli sposobność pozbycia się mnie, jeśli wam się rządy moje podobać nie będą“.

Dla takiego senatora nie ma on respektu i nie myśli go udawać, ale siła fizyczna imponuje dawnemu drwalowi i nią też jedynie chce sam imponować. Jak wszyscy niezwykle wysocy ludzie, tak i on irytuje się widokiem człowieka równie wysokiego jak on sam. „Aha, więc pan jest mr Sherman. No to zaraz zobaczymy, czy pan jest równie wysoki jak ja“. Takimi słowy wita pewnego senatora, który skutkiem tego traci pewność siebie. Gdy na pokładzie statku wojennego spostrzega siekiere wbitą w szczapę, nie może się oprzeć, musi ją wyjąć i potrzymać przez kilka minut w ręku, trzymając ją poziomo w dwóch palcach za koniec toporzyska. Tym imponuje swemu otoczeniu i jest zadowolony, że nawet najsilniejsi marynarze nie mogą tego powtórzyć.

Obcowanie z prostymi ludźmi jest dla niego koniecznością: żadne dostojeństwo, żadna troska nie może go powstrzymać od tego. Z biegiem czasu to obcowanie z ludem nie zmniejsza się, lecz przeciwnie, wzmagą. Także pod tym względem nastroje wojenne sprzyjają jego usposobieniu. Dwa razy w tygodniu każdy ma dostęp do niego, co jest oznaką prawdziwej demokracji, jaka jeszcze dzisiaj zdobi Biały Dom i jakiej nie spotykamy w ani jednym zamku królewskim czy pałacu prezydenta w Europie. Podczas tych przyjęć ów prezydent, na ogół zaniedbany w ubiorze, bywa zawsze ubrany starannie i siedząc w swoim fotelu wysłuchuje uważnie każdego. „Jego przyświadczone «tak» budziło uczucie radości i było wielce uprzejme, zaś przeczące «nie» pozostawiał petentowi, aby ten wymówił je sam, tak że nigdy nie sprawiało przykrości... Odchodziłem od niego podniesiony na duchu i czułem w sercu przy-



rost odwagi“ — opowiada naoczny świadek tych przyjęć. Przy takich sposobnościach prezydent wydobywa z ludzi więcej niż przypuszczają i zdobywa daleko dokładniejsze wiadomości dotyczące nastroju mas ludowych, niż miewają niektórzy o własnych swoich stanach. Właśnie dla tych petentów cierpliwość prezydenta jest niewyczerpana i gdy przypadkowo staje się świadkiem, jak trzy ubogie dziewczęta strofowano w sieni jego domu, każdej z nich szybko podaje rękę. Gdy odźwierny podnosi na kogoś głos, prezydent stara się sam dowiedzieć, co się stało, pozostawia na uboczu czekającego senatora i trzymając w ręku wizytówkę zameldowanego wychodzi czasem przed drzwi, aby wprowadzić do siebie czekającego petenta.

Nieraz bywa przy tym oszukiwany, o czym wie bardzo dobrze, ale mięknie wobec proszących kobiet nawet w tych wypadkach, gdy zabiegając o darowanie życia synowi-dezertterowi przybywają do niego w szatach wdowich albo pożyczają sobie dziecko na wizytę u niego. Ponieważ jest przekonany, iż łaska zawsze jest lepsza od kary, ryzykuje raczej, że miłosierdzie posunie może za daleko. Czyliż wojna sama przez się nie przynosi krajowi aż nadto nędzy?

Gdy trzeba ludzi uspokajać, przypomina sobie coraz to nowe przypowieści albo też odpowiednie historyjki. Całe gromady zgłaszają się do niego po radę czy też ze skargami. „Wyobraźcie sobie — powiada pewnego razu do jednej z takich grup — że całe wasze mienie znajdowałoby się w rękach Blondina, a on musiałby wszystko wasze złoto przenieść nad wodospadem Niagara. Czy krzyczelibyście wtedy do niego: «Blondin, trzymaj się prościej! Pochyl się nieco naprzód, idź szybciej, nie przechylaj się tak bardzo ku przodowi!»? Raczej wstrzymywalibyście oddech i trzymali język za

zębami, a ręce przy sobie, zanim ujrzelibyście go po drugiej stronie wodospadu. Rząd dźwiga ciężar olbrzymi, największe skarby znajdują się w jego ręku. Bądźcie spokojni, już my je przeniesiemy!“

Gdy pewnego razu po jego wizycie w akademii wojskowej rozchodzą się wieści o dymisji generałów, w krótkiej mowie do ludu powiada: „Gdy ktoś na ptaki lub inne zwierzęta spogląda przez mgłę, wszystko widzi niedokładnie. Byłoby tak samo, gdybym spróbował wytłumaczyć wam tę wizytę... Chodzi tu o rzeczy, które zrozumielibyście tak jak ja, gdybym wam je opowiedział... Ale minister wojny, rozumiecie to chyba, trzyma prasę w garści, żeby nie gadała za dużo. Gdybym powiedział za dużo, musiałbym się obawiać, że i do mnie zabierze się żwawo“. Taki ton jest dla każdego zrozumiały i każdy wierzy mu chętnie.

Nie znosi wszakże pretensji. U tak zwanych fachowców, dyplomatów toleruje zarozumiałość i udaje, że niczego nie widzi i o niczym nie wie, gdy ci bawią się kosztem jego śmiesznych ruchów i w domu opowiadają sobie dwuznaczne historyjki na przykład o jego ubiorze. Gdy wszakże pewien młody hrabia, polecony przez pruskie poselstwo i wprowadzony przez Schurza, prosząc o przyjęcie go na oficera opowiada szczegółowo, ile to stuleci liczy sobie jego ród, Lincoln przerywa mu uprzejmie: „Niech pan sobie tego tak bardzo do serca nie bierze. Byle pan się okazał dobrym żołnierzem, panie hrabio, to pochodzenie pańskie wcale panu u nas szkodzić nie będzie“.

Każdemu umiał Lincoln sprostać, byle mógł go dosięgnąć swoim humorem. Poszukiwacze posad byli mu prawie zawsze niesympatyczni. W pierwszych tygodniach jego prezydentury nadokuczali mu oni wyjąt-

kowo i ciążyli bardziej niż obawy o losy narodu. Wierzył, że pokona przeciwieństwa narodowe, nie miał jednak nadziei, że upora się z łowcami posad. „W Springfield było źle, ale były to dziecinne igraszki w porównaniu z tym barbarzyństwem, jakie dzieje się tutaj. Nie pozostawiają mi nawet czasu na jedzenie i spanie. Jestem jak zwierzyna osaczona ze wszech stron przez zgrają tych łowców!“ Schody i korytarze były zrazu przepełnione przez takich ludzi, którzy głośno omawiali swoje szanse niby na jakiejś giełdzie, podczas gdy przyjaciele czekający na niego spacerowali na placyku przed domem. Nawet na ulicach zaczepiali nowego prezydenta poszukiwacze posad. Bo po raz pierwszy docierała do władzy nowa partia, a ponieważ prezydent poszukiwał ludzi dzielnych i chciał skrócić kark partyjnictwu przez mianowanie demokratów, ponieważ nawet własnych swoich krewniaków przy mianowaniach unikał, więc odwoływanie się do jego władzy przy ciężkim położeniu państwa było mu podwójnie niemiłe. Antypatię dla nich wyraził wspaniałym zdaniem: „Gdy dom płonie, muszę się parać z ludźmi, którzy szukają w nim mieszkania!“

Z rzadka i tylko wobec wielkiego zuchwalstwa tracił cierpliwość. Gdy jakiś człowiek zwraca się do niego z prośbą, aby prezydent pozwolił mu użyć swego imienia na prospekcie i gdy nie wystarcza mu słowo pierwszej odmowy, spokojny Lincoln wybucha nagle: „Czy pan sobie wyobraża, że prezydent jest od tego, aby był czyjś agentem? Dla pana i dla każdego, kto przychodzi z takimi propozycjami, drzwi są tam!“ A do pewnego inwalidy, który prosi o posadę, ale nie ma przy sobie dowodów, powiada: „W jaki sposób mam się upewnić, że nie stracił pan nogi na przykład przy wtargnięciu do cudzego ogrodu?“ Lincoln jest synem chłopca

i zna się na takich kawałach, więc w pole wyprowadzić się nie da. W końcu jednak inwalidę poleca.

Tylko humor wynosi go i tutaj na wyżyny kontemplacji. Czasem zażartuje sobie z ludzi, zmiesza ich swoją przewagą bez obrażania kogokolwiek i to daje mu chwilę wytchnienia. Niekiedy zdaje się mu, że wracają dobre czasy sądów wędrownych i w petencie widzi wroga, który ma równie dużo prawa i obowiązków jak on sam. Na przykład takie koła poczmistrzów, które dawnego swego kolegę proszą o stanowiska, to zjawisko stałe. Gdy razu pewnego jeden z nich przybywa z Zachodu i bardzo obszernie opowiada mu o tym, co się u nich dzieje, prezydent czekający, że gość lada chwila wystąpi z prośbą o posadę, kładzie mu poufale rękę na ramieniu i pyta: „Ale chyba nie ma pan w kieszeni poczmistrza?” Gość spogląda na mówiącego, nie rozumiejąc, o co chodzi. „Widzi pan, bo każdy, kto tu przychodzi, przynosi w kieszeni czy to posła, czy radcę okręgowego, więc skromnie licząc, byłem przekonany, że ma pan co najmniej poczmistrza w kieszeni”.

Pewnego razu umawia się ze swoim lekarzem co do sposobu pozbycia się nadmiernej ilości interesantów.

„Co to za plamy ma pan prezydent na rękach?” — pyta go pewnego razu doktor w obecności petenta.

„Ospa. Takie plamy mam na całym ciele. Czy to zaraźliwe?”

„Okropnie”.

Potent zwiął na poczekaniu.

## VI

Gabinet i politycy najmniej spodziewali się po nim umiejętności w traktowaniu obcych państw. Bo gdzież taki chłopski adwokat miał się nauczyć subtelnej



sztuki dyplomacji, jaką taki na przykład Douglas przyswajać sobie musiał w ciągu dziesięcioleci w salonach Waszyngtonu? Seward umiał układać noty, Sumner, który teraz zajmował miejsce Douglasa w Komisji Spraw Zagranicznych jako jej przewodniczący, znał dyplomatyczny styl europejski, Cameron przeciwstawił się przez cieśniny i wąwozy wszelakiego pieczęniarstwa... A ten prezydent, wywodzący się z ludu, chłop i opowiadacz historyjek? Od spraw delikatnych trzeba go powoli odsunąć na bok.

To uprzedzenie zawodowych polityków, a zarazem błąd czasów późniejszych, które nie dostrzegały roztropności Lincolna i jego zręczności w wypowiedaniu się i nie umiały zauważyć światowych arabesek obok zasadniczych cech jego charakteru, zostało ostatecznie rozbrojone przez wielostronność, subtelność i cierpliwość w traktowaniu neutralnych państw, czyli to, czego przy siwych włosach nauczyć się nie można, co jednak ujawnił Lincoln już w pierwszych chwilach swego urzędowania.

Już sposób, w jaki traktuje on wrogą prasę, zdradza w nim dyplomatę. Potężnemu Greely'emu, którego głos wspierał rządy lub je obalał, a który w Springfield pozostał wobec Lincolna nieprzejednany, dostarcza w najściślejszym zaufaniu wiadomości o wszystkich zamierzeniach rządowych pod warunkiem, że w nowym piśmie swoim popierać będzie politykę rządu. „W taki sposób staje się on moim rezonatorem, a nikt nie musi wiedzieć, że jego głos jest moim głosem. Mam wielkie zaufanie do niego: jest on wielką potęgą. Świadomość, że stoi za mną, znaczy dla mnie więcej niż 100 tysięcy ludzi“. Prosi go o wyłożenie jego poglądów, aby je podzielać lub też wypowiadać się o nich. „On i ja mieliśmy trzymać ze sobą i nie dopuszczać do żadnych roz-

bieżności. Obaj dążymy do tego samego. Oto, panie gubernatorze, jest list dłuższy od wszystkich, jakie pisałem w ostatnich miesiącach i jakiego nie napisałbym o nikim z wyjątkiem Horacego Greely“. Dokument ten jest tak stylizowany, aby przy sposobności mógł być pokazany w zaufaniu wielkiemu dziennikarzowi. Jest to próba duchowego przekupienia i jeśli udała się tylko w połowie, to jednak przemawia na korzyść obu stron.

Trudniejsza była sprawa ze stanami graniczącymi z Południem, tymi najważniejszymi, neutralnymi, od których postawy zależał ostateczny wynik wojny. Ponieważ w stanach tych ujawniały się prądy rozbieżne, chodziło o to, aby w każdym z nich popierać stronnictwo Unii. W Tennessee i Arkansas nieliczni przyjaciele Unii nie zdołali zapobiec rozłamowi, natomiast Delaware wysłał wojsko na północ, aczkolwiek oficjalnie nie przyjął on proklamacji. Wszystko zależało od tego, czy uda się zatrzymać Maryland, Kentucky i Missouri. Ponieważ stany te nie były zdecydowanie niewolnicze, ale obejmowały posiadłości wielu właścicieli niewolników, było to możliwe, a pod względem moralno-politycznym ogromnie ważne. W Missouri gubernator chciał zapobiec rekrutacji, ale Niemcy, którzy tutaj, a także i w innych stanach energicznie występowali w obronie zasad północnych, stawali w szeregach wbrew niemu. Z drugiej strony Południe nie traciło nadziei, że uda mu się uratować część Illinois i część Pensylwanii. Zrazu więc istniało kilka stanów chwiejnych, które pozyskać można było tylko dzięki zręczności, a później przez ich zajęcie.

Przy takiej sytuacji Lincoln-dyplomata unikał wszelkiego nacisku prawnego, wszelkiej frazeologii patetycznej. Gdy na przykład gubernator Kentucky życzył sobie, aby wojska zostały wycofane, odpowiedział mu

Lincoln: „Bardzo serdecznie podzielam życzenie Waszej Ekscelencji memu stanowi rodzinnemu, Kentucky, utrzymania pokoju, ale z żalem stwierdzam, iż daremnie szukałem w piśmie pańskim jakiegoś znaku, że i pan życzy scbie utrzymania Unii. Oddany Panu...” Tutaj oto wielkie zagadnienie zostaje ujęte w jedno zdanie pełne dworskiej uprzejmości i milczącej drwiny. Uczuciowe pojęcie ojczyzny zostaje tu gładko przemycone w chłodnej dedukcji, a jednocześnie w sposób najpoprawniejszy ukazuje oczom pana gubernatora rodzaj straszliwego zwierciadła. Są to nowe dowody tego samego mistrzostwa, z jakim przed dwudziestu pięciu laty złowiony narzeczony zdołał się za pomocą korespondencji wykręcić z sideł otyłej narzeczonej.

Posłów obcych państw, z którymi zetknął się bezpośrednio przy rozstrzygnięciu spraw wojny, traktował suwerennie niby władca panujący od dziesięcioleci, znajdował ton odpowiedni do omawiania poszczególnych spraw i wiedział dobrze, z kim może postępować po ludzemu. Oto pewnego wieczoru przybywają do niego czterej Kanadyjczycy, pełni dostojęstwa, i zastają u prezydenta pewnego profesora, który szkody wyrządzone przez wojnę przedstawia dokładnie za pomocą liczb. Lincoln jest ubrany nie bardzo elegancko. Gdy zakłada nogę na nogę, na stopach bujają się pantofle, a spod spodni wyzierają grube niebieskie skarpetki wełniane. W pewnej chwili opowiada on komiczną anegdotę murzyńską. A jednak i o tych odwiedzinach opowiadają ci — tak różni — goście z wielkim zachwytem, chociaż każdy oświetla je z własnego punktu widzenia: profesor podziwia dokładne wiadomości prezydenta, Kanadyjczycy podkreślają jego klasyczną godność. Gdy pewnego razu przyprowadzają do niego dwóch oficerów armii amerykańskiej, Szweda i Nor-



wega, Lincoln recytuje im w angielskim przekładzie utwór poety szwedzkiego, w którym zawarta jest stara legenda i opisany krajobraz ich ojczyzny.

Gdy król syjamski przesyła mu w darze miecz i inne rzeczy, Lincoln dziękuje mu za te „dary królewskie, za miecz z kruszcu szlachetnego, wspaniałej roboty, za fotografię Waszej Królewskiej Mości i jego ukochanych cór i za dwa kły słoniowe o tak niezwyklej długości, iż na pierwsze spojrzenie widać od razu, że pochodzą one mogą tylko od słoni zrodzonych w Syjamie... Wasza Króлева Mość zechce przyjąć do wiadomości, że ustawy nasze nie pozwalają mi na przyjmowanie takich bogatych darów... Kongres przekaże te dary arsenałom rządowym“. Następuje podziękowanie za proponowane słonie bojowe: „Rząd nie zawahałby się przyjąć daru tak wielkodusznego, gdyby przy obecnym położeniu państwa słonie znajdowały praktyczne zastosowanie. Granice naszego państwa nie dochodzą do takich szerokości południowych, jakich należałoby sobie życzyć w interesie hodowli słoni; na ziemi i na morzu najważniejszym czynnikiem transportowym jest para. Niebawem będę miał sposobność... Waszej Królewskiej Mości dobry przyjaciel Abraham Lincoln“.

Ma się wrażenie, że widać wesołe błyski w jego oczach, gdy list ten dyktuje. Nie ma tu żadnego decernenta dla Syjamu, a Seward nie posiada ani fantazji, ani stylistycznej finezji do wynalezienia takich ironiczno-delikatnych zdań. Posiada natomiast tę sztukę adwokat z lasów zachodnich, który niewiele widział świata i mało o nim czytał, a w sztuce swojej jednoczy zręczność dyplomaty z polotem poety. Umie on wżyć się w sposób odczuwania innych ludzi i pośród masy innych spraw, pilnych i groźnych, potrafi na dziesięć minut przerzucić się do Syjamu, aby podziękować za ozdob-



ny miecz, który jemu może się wydawać tylko śmieszny, i za parę słoni, na których grzbiecie mógłby usadowić najwyżej jedną z postaci swoich anegdot.

Ta pewność siebie, jaka towarzyszy mu we wszystkich sytuacjach życiowych, rozwinęła się w nim nadzwyczajnie w ostatnim dziesiątku lat; jest ona zdumiewająca u człowieka z natury zamkniętego w sobie, a nawet nieśmiałego, który otoczony nieufnością, krytyką i drwiną, jako początkujący umie jednak środki władzy spotęgować środkami ducha. W setkach powikłań wojennych łatwiej mu przychodzi przekonywać ludzi niż rozkazywać im, a tym samym zapobiegać konfliktom. Właśnie jako wojna domowa, w dodatku toczona w łonie młodej demokracji, walka ta musiała się odbywać nieuniknienie przy najtrudniejszych zatarczeniach w łonie stanów dochowujących wierności Unii i tylko ręka mistrza, pewna siebie w wyborze środków traktowania i jednania ludzi, mogła te walki doprowadzić do zwycięstwa.

Bowiem zarodki korupcji politycznej i pogoń za stanowiskami najpotężniej rozwijały się właśnie w armii.

## VII

Żadne państwo europejskie nie było tak źle przygotowane do wojny jak Unia, a przede wszystkim Północ. Ludzi było dość, a od chwili upadku fortu Sumter nie brakło też zapłału, była siła fizyczna i były pieniądze, lecz nie było generałów i brakło wodza naczelnego. Najwyższy wódz armii i marynarki, to jest prezydent, znał się na wojnie akurat tak jak wszyscy na ogół jego poprzednicy i rywale, ale nawet gdyby był zasłużonym generałem, to też nie mógłby według swego uzna-

nia mianować dowódców. Bo głównodowodzący stał tu nad wodzem najwyższym bodaj jeszcze wyżej niż w Anglii, nie mówiąc o reszcie Europy, a tym głównodowodzącym była opinia publiczna. Przy pomocy prasy, klubów i stowarzyszeń, komisji kongresowych i banków każda partia starała się wprowadzić na najwyższe stanowiska swoich własnych ludzi i stale posługiwała się najmocniejszymi środkami nacisku i groźby, aby tylko osiągnąć swoje cele.

Kto na przykład mógłby zmusić gubernatorów poszczególnych stanów do rekrutowania wojsk, gdyby się im nie dawało obowiązujących przyrzeczeń w sprawie obsady wybitnych stanowisk? A nawet później, gdy powszechna służba wojskowa stała się prawem, głowa państwa musiała liczyć się z potężnymi grupami i wpływowymi ludźmi, aby utrzymać ich w dobrym humorze. Przeciw konieczności takiego lawirowania występowały całkiem słusznie sztaby i oficerowie zawodowi, którzy nie chcieli mieć cywilów jako przełożonych, narzucanych im jedynie przez koniunkturę polityczną. Następnie dowódcy niżsi rywalizowali między sobą, jak to zawsze czynią dyletanci, którzy braki swoje znają nawzajem. Buntowała się przeciwko temu moralność prezydenta i jego poczucie odpowiedzialności. Prezydent, osobiście na początku wojny, musiał stoczyć niejedną ciężką walkę duchową, gdy trzeba było wewnętrzne zrozumienie przeciwstawić zewnętrznej mądrości, rzeczowość — polityce. „Oddawcy tego listu musi pan dać jakieś stanowisko. Niech pan zakończy sprawę z kolektorem. Pan to dla mnie uczynić może i uczynić musi“.

Takich biletów były setki, pisało się je naprędce do generała Scotta w interesie jakiegoś człowieka Lincolnowi zgola obojętnego, do wczoraj jeszcze nieznanego

i z pewnością niezdolnego. Z biletu takiego wydziera się ciężkie westchnienie, gniewne, głębokie i zmęczone, cała złość człowieka do gruntu uczciwego, który niczego nie szuka dla siebie i rzadko kiedy mocą swej władzy czyni coś dla swoich przyjaciół, a teraz oto zajmować się musi ludźmi obcymi, i to nie w interesie Stanów czy wojska, lecz ze względu na sytuację partyjną, i takiego obcego człowieka poleca generałowi dowodzącemu z dodatkiem: „Dla mnie“.

Przy tym bezustannie męczy go świadomość niedostatecznej wiedzy fachowej, a właśnie tego braku nigdy sobie nie wybacza ten poważny samouk. Umie on kontrolować nie tylko sędziów i adwokatów, ale z rąk niezręcznego stolarza bierze piłkę, aby mu pokazać, jak co się robi, umie osądzić wartość domu zbudowanego z drzewa i przebieg walki zapaśniczej, potrafi obchodzić się z końmi i wołami, kierować tratwami i łodziami, a wojna nastrocza mu niejedną poważną lub wesołą okazję do wykazania sprawności; doznaje więc tym większego niepokoju, że w sprawach wojny, w których ostatecznie sam decydować musi, zależny jest od fachowych wykładów swego ministra wojny. Męczy go też świadomość, że przeciwnik zapewnił sobie usługi najlepszych oficerów, bo Lee nie jest jedynym, który usunął się od służby, i na razie naród nie ma nikogo, komu mógłby powierzyć dowództwo nad swoimi siłami zbrojnymi.

Oto wygląda oknem swego pokoju, patrzy na drugi brzeg rzeki i przez lornetkę widzi doskonale niebieski sztandar secesjonistów, który tam powiewa na wietrze równie wesoło, jak tutaj sztandar dawny, i równie jest szanowany przez tamtych, jak ten szanowany jest przez swoich. Ale gdy zapada noc i gdy znowu mija jeden z dni pełnych ciężkich trosk, w ciągu którego nic się



nie zmieniło na lepsze, przybywa do prezydenta agent z Kanady, by przejąć angielskie listy przeznaczone dla Południa, i ten obcy człowiek słyszy narzekanie prezydenta: „Od chwili gdy tu zamieszkałem, sypiam tylko na jedno oko; oba oczy zamykam tylko wtedy, gdy przychodzą łowcy posad“. A gdy teraz przegląda pootwierane listy i zdumiewa się spotykając niejedno znane nazwisko, gdy listy te segreguje i oddziela jedne od drugich, dostrzega agent „ślady głębokiego smutku i wyraz wielkiej powagi w jego spojrzeniu, które wymowniej od słów mówi o bolesnych rozczarowaniach. Zmarszczki dokoła oczu pogłębiły się, usta zacisnęły się mocniej, ale nie brakło w nich wyrazu uprzejmości i wyrozumiałości“.

Tymczasem prasa wywiera nacisk: Dalej! Naprzód na Richmond! Istnieje bowiem obawa interwencji Europy i żywi się przekonanie, że nieprzyjaciela, równie źle przygotowanego, można powalić pierwszym mocnym ciosem. Czy to drwina i pycha, że na stolicę swoją wybrali miasto położone tak blisko stolicy starej Unii? Dlaczego nie zebrali się w centrum Południa, w Nowym Orleanie, lecz przeciwnie, za ośrodek buntu obrali miasto oddalone o 150 kilometrów od Waszyngtonu? Wirginia jest potężna, posiada wielkie znaczenie i stąd właśnie najłatwiej wywierać nacisk na stany pograniczne. Przede wszystkim pokaże się całemu światu, że wyprawa do Waszyngtonu to spacerek i że niedługo nastąpi spotkanie ze starymi przyjaciółmi. Tak więc decydująca widownia wojny, mianowicie wschodnia, zostaje ograniczona do niewielkiego terytorium, podczas gdy widownia zachodnia jest bezkresna.

I podczas gdy nowe pułki napływają liczniej, niż tego żądano i oczekiwano, ale niewyszkolone i niemal zupełnie pozbawione dowództwa, podczas gdy położona na



pograniczu stolica Unii staje się istnym obozowiskiem, a dziesiątki tysięcy żołnierzy gromadzą się w jej najbliższych okolicach, podczas gdy prezydent musi poświęcać sztandary i odwiedzać lazarety oraz być obecnym na paradach wojskowych, chociaż widzi, że wszystkie siły narodu rwą się na front, nie może on skierować tych sił w tamte strony, bo brak mu generałów. „Mam więcej dziur — powiada — niż kołków do ich pozatykania“. Porównanie to jest wspaniałe, ale gdy Buella przeznacza dla armii nad Ohio, a McDowella wysyła na Wschód, to ani on sam, ani kraj nie zna tych dowódców i tylko Frémont, który obejmuje dowództwo nad armią zachodnią, nosi nazwisko wzbudzające zaufanie.

Niepewne nadzieje kraju popychają Lincolna i Scotta naprzód, ale podczas gdy Lincoln przestrzega przed atakiem ogólnym i wskazując na brak kolei doradza jedynie atak pozorny dla rozproszenia sił nieprzyjacielskich, aby zapobiec możliwej porażce, stary Scott słysząc o tym nie chce: pewnej niedzieli nakazuje atak całej armii wschodniej i nad Bull Run, dopływem Potomaku, ponosi pierwszą ciężką porażkę. Armia cofa się w popłochu ku stolicy, panikę potęgują senatorowie i inni gębacze z tyłów armii, którzy powyjeżdżali za miasto w powozach, aby się przypatrywać, jak to się zwycięża. Każdy podwaja rozmiary porażki i wszyscy są przekonani, że nieprzyjaciel będzie ścigał pobitych. W całym tym zamęcie, podczas gdy ministrowie i członkowie Kongresu tracą głowę, nikt nie zachowuje tyle spokoju, co prezydent; wydaje on w mieście konieczne rozkazy, a do pobitego generała telegrafuje: „Ratować Waszyngton i armię!“ Do pewnego znajomego wszakże, który odwiedza go tej nocy, mówi Lincoln w zaufaniu: „Minister wojny nie pozwala mi mówić więcej. Te chłopcy wojskowe obchodzą się ze mną dość ostro. Będę ich

musiał słuchać, dopóki się sam w wojowaniu nie rozeznam“.

Tak więc w dniu pierwszej porażki postanawia Lincoln sam się w wojowaniu rozeznąć.

Ale na rozeznawanie się jeszcze czas; teraz trzeba przede wszystkim szukać nowego wodza. Kraj pragnie widzieć na czele wojska młodego bohatera, Scott ma siedemdziesiąt pięć lat. Któż więc — zadaje sobie Lincoln pytanie — ukochany jest przez wojsko, a przez lud najlepiej znany, gdy brak człowieka doświadczonego? Kto posiada siłę sugestywną, która potrzebna jest w tej chwili? Kto mógłby się jednocześnie pochłubić czymś pozytywnym, wykonanym w ciągu tych trzech miesięcy wojny? McClellan zorganizował szybko i świetnie nowy stan, Wirginię Zachodnią, to jest część dawnej Wirginii, która dochowała Unii wierności, wyparł z tego stanu resztę żywiołów południowych i zyskał sobie ogólny poklask. Nie jest tego tyle, aby można to było uważać za kwalifikację na wodza, ale jest tego więcej, niż wykonać zdołali inni. Czy jest on oficerem czynnym? Był oficerem, potem stał się dyrektorem kolei, ale podczas wojny meksykańskiej wyróżnił się jako oficer saperów i nawet w wojnie krymskiej zdobywać miał wawrzyny, chociaż sprawdzić tego nie podobna. Czy należy do partii republikańskiej? Nie, jest demokratą. Bardzo dobrze, kraj będzie widział, że mianuje się go tylko dla jego wybitnych zdolności. A te zdolności? Kto go tam wie, ale ludzie powiadają, że to drugi Napoleon.

Jest to człowiek po trzydziestce i ma postawę tak świetną, że można by się w nim zakochać. Wytworny pan o manierach południowca, świetny jeździec, w twarzy jego widać skupioną powagę; ma duży nos, obwisłe

wąsy, głęboko osadzone oczy, blade policzki, po chłopcemu rozdzielone włosy; woli wszakże patrzeć poza kogoś niż spoglądać w oczy. Ludzie dodają jeszcze: jest tak samo mały jak Napoleon. Zaczyna też natychmiast przemawiać z napoleońskim patosem. Korpusy wschodnie nazywa teraz „armią nadpotomakową“, a gdy wyjeżdża, otacza go zawsze świetna świta, on zaś siedzi na wspaniałym koniu, zamyślony i skupiony, z tajemnicą na ustach. „Nadam wielki rozmach sprawie i w ciągu jednej wyprawy pobiję buntowników“. Tak pisze do swej żony niby jaki Jefferson, a innym razem wyraża się tak: „Lud wzywa mnie, abym ratował kraj. Muszę to uczynić i nie mogę cofnąć się przed niczym, co by mi w drodze stanąć mogło“. Cóż to za akcenty? Każde słowo gdzieś wycytane.

Nowy wódz zaczyna od przerwy w działaniach wojennych. Najprzód trzeba ćwierać miliona żołnierzy w ciągu trzech miesięcy przeciwzyć. Lincoln jest bardzo niespokojny. Wschodnia część stanu Tennessee, zagrożona przez Południe, bezustannie woła o pomoc, a ten punkt oparcia dla Północy chciałby on za wszelką cenę utrzymać. Ale jest zależny od planów, a nawet od usposobienia swoich panów generałów, jest ich niewolnikiem, a ogół przysięga, że gabinet liczy na swego drugiego Napoleona. Gdy już w pierwszych tygodniach pewien stary przyjaciel mówi Lincolnowi poufnie, że McClellan chce zostać prezydentem, ten odpowiada całkiem spokojnie: „Nie mam nic przeciwko temu, niech tylko naprzód wygra wojnę“. Na razie nie pozostaje mu nic innego, jak tylko pozostawić nowego wodza przy ćwiczeniu wojska nad Potomakiem. To samo musimy uczynić i my, a tymczasem udajmy się na Zachód. Może tam są lepsze widoki zwycięstwa?

## VIII

Także i tutaj, w St. Louis, siedzi piękny generał Frémont ze wspaniałym sztabem, ale ma on w każdym razie wielką przeszłość, a przynajmniej otacza go legenda takiej przeszłości. Ten pionier Zachodu, wywiadowca i szlachetny romantyk, został przez młodą partię wysunięty jako kandydat na prezydenta i walczył po stronie Lincolna. Czy od tych czasów upłynęło naprawdę dopiero lat pięć? Za mało, aby zostać zapomnianym przez Frémonta, za wiele, aby utrzymać opinię swoją bez nowych czynów. Na razie ceni go Lincoln i ceni cały gabinet. Blask, wymowne milczenie i brak wszelkiego doświadczenia wojennego to są rysy upodabniające go do jego kolegi znad Potomaku. Ale Frémont stworzył sobie zarazem coś specjalnego: ma on gwardię przyboczną, którą oddziela się od całego świata, nigdy nie wiadomo, gdzie go szukać; pod ochroną tej gwardii na depesze i listy rządowe nie lubi odpowiadać i czasem nie odpowiada na nie wcale. W tej pogardzie dla Waszyngtonu i dla rządu obaj generałowie zgadzają się najzupełniej, ale co do reszty zdecydowani są przeciwstawiać się sobie stanowczo.

Tylko że władca Zachodu w przeciwieństwie do organizatora Wschodu także i w czasie bezczynności armii wskutek wielkiej swej próżności staje się ofiarą oszukańczych dostawców dla armii, którzy ze swej strony znowu nie są całkiem nie znani ministrowi wojny. Prócz tego zajmuje się on jeszcze i tym, że na własną rękę, bez oglądania się na prezydenta, mianuje brygadierów. Już po kilku tygodniach spoza jego żelaznego muru przedostają się w świat wieści, które są najcięższym przeciwko niemu oskarżeniem, mianowicie że niedoszły ongiś prezydent pragnie teraz założyć północno-



zachodnią Unię. Są to wieści nieuzasadnione, więc nawet Lincoln w nie nie wierzy, ale pogłoski te dowodzą, że wtedy wszystko wydawało się możliwe.

Pewnego pięknego poranka sierpniowego czyta prezydent w gazecie, że jego wódz Frémont wydał proklamację, na mocy której własność wszystkich missuryjczyków, którzy podnieśli broń przeciwko państwu, czy też w inny sposób wspierali Południe, natychmiast konfiskuje, a ich niewolników ogłasza wolnymi. Co się dzieje w sercu Lincoln przy czytaniu tych słów? Z samoopanowaniem męża stanu, z poczuciem odpowiedzialności ojca ojczyzny umiał on stłumić wszystkie własne uczucia i życzenia i od samego początku wojny sprawę niewolnictwa usunął na stronę, gdyż odczuwał wyraźnie, że nie wyzwolenie niewolników stawiać należy na pierwszym miejscu, lecz przede wszystkim walczyć trzeba o uratowanie Unii. Tylko pod takim hasłem mógł liczyć na demokratyczną większość tych, co pozostali wierni Unii, oraz na neutralność stanów pogranicznych. Gdyby wszakże przez zarządzenia wojenne na korzyść niewolników dał poznać, że wojna ta jest wojną oswobodzicielską, a nie wojną o utrzymanie jedności państwowej, utraciłby grunt pod nogami, a tym samym przegrałby wojnę. Nawet w zwykłych podczas wojny zarządzeniach konfiskacyjnych unikał on słów mówiących o niewolnikach. A teraz oto występuje generał i grubymi palcami dotyka subtelnego politycznego przedziwa przy zupełnym lekceważeniu subordynacji wojskowej! Nazajutrz cały kraj rozbrzmiewa echemi nowego sporu. Prasa radykalna na Północy oklaskuje „śmiałego generała, który ubiegł wahającego się prezydenta“, natomiast stany pograniczne, przede wszystkim Kentucky, wzburzyły się przeciwko obecnie ujawnionemu celowi wojny i zagroziły ponownie secesją. Czy

generał taki nie powinien zostać zwolniony natychmiast?

Bynajmniej. Lincoln pisze do niego uprzejmy list: „W ostatniej części pańskiej proklamacji widzę wielkie niebezpieczeństwo... To nastroi przeciwko nam naszych południowych zwolenników Unii i zniweczyć może nasze dość dobre widoki w Kentucky. Niech mi zatem wolno będzie poprosić pana, aby pan z własnej inicjatywy ten ustęp proklamacji tak zmienił, iżby zgadzał się on z pierwszym i czwartym artykułem ustawy kongresowej... List ten pisany jest w duchu przezorności, nie w duchu krytyki. Posyłam go panu przez specjalnego wysłańca, aby dotarł do rąk pańskich szybko i niezawodnie!“ Jest to wprost zdumiewające! Lincoln jest tu taki ustępliwy i tak dalece pragnie oszczędzać ludzi, których rozgłos w narodzie jest większy od jego własnego, że kierując się tym pragnieniem robi raczej formalne ustępstwa ze swojej władzy i okazuje więcej wielkoduszności, niż to jest przez wzgląd na powagę sytuacji dopuszczalne. A skutek? Zrazu nie podobna generała znaleźć, potem zaś pisze on, że prezydent winien sam odwołać tę część proklamacji, a w dodatku posyła do Lincolna swoją ambitną żonę, którą nazywano szefem sztabu generalnego.

I nie ma tu żadnej parodii, ale stało się istotnie tak: generałowa obawiając się, że mąż jej zostanie z dowództwa usunięty, postanowiła wywołać panikę. Przybywa o północy do Waszyngtonu i natychmiast każe się zameldować w Białym Domu, zarzuca prezydentowi rzeczy najgorsze i grozi mu, że Frémont sam ujmie rządy w swe ręce. Czy prezydent mu się przeciwstawi? Powiadają o nim, że jest na poły chłopem, człowiekiem nieokrzesanym, pozbawionym manier. „Musiałem skupić w sobie wszystko swój takt, aby uniknąć sporu“ —

wyraził się później. Na to, aby zabrać się do rzeczy z całą konieczną stanowczością, nie ma sił ani on, ani cały kraj, a zabieganie o popularność nie stanie się nigdy głównym bodźcem Lincolna. Czyni tedy ustępstwo nawet w takiej najszkodliwszej dla siebie formie, że we własnym imieniu zmienia proklamację generała, ściągając na siebie oburzenie setek tysięcy obywateli północnych i wszyscy nazywają go lęklwym, a generała sławią jako bohatera. Co więcej, odzywają się głosy, że Frémonta należy powołać na miejsce Lincolna. Gazety piszą: „Ile razy jeszcze będziemy musieli upokorzyć się, aby utrzymać Kentucky?!“

W Lincolnie i tym razem polityka bierze górę nad ambicją, a filozofia nad polityką. Całkiem spokojnie zastanawia się nad głębszymi powodami tej rozgrywki: „Mam wielki szacunek dla Frémonta, ale tak już jest na świecie, że pionier jakiegoś ruchu niekoniecznie musi być człowiekiem, który ideę tego ruchu najlepiej urzeczywistnia. Tak było już dawnymi czasy: Mojżesz zabrał się do emancypowania Żydów, ale do ziemi obiecanej wprowadzić ich nie zdołał i wszystko musiał przygotować Jozue, aby się wreszcie sprawa udała. Zdaje się, że reformator ma zawsze przeciwko sobie tak wielką opozycję, bywa tak obity i oplwany, że dopiero później, gdy ludzie spostrzegają, iż reforma jest im potrzebna, łatwiej przyjmują ją z rąk innego działacza“.

Gdy wreszcie generała Huntera mianuje zwierzchnikiem Frémonta, czyni to w takim tonie: „Frémontowi potrzebny jest do pomocy człowiek wielkiego doświadczenia. Czy nie zechciałby pan przyjąć takiego stanowiska przez przyjaźń dla mnie? Ranga pańska jest o jeden stopień za wysoka, abym mógł to panu rozkażać. Czy wszakże nie zechciałby pan służyć swemu



krajowi i mnie osobiście, przyjmując to stanowisko dobrowolnie?”

Gdy nieco później okazuje się, że i Hunter pisze takie zarozumiałe listy, chociaż niewiele więcej wart jest od Frémonta, otrzymuje od swego najwyższego zwierzchnika taką łagodną reprimendę: „Muszę się przyznać, że dość trudno odpowiedzieć grzecznie na taki brzydki list. Słusznie przypuszcza pan, że z zaufania, które panu okazałem, dużo pan stracił nie przez jakiś czyn czy też zaniedbanie, lecz przez te pańskie listy ze skargami... Byłem i dotąd jestem pańskim szczerym przyjacielem i jeśli wolno przyjacielowi powiedzieć prawdę, brzmi ona tak: jest pan na najlepszej drodze do zrujnowania się. *Act well your part, where all your honor lies*” (cytat). Gdy wreszcie trzeba Frémonta usunąć, wysłannicy prezydenta nie mogą go zrazu znaleźć i muszą użyć wybiegu, aby przyjął list swego zwierzchnika.

Tak delikatnie i groteskowo musiał w owych czasach prezydent traktować swoich dowódców wojskowych.

A McClellan? Co też porabia nasz piękny przyjaciel nad Potomakiem? W ciągu trzech miesięcy ćwiczył i przegrupowywał 170 tysięcy wojska. Czy teraz przejdzie do ataku? Czy prezydent atak ten nakaże, czy też na swój sposób naradzać się będzie z generałem? McClellan nie naradza się z nikim, a już najmniej z prezydentem, lecz przeciwnie, uskarża się w listach prywatnych, że prezydent odwiedza go zbyt często, co zakłóca spokój obozu. „Z każdym dniem coraz bardziej mierzi mnie ten rząd; jestem już z tego wszystkiego chory. Podczas posiedzenia gabinetu nudziłem się straszliwie, a dyskusje toczone tam budziły we mnie wstręt. W gabinecie tym zasiada kilku największych osłów, jakich kiedykolwiek widziałem“.



Jest to gadanie rębajły nie lubiącego filozofów, ale czemu ten rębajło nie zabiera się do nieprzyjaciela? Czy nieprzyjaciel jest zbyt mocny? Siły nieprzyjacielskie pozostają w stosunku 1 : 3. McClellan nie wierzy w to i imienia Napoleona, które zdobył sobie zwycięstwami, nie chce utracić w porażkach, więc domaga się wojska, wojska, wojska. W ciągu długich tygodni siedzi w okopach naprzeciw nieprzyjaciela, przy czym moralność bezczynnego żołnierza musi być narażona na szwank, a gdy nieprzyjaciel w obawie niespodziewanego ataku cofa się i opuszcza miejscowość Manassas, McClellan idzie za nim tylko parę kroków, okopuje się na nowo i dzień po dniu wysyła komunikaty: „Nad Potomakiem panuje spokój“.

Zrazu naród niepokoi się, potem zaczyna szemrać, wreszcie drwi i w końcu budzi się w nim podejrzliwość, czy ten demokrat nie żywi jakichś politycznych zamiarów. Może woli on drogą pojednawczości dotrzeć do najwyższego stanowiska niż na polu chwały zdobywać sławę wodza?

Nie, to niemożliwe, przecież prezydent go osłania. Co więcej, zwalnia siedemdziesięciopięcioletniego Scotta, okazując mu najwyższy szacunek, a McClellana mianuje wodzem naczelnym. Dlaczego? Bo nie ma nikogo innego. Zarazem pozwala mu się źle traktować, wyczekuje u niego w przedpokoju, co nawet prasę oburza. Czy Lincoln rozżołości się wreszcie? Bynajmniej, bo nie chodzi mu o zaszczyty, lecz o zwycięstwo. „Chętnie pottrzymałbym mu strzemię, byle mi tylko przyniósł zwycięstwo!“ Zdarza się wreszcie, że pan generał spotyka w swoim domu prezydenta czekającego nań w towarzystwie Sewarda, przechodzi obok nich, jakby ich nie widział, udaje się do siebie na górę i każe czekającym powiedzieć, iż żałuje, że ich przyjąć nie

może, ale dzisiaj jest zbyt zmęczony. Seward jest wzburzony, Lincoln zachowuje zupełny spokój, ale już nigdy nie odwiedza generała, a rozkazy jego są odtąd krótsze.

Między obu tymi ludźmi rozwija się niesłychanie przykry ton, głuchy i ponury, jakby się między nimi wytwarzała coraz większa pustka. „Rzeka Waleck jest tym gorsza, im dłużej się na nią patrzy“ — pisze generał, który Potomakowi i jego dopływom przygląda się już pół roku jak zahipnotyzowany. Gdy domaga się on coraz więcej żołnierzy, którzy potem gdzieś znikają, Lincoln powiada: „Jest z tymi żołnierzami tak, jakby się pchły zgarniało szuflą — tylko połowa ich dochodzi do celu“. Innym razem powiada: „Jeśli niebawem nie dojdzie do jakiejś rozprawy, moja cierpliwość wyczerpie się wreszcie, i jeśli McClellan nie zechce użyć swej armii, to ją sobie od niego pożyczę, aby mu pokazać, co przy jej pomocy zrobić można“. Pomimo to bierze go w obronę, gdy przeciwko niemu występuje komisja nadzorcza Kongresu. Jednocześnie i na Zachodzie panuje zupełny spokój. Prezydent, od którego domagają się nieustannie nowego wojska, amunicji, koni, materiałów, nie zna się na tym wszystkim, czuje, że jest oszukiwany, ale nie może przedsiębrać żadnych kroków. Oto jest wódz najwyższy, który nie zna się na sztuce wojowania i ma kilku generałów, którzy bić się nie chcą.

W tej przygnębiającej sytuacji przynosi mu pewną ulgę skandal wywołany przez ministra wojny. Cameron zachowywał się wobec dostawców wojskowych co najmniej lekkomyślnie. Mówiono nawet o korupcji i wszystko zważyło się ostatecznie na niego: skarpetki, które rozłaziły się w rękach, koce zbyt cienkie, tornisty posklejane przemyślnie. Wyznaczono komisję do

zbadania tego wszystkiego, ale i ten minister cieszył się opieką Lincolna, który siebie i gabinet swój czynił odpowiedzialnym za wszystkie przeoczenia, jakie miały miejsce. Nawet wątpliwym charakterem tego człowieka, który został mu narzucony, obciążał on bez jakiegokolwiek potrzeby własną osobę, dokoła której toczyły się już namiętne walki, i raczej brał na siebie odpowiedzialność za ciemne sprawy, niż byłby opuścił napaśtowanego kolegę.

A przecież prócz tego miał i osobiste powody do gniewu na tego ministra, bo i Cameron zabrał się do wyzwalania Murzynów na własną rękę i bodaj że jednocześnie z ujawnionym skandalem potajemnie przygotowywał sprawozdanie, w którym zawarta była taka proklamacja: „Każdy, kto prowadzi wojnę z rządem, traci wszelkie prawa do własności i pozbawia się wszelkich przywilejów i gwarancji, jakie zapewnia Konstytucja. Ponieważ praca i usługi niewolników stanowią rdzeń własności buntowników, posiadłość ta na mocy prawa wojennego zostaje im odebrana“. Po raz drugi stawał Lincoln wobec urzeczywistnienia swego marzenia i znowu musiał je zwalczać. Było to na Nowy Rok 1862, sprawa nie wydawała mu się jeszcze dojrzała i nie była taka w istocie. Wszystkie odpisy rozporządzenia Cameron kazał Lincoln telegraficznie wycofać z urzędów pocztowych, a następnie skreślić w nich ów ustęp.

Takie jest postępowanie Lincolna, który ministrów swoich osłania, gdy natrafiają na trudności osobiste, ale gdy chodzi o decyzje państwowe, dezawuuje ich bez wahania. Jedno odpowiada jego prawej naturze i upodobaniom, a drugie jest mu do gruntu wstrętne. Gdyby mu chodziło o sprawy osobiste, to dla zjednania

sobie rozgłosu powinien by postępować wręcz przeciwnie. Zawsze chodzi mu o sprawę, a nie o osobę, więc chętnie zapomina nawet osobistych przykrości, jeśli tylko państwo zyskać może na usługach jego osobistych przeciwników. Nigdy nie miał sposobności do udowodnienia tego tak wyraźnie jak teraz, gdy Stanton powołuje jako nowego ministra wojny.

Człowiek ten, niegdyś adwokat, a później minister wojny za prezydentury Buchanana, widział Lincolna dwa razy w życiu: przy obejmowaniu urzędu prezydenckiego, mniej więcej przed rokiem, i to tylko przez chwilę, a prócz tego pewnego razu przed laty siedmiu. Było to w Cincinnati i dzień ten dotknął miłość własną Lincolna bardziej niż którykolwiek inny w ciągu ostatnich lat dwudziestu. W wielkim procesie, jaki toczył się między państwem a koleją żelazną, wezwano prócz dwóch wielkich adwokatów ze Wschodu także jednego z Zachodu, a to ze względów politycznych. Tym adwokatem zachodnim był Lincoln, który oto stał obok Stanton'a i miał właśnie przemawiać. Lincoln znał tę sprawę już z dawnych czasów bardzo dobrze, bodaj że lepiej od kogokolwiek. Po raz pierwszy odbył daleką podróż, aby uczestniczyć w wysoce aktualnej sprawie, i przez kilka dni przysłuchiwał się rozprawie w milczeniu. Lecz oto w chwili gdy miał przemawiać, Stanton przerwał mu nagle, oświadczył, że sam jest głównym przedstawicielem obrony, i zwrócił się do swoich przyjaciół: „Razem z tą kiepsko ubraną małpą z leśnych kniej występować nie mogę“. W ciągu całego tygodnia traktował swego zachodniego kolegę, który mieszkał w tym samym hotelu, wyzywająco i obraźliwie.

W sprawie wojny postawa jego była szczerą i męską. Wystąpił z gabinetu, w którym zagnieździła się zdrada



stanu, ale wybór prezydenta przeraził go nie tylko jako demokratę. Nie było takich drwin, których by nie powtarzał w ciągu miesięcy po wyborach, gdy chodziło o ponizienie Lincolna. Mówił na przykład, że ten goryl z Zachodu siedzi w swym domu i drży, albo zadawał McClellanowi pytanie, czemu to badacze wybierają się do Afryki, skoro największą małpę można znaleźć w Springfield. Tych drwin nie znał Lincoln w ich dosłownym brzmieniu, ale na pewno wiedział, co i jak myślą o nim jego przeciwnicy, a wspomnienie Cincinnati tkwiło tak głęboko w jego pamięci, że gdy do miasta tego został zaproszony — odmówił przyjazdu, tak świeża była jeszcze jego rana.

A jednak dzisiaj powołuje tegoż Stantona na najbardziej odpowiedzialne stanowisko, przy czym obaj będą musieli stale stykać się z sobą. Powołuje go zaś dlatego, że Stanton stoi niezłomnie przy Unii, a zarazem jednoczy w sobie instynkt i wiadomości, dzielność i pracowitość, metodę i sprawność techniczną. Jest to człowiek dobrze zbudowany, jego szeroką twarz otacza siwa broda, czoło ma potężne, nos duży, a oczy przenikliwe i jasne. Taki jest ten praktyk i człowiek. Jak dobrze nadaje się do współpracy z Lincolnem! Obaj w ścisłym znaczeniu tego słowa nieprzekupni, bardzo zdolni i bardzo poważni, lecz gdy Lincoln ma zbyt wiele wyrozumiałości, Stanton postępuje bezwzględnie, a czasami ponosi go temperament, podczas gdy prezydent namyśla się i zastanawia przed każdą decyzją. Są jakby stworzeni dla siebie, aby wyrównywać swoje słabości, podczas gdy siły ich są ze sobą spokrewnione i podwajają się w nich przy współpracy.

Niebawem stali się przyjaciółmi.

## IX

Abraham Lincoln uczył się strategii. W zimowych miesiącach, gdy się nic nie działo prócz tego jedynie, że każdy z generałów wynajdywał preteksty, aby nie wyruszać przeciw nieprzyjacielowi, gdy wojna przewlekła się, a przeciwieństwa między generałami się wzmagaly, uznał Lincoln za konieczne zapoznać się z głównym zadaniem swego urzędu. Jako prezydent zobowiązany był do studiowania europejskiej dyplomacji i studiując ją doszedł rychło do wniosku, że w gruncie rzeczy jest ona tylko znajomością ludzi przeniesioną z dziedziny życia obywatelskiego w dziedzinę życia państwowego. Według Konstytucji był wodzem naczelnym na lądzie i morzu, a nie miał przy sobie żadnego dowódcy, którego geniusz i charakter byłyby dla niego gwarancją, więc doświadczenie życiowe, nieufność i wielkie poczucie odpowiedzialności musiały go doprowadzić do decyzji wyuczenia się tego, za co odpowiadał.

Zresztą czyż była to taka niezgłębiona tajemnica? Czy bez obcej pomocy nie nauczył się pisać, czy nie studiował historii i nie przyswoił sobie wiedzy? Czyż jako młody drwal o wielkich rękach nie stał się subiektem w małej mieścinie i leżąc na ladzie sklepowej nie studiował prawa i ortografii? Czyliż nie przemówił do niego klasyczny Euklid, gdy podczas podróży z sądem wędrownym leżał na łóżku w zajeździe i czytywał do późnej nocy? A gdy wreszcie stanął do walki wyborczej z Douglasem i zrazu powątpiewał o swoich zdolnościach, czyliż nie zorientował się bardzo szybko, że nie święci garnki lepia i że ostatecznie nawet senatorowi nic innego nie potrzeba prócz znajomości ludzi i chłopskiego rozumu? Gdyby, jak to bywało w czasach

starożytnych, musiał stanąć na czele wojska i wyzwąć Jeffersona Davisa w zapasy, siły jego wystarczyłyby do walki zapaśniczej, ale usposobienie nie sprostałoby koniecznościom, jakie niesie ze sobą wojna. To, czego teraz los domagał się od niego, odpowiadało jego naturze i uzdolnieniom i dlatego Lincoln zabrał się do nauki.

Dniem i nocą — opowiada jego sekretarz — studiował on wówczas, a zwłaszcza w grudniu i styczniu, mnóstwo dzieł strategicznych, map i akt dowództwa, zajmując się jednocześnie sprawami zaopatrywania wojska i prowadzeniem armii. Z natury skłonny do porównywań, obdarzony wyobraźnią, która jest podstawowym warunkiem sukcesów wodza, a jednocześnie będąc realistą i rachmistrzem, jakim jest każdy chłop, czynił zadość warunkom powodzenia i na podstawie doświadczeń zebranych podczas swej wyprawy przeciwko Indianom oraz dzięki temu, co przeżył w ciągu ostatnich miesięcy, mógł sobie bardzo plastycznie wyobrażać plany okrążenia nieprzyjaciela. Jako samouk wyucza się tedy podstaw sztuki wojennej, jak wyuczył się wielu innych rzeczy, a chociaż szczegółów jego drogi nie znamy, wyniki ujawniają jego nową wiedzę.

Nie jest on już zakłopotanym laikiem i z generałami swymi zaczyna rozmawiać całkiem nowym tonem. „Co się tyczy mego własnego zdania — pisze w styczniu bardzo jeszcze ostrożnie do generała Buella stojącego na Zachodzie — to podaję je panu nie jako rozkaz, lecz jako propozycję. Przy całym szacunku dla pana pozwoliłbym sobie zrobić wymówkę, gdyby ją pan przyjął wbrew odmiennemu przekonaniu tylko dlatego, że otrzymuje ją pan w postaci rozkazu. To powiedziawszy, przedstawiam sobie całokształt tej wojny tak, iż my mamy przewagę liczebną, natomiast nieprzyjaciel

ma większą łatwość koncentrowania się, i że przegramy, jeśli nie ruszymy naprzód i nie rozgromimy go. Może nam się to udać jedynie wtedy, gdy przy przewadze naszych sił zaatakujemy go jednocześnie w różnych punktach, podczas gdy on nie może być jednocześnie tu i tam. Jeśli osłabi jedną ze swoich pozycji, aby inną wzmocnić, musimy natrzeć na niego tam, gdzie jest najsłabszy“.

Gdy choroba daje McClellanowi nowy pretekst do odwlekania marszu, a arkusze z pytaniami prezydenta powracają z pobieżnymi uwagami robionymi ołówkiem, Lincoln zabiera się wprost do przesłuchiwania wyższych oficerów i dowiaduje się daleko więcej, niżby głównodowodzącemu mogło to być na rękę. Nowy minister, zaprzyjaźniony dotychczas z McClellanem, prowadzi sprawę prosto i jasno do celu, wymyśla i wywodzi: „Armie winny walczyć albo się rozejść. Podczas gdy ludzie na Zachodzie walczą, trzeba, aby nad Potomakiem skończył się szampan i ostrygi“. Lincoln postępuje ostrożnie, zaprasza głównodowodzącego i jego generałów na posiedzenie Rady Ministrów, wzywa rozgniewanych ministrów, aby się zwracali do nich z pytaniami, a gdy McClellan odmawia odpowiedzi, dopóki go prezydent do odpowiedzi nie zmusi, pyta go jedynie, czy już ustalił dzień, w którym przejdzie do ataku.

„Ustalam“ — odpowiedział głównodowodzący krótko i tajemniczo.

„W takim razie kończę posiedzenie“ — powiada Lincoln i rad jest, że udało mu się zapobiec wybuchowi. Stanton natomiast wpada później we wściekłość i woła: „Widzieliśmy przed sobą dziesięciu generałów i wszyscy oni boją się walczyć... Gdyby McClellan miał milion wojska, dowodziłby, że nieprzyjaciel ma dwa miliony,



i zasiadłby w błocie, stękając tak długo, aż dostałby trzy miliony żołnierzy“.

Lincoln nie wymyśla, ale uczy się nieustannie, a ponieważ zaczyna się znać na sprawach wyposażenia wojennego i zaopatrywania armii, coraz częściej poucza swoich generałów, że to, co nazywają niemożliwością, wcale niemożliwe nie jest. W pobliskim warsztacie okrętowym każe sobie wszystkie szczegóły dokładnie objaśnić i zdobywa nowe wiadomości tak gruntownie, jak to jest możliwe tylko dla umysłu samouka. Píše krótki bilet do ministra marynarki: „Zdaje mi się, że do portu zbliżają się trzy statki. Niech pan tam kogoś pośle i zobaczy, co to takiego“.

Gdy przybywa do niego jakiś wynalazca z nowym karabinem, prezydent próbuje nową broń, aczkolwiek jest przeciwnikiem łowów i nie strzeliłby nawet do zwierzyny. Z sekretarzem idzie na trawnik koło Białego Domu, bierze kawałek papieru z nagłówkiem Kongresu jako cel, strzela dość dobrze i mówi: „Zdaje się, że ten karabin może się doskonale przydać, gdy się go ulepszy“. Z kawałka drzewa sosnowego wyrzyna nożykiem wizjer, nasadza go na lufę i strzelanie idzie lepiej. Jest to jeden ze sposobów prowadzenia wojny przez prezydenta Lincoln. Albo na przykład w pokoju swoim konferuje z admirałem, wypróbowuje nowy rodzaj prochu: spala go w kominie, bada resztki i każe pracować nad nim dalej.

Jednocześnie sprzecza się z McClellanem z powodu planu wymarszu, bo głównodowodzący chce maszerować przez półwysep, Lincoln zaś radzi iść prosto na Richmond. „Jeśli odpowie mi pan zadowolająco na poniższe pytania, plan swój chętnie podporządkuję pańskiemu. 1. Czy plan pański nie wymaga znacznie więcej czasu i pieniędzy niż mój? 2. Dlaczego zwycięstwo

według planu pańskiego ma być pewniejsze niż według planu mego? 3. Dlaczego zwycięstwo według planu pańskiego ma być cenniejsze niż według mego? 4. Czy nie byłoby raczej gorsze, ponieważ nie przecinałoby połączeń nieprzyjacielskich, podczas gdy plan mój właśnie to czyni? 5. Czy w razie nieszczęścia odwrót według planu pańskiego nie byłby daleko trudniejszy niż według planu mego?“ Odpowiedzi McClellana są niedokładne. Wreszcie decyduje się prezydent na wydanie pierwszego ważkiego własnego rozkazu. „Rozkaz. Dzień 22 lutego został ustalony jako początek ogólnego uruchomienia wszystkich lądowych i morskich sił Unii przeciwko secesjonistom. Szczególnie armia stojąca w forcie Monroe i dokoła tego fortu, armia nad Potomakiem, armia Wirginii Zachodniej, armia Kentucky, armia i flotylla pod Kairo i oddział marynarki w Zatoce Meksykańskiej mają być w pogotowiu do zaatakowania nieprzyjaciela“. I ten rozkaz wykonany zostaje tylko w połowie, bo McClellan przeprowadza wymarsz według swego własnego planu, ale krytycy pisali później, że gdyby zastosowano plan Lincolna w lutym, odniesiono by jedno z najłatwiejszych zwycięstw.

W tym najmroczniejszym okresie wojny i — rzecz można — także jego życia, gdy przez prawicę i lewicę polityczną był stale napastowany, przez społeczeństwo wydrwiwany, a przez generałów lekceważony, niepewny, kiedy i jak zakończy się cała ta straszliwa sprawa, gdy między skłóconymi doradcami szedł po omacku naprzód szukając światła, rozchorowali się obaj jego młodszy synowie zaraziwszy się w szpitalu, który zwiedzali, a dwunastoletni synek Billy, którego ojciec bardzo kochał, po kilku dniach choroby uznany został przez lekarzy za straconego. Pięć dni spędził ojciec z pielęgniarkami przy majaczących dzieciach. Wypytuje

pobożną pielęgniarkę o jej położenie i dowiaduje się, że jest ona wdową, że ma męża i dwoje dzieci w niebie, a żyje pojednana ze swoim nieszczęściem i kocha Boga mocniej niż wtedy, gdy była szczęśliwa. Jak to? Bogu trzeba ufać i wierzyć, że wszystko obróci ku dobremu.

„Czy od samego początku pojednała się pani tak łatwo z ciosem, jaki spadł na panią?“

„Stopniowo. Im więcej ciosów, tym lepiej“.

„Doskonale. Doświadczenie pani dopomoże mi do zniesienia tego... Jest to najcięższa próba mego życia. Dlaczego tak jest?“

Gdy dowiaduje się, że wielu modli się za niego, powiada: „To dobrze. Potrzebuję ich modlitw... Chciałbym mieć wiarę dziecięcą. Może Bóg da mi kiedyś taką wiarę“. Potem mówi o swej matce, która od wielu lat śpi snem wiecznym wśród dzikich lasów Indiany: „Pamiętam jej modlitwy. Towarzyszyły mi zawsze“.

Takie nocne rozmowy toczą się przy świetle osłoniętej lampy; długie nogi tego chudego człowieka wyciągają się i opierają o ścianę, a jego sceptyczny umysł zdaje się topnieć. Żona jego zgodnie ze swoją histeryczną naturą szaleje w przyległym pokoju i zdaje się być pogrążona w rozpacz. A on siedzi tymczasem, myśli o modlitwach matki i zapytuje pielęgniarkę, kiedy zmuszony będzie całkowicie zrezygnować, a gdy wstaje i wychodzi, za progiem czeka na niego Seward z groźną depeszą z Europy albo Stanton z niepomysłnymi wiadomościami z frontu, albo też czeka na niego tylko prosta uboga kobieta, która pragnie uratować swego syna zagrożonego rygorami prawa wojennego, podczas gdy skutki wojny zamykają dziecięce usta jego własnego syna na zawsze.

Czyż można się dziwić, że wbrew wskazaniom swego ministra wojny zawsze i wszystkim okazuje miłośnier-

dzie, chociaż surowość jako przestroga byłaby bardziej na miejscu? Oto młody żołnierz ma być rozstrzelany, ponieważ zasnął stojąc na warcie: „Nie mógłbym umrzeć, gdybym przyłożył rękę do przelania krwi tego młodzika. Przecież to jasne, że chłopak wychowany na farmie przyzwyczajony jest do udawania się na spoczynek, jak tylko mrok zapada, i że podczas nocnej warty trudno mu nie zasnąć“.

Niedawno poległ młody oficer, który pełnił służbę w Białym Domu i przez Lincolna bardzo był kochany. „Przedwczesna strata waszego szlachetnego syna — pisze do rodziców — jest dla mnie nie mniej bolesna niż dla was. Tyle obiecującej siły potrzebnej krajowi, tyle jasnej nadziei dla nas i dla przyjaciół i oto wszystko gaśnie niespodziewanie. Co do wieku i postawy był on chłopcem jeszcze, ale posiadał już dar rozkazywania innym, a jednocześnie był skromny i powściągliwy w obcowaniu z ludźmi. Znajomość nasza trwała zaledwie dwa lata, a jednak w ciągu tego czasu zbliżyliśmy się do siebie tak serdecznie, jak na to pozwalała różnica wieku i moje zajęcia. Zdaje mi się, że nie miał żadnych skłonności właściwych jego wiekowi, a z ust jego nigdy nie usłyszałem słowa pospolitego... Mam nadzieję, że nie jest to wdzieraniem się w świętość bólu waszego, gdy składam hołd pamięci mego młodego przyjaciela, a waszego tak młodo poległego syna“.

Kiedyż głowa państwa pisywała takie listy w czasie wojny? Ani słowa o ojczyźnie i bohaterskiej śmierci, ani śladu samowiedzy, jaka u wysokich dostojników zawsze przebija w podobnych wypadkach. Jest to list poety. Widziano go też ciężko wzdychającego i płaczącego, gdy przyciskając obie ręce do serca wracał z domu swego przyjaciela generała Bakera po otrzymaniu wiadomości, że ten stary przyjaciel wczoraj po-



legł. Był to towarzysz jeszcze z miasta Vandalii i Lincoln kroczył ulicą tak przybity bólem i smutkiem, że nawet nie dostrzegał straży oddających mu honory. Czy naprawdę dopiero rok minął od chwili, gdy z innym przyjacielem siedział w Springfield przy kominku i mówił o Getsemani?

Lecz oto słyhać już brzęk ostróg. Ludzie czekają na jego decyzje.

## X

Gdzie też są teraz starzy przyjaciele? Obecnie, gdy są mu potrzebni, czy przyjdą, aby go otoczyć życzliwym kołem? Przeważnie zachowują się oni gorzej od rywala. W pierwszych tygodniach wojny Douglas przybył do Lincoln, meldował mu wzburzony, że depesze wzywają go do Illinois, aby tam zaprowadził porządek, ale pojedzie lub też pozostanie zależnie od tego, co mu prezydent rozkaże. Tak więc niski Douglas staje jeszcze raz przed wysokim Lincolnem, ale nie przemawia do niego słowami przenikliwymi, ostrymi, nie okazuje też złośliwej wielkoduszności ani nie trzyma dziś kapelusza swego prezydenta, lecz pyta, co ma robić. A Lincoln, który dałby bardzo wiele za to, gdyby dawniej mógł wygnać swego przeciwnika z Illinois, teraz posyła go tam, aby popierał jego i wojnę. Więc Douglas idzie i w kilka tygodni później umiera tknięty paraliżem. Lincoln każe opuścić flagę na Białym Domu do półmasztu i boleje z powodu śmierci rywala w tym samym domu, o którego zdobycie tamten walczył przez całe życie.

Jakże miło mu bywa, gdy czasem widuje starych znajomych! Hill został oficerem, cieszy się przychylnością prezydenta, ale później rozgniewał się i nawet występował przeciwko Lincolnowi. Innych poleca

Lincoln w swych listach jako synów „mego bardzo miłego przyjaciela“ albo „mego bliskiego przyjaciela“. Najserdeczniejsze pozdrowienie otrzymuje Herndon, chociaż jest ono krótkie: „Kochany Willu, list z 3-go otrzymałem. W sprawie pieniężnej niech pan zrobi tak, jak pan proponuje. Rozumie pan, że nie mam czasu na napisanie przyzwoitego listu. «Niech Bóg pana błogosławi», woła przyjaciel pański A. L.“ Gdy Herndon przybywa, jest mile widziany, ale nie narzuca się i nigdy nie prosi o nich dla siebie.

Gdy zgłasza się jakiś inny przyjaciel z dawnych dni, zasępiona twarz prezydenta promienieje. Ludziom kazał wtedy mówić, że jest bardzo zajęty, ale w rzeczywistości był „rozradowany i szczęśliwy jak dziecko, opowiadał dużo historyjek i wypytywał o różnych znajomych“. Potem kościstym palcem pokazywał gościom na mapie sytuację wojenną, mówił im o planie własnym i planach generałów, aż wreszcie przybywał któryś z generałów i przerywał miłą pogawędkę. „Ach, to jeden z tych panów od armat. Będę go musiał przyjąć“. A generał opowiadał później: „Prezydent siedział zamknięty z jakimś starym wędrownym handlarzem z Illinois i opowiadał mu pieprzne kawały, podczas gdy kraj diabli biorą“.

Z niskiego balkonu poznaje wśród tłumu jakiegoś znajomka spacerującego przed Białym Domem podczas koncertu kapeli wojskowej. „Hej, Hubbard, chodź no pan tu!“ I daje mu znaki swoim długim ramieniem. A ponieważ pod ręką nie ma klucza, na oczach wszystkich wciąga go na balkon przez żelazne kraty.

Obok tych niewielu życzliwych twarzy starych przyjaciół widuje setki twarzy nadąsanych lub wrogich. Nie mogą mu wybaczyć tego, że odwołał wyzwolenie niewolników proklamowane przez Frémonta. Kiedy od

przyjaciół przychodzą listy z wyrzutami, nie odkładają ich, ale własnoręcznie na nie odpowiada. „Że taki list przybywa od pana, zdumiewa mnie, szczerze powiedziawszy. Rzecz dziwna, że nie chce pan podtrzymać prawa, w którego uchwaleniu sam pan niedawno uczestniczył“. Utrzymanie Kentucky to sprawa najważniejsza, od tego zależy postawa Missouri i Marylandu, a więc i wynik wojny. „Jeśli uspokoi się pan i przestanie poszukiwać nowych rozwiązań, a raczej stanie pan, jak przystało mężowi, na tym gruncie, na którym jako na właściwym pan i inni przyjaciele postawiliście mnie, zwyciężymy. Zawsze panu oddany“.

Niekiedy rozgoryczenie i niecierpliwość przebijają wyraźniej. Pewne zarzuty starego znajomego odpięra pocztą odwrotną. „Uważa pan za swój obowiązek powiedzieć mi, że przyjacielom wyrządzam to, co się czyni wrogom. Nie mam zaufania do mądrości, a nawet szczerości przyjaciół, którzy pętają moje ręce, podczas gdy wrogowie chcą mnie zasztyletować. Pańskie zarzuty rzekomo przyjacielskie były dla mnie w tej walce przeszkodą daleko większą niż cokolwiek innego... Jestem człowiekiem cierpliwym, gotowym zawsze przebaczać, ale swój rząd muszę podtrzymywać. Czego uczynić nie mogę, tego czynić nie będę, ale wszyscy powinni wiedzieć raz na zawsze, że gry tej nie zaprzestaną, dopóki będę miał w ręku choćby jedną kartę. Oddany panu“. A omotany intrygami tak się odzywa: „Uczynię tylko tyle, ile uczynić mogę, lecz uczynię wszystko, co tylko mogę, aby kraj uratować... Nie będę czynił nic złośliwego. Powinności moje stoją zbyt wysoko ponad złośliwościami“.

Podczas gdy obojętnych zwolenników rozczarowuje tym, że wydaje się im zbyt ostrożny, zdobywa wśród przeciwników kilku nowych przyjaciół. Widzą go oni

z bliska i oceniają zgoła inaczej. Do tych pozyskanych przeciwników należeli przede wszystkim Seward i Stanton, a także cały gabinet. Do przyjaciół tych przyłączył się także ów senator Sumner, który przed laty omal że życiem nie przypłacił swojej postawy wobec przeciwników politycznych, a który teraz zajął miejsce Douglasa jako przewodniczący Komisji Zagranicznej. Lincolnowi imponowało już to, że Sumner był równie wysoki jak on, a ponieważ w postawie i w ruchach miał wdzięk i wytworność, jakiej prezydentowi brakło, pociągał go tym bardziej. Ten wytworny pan o rysach pełnych szczerości, wysokim czole i prostym nosie, noszący na sobie wszystkie cenne znamiona kultury europejskiej, w której się wychował, przypominał najładniejsze postacie południowców i całą postawą swoją zdawał się obalać przesąd, że natura pańska może się rozwijać tylko przy posiadaniu niewolników.

Od szeregu lat występował namiętnie przeciwko niewolnictwu, i to tak dalece po doktrynersku, że gdy zwrócono mu uwagę na odwrotną stronę zagadnienia, odpowiedział tonem podrażnionym: „Nie ma żadnej strony odwrotnej!“ Przy jego jednostronności i szorstkości znacznie trudniej było mu zrozumieć Lincolna, niż Lincolnowi przychodziło zrozumieć jego. Toteż prezydent, przyzwyczajony do porównywania wszystkiego, łatwo zorientował się w charakterze Sumnera i żywo odczuwał jego sposób myślenia. Gdy przed laty dwunastu Lincoln widział go przelotnie w Bostonie, tamten bodaj że wcale nie zwrócił uwagi na nie znanego mu Lincolna, ale gdy ten wprowadził się do Białego Domu jako prezydent, Sumner dokładnie sobie przypomniał jego postawę i ruchy. Ten mieszkaniec Nowej Anglii, który otrzymał w Harvard wykształcenie humanistyczne, ładny, wspaniały, dumny, nie lubiany,



ten, któremu już stanowisko senatorskie wydawało się dostojnością rzymską, przy pierwszym widzeniu Lincolna, tego syna puszcz zachodnich, doznał wrażenia przykrego, lecz wrażenia tego nie uzewnętrznił tak burzliwie jak Stanton, ale dał mu wyraz współczucia dla kraju i dla ludzi. Z estetycznym zadowoleniem przysłuchiwał się Lincoln wspaniałej konwersacji tego wytwornego pana, który nie wiedział co sądzić o powolnym sposobie myślenia tego farmera, a przede wszystkim o jego humorze. Bywał często zupełnie dezorientowany, chodził od jednego do drugiego i szukał objaśnienia lincolnowskich dowcipów.

Ale rychło ludzie ci powzięli zaufanie do siebie i niebawem Sumner stał się najlepszym doradcą politycznym prezydenta. W walce z niewolnictwem czuli się obaj związani ze sobą, a jednocześnie łączyła ich tendencja pacyfistyczna, bo już przed piętnastu laty w wielkiej mowie Sumner powiedział, że „w czasach naszych nie może już być pokoju, który nie byłby rzetelny, i nie może być wojny innej jak tylko nierzetelna“. A oto teraz obaj byli zmuszeni do prowadzenia wojny domowej i zostali wysunięci na jej czoło, a chociaż obaj zgadzali się, że przede wszystkim ratować trzeba Unię, Sumner większy kładł nacisk na to, aby ostrze wojny zwrócić przeciwko niewolnictwu.

Prócz Sumnera poznało się na Lincolnie niewielu ludzi w owych czasach. Chór napaści, oszczerstw i drwin zagłusza zupełnie nieliczne głosy poetów i polityków stojących po stronie Lincolna. Walt Whitman nie znajduje słów, aby wyrazić w całej pełni uznanie dla prostoty Lincolna, bo gdy dla bezpieczeństwa i oddania mu honorów otacza go zawsze trzydziestu jeźdźców z obnażonymi szablami, w otoczeniu tym Lincoln wygląda bardzo skromnie „w swoim nieco zakurczonym,

czarnym sztywnym kapeluszu i w ubraniu, jakie noszą prości obywatele“. Postawą i powściągliwością różni się on zasadniczo od swoich generałów, którzy lubią paradować po ulicach w otoczeniu gwardii przybocznej. W sprawozdaniach Whitmana Lincoln jest zawsze jednakowo skromny.

Emerson, który go znał, napisał o nim najpiękniejsze słowa: „Lincoln był człowiekiem, któremu przypadło w udziale więcej uczynić dla Ameryki niż komukolwiek innemu“. Karol Schurz, który kochał Lincolna niejako wbrew samemu sobie, napisał później wspaniałą charakterystykę: „Miał on wielki szacunek dla wiadomości przerastających jego własne i dla wyższego wykształcenia innych ludzi, ale nie wzbudzały one w nim niepokoju. Istotnie, nie lękał się nikogo i niczego, nie wyrzekał się też nigdy niezależnego sądu i własnych decyzji na czyjąkolwiek korzyść. Z największym człowiekiem spotkałby się bez najmniejszego zakłopotania, jak gdyby przez całe życie stykał się jedynie z takimi ludźmi... Zasługi innych ludzi uznawał zawsze bez obawy, że jego własne mogą przy tym zmaleć. Żadne zagadnienie, choćby najważniejsze, nie wprawiało go w zakłopotanie; rozstrzygał je według zasad zwykłej logiki i zdrowego rozsądku... Nie było bodaj drugiego człowieka, który byłby wrażliwszy na szczerą radę i bardziej tolerancyjny od niego wobec rozbieżnej krytyki... Jeśli został zaczepiony lub źle zrozumiany, wzywał partnera do uprzejmej wymiany poglądów, zamiast odwrócić się od niego“.

Jeszcze za życia Lincolna złożył Schurz dowód swej spostrzegawczości, gdy w pewnym liście napisał: „Wolny od aspiracji geniusza, nie stanie się on nigdy niebezpieczny dla wolnej organizacji społecznej. Jest on uosobieniem ludu... Rządy jego są najbardziej przedsta-

wicielskie, jakie kiedykolwiek istniały w dziejach. Odważę się na prorocтво, które dzisiaj wydawać się może dziwne: za lat pięćdziesiąt, a może jeszcze wcześniej imię Lincolna wypisane będzie na honorowej karcie republiki amerykańskiej tuż obok imienia Waszyngtona... Dzieci tych, którzy go dzisiaj prześladują, błogosławić go będą“.

Motley, piastujący wówczas urząd w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, znawca duszy ludzkiej, powołany do czynienia porównań z innym wielkim mężem stanu, gdyż był najbardziej zaufanym przyjacielem Bismarcka, z którym widywał się przedtem i później, pisał po drugim spotkaniu z Lincolnem: „Wybrałem się na półgodzinną rozmowę do Lincolna. Jestem bardzo rad, bo gdyby nie ta rozmowa, opuściłbym miasto z bardzo niedokładnym wyobrażeniem o nim... Jest to człowiek o wybitnej mądrości życiowej, o charakterze pierwotnie czystym i wolnym od wszelkiego sofizmu. Uważam go za równie rzetelnego, jak prawego i za tak odważnego, jak jest sprawiedliwy. Oczywiście, nie zna on wszystkich tajemnic rządzenia państwem, a szczególnie dotyczących spraw zagranicznych, ale braku swoich wiadomości bynajmniej nie próbuje ukrywać, chociaż musimy mu z tego powodu współczuć, skoro przy takim kryzysie jak obecny zajmuje tak wysokie stanowisko. Pomimo to skromność jego rozbraja wszelką krytykę... Póki mu starczy czystości i jasności decyzji, kraj znajduje się w dobrych rękach“. A później: „Oto jest prawdziwy, rzetelny typ amerykańskiego demokracji. Nie ma tu żadnej blagi i nic pańskiego, żadnego wynoszenia się nad innych, ani śladu poczynań, jakie widzimy w tych, co to chcieliby się wykierować na panów, a nie mogą. Mamy tu wielki amerykański *demos*, rzetelny, poważ-

ny, prosty, mądry, ironiczny, wesoły, odważny; czasami popełnia błędy, ale przy ich pomocy posuwa się naprzód ku celowi, który uznał za prawy“.

## XI

Mary przeżywała najboleśniej rozczarowanie. Marzyła ona o pewnym celu i cel ten ostatecznie wbrew wszelkiej logice wywalczyła i osiągnęła, ale gdy stanęła u mety, gdy stała się naprawdę panią Białego Domu i pierwszą panią w całym kraju, cóż posiadała? Wojna nie pozwalała jej na żadne bale, a gdy mimo to pewnego razu odbyła się u niej zabawa z tańcami, gazety robiły jej z tego powodu zarzuty. Każdy jej krok poddawany był krytyce społeczeństwa, a ta krytyka wprawiała ją w zakłopotanie. W ciągu rozmyślań, które trwały dziesiątki lat, nie wzięła pod uwagę faktu, że ze Springfield do Waszyngtonu, z małomiasteczkowego towarzystwa, z jakim ma do czynienia adwokat Zachodu, do wielkiego świata stolicy nie można przeskoczyć, że awans ten, jak się wyrażała, zastanie ją równie nieprzygotowaną, jak i jej męża. Ale podczas gdy jej ambicja na tym cierpiała, jego — nie. Właśnie jej, pochodzącej z Południa, panie wywodzące się również z Południa, ale polityką lub małżeństwem związane obecnie z Północą, okazywały taką pogardę, do jakiej nie dawała im żadnego powodu. Wyglądało na to, jak gdyby chciały się one zemścić na żonie czarnego prezydenta za swój własny los. Posuwały się tak daleko, że gdy przejeżdżała w swoim powozie, przestawały wyglądać na ulicę i od okien śpieszyły do fortepianu, aby zagrać zaczepną piosnkę południowców. On zachowywał się obojętnie wobec pisanej i szeptanej krytyki, ona znosić jej nie



mogła. Bo ona przybyła tutaj, aby coś reprezentować, on zaś przyszedł tu, aby coś czynić i czymś być.

Pierwszym i najważniejszym zagadnieniem były suknie. Już w czasie między wyborami a objęciem urzędowania ubrała się w Nowym Jorku; teraz kazała sobie przysyłać wszystkie krawczynie swoich znajomych. Wreszcie zatrzymała Murzynkę, która uchodziła za pierwszą mistrzynię w mieście stołecznym, a na wybór Mary wpłynął niezawodnie fakt, że Murzynka ta obsługiwała panią Jefferson Davis, wrogą prezydentową, rywalkę na poły pogardzaną i na poły podziwianą. Toteż jedyną istotą kolorową, z jaką zaprzyjaźniła się żona oswobodziciela Murzynów, była jej krawczyni, która przedtem przez trzydzieści lat była niewolnicą. Co więcej, osoba ta stawała się stopniowo jedyną przyjaciółką Mary i pozostała nią później w nieszczęściu. Na razie szyla dla niej suknie i naszyła ich osiemnaście.

Pierwsza z nich spowodowała sceny i łzy, bo przysłano ją dopiero w ostatniej chwili; była to suknia różowa *moirée antique* z olbrzymim trenem, głęboko wycięta — tak zazwyczaj ubierają się kobiety, które są raczej ambitne niż zmysłowe. Suknia ta dobrze stroiła tyjącą Mary, a jeśli się nie zwracało specjalnie uwagi na mniej zgrabne rękawy, to mogła się podobać. Mąż obchodził ją długimi krokami, pogwizdywał i rzekł: „Miły Boże, jaki też długi ogon ma nasza kocica!“ Gdy Mary dęsać się chciała, uspokajał ją: „No, suknia jest prawdziwie ładna, tylko że byłoby równie dobrze, gdyby ogon i głowa były nieco bliżej siebie“. Używając wyrażenia indiańskiego Lincoln nazywał takie stroje żony „całkowitym malowaniem wojennym“. Gdy widziała, że według dawnego zwyczaju prezydent z jedną z najprzedniejszych dam szedł pierwszy do stołu, ona zaś miała iść za nim z jednym z panów, oświadczyła, że za

jej władzy w Białym Domu żadna dama nie będzie chodziła w pierwszej parze przed nią i odtąd pierwszą parę tworzyła z prezydentem.

Zdawała sobie oczywiście sprawę, że z mężem tworzyła parę dość komiczną. Świadomość tego komizmu rozwiął Lincoln pewnego razu w swój sposób wielce swobodny i pełen humoru zarazem; będąc z żoną w niewielkim gronie przyjaciół rzekł: „Szanowne panie i szanowni panowie, oto macie przed sobą oba końce prezydentstwa — długi i krótki”. Dlatego też nigdy nie pozwoliła się fotografować razem z mężem i dopiero gdy na zdjęciu zrobiono ją smuklejszą i wyższą, gdy z dwóch osobnych zdjęć zrobiono zręcznie grupę siedzącą, zgodziła się na opublikowanie tego zdjęcia. Nakazywała też niszczyć wszystkie klisze fotografii, które się jej nie podobały.

Sumner był jedynym człowiekiem, który obojgu małżonkom podobał się jednakowo: jemu podobał się jego charakter, jej — maniery. Poza tym otaczała się ona dość ciemnymi ludźmi. „Żona jego — pisał Villard, który w pierwszych czasach bywał częstym ich gościem — przyczyniała się dość wydatnie do udręk Lincolnu. Mieszała się nie tylko do spraw związanych z rozdawaniem podrzędnych stanowisk, ale chciała wpływać nawet na mianowanie członków gabinetu. Prócz tego chętnie przebywała w towarzystwie pewnego rodzaju mężczyzn i kobiet, otaczając się stale ludźmi zręcznie wyzyskującymi jej wrażliwość na pochlebstwa, i łatwo poddawała się ich wpływowi“. Taki był przede wszystkim *chevalier* Wikoff, rodzaj błędnego rycerza, o którym wiele pisano, a który był w Białym Domu szpiegiem pewnej gazety nowojorskiej. Był to światowiec pełen wdzięku, pewny siebie i dufnie uprzejmy. „Słyszałem, jak ten Wikoff prawił pani Lincoln

komplementy dotyczące jej toalety w sposób tak wstrętny, że powinna była zarumienić się i bezwstydnego pochlebcę wygnąć ze swego otoczenia. Zamiast tego przygarnęła go miłościwie niby marszałka dworu, wyrocznie w sprawach etykiety i doradcę w sprawach domowych i osobistych aż do ubiorów włącznie. Był on zawsze jej pożądanym towarzyszem w salonie i w powozie“.

Gdy pani prezydentowa składała wizyty pułkom, pierwszeństwo miały te, które jej najbardziej schlebowały i dawały najpiękniejsze podarki. Panie z Południa, które przebierały się za pokojówki, aby przepatrywać kąty Białego Domu, nie zawsze poznawała. Z Południem łączyła ją przede wszystkim jej rodzina: trzech bracia i prawie wszyscy mężowie jej siostr przyrodnich walczyli po stronie nieprzyjacielskiej. Pewna kuzynka, którą Mary zrazu miała przy sobie w Białym Domu, opowiadała o pożegnalnych wizytach polityków południowych w chwili wybuchu wojny i o tym, jak jeden z krewniaków rzekł do niej: „Kochana Lizzy, życzę ci, aby cię pobyt tutaj nie rozczarował. Pozostań tu więc gościem, dopóki nie zdobędziemy Waszyngtonu“.

Zamiast podkreślać fatalne rozdzielenie między Południem a Północą, żywiła Mary, być może, tajemną sympatię dla tych wytwornych oficerów, którzy po stronie przeciwnej bronili ideału władczego pana. Dowieść tego nie można, ale jej duma, wychowanie i pokrewieństwo tłumaczyłyby taki stan rzeczy, gdyż na początku wojny Białemu Domowi nie brakowało wstrząsów. Gdy Lincoln chciał powierzyć szwagrowi swej żony stanowisko w armii północnej, o które ubiegało się bardzo wielu, ten odmówił przekładając służbę w armii południowej, aczkolwiek pochodził tylko z Kentucky, jak i Lincoln, a ojciec jego w dalszym ciągu był po stronie Północy.

Mary proteguje swoją siostrę w Illinois i wyjednuje stanowiska dla swej rodziny. Zrozumieć to nie trudno. Potem jednak czuje się dotknięta, ponieważ uprzywilejowani przypisują swoje wyróżnienie nie jej, lecz mężowi. W istocie wszystko zależy od Lincolna, a on, który najbliższych swoich przyjaciół popiera bardzo niechętnie, musi pisywać listy wielce dla siebie niesympatyczne. Do szwagra Edwardsa: „Wielce Szanowny Panie, bardzo mi przykro słyszeć, że materialnie jest pan zrujnowany. Mam nadzieję, że chodzi tu jedynie o straty do powetowania... To, co mi pan proponuje, pragnąłbym najpierw zrozumieć, zanim wyrażę zgodę. Nie miałem i nie mam na to jeszcze czasu, nie chciałbym wszakże, aby pan tracił szanse, o ile to jest możliwe bez ujemy dla rządu lub dla kogokolwiek. Gdyby pan przybył tutaj i powiedział mi, w jaki sposób to się stać może, bardzo chętnie wyświadczyłbym panu tę grzeczność“.

Podobnie pisze do Stuarta: „Drogi Stuarcie, kuzynka Lizzy pokazała mi pański list. Pytanie, czy mogę jej przekazać pocztę w Springfield, niepokoi mnie. Proszę zważyć, że ...mianowałem już gubernatora, a bratu innego osobistego przyjaciela powierzyłem urząd ziemski. Czy byłoby słuszne, abym dalej tak czynił usprawiedliwiając twierdzenie, że Trumbull i ja wszystkie urzędy rozdajemy krewnym swoim?... Z akt widzę, że urząd ten ma być oddany urzędnikowi z wyboru. Czy nielepiej wystawić kandydaturę i pokonać konkurentów? Ponieważ Lizzy jest tutaj, dowiedzieć się o tym nie potrzebuje, a sprawa nie zwróciłaby na siebie niczyjej uwagi“.

Jakich uczuć musi doznawać ten człowiek przytłoczony troskami, gdy stojąc na czele kraju zmagać się musi z partiami zabiegającymi o najwyższe stanowiska! Wszędzie czyhają oczy wrogów, aby dopatrzeć się



jakiegoś uchybienia w jego przejrzystym postępowaniu, i oto ma się zajmować podrzędnymi stanowiskami dla mężów kuzynek! Kto wie, czy w chwili gdy pisze na kopercie adres Edwardsa, nie przypomina mu się dzień pierwszy stycznia, w którym uciekł on z jego domu? I może zadaje sobie pytanie, czy drugi dzień ślubu nie stał się dla niego jeszcze fatalniejszy od pierwszego? Bo cóż zyskał w Mary? Oczywiście, tchórzliwa nie jest; w chwili niebezpieczeństwa nie chce z dziećmi opuścić miasta i pozostaje przy mężu.

Jej zazdrość staje się teraz tak śmieszna, że zapisuje sobie każdą kobietę, z którą mąż jej rozmawia dłużej niż pięć minut. Przed przyjęciami napomina go, aby nie flirtował z młodymi kobietami jak jaki sztubak. A przecież bodaj że niewinny flirt najbardziej odpowiadał jego naturze, gdy w obcowaniu z kobietami szukał nieokreślonych bodźców, przez całe życie upragnionych. Czy nie rozgniewa się wreszcie i czy jako głowa kraju nie pokaże, że jest także panem domu? Bynajmniej. Tylko dokucza jej długą listą imion kobiet, z którymi jutro będzie miał przyjemność gawędzić.

Zresztą mają dzieci, on zaś kocha te dzieci tym mocniej, im są one starsze i im czasy są cięższe. Z czworga tych dzieci pozostało tylko dwoje. Starszy, jako student, bawił stale poza domem, a Tadd, ośmioletni chłopczyk, żywy, tkliwy, a zarazem wielce roztropny, był ulubieńcem Białego Domu. Wchodził do pokoju ojca, kiedy mu się podobało, towarzyszył mu na każdym kroku; przy odwiedzinach obozów widywano obok olbrzymiej kościastej postaci prezydenta w cylindrze siedzącego na koniu szarą czapeczkę chłopca siedzącego na kucyku — różowa roześmiana buzia tego chłopca wprowadzała żołnierzy w dobry humor. Wieczorni goście zastawali niekiedy obok biurka pracującego prezydenta jego małego synka

siedzącego na dywanie i czytającego albo też widywano obu zagłębionych w jakiejś książce, przy czym mały chciał się uczyć, a duży szukał odpoczynku.

Obok tego biurka stała półka z przegródkami na listy, ale księgi kopiowej tu nie dopuszczono. Rzeczy najważniejsze kopiował Lincoln raczej własnoręcznie, twierdząc, że księgę kopiową łatwiej ukraść niż listy pojedyncze. Nie brakło też tam nigdy najnowszych karykatur, a gdy prezydent zwracał uwagę gościa na to, co właśnie znalazł swego czasu w pismach humorystycznych, na przykład jak to Murzyni wędrować będą z Południa na Północ, co bywa dowcipne i zabawne, solidny obywatel Nowej Anglii zapinał się z dostojeństwem na wszystkie guziki i dziwił się później wobec swoich przyjaciół, że prezydent znajduje czas na takie głupstwa. Cygan pokutujący w Lincolnie nie dał się stłumić całkowicie, a gdy czytywał wiersze albo prosił o muzykę, o ballady i pieśni szkockie, to pierwszeństwo dawał tak samo jak niegdyś pieśniom o znikomości spraw tego świata i o wspomnieniach dawnych czasów. Bo teraz u szczytu władzy melancholik ten spoglądał wstecz i oddawał się złudzeniom, że dawniej, w czasach jego młodości, wszystko było daleko piękniejsze.

## XII

Stopniowo cel polityczny wojny domowej zaczynał się przesuwac: zrazu chodzilo o ratowanie Unii, teraz dazono do zniesienia niewolnictwa. Poniewaz jednak do rozwiązania pierwszego zagadnienia bylo jeszcze daleko, a zagadnienie drugie moglo zostac rozwiązane tylko w zaleznosci od pierwszego, powstawaly sprzeczności i sytuacje groteskowe, zgoła niezwykłe.



Mary





Wszystko wszakże, co się działo, a jeszcze bardziej to, co stać się nie mogło, spoczywało w ręku prezydenta i było uzasadniane w jego umyśle i sercu. Za wszystko odpowiadał Lincoln i wszystko było jego zasługą.

Gdy wojna rozpoczęła się walką przeciwko rebelii, wszyscy działali jednomyślnie, ale gdy wojna zaczęła się przewlekać, spory partyjne odżyły na nowo: demokraci występowali przeciwko republikanom, a w łonie republikanów tym ostrzej umiarkowani ścierali się z radykałami. Nowy pogląd, który tworzył się w ciągu dziesięcioleci, a teraz oto burzliwie wtargnął w życie, nie mógł zostać skodyfikowany z dnia na dzień, a może nawet w ciągu całej wojny. Niejasny stan pośredni, w którym niewolnictwo zaczęło się samo częściowo rozkładać, chociaż stanu tego nikt nie legalizował, musiał wszystkie stronnictwa napełnić zaniepokojeniem i niezadowoleniem. Czemuż to prezydent nie wciela do armii północnej niewolników zbiegłych z Południa lub pojmanych przez wojska, chociaż jako wódz najwyższy uczynić to może na zasadzie prawa wojennego? Takie pytania zadawano sobie na Północy w kołach oswobodzicieli. Czemuż to — pytali przyjaciele niewolników w stanach pogranicznych — wojska traktują zbiegłych lub ujętych Murzynów tak źle? Natomiast właściciele niewolników w tych samych stanach pytali: czemuż to ochrania się niewolników pomiędzy liniami działań wojennych i ogranicza się prawa właścicieli? Czy Południe nie postępowało daleko sprytniej, gdy w nowej konstytucji nie tylko zakazywało dalszego dowozu niewolników z Afryki, lecz także sprowadzania ich z Północy? Miało to zapobiec panice środkowych stanów neutralnych, że ceny niewolników mogą spaść gwałtownie, a zarazem nastraszyć ich, iż odtąd niewolników z Południa otrzymywać nie będą.

Cóż miał czynić Lincoln w tym chaosie sprzecznych i skłóconych ze sobą głosów? W każdym razie nakazał on milczenie głosowi serca i jako polityk rozważał jedynie to, co przemawiało za i przeciw niewolnictwu. Na Północy byłby się może ostatecznie obył bez specjalnych rozstrzygnięć, bo tam, skąd brał swoje wojska, było bodaj że tylu demokratów przeciwnych niewolnictwu, ilu przyjaznych republikanów. Chcieć wyzwolić niewolników za pomocą doraźnego aktu, o co się pokuślił jeden z jego generałów i jego minister wojny, znaczyło utracić stany graniczące z Południem, a tym samym przegrać może wojnę. Już przed trzydziestu laty Henry Clay, przyjaciel niewolników, podobnie jak Lincoln, jego wierny naśladowca, przestrzegał: „Szkody wyrządzone przez niewolnictwo są niczym w porównaniu ze szkodami, jakie musiałyby powstać przy nagłym, powszechnym wyzwoleniu niewolników bez zastrzeżeń i bez różnicy“.

Prócz tego byli jeszcze inni neutralni, niemniej niebezpieczni, a mianowicie w Europie; z napięciem śledzili oni walkę i dla Północy, szczególnie Anglia, mieli uczucia wrogie. Nastroju tego obcego kraju, który z powodu blokady Południa musiał się obywać bez bawełny dostarczanej mu przez Południe, nie można było pozyskać przez wysunięcie jako celu wojny utrzymania Unii, która niegdyś zawiązała się przeciwko Anglii i jeszcze dzisiaj nie była uważana za jej przyjaciółkę. Gdyby natomiast wypisać na swym sztandarze hasło wyzwolenia niewolników, purytańska Anglia nie mogłaby popierać właścicieli niewolników.

Tak czy owak straszliwe położenie czarnych nędzarzy było dla Lincolna zbyt długo sprawą serca, aby sprawę tę mógł przedłożyć do rozstrzygnięcia gabinetowi lub choćby tylko Sewardowi. Lepiej już było napi-

sać do Speeda, z którym dyskutował na ten temat, a który był teraz jego mężem zaufania w Kentucky. Zdaje się, że dużo rozmawiał o tej sprawie z Sumnerem i że razem z nim wpadł na pomysł, aby stany sąsiadujące z Południem same zaproponowały wykupienie niewolników przez Unię, on zaś dokonałby następnie reszty. Szukał tymczasowego rozwiązania, a mianowicie stopniowego wykupu niewolników w Delaware i odszkodowania dla ich właścicieli, sam pisał o tym prywatnie do senatorów myślących odmiennie i starał się wytłumaczyć im przy pomocy prasy, że wykupienie wszystkich niewolników w czterech stanach pogranicznych kosztowałoby tyle, ile kosztowało 87 dni wojny. Trzeba uważać, doradzał niecierpliwemu Sumnerowi, aby podobna deklaracja nie podzieliła także Północy na dwa przeciwne sobie obozy. Jednakże gdy Sumner, który wyrzucał Lincolnowi jego wahanie, tak samo jak Lincoln wyrzucał je swoim generałom, doradzał mu, aby na Nowy Rok 1862 zrobił Kongresowi i narodowi prezent z wyzwolenia niewolników i nawet zaczął go kusić sławą, Lincoln przerwał mu szybko i rzekł: „Ani słowa więcej o tym! Sam wiem, że nie będzie zapomniane imię, które zwiąże się z tą ustawą“.

Jest to ten sam głos, który z dwudziestoosmioletniej piersi wyrывał westchnienie, aby nie umrzeć, zanim się imienia swego nie przekazało przyszłości, i ten sam, który już w dwudziestym piątym roku marzył o bohaterstwach historycznych. Tutaj oto, w tajemnych głębiach duszy, ukrywa się ambicja o największym wymiarze. Jak przed laty trzydziestu, tak i teraz ambicja ta nie zadowala się stanowiskiem prezydenta, ale sięga do decydowania o losach całej ludzkości. Zdaje nam się, że widzimy go, jak podnosi kościsty palec przeciw Sumnerowi, przerywa jego słowa, jak gdyby zakazywał mó-



wić o tym, co najgłębiej tkwi w jego sercu, i woła: „Sam wiem!“ Ciężkie to chwile, trwają już przeszło rok i więcej, a w nich jednoczy się dobra wola filantropa ze wspomnieniami dawnych zamroczeń serca i z marzycielskimi pragnieniami idealisty, aby pokonać polityczny sceptycyzm. Tutaj, jak nigdy dotąd w życiu Lincoln, uwydatnia się walka wewnętrzna realisty z marzycielem, adwokata z filozofem i nic w karierze życiowej tego wielkiego charakteru nie ujawnia siły tego człowieka tak jasno jak to, że popędem swoim nie uległ.

Lecz nagle, w tydzień po śmierci syna, w najmroczniejszych chwilach wojny, z której nie było widać wyjścia, posyła po Sumnera, aby przyszedł, bo musi się z nim natychmiast rozmówić. „Pragnę panu przeczytać moje orędzie do Kongresu. Pragnę usłyszeć pańskie zdanie, bo jeszcze dzisiaj chciałbym to orędzie odesłać“. Tak oto ten wahający się człowiek sam siebie popycha ku celowi, pełen niepokoju, że nowe rozważania mogłyby wstrzymać jego decyzję. Zdaje się, że chce on mieć rękojmię swego postanowienia, bo gdy Schurz, referując nastroje Europy znane mu bezpośrednio, mówi, że w Nowym Jorku przygotował grunt dla sprawy i założył odpowiednie towarzystwo, a w lutym pokazuje mu szkic mowy przygotowanej na początek marca, Lincoln zachęca go żywo i woła: „Niech pan przemawia! Tego samego dnia usłyszy pan o moim przemówieniu!“ Orędzie zostaje przetelegrafowane do Nowego Jorku i staje się niespodzianką dla kończącego przemówienie Schurza i jego słuchaczy, którzy około północy po jego odczytaniu wybuchają entuzjazmem w tym samym Instytucie Coopera, w którym Lincoln przed paru laty po raz pierwszy pozyskał sobie wielkie miasto.



Oświadczając to, które zachęcało jedynie do stopniowego ograniczania niewolnictwa, w ostrożnej formie prosiło Kongres o uchwałę tej treści, że „każdy stan uchwalający stopniowe zniesienie niewolnictwa wspierany będzie przez Unię finansowo, a tym samym posiadzie środki potrzebne do likwidacji, według własnego uznania, trudności prywatnych i publicznych, jakie powstać mogą w związku z tą sprawą“. Tę stopniową emancypację uzasadniał Lincoln jako podyktowaną względami pokojowymi. „Moim zdaniem, stopniowe, nie nagłe wyzwolenie niewolników będzie lepsze dla wszystkich. Propozycja taka nie może być w żadnym wypadku pretekstem do wtrącania się rządu do ustawodawstwa poszczególnych stanów, ponieważ przepisy dotyczące niewolnictwa pozostawia stanom i ich mieszkańcom“. Uchwała ta została natychmiast przyjęta przez Kongres, który za każdego wyzwolonego Murzyna obiecywał 300 dolarów, ale żaden ze stanów pogranicznych nie zareagował na tę uchwałę. Zapanowało lodowate milczenie. Po upływie czterech dni napiętego oczekiwania zaprosił Lincoln przedstawicieli tych pięciu stanów, przemawiał do nich z wielkim żarem, ale nie osiągnął nic.

A jednak coś osiągnięto. Okazano dobrą wolę trzymania się w tych sprawach konstytucji i ostrożnego postępowania, ale poza tym wyrazem dobrej woli była też groźba: jeśli się nie zgodzicie, to wiedzcie, że rozporządzamy innymi środkami! Teraz połączyli się ze sobą radykali i umiarkowani, zrobił się ruch, nowe przepisy zakazywały armii i marynarce chwycić zbiegłych niewolników, niewolnicze państwa Liberia i Haiti zostały uznane. Pewna gazeta pisała: „Armata, która ostrzeliwała fort Sumter, zniweczyła trzy czwar-

te linii rozdzielających nas. Orędzie to niweczy ostatnią ćwierć“.

Po raz pierwszy od pierwszych tygodni wojny czuł się prezydent ponownie w zgodzie z wolą narodu, sam stał się radykalny i osiągnął teraz to, co czternaście lat temu projektował jako mało znany poseł. Wtedy nie zdołał nawet wywołać dyskusji nad swoim projektem, dzisiaj zaś dystrykt Kolumbia, w którym znajduje się Waszyngton, ogłoszony został jako wolny, milion dolarów wyznaczono na odszkodowanie dla lojalnych właścicieli niewolników i natychmiast powołano do życia szereg szkół i zakładów wychowawczych dla dzieci Murzynów.

Po kilku tygodniach generałowie wtrącili się ponownie do dzieła Lincolna, czyniąc to głupio i arogancko. Pewnego dnia prezydent przeczytał w gazecie, że generał Hunter wydał na Zachodzie proklamację: „Niewolnictwo i prawo wojenne wykluczają się wzajemnie w kraju wolnym. Osoby w Georgii, na Florydzie i w Karolinie Południowej, które dotychczas trzymane były w niewoli, ogłasza się niniejszym za wolne“. Już trzeci raz! Tym razem natychmiast pojawiło się odwołanie: „Ja, Abraham Lincoln... oświadczam, że rząd Stanów Zjednoczonych nic nie wiedział o zamiarze generała Huntera dotyczącym wydania podobnej proklamacji, a przeto nie wiemy, czy dokument ten jest autentyczny. Ani generał Hunter, ani żadna inna osoba nie jest upoważniona do wydawania proklamacji uwalniających niewolników któregośkolwiek stanu, czyli że orędzie to, autentyczne czy nieautentyczne, jest zupełnie nieważne. Zarazem podaję do wiadomości, że na własną odpowiedzialność biorę rozstrzygnięcie zagadnienia, czy kompetencji mojej jako wodza najwyższego podlega proklamowanie wolności niewolników i czy sprawę tę

uznam za nieuniknioną konieczność. Nie uważam się za uprawnionego do przekazywania jej dowódcom wojsk stojących w polu“.

Taki jest obecnie zdecydowany ton Lincolna, gdy widzi, że niezgrabne ręce zabierają się do rozstrzygnięcia sprawy w sposób niewłaściwy i w chwili nieodpowiedniej. W interesie sprawy, której rozwiązania pragnie, nie waha się wystąpić przeciwko generałowi i przyjacielowi partyjnemu, a zarazem przeciwko dużej części opinii publicznej i prasy, aby zaprzeczyć temu, czemu sam całą duszą przyświadcza. Gdy zaś chodzi o to, aby w licznych okólnikach odwoływać się do gubernatorów stanów pogranicznych, którzy tak po stoicku zachowują postawę neutralną, słowa pochlebne wypowiada w tonie ostrzegawczym: „Nie namawiam pana, lecz raczej proszę, aby się pan nad tym argumentem zastanowił. Nawet gdyby pan chciał, nie mógłby pan przeoczyć znaków czasu. Proszę zatem o spokojne i wielkoduszne rozważenie tej sprawy, w której musi pan stanąć ponad względami partyjnymi i osobistymi... Propozycja moja nie jest faryzeuszowska. Przemiana, którą proponuję, winna przyjść łagodnie jak rosa niebieska; niczego nie może ona zniszczyć i niczego przerwać. Czy nie zechce pan jej przyjąć? Z żadnej próby nie powstało w przeszłości tyle dobra, ile go obecnie dzięki Opatrzności spoczywa w pańskich szczęśliwych rękach. Oby przyszłość nie musiała się gniewać, że pan tego wezwania nie usłuchał!“

Stojąc pośrodku między ostrzymi odwołaniami i delikatnymi namowami nie zadowala on nikogo i radykalni senatorowie oblegają go na nowo, żądając, aby wyzwolonych Murzynów wcielił do armii. Wojna powstała z ich powodu, więc teraz i pan prezydent także winien coś uczynić. Jakich uczuć musi doznawać Lincoln, który

od lat trzydziestu jest rzecznikiem Murzynów, gdy in-  
ni, może nawet młodszy, napadają na niego, jak gdyby  
na krześle kurulnym siedział konserwatywny starzec  
podobny do Buchanana, zgola nie rozumiejący ducha  
nowych czasów! „Moi panowie — odpowiada Lincoln  
takiej delegacji — to ja włożyłem tysiące karabinów  
w ręce lojalnych obywateli z Tennessee, Kentucky, Za-  
chodniej i Północnej Wirginii; mówili, że bronić się bę-  
dą, jeśli zdobędą broń. Dałem im broń. Otóż ludzie ci  
uważają wcielanie Murzynów do armii za niemożliwe.  
Gdybym to uczynił, tysiące tych karabinów zwróciłyby  
się przeciwko mnie. Stracilibyśmy więcej, niż moglibyś-  
my zyskać... Nie mogę spoglądać na te rzeczy tak, jak  
spoglądacie wy. Może macie rację. Mogę uczynić tylko  
jedno: zrezygnować na rzecz pana Hamlina. On zrobi  
wszystko może lepiej ode mnie“.

Ktoś znający sytuację i osobę prezydenta oświadczył  
wtedy, że prezydent musiał być bliski rozpacz. Nie  
dziwota! Od wewnątrz jest on szturmowany niby twier-  
dza, ale twierdza, którą sam każe szturmować, miano-  
wicie Południe, trzyma się tak mocno jak on.

### XIII

W pierwszą rocznicę wybuchu wojny zdobycze wo-  
jenne na Zachodzie były liche, a w walce z Richmon-  
dem nie osiągnięto nic. Ciągłe jeszcze opierał się  
McClellan rozkazowi natarcia czołowego i obstawał  
przy swej propozycji przewiezienia całej armii okrę-  
tami na wyspę północną między rzeką Jork a rzeką  
James. Czyżby nie chciał działać? Czyżby myśl wojny  
bratobójczej przerodziła się w nim w fałszywą rycer-  
skość? Czy może obawia się swego mistrza z przeciw-



nej strony, pod którym się uczył i którego autorytetu nie chce podkopywać? Lub też pośrednio popiera swego nieprzyjaciela, którego przecież nie może nienawidzić? Czy wreszcie tradycja wojowniczego Południa powstrzymuje go od walki, ponieważ w gruncie rzeczy wolałby walczyć po tamtej, klasycznej stronie? Czy może on, demokrat, myśli o tym, aby postępowaniem swoim znużyć obie połowy narodu i doprowadziwszy je do kompromisu stać się panem sytuacji jako prezydent? Rzecz dziwna, że ruszając naprzód nie pozostawia wojska dla ochrony stolicy. Lincoln zaczyna być podejrzliwy, acz nie wiemy, w jakie mierze, obserwuje generała baczniej, interesuje się teraz szczegółami, których nawet minister wojny czasami nie zna. Listy jego do tajemniczego wodza, którego ze względu na opinię publiczną jeszcze potrzebuje, są istnymi arcydziełami:

„Niech pan pozwoli sobie powtórzyć: koniecznie trzeba, aby pan teraz atakował. Oszczędzić panu tego rozkazu nie mogę. Niechże mi pan sprawiedliwie przyzna, iż zawsze podkreślałem, że pański pomysł przeniesienia pola bitwy nad zatokę, zamiast wybrania na nie okolicy pod Manassas, nie jest przewyciężeniem trudności, ale ich omijaniem... Kraj zauważy niedługo, a właściwie już to dostrzeżę, że obecne wahanie się, czy zaatakować okopanego nieprzyjaciela, jest tylko powtórzeniem owych niebezpieczeństw... Niech mi pan wierzy, że nigdy nie pisałem do pana z uczuciami bardziej przyjaznymi i z poważniejszymi zamiarami utrzymania pana, o ile to jest możliwe dla mojej świadomości obciążonej troskami i dla sumienia mego. Ale musi pan działać! Oddany panu“.

Ba, Napoleon wrażliwy jak dziewczica, chociaż mniej niewinny, musi być traktowany delikatnie, a chociaż

nic nie robi, prezydent musi bezustannie zabiegać o to, aby go utrzymać w dobrym humorze i w dobrej nadziei. Może wreszcie coś zrobi. Tłumaczy się tedy Lincoln, że pewną dywizją rozporządził inaczej, niż byłby sobie życzył pan generał, „ale gdyby pan znał ciężką sytuację, usprawiedliwiłby pan mój rozkaz bez zastanawiania się nawet nad tym, że naczelny wódz może ostatecznie tak rozkazywać, jak mu się podoba“. Znowu łagodnie osłodzona groźba, jak w liście poprzednim, chwyty aksamitnymi pazurami, jak na przykład to delikatne odrzucenie skargi: „Niech mi wolno będzie powiedzieć panu coś, czego nie potrzebuje pan brać do siebie, a mianowicie, że senatorowie i posłowie wypowiadają się wobec mnie otwarcie, nie będąc w niczym krępowani, i że oficerowie armii muszą zaprzestać pisywania do nich obraźliwych listów za to, że i wobec nich panowie ci są tak samo swobodni, jak wobec mnie“.

Wreszcie zdobywa się prezydent na krok stanowczy, aby jednocześnie na wschodzie i na zachodzie rozstrzygnąć sprawy personalne, które grożą beznadziejnym zagnatwaniem całej tej wojny. Frémont nie chce ruszyć do ataku, aby schwycić swego przeciwnika Jacksona, co teraz chyba mógłby uczynić. Lincoln odbiera tedy McClellanowi dowództwo naczelne, Frémontowi zaś dowództwo lokalne, a miejsce ich zajmuje Halleck, znakomity teoretyk, raczej myśliciel niż żołnierz, człowiek o kwadratowej głowie, grubas rzetelny i powolny, rzeczowy, ale niepraktyczny. Człowiek ten aż do końca wojny pozostanie czymś w rodzaju szefa sztabu generalnego prezydenta. Ten dowódca dość się uczył i dość obserwował, aby wreszcie przejść do ataku. Ton Lincolnna staje się ostrzejszy, bo jego pewność siebie wzrosła, podobnie jak w walce o fotel senacki, na własnym

rozumie i na widocznej słabości fachowców. Oto kilka osobistych depeesz podczas nowego marszu przeciw nieprzyjacielowi:

Do McDowella: „Czy reszty pańskich sił, z wyjątkiem sił w Fredericksburgu, nie można by wykorzystać kierując je ku nam? Czy jako dowódca tego korpusu nie powinien pan być tutaj? Tylko te pytania“. Jednocześnie do McClellana: „Czy nie może pan przeciąć kolei żelaznej? Co pan sądzi o rowach strzeleckich, które będzie pan musiał zaatakować przed Richmondem? Czy będzie pan mógł podejść dość blisko, aby móc bombardować miasto?“ Do Frémonta: „Dowiaduję się, że pan jest w Moorfield. Otrzymał pan rozkaz maszerowania na Harrisburg. Co to znaczy?“

Zarazem wygląda na to, że stanowisko nad morzem, najlepsze oparcie Północy, zagrożone jest śmiałymi czynami nieprzyjaciela. Pierwsza łódź podwodna, jaką sobie Południe zamówiło, miała się przy pierwszym strzale rozlecieć. Mimo takiej przepowiedni załoga idzie na pokład tego statku, niszczy wielki okręt północny i sama przy tym ginie. Następnie po tamtej stronie pojawia się pierwszy krążownik „Merrimac“ i przy wschodnim wybrzeżu Florydy zatapia kilka okrętów. Skutki tych wiadomości znalazły wyraz „w najbardziej burzliwym w ciągu całej wojny posiedzeniu gabinetu“, jak się wyraża sekretarz Lincolna. Jeśli statek ten grasować będzie dalej, to niedługo z całej floty nic nie zostanie i blokada będzie przerwana. Tylko Lincoln siedzieć miał spokojnie, porównując różne depesze, wypytywać oficerów. Gdy już nazajutrz nowojorski krążownik „Monitor“, lżejszy od tamtego, pobił nieprzyjaciela i uratował sytuację, Lincoln postanawia sam udać się na Południe i zabiera z sobą Chase'a i Sewarda. Każdy z nich bada na miejscu najlepszą drogę do marszu na Norfolk wodą

i lądem, a gdy zgodnie z projektem Lincolna wojsko rusza naprzód, nieprzyjaciel sam spala swój statek, byle go nie pozostawić w rękę przeciwnika. „Bez Lincolna — zaświadcza później Chase, który go bynajmniej nie lubił — nie wybralibyśmy się na Południe, nie przybylibyśmy do Norfolk i nie doszłoby do zniszczenia tamtego statku“. Wkrótce potem odważnym atakiem zdobyli północni Nowy Orlean, największe miasto Południa.

Ale Richmond! Od Richmondu zależy wszystko. Lecz koniec czerwca za pasem, tajemniczy kunktator ruszył wreszcie naprzód i oto stoi o siedem kilometrów od nieprzyjacielskiej stolicy i tu zatrzymuje się ponownie! Nieprzyjacielowi daje czas do zgromadzenia wojska i w siedmiodniowej bitwie zostaje pobity. Krytycy pisali później, że McClellan mógł nieprzyjacielowi zgłować Austerlitz. A cóż powiada sam Napoleon? „Gdybym miał o 10 tysięcy żołnierzy więcej, jutro mógłbym zwyciężyć!“ — telegrafuje pełen oburzenia i rozpacz. — „Ja odpowiedzialny nie jestem! Rząd nie troszczył się o moje wojsko!... Jeśli jeszcze teraz uratuję armię, to powiem panu szczerze, że nie będę tego zawdzięczał ani panu, ani komukolwiek w Waszyngtonie. Pan uczynił wszystko, aby armię poświęcić!“ Oto jest ton człowieka, który długo wodził za nos innych, a teraz boi się rozczarować ich ostatecznie.

Teraz Lincoln uważa go za wariata i traktuje raczej jako człowieka o chorej duszy, tym bardziej że nie ma nikogo, kto mógłby zająć jego miejsce: „Ostatnia pańska depesza zabolala mnie bardzo. Posyłam panu wszystko, co mam, a czynię to przypuszczając, że wykorzysta pan jak najlepiej siły, które pan posiada. Tymczasem pan w dalszym ciągu nielojalnie przypuszcza, że mógłbym panu dać więcej, gdybym chciał“. Następnego dnia: „W każdym razie niech pan ratuje armię! Po-



siłki wyślemy, jak tylko będzie można, oczywiście że nie pojutrze... Nie powiedziałem, że pan jest nielojalny, ponieważ żąda pan coraz więcej posiłków. Powiadam, że jest pan małoduszny przypuszczając, iż nie posyłam ich panu natychmiast po ich otrzymaniu. Każde nie-szczęście, jakie spotyka pańską armię i pana, odczuwam tak żywo jak pan. Jeśli przegrywa pan bitwę albo spotyka pana inne niepowodzenie, dzieje się to za cenę tego, że nieprzyjaciel nie jest jeszcze w Waszyngtonie... Gdybyśmy ogołocili miasto (czego domagał się McClellan), nieprzyjaciel byłby tu prędzej, zanim pan mógłby odesłać nam wojska“.

Czy kiedykolwiek prezydent jakiegoś kraju prowadził takie dialogi ze swoim pobitym generałem? Gdy prezydent sam był żołnierzem, wydawał rozkazy zwycię-złe, jeśli był cywilem, kazał działać swemu ministrowi wojny. Tutaj zaś rodzaj wojny zmienia podział odpowiedzialności, a nadto charakter prezydenta zmienia równowagę moralną: on sam przechyla tu szalę, bo według swego najgłębszego poczucia odpowiedzialności sprawuje nie tylko urząd, ale spełnia obowiązki ojca ojczyzny znajdującej się w największym niebezpieczeństwie. Tak samo czuje cały kraj: spadek kursów na giełdzie nowojorskiej, powszechne przygnębienie, brak zapala, chociaż werbuje się nowych 300 tysięcy ludzi na trzy lata, czyli — jak powiada lud — wciąga się ich w pułapkę McClellana.

Tak, Lincoln sam bierze teraz wszystko w swoje ręce i sam wszystkim kieruje. Gubernatorom prawi pochleb-stwa, aby się śpieszyli z poborem i aby raczej wysyłali natychmiast trochę wojska, niż dużo — gdy będzie już za późno, jednocześnie łagodzi spory powstające między nimi a generałami z powodu zawiści; sam też musi pamiętać o tym, aby dla żołnierzy żydowskich byli w woj-

sku rabini. On też pierwszy śpieszy na plac boju, a następnie na naradę wojenną nad Potomakiem, konfrontuje niższych dowódców i wypytuje ich sam, bo już nikomu w tej armii nie wierzy.

„Jak pan ocenia teraz siłę naszego wojska?“

„Okolo 80 tysięcy, z pewnością 75“.

„Jaki jest stan zdrowotny? Gdzie jest teraz nieprzyjacieli?“

Każdy z dowódców daje inną odpowiedź. Wkrótce potem pisze list do McClellana z powodu dezercji. „Słyszę, że na półwysep wymaszerowało 160 tysięcy ludzi. Niedawno temu stwierdziliśmy razem z panem, że... doliczyć się można tylko 73 500 ludzi. Liczba wziętych do niewoli i rannych wynosi zdaje się 23 500, a więc 50 tysięcy ludzi opuściło armię w inny sposób. Z tego zmarło tylko 5 tysięcy, pozostaje więc do odszukania 45 tysięcy ludzi, którzy z pewnością żyją, ale ich nie ma. Połowa z nich albo dwie trzecie zdolna jest do służby wojskowej. Czy wie pan o nich coś bliższego? Jeśli faktem jest, że kiedyś miał pan te wojska, to w ciągu trzech dni mógł pan pomaszerować na Richmond. W jaki sposób odzyskać tych ludzi i zapobiec, aby w przyszłości tak wielkie masy nie uciekały?“

Wszystko to pisze ten cywilny prezydent na podstawie własnych obliczeń i badań. Doprawdy, stał się generałem ten Abraham Lincoln, który jest wrogiem wojny i łowów i który nigdy nie postrzelił żadnego stworzenia, a tylko uratował jednego Indianina. I podczas gdy prezydent zadaje generałowi pytania wojskowe, tamten pisuje teraz do prezydenta listy polityczne. Lecz do domu pisze w zaufaniu: „Jestem już zmęczony i nie chce mi się służyć głupcom... Nagadaliśmy się aż nadto z ludźmi w Waszyngtonie i zgodziliśmy się, że to nędzna hołota. Chcą się, widać, doczekać zniszczenia tej ar-

mii". W tym samym czasie Lincoln mści się małym klasycznym dopiskiem: „Jeśli pan kiedykolwiek poczuje ochotę do przejścia do ofensywy, nikt nie będzie usiłował powstrzymać pana od tego“.

Potem zwraca się do Sewarda i omawia z nim szczegółowo każdy drobiazg, aby wreszcie pisemne rozkazy ująć w takie wspaniałe zdania: „Walkę tę pragnę prowadzić aż do zwycięstwa albo aż do naszej śmierci, albo aż do naszej porażki, albo aż do końca mego urzędowania, chyba że opuści mnie Kongres i kraj“. Takie jasne są myśli Lincoln, logiczne i patetyczne zarazem, zwarte, męskie, mocne; jego koścista dłoń, w której na pokładzie statku ku zdumieniu marynarzy kilka minut trzymał poziomo za koniec toporzyska siekiere, trzyma losy tego kraju.

#### XIV

Coraz bardziej wysuwała wojna sprawę niewolników na czoło i zmuszała do jej rozstrzygnięcia. Im gorzej było na arenie wojny, tym lepsze były widoki dla niewolników. Potrzebowano ich do zastąpienia odchodzących wojsk, do uspokojenia północnych radykałów i oddziaływania na Europę. Listy i artykuły, pogroźki i delegacje mnożyły się. Garrison nalegał na Lincoln, pewien szwajcarski polityk opisywał pogroźki Napoleona III, przybywali kwakrowie, przybywali duchowni; niekiedy odzywały się ostrzegawcze głosy ludzi z Kentucky, lecz głosy te straciły na sugestywności.

„Nie chcę występować z zarzutami lub skargami — pisał Lincoln jeszcze raz do przywódców stanów leżących między Południem a Północą. — Gdybyście się jednak zgodzili w marcu na stopniowe wyzwalenie, dzisiaj wojna byłaby zasadniczo zakończona, jak sądzę.

Tamten plan jest jeszcze dzisiaj jednym z najpotężniejszych i najszybszych środków do zakończenia wojny. Gdy buntownicy ujrzą, że stany środkowe nigdy nie przyłączą się do konfederacji, nie będą mogli walczyć dalej. Ale nadziei tej nie możecie im odebrać, zanim sami nie zniesiecie u siebie niewolnictwa... O ileż roztropniej zaoszczędzić pieniądze, które przy trwającej wojnie trwoni się bezustannie! Na skutek wojny niewolnictwo w waszym stanie topnieje i tak; lepiej więc uczynić, co należy, aby wojnę skrócić, a koszty jej zmniejszyć. Stanowczo lepiej dla was stać się sprzedawcami, gdy naród staje się nabywcą tego, bez czego nigdy by do tej wojny nie doszło. Lepiej pozbyć się rzeczy, które muszą być sprzedane, niż czekać, aż ceny na nie spadną, a tymczasem wymordowywać się wzajemnie“.

I tuż obok zwrotów przebiegłych, bo przeznaczonych dla farmerskich i kupieckich mózgownic, woła z całym zapalem idealisty, zwracając się do dwóch przywódców oswoobodzicieli: „Gdyby stany pograniczne propozycję moją przyjęły! Wtedy wy obaj i ja żylibyśmy nie na próżno!“

Gdy stany pograniczne odmawiają ponownie, ich upór potęguje jego wolę. W chwili gdy dowiaduje się o tej ostatecznej odmowie, siedzi z Wellesem, Sewardem i jego synową w powozie. Odbywa daleką drogę na cmentarz, bo Stanton stracił dziecko i właśnie wszyscy są na pogrzebie. Ból stałego doradcy przypomina Lincolnowi jego własną nie zagojoną ranę serca, wytwarza zapewne nastrój usposabiający do słów poufniejszych. Wielkie zagadnienia pozostawiał zawsze samemu sobie, a także decydujące kroki marcowe poczynił bez oglądania się na gabinet; teraz zaś po raz pierwszy mówił do nich o tej sprawie:



„Musimy się starać o uratowanie rządu. Czego zrobić nie mogę, o to zabiegać nie będę. Ale wszyscy winni wiedzieć, że od gry nie odstąpię, dopóki nie rzucę ostatniej karty... Teraz dojrzała we mnie decyzja. Jest to wojskowa konieczność dla uratowania narodu. Niewolników trzeba wyzwolić albo sami zginąć musimy“.

Wyzwolić albo zginąć! Tak oto przesunął się główny cel. Co zrazu było powodem wybuchu wojny, stało się środkiem do jej prowadzenia, a to, co jako zdobycz miało być wobec historii tej wojny usprawiedliwieniem, stało się rękojmnią jej zakończenia. Jakież myśli musiały poruszać serce Lincolna w owych tygodniach i dniach, gdy umysł jego uświadamiał sobie te paradoksy! Jeśli przeznaczenie wybrało go, aby urzeczywistnić jedną z wielkich idei ludzkości, to jednak zrazu zmuszało go ono do używania środków skromnych i zwracania się ku celom znikomym, aby dopiero określonymi drogami tragicznej zaiste ironii zbliżyć się mógł do ideału swojej młodości.

Zaczynał liczyć zamiast marzyć: na Południu rolę uprawiali wyłącznie niewolnicy, tak że wszyscy biali, do ostatniego, mogli odejść na front. Gdyby się proklamowało wolność niewolników, uciekaliby oni masowo, szeregi nieprzyjaciela musiałyby się przerzedzić, podczas gdy szeregi północnych wzrastałyby jednocześnie: ręce robocze, jakie straciłby przeciwnik, zyskałaby Północ... Drogą legalną nawet w sposób najłagodniejszy stany pograniczne nie dawały się w tej sprawie przechytrzyć, trzeba więc, aby władza wojskowa wyzyskała władzę Kongresu. Przecież już Adams przed laty kilkudziesięciu powiedział, że jeśli Południe stanie się kiedyś widownią wojny domowej lub niewolniczej, to pełnomocnictwa wodza naczelnego upoważnią go do kroków samodzielnych. Jeśli Lincoln skorzysta teraz

ze swego stanowiska, raz na zawsze wyłączy możliwość wszelkiego zgniętego i połowicznego pokoju, który całe wielkie zagadnienie po tylu ciężkich bojach rozwadniał kompromisami. W takim wypadku zyskiwało się platformę moralną i każde zwycięstwo w przyszłości staowało się zwycięstwem nad niewolnictwem.

Dzisiaj, po piętnastu miesiącach wojny, wydawało mu się możliwe to, co na początku byłoby Północ rozdwoiło. Ponieważ bowiem Północ sama miała cztery stany niewolnicze i ponieważ demokraci uważali, że całe zagadnienie nie warte jest takiego przelewu krwi, Lincoln nie czuł za tą sprawą zwartej połowy narodu. Zarządzenie wojenne mogło się po zwycięstwie stać prawem konstytucyjnym także na Północy. Na razie powstawała sprzeczność: wyzwalało się niewolników obcych, a nie własnych, a więc partia moralna i filantropijna we własnym kraju godziłaby się ze złem łatwiej niż w pogardzanym kraju niewolnictwa.

Co się działo w sercu Lincolna, zanim powziął tę decyzję, widać z listu napisanego po roku do pewnego obywatela w Kentucky, którego bardzo cenił i przed którym zwierzał się ze swoich myśli: „Z natury jestem przeciwny niewolnictwu; jeśli niewolnictwo nie jest niesprawiedliwością, to nie ma w ogóle niesprawiedliwości. Nie przypominam sobie czasów, w których czułbym inaczej, a jednak nigdy nie zdawałem sobie sprawy z tego, że prezydentura udziela mi nieograniczonego prawa do publicznego występowania w tej sprawie zgodnie z tym uczuciem i tymi myślami. W przysiędze swej przyrzekałem trzymać się Konstytucji i bronić jej ze wszystkich sił. Bez tej przysięgi urzędowania objąć nie mogłem; nie myślałem też o tym, aby za pomocą tej przysięgi dojść do władzy, a następnie przez wykonywanie tej władzy przysięgę łamać. Rozumiałem, że

przy normalnym rządzie pokojowym przysięga ta zakazywała mi w praktyce postępować w sprawie niewolnictwa według mego uznania. Czyż mielibyśmy poświęcić naród dla uratowania Konstytucji?

Prawo przyrody każe chronić ciało i jego członki, a jednak nieraz trzeba amputować członki, aby uratować ciało. Natomiast poświęcenie ciała dla uratowania jednego członka nie byłoby mądre. Czuję, że zarządzenia wymierzone przeciw Konstytucji mogą się stać uprawnione, dlatego że są nieuniknione dla uratowania narodu. Prawnie czy nieprawnie stanowisko takie zająłem i jeszcze dzisiaj przyznaję się do niego... Gdy w maju i czerwcu roku 62 zwracałem się do stanów pogranicznych z poważnymi odezwaniami, aby przeprowadzić warunkowe wyzwolenie, byłem przekonany, że to zarządzenie może jeszcze zapobiec wyzwoleniu bezwarunkowemu. Propozycja moja została odrzucona i oto w głębi sumienia swego czułem, że trzeba zgubić albo Unię, albo Konstytucję, albo też władczą dłońią wziąć się do sprawy czarnych. Wybrałem tę drogę, a wybierając ją miałem nadzieję, że zyskać mogę więcej niż stracić“.

Wśród tylu wstrząsów natury moralnej życie duchowe Lincolna musiało się przebijać ku wysokim celom. Tak troskliwie rozważał naturę swej przysięgi, tyle razy przeciwstawiał się swoim współpracownikom, tak stanowczo i zdecydowanie zalecał nieraz drogę pośrednią, zanim się zdecydował na ostateczność! Ale teraz, podobnie jak przy ożenku, wszystko zdawało się być dziełem krótkiej, pozornie nagłej decyzji. Telegraficznie przywołał do siebie swego starego przyjaciela sędziego, Swetta, bo w tej chwili nieuprzedzony i rzetelny głos przyjaciela młodości był mu nieskończenie cenniejszy od zdań tuzina fachowców.



Swett przybywa z rana i natychmiast, przed śniadaniem, udaje się do Białego Domu, gdzie Lincoln wypytuje go o starych znajomych i każe mu czytać ów list Garrisona, w którym ten namiętnie domaga się wyzwolenia. Następnie bez słowa zapytania zaczyna Lincoln sam roztrząsać zagadnienie, oświetlając wszystkie możliwe następstwa i sytuacje po obu stronach, zadając pytania i sam na nie odpowiadając. Był to monolog trwający dłużej niż godzinę. „Mówił tak, iż widziało się, że poglądów swoich nie chce narzucać słuchaczowi, lecz raczej poddać je rewizji własnej. Był to właściwie monolog“. Następnie ani myśli pytać przyjaciela o zdanie, prosi go, aby pozdrowił kilku znajomych, życzy szczęśliwej podróży i... po wizycie.

Zaraz potem, równie znienacka, zwołuje bez jakichkolwiek wstępów gabinet. Panom ministrom oświadcza, że powziął stanowczą decyzję, a zwołał ich nie dlatego, aby usłyszeć ich zdanie, lecz aby odczytać im treść swej proklamacji. Propozycje swoje mogą wyrazić później. Zdradza taką pewność siebie, że obcy, słysząc go, mogliby go uważać za samowładcę. Siedzi tedy przy owalnym zielonym stole pośród milczących twarzy i czyta:

„Ja Abraham Lincoln, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki i naczelny wódz armii i marynarki, oświadczam niniejszym, że wojnę prowadzi się nadal w tym celu, aby konstytucyjne stosunki między Unią a wszystkimi stanami zostały przywrócone. Że zamiarem moim jest zalecenie najbliższemu Kongresowi praktycznych zarządzeń w postaci wypłat dla dowolnego przyjęcia lub odrzucenia przez obywateli tak zwanych stanów niewolniczych, których ludność nie jest zbuntowana i która przyjęłaby zasadę powszechnego i stopniowego zniesienia niewolnictwa w granicach swoich ziem. Że próba osadzania na tym lub innym



kontynencie ludzi pochodzenia afrykańskiego za ich zgodą i za zezwoleniem nowego rządu będzie kontynuowana. Że z dniem 1 stycznia 1863 roku wszyscy w niewoli trzymani mieszkańcy któregokolwiek stanu lub terytorium, którego ludność nie znajdowałaby się w tym czasie w stanie buntu, od dnia tego na zawsze będą wolni... W dniu 1 stycznia wyodrębni się za pośrednictwem proklamacji te stany i ich części, których ludność znajdowałaby się wtedy w stanie buntu przeciwko Unii“.

Następuje zakaz dla wszystkich oficerów używania swej władzy do odstawiania zbiegłych niewolników. Kto na zdobytych terytoriach ujęty będzie jako niewolnik, „uznany zostanie za jeńca wojennego, ma być na zawsze wolny od przymusu i nie może być nigdy trzymany jako niewolnik“. Natomiast będą musieli być oddawani niewolnicy należący do panów mieszkających w stanach zbuntowanych.

Widzimy tu naród, który wyniszczał się w walkach toczonych między zwolennikami a przeciwnikami niewolnictwa. Spór przerodził się w walkę bratobójczą, biali rodacy wystrzelili się wzajemnie tysiącami z powodu Murzynów. A gdy nareszcie zbliża się chwila, w której odezwać się może władczy głos partii oswobodzicielskiej, któż korzysta z tego? Bynajmniej nie niewolnicy tych panów, którzy nazywają siebie ich przyjaciółmi; na razie wyzwała się niewolników nieprzyjaciela, któremu przecież rozkazywać nie można. W taki nonsens sprzeczności uwikłało zagmatwane zagadnienie najjaśniejszego i najszlachetniejszego myśliciela narodu, ponieważ rozwiązanie tego zagadnienia mógł mieczem wywalczyć, ale zawężleń jego mieczem rozciąć nie mógł. Pod naciskiem faktów i rzeczywistości dotarł Lincoln pełnią logiki do tego punktu, że niewolników swoich

przyjaciół pozostawiał na tym samym łańcuchu, który zdejmował z niewolników nieprzyjaciela.

Gabinet był zaskoczony. „Zarządzenie to — powiada Stanton — posuwa się znacznie dalej od wszystkiego, co kiedykolwiek proponowałem“. To, co zamierzał może on sam lub inni, obmyślił prezydent. Potem odezwał się Seward: „Zgadzam się na pańską proklamację, ale mam wątpliwości, czy należy ją ogłosić obecnie. Teraz, po porażce, przygnębienie jest wszędzie duże, więc obawiam się, że krok tak poważny mógłby być uważany za ostateczne ustępstwo ze strony przegranego rządu czy za wezwanie o pomoc... Proponuję zatem odłożenie proklamacji do czasu, gdy wobec ludu będzie mogła być poparta zwycięstwem, zamiast narażać ją teraz na najgorsze możliwe niepowodzenia“.

Lincoln uznał się natychmiast za przekonanego, zgodził się z tym wywodem, zamknął dokument w szufladzie i czekał na zwycięstwo.

## XV

Człowiek, który był wodzem Południa, w młodości swojej słynął z urody tak samo jak Lincoln z brzydoty, i posiadał bodaj wszystko, czego tamtemu brakło. Oczywiście, brakło mu zarazem tego, co posiadał tamten.

Gdy Lincoln rósł w nędzy i wyrzeczeniu, całkowicie pozostawiony sile swych ramion i poczuciu swego przeznaczenia, będąc flisakiem, rzemieślnikiem, wyrobnikiem, sklepowym, i przebijając się przez życie czytywał książki zdobyte przypadkowo, aby się z nich czegoś nauczyć, w tym samym czasie rówieśnik jego Jefferson Davis, syn zamożnego właściciela domu, między 14 a 24 rokiem życia korzystał z najtroskliwszego wycho-

wania i zdobywał wykształcenie ogólne, a następnie był słuchaczem akademii wojskowej w West Point jako kadet i oficer. Gdy Lincoln w Nowym Salem wylegiwał się na łazience sklepowej i uczył się gramatyki, gdy stracił narzeczoną i żył bez celu, porucznik Davis był już narzeczoną córki pułkownika; wkrótce potem, tego samego roku, gdy Lincoln zadłużony i bez pewnego jutra próbował sił swoich jako adwokat, bogaty brat Davisa kupił młodszemu bratu dobra ziemskie z niezbędnymi niewolnikami, aby ze swoją młodą żoną mógł gospodarować, zamiast wyczekiwać awansu w służbie wojskowej. Przekroczywszy trzydziestkę obaj zaczęli wydatniej zajmować się polityką, ale Davis, aczkolwiek do polityki zabrał się dopiero teraz, już po dwóch latach wszedł do izby niższej w Kongresie i odtąd był jego członkiem, początkowo w izbie niższej, następnie w Senacie, podczas gdy Lincoln w ciągu dziesięciolecia był bez urzędu i stanowiska, a więc i bez władzy. Mając lat 47 daremnie dobijał się fotela senatorskiego, podczas gdy Davis był już ministrem wojny i miał już znaczny wpływ na politykę władz centralnych.

Ostre rysy kanciastej twarzy tego człowieka, który wiedział, czego chce, wyrażają stanowczość i wskazują drogę męża, którego ambicja i samowiedza pchają naprzód. Człowiek ten uważa za słuszne i godne tylko poglądy własne, tolerancję uważa za słabość, a ze swoją klasą społeczną, z rodziną i Bogiem pozostaje zawsze w dobrej i ścisłej komitywie. Nie ma on żadnych problemów, a wielka pewność siebie tego dobrego, ale w gruncie rzeczy ograniczonego człowieka czyni go bardzo odpowiednim do wykonywania zadań wyznaczonych przez kogoś innego. Człowiek ten nie będzie się nigdy zadawał z ludźmi stanu niższego, lecz przeciwnie, szukać będzie stosunków z wyżej od siebie postawio-



nymi, aby się samemu wywyżżyć. Lubi się pośmiać, jest towarzyski, ale nigdy nie opowiada anegdot. Jeśli obejmie urząd, będzie punktualny, bo całe życie swoje ułożył precyzyjnie, a podwładni będą się bezustannie obawiali jego dokładności i niestrudzonej czujności. Jako farmer zbierać będzie pieniądze i niewolników, jako minister gromadzić będzie żołnierzy, jako mówca będzie stanowczy i krańcowy, ale nikogo nie przekona prócz przekonanych.

Chodzi lekko jak na sprężynach, a jego mowa jest elastyczna; Konstytucji trzyma się ściśle według swego rozumienia, a jeśli bada samego siebie, to zawsze jest z siebie zadowolony. Skądże miałby znać przygnębienie i niepokojące pytania własnego serca? Którędy mógłby się zakraść sceptycyzm do jego duszy? I czym może być dla niego myśl o ludzie, z którym nigdy nie miał do czynienia? Ubogich trzeba żałować i należy im pomagać, a jeśli są to Murzyni, trzeba im też dostarczać leków i pociech biblijnych. Ale władzy dziedzicznej nie powinien się zrzekać ani bogacz, ani człowiek biały, a kto stawia takie niedorzeczne żądania, ten obraża ducha niepodległości. Ale zarazem musi on bezustannie walczyć z ciężką niemocą: ten krzepki i zahartowany mężczyzna, wspaniały jeździec, nie tak mocny, jak Lincoln, lecz z pewnością od niego zwinniejszy, od dawna cierpi z powodu choroby oczu, której nawroty przychodzą razem z malarią i doprowadzają do przejściowej utraty wzroku. I w tej dziedzinie brak mu tego, co posiada Lincoln, mianowicie stałego zdrowia. Za to ma on to, czego tamtemu brak: oddaną, kochającą żonę, która wśród niebezpieczeństw w kraju zwyciężonym nie odstępuje go ani na krok i stoi przy nim nieustraszenie.



Lecz akurat ta właśnie żona — była to druga po śmierci pierwszej, o dwadzieścia lat młodsza od męża — poznała się na jego słabości, bo jako siedemnastoletnia narzeczona pisała o nim do swej matki: „Ma on wielką pewność siebie i zdanie swoje uważa za tak wyłącznie słuszne, że mnie to obraża. Pomimo to jest bardzo miły, ma ładny głos i ujmujące maniery, nawet wtedy gdy stawia na swoim. Zdaje mi się, że z narażeniem własnego życia ratowałby kogoś przed wściekłym psem, ale potem ze stoicką obojętnością broniłby się przed wynikłymi stąd szkodami“.

Człowiek o takim charakterze, który zbożycił się bardzo wcześnie i stał się ekspansywny, musiał już bardzo wcześnie okazywać się nieprzejednany, gdy chodziło o zagadnienia życia i honoru Południa, więc też już na dwanaście lat przed wojną wołał z trybuny parlamentarnej: „My, przedstawiciele stanów południowych, nie jesteśmy tu po to, abyśmy się pozwalali obrażać z powodu odziedziczonego przez nas urzędzenia... Jeśli tutaj ma się zacząć wojna domowa, to niechaj się za-targ zaczyna. Gotów jestem napiętnować każdego mianem podpalacza, kto ojczyznę swą zdradza, zapalając pochodnię wojny“. Następnie w czasie przesilenia stał się jako główny mówca zgoła retoryczny, a patos jego w każdym słowie był zaprzeczeniem patosu Lincolna. Gdy opuszczał Waszyngton, gotując się do objęcia czołowego stanowiska po stronie nieprzyjacielskiej, wygłosił wielką mowę pożegnalną i między innymi zawołał teatralnie: „Czuję z całą pewnością, że wśród was, aczkolwiek dyskusja była bardzo ostra, nie ma ani jednego, któremu w obliczu Boga i teraz nie mógłbym powiedzieć, że życzę mu wszystkiego dobrego... Panie prezydencie i panowie senatorowie! Po tym oświadczeniu, jakiego wymagała ode mnie obecna sytuacja,

pozostaje mi tylko powiedzieć wam po raz ostatni: żegnajcie!”

Gdy następnie przyjął prezydenturę w Richmond, na końcu swego przemówienia wznosił oczy i ręce ku niebu: „Z pokorą dziękczynienia i w uniesieniu modlitewnym stwierdzam, że Opatrzność otaczała Konfederację widomą opieką w czasie jej krótkiego, ale fundamentalnie ważnego trwania. Oddaję się, o Boże, z ufnością w ręce Twoje, i w pokorze błagam Cię o błogosławieństwo dla mego kraju i mej sprawy“. Gdy Lincoln obejmował urząd prezydenta po raz drugi, rzekł: „Obie strony wzywały Boga i każda z nich była pewna sprawiedliwości swej sprawy i Jego pomocy, a jednak obu stron wspomagać On nie może!”

Dwa światy przeciwstawiały się sobie w osobach tych ludzi, a przeciwieństwa obu stron wojujących, które w istocie nie były sobie obce, wyrażają się właściwie dopiero w obu ich wodzach, którzy stają się symbolami. Lincoln powiedział: „Jeśli niewolnictwo nie jest niesprawiedliwością, to nie ma w ogóle niesprawiedliwości“. Na długo przedtem, zanim słowo to zostało publicznie wypowiedziane, rzekł Davis zwracając się w mowie kongresowej do Północy: „Jeśli niewolnictwo jest niesprawiedliwością, to nie waszą!“ Przepaść leży między obu tymi zdaniami. Oto człowiek świadomy swego położenia i posiadania przyjaciół, dziedziczący prawa po ojcach, których w jego rozumieniu nikomu tykać nie wolno, odpiera zarzuty przeciwników tym, że bierze je na siebie i na swoich przyjaciół partyjnych. Drugi człowiek, wychodzący z uczuć moralnych, nie obciąża nikogo, zagadnienie odpowiedzialności pozostawia na uboczu i widzi tylko to, że dzieje się niesprawiedliwość. I aczkolwiek Lincoln zna bardzo dobrze partyjnictwo, a Davis nie jest gorszym chrześcijaninem, a w każdym

razie formalnie lepszym od Lincolna, to jednak polityk przeciwstawia się tu filozofowi, realista — idealście. Charaktery te stanęły nie przypadkowo na czele swoich partii, lecz jako prawdziwe ich wyrazy, właśnie dzięki tej tajemnej postawie ich dusz, która jest podstawą walki jednego z drugim.

Zgoła niepodobny do obu tych mężów jest Lee, jedna z najzaciejszych postaci, jakie zrodziła Ameryka w ciągu swych dziejów, a zarazem zdaniem znawców jeden z najwybitniejszych wodzów swoich czasów. Już młodość jego jest opromieniona blaskami poznania i płomieniem wewnętrznych dążeń. Wychowany przez ojca, który umarł wskutek ran odniesionych w walkach o wolność, na Sofoklesie, Miltonie, Locke'u i Pope, już jako chłopiec sam opiekował się owdowiałą matką w ciągu wielu lat i purytańską tradycję swego domu podniósł tym, że w dwudziestym pierwszym roku życia ożenił się z prawnuczką Waszyngtona, która jako dziewczeczka Arlingtonu strzegła ducha i pamiątek swoich przodków. Pod obrazami założyciela państwa żył odtąd znowu człowiek, który państwo kochał nie mniej od Lincolna, a jego rozdarcia obawiał się nie mniej od niego, a który przez los jednak został powołany ku temu, aby się do tego rozdarcia przyczynić jako wódz armii przeciwnej. Nie było w nim nic z dufnej wiary w siebie Davisa, przeciwnie, wszystko było w nim zbudowane na wysokiej tolerancji; co do niewolników, to teść Lee, aczkolwiek mieszkał na Południu, w Wirginii, jednak całkiem w duchu Waszyngtona z zasady stopniowego wyzwolenia uczynił w swoim małym kole fakt dokonany, wyznaczając testamentem rok wyzwolenia swoich niewolników.

Dusza Lee, jasna i bezustannie rwąca się naprzód, znalazła ujście dla swoich dążeń w pracy inżyniera



artylerii, w najszcześniejszym pożyciu małżeńskim i we wzorowym wychowaniu siedmiorga dzieci. Jego listy do żony stały się skarbem narodowym. Czystość jego rysów, szlachetność postawy, pełnia i przejrzystość jego spojrzenia świadczą o mężu, którego nigdy nie trapiła ambicja, który obowiązek nazywał najwznioślejszym słowem mowy ludzkiej, który w każdej okoliczności stawał na uboczu i jedyne szczęścia szukał w wewnętrznej równowadze duszy. Wróg frazesu jak Lincoln, ale niczym nie spokrewniony z istotą Lincolna, który zawsze zdawał się na los przypadku i wreszcie stał się ofiarą losu, Lee był niejako z góry predestynowany na pracownika sztabu generalnego raczej niż na dowódcę wojsk w polu, bardziej nadawał się na wychowawcę młodych ludzi w West Point niż na dowódcę ataków kawaleryjskich, a chociaż w wojnie z Meksykiem odznaczył się odwagą osobistą, to jednak oficerowi temu wojna była w gruncie rzeczy tak nienawistna, jak cywilowi Lincolnowi. „Serce moje krwawiło na myśl o mieszkańcach — pisał po zajęciu pewnej twierdzy do domu. — O żołnierzy nie troszczę się tak bardzo, ale zgrozą przejmuję mnie myśl o kobietach i dzieciach... Pojęcia nie masz, co za straszliwy widok przedstawia pole bitwy!“ Największy strateg Ameryki był w głębi serca pacyfistą.

W jakim wirze uczuć musiał się miotać taki charakter, gdy ujrzał, że solidna podstawa jego dzieła życiowego chwiać się zaczyna! Unia zachwiana! Dla Lee było to tym samym, jak gdyby mu ktoś powiedział o niewierności żony lub o przestępstwach synów. Jako żołnierz nie pozwalał sobie na żadne stanowisko polityczne; jako purytanin i spadkobierca tradycji najbardziej wolnościowych musiał zamykać się we własnym domu przed hałaśliwymi wyrazami wierności przekonanych



swoich ziomków i przyjaciół stanowych. W czasach zaostrzającego się konfliktu pisał, że „niewolnictwo jest w każdym kraju złem moralnym i politycznym“ i w sedno zagadnienia trafiał zdaniem: „Dla białych jest ono większym złem niż dla czarnych“. Jest to zasadnicza myśl Lincolna, aż do wyrazów włącznie. Potem znów bronił sytuacji czarnych w Ameryce w przeciwieństwie do ich położenia w Afryce i rzekł: „Bolesna karność, w jakiej są utrzymywani, konieczna jest dla ich dalszego wychowania jako rasy i niezawodnie przygotowuje ich do rzeczy lepszych. Jak długo niewola ich będzie jeszcze potrzebna, wie i określi mądra Opatrzność“. Tym niejasnym zwrotem zamykał on niejako księgę polityki, aby się zająć znowu swymi mapami, planami i rysunkami.

Huragan czasów zwichrzył jednak karty księgi na nowo, a gdy Lincoln został wybrany, Lee ujrzał się wobec konieczności niebezpiecznej decyzji. Do syna swego pisał: „Nie umiem sobie wyobrazić większego nieszczęścia dla kraju nad rozdarcie Unii. Oznaczałoby ono spiętrzenie się wszystkiego najgorszego, na co się uskarżamy, więc jestem zdecydowany poświęcić wszystko prócz honoru, aby temu złu zapobiec, bo secesja jest właściwie rewolucją... Unia, która może być podtrzymywana tylko z trudem i za pomocą bagnatów, a w której waśń i walka bratobójcza zajmowałyby miejsce dobroci i miłości braterskiej, nie ma dla mnie żadnego uroku... Jeśli rozwiąże się Unia i rząd się rozpadnie, powrócę do swego stanu ojczystego, aby dzielić niedolę mego ludu, a miecza swego dobędę tylko dla obrony“. Znowu zwrot niejasny u końca wywodu, znowu pragnienie serca prostego i sprawiedliwego, aby jakoś spór ominąć.

W trzy miesiące później los zapukał stanowczo do jego drzwi: Lincoln zwracał się do Lee jako do najzdolniejszego oficera, aby objął dowództwo nad armią inwazyjną. Straszliwa próba! Rewolucja! — wołał dopiero co raz za razem głosem gromowym i oto miał ze swoich założeń wysnuwać wnioski; właśnie jego powoływano, aby prowadził armię, która przeznaczona była do zwalczania, a może nawet zniszczenia jego własnej ojczyzny. Niemożliwe! Odmawia i w dwa dni później opuszcza swoje stanowisko w armii. Tak bliskim czuje już powołanie stanów przeciwnych. W jednym z najpiękniejszych swoich listów dziękuje staremu generałowi Scottowi przy składaniu swoich urzędów: „Nikommu nie jestem winien tyle, ile panu generałowi, za pańską niezmienną dobroć i wyrozumiałość. Najgorętszym moim pragnieniem zawsze było zasłużenie na pańską aprobatę. Do samego grobu zachowam wdzięczne wspomnienie cichej wyrozumiałości pańskiej. Imię pańskie i sława pańska będą mi zawsze drogim”. Tymi ostatnimi słowy pochyła szpadę przed przeciwnikiem, który do dnia wczorajszego był jego generałem.

Czy wycofa się teraz z życia publicznego, aby uciec przed rozdwojeniem swego serca? I to jest niemożliwe, bo od lat trzydziestu jest oficerem, a od zarania życia widuje wschód i zachód słońca nad lasami, wzgórzami i wodami Wirginii. Czy to nie tutaj, na pograniczu, niemal pod ręką nieprzyjaciela, leży Arlington, świętość narodowa, do której strzeżenia on właśnie został powołany jako jej pan? Jakże mógłby spojrzeć w oczy swoim krewnym i przyjaciołom, on, którego nazywają mistrzem sztuki wojennej, gdyby beczynnienie siedział w domu, podczas gdy wszyscy stają w szeregach? Cóż mógłby robić? Może pielęgnować rannych? Nie i nie! Trzeba koniecznie poddać się nakazowi niedorzeczności,

która tutaj staje się czymś naturalnym. On, który niewolnictwo uważa za niesprawiedliwość, a w Unii widzi najwyższe dobro, secesję zaś nazwał rewolucją, on, Robert Lee, obejmuje dowództwo nad armią, która ma bronić niewolnictwa, rozbić Unię, a z secesji stworzyć samodzielny związek stanów. Pobudzało go naturalne życzenie bronięcia swej ojczyzny, która jako granica była szczególnie zagrożona, a ponieważ znał w niej każdą ścieżkę i każdy mostek, mógł tu niezawodnie dowodzić daleko lepiej, niż zdołałby czynić to po stronie przeciwnej.

A jednak pragnie sprawiedliwości, a wszyscy wierzą bezwzględnie w prawość jego zdania, bo własnemu synowi, porucznikowi armii Stanów Zjednoczonych, każe przez matkę powiedzieć, „że własnego zdania i głosu sumienia ma się radzić co do drogi, jaką kroczyć wienien. Życzeniem swoim i przykładem nie chcę wpływać na niego. Jeśli ja zbłądziłem, niech on postąpi lepiej. To ważne zagadnienie każdy musi rozstrzygnąć sam i według własnych zasad“. Wspaniała, prawdziwie lincolnowska tolerancja! Ba, po upływie roku prześcignie w niej samego siebie: w testamencie jego teścia rok 1862 był terminem, w którym niewolnicy odzyskać mieli wolność. Jako dziedzic i purytanin Lee poddaje się nakazowi testamentu. Wódz armii broniącej niewolnictwa własnoręcznie wypisuje paszporty dla swoich niewolników, aby mogli przekroczyć jego linie i udać się poza linie nieprzyjacielskie.

Człowiek, który wyróżniał się obok Lee, był mu duchowo bliski, lecz i daleki zarazem. Jackson również wywodził się z dobrego domu, był w młodości ubogi, ale był zawsze mężem obowiązku i stanowczości. Często modlił się i w ciągu całego swego życia miał ustalony zwyczaj modlić się o oznaczonych godzinach dnia. Mo-



dlitwy krzepił go w czasie walk. Jackson był religijny jak Lincoln, ale dzięki swej żarliwej pobożności był daleko spokojniejszy od tamtego; był to chrześcijanin, który w dniu niedzielnym nie czytywał listów i nie rozpoczynał potyczek. Z biegiem lat zanurzał się coraz bardziej w głębokościach swej wiary i prawdopodobnie umarł ze słowami na ustach: „Bardzo dobrze. Wszystko w porządku“.

To poczucie porządku, ten czysty zmysł sprawiedliwości, wyrzekania się wszystkiego, można by rzec, kryształowo czystą duszę, dzielił z Lee. Gdy Jackson został ciężko ranny, Lee pisał do niego: „Pan stracił lewe ramię, ja straciłem w panu prawą rękę“. W słowach tych mieścił się sens nie tylko wojskowy, ale najogólniej ludzki. Bo wszyscy ci ludzie umieli nie tylko walczyć, lecz w razie potrzeby również pisać wielkim stylem. Prócz tego Jackson był pacyfistą, podobnie jak Lincoln; jednym słowem był to generał, jakiego Europa do dnia wczorajszego nie znała. Jego głęboko odczuwane chrześcijaństwo już samo przez się musiało go czynić przeciwnikiem tej wojny. „Nie znacie szkód wyrządzanych przez wojnę. Ja widziałem ich dość, aby widzieć w wojnie szczyt wszelkiego zła... Dla Południa lepiej jest walczyć o swoje prawa w łonie Unii niż poza nią“. A jednak gdy zabrzmiała trąbka bojowa i ozwał się głos południowej ojczyzny, i on porwał się i stanął pod sztandarem, aby walczyć przeciwniko wolności niewolników, dla których miał zawsze głębokie współczucie.

Ale służbę pełnił zgoła inaczej niż Lincoln: poczucie obowiązku czyniło go niezłomnym. Daremnie błagał go kapelan o darowanie życia czterem dezertantom. Jackson milczał. „Panie generale, niech pan pomyśli o swojej odpowiedzialności przed Bogiem!“ Po tych słowach ge-



nerał wypycha kapelana z namiotu i woła: „To sprawa mego urzędu; niech ksiądz robi swoje!“ Tę pozorną twardość serca okupił swoją niezrównaną odwagą, a dar tej odwagi przypisywał bezpośrednio Bogu, bo „wiara moja uczy mnie czuć się w bitwie tak bezpiecznym, jak w łóżku. Bóg wyznaczył chwilę mego zgonu. Nie myślę o tym, ale gotów jestem zawsze“.

Śmierć przyszła do niego drogą okrutnej ironii: jego, ukochanego przez wszystkich żołnierzy, skosiły zbłąkane kule jego własnych ludzi, a gdy na noszach niesiono go do lazaretu, padł po raz drugi, bo jeden z niosących go żołnierzy został ranny. Takich powikłanych dróg potrzebowało przeznaczenie, aby ujawnić się w całej pełni wobec jednego ze swoich najżarliwszych wyznawców. Niektórzy mniemali, że gdyby Jackson nie poległ, wojna wzięłaby inny obrót, ale naprawdę losy tej wojny spoczywały w innych czynnikach niż śmierć lub niezdolność kogoś z wodzów. Przewaga liczebna i blokada musiały ostatecznie zwyciężyć.

Ale na to potrzeba było lat.

## XVI

Między obiema stronami walczącymi stała niewidzialna Europa. Na ogół była ona dla Południa usposobiona życzliwie. Napoleon od lat dwóch chciał interweniować, ale zachowywał się niewyraźnie, bo cel jego był nierzeczowy i niebezpieczny: chciał zdobyć Meksyk. Bismarck zachowywał się neutralnie, później wszakże przyznał się, że sympatie jego były po tej stronie, po której walczyli ludzie jego stanu, czyli junkrzy południowo-amerykańscy. Tylko car występował wyraźnie w obronie Północy; on, który właśnie podczas wybuchu wojny

amerykańskiej skasował rosyjską postać niewolnictwa, znajdował oto wygodny pretekst dla moralnego maskowania swej zasadniczo antyangielskiej polityki.

Bo Anglia, której postawa w razie interwencji byłaby rozstrzygająca, stanowczo sprzyjała Południowi. Świat przemysłowy miał w Północy konkurenta, któremu nie mógł życzyć niczego dobrego, natomiast w Południu miał wielkiego dostawcę, którego główny wytwór, bawełna, zatrzymywany był teraz przez północną blokadę, wskutek czego największemu przemysłowi Anglii groziła zagłada. Historycy nie mieli żadnego powodu do potępiania Południa za odpadnięcie od kraju macierzystego, skoro dopiero przed osiemdziesięciu laty kraj ten zerwał łączność z dawnym państwem; politycy zaś musieli wprost pragnąć upadku Unii, która po upływie półwiecza mogła się przecież stać wielkim mocarstwem morskim. Nawet moralisci stawali często po stronie Południa bądź dlatego, że było ono stroną słabszą, bądź dlatego, jak sądził Gladstone, że przyczyna wojny jest niedorzeczna; bądź wreszcie dlatego, jak chciał Dickens, że w ogóle żadnych wojen prowadzić nie należy. Disraeli zachowywał się ściśle neutralnie, ale Darwin, Tennyson, John Stuart Mill ratowali honor imienia angielskiego stanowczą sympatią dla niewolników i ich oswobodzicieli. Za tymi ostatnimi prócz części inteligencji mieszczańskiej stał cały świat robotniczy, który przy zamkniętych fabrykach głodował, ale zdawał sobie sprawę, że wolność nie może być uzależniana od koloru skóry.

Gdy więc śmiały marynarz północny zatrzymał angielski statek „Trent“ natychmiast po jego wyjściu z portu południowego, zaarrestował dwóch agentów Południa znajdujących się na jego pokładzie i przemocą ich uprowadził, wojna z Anglią zdawała się nieuniknio-

na: wszyscy wrogowie Północy mieli teraz uzasadnienie prawne do uderzenia na nią. Ale podczas gdy opinia publiczna Londynu i Nowego Jorku miotła się i wrzała, podczas gdy jedni domagali się uwolnienia aresztowanych lub wojny, a drudzy sławili bohaterskiego żeglarza, Lincoln zachował spokój, wbrew zdaniu kilku swoich wściekających się ministrów uznał hałas za przesadny, podobnie jak w sprawie Browna, a zarazem dostrzegł zwrot w dziejach świata i zdecydował się na nowo uczynić się niepopularnym. „Obawiam się, że zdrajcy są białymi krukami. Co do prawa neutralnych, trzymać się musimy zasad amerykańskich. Zwalczyliśmy Anglię, gdy w teorii i w praktyce czyniła to, co my właśnie uczyniliśmy. Jeśli Anglia teraz protestuje i domaga się uwolnienia pojmanych, musimy to uczynić i jeszcze ją przeprosić, gdyż chodzi tu o pogwałcenie naszych własnych zasad... Możemy więc zmusić Anglię do powściągliwości na przyszłość wobec neutralnych i do przyznania się, że w ciągu lat sześćdziesięciu nie była w stosunku do nas sprawiedliwa“.

Wziął więc z rąk Sewarda notę, złagodził ją w miejscach decydujących i nie przypuszczał, że to samo po stronie przeciwnej uczynił księżę małżonek z notą Russella. Uwolnienie pojmanych i przeproszenie wywarło w Londynie wielkie wrażenie, bo takie rzeczy ceni się w Anglii, a skutek był taki, że gdy obaj agenci Południa przybyli wreszcie do Londynu, zostali przyjęci bardzo chłodno. I znowu nie kto inny, tylko Lincoln uratował kraj w jednej z najkrytyczniejszych chwil wojny.

Tak samo ostrożnie postępuje podczas wojny z odzyskanymi częściami kraju — ani śladu jakichś zarządzeń karnych, lecz jedynie słowa: „Potłuczonych jaj nie można skleić na nowo. Luizjanie nie pozostaje teraz nic innego do zrobienia, jak powrót na dawne miejsce

w Unii i — precz z potłuczonymi jajami! Rząd nie może ryzykować w tej walce wszystkiego, podczas gdy nieprzyjaciel nie ryzykuje nic. Wrogowie muszą zrozumieć, że nie wolno im w ciągu dziesięciolecia rujnować państwa, a następnie, gdy się ich zamierzenia nie udadzą, powrócić do Unii jakby nigdy nic. Jeśli chcą Unii jak przedtem, to czas najwyższy dla nich“. A do gubernatora Arkansasu pisze: „Niech pan na wszelki sposób ułatwia ludowi wyrażenie swoich życzeń podczas tych wyborów... W każdym razie niech pan umożliwi wypowiedzenie się jak największej masie obywateli... Oczywiście, że wybrani dżentelmeni winni być ludźmi charakteru, którzy zapewniliby Konstytucji poparcie jak dawniej i którzy znajdowaliby się poza granicami jakichkolwiek podejrzeń“.

Tymczasem czekał na zwycięstwo, dzięki któremu mógłby wyjąć z szuflady swoją proklamację. Czekał daremnie: sytuacja stawała się coraz bardziej zawikłana. Nowy generał Pope został w końcu sierpnia pobity przez Lee, i znowu pod Bull Run, uciekał w popłochu do stolicy, wzniesił w niej panikę i pozwolił Lee wtargnąć do Marylandu, przy czym część winy trzeba przypisać McClellanowi, który zdawał się życzyć swemu towarzyszowi tej porażki, a w każdym razie nie wykonywał otrzymanych rozkazów. Skutek tej bitwy był taki, że nie stracił on swego stanowiska, lecz przeciwnie wzmocnił je przy reorganizacji zdemoralizowanej armii, i to na życzenie Lincolna, wbrew żądaniu niemal całego gabinetu. Lecz chociaż McClellan był odpowiednim człowiekiem do wykonywania tego rodzaju zadań, a przez wojsko jeszcze ciągle był lubiany, to pomimo że jako demokratę trudniej było go zwolnić niż kogokolwiek innego, zdaje się, że Lincoln popierał go zbyt długo. Niebawem miał się przekonać, jak dalece zawod-



nym okazał się ten człowiek także pod względem moralnym.

Pewne jest, że w sytuacji tej Lincoln uczynił ślub będący czymś pośrednim między wiarą a zabobonem i grozę wewnętrznego położenia odsłonił całkowicie: przysiągł samemu sobie i Bogu, że proklamację swoją opublikuje, jak tylko nieprzyjaciel zostanie wyparty z Marylandu. Ten patetyczny akt jest według własnych słów Lincoln jedyny w jego życiu. Aczkolwiek wrodzony swój patos pokrywał starannie ironią, anegdotami i humorem, tutaj jednak ukazuje się on w całej pełni. Gdy się wszelako weźmie pod uwagę jego sposób widzenia świata i tłumaczenia znaków i snów, jego zdecydowany fatalizm, a także jego melancholijnie zrezygnowane słowa o marzeniach elizejskich, wolno wnioskować, że tak samo jak wszyscy wielcy mężowie, w chwilach decydujących lub rozpaczliwych czuł się wkreślony w płataninę linii zwrotnych, strzał i gwiazd i że według tego postępował. Czy te potęgi nazywał Bogiem czy Chrystusem, czy też, jak sam opowiadał, przysiągł Bogu i Chrystusowi, to wszystko jedno: imię jest tu tylko dźwiękiem i dymem.

Jego czujna, wahająca się i wyczekująca natura po raz drugi w życiu została porwana wirem obcej mu niecierpliwości. Pierwszy raz było to wtedy, gdy siedział w Springfield jako wybrany prezydent, jednak bezsilny i bezradny — czy naprawdę dopiero dwa lata upłynęły od tego czasu? — a teraz bezradny był znowu jako wódz najwyższy wyczekujący zwycięstwa, aby wreszcie móc otworzyć szufladę z zamkniętym w niej dokumentem. Teraz wszystko waliło się na niego, aby wreszcie wyrzekł wyzwajające słowo, a jednak zgodnie z przekonaniem swoim i ślubem uczynionym zmuszony był przemilczać to, co już dawno sformułował.

Przybywali na przykład duchowni zasłużeni w walce z niewolnictwem: „Gdy nadejdzie godzina zniesienia niewolnictwa — odpowiada im — sądzę, że gotów będę uczynić to, co jest moim obowiązkiem. Lecz, moi panowie, życiem się za to zapłaci“. Ostatnie słowa wyrzekł według opowiadania świadków tonem smutnym i znużonym, ale z uśmiechem. Innego znowuż dnia przybywa grupa piętnastu czy dwudziestu kwaków do jego pokoju i ludzie ci przypominają mu jego własne mowy, tak że naprawdę bronić się musi. Gdy jeden z obywateli zarzuca mu, że zmienił zdanie, Lincoln rzuca zdecydowaną odpowiedź: „Oczywiście. Nie bardzo wysoko cenię człowieka, który dzisiaj nie jest mądrzejszy, niż był wczoraj“. A do innego entuzjasty-marzyciela odzywa się po chłopsku: „Drogi panie, niewolnicy nie staną się wolni dlatego, że wolność ich się zadekretuje. Ogon cielecia można od biedy nazwać nogą, ale skutkiem tego ciele nie posiadzie piątej nogi“.

Niekiedy łagodność swoją soli taką dawką utajonej ironii, że dostrzegają ją nawet duchowni z Chicago, którym na ich memoriał odpowiada ustnie. Zbliźali się do niego duchowni, którzy wyrażając zdania przeciwne sobie zapewniali, że wolę bożą znają. Albo jedna strona, albo druga musiała się więc mylić, a pod niejednym względem myliły się zapewne obie. „Proszę nie uważać mnie za zarozumiałego, ale sądzę, że Bóg objawiający swą wolę innym, i to w sprawie, która tak ściśle związana jest z moimi obowiązkami, objawiłby tę wolę bezpośrednio mnie. Bo jeśli się nie mylę co do samego siebie, to pragnieniem moim jest poznanie woli Opatrzności, a gdy ją poznam, to ją wypełnię. Ale dni cudów przeminęły, a panowie zgodzicie się chyba, że na objawienie liczyć nie mogę. Proste ziemskie fakty dotyczące

tej sprawy muszę zbadać gruntownie, aby się dowiedzieć, co jest możliwe i sprawiedliwe...

Cóż dobrego osiągnęlibyśmy za pomocą proklamacji w naszym dzisiejszym położeniu? Nie chciałbym przecież wydawać dokumentu, który przez cały świat byłby uważany za niewykonalny i nieskuteczny niby bulla papieża przeciw komecie. Czy słowo moje może wyzwolić niewolników, skoro w stanach zbuntowanych nie mogę nakazać nawet szacunku dla Konstytucji? Dlaczego proklamacja moja miałaby na niewolników oddziaływać potężniej aniżeli ostatnia ustawa kongresowa przyrzekająca opiekę zbiegłym niewolnikom buntowniczych panów? Niestety, nie widziałem takiego niewolnika, którego ustawa ta byłaby ku nam przeciągnęła. Gdy na przykład ostatnio po bitwie pod Bull Run delegacja z Waszyngtonu wybrała się pod białą chorągwią na pole bitwy, aby pozbierać rannych i pogrzebać zabitych, buntownicy pojмали czarnych, którzy przyłączyli się do tej delegacji, i zawlekli ich z powrotem do niewoli.

Na sprawę tę spoglądam jako na praktyczne zarządzanie wojenne, które oceniać winniśmy według jego korzyści i szkód, jakie towarzyszyć mu mogą przy zwalczaniu buntu... Gdybyśmy uzbroili niewolników, obawiam się, że broń ta rychło znalazłaby się w ręku buntowników. Zresztą nie mamy pod dostatkiem broni nawet dla białych... W stanach pogranicznych jest 50 tysięcy bagnetów. Byłoby sprawą bardzo poważną, gdyby wskutek naszej proklamacji ludzie ci przeszli do rokoszan... Ale gdy w jakikolwiek sposób objawi mi się wola Boga, spełnię ją. Mam nadzieję, że tą swobodą, z jaką wypowiedziałem się krytycznie o stanowisku panów, nie dotknąłem ich uczuć“.



Tak okrutnie odbiera tym kaznodziejsko usposobionym panom ich złudzenia, jakby tu nie chodziło o nic więcej, tylko o szczęście ludzkie. Zdaje się, że melodramatyczna i nierzeczowa postawa tych ludzi nastraja go jeszcze realistyczniej, niż go do tego zmusza jego stanowisko, a chociaż zaczyna od Boga i na Bogu kończy, to jednak przemówienie jego chyba już nie może być bardziej dalekie Boga niż jest. Czyż dziwić się trzeba, że odtąd kazalnice, broszury i gazety występować zaczynają przeciwko zimnemu i dla niewolników wrogiemu prezydentowi, czyniąc mu zarzut, że mówi on o „sprawie murzyńskiej“ tylko dlatego, aby nie musiał wymówić słowa, na które czekają rzesze. Albo czy to niespodzianka, że podczas wyborów republikanie tracą w niektórych stanach wiele głosów? Że Greely, potężny kierownik „New York Tribune“, w liście otwartym zarzuca prezydentowi niedostateczną energię w Luizjanie, ponieważ dzięki radom, planom i groźbom pewnych mamutów politycznych dostał się pod ich wpływ i broni interesów stanów neutralnych... „Musimy żałować, że znaczna część naszych oficerów razem z licznymi ochotnikami daleko więcej czyni dla podtrzymania niewolnictwa niż dla stłumienia rokoszu“. Czy Lincoln i tym razem otuli się dumnie w togę swej dostojności i udzieli półoficjalnej odpowiedzi przez osoby trzecie? Tegoż samego dnia, w którym otrzymuje gazetę, odpowiada sam, również w formie listu otwartego, który dzięki swej sokratesowskiej treści należy do najwspanialszych dokumentów lincolnowskich.

„Chociaż ów list otwarty zawiera twierdzenia, które uważam za błędne, nie będę im przeczył tutaj i teraz, i chociaż zawiera on twierdzenia, które stanowczo są spaczzone, to sprzeczać się z nimi nie będę. Spotykam w nim ton niecierpliwy i dyktatorski, ale nie przeje-



muję się nim przez szacunek dla starego przyjaciela, którego serce uważałem zawsze za nienaganne...

Pragnąłbym uratować Unię. Chciałbym ją uratować na najkrótszej drodze konstytucyjnej... Jeśli istnieją ludzie, którzy nie chcą ratować Unii, o ile jednocześnie nie da się uratować niewolnictwa, to nie zgadzam się z nimi. Jeśli istnieją ludzie, którzy nie chcieliby ratować Unii bez jednoczesnego skasowania niewolnictwa, to nie godzę się z nimi. Moim najwyższym obowiązkiem w tej walce jest uratowanie Unii, a nie znoszenie lub ratowanie niewolnictwa. Gdybym mógł uratować Unię bez wyzwolenia jedyne go niewolnika, uczyniłbym to; gdybym mógł ją uratować wyzwalając niektórych niewolników, a innych pozostawiając ich losowi, uczyniłbym to. Co czynię dla niewolników, czynię jedynie dlatego, iż mniemam, że dopomoże mi to do uratowania Unii. Będę czynił mniej, jeśli kiedykolwiek dojdę do przekonania, że to sprawie szkodzi, i będę czynił więcej, jeśli będę przekonany, że sprawie służy. Spróbuję naprawiać błędy, jeśli zostaną mi wskazane, i szybko przyswoję sobie nowe poglądy, gdy się okaże, że są one słuszne. Wyłuszczyłem tu poglądy, które odpowiadają moim wyobrażeniom o obowiązkach publicznych, i nie mam zamiaru rozstać się z moimi często wypowiedzanymi życzeniami osobistymi, bo chciałbym, aby wszyscy ludzie wszędzie byli wolni. Oddany panu A. Lincoln“.

Nigdy w dziejach Europy przez głowę państwa nie został wydany dokument podobny, nawet w czasach pokojowych, i słowa takie nie znalazły się w żadnym orędziu. Ale i w Ameryce dokument ten zdaje się nie mieć równego sobie, bo któryż prezydent odpowiadał kiedy na pyszałkowane pretensje gazety, i to natychmiast, tak iż narada z gabinetem była wykluczona, i to w gazecie, pod okiem nieprzyjaciela, a zarazemostęp-

nie i dla farmera Zachodu, i dla najwytworniejszego adwokata Wschodu, w artykule logicznym i politycznym, rzeczowym, a zarazem w najwyższym znaczeniu moralnym. Potem oczywiście pofolgował sobie, opowiedział przyjaciółom jakąś anegdotkę i rzekł: „To, co mnie spotyka ze strony Greely’ego, przypomina mi pewnego okrutnie wysokiego chłopca i jego malutką żonę, która bezustannie usiłowała dać mu w łeb. Nie bronił się wcale i mawiał: Dajcie jej spokój. Mnie to nie szkodzi, a jej sprawia ogromną uciechę“.

## XVII

I to wszystko dla proklamacji w szufladzie! Nie, uczuciowy nie był ten walczący i zwalczany prezydent, wszystko było w nim w czujnym pogotowiu, a w miarę jak coraz głębiej utrwala się w nim wiara w jego posłannictwo, coraz gruntowniej wyzbywał się w owym czasie wszelkiego sentymentalizmu. Swoją długoletnią postawą na najwyższym urzędzie wykazał, że wolność kochał bardziej od Murzynów, ale i wolności nie odważał się kochać kosztem Unii. Lecz oto możemy słyszeć jego własny głos, gdy przemawia do Murzynów.

Stoją w jego pokoju jako komitet przywódców, a na ich czele czarny duchowny; mają usłyszeć z ust Lincolna jego zdanie o emigracji ich wyzwalających się braci. Prosi, żeby siedli, mówi o sumie, jaka została wyznaczona, a potem przechodzi z większą szczerością do spraw ogólnych.

„Wiele ludzi waszej rasy cierpi wskutek tego, że mieszkają między nami. Zarazem rasa nasza cierpi wskutek ich obecności. Jednym słowem, cierpią obie strony i to jest chyba dostatecznym powodem, abyśmy

się rozeszli. Wy wszyscy jesteście wolnymi ludźmi, prawda?”

„Tak jest, panie“.

„Może jesteście wolni już od dawna, a nawet od urodzenia? Rasa wasza, jak sędzę, znosi największą niesprawiedliwość, jaka kiedykolwiek spadła na jaki lud. Ale gdy przestaniecie być niewolnikami, jeszcze dalecy będziecie od tego, aby dorównać naszej rasie. Brak wam zupełnie niektórych przymiotów rasy białej. Ludzie wolni dążą do zrównania się z najlepszymi, ale w całej tej części świata nie ma ani jednego człowieka waszej rasy, który zrównałby się był z naszą rasą. Idźcież tam, gdzie będziecie najlepiej traktowani, bo zawsze piętno pochodzenia waszego ciążyć wam będzie. Odmienić tego nie mogę; jest to fakt, który my wszyscy jednakowo odczuwamy i jednakowo o nim myślimy. I wy, i my. Gdyby nie było niewolników i Murzynów, nie byłoby doszło do wojny. Dlatego i dla nas, i dla was najlepiej będzie, gdy się rozejdziemy. Wiem, że wśród was są wolni, którzy w lepszych warunkach nie kwapiliby się opuścić tego kraju, tak jak się kwapią ci, którzy są jeszcze niewolnikami, a wolność otrzymają pod warunkiem emigracji...

W ludzie naszym istnieje — choć to przykre — pewna niechęć względem tego, abyście wy, czarni, mieszkali między nami. Pewne sprawy winniście tedy białym ułatwić. Tym otworzylibyście dla wielu bramę wolności. Gdybyśmy mieli do czynienia tylko z tymi, których umysł skarłał wskutek niewoli, to mielibyśmy lichego materiału na początek, ale gdy sprawę tę wezmą w ręce rozsądniejsi czarni, jak wy na przykład, to można zrobić bardzo wiele... Także Waszyngton wziął na siebie daleko cięższe warunki istnienia, niż byłby miał, gdyby pozostał pod panowaniem angielskim, a jednak



był szczęśliwy, że mógł się stać pożyteczny dla swego ludu. Sam nie mając dzieci uczynił bardzo wiele dla dzieci swego narodu... Nie wiem, czy macie w ogóle jakieś powody do uczuć przywiązania do naszej rasy; ja nie widzę żadnego powodu, abyście ją kochać mieli. A jednak przywiązaliście się do niej... I jedni, i drudzy, biali i czarni, w działaniach swoich kierują się tylko względami korzyści osobistych... Zastanówcie się więc gruntownie i myślcie nie tylko za jedno pokolenie, ale myślcie także o sprawie, która jest sprawą całej ludzkości“.

Lincoln w roli uwodziciela. Czyż nie jest on tu podobny do Don Juana, który swej Elwirze, wyzwolonej z tkliwych pęt miłosnych, doradza wnikliwie, aby się z nim rozstała? Po subtelnościach jego wywodów wyczuwa się psychologa, który nakłania Murzynów, aby się sami zdecydowali na emigrację i z własnej woli ruszyli w świat, skoro mogą zostać zmuszeni do tego. Nie wolnictwo jest największą niesprawiedliwością, jaka spadła kiedykolwiek na jakiś lud, to prawda; ale gdy się taką rzecz stwierdza, to czyż zaraz musielibyśmy się kochać? „Nieprawda — wołał podczas dyskusji z Douglasem — że chciałbym mieć Murzynkę za żonę, ponieważ nie chcę jej widzieć w niewoli!“

Lecz dzisiaj Murzyni siedzą dokoła niego sam na sam z nim. Po raz pierwszy w życiu jest Lincoln jedynym białym w pokoju pełnym czarnych ludzi, a chociaż zdają się oni być dobrze wychowani, wykształceni i równi białym, to jednak wszystkimi zmysłami wyczuwa różnicę między jednymi a drugimi. Siedzą oto, spoglądają na niego zebrzącym smutkiem swoich czarnych oczu, a gdy zwraca się do nich z zapytaniem, z ust kilku Murzynów spływa półgłosne słowo: „Tak jest, panie“. Ma się wrażenie, jakby to słowo „panie“



brzmiało dwuznacznie i jakby poddańczy jego ton przypominał brzęk łańcucha, którym ojcowie wszystkich tych ludzi bywali spętani. Trzeba mówić prawdę i unikać wszelkich osłonek. Zawsze to piętno pochodzenia ciążyć im będzie. On tego odmienić nie może. Nie macie powodu kochać nas. A wreszcie odważa się przywołać cień Waszyngtona, aby im powiedzieć, dlaczego winni się poświęcić za swoich ciemnych braci.

Jeszcze ciągle w zamkniętej szufladzie szeleści dokument i czeka na zwycięstwo. Jak dawniej, tak i teraz co dzień z rana, a czasem dodatkowo i w ciągu dnia udaje się on do Ministerstwa Wojny, aby w kancelarii telegrafu przeczytać najnowsze depesze. „Przychodzę tutaj — rzekł razu pewnego do urzędnika — aby uciec przed swymi prześladowcami. Ludzie garną się do mnie i zawsze przychodzą tylko na minutę, co znaczy, że chcą mi opowiedzieć całą swoją historię, abym następnie spełnił ich prośbę“. Potem zabiera się do czytania wszystkich depesz, jakie nadeszły, aby jak najszybciej uzyskać największą pewność, że niczego przed nim nie ukryto. Następnie sam wypisuje depeszę, wolno, z zastanowieniem, wyglądając oknem i lewy łokieć opierając o stół, a skronią wspierając się na dłoni, porusza przy tym ustami i głośno albo półgłosem recytuje zdania, zanim je napisze. Tak samo jak robił za młodu. Dopiero gdy zdanie brzmi tak, iż wydaje się mu dobre, wypisuje je i prawie nigdy nic nie skreśla ani nie dopisuje. Życie jednego pokolenia upłynęło od czasu, gdy w chacie w Indianie uczył się pisać pierwsze litery ogarkiem i dopiero później przenosił je na drogocenny papier. Lecz choćby nawet minęły trzy pokolenia, wolnego i ociążałego rytmu tego kościstego człowieka nie odmieni żadne dostojeństwo i żadna rutyna.

Ale dla niego ta kancelaria telegraficzna jest czymś więcej niż izbą urzędową. Z późniejszych opowiadań telegrafisty wynika, że kancelaria ta była dla Lincolna tym, czym dawniej bywał sklep, w którym lubił siadywać na skrzyni gwoździ, aby słuchać, co mówią inni, i opowiadać; był to dla niego rodzaj towarzyskiej samotni, miłe zacisze neutralne, gdzie można było ukryć się. Jak dawniej, tak i teraz siaduje na skraju krzesła, a prawą nogę zgiętą w kolanie cofa w tył. W takiej oto dziwacznie spokojnej postawie z zastanowieniem odczytuje depeszę za depeszą, a potem czyta wszystkie jeszcze raz. „No, teraz dochrapałem się bodaj do samych rodzyneków“ — powiada pewnego razu. Telegrafista spogląda na niego nie rozumiejąc.

„Przypomina mi to małą dziewczynkę z Zachodu, która czasem jadała za dużo. Dnia pewnego zjadła za dużo rodzyneków, a potem jeszcze pochłonęła mnóstwo cukierków. Rozchorowała się, wymiotuje, ale mówi z postękiwaniem: — Mamusiu, zdaje mi się, że już mi lepiej, bo już się dobrałam do rodzyneków!“

A jednak z rosnącą niecierpliwością oczekuje zwycięstwa. Ponieważ latem mieszka z rodziną w małym prostym domku, parę kilometrów za miastem, tuż przy uzdrowisku żołnierzy, często spotyka korowody sanitariuszy dźwigających chorych. „Jego wyraz i postawa wyrażały najgłębszy smutek — opowiada pewien przyjaciel, który kiedyś jechał razem z nim. — Zatrzymał powóz i rzekł: «Niech pan spojrzy na tych biednych chłopaków. Nie mogę znieść tego widoku. Te cierpienia i to konanie jest straszne»“. Przyjaciel przypomina mu, iż powiedział kiedyś: „Zwycięstwo przyjdzie, niech pan się nie boi“. Lincoln odpowiada z westchnieniem: „Tak, ale idzie bardzo wolno“.

Gdy dowiaduje się o młodych kwakrach, których wbrew ich przekonaniom przemocą zmuszono do używania karabinu, wydaje rozkaz, aby ich natychmiast odesłano do domu. Stanton opiera się przez wzgląd na dyscyplinę, a na to Lincoln: „Jest to moim gorącym życzeniem“. Innym razem dwudziestu czterech dezertorów ma zostać rozstrzelanych. Lincoln odmawia podpisu. Generał mówi mu, że jeśli nie będzie ostrzegawczych przykładów, to cała armia znajdzie się w niebezpieczeństwie. „I tak mamy już za dużo płaczących kobiet, panie generale — odpowiada Lincoln. — Niech pan tego nie żąda ode mnie, bo nie podpiszę“.

Podczas wizytacji frontu bywa on skromniejszy od najmłodszego porucznika, bo zawsze pamięta, że sam nie jest nawet porucznikiem. „Jestem otoczony żołnierzami; nie wypada mi wygłaszać mowy“. Albo przemawiając do pewnego pułku: „Wasz pułkownik wypowiedział się, że jesteście zadowoleni ze sposobu, w jaki ze swej strony pokonuję trudności naszego narodu. Za to życzliwe uznanie jestem wam bardzo wdzięczny, ale zapewniam was, że wam i towarzyszom waszym naród zawdzięcza daleko więcej niż mnie“.

Innym razem dowcip jego ułatwia mu przejście do porządku nad błahymi sprawami. Gdy podczas jednego z przeglądów wojska oficer pewien uskarża się służbowo na swego generała, iż ten groził mu, że go zastrzeli, Lincoln spogląda na obu, a potem głośnym szeptem teatralnego suflera powiada: „Gdybym był na pańskim miejscu, a on by mi groził, że mnie zastrzeli, to bym mu nie ufał, bo taki gotów jeszcze kiedy słowa dotrzymać!“ Podczas jakiejś uroczystości przy poświęceniu sztandaru świadek naoczny opisuje dwa oblicza Lincolna. Jedno, oblicze męża stanu i mędrca, spogląda w dal, drugie, przebiegłe i wesołe zarazem, zdaje się



mierzyć grubość sznura u sztandaru i uważać go za zbyt cienki, co się rzeczywiście wkrótce okazało.

„Ile wojska ma nieprzyjaciel?“ — zostaje kiedyś zapytany.

„1 200 tysięcy“ — odpowiada Lincoln.

„Na miłość boską!“

„Wątpić w to nie podobna: wszyscy nasi generałowie, gdy zostają pobici, twierdzą, że nieprzyjaciel był trzy albo cztery razy liczniejszy od naszego wojska. Muszę im wierzyć, a ponieważ mamy 300 tysięcy wojska, więc cztery razy tyle jest 1 200 tysięcy“.

Pewnego razu, zdaje się wszakże, że tylko ten jeden raz w ciągu długiego czasu niepokoju i wyczekiwania, stracił Lincoln panowanie nad nerwami. Po półtora-rocznych trudach codziennych i cogodzinnych wyczerpanie znalazło ostry wyraz. Było to wieczorem, po dniu ciężkiej pracy do pokoju jego wszedł chory pułkownik, który opowiadał mu o swej żonie, że przybyła za nim do wojska, aby go pielęgnować, a gdy wracała do domu, statek jej zderzył się z innym i żona jego utonęła. Prosił o urlop, aby zająć się sprowadzeniem zwłok, ale z powodu oczekiwanej bitwy urlopu mu odmówiono. Lincoln siedział w pokoju bez marynarki, pochłonięty papierami i myślami, słuchał w milczeniu, ale wreszcie wybuchł gniewem: „Czyliż nigdy nie zaznam spokoju? Czy nie ma już godziny i miejsca, które by mnie zabezpieczały przed tymi bezustannymi odwiedzinami? Dlaczego dokuczają mi pan takimi sprawami? Dlaczego nie idzie pan do Ministerstwa Wojny, gdzie się tym zajmują? Minister wojny odmówił? Widocznie miał rację. Niechże pan pomyśli o tym, że mam także inne obowiązki. Czemuż to pan tu przychodzi i apeluje do mej ludzkości? Czy nie wie pan, że toczymy wojnę? Że cierpienia i śmierć otaczają nas wszystkich? Że ludz-



kość i miłość wypierana jest przez wojnę tak, iż nie pozostaje dla nich miejsca? Że teraz istnieje tylko jeden obowiązek walki? Żona pańska powinna była pozostawić pana pod opieką odpowiednich władz. A pan przychodzi mnie tu męczyć swoimi sprawami rodzinnymi. Każda rodzina w naszym kraju przytłoczona jest troskami. Nie mogą przecież wszystkie zwracać się do mnie o pomoc. Ciężarów mam sam aż nadto do dźwignienia!“

Oficer, który tyle zawsze słyszał o dobroci Lincolna, opuścił Biały Dom przestraszony tym wybuchem i do hotelu swego przybył zgnębiony. Wczesnym rankiem dnia następnego słyszy pukanie do swoich drzwi; otwiera, przed nim staje prezydent i wzburzony chwytając go za rękę: „Wczoraj postąpiłem brutalnie i nic nie mam na swoje usprawiedliwienie. Byłem wyczerpany do ostateczności, ale nie miałem prawa traktować nieuprzejmie człowieka, który dla kraju życie naraża, a co więcej, człowieka, który przybywa do mnie w tak głębokim smutku. Spędziłem straszliwą noc. Proszę mi przebaczyć“. Co do sprawy, to wszystko załatwione, prezydent był już u Stanton, oto karta urlopowa, na dole stoi powóz, prezydent podwiezie go szybko do portu, aby zdążył na najbliższy statek.

## XVIII

Nareszcie! W połowie września przyszło zwycięstwo. McClellan rozruszał się ostatecznie i pod Antietam pobił generała Lee, wprawdzie nie decydująco, ale zmusił go do cofnięcia się, a przy ciasnocie tego wschodniego terenu wojennego nawet kilka kilometrów znaczyło bardzo wiele. Jeszcze więcej znaczyło wrażenie,

jakie taka wieść wywierała na znużonej Północy i na sceptycznej Europie. „Niech mu się pan nie da wycofać bez przetrzepania mu skóry“ — telegrafuje Lincoln, a niebawem potem sam przybywa do obozu. Ale jego generał zatrzymał się i nie ścigał nieprzyjaciela.

Na razie ważniejszą sprawą było polityczne wyzyskanie zwycięstwa, bo Anglia, która niedawno temu skłonna była uznać związek stanów południowych, zawałała się wobec tego zwrotu i powstrzymała się na razie.

Po zwycięstwie spotęgował się bardzo niepokój Lincoln. Oto nadeszła chwila wyczekiwana, trzeba było działać, jak to ślubował. W owych dniach, na krótko przed zwycięstwem czy po nim, porobił sobie takie notatki: „Wola boża rządzi. Podczas wielkich walk obie strony zapewniają, że działają w harmonii z Bogiem. Obie mogą się mylić, a jedna myli się na pewno. W tej samej sprawie Bóg nie może być jednocześnie przeciw niej i za nią. W tej wojnie domowej cele boże są może zgoła inne niż cele jednej i drugiej strony. A jednak środki, za pomocą których ludzie działają, są w sam raz odpowiednie dla urzeczywistnienia celów bożych. Jestem bodaj gotów wyrazić przekonanie, że Bóg naprawdę chce tej wojny i że nie pragnie jej zakończenia. Ale i sam swoją wielką mocą nad duszami walczących mógłby wszak Unię zachować albo ją zniszczyć bez tej walki toczonej przez ludzi. Jednakże wojna wybuchła, a skoro już wybuchła, Bóg mógł dać zwycięstwo albo jednej stronie, albo drugiej. A tymczasem wojna toczy się dalej“.

Wielka wartość takich pisemnych monologów spoczywa w ich rzadkości u Lincoln, a tutaj potęgują ją jeszcze chwila, w której słowa te zostały napisane. Pozwalają one nam zajrzeć w jego serce, w serce filozofa.

Ani słowa usprawiedliwienia się, ani jednego zarzutu pod adresem nieprzyjaciela, ba, nie ma tu nawet pewności, czy się działa zgodnie z wolą bożą, jak w latach późniejszych nazywał Lincoln przeznaczenie. Czy wierzył w Boga osobowego lub Jego Syna, na to dowodów nie posiadamy. Natomiast całkowity fatalizm prowadzi go do przypuszczenia, że przeznaczenie może mieć inne, ludziom zgoła nie znane cele, bo dlaczegóż Bóg nie skróciłby tej wojny? Cała ta notatka jest jedynym pytaniem, na które nie tylko że nie ma odpowiedzi, ale być jej nie może. Jest to wyraz pełnego sceptycyzmu wobec wszystkiego, co się tu dzieje, i za co we dnie i w nocy oddaje on dosłownie swoje siły życiowe. Wywody przerywają dwa zastrzeżenia „jednakże“ i „tymczasem“, które towarzyszą mu od najwcześniejszej młodości w słowie i w piśmie niby jasny trójdzwięk tonacji dur, który pełnią męskości przechodzi w sferę molowej tonacji jego melancholii.

Takim słowem „jednakże“ dzisiaj dodaje sobie siły, bo jakakolwiek jest wola przeznaczenia i jakikolwiek jest sens tej walki, jedno jest pewne, że niewolnictwo jest bezprawiem i że winno zostać zniesione. W pięć dni po owym zwycięstwie zbiera się rada gabinetowa u niego, a nikt nie zna przedmiotu narad. Lincoln, który przy nadchodzących wiadomościach o przegranych bitwach i niebezpieczeństwach zagrażających stolicy bywał w gronie swoich wzburzonych ministrów zupełnie spokojny, dzisiaj, gdy w pogodny dzień wrześniowy nie zagraża żadne niebezpieczeństwo, jest bardzo zdenerwowany. Oto ma wydobyć na światło dzienne swój ukryty dokument, a zarazem współpracownikom swoim, którzy sercu jego są dość obcy, ma odsłonić najtkliwsze tajemnice tego serca. Czyn, którego od lat dwudziestu z całej duszy pragnie, a do którego od pół

roku wszystko go przymusza, aczkolwiek mnóstwo zastrzeżeń podnosi głos przeciwko niemu, ma być oto z wolnej, niczym nie przymuszonej woli dzisiaj dokonany. Do skrupułów męża stanu, który bierze pod uwagę wszelkie możliwości, przyłącza się wrodzona lęklivość wobec ostatecznych decyzji, która jego wagancką naturę pozbawiła wszelkiej regularności życia, a dwa razy cofnęła go w ostatniej chwili sprzed ołtarza — wszystko to zaś skupiło się teraz potęgując zakłopotanie, gdy okiem pytającym badał spojrzenia swoich współpracowników. Cóż więc czyni? Bierze najnowszy numer czasopisma humorystycznego i mężom rządzącym odczytuje satyrę Artemusa Warda, którego dowcip podziwia.

Czy w tym kole jest ktoś, kto by go rozumiał? Z pewnością niektórzy ganią go w duchu, a ganią tym bardziej, gdy niebawem dowiadują się o ważkiej przyczynie tego posiedzenia. Czyliż ten prezydent nie jest wiecznym Cyganem, który nawet w najpoważniejszych chwilach swego życia i życia kraju nie może wytrzymać bez jakiegoś kawału czy anegdoty? Lecz oto odkłada pismo humorystyczne na bok i powiada:

„Jak panom wiadomo, dużo myślałem o stosunku, jaki zachodzi między tą wojną a niewolnictwem... Gdy armia rokoszan stała we Fredericksburgu, postanowiłem, że jak tylko wygnamy ją z Marylandu, natychmiast wydam proklamację o wyzwoleniu niewolników... Obiecałem to sobie i — tu zawahał się nieco — swemu Stwórcy. Nieprzyjaciel został wygnany, a ja dotrzymam obietnicy. O radę pytać panów nie będę, gdyż jestem zdecydowany. Mówię to nie przez brak szacunku dla któregokolwiek z panów, których poglądy zresztą już znam... Gdyby w wyrażeniach czy w sprawach ubocznych coś zmienić należało, to propozycje panów przyj-



mę z wdzięcznością... Nie wątpię, że inni postąpiliby lepiej ode mnie, i gdybym wiedział, że jeden z tych innych posiada większe zaufanie ogółu i gdybym widział konstytucyjne możliwości ustąpienia mu swego miejsca, to ustąpiłbym chętnie. Ale chociaż nie czuję się w posiadaniu takiego zaufania ludu jak dawniej, to jednak zważywszy wszystko, nie sądzę, aby inny posiadał więcej zaufania ode mnie. Tak czy owak nie ma żadnej możliwości postawienia innego człowieka na moim miejscu. Ja zajmuję to miejsce i ja muszę działać tak dobrze, jak mnie na to stać, i muszę na siebie wziąć odpowiedzialność za kurs, który uważam za odpowiedni“.

Czy są to niepewne słowa człowieka zakłopotanego? Otacza go sztywne, jednomyślne milczenie ust i oczu. Przemówienie jego to monolog. Czemuż mówi o tym, że może inny mógłby go zastąpić? Czemuż w sposób niemal szorstki podkreśla, że o radę ministrów zapytywać nie będzie? Oto dlatego, że całą męską siłą zmuszać się musi do tej decyzji i drży przed każdym słowem niby nieśmiały młodzieniec, który od dawna nosi w sercu zamiar wyznania, a wciąż je odkłada. Oto dlatego, że jako poeta z natury, wiecznie bywa powstrzymywany od gorących czynów przez porównywanie przeciwieństw i jeszcze w ostatniej chwili myśli o zastępcy, który mógłby działać za niego. Ale tak czy owak, on zajmuje miejsce najodpowiedzialniejsze i musi działać tak dobrze, jak go na to stać, albo jak wyraża się niebawem: „W Bogu tylko mogę mieć ufanie, że nie popełniłem błędu“.

Zdaje mu się, że dopiero teraz zrozumieli go ministrowie, bo według ich opowiadań zauważyli nawet owo delikatne zawahanie się przy słowie „swemu Stwórcy“. Teraz zdaje się, że wielka sprawa i wzru-

szająca postać tego biednego farmera z Zachodu, który wyruszył, aby wyzwolić niewolników, zapaliła serca zebranych mężów, bo oto po krótkiej dyskusji opowiada im w tonie znacznie już cieplejszym, że ongi w trwodze i trosce jak dziecko upadł na kolana i ślubował, że zwycięstwo, które by nieprzyjaciela wyгнаło z Marylandu, uważać będzie za znak, iż krok ten wreszcie uczynić należy.

I jak gdyby jeszcze raz chciał się zabezpieczyć przed odwołaniem tego postanowienia, jeszcze tegoż samego dnia wydał Lincoln proklamację, zapowiadając światu wyzwolenie niewolników na dzień Nowego Roku.

## XIX

Skutek był katastrofalny. Na Północy powstał zamęt, giełda odpowiedziała spadkiem kursów, wybory pogorszyły się znacznie, a demokraci pisali, że tysiące białych muszą przelewać swą czerwoną krew, aby rodacy nasi bezprawnie pozbawieni zostali prawa do swej własności. Na Południu nie wywarło to żadnego wrażenia — ani jednego żołnierza nie trzeba było wycofywać z frontu dla pilnowania wyzwolonych niewolników, bo ci zachowali zupełny spokój pracując na polach, a pisma południowe mogły się chełpić, że u nich nie ma nikogo, kogo by można wyzwałać, bo przy doskonałym traktowaniu wszyscy czują się bardzo szczęśliwi. Z Europy napływały groźby i tylko jeden głos przeniknął do Ameryki w postaci powinszowania: tysiące robotników z angielskich przędzalni w Lancashire, które z powodu braku bawełny były pozamykane i głodnych robotników swoich powyrzucały na bruk, dziękowało Lincolnowi za usługę oddaną ludzkości. Wszyscy oni zro-

zumieli człowieka, który był krwią z ich krwi i niegdyś się wyraził: „Bogactwo jest nadmiarem rzeczy, których się nie potrzebuje“.

Lincoln sam nie oddawał się żadnym złudzeniom. „Proklamacja liczy sobie dni sześć — pisze on do wiceprezydenta — i podczas gdy w poważnych gazetach jest ona przez znakomitych ludzi tak obszernie komentowana, jak sobie tego najpróżniejszy człowiek życzyć może, kursy spadły, a pobór do wojska idzie wolniej. Jeśli spojrzeć na to spokojnie, to nie można uważać tego za zadowalniające. Na froncie mamy teraz mniej wojska, niż mieliśmy przed tygodniem... Północ odpowiada tylko słowami, ale słowa nie zabijają rokoszan... Jak dobrze byłoby, gdybym mógł pisać do pana w tonie weselszym“.

Nowe wstrząśnienia w łonie partii były następstwem kroku Lincolna, bo grupy polityczne szły wszak w ukos przez linie wojujących. Podczas gdy właściwie tylko partia oswobodzicieli była zadowolona z rozwiązania sprawy, krytykowali go teraz nawet starzy przyjaciele i towarzysze partyjni, jak Karol Schurz. Sposób, w jaki Lincoln broni się przeciw jego zarzutom, oświetla pewien odcinek otaczających go trudności.

„Zarzuty należałoby mi stawiać, gdybym mógł postępować lepiej... Zdaje mi się, że lepiej postąpić nie mogłem, i dlatego ja czynię panu zarzuty, że pan mnie czyni zarzuty. O ile się orientuję, teraz pan gotów jest przyjąć pomoc mężów, którzy nie są republikanami, byle tylko byli ludźmi zacnymi. Zgódźmy się, że i ja nie pragnę niczego innego. Ale co decyduje o zaćności ludzi? Czy muszę zrzec się zdania własnego i przyjąć zdanie pańskie? W takim razie musiałbym przyjąć także zdania innych, a znowuż gdybym odrzucił wszystkie zdania, które odrzucić mi każą, to nie pozostałoby

mi ani jedno, nawet pańskie. Bo, niech mi drogi pan wierzy, że dużo jest mężów bezwzględnie zacnych, którzy uważają, iż rolę swoją gra pan zgoła źle, właśnie tak, jak pan sądzi o mnie...

Obawiam się, że wreszcie dojdziemy do przekonania, iż daleko więcej trudności dotyczących naszej sprawy spoczęło na nas niż na naszych generałach. Nie chciałbym nikogo zniechęcać, ale muszę otwarcie powiedzieć, że potrzebuję raczej powodzenia niż wyrazów sympatii. A jednak ludzie, którzy ze mną sympatyzują, nie więcej przysporzyli mi powodzenia niż inni. Na froncie, zdaje mi się, jedni i drudzy postępowali tak samo zarówno w działaniu, jak w poniechaniu. Ponieważ przekonania swoje krwią przypieczętowali sami republikanie, jak na przykład Baker i inni, czyliż uczynili wszystko, co mogli? Czy uczynili więcej od Stevensa i jemu podobnych, z których żaden nie był republikaninem, a z których niejeden bywał gorzko i często denuncjowany jako przyjaciel rokoszan?"

Tak mętne i drażliwe były zagadnienia przywódców w ciągu całej wojny, że nawet taki oddany współpracownik, jak Schurz, zwracał się przeciwko prezydentowi z oskarżeniem, a przynajmniej ze skargą, chociaż zarzut z najbliższego koła przyjaciół musiał Lincolna zabołec najbardziej. Ale nic nie zdołało oderwać go od starych przyjaciół. W kilka dni po tym ostrym liście zaprosił on Schurza do siebie, przyjął go o siódmej rano przy ogniu kominka w swoich olbrzymich pantoflach, poklepał go po kolanie i rzekł: „No, powiedz szczerze, młody człowieku, czy naprawdę uważa mnie pan za tak marnego draba, jak mi to pan pisał. Czy nie za ostro panu odpowiedziałem? Bardzo chyba nie bolało i nie powinno było boleć. Sądzę, że się rozumiemy, a tym samym



sprawa jest załatwiona". Potem wyłuszcza swoje powody w sprawie nowych generałów.

Bo na dobitkę wszystkiego po zwycięstwie znowuż nie doszło do marszu na całkiem już bliską stolicę nieprzyjacielską, jak się tego Lincoln w swej drastycznej depeszy domagał i razem z całym narodem spodziewał. Na próżno kazał McClellan przy przeglądzie wojska dać prezydentowi ognistego konia, aby, jako wytworny jeździec, ośmieszyć niezdarnego cywila przed frontem. Gdy generał otoczony swoim złocistym sztabem przy odgłosie bębnow, trąb i strzelaniu z moździerzy kłusował przed frontem, cywil-prezydent, który nie na późno wychowywał się pod strzechą farmerską, jechał wzdłuż całego frontu świetnie obok niego, jakkolwiek w jednym ręku musiał trzymać cylinder.

Lecz oto dokoła ciemnej postaci McClellana coraz widoczniej zbiegają się różne zagadkowe nici. Na półwyspie swoim jeszcze przed bitwą pod Antietam przyjął burmistrza nowojorskiego jako wysłańca partii demokratycznej, która już obecnie zaproponowała mu kandydaturę na prezydenta w kampanii wyborczej 1864 r. W zamian za to miał tylko przyrzec, że wojnę poprowadzi tak, aby się zakończyła pojednaniem z Południem. Po pewnym namyśle McClellan przyjął pisemną propozycję, ale odpowiedź tę zniszczył za radą swoich generałów. Gdy po bitwie niebezpieczny gość przybył do niego ponownie i list McClellana z owym przyrzeczeniem został wreszcie odesłany, kilku generałów, którzy już dawno domagali się ofensywy, dowiedziawszy się o tym, złożyło swe dowództwa. Jak dalece było to zdradą główną, o tym w wojnie domowej nie łatwo zadecydować. Pewne jest tylko to, że Lincoln postanowił pozbyć się swego Napoleona, jeśli ten jeszcze raz

wypuści Lee z pułapki, a zarazem wyraził się tylko, że McClellan nie chce szkodzić Południowi. Gdy mniej więcej w tym czasie, po nocy spędzonej w obozie razem z jednym z przyjaciół, obserwował budzenie się armii po nocnym spoczynku, zapytał cicho, zataczając ręką krąg:

„Cóż tu widzimy dookoła?“

„Armię nad Potomakiem“.

„Nie, to jest straż przyboczna McClellana“.

Gdy po upływie pięciu tygodni Napoleon jeszcze ciągle nie chciał ruszać naprzód, że niby konie są pomęczone, prezydent telegrafował do niego lakonicznie: „Niech mi pan pozwoli zapytać, co też pańskie konie od potyczki pod Antietam porabiały, że są zmęczone?“ A dalej: „Marsz nieprzyjaciela jest łukiem koła, pański jest cięciwą. Drogi są po stronie pańskiej tak samo, jak i po stronie jego. Radziłbym podejść do niego jak najbliżej... i spróbować pobić go w Richmond. Jeśli niczego nie przedsięwziemy, niczego nie dokonamy“. Po tym zwrocie ironicznym kończy słowami: „List ten w żadnym sensie nie jest rozkazem“. Zarazem wszakże każe mu przez Hallecka przekazać ściśle rozkazy marszu ofensywnego. Niebawem pisze do niego: „Proszę o wyraźną odpowiedź, czy zamierza pan w ogóle coś przedsięwziąć przed nadejściem wojsk nowozaciecznych“.

Wreszcie, w listopadzie, o wiele za późno, Lincoln decyduje się i usuwa demokratę McClellana, a na jego miejsce wyznacza republikanina Burnside'a, ale czyni to, widać, w złą godzinę, bo tymczasem nieprzyjaciel oszańcował się, a Burnside już w grudniu zostaje z kolei pobity pod Fredericksburgiem.

Jakby po to tylko, aby Lincoln zbić z tropu, a kraj doprowadzić do zamętu, jednocześnie dochodzi do przesilenia w łonie gabinetu. W obu izbach Kongresu wytworzyła się opozycja przeciwko Sewardowi, któremu zarzucano opieszałość. Doszło do tego, że kilku senatorów wybrało się do prezydenta z żądaniem usunięcia Sewarda, wobec czego ten podał się do dymisji. Zarazem spór osobisty z Sewardem skłonił także ministrów Chase'a i Stantona do zgłoszenia dymisji. Lincoln opuszczony przez trzech swoich najwybitniejszych współpracowników, z których przynajmniej Stanton i Chase byli niezastąpieni, podejmuje rozgrywkę i mistrzowską ręką doprowadza wszystko do pomyślnego zakończenia. Mianowicie, gdy owych dziewięciu senatorów przybywa, aby oskarżyć Sewarda, spostrzegają ku swemu zdumieniu, że stoją wobec całego gabinetu z wyjątkiem Sewarda. Teraz każdy musi przed całym gabinetem wypowiedzieć się wyraźnie, co ma przeciwko Sewardowi, a zarazem Chase zmuszony jest bronić Sewarda. I Lincoln broni Sewarda przed zgromadzeniem.

Wkrótce potem wysłał Wellesa do Sewarda, aby nie ustępował i aby Sewarda przyprowadził do niego. Jednocześnie posyła po Stantona i Chase'a. Przeciwnicy spotykają się u prezydenta, a po nich wchodzi Welles ponownie.

„Widział pan się z nim?“ — pyta Lincoln siedzący przy kominku, zwracając się szybko do wchodzącego, aby upewnić się co do Sewarda bez wymieniania jego nazwiska przed Chase'em.

„Tak jest, obiecał“.

Gdy następnie Chase oświadcza, że ustąpi, ponieważ jest przyczyną kryzysu, Lincoln, z płonącym wzrokiem, pyta go:

„Gdzie jest pańskie podanie o dymisję?“

„Mam je przy sobie; napisałem je dziś rano“.

„Proszę mi je podać!“

Lincoln wyciągnął swoje długie ramię, Chase waha się i chciałby list zatrzymać, ale Lincoln bierze go i szybko otwiera. „Tu jest oto rozwiązanie węzła gordyjskiego“.

Po czym Stanton, stojący przed kominkiem, a w tym rycerskim pojedynku nie chcąc się trzymać z dala, powiada:

„Podanie swoje napisałem już onegdaj. Niech pan prezydent uważa, że jest ono już w jego rękach“.

„Niech pan wraca spokojnie do swego ministerstwa, pańskiego podania nie potrzebuję! To mi wystarczy. Droga moja jest jasna, sprawa jest załatwiona. Nie chciałbym panów dłużej zatrzymywać“.

Następnie pisze prezydent do obu ministrów jednokowe listy: „Szanowni panowie, obaj złożyliście podania o dymisję. Jestem poinformowany o okolicznościach, dla których ustąpienie jest dla was rzeczą pożądaną. Po dokładnym zastanowieniu się wszakże dochodzę do głębokiego przekonania, że interes ogółu wymaga, abyście panowie nie ustępowali. Muszę zatem prosić panów, abyście obowiązki swoje w ministerstwach podjęli na nowo. Oddany wam...“

Farmer i flisak, a później oczywiście adwokat, przede wszystkim wszakże człowiek, który zna serca ludzkie razem z ich słabościami i z ich przewrażliwieniem, zabrał się po swojemu do rozwiązania tego kryzysu i załagodził go tak, jakby był Talleyrandem albo w ogóle jednym z dyplomatów starego świata, których osoby i czyny były mu do gruntu antypatyczne.



## XX

Rozczarowania uczyniły Lincolna bardziej stanowczym w sprawach dyscypliny. Gdy pewien młody brygadier przez lekkomyślność dostał się do niewoli razem ze swoim oddziałem, Lincoln rzekł: „Szkoda, że tracimy konie. Brygadiera mogę mieć nowego co dzień, ale konie nam przepadły“. Do pewnego wysokiego urzędnika pisał w odpowiedzi na jego propozycję: „Zdaje się, że nie zastanawiał się pan głębiej nad swoją propozycją, abym oddział wojska... skierował z powrotem do Kentucky w nagrodę za jego marsz... Taki precedens rozluźniłby karność w całej naszej armii... Pragnąłbym, aby wojna była rzemiosłem lżejszym i przyjemniejszym, ale miejsca na wywczasu na niej nie ma“. Gdy pewien major został oskarżony o to, iż się wyraził, że wojna ma tylko znużyć armie, aby potem mogło dojść do kompromisu z utrzymaniem niewolnictwa, to aczkolwiek oficer ten uchodził za lojalnego, Lincoln napisał na raporcie: „Zdaniem moim jest to niedopuszczalne, aby oficer wypowiadał takie słowa. Proszę majora tego zwolnić natychmiast ze służby w wojsku Stanów Zjednoczonych“. Ale gdy pewnemu skazanemu handlarzowi niewolników odmówił łaski i wyrok śmierci podpisał, czuł się bodaj nie lepiej od skazańca.

Natomiast miał dużo wrodzonego współczucia zarówno dla Murzynów, jak i dla Indian. Wszędzie, gdzie w walce ras czy w walce klas widział Lincoln ucisk słabszych, serce jego stawało po ich stronie i dlatego pomimo swego sceptycyzmu w praktyce był on lepszym chrześcijaninem niż ci, którzy chodzą do kościoła. Gdy w stanie Minnesota miano stracić 300 Indian za to, że podnieśli bunt, zażądał przede wszystkim dokładnych

informacji. „Jeśli wyrok nie wyróżnia dokładnie przywódców i podżegaczy, to niech pan każe ten punkt zbadać dokładnie i prześle mi wynik“. Zarazem zażądał ekspertyzy prawnej najwyższej instancji, czy „o ile zgodziłbym się na stracenie części rokoszan, musiałbym wyboru dokonać sam, czy też mógłbym go przekazać jednemu z tamtejszych urzędników“.

Później, po dokładnym zbadaniu sprawy, zwraca się do Kongresu: „W trosce o to, aby przez nadmierną pobłażliwość nie zachęcać do nowych wybuchów, a zarazem pragnąc uniknąć takiej surowości, która byłaby okrutna, zbadałem akta, aby tylko ci zostali straceni, którzy faktycznie dopuścili się zbrodni względem kobiet. Wbrew przypuszczeniom moim znalazłem tylko dwa takie przypadki“. Ostatecznie spośród wszystkich winowajców stracono trzydziestu dziewięciu. Gdy ongiś młody Lincoln walczył z Indianami jako ochotnik, nie zabił żadnego, lecz jednego uratował; teraz zaś starzejący się Lincoln jako wódz najwyższy musiał się czuć szczęśliwszy owego dnia, gdy uratował życie 261 Indianom, niż w dniu, gdy musiał podpisać wyrok śmierci na handlarza niewolników.

Grudniowe obrady Kongresu, stała osobista walka prezydenta na dwa fronty, zbliżanie się rozstrzygającego terminu noworocznego, zmienne, a przeważnie zawodzące powodzenie oręża, sceptycyzm przyjaciół i jawne drwiny przeciwników z proklamacji — wszystko to onieśmiało go i męczyło. Stary znajomy, który nie widział go od lat sześciu, przeraża się na widok zmian w jego rysach. Z twarzy znikła wszystka świeżość, a ostre rysy nadawały jej wygląd rzekłbyś trupi: oczy, niegdyś szare i jasne, utraciły dawny blask i spod olbrzymich brwi spoglądały w mroczną dal jak nigdy dotąd.

Ale czas nie czeka i podczas gdy wojna utknęła na martwym punkcie, męczący i denerwujący ten rok dobiega końca. Dość jest w kraju takich, którzy twierdzą, że prezydent nie odważy się na uczynienie kroku ostatecznego, a tymczasem trzeba przygotować przepisy wykonawcze do proklamacji: drobne części Południa, które się do rokoszu nie przyłączyły, miały stanowić wyjątek, tak że całość tym bardziej wywierała wrażenie zarządzenia karnego. Zarazem zajmował się nowymi trudnościami, troszczył się o wyzwolonych Murzynów i myślał stale, w jaki sposób wcielić ich do armii, jak nakłonić oficerów, aby nie traktowali ich gorzej niż białych żołnierzy. Pamiętał nawet o pchle ziemnej, która Murzynom na Haiti niszczyła palce u nóg, i szukał środka przeciwko temu złu. Pewien kaznodzieja murzyński, którego Lincoln wezwał do siebie dla omówienia różnych spraw, opuszczał prezydenta w stanie jakiejś ekstazy. „Rozmawiał ze mną jak z człowiekiem równym sobie. Ani przez chwilę nie dał mi odczuć, że skóra moja ma ciemniejszy kolor niż jego“.

Oczywiście, zdawał on sobie sprawę z paradoksalności swego zarządzenia i nie bez goryczy odczytywał może głosy angielskie i drwiny, że kasuje niewolnictwo tam, gdzie głos jego nic nie znaczy, a pod własnymi rządami niewolnictwo zachowuje. Nikt lepiej od niego, który tak długo się wahał, nie zdawał sobie sprawy ze wszystkich niebezpieczeństw; w sposób bardzo plastyczny wyraził się: „Jesteśmy w sytuacji łowcy wielorybów, gdy wreszcie po wielu wysiłkach wbija harpun w olbrzymie cielsko: teraz musimy bacznie pilnować steru, bo machnięciem ogona może nas wyprawić w wieczność“. Chociaż odtąd zamierzał wcielić Murzynów do swej armii, która miała wyzwolić nie-

wolników, chociaż w sposób zgoła osobliwy mieszał cele i środki do tego wiodące, gdy zdawał się wyzwalać ludzi jedynie po to, aby następnie ginęli w bitwach, to jednak cudownym zwrotem wycisnął na wszystkim piętno wielkiego patosu, który był źródłem jego poczynań. Mówił, iż wzrusza go myśl, „że oto są czarni mężowie, którzy kiedyś będą mogli wspominać, że w milczeniu, z zaciśniętymi zębami, spokojnym spojrzeniem i dobrze wymierzonym bagnetem dopomogli ludzkości do osiągnięcia tego wielkiego celu“.

A obok tego tkwi w nim wesolek, który parsknął śmiechem, gdy na przykład przybył do niego pewien dziwak duchowny i z namaszczeniem, w poczuciu słuszności, na krótko przed Nowym Rokiem przypomniał mu jego obietnicę. „No, mój panie doktorze — rzekł Lincoln — sam pan wie, wiele to Piotr naobiecował, a jak mało z tego dotrzymał“.

A po rozmowie z nim rzekł: „Bóg dopuścił, aby jedni ludzie z innych ludzi zrobili niewolników. Dopuścił też do tej wojny. Może widzi on w niej wielkie sprawy. My się modlimy o zwycięstwo i tamci też, bo obie strony przekonane są o swoim prawie. Co też Bóg musi o nas myśleć?... W bajkach Ezopa, to jest w jednej z najpierwszych ksiązek, jakie przeczytałem, były poźółkłe drzeworyty, a na jednym z nich widziałem czterech ludzi, którzy w kotle wody z ługiem szorowali Murzyna. Myśleli, że go wyszorują do białości. Gdy wreszcie przestali go szorować, Murzyn zaziębił się i umarł. Otóż, jeśli jeszcze jakiś czas powojujemy, to może i nasz Murzyn też się zaziębi i umrze“.

Taki sceptycyzm nawiedził Lincolna, który jeszcze przed chwilą przemawiał z wielkim patosem. Gdy nadzedł dzień noworoczny, powagę swego podpisu na proklamacji odczuł on bardzo głęboko. Nowa proklamacja,





Lincoln w roku 1864



która była tylko ramą dla odezwy wrześniowej, brzmiała:

„Zgodnie z proklamacją... (następuje streszczenie) ja, Abraham Lincoln, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, na zasadzie udzielonej mi władzy jako wódz najwyższy armii i floty Stanów Zjednoczonych w tej wojnie z rokoszem zbrojnym, wymierzonym przeciwko władzy Stanów Zjednoczonych, ogłaszam jako zarządzenie wojenne dla stłumienia tego rokoszu, dzisiaj, dnia 1 stycznia *Anno Domini* 1863... (w tym miejscu wymienia dziesięć południowych stanów i części ich nie objęte proklamacją):

Że wszystkie osoby, które w stanach wymienionych lub ich częściach trzymane są w niewoli, wolne są i odtąd wolnymi pozostają i że rząd Stanów łącznie z władzami armii i floty wolność wymienionych osób uznaje i podtrzymywać będzie.

Dla tych osób, które niniejszym za wolne uznane zostały, dodaję, że powstrzymywać się mają od wszelkich aktów przemocy, chyba że zachodziłaby konieczność obrony, i zalecam im we wszystkich dozwolonych wypadkach pracę za odpowiednim wynagrodzeniem.

Oświadczam dalej i podaję do wiadomości, że osoby takie, nienagannego prowadzenia, przyjmowane będą do służby wojskowej Stanów Zjednoczonych w garnizonach, fortach, na posterunkach, stacjach i innych punktach wojskowych, a także na okrętach dla pełnienia wszelkiego rodzaju obowiązków.

Że akt ten jest odczuwany jako akt poważnej sprawiedliwości i zagwarantowany Konstytucją jako konieczność wojskowa, z tym odwołuję się do sprawiedliwego sądu ludzkości i miłosierdzia wszechmocnego Boga.

Dla potwierdzenia tego kładę pod niniejszym mój podpis i pieczęć Stanów Zjednoczonych. Działo się w mieście Waszyngtonie, dnia 1 stycznia 1863 roku, w 87 roku niepodległości Stanów Zjednoczonych”.

Gdy Lincoln w przeddzień Nowego Roku odczytał gabinetowi ten naszkicowany przez siebie dokument, w którym nie było jeszcze przedostatniego ustępu, ministrowie proponowali tylko drobne zmiany, a między innymi ozwał się także Chase z uwagą, że przy takiej sposobności należy wspomnieć także imię boże.

„Zupełnie o tym zapomniałem“ — rzekł Lincoln i dopisał odpowiednie zdanie.

Po południu w wigilię Nowego Roku i w noworoczny ranek Lincoln własnoręcznie przepisał ten dokument jeszcze raz. Tak mocno był zdenerwowany, że głównodowodzącemu Halleckowi przesłał ostry bilet z powodu sporu między generałami. „Jeśli w chwili tak ciężkiej nie może mi pan pomóc, to zawodzi mnie pan akurat tam, gdzie pomocy pańskiej potrzebuję... Pańska wiedza wojskowa jest bez wartości, jeśli pan tego nie chce uczynić“. Ale zaraz potem odwołał ten bilet i zaopatrzył go bezcenną uwagą: „Wycofany, bo przez generała Hallecka odczuty jako zbyt ostry“.

Został oderwany od pracy, bo setki obywateli tłoczyły się do Białego Domu, aby mu złożyć życzenia noworoczne. Dopiero po południu mógł wrócić do swego biurka i zanurzając pióro w kałamarzu rzekł do syna Sewarda, który czekał na podpis: „Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak pewny siebie, jak w tej chwili, gdy podpisuję ten papier. Ale bezustannie musiałem ścisnąć ręce gościom, więc ramię mam sztywne i zdrętwiałe. Podpis ten niezawodnie będzie później dokładnie oglądany, a gdy ludzie ujrzą, że ręka moja drżała, po-



wiedzą, że nie byłem pewien siebie. Ale tak czy owak dokument podpisany zostanie“.

Tak więc jeszcze w ostatniej chwili jego po chłopsku chytry sceptycyzm skrzyżował się z niezachwianą pewnością jego misji historycznej. Ale Lincoln wiedział, że tamten jest przemijający, ta zaś jest wieczna. Z góry przewidział, że z tego zarządzenia wojskowego rozwine się niebawem powszechna nowa formuła równości stworzona na to, aby uzupełnić zasadniczą myśl ojców. Czuł on, że tym pociągnięciem pióra podźwignie ostatnich niewinnie ujarzmionych ludzi, że ostatni Murzyn zrzuci z nóg łańcuch, podobnie jak pierwsza Mula, którą niegdyś widział na dalekim Południu, więc ręką śmiałą powoli wypisał na końcu arkusza:

Abraham Lincoln



*Księga piąta* / OJCIEC





## I

Owego dnia listopadowego w roku 1860, gdy cały kraj w najwyższym wzburzeniu głosował za Lincolnem lub przeciw niemu, w pewnym małym mieście stanu Illinois stał przy ladzie sklepowej smukły człowiek średniego wzrostu, mogący mieć lat czterdzieści, i jako pomocnik kupca sprzedawał skórę siodlarzom i szewcom, którzy się widać wyborami nadmiernie nie przejmowali. Sam sklepowy prawa wyborczego jeszcze nie miał, jako że w miejscowości tej nie mieszkał tak dawno, jak tego wymagało od wyborców prawo. Dom i firma były własnością ojca i brata, u których znalazł wreszcie przytułek, bo od sześciu lat wędrował po świecie daremnie szukając pracy i chleba dla siebie, żony i czworga dzieci.

Gdy miał lat dwadzieścia kilka, powodziło mu się lepiej. Był wtedy porucznikiem, a następnie kapitanem podczas wojny i w czasie pokoju, w zgodzie ze sobą, a przeważnie także z przełożonymi, więc bez większego wysiłku mógł zapomnieć o niejednej przykrości, jaka spotkała go ze strony zarozumiałych synów arystokratów, dlatego że był synem garbarza. Żołnierzem z powołania i upodobania nie czuł się nigdy. Odważny był już jako chłopiec; mając osiem lat pomagał ojcu przy pracach farmerskich i dosiadał konia, a w akademii wojskowej i w czasie wojny meksykańskiej wslawił się szeroko mistrzostwem w jeździe konnej, ale do strzelania, zabijania i zwyciężania nie było w nim żad-

nej namiętności. Wstręt budziła w nim broń palna, a wstręt ten łączył się z miłością do zwierząt i odwracał jego serce od rzemiosła wojennego. Cechowała go też iście niewieścia wstydlivość obnażania duszy przed kimkolwiek, a dla rąk swoich, które były zbyt piękne do wojaczki, został przezwany „*Little Beauty*”.

Ruchliwością nie odznaczał się w ogóle. Jego matka, pobożna metodystka, przekazała mu ogólnikową ufność w Bogu, a ta wiodła go raczej ku przypadkowi niż ku przeznaczeniu. Nawet istnienie swoje rozpoczynał beziemiennie, bo dopiero w szóstym tygodniu życia dali mu rodzice imię: zdając się na los natknęli się na imiona dziwaczne — Ulisses i Hiram. Gdy później siedemnastoletni Ulisses przez opiekuna swego został zapisany w West Point jako Samson, nie protestował przeciwko temu i w ten sposób jego wieszczy patron przemienił się w olbrzymę, który jeszcze mniej pasował do niego niż ów Hiram. Nawet za kobietami nie przepadał ten cichy samotnik, a jego współżycie z żoną, córką właściciela niewolników, która miała zeza i była brzydka, cechowała chłodna tolerancja.

Tylko jedna rzecz posiadała nad nim władzę: alkohol. Od czasów bowiem, gdy jako dwudziestopięcioletni kwatermistrz na wojnie meksykańskiej zapoznał się przygodnie z wódką, nałogu tego nie wyzbył się już nigdy, aczkolwiek założył nawet kiedyś stowarzyszenie abstynentów. Słabość ta opanowała go tak dalece, że jako trzydziestodwuletni kapitan zmuszony był opuścić służbę wojskową, chociaż na ogół spełniał wszystko, czego służba od niego wymagała. I oto za pieniądze pożyczone od towarzysza przybył do domu; ojciec jego daremnie pisał do dowódcy, aby się nad synem użalił i ponownie przyjąć go zechciał. W dziesięć lat

później ów dowódca, a był nim Jefferson Davis, żałował swego uporu, bo przez wyrozumiałość mógł sobie zjednać wdzięczność tego oficera na całe życie i mieć go później przy swoim boku zamiast przeciw sobie, co stało się dla niego fatalne.

Wiadomo tylko, że ten wykolejony, oddany trunkowi oficer w ciągu kilku lat czynił rozpaczliwe próby zdobycia stanowiska życiowego, ale nic mu się nie udawało. Staje się farmerem, lecz i to zajęcie musi rzucić, zamieszkuje w pobliżu St. Louis, dźwiga drzewo na targ, staje się pośrednikiem przy kupnie i sprzedaży domów, inżynierem okręgowym, inkasentem długów; nigdzie nie zapuszcza korzeni, a starzy znajomi przy spotkaniu omijają go z daleka, aby się z nim nie zetknąć, bo jeszcze poprosi o pożyczkę. Ostatecznie utknął w ojcowskim sklepie i byłby tu niezawodnie pozostał jako nikomu nie znany właściciel dwóch dziwaczych imion.

Lecz wojna wykrzesła z niego nową energię. W kilka dni po pierwszej odezwie Lincolna nasz były oficer zebrał kompanię ochotników, ale gdy przyprowadził ich do Springfield, aby zostali przyjęci do wojska, przekazał dowództwo kapitanowi, którego poduczył trochę, a sam dreptał za ochotnikami w cywilu, krokiem jak zawsze ociężałym, z kuferkiem w prawicy i z fajką w zębach. Jest to właśnie Grant, który wprawdzie na pierwsze wołanie staje w szeregu ulegając starym upodobaniom, ale nie kieruje się żadnymi ambicjami i nie lubi pozy popisowej. A gdy w sposób tak niepozorny wkracza do Springfield, rozpoczynając tego samego dnia czterdziesty rok życia, przypomina z daleka kogoś, kto przed niewiele tygodniami chodził po tych ulicach równie bezpretensjonalnie i w równie lichym odzieniu, aczkolwiek był już prezydentem. Oczywiście opinia Granta była daleko gorsza od opinii tamtego i dlatego

nie bez trudu dostał się na nowo do służby wojskowej, a i wtedy pewien kupiec musiał mu pożyczyć pieniędzy na kupno uniformu i konia. W taki zabawny sposób wstąpił do wojska człowiek, który miał rozstrzygnąć losy wojny.

Wziął się teraz w garść, dzięki powadze i doświadczeniu stał się rychło niezbędny, a w dwa miesiące po awansie jako dowódca pięciu tysięcy ochotników znalazł się na południo-wschodzie Missouri. Brak oficerów ułatwiał wtedy szybki awans każdemu dzielnemu żołnierzowi, ale w Grancie nie dopatrzone się niczego osobliwego. Także jego pierwszy czyn zbrojny, zajęcie małego miasta Paducah, zwrócił uwagę nie tyle osobliwościami strategicznymi, ile dokumentem pisemnym, który ujawniał zdecydowany ton nowego generała wszystkim, którzy ten dokument czytali. W każdym razie ktoś poznał się od razu na rzadkich przymiotach, które w słowach tego dokumentu znalazły wyraz, a mianowicie Lincoln, gdy w odezwie do mieszkańców zdobytego miasta czytał: „Przybyłem tu, aby was bronić przed nieprzyjacielem, aby poprzeć władzę i zagwarantować wolność waszego rządu. Nie moją rzeczą są dociekania i sądy: mam tylko do czynienia z buntem i jego poplecznikami. Zabierajcie się do swoich codziennych zajęć i nie obawiajcie niczego. Mocne ramię rządu jest tutaj, aby zwolenników jego ochraniać, a przeciwników karać. Gdy tylko się okaże, że jesteście w stanie bronić się sami, zagwarantować władzę rządu i chronić prawa obywatela, wojska swoje wycofam“.

Ton i postawa tego człowieka wywarły takie wrażenie na parlamencie stanu Kentucky, że stan ten zdecydował się stanąć po stronie Unii. Lincoln zaś rzekł: „Człowiek, który umie tak pisać, zdaje się być dość zdolny, aby mógł być dowódcą na Zachodzie“.



Niebawem i naród dowiedział się o tym nowym mężu, bo gdy zdobywał ważny fort Donelson, a generał nieprzyjacielski prosił go o podanie mu swoich warunków, ten odpowiedział: „Może być mowa tylko o bezwarunkowym i natychmiastowym poddaniu się“. To zaimponowało ludziom. Inicjały Ulissea Samsona przetłumaczył sobie lud jako *unconditional surrender* (bezw warunkowe poddanie się). Po upływie dwunastu miesięcy z garbarskiego pomocnika, któremu nic się w życiu nie udawało, stał się generał-majorem, a największe zwycięstwo tego roku było jego dziełem. Pomimo skarg przelożonych — być może, iż Grant upijał się czasem jak dawniej — Lincoln, chociaż nigdy go nie widział, wierzył w niego i zrobił go naczelnikiem Tennessee. Teraz wszakże napływało coraz więcej skarg na niego od Hallecka i od członków Kongresu, a nawet prasa napadała na Granta, a gdy pewnego razu przesłał swemu przelożonemu ostrą odpowiedź, liczył się nawet z tym, że zostanie aresztowany. Odpowiedzią jego na głosy opinii publicznej było milczenie i podczas gdy z kwatery głównej wydawano rozkazy jego podwładnym bezpośrednio, podczas gdy ci podejmowali operacje na własną rękę, nikt nie słyszał przygany z jego ust wymierzonej przeciwko tym podwładnym lub Halleckowi. To milczenie przy jego politycznej neutralności i braku wszelkiej pozy umocniło opinię publiczną w przekonaniu, że jest tylko przeciętnym oficerem, który przypadkowo odniósł dwa sukcesy. Oficer ukazujący się podczas bitwy wśród żołnierzy w płaszczu cywilnym i nie noszący nigdy rękawiczek musiał wśród generałów, którzy wyróżniali się przede wszystkim blaskiem swej świty, wywierać wrażenie równie dziwne, jak prezydent w wygniecionych spodniach między wytwornymi dyplomatami. Ale właśnie te ce-

chy pociągały prezydenta, który na wszystkie zarzuty odpowiadał: „Poczekamy jeszcze jakiś czas i zobaczymy, co z niego będzie“.

Lincoln i Grant, wychowani w jednakowych wiejskich warunkach, już w zaraniu życia zdani byli na własne siły fizyczne, bo podczas gdy tamten już jako szesnastoletni chłopak ścinał największe drzewa, ten jako dziesięcioletni malec wyprawiany był z wozem do miasta odległego o siedemdziesiąt kilometrów — ale obaj mniej liczyli na siły fizyczne niż na rozsądek, który rozwijał się w biedzie i w samotności farm, a ich wrodzona prostota była tak wielka, że Grant nie wyzbył się jej nawet w pretensjonalnych kołach akademii wojskowej. Ani jeden, ani drugi nie miał zrozumienia dla blasku zewnętrznego, obu brakło systemu i planu wobec życia, obaj byli jednakowo nieśmiali wobec kobiet, uzależnieni od otoczenia i wydarzeń bardziej od swych towarzyszy. Wyniesieni nagle przez los na najwyższe stanowiska, które wymagały działania na wielką skalę, odwoływali się do prostoty swego rozsądku i w wirze zawiąanych zagadnień polityki i wojny zdobywali się najczęściej na decyzje proste, których wyrazem był jasny, męski styl ich odezw.

Ale Lincoln był pod każdym względem umiarkowany, Grant zaś był pod jednym względem nieumiarkowany. Poddając się niekiedy działaniu alkoholu zdradzał, że charakter jego nie był tak zrównoważony jak charakter Lincolna. Przeszkadzało mu to, zrazu w jego latach młodych, a następnie opóźniało uznanie w latach powodzenia. W Lincolnie, który nad nim górował wykształceniem, zdolnościami umysłowymi i filozofią życiową, nadmiar nie zużytych sił znajdował ujście w sprawach duchowych; on to wyprowadził Granta z mroków na światło i wytyczył jego drogę. Prócz tego u Lincolna

dużą rolę odgrywała wyobraźnia; Grantowi jej brakło, a Lincolnowi dawała ona niezawodne wskazówki przy poznawaniu ludzi. Toteż Grant tylko z trudem i powoli poznawał samego siebie, i to dzięki Lincolnowi, w czasie osobistych z nim stosunków, podczas gdy Lincoln poznał się na Grantie z daleka i w tym decydującym roku, który się właśnie zaczynał, wysunął go na czoło wszystkich generałów.

Bez wyobraźni Lincoln a siły jego sądu Grant nie stałyby się nigdy zwycięzcą i bohaterem narodowym.

## II

Dopiero na początku trzeciego roku wojny, w kwietniu 63 roku, rozpoczął nowy wódz decydujące natarcie na Vicksburg. Gdyby wojna ta była tylko pojedynkiem między obu przeciwnikami, Południe prawdopodobnie pozostałoby nie pokonane albo też mogłoby ulec tylko liczebnej przewadze Północy, dlatego że liczba jego żołnierzy stale malała. Decydujący wpływ miała blokada, która Południe odcinała od Europy i dowozu surowców i broni, a zarazem zamykała wywóz. Ostatecznie pozostały Południowi tylko dwa porty, przez które w mierze ograniczonej pomimo czujności Północy towary przybywały i odchodziły. Ale dopóki rzeka Missisipi była wolna, Południe miało otwartą drogę do sprowadzania lnu i zboża z Teksasu, a przez Meksyk także z Europy. Chodziło o to, aby nieprzyjaciela pozbawić najważniejszego punktu dowozu i wywozu.

I znów, jak przy zdobyciu Nowego Orleanu, trzeba było operować na lądzie i na wodzie, a mianowicie przy pomocy kanonierek rzecznych. Grant zdecydował się na zerwanie swoich połączeń północnych, tak samo

jak Napoleon podczas swojej pierwszej wyprawy do Włoch, pobił dwie armie nieprzyjacielskie jedną po drugiej w kilku bitwach, otoczył miasto, głodził je, bombardował straszliwie i w dniu święta narodowego zmusił do poddania się, przy czym 30 tysięcy wojska złożyło broń. Gdy niebawem poddał się także i fort Hudson i gdy po dwóch latach przerwy z St. Louis można było wyprowadzić pierwszy statek do Nowego Orleanu, mógł Lincoln wypisać takie zdanie poetyckie: „Znaki są pomyślniejsze — ojciec rzek znowu swobodnie płynie do morza“.

W tym samym czasie inny generał Północy przeciągnął szczęście wojenne na swoją stronę. Hooker, również człowiek nowych nadziei, od stycznia następcą pobitego Burnside'a, posuwał się naprzód zbyt śmiało i w maju pod Chancellorsville poniósł ciężką porażkę, która nieco później umożliwiła Lee trzecią i ostatnią próbę wtargnięcia na terytorium nieprzyjacielskie; tym razem Lee stał się naprawdę groźny, bo przez Maryland dotarł aż do granic Pensylwanii. Powstała panika, zaczęto się domagać powrotu McClellana, ale Lincoln, ciężko dotknięty niepowodzeniem Hookera, powołał Meade'a, chudego, sztywnego człowieka o bakałarskim wyglądem, lecz obdarzonego wieloma zaletami fachowca.

Nowy wódz stał teraz naprzeciwko Lee. Obaj przeciwnicy odczuwali, tak samo zresztą jak cały świat, że zbliża się przełom w tej wojnie, bo powtórne zwycięstwo Południa w tych miejscach doprowadziłoby do uznania zwycięzców przez Europę, a zarazem dałoby na Północy przewagę demokratom, którzy byli już wojną znużeni.

Ale w trzecim dniu bitwy jednocześnie ze zwycięstwem Granta zwyciężył także Meade, więc obie bitwy, pod Gettysburgiem i Vicksburgiem, na początku



lipca 1863 r. rozstrzygnęły wojnę, która przy zwartym ściganiu nieprzyjaciela mogłaby zostać teraz zakończona. Północ była wolna, stolicy nie zagrażało już niebezpieczeństwo, Południe zostało prawie całkowicie zepchnięte na stronę Atlantyku, blokada była zupełna, a prócz tego poległ Jackson. Fakt, że Południe mogło toczyć wojnę jeszcze dwa lata, świadczy o słabości Północy i jest tytułem do sławy Lee.

Lincoln odwrócił się od mapy wojennej, gdy znalazł Granta. Nie ze skłonności do samowładztwa i zarozumiałości, lecz z konieczności i z powodu osamotnienia zajmował się strategią, ale i wtedy każdą swoją propozycję zaopatrywał uwagami, że to nie rozkaz. Cała twórcza wiedza, jaką wykazał w czasach ostatnich, mogłaby nadać sprawom inny kierunek. Ostrzegął on Hookera, aby się nie przeprawiał za rzekę, bo „znajdzie się pan w położeniu wołu, który na poły przeszedł przez płot i oto jest w niebezpieczeństwie, że zostanie napadnięty przez psy, a tymczasem ani z przodu, ani z tyłu bronić się nie może“. A potem: „Jeśli głowa Lee jest w Martinsburgu, a jego ogon w drodze między Fredericksburgiem a Chancellorsville, zwierzę to musi być w jakimś miejscu bardzo cienkie. Czy nie można by go przerwać?“ Te wspaniałe obrazy farmera pobudzały może zarozumiałego generała do śmiechu, ale późniejsza krytyka oceniła trafne spojrzenie dyletanta i błędny krok fachowca.

Zresztą Lincoln pomylił się tylko co do zdolności Hookera, nie zaś co do jego charakteru, który mógłby te zdolności pomniejszyć, bo w chwili gdy stawiał go na czele armii nad Potomakiem, przesłał mu pełen sceptycyzmu list, jaki się pisze do generała nie przy nominacji, ale przy usuwaniu go ze stanowiska.

„Muszę panu natychmiast powiedzieć, w czym się z panem nie zgadzam. Jest pan odważnym i dzielnym żołnierzem, z czego się cieszę. Powołania swego nie będzie pan mieszał z polityką, co jest oczywiście słuszne. Ma pan wiarę w siebie, co jest przymiotem cennym i niezbędnym. Jest pan ambitny, co w pewnych granicach zawsze więcej przynosi pożytku niż szkody. Ale lękam się, bo kiedy dowódcą był generał Burnside, kierował się pan tą ambicją i przeszkadzał swemu przełożonemu, gdzie się tylko dało, czym wyrządził pan ciężką krzywdę krajowi i rzetelnemu koleżeństwu.

Jak mi z wiarogodnych źródeł doniesiono, miał pan się wówczas wyrazić, że armia i rząd potrzebują dyktatora. Oczywiście, że dowództwo powierzam panu nie dla tego powodu, lecz wbrew niemu. Tylko generałowie, którzy mają powodzenie, mogą powoływać dyktatorów. Tutaj proszę pana tylko o sukces wojskowy; dyktaturę zaryzykuję później... Bardzo się boję, że duch wprowadzony przez pana do armii, duch krytyki i braku zaufania, zwróci się teraz przeciwko panu. W miarę sił swoich będę panu pomagał przy tłumieniu tego ducha. Ani pan, ani nawet Napoleon, gdyby żył dzisiaj, nie zdołałby wydobyć zbyt wiele z armii, w której panuje podobny duch. Niechże się pan wystrzega nadmiernej skwapliwości, niech pan idzie naprzód energicznie i czujnie i niech pan nam da zwycięstwo!“

Taki jest nowy ton Lincolna; będziemy się z nim od-tąd spotykali w stosunkach z generałami i urzędnikami państwowymi, z żołnierzami i petentami. Bowiem nie jest to już ton uczącego się, pytającego, zachęcającego, ale jest to ton człowieka doświadczonego, który zbliża się ku starości: jest to ton ojca. Tutaj oto jest on surowy, bo zwraca się do człowieka, który pomimo swoich braków został wyniesiony na wysokie

stanowisko, ale w tych ostrych, męskich akordach dźwięczy srebrzysty dzwonek humoru. Jest to ironia wysokiego gatunku, jakiej używa znawca duszy ludzkiej tylko wtedy, gdy mimo wszystko nie przestaje być przyjacielem człowieka.

A jednak każdym włóknem nerwów pozostaje Lincoln związany ze zmiennymi kolejami wojny. Gdy w kilka miesięcy po tym liście Hooker zostaje pobity, wiadomość o tym wydarzeniu przygnębia Lincolna ogromnie. „Wszedł o trzeciej. Nigdy nie zapomnę tego wyrazu rozpaczy. W rękę trzymał depezę, a twarz jego, zazwyczaj żółtawa, stała się zupełnie popielata. Tapeta ściany, przed którą stał, była szara: jego twarz miała ten sam kolor. Głosem drżącym rzekł: «Niech pan to przeczyta: wiadomość z armii. Wycofano się na południowy brzeg rzeki i okopano się solidnie». Podczas gdy tamten odczytywał depezę na głos, wyraz twarzy Lincolna był upiorny i wzbudzający współczucie. Z rękoma założonymi w tył, chodził tam i z powrotem mówiąc: «Boże mój, co kraj na to powie?»“ Zaraz potem kazał przygotować statek parowy, aby razem z Halleckiem udać się do armii.

Gdy niebawem Meade dzięki swemu wielkiemu zwycięstwu stał się powagą, w tonie prezydenta można było wyczuć wielką powściągliwość, gdy zapytywał, czy niefortunnemu poprzednikowi zechce pozostawić dowództwo korpusu w swej armii. „Niech mi pan napisze zupełnie otwarcie i przyjmie zapewnienie, że nie spowoduję panu najdrobniejszego zakłopotania i że o pańskim liście i jego treści nikt się ode mnie nie dowie. Chciałbym poznać pańskie życzenie, zanim się zdecyduje. Niech pan ani o włos nie odstępuje od własnego uczucia lub zdania dla sprawienia mi przyjemności“.

Na najwyższym szczeblu drabiny dowódców wojskowych w oczach Lincolna stał tylko Grant. Początkowo kazał sobie przesyłać o nim wiadomości poufne, a potem mawiał do jego przeciwników: „Bez tego człowieka obyć się nie mogę — on walczy“. Gdy zaczynają mówić o jego pijaństwie, które właśnie w Lincolnie winno budzić obrzydzenie, przypomina on jedynie odpowiedź Jerzego II, który na podobne oskarżenia swego generała Wolfe odparł: „Dowiedzcie się o gatunku wódki, jaką pija, abym i innym generałom mógł posłać kilka baryłek!“

Po zdobyciu Vicksburga otrzymał Grant list tej treści: „Nie przypominam sobie, abyśmy się ze sobą kiedykolwiek spotkali. Piszę te słowa, aby wyrazić wdzięczność za nieocenione usługi, jakie pan oddał krajowi. Piszę też, aby panu powiedzieć jeszcze coś ponadto. Gdy pan dotarł do okolic Vicksburga, sądziłem, że poprowadzi pan wojsko przez wzgórze, czego pan nie uczynił... Nie przypuszczałem, aby ta ekspedycja mogła osiągnąć jakiegokolwiek powodzenie, ale miałem niejasną nadzieję, że pan zna się na tym lepiej ode mnie... Gdy wreszcie zawrócił pan ku północy, uważałem to za błąd. Teraz chciałbym panu powiedzieć osobiście, że pan miał rację, a ja byłem w błędzie. Szczerze panu oddany A. Lincoln“.

Jest to jedna z wielkich chwil Lincolna: nikt nie wiedział przecież, o czym był przekonany i czego się obawiał, nikt nie domagał się od niego przyznania się do błędu, a już najmniej zwycięski generał. Ale w sercu swoim odczuwał ten sekret jako dług, który trzeba było spłacić. Wątpliwości co do grantowskiej umiejętności dowodzenia odczuwał jako niesprawiedliwość, jakiej dopuścił się względem niego, a teraz oto, gdy tamten zaśniał tak świetnie, trzeba się było uwolnić od niej



przez wyznanie, do którego sam się przymusza, a które jeśli tamten źle zrozumie, może powadze prezydenta tylko zaszkodzić. Ale jego poetycka natura odgaduje ludzi: wie on, do kogo i jak odezwać się trzeba.

Także w tym stopniowaniu szacunku i cieniowaniu tonów ujawnił Lincoln taką znajomość ludzkiego serca, jaka tylko rzadko bywała darem człowieka o nadludzkiej dobroci.

### III

„W zgodzie z opinią publiczną wszystko udać się musi, bez niej nic się powieść nie może. Toteż ten, kto kształtuje opinię, oddziaływa potężniej niż ten, co tworzy ustawy i decyduje o wielkich sprawach; twórca opinii publicznej umożliwia to, że ustawy i decyzje stają się wykonalne“. W ten iście amerykański sposób wyraża się tu myśl podstawowa człowieka pochodzącego z lasów i uznającego wyższość człowieka z miasta. W myśli tej wskazał Lincoln zarazem na źródło swoich najcięższych walk. W miarę bowiem jak rywalizacja między generałami na froncie zanikała, a przynajmniej wznosiła się ponad sfery interesów partyjnych, coraz ostrzej występowali oni przeciwko sobie wewnątrz kraju. Przewlekająca się w nieskończoność wojna nużyła nie tylko demokratów, ale i radykałów, którzy zgodnie domagali się jej zakończenia. Demokraci mieli nadzieję, że można ją zakończyć kompromisem, radykali zaś domagali się jak najostrzejszej walki. Prawa wojenne i pobory wojskowe były tutaj, podobnie jak w czasie innych wojen, tymi punktami, dokoła których skupiała się opozycja przeciwko rządowi.

Rozmiary przywilejów, z których korzystał Lincoln jako wódz najwyższy także wewnątrz kraju, musiały

w Ameryce budzić większe zastrzeżenia niż w militar-nych krajach Europy, a gdy wielkiego uczonego, znaw-cę prawa, zapytał o zdanie w sprawie jakiegoś prece-densu z czasów rewolucji i gdy zdanie to wypadło na jego korzyść, zaczęto wyczuwać niepewność praktyki takich zagadnień. Czy ze względów politycznych ludzie zamieszkali wewnątrz kraju mogą być przez władze wojskowe aresztowani? A jeśli tak, to w jakich wy-падkach? — to było zagadnienie polityczne. Co może jeszcze uchodzić za konieczność wojenną, a co należy już traktować jako zarządzenie partyjne? — to było za-gadnienie drugie. Lincoln przedłożył Kongresowi do uchwalenia ustawę indemnizacyjną i zaproponował roz-szerzenie swoich uprawnień, które według pewnego starego prawa pozwalały mu w razie śmierci lub cho-robę ministra na mianowanie nowego ministra. Ale i w tych sprawach decydowały nie ustawy, lecz prak-tyka życia powszedniego, a tej praktyki musiał w dru-giej połowie wojny przestrzegać coraz surowiej. Ten sam człowiek, który ulaskawiał setki żołnierzy za jed-norazowe wykroczenia, kazał setkami zamykać cywil-ów, którzy agitacją wywoływali w masach wrogie na-stroje wobec konieczności prowadzenia wojny. Za jed-no i za drugie był Lincoln atakowany: za jedno nazy-wano go słabeuszem, za drugie tyranem.

Opinia jego tyraństwa była coraz głośniejsza, bo za-rządzenia polityczne nabierały w kraju większego roz-głosu niż zarządzenia wojskowe. Zwłaszcza pod koniec wojny Seward i Stanton wydawali coś w rodzaju *lettres de cachet* dla pozbycia się szpiegów, agentów i defetystów. Zarządzenie to, aczkolwiek przeciwne cha-rakterowi Lincolnu, musiał on aprobować, jeśli chciał zwyciężyć w wojnie, przeciwko której całkiem jawnie buntowało się już pół kraju. Z trybuny Kongresu ode-

zwał się głos pośła, słyszalny dla kraju i dla nieprzyjaciela, opowiadający się po stronie Południa, bo pod rządami Lincolna panuje jakoby duch samowoli, której dziećmi są gwałty i mordy: „Jestem przekonany, o czym i wy w sercach swoich jesteście przekonani, że Południe nigdy pokonane nie będzie. Nigdy!“

Mówca ten nazywał się Vallandigham, a chociaż wkrótce po tej mowie mandat swój utracił, rozporządził jednak w Ohio dość dużymi wpływami, aby się przeciwstawić rozporządzeniu gubernatora wojennego. Gubernator ten wydał zarządzenie, że wszyscy, którzy działają na korzyść nieprzyjaciela, traktowani będą jak szpiegzy i sądzeni przez sądy wojenne. Na wielu zgromadzeniach poseł ten zwracał się bezpośrednio przeciwko prezydentowi, podburzał i wzniecał niezadowolone, a rozporządzenie gubernatora nazwał tajemną intrygą wyborczą, na którą pluje i którą deprecze. Wolni mężowie nie powinni poddawać się takim zarządzeniom króla Lincolna. Mówca oświadczył, że około pół miliona ludzi na Północy należy już do towarzystw tajnych i rzeczywiście tysiące ludzi nosiło odznaki przeciwników wojny. „Jefferson Davis — krzychał ktoś — jest większym dżentelmenem niż Lincoln!“ Wówczas gubernator, aczkolwiek sam demokratą, na własną odpowiedzialność kazał owego przywódcę zaarrestować w jego willi i skazał go na twierdzę.

Lincoln był tym zaskoczony: nie dlatego, że potępił samo wystąpienie, ale dlatego, że on postąpiłby z ręcznie. Jakich to uczuć musiał doznawać, gdy w tej napaści dostrzegł szczyt paradoksalności swego stanowiska! Gdy w chwilach samotnych rozmyślań zastanawiał się nad niedoskonałością swoich ludzkich poczynań, gdy w wirze wewnętrznych i zewnętrznych walk bywał przygnębiony i coraz częściej zadawał sobie



pytanie, czy ktoś inny nie zrobiłby wszystkiego daleko lepiej niż on, to jednak moralnym oparciem była dla niego pewność, że pozostał wiernym synem ludu i że nigdy nie uległ skłonności do pychy i samowładztwa. I oto czytał w sprawozdaniach, że jest królem Lincolnem! Co miał robić?

Zrobił coś całkiem nieoczekiwanego: nie tylko że zmienił wyrok i uwolnił gorliwca z więzienia, ale go nawet przekazał bezpośrednio nieprzyjacielowi. Jeden z żołnierzy ujął owego obywatela za rękę i między liniami przekazał go żołnierzowi południowemu, gdy po tamtej stronie zgodzono się na przyjęcie go. Skutek tego sowizdrzalskiego kawału był zdumiewający. Na Południu radość znajdowała ujście w burzliwych okrzykach: nareszcie kontrrewolucja! Na Północy od razu rozpętała się poważna krytyka i setki komentarzy, że chodzi tu nie o jeńca wojennego, ale o więźnia stanu i że to dyshonor dla kraju. Wszystko to przyjmował Lincoln z wielkim spokojem, gdyż znał daleko poważniejszego sprzymierzeńca niż prawnicy i moralisci, a mianowicie: humor amerykański. Vallandigham został ośmieszony.

Wśród swoich ukochanych nieprzyjaciół stanął za kłopotany: gdyby im doradzał kompromis, jak to sobie wyobrażał, musiałby się obawiać, że partia jego przy pofolgowaniu naporowi nieprzyjaciela straciłaby na Północy swoje wpływy; gdyby zaś doradzał najazd na Pensylwanię, wystraszona Północ skupiłaby się dokoła swoich sztandarów z tym większą jednością. Mógł więc udzielić jedynie nieokreślonej rady, aby Południe jeszcze jeden rok walczyło, a przy nowych wyborach Lincoln zostanie na pewno pobity. Nieprzyjacielski prezydent, który przyjął go bardzo uprzejmie, nie traktował go poważnie, więc nasz błędny rycerz prze-



dostał się na jakimś statku do Kanady i stamtąd wypisał list otwarty, że Południe zdecydowane jest walczyć do ostatniego żołnierza, a gdy wreszcie wrócił w swoje strony ojczyste, Lincoln zignorował go tak dalece, że nawet nie raczył aresztować go ponownie, gdyż i tak utracił już wpływ wskutek owego przymusowego przejścia na Południe.

W tym wypadku, jak w wielu innych, Lincoln okazał się wielkim wyjątkiem wśród mężów stanu, bo nie wykorzystywał swoich praw i przywilejów i różne strony zagadnienia roztrząsał bezpośrednio z ludem. Uczynił to w długim liście do jednego z wrogich mu gubernatorów. List ten został ogłoszony drukiem niebawem po aresztowaniu niefortunnego posła. „Vallandigham aresztowano nie dlatego — wywodził Lincoln w tym liście — że wypowiedaniem swoich poglądów politycznych szkodził rządowi czy też utrudniał zadania generała, ale dlatego, że wyrządzał szkodę armii, od której istnienia i siły zawisło życie narodu... A jednak imputuje mi pan, jakobym sam miał się wyrazić, iż nie wiem, kiedy wydałem rozkaz aresztowania. Nie uchylam się od odpowiedzialności i na ogół jestem zdania, że dowódca wojska walczącego wie najlepiej, jakie zarządzenia są konieczne w wypadkach osobliwych. Było mi przykro, gdy się dowiedziałem, że pan Vallandigham został aresztowany, to znaczy żałowałem, iż dał on powód do tego, będzie więc dla mnie wielką przyjemnością uwolnić go, gdy stanie się to możliwe bez narażania bezpieczeństwa publicznego. Zdaje mi się, że w miarę jak wojna trwa, poplątane zdania i uczynki wyjaśniają się i grupują, tak że konieczność stosowania ostrych zarządzeń stopniowo zanika“. I znowu tysiące serc odpowiadało na głos człowieka, którego nawet wrogowie uznać musieli za szlachetnego.

Wszystkie poszczególne wypadki, w których polityka krzyżuje prawo, badał Lincoln z właściwym sobie poczuciem sprawiedliwości. W Missouri jeden z generałów chce wygnać pewnego duchownego, prezydent każe go przysłać do siebie, wysłuchuje go, a następnie pisze:

„Po rozmowie z nim powiem panu szczerze, iż jestem przekonany, że on naprawdę sympatyzuje z rokoszantami, ale chodzi o to, czy człowiek o niewątpliwej zacności charakteru, który złożył przepisaną przysięgę, a któremu nie można zarzucić, że przysięgę tę złamał, człowiek, któremu nie można udowodnić żadnego innego czynu czy poniesienia, może, nie będąc niebezpiecznym dla rządu, jedynie na podstawie podejrzenia o tajemne sympatie zostać skazany na wygnanie“. Tutaj, podobnie jak w zawodzie adwokackim, ujawnia Lincoln swoje niezachwiane zasady oparte na poczuciu prawa, w imię których okazywał wysoki szacunek prostaczkowi, a potrafił potępić znakomitego i uznanego działacza politycznego.

Adresatem owego pierwszego listu był Seymour, gubernator Nowego Jorku, jeden z najpotężniejszych wrogów Lincoln. W sprawie poboru do wojska starli się obaj bardzo ostro. Dopiero po dwóch latach wojny i po najostrzejszych walkach w Kongresie, gdzie wielu uważało powinność wojskową za despotyczne ograniczanie wolności obywatelskiej, służba w wojsku została określona ustawą, ale przy rozliczaniu kosztów na poszczególne stany dochodziło zawsze do protestów i zatargów. Ponieważ ustawa przyznawała odszkodowanie po wojnie tylko ochotnikom, więc na ogół wojsko składało się z ochotników i względnie niewiele trzeba było powoływać do obowiązkowej służby, a i tym przysługiwało prawo dawania zastępców za kilkaset dolarów. Ci zastępcy brali pieniądze, uczestniczyli w wyszkoleniu

wojskowym, a przy pierwszej nadarzonej sposobności dezertowali.

Seymour, który przeciwstawiał się poborowi w największym mieście Unii, został wezwany do Lincolna; odpowiedział po trzech tygodniach, że napisze do niego, ale nie napisał, aby się nie skompromitować swymi stosunkami z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Na zaproszenie Stanton'a także nie odpowiedział. Gdy wreszcie latem doszło w Nowym Jorku do wielkich rozruchów kierowanych przez cudzoziemców, mających na celu zapobieżenie poborowi, gdy w ciągu czterech dni w mieście mnożyły się mordy i szalały pożary, gdy Murzynów wyłapywano, aby ich wieszać i palić, gdy sierociniec dla czarnych dzieci spalono, gubernator przemawiał do zbuntowanego tłumu jak do przyjaciół i doradzał spokój, a wówczas dopomoże ludowi. Wbrew takim nastrojom w największym mieście państwa musiał Lincoln toczyć wojnę dalej.

Innym razem gniew i rozczarowanie Lincolna wybuchły z łoskotem wodospadu. Gdy po upływie roku Chicago zaczęło się burzyć przeciwko nowemu poborowi, a przedstawiciel „Chicago Tribune“ z dwoma innymi obywatelami przybył do Stanton'a, aby zapobiec poborowi, a potem zwracał się do prezydenta i znowu do Stanton'a, Lincoln przysłuchiwał się sporowi, jaki toczył się między przybyłymi a Stantonem i komisarzem poborowym. „Nagle podniósł oczy i spojrzął na nas okiem pociemniałym od gniewu. «Moi panowie — rzekł — poza Bostonem Chicago było miastem, które najmocniej parło do wojny. Północny Zachód zwalczał Południe równie ostro jak Nowa Anglia. W znacznej mierze jesteście współodpowiedzialni za tę krew przelaną! Tak długo domagaliście się wojny, aż do niej doszło! Domagaliście się wyzwolenia Murzynów, a ja dałem je.



Otrzymaliście tedy to, czegoście się stale domagali. A teraz oto stoicie tutaj i żebrzecie, aby was uwolnić od poboru do wojska, potrzebnego mi dla zakończenia wojny, której się domagaliście. Powinniście się wstydić! Mam prawo oczekiwać od was czegoś lepszego. Jedźcie do domu i dokonajcie specjalnego poboru sześciu tysięcy żołnierzy. A pan, panie Medill, postępujesz jak tchórz! Pan i pańska gazeta przyczyniliście się więcej od kogokolwiek na Północnym Zachodzie, aby do tej wojny doprowadzić. Może pan oddziaływać na wielkie masy, a teraz krzyczy pan, że należy je oszczędzać, dlatego że w grę wchodzi pańskie interesy. Niech pan jedzie do domu i przyśle nam wojsko!»

Wrażenie tej sceny, jakiej nikt nie spodziewał się po Lincolnie, szczerłość jego gniewu, moralne uzasadnienie tych zniewag było tak mocne, że opowiadający o tym wyznał, iż uwierzył w gniewnego Jowisza, gdy widział, jak ten ironizujący filantrop w jednej chwili zmieniał się nie do poznania.

#### IV

Południe stało się jedną wielką twierdzą. Od chwili gdy ostatni korytarz łączący je z neutralnymi został zamknięty i tylko z rzadka jakiś śmiały kapitan odważał się przerwać pierścień morskiej blokady, zaczęto odczuwać brak żywności, odzieży, amunicji. Był to kraj nie mający już prawie wcale soli; zimą nie było węgla, latem brakło lodu, na obuwie używano drzewa zamiast skóry, dla chorych nie było odpowiedniego pożywienia, a cóż dopiero leków; w kraju tym głód się wzmagał, a przeredzających się szeregów nie było czym wypełniać; od buntów wewnętrznych można było uchronić ten kraj tylko drakońską surowością dyktatury. Do



wojska powoływano wszystkich mężczyzn między osiemnastym a pięćdziesiątym rokiem życia, ale i tu można było wykupić się od służby przy pomocy zastępcy; szemrano również, że jest to wojna bogatych, którzy wysyłają na rzeź biedaków. Ale głośno nikt takiego słowa nie ważył się powiedzieć, bo krytyka i prasa były po drakońsku spętane, a od bezgranicznej wojennej samowoli Jeffersona Davisa ostro odbijała ostrożność i łagodność wojennych uprawnień Lincolna.

Tylko pod jednym względem miało Południe przewagę w czasie tej wojny: cały kraj znajdował się pod nie słabnącą władzą namiętności, o opozycji nawet słychać nie było, podczas gdy na Północy przeciwnicy wojny podnosili coraz większy hałas. Zaciętość południowców, która zajęła miejsce dumy, była tak wielka, że ciągle jeszcze o wymianie jeńców wojennych słyszeć nie chciano i przeciwstawiano się ostro próbom w tym kierunku. Bowiem tysiące południowców, którzy dostali się do niewoli albo też mieszkali na Północy i zostali odesłani do domu pod przysięgą, że nie będą służyli w wojsku, przez władze swoje było urzędowo zwalnianych od przysięgi i na nowo wcielanych do szeregów. Gdy podobne postępowanie zaproponowano na Północy, Lincoln nie zgodził się na takie bezwzględne deptanie wszelkich zasad moralnych. Ale czy wzrastająca nienawiść nie musiała się teraz zwracać przeciwko jeńcom? Okrucieństwa, jakich się wobec nich dopuszczano na Południu, były tak straszliwe, że Północ zaważała się przed myślą o odwecie. Najzapamiętańsza wściekłość zwracała się przeciwko pojmanym Murzynom, których bez sądu rozstrzeliwano całymi kompaniami, aby grozą i postrachem zapobiec temu największemu niebezpieczeństwu. Czynami tymi podrażnieni generałowie północni mścili się na zdobytych miastach, jak na przy-

kład Butler w Nowym Orleanie, a to, co armia północna wyprawiała w Wirginii, było czymś więcej niż odwetem.

Charakter tej walki jako wojny domowej stawał się z biegiem lat coraz bardziej paradoksalny. Tajne stowarzyszenia, które nazywały się Synami Wolności, Rycerzami Złotego Kręgu, Zakonem Rycerzy Ameryki, swymi mglistymi zasadami moralnymi pociągały ku sobie przede wszystkim rzesze nieoświeconych, ale ponieważ ludzie należący do nich mieli broń i uprawiali szpiegostwo, chodziło tu o coś więcej niż o igraszki. Lincoln dowiadywał się o wszystkim dokładnie i informował swój rząd; agentom swoim kazał zapisywać się do tych stowarzyszeń, od czasu do czasu polecał aresztować kogoś z przywódców, ale unikał generalnego natarcia na te związki. Wciąż jeszcze próbował radzić sobie za pomocą mądrości, cierpliwości i ironii, nieprzyjaciela nazywał przeważnie „południowymi panami“, a nawet formalnie starał się zawsze podkreślać, że Południe nie jest dla niego zagranicą. „Wie pan, że nie mogę znieść w odezwie do armii takiego zdania: «Przepędźcie najeźdźcę z naszej ziemi!» — Czy nasi generałowie nigdy nie nauczą się myśleć inaczej? Cały kraj jest naszą ziemią“.

Ale dwojaki charakter tej wojny bratobójczej wzbudził w Lincolnie najcięższe podejrzenia. Gdy McClellan nie chciał skutecznie ścigać swego przeciwnika i mistrza, Lee, gdy na kunktatorstwie i niewykorzystywaniu pomyslnych sytuacji zmarnował przeszło rok, podejrzeniu takiemu dał Lincoln wyraz poufnie. Gdy teraz Meade, któremu zarzucano bezczynność po zwycięstwie, prosił o dymisję, Lincoln napisał do niego: „Prośba pańska napełnia mnie głębokim niepokojem i wcale nie myślę ukrywać go przed panem. Przez cały

czas, jaki upłynął od bitwy pod Gettysburgiem, przynębiało mnie to, co się wydaje dowodem, że pan oraz generałowie Couch i Smith próbowaliście uniknąć starcia z nieprzyjacielem i chcieliście dać mu możliwość wycofania się za rzekę bez dalszej bitwy. Czego to dowodzi, powiem panu przy najbliższej okazji, jeśli to pana będzie interesowało, gdy obaj będziemy w lepszym usposobieniu“. Następują szczegóły dotyczące nie wykorzystania różnych możliwości. „Z drugiej strony mam wrażenie, drogi panie generale, że nie zdaje pan sobie w całej pełni sprawy, jakie to jest nieszczęście, iż Lee udało się wymknąć. Miał go pan w rękę i gdyby pan porządnie nacisnął, razem z innymi naszymi sukcesami przyczyniłoby się to do zakończenia wojny“.

Fakt, że Lincoln listu tego nie wysłał, był dowodem jego roztropności, ale miał on niezachwianą pewność, że ostatecznie kraj cierpi na skutek dziwacznych pojęć o honorze jego czołowych generałów. Gdy człowiek tak prawy, jak Lincoln, mówi o dowodach, to na pewno nawet brulion takiego listu zniszczyłby, gdyby się jego dowody okazały błędne. Tu wszakże, gdzie te same podejrzenia w różnych czasach powstają przeciw ludziom o różnych charakterach na tym samym stanowisku, powściągliwość jego podyktowana była niezawodnie pragnieniem zachowania zwycięskiego generała dla wojska.

Co za uczucia muszą napełniać ojca kraju, który ziemię nieprzyjaciela uważa za wspólną ojczyznę, którego żona ma braci po stronie nieprzyjaciela, który prywatnie i urzędowo odczuwać musi tragiczne brzemienie wojny domowej, ba, sam z powodu swego nieznanego dziadka uważa się przecie na poły za południowca, a teraz oto ten sam konflikt uczuciowy spostrzega u swoich generałów! Ich ambicja musi przecież szukać rozgłosu, a resztki rycerskości, których nie umieją so-



bie wyperswadować, powstrzymują ich od tego, aby towarzyszy z przeciwnej strony zniszczyć ostatecznie. Czyż ta wielka gra, na którą się tu ważono, nie musi się wydawać filozofowi Lincolnowi naprawdę grą, której reguły są nieokreślone, a zakończenie zdaje się być zagadkowe?

Toteż pośrednikom zabiegającym o pojednanie formalnie nie przeciwstawiał się nigdy. Dwóm przywódcom północnych przeciwników wojny kazał śmiało przekroczyć linię frontu, aby mogli rozmówić się z Davisem. Ale ci rozmawiali tylko o religii oraz o wojnie z Francją. Wrócili nawróceni. Greely, który coraz to nowymi wykrętami w swej polityce zwracał się stale przeciwko Lincolnowi, poróżniony z nim zrazu z powodu wahania się prezydenta w sprawie wyzwolenia Murzynów, teraz zdecydowanie parł do kompromisu i latem pisał do prezydenta, że dwaj agenci z listami od Davisa czekają na granicy kanadyjskiej. Lincoln, który potęgę „New York Herald“ oceniał wyżej niż motywy Greely'ego, znowu znalazł chytry wybieg, aby tych, którzy zarozumiale wysuwali się na czoło, obarczyć odpowiedzialnością za to, co proponują, jego samego wyprawił nad Niagarę, aby się przekonał, że owi agenci nie mają żadnych zleceń. Greely zemścił się za te drwiny nowymi zaciekłymi atakami przeciwko prezydentowi. Na to odpowiedział Lincoln, że za czasów jego młodości na Zachodzie łątano i przerabiano buty tak długo, aż zmurszała skóra rozłaziła się w palcach i nie można było jej zeszywać. Taki jest Greely.

Już przed rokiem pisał Lincoln w liście otwartym „do wszystkich, których to dotyczy“: „Każda propozycja dotycząca przywrócenia pokoju, całości Unii i zniesienia niewolnictwa, a pochodząca od tych



i z upoważnienia tych, którzy obecnie kontrolują siły walczące przeciwko Stanom Zjednoczonym, będzie przez rząd przyjęta i rozpatrzona... Oddawcom takich propozycji zapewnia się opiekę i bezpieczeństwo w drodze w obie strony“.

Propozycja ta była w istocie odrzuceniem wszelkich prób agentów, którzy chcieli pośredniczyć między Południem a Północą. Gdy w odpowiedzi na to, stary przyjaciel Lincoln, Stephens, obecnie wiceprezydent Konfederacji i przywódca umiarkowanych, opierając się na Vallandighamie chciał przybyć do Waszyngtonu z listami „prezydenta Jeffersona Davisa“, aby rozpocząć układy, Lincoln odpowiedział szorstko: „Życzenie pana Stephensa jest niewykonalne. Dla omawiania wszelkich spraw między Stanami Zjednoczonymi a buntownikami wystarczają zwykłe drogi“.

## V

„Bóg musi kochać prosty lud, bo w przeciwnym razie nie byłby go tyle natworzył“. Tymi wspaniałymi słowami, które nie mogły się zrodzić w głowie żadnego wykształconego bogacza, wyraził Lincoln pewnego razu uczucia swoje dla białych i czarnych robotników. Innym razem powiedział: „Gdyby Bóg pochwalał taki stan rzeczy, stworzyłby ludzi mających tylko usta do jedzenia, ale nie mających rąk do pracy, a obok nich byłby stworzył ludzi mających tylko ręce do pracy, ale nie mających ust do jedzenia“.

Pod naciskiem trosk codziennych, przy drobnych powodzeniach i niepowodzeniach, w zamęcie walk partyjnych nie tracił Lincoln wielkiego celu z oczu i coraz lepiej rozumiał, że obok dokładnych liczb i pozycji co-

raz mocniej podkreślać należy moralne prawo tej walki. „Zdaje się — powiedział pod koniec wojny — że światu brak dobrego określenia pojęcia wolności. Wszyscy jesteśmy za wolnością, ale nie wszyscy mamy na myśli to samo. Niektórzy sądzą, że człowiek może czynić ze sobą i swoim mieniem, co mu się podoba, inni znowu powiadają, że niektórzy ludzie mogą czynić, co im się podoba z innymi ludźmi i ich pracą. I jedno, i drugie nazywają wolnością. Na przykład owczarz odpedza wilka od owcy, którą wilk napadł, owca dziękuje owczarzowi za opiekę i obronę życia, wilk zaś klóci się z owczarzem, że odbiera owcy wolność, a krzyczy tym bardziej, jeśli owca jest czarna“. I znowu jeden z tych obrazów, w których farmer staje się logikiem, a mąż stanu czerpie z poglądów farmera i dlatego może tworzyć niezrównane przypowieści dla ludu.

Nigdzie przypowieści takie nie udają mu się równie dobrze, jak w tej najważniejszej dziedzinie jego kariery życiowej. Ich prostota czyni z nich przysłowia ludowe. „Gdy słyszę kogoś zachwalającego niewolnictwo, mam ochotę ułatwić mu osobiste zapoznanie się z nim“. Albo na przykład z Tennessee przybywają dwie panie, aby prosić o uwolnienie ich mężów, którzy są jeńcami wojennymi. Podczas trzech wizyt w tej sprawie jedna z nich powtarza bezustannie, że mąż jej jest człowiekiem pobożnym. „Niech mu pani powie — odpowiada wreszcie Lincoln, który każe owego jeńca uwolnić — że nie jestem sędzią w sprawach religijnych, ale moim zdaniem taka religia, która pobudza ludzi do powstawania przeciwko swemu rządowi dlatego, że ten rząd nie pomaga im do spożywania chleba wytworzonego w pocie czoła innych ludzi, nie jest religią, która by prowadziła do nieba“. To zaimprovizowane zdanie nazwał on później swoją najkrótszą i najlepszą mową.

Albo na przykład podczas otwarcia pewnego bazaru wpisuje on do księgi pamiątkowej następujące słowa: „Nigdy nie widziałem człowieka, który sam życzyłby sobie stać się niewolnikiem. Pomyślcie, czy może być dobrą sprawą, której nikt sobie nie życzy“.

A jednak proklamacja nie rozstrzygała wielkiego zagadnienia. Nikt nie lekcewał jej historycznego znaczenia. Polecono namalować wielki obraz przedstawiający owo historyczne posiedzenie gabinetu, a podczas pozowania Lincoln opowiadał malarzowi szczegóły tego posiedzenia, jak gdyby od owego czasu upłynęło już lat sto, a nie dopiero dwa. Ale radykali nie dowierzali mu jeszcze i teraz, a Sumner chciał nawet szybko i radykalnie zastosować formułę rewolucji francuskiej: wszyscy obywatele są równi wobec prawa. Ale projekt prawa, który jako dodatek do Konstytucji miał zakazać niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych, przyjęty w lecie roku 64 przez Senat, odrzucony został przez izbę niższą. Lincoln, który proklamację swoją uważał za zarządzanie wojskowe i z zakończeniem wojny przewidywał koniec jej prawomocności, postanowił wyborcom pozostawić decyzję, czy chcą wyzwolenia niewolników Południa albo jeszcze lepiej — wyzwolenia czarnych żołnierzy.

Bo tymczasem sprawdziło się jego przewidywanie i proklamacja osiągnęła swój doraźny cel: na początku ostatniego roku wojny walczyło pod sztandarami Północy 100 tysięcy, a pod koniec tego roku 180 tysięcy Murzynów. „Co za hańba dla białych rodaków!“ — wołali południowcy, a tak samo sądzono tu i ówdzie w Europie, bez zastanawiania się nad tym, że Południe nie wahało się wcielać do swoich szeregów innych ludzi kolorowych, mianowicie Indian, i bez oglądania się na możliwość groteskowego zwrotu, jakim Południe



w ostatnich tygodniach wojny samo doprowadziło to zagadnienie do absurdu. Jednocześnie demokraci nacierali na Lincolna coraz gwałtowniej, aby przez odwołanie proklamacji umożliwił zawarcie znośnego pokoju. „Dopóki władza jest w moim ręku, nawet nie pomyślę o tym, aby odsyłać z powrotem do niewoli kogokolwiek, kto dzięki proklamacji lub uchwale Kongresu odzyskał wolność... Chciałbym właśnie wytepić to, co naród ten jedynie popchnąć mogło do wojny domowej“.

Tymczasem już pierwsze próby wyzwolenia wytworzyły nieoczekiwane trudności. Myślą podstawową Lincolna było wyzwolić Murzynów i jednocześnie wyprowadzić ich poza granice kraju. Przeczuwając, jak trudne byłoby współżycie obu ras w Ameryce, założył kolonię próbną dla Murzynów u wybrzeża San Domingo, ale Murzyni wpadli w ręce oszukańczego agenta i Lincoln musiał unieważnić zawarte z nim umowy wskazując na brak pieczęci państwowej na nich. Teraz wystarczała opieka państwowa, przede wszystkim zaś osobista opieka Lincolna, aby niezadowolonych Murzynów specjalnym okrętem sprowadzić z powrotem do Waszyngtonu, gdzie mogli pracować w obozach.

Zrazu tylko nieliczni gubernatorowie stanów pogranicznych zdecydowali się na próbę. Do jednego z nich, gubernatora Tennessee, Johnsona, który miał się stać jego własnym następcą, pisał Lincoln zachęcająco, że człowiek o takich zdolnościach i na takim stanowisku powinien zająć się tworzeniem formacji murzyńskich. „Gdy mówię o pańskim stanowisku, mam na myśli stanowisko wybitnego obywatela stanu niewolniczego, który sam jest właścicielem niewolników. Murzyni są wielką rozporządzalną, ale jeszcze nie wyzyskaną klasą, która może się przyczynić do odbudowy Unii. Już sam widok 50 tysięcy uzbrojonych i dobrze wyszkolo-



nych czarnych żołnierzy na brzegach Missisipi musi natychmiast rokosz zakończyć, a któż wątpi, że uczynić to zdołamy, jeśli tylko poważnie chcieć będziemy? Zarazem nalegał, aby czarni jeńcy wojenni traktowani byli tak samo jak biali“. Niebawem powstały nowe trudności: na przystaniach rzecznych pewnej rzeki w Marylandzie czarne wojska wywołały przerażenie i zamęt wśród białych, przy czym jeden oficer został zabity, także w Missouri doszło do wzburzenia i mordów, z Kentucky nadchodziły skargi, że milicja zagarnęła Murzynów bez czyjegokolwiek zezwolenia i zgody i po prostu zabrała ze sobą.

Napaściom, jakie po tych wypadkach mnożyć się zaczęły przeciwko prezydentowi, nigdzie nie przeciwstawił się on lepiej niż w pewnym liście otwartym, wysłanym do Springfield na wielkie lojalne zgromadzenie, w którym rozprawił się z nieobecnym nieprzyjacielem. „Tym, co są ze mnie niezadowoleni, chciałbym rzec: pragniecie pokoju i mnie czynicie zarzuty, że go jeszcze nie ma. Istnieją tylko trzy proste drogi wiodące ku niemu. Po pierwsze, stłumienie powstania przy użyciu broni. To właśnie czynię. Czy jesteście za tym? No to się z sobą w pełni zgadzamy. Druga droga to zrzczenie się Unii. Przeciwko temu ja się opieram. Czy jesteście za tym? W takim razie powinniście wypowiedzieć się jasno. Jeśli nie jesteście ani za siłą zbrojną, ani za rozwiązaniem Unii, to pozostaje tylko droga kompromisu... Powiadacie, że nie chcecie walczyć o wyzwolenie Murzynów. Jednak niektórzy z was gotowi są to czynić. Nie mówmy o tym. Walczcie więc jedynie dla uratowania Unii! Proklamację swoją wydałem po to, aby przy jej pomocy tym łatwiej uratować Unię... Sądziłem, że gdy Murzyni przestaną pomagać nieprzyjacielowi, opór jego osłabnie. Czy jesteście innego zda-

nia? Byłem zdania, że wszędzie, gdzie da się zastąpić żołnierzy przez Murzynów, będzie można uwolnić tyleż białych, aby ratowali Unię. Czy jesteście innego zdania? Ale Murzyni, podobnie jak inni ludzie, stawiają sobie pewne cele działania. Dlaczego mieliby czynić coś dla nas, jeśli my nie mamy ochoty uczynić czegoś dla nich? Jeśli dla nas mają narażać życie, pobudzić ich do tego można tylko najmocniejszym bodźcem, a mianowicie obietnicą wolności. A jeśli dano im taką obietnicę, to trzeba jej dotrzymać“.

Oto jest metoda sokratesowska; za pomocą tej metody Lincoln jeszcze w trzecim roku wojny rozprawia ze swoim narodem o motywach, celach i widokach wojny, którą wygrać może przy pomocy ludu jedynie wtedy, gdy jej idea zostanie w pełni zrozumiana. Istnieją bowiem miliony farmerów, rzemieślników i kupców, miliony ojców, matek i żołnierzy, którzy te lapidarne wywody rozumieją i których te jasne zwroty przekonywają, i właśnie dlatego, że nigdzie nie ma tu superlatywów, a tym mniej frazesów, chętnie dają się powodować myśli, na jaką nie zdobędzie się żadna natura o charakterze Douglasa, a którą sformułować może tylko człowiek z ludu po długich latach współżycia z ludem.

A jednak jest to ten sam człowiek, który głosem mądrego starego ojca o tej samej sprawie w innym przemówieniu tak się wyraża: „Posiadłszy jasne przekonanie obowiązku, zdecydowałem się na wykorzystanie tej żywiołowej siły (Murzynów). Jestem za to odpowiedzialny wobec narodu amerykańskiego, chrześcijańskiego świata, historii i muszę zdać z tego rachunek przed Bogiem“.

## VI

Biały Dom jest jasno oświetlony; stolica roi się od obcych, bo dzisiaj ma przybyć Grant, aby objąć naczelne dowództwo nad wszystkimi armiami i otrzymać stopień generała-porucznika, jaki przed nim przyznany był jedynie Waszyngtonowi. Powozy i jeźdźcy tłoczą się na ulicach, w halach i salach pełno jest dyplomatów, oficerów i strojnych dam, bo już jest marzec roku 64, zimowy spokój kończy się, wszystko układa się pomysłnie, masy ludowe otrzymały odpowiedź na swoją pieśń, która poza liniami frontu odzywała się na wszystkich ulicach i zgromadzeniach: *Abraham Lincoln, give us a man!* (Abrahamie Lincoln, daj nam człowieka!).

Ale tak samo jak Lincoln przed trzema laty, tak i Grant przybył tego samego wieczoru przez nikogo nie zauważony, ze swoim małym synkiem, którego miał zawsze przy sobie w obozie i w pochodach, zamieszkał w hotelu i oto jako jeden spośród wielu oficerów wszedł przez nikogo nie dostrzeżony do Białego Domu, którego progu dotąd jeszcze nigdy nie przekroczył. Nieokreślony lęk przed intrygami i skandalami, przede wszystkim zaś przed wpływami polityków, trzymał tego żołnierza z dala od stolicy. I tym razem nie każe się meldować: długonogiego ojca Abrahama sam już odnajdzie wśród innych, a że jest dopiero pół do dziesiątej, więc czasu jest aż nadto. Dobrze, że w tym ścisku nie potrzebuje się tłoczyć jego żona! Ale po kilku chwilach zostaje on dostrzeżony przez szukające oczy Lincoln'a i niebawem otoczono ich ciasnym kołem, tak że się ruszyć nie mogą. Nie bardzo wysoki, smagły oficer stoi obok długoramiennego olbrzyma we fraku; związani ze sobą wewnętrzną powagą i zakłopotaniem, nad którym nie umieją zapanować, chociaż już od dawna przywykli do rozkazywania.

Wreszcie zostają uwolnieni i oszańcowują się za sofą. Generała prowadzą do pani prezydentowej, zapoznają go z ministrami, ale tłum chce go widzieć i nieustraszony generał z bijącym sercem musi stanąć na sofie, aby go wszyscy mogli oklaskiwać. „Była to najgorętsza walka, jaką przeżyłem w tej wojnie“ — wyraził się Grant później. Aby go do nominacji przygotować, dał mu Lincoln własną mowę do przeczytania, „bo może pan nie jest przyzwyczajony do publicznych przemówień“, i prosił go, aby w równie krótkim przemówieniu poruszył dwie sprawy, a mianowicie aby powiedział coś, co stłumiłoby zawiść innych generałów, i aby dał wyraz swoim dobrym uczuciom dla armii nad Potomakiem. Ale gdy nazajutrz nominacja odbywała się przy udziale całego gabinetu, Grant tak samo męczył się nad odczytywaniem swej mowy naszkicowanej ołówkiem na półarkusiku papieru, jak ongiś Waszyngton przy wygłaszaniu swej pierwszej mowy urzędowej. Ale pomimo to w jego trzech zgrabnie wystylizowanych zdaniach nie było ani słowa o tym, o co prosił go Lincoln. Jedyne niezłomna wola niezależności od polityków mogła skłonić Granta do uchylenia się od spełnienia życzeń Lincolna.

Pozostawał tylko prezydent jako jedyny polityk, z którym można się było porozumieć, bo podczas gdy Granta ostrzegano, aby Lincolnowi nie mówił zbyt wiele o swoich planach, okazało się, że prezydent wcale o nie nie pytał. Po krótkiej rzeczowej rozmowie obaj ci ludzie przypadli sobie do serca, ale Grant nie czuł się dobrze w tym mieście i dlatego uchylił się od udziału we wspólnym obiedzie, na który został zaproszony przez panią Mary. „W oznaczonym terminie muszę być w Tennessee“.



„Ależ obiad pani Lincoln byłby w takim razie przedstawieniem «Hamleta» bez Hamleta!”

„Wysoko cenię ten zaszczyt, ale czas jest drogi. Muszę śpieszyć na front, a obiad wydany na moją cześć kosztuje kraj milion dolarów“.

Gdy odjechał, Lincoln rzekł: „Doprawdy nie wiem, co mam o nim myśleć. Jest to najspokojniejszy człeczyna, jakiego kiedykolwiek widziałem, a skromniejszy jest od wszystkich skromnych. Zdaje mi się, że kilka razy przynajmniej przez minutę był w tym pokoju, zanim go dostrzegłem. Ale jest on wszędzie. Jedynym dowodem jego obecności jest to, że wprawia rzeczy w ruch... Tamci, gdy im przedkładałem jakiś plan, mawiali zazwyczaj: nie sądzę, aby to się dało zrobić, ale jeśli pan sobie życzy, spróbuję. W ten sposób odpowiedzialność zawsze spychali na mnie. Wszyscy chcieli, abym ja był generałem. Grant nie mówił jeszcze wcale o swoich planach. Nic nie wiem i nic wiedzieć nie chcę. Cieszę się, że nareszcie mam człowieka, który beze mnie rusza naprzód. Inni oglądali sprawę ze wszystkich stron, a potem doszukiwali się rzeczy, której im brakło, a której ja im dać nie mogłem, o czym wiedzieli bardzo dobrze. Potem mówili, że nie mogą zwyciężyć, jeśli czegoś tam mieć nie będą. A najczęściej chodziło o kawalerię. Gdy przybył Grant, czekałem, czego się dowiem od niego, jaką to on wynajdzie niemożliwość, i oczywiście liczyłem, że będzie to kawaleria, bo nie posiadaliśmy dość koni, aby naszych ludzi na nie powsadzać. W Harpers Ferry było 15 tysięcy kawalerzystów bez koni. Niedawno pisał mi o tym Grant, ale chciał się dowiedzieć, czy mamy z tej kawalerii bez koni zrobić piechotę, czy też należy tych ludzi rozpuścić“.

Tak więc pod koniec wojny i pod koniec życia znalazł Lincoln człowieka, który prostotą, rzetelnością i zdolnościami orientacyjnymi dorównywał mu i odpowiadał. Ponieważ Grant objął dowództwo na froncie centralnym, więc na miejsce swoje wyznaczył przyjaciela, żwawego, jasnego Shermana, oficera, który dla podwładnych był równie szorstki, jak łagodny i uprzejmy był dla wszystkich innych ludzi, zwierząt i dzieci, a który nawet przy największych powodzeniach, jakie zbierał pod koniec roku, zawsze uważał Granta za mistrza. Teraz właśnie przeciwnika swego Johnstona zaczynał osaczać przeważającymi siłami i wypierać go w kierunku na Atlantę, aż wreszcie we wrześniu ten punkt wewnątrz kraju nieprzyjacielskiego został zdobyty i stał się podstawą do dalszych operacji.

Grant, pierwszy z oficerów, który od prezydenta niczego nie żądał, doznał wzajemności, bo i Lincoln niczego nie żądał od niego, jakkolwiek wszystkiego oczekiwał. „Ponieważ przed rozpoczęciem nowej wyprawy już się zapewne nie spotkamy, chciałbym panu tą drogą wyrazić swoje najpełniejsze zadowolenie ze wszystkiego, co pan dotychczas przedsiębrał, o ile znam się na tym. Szczegóły pańskiego planu są mi nie znane i bynajmniej poznać ich nie pragnę. Jest pan czujny i niezawodny, z czego się cieszę, i nie myślę utrudniać panu pracy względami lub ograniczeniami... Jeśli brak panu jeszcze czegoś, co mógłbym panu dostarczyć, to proszę, aby mi pan o tym doniósł. Niech Bóg pana chroni razem z dzielną armią dla słusznej sprawy!“ Otóż mamy go znowu: ostatni i najpiękniejszy styl Lincoln, ton ojca.

Zdaniem znawców Grant jako wódz nie dorównywał swemu przeciwnikowi Lee. Taktyka Granta polegała, jak sam mówił, na tym, aby nieprzyjacielowi nie dawać

wytchnienia, deptać mu bezustannie po piętach, przeskadzać na wszelki sposób, bo strat swoich przeciwnik nie mógł uzupełniać zbyt długo. Im więcej terytoriów zagarniała armia północna, tym więcej mogła rekrutować wojska, podczas gdy przeciwnik coraz więcej żołnierzy tracił bezpowrotnie. Ale raz za razem udawało się Lee wymykać z zastawionych sidła. W końcu walka stała się podobna do gry w szachy dwóch partnerów, z których jeden ma jeszcze prawie wszystkie figury, a drugi ma ich już niewiele, ale co chwila stawia partnera wobec nowych zadań, bo jest lepszym graczem. Tak więc doszło do nie rozegranych walk wiosennych na pobojowiskach roku zeszłego, do przeciwnatarć w czerwcu, które położenie Granta pogorszyły, ale nie zachwiały zaufania Lincolna. Ba, zdarzyło się, że podczas gdy Grant na czele 150 tysięcy ludzi stał tuż pod Petersburgiem i Richmondem, w lipcu zagrażało stolicy bezpośrednio niebezpieczeństwo ze strony jednego z generałów Lee, akurat tak samo jak przed trzema laty.

Nieprzyjaciel stał już tak blisko, że mógł zaatakować jeden z fortów Waszyngtonu, miasto było niemal bezbronne i miało tylko rekrutów, a Potomak został przez nieprzyjaciela przekroczony; śmiałym atakiem mógłby zagarnąć prezydenta razem z gabinetem, jak mógł wtedy, na początku wojny. Statek parowy stał w pogotowiu, aby w razie potrzeby ratować rząd. Lincoln był zbyt wielkim fatalistą i zbyt był znużony, aby obawiać się śmierci. Wyjechał na czoło ku fortom, słyszał świst kul, zachował zupełny spokój i telegrafował do generała: „Bądźmy czujni, ale zachowajmy zimną krew“. Takim widział go minister Welles na linii; siedział w cieniu, plecami wsparty o przedpiersie fortu, tyłem do nieprzyjaciela. W tej wygodnej postawie jest cały Lincoln.

Widać wyraźnie, o ile przyjemniej jest mu tutaj, niż było Grantowi w Białym Domu.

Wojska nadesłane przez Granta przybyły jeszcze na czas, aby przepędzić nieprzyjaciela, który jednakże spokojnie zdołał wycofać się za Potomak.

## VII

Los kraju zawisł od wyboru przyszłego prezydenta. Chociaż ostatecznie wybory zatarg zaostrzyły, to jednak przy pewnym umiarkowaniu Południa wojny można było uniknąć. Teraz wojna była faktem i zbliżała się ku ostatecznym rozstrzygnięciom, ale one bardziej zawisły od wyboru prezydenta, niż wtedy zależał od niego wybuch tej wojny. Gdyby na prezydenta wybrany został demokrat, nie potrzebowałby jak Lincoln czekać aż do marca, aby zacząć działać. Już jego wybór na początku listopada sparaliżowałby siły Północy i ożywiłby siły nieprzyjacielskie, bo obie strony znały doskonale demokratyczny cel wojny, którym był pokój bez zwycięstwa. Natomiast wybór republikanina oznaczałby wojnę aż do kapitulacji Południa.

Dla Lincolna alternatywa wikłała się tym bardziej, że był on zwalczany przez własną partię. Radykalne skrzydło nienawidziło go za to, że przez swoją wahającą się postawę zagmatwał zrazu kwestię niewolnictwa, a następnie potraktował wyzwolenie jako zarządzenie wojenne. Ludzie grupujący się dokoła Greely'ego chcieli się zemścić na Lincolnie, domagali się innego człowieka i układali się z dwoma generałami, godząc się ostatecznie na osobę Frémonta. Lincoln powiedział patrząc na te zwalczające się partie: „Każda z nich wolałaby widzieć porażkę partii przeciwnej niż porażkę Jeffersona Davisa. Trzeba ich rzucić przeciwko sobie!”



Ale najprzykrzejszy przeciwnik Lincolna nie znajdował się na froncie jak owi generałowie; zasiadał on w gabinecie obok niego i rozmawiał z nim co dzień. Był to Chase, który jako utalentowany finansista oddał państwu wybitne usługi; dla Lincolna nie odczuwał on nigdy osobistej sympatii, a teraz kierował się jedynie prywatną ambicją i już zimą, rzecz można, kandydował. Kandydaturę swoją wysuwał przez krytykę obecnego prezydenta: „Gdybyśmy posiadali rząd w całym znaczeniu tego słowa — pisze na początku czwartego roku do pewnego redaktora — i prezydenta, który by się ze swoim gabinetem naradzał i wspólnie z nim decydował, aby następnie realizować uchwały przy jego pomocy, oszczędzając pracy we wszystkich dziedzinach urzędowania, byłoby można gadać otwarcie i zająć twarde stanowisko wobec całego świata. A tutaj stanowisko nasze było zawsze zgoła inne. Ja czuwam nad jedną dziedziną życia, sekretarz wojny i marynarki nad inną, jeden przeszkadza drugiemu, Seward prowadzi sprawy zagraniczne przy miernej pomocy. Nie ma jedności i nie ma systemu poza wydziałem... W taki sposób i w takich okolicznościach trudno głosić politykę, która mogłaby być realizowana tylko jednością, mądrością i odwagą!“ Podobnie pisał do innego: „Takiego rządu, jaki jest obecnie, nie można utrzymywać nadal, bo to nie jest rząd w ścisłym znaczeniu tego słowa. Są ministrowie, ale nie ma prezydenta, który administrację pozostawia prawie wyłącznie kierownikom ministerstw, a sam decyduje w stosunkowo niewielu sprawach. A ci kierownicy są prawie zupełnie niezależni jeden od drugiego“.

Chase, krytykujący gabinet z dwóch przeciwległych pozycji, zarzucał prezydentowi zarazem za wiele i za mało rządów osobistych, a rację miał tylko o tyle,

o ile Lincoln z natury swojej, także zdaniem wiernie mu oddanego Wellesa, nie lubił pracy systematycznej, wolał konferować z ministrami osobno, a tym samym pewne zarządzenia niektórych ministrów były nie znane innym. Takie rzeczy można było zapisywać w dzienniku, jak to czynił Welles, ale w żadnym razie nie wolno było czynić tego, co czynił Chase, który już na rok przed zmianą rządu mówił to do obcych, aby ci z wiadomości jego mogli korzystać i rozgłaszać je. Przemawiał on tu w takim tonie, jakby mówił o historycznej przeszłości, podczas gdy przecież dzień w dzień z tym prezydentem pracował. Gdy wreszcie w pewnym dokumencie partyjnym wymieniony został jako kandydat, zapewniał Lincoln, że nie ma z tym nic wspólnego, a następnie, jak to czynił już nieraz, złożył prośbę o dymisję.

„Przyjaciele moi przynoszą mi dokumenty — odpowiedział Lincoln — i mówią mi, czego by pan pragnął, ale ja tych dokumentów nie czytuję i nie proszę o więcej. Czy ma pan pozostać na czele Ministerstwa Finansów, o tym zdecyduję kierując się względami na dobro państwa i tutaj nie widzę powodów do zmiany“.

Wyczuwamy chłód w tym tonie. Lincoln znał sytuację. „O ile to możliwe, pragnę zamykać oczy na te wszystkie sprawy. Chase jest dobrym ministrem... Jeśli stanie się prezydentem — doskonale; mam nadzieję, że nie otrzymamy gorszego od niego. Ubolewać muszę jedynie nad sposobami, jakimi stara się umocnić swoje stanowisko. Gdy tylko widzi, że jakaś ważna sprawa powoduje trudności i że muszę się zdecydować na to lub na owo, co w ludziach wpływowych budzi niezadowolone, zawsze staje w opozycji i przekonuje niezadowolonego, że stała się mu krzywda i że on, Chase, zrobiłby to całkiem inaczej. Na ogół obowiązki swoje

spełnia lepiej od kogokolwiek innego; mówię na ogół. Teraz jest przykry i czuje się szczęśliwy tylko wtedy, gdy jest całkiem nieszczęśliwy i gdy się mu udaje nadokuczać innym“.

Przez kilka miesięcy stosunki między nimi są naprężone i niekiedy Lincoln jest zadowolony wiedząc, że Chase się burzy. „Wychował się pan wszak na farmie, prawda? — pytał pewnego znajomego. — W takim razie wie pan, co to jest bąk. Pewnego razu orałem z bratem na pewnej farmie w Illinois i prowadziłem konia, on zaś kierował pługiem. Koń był leniwy, ale nagle ruszył z kopyta, tak że nie można było nadażyć za nim. U końca skiby spostrzegłem, że na naszym koniu usadowił się wielki bąk, i spłoszyłem go. Brat pytał, dlaczego go płoszę. Bo nie chcę, aby koniowi dokuczał. «Dałbyś spokój — powiedział brat — skoro z bąkiem chodzi tak ładnie!» Jeśli pan Chase ma bąka prezydenckiego, to ani myślę płoszyć go, jeśli na tym zyskać może jego ministerstwo“.

Oto siedzi w fotelu prezydent Stanów Zjednoczonych, a gdy mówi o tym, jak orał z bratem swoim, przypomina się mu nagle cała niezwykła romantyka jego życia i owa prosta wielkość jego ludu, która taką karierę życiową już nieraz ku pomyślności ogółu umożliwiła. Jest to też atmosfera otaczająca go stale jako syna ludu z dzikiego Zachodu, ta osobliwa ociężałość jego postaci, która w chwilach decydujących zjednywała mu nawet sceptyków, bo cokolwiek przeciwko niemu mówić i czuć mogli, rzetelna powaga i mądrość, żłobiąca coraz głębsze zmarszczki w jego twarzy, miały swoją wymowę, podobnie jak jego ojcowskie spojrzenie i ton jego mowy, którymi przyciągał ludzi, sztuka wypowiedania się przypowieściami, które zawsze go-

dziły w sedno sprawy i życia ludzkiego — wszystko to pociągało ku niemu jednym, ujarzmiło drugich.

Bo cóż w sercu narodu mimo wszystko przechowało imię człowieka, którego zarządzenia były zwalczane, wypaczane i wywoływały spory? Co zachowywało i pogłębiało w owych latach jego znaczenie? Jego odpowiedzi, jego mowy i jego listy publiczne, w których zdawał się naradzać ze swoim ludem. Dlatego właśnie przyjaciele jego rozpoczęli nową kampanię wyborczą dwiema szpaltami „anegdot o Lincolnie“ drukowanymi w gazetach, a w owych miesiącach walki wyborczej żadne słowo nie posłużyło mu tak dobrze, jak to, którym ozwał się do pewnej deputacji: „Nie jestem tak zarozumiały, moi panowie, abym sobie wyobrażał, że jestem najlepszym człowiekiem w tym kraju. Tylko przypomina mi się anegdota o pewnym chłopie holenderskim, który w podróży rzekł do swego towarzysza: «Gdy się przeprawiasz przez wodę, to na środku rzeki nie przeprzęgaj koni»“. Oto zwrot potężny w swej lapidarności, mocny i tak jasny zarazem, że nawet najstarszy farmer łatwo go zrozumie, a jednak dość ostry, aby przekonać adwokata.

Toteż gdy zebrał się konwent w Baltimore w miesiącu czerwcu generałowie razem z Chase'em nagle przypadli, a konwent wypowiedział się: „Pochwalamy mądrość, bezinteresowność, miłość ojczyzny i wierność wobec Konstytucji, które cechowały Lincolna przy spełnianiu jego niezliczonych obowiązków. Specjalnie popieramy jego proklamację o wyzwoleniu niewolników“. Na życzenie Lincolna proklamacja ta została wniesiona przez ustawę konstytucyjną do programu wyborczego jako punkt najważniejszy. Był to punkt najbardziej niebezpieczny, o ile chodziło o ponowny wybór Lincolna, ale on domagał się jasności. Wszyscy



republikanie wysunęli jego kandydaturę po raz drugi, z wyjątkiem republikanów z Missouri, tego stanu niewolniczego, który liczył najwięcej radykałów.

Dziwnie chłodno brzmi jego oświadczenie, że kandydaturę przyjmuje: „Powołania mnie — powiedział — na drugi okres urzędowania nie uważam bynajmniej za komplement osobisty, lecz raczej za wyraz powszechnego przekonania, że może lepiej nadaję się do zakończenia trudnego zadania od innych, którzy w dziele tym nie posiadają doświadczenia równego mojemu. Nominację przyjmuje się z podziękowaniem, skoro platforma została zaaprobowana“. Tym razem pomoc bakałarza już nie była potrzebna, jak przy układaniu podobnego listu cztery lata temu. Byłby on z pewnością odradził ton równie chłodny i ów zwrot bezosobowy wyrażający zrozumiałą powściągliwość, która go zawsze cechowała przy ubieganiu się o stanowiska. Bo właśnie w tej sytuacji zważał Lincoln, któremu ciążył wszelki formalizm od kołnierzyka aż do miny urzędowej, aby gorliwość kandydata nie przyniosła ujmy godności prezydenta.

Także wśród demokratów nie było jednomyślności: jedni domagali się dalszego prowadzenia wojny, drudzy uważali, że należy ją zakończyć za wszelką cenę. Valandigham należał do zwolenników, Seymour do przeciwników dalszego prowadzenia wojny. Zgodzono się tylko co do orzeczenia, że „wojna się nie powiodła“. Nie miał więc widoków ani defetysta, ani zapaleniec. Najlepszym kandydatem byłby jakiś usunięty generał, którego jedni wybieraliby dlatego, że wojna była źle prowadzona, drudzy dlatego, że pragnęli, aby się wojna jak najprędzej skończyła. Któż był najbardziej powołany do odegrania takiej roli? McClellan. Czyż nie był on najcenniejszą ofiarą partii rządzącej? Tego, że wojna

się nie powiodła, w mowach swoich podkreślać nie chciał, ale że sam byłby wojnę poprowadził lepiej, tego pozwalał się domyślać. Dlatego też on i jego partia starali się zwycięstwa ostatniego roku pomniejszać, a gdy ku swemu niezadowoleniu zaskoczeni zostali ponownym marszem Granta, udali, że tych wydarzeń wcale nie dostrzegają. Natomiast bardzo były im na rękę ataki na Waszyngton, bezskuteczne obleganie Petersburga, wielkie straty i dezercja, bo znaleźli się w tak dziwnym położeniu, że w czasie wojny liczyć musieli na osłabienie woli narodu.

„Gdy przez cztery lata próbowano przywrócić jedność Unii — głosiła pewna proklamacja w Chicago — przy pomocy wojny, teraz domaga się sprawiedliwość, ludzkość i pomyślność ogółu, aby nie szczędzić żadnych wysiłków dla zakończenia walk, aby następnie przez Kongres wszystkich stanów albo jakąś inną drogą zawrzeć pokój i odbudować Unię na zasadach związkowo-państwowych“.

Niebezpieczeństwo tej formuły wyrażało się przede wszystkim w podejrzeniu Lincolna, że nie chce on pokoju, podczas gdy właśnie Jefferson Davis nie chciał słyszeć o państwie związkowym. Zagadnienie najważniejsze przekazywano nie rozstrzygnięte przyszłości i ryzykowano dziesięciolecia nowych niepokojów, bo nadal nikt nie wiedział, czy stan związkowy będzie miał prawo oderwać się od Unii. I formuła, i kandydatura przstraszyły partię przeciwną, bo przy wyborze McClellana Lincoln musiałby zawrzeć pokój przed zakończeniem wojny, a na to nie zdecydowałby się nigdy. Wobec takich trosk posunął się on tak daleko, że przeciwnikowi swemu Seymourowi kazał powiedzieć, że gdyby zdołał połączyć demokratów w jeden front za prowadzeniem

wojny aż do zgniecenia powstania, to w zamian za taką usługę z przyjemnością ustąpiłby mu swoje miejsce.

Oświadczenie to, przekazane przez przyjaciela, ozna-  
czało wobec wpływu Lincolna niemal że zwycięstwo  
demokratów. Ale Seymour był nieprzejednany, a w no-  
wojorskim piśmie handlowym można się było w owych  
dniach doczytać, że rząd rozmyślnie z pobudek egoi-  
stycznych wojnę przedłuża. Lincoln znał ten sposób  
odpowiadania, bo już w roku zeszłym na niewyraźne  
zawiadomienie go, że demokraci powstrzymają się od  
głosowania przeciwko niemu, napisał odpowiedź po  
chłopsku jędrną: „Prawdopodobnie powstrzymają się od  
czegoś innego i nie przestaną głosować, dopóki każdy  
z nich nie będzie kilkakrotnym wyborcą“.

I znowu, jak przed laty, największy zgiełk wyborczy  
powstał dopiero po mianowaniu kandydata i te mie-  
siące letnie, ostatnie, jakie przeżył, należą do najbar-  
dziej denerwujących okresów jego życia. Z licznych  
stron nacierano na niego, aby się zrzekł kandydatury.  
Główny organizator oświadczył, że nie ma on żadnych  
widoków, i nawet połączył się z jego przeciwnikiem  
Greely'm, kierownictwo partii doradzało mu, aby na-  
tychmiast wysunął propozycje pokojowe, aby uratować  
swoją wybór, a dwaj wybitni przywódcy partii oswobo-  
dzicielskiej nazwali go w swoim manifestie uzurpato-  
rem pożeranym przez żądzę władzy. Na koniec sierpnia  
planowany był pucz dla zakończenia wojny, a komitety  
zgłaszały się z prośbami o dopuszczenie innego kandy-  
data. Tym innym kandydatem miał być Grant.

Już w roku zeszłym niektóre pisma nazywały Granta  
człowiekiem przyszłości, ale zagadnięty przez przyja-  
ciela odpowiedział pisemnie, że ma przed sobą wielkie  
dzieło i że dzieła tego dokonać musi przede wszystkim.  
Nawet gdyby miał kiedyś zostać prezydentem, to nie

za czasów Lincolna. Jednocześnie z tą odpowiedzią otrzymał ów przyjaciel zaproszenie od Lincolna, aby do niego przybył, ale dopiero po debacie politycznej dał Lincolnowi do przeczytania ów list Granta. „Nawet pan nie przypuszcza, jakie to jest dla mnie miłe — rzekł Lincoln. — Gdy taki czerw prezydentwa zacznie komu wiercić w mózgu, to nigdy nie wiadomo, jak głęboko się wwierci. Nie miałem pewności, czy nie usadowił się on w mózgu Granta“. Dopiero później dowiedział się ów gość Lincolna, że tylko dla tej informacji był zaproszony.

Ale gdy w czerwcu odbywało się zebranie na cześć Granta, przy czym nie zatajano bynajmniej, że chodzi o wystawienie jego kandydatury, i gdy na to zebranie zapraszano Lincolna, ten odpowiedział: „Niestety, uczestniczyć nie mogę, ale pochwalam wszystko, co przyczynia się do wzmocnienia stanowiska Granta i utrzymania jego i szlachetnych wojsk, które teraz pozostają pod jego rozkazami. On i jego dzielni żołnierze znoszą właśnie w tej chwili ciężkie trudy, więc mam nadzieję, że na zebraniu swoim przychylnie dla niego słowa tak ułożycie, aby się poprzemieniały w żołnierzy i w miecze dla wspomnienia jego i jego podwładnych“. W tym wspaniałym komentarzu, który Grantowi nakreśla granice, trefniś sąsiaduje całkiem blisko z mentorem i tak też słowa jego zostały niewątpliwie zrozumiane.

Bo jeszcze ciągle Lincoln nie ma pewności, jak głęboko wwiercił się w mózg Granta czerw prezydentwa, wyleżony z powodzenia i karmiony aklamacją tłumów. Boi się tego, bo czerw ten odwróciłby myśl generała od armii; dlatego wysyła do niego swego zaufanego, aby wybadał jego usposobienie. Natychmiast po pierwszym pytaniu wali Grant pięścią w ramię swego stołka



polowego. „Kandydować? Tego zrobić nie mogę! Do tego zmusić mnie nie możecie!“ Taki gwałtowny od-ruch był u tego spokojnego człowieka czymś zgoła nie-zwykłym.

„Czy powiedział pan o tym prezydentowi?“ — pyta gość.

„Nie. Nie uważałem tego za konieczne. Jego wybór uważam za równie ważny, jak powodzenie wojska w polu“.

Na wiadomość o tym doznał Lincoln uczucia ulgi. „Powiedziałem wam wszak, że nie zdołacie go do tego nakłonić, dopóki nie stłumi buntu!“ — zawołał, chociaż przecucie jego potrzebowało potwierdzenia. „Gdy Grant zagarnie Richmond, wtedy wybieriecie go na prezydenta“ — wyraził się Lincoln już dawniej i to było jego wewnętrznym przekonaniem. Przed zwalczaniem McClellana nie zawahał się, bo nad nim miał prze-wagę, natomiast Grant jako żołnierz znaczył tyle, ile on sam jako polityk, a prócz tego był on ramieniem, którego głowa jego koniecznie teraz potrzebowała. Trzeba jeszcze dodać, że współzawodnictwo ich było tajne i nie rozgrywało się w jawnej walce wyborczej, a Grant pod względem politycznym chciał akurat tego samego, co Lincoln od lat trzech czynił. Stąd niepokój jego serca, że musiałby się obawiać swego wodza jako współzawodnika, i uczucie ulgi, gdy się dowiedział, że tamten trzyma się wyłącznie swego rzemiosła.

Zgoła innych musiał doznawać uczuć wobec Granta, a innych wobec Chase'a, który intrygami poderwał w Lincolnie zaufanie do siebie. Teraz skorzystał ze sposobności i gdy Chase po raz nie wiadomo który groził ustąpieniem, Lincoln udzielił mu dymisji w chwili gdy krok ten w obliczu walki wyborczej mógł mu tylko zaszkodzić. Co więcej, w czasach naj-

gorętszej kampanii wyborczej odważył się Lincoln zapowiedzieć nowy pobór wojskowy. Przyjaciele przestrzegali go z wielkim naciskiem. „Nie. Ludzie muszą zrozumieć, o co tu chodzi. Mój ponowny wybór będzie oznaczał, że powstanie musi być zgniecione za pomocą siły. Jeśli nawet ja zostanę pokonany, to my pokonani być nie możemy!“ W takiej wspaniałej postawie podejmował walkę wewnętrzną zarazem z walką zewnętrzną i wyraził się publicznie: „Przyjeliśmy tę wojnę, aby osiągnąć pewien cel. Kiedy skończy się ta wojna? Mam ufanie w Boga, że się ona nie skończy przed osiągnięciem celu“.

Po tym męskim tonie na nowo poznajemy bojownika, którym Lincoln ojciec raz jeszcze na przeciąg kilku miesięcy stać się musiał.

Bowiem nowy pobór wojskowy rozpętał burzę po obu stronach. „Samowola tyrana!“ — wołały gazety zwracając się przeciwko niemu. „On pogwałcił wolność osoby, prasy, Konstytucji, azylu, on zbojkotował pokojową pojednawczość przeciwnika i w krótkim czasie zdołał nadużyć wszelkiej władzy wojennego dyktatora. Jeśli Lincoln nie zostanie wybrany, to zrobi wszystko możliwe, aby ostatecznie zrujnować i rząd“. „Złośliwi przeciwnicy Lincolna — pisze jego stary przyjaciel Swett z Nowego Jorku do domu — pragną zwołać konwent do Buffalo, aby wysunąć inną kandydaturę: Seymoura, Chase’a, Frémonta itd. Demokraci jednoczą się, aby przeciwstawić się poborowi. Dzisiaj rano przechwyciliśmy 3 tysiące pistoletów, które miały być rozdane w Indianie. Ci demokraci, którzy są za wojną, chcą w Chicago mianować człowieka lojalnego, demokraci zaś, którzy chcą pokoju za wszelką cenę, starają się dotrzeć do władzy przez sojusz z Davisem, aby następnie przy udziale obu armii wywołać powszechne

powstanie. Trzeba się obawiać najgorszych rzeczy... Toniemy w takich sprzysiężeniach, które przypominają rewolucję francuską“.

Najokropniejsze rzeczy, sprzysiężenia — czy daleko do mordów? „Jeśli mnie zabiją — rzekł Lincoln spokojnie — to i z mego następcy zadowoleni nie będą. W takim kraju jak ten, gdzie obyczaje są i muszą być proste, morderstwa możliwe są zawsze i dojdzie do nich, jeśli ludzie są na to zdecydowani“.

W owym czasie ciężkiego przesilenia, przy rozszalałej nienawiści, w połowie sierpnia właściciel pewnej gospody w małym miasteczku Pensylwanii znalazł na jednej z szyb swej gospody słowa wyrysowane diamentem: „Abraham Lincoln opuścił to życie dnia 13 sierpnia 1864 roku wskutek otrucia“. Oberżysta nie zwrócił uwagi na ten napis, bo owa data przecież już minęła, a także dziwaczny styl budził w nim podejrzenie, że ma się tu do czynienia z wariatem. Dopiero w osiem miesięcy później, gdy cały kraj powtarzał imię mordercy, przypomniał on sobie, że w owych dniach mieszkał u niego aktor nazwiskiem Booth.

## VIII

W skromnie umeblowanej izdebce domu żołnierskiego, w którym prezydent mieszkał latem, pewnego letniego wieczoru siedział naprzeciwko niego Karol Schurz i słuchał jego monologów. Lincoln mówił jak człowiek, który pragnie ulżyć sercu i pozbyć się swoich smutnych myśli. Czy to było nieuniknione i szlachetne albo przynajmniej sprawiedliwe, że czystość jego pobudek kwestionowano? „Nacierają na mnie — mówił Lincoln — w sposób po prostu szorstki, abym zrezygnował

z kandydatury, ja, którego mianowano jednomyślnie, i abym zrobił miejsce lepszemu. Chciałbym i mógłbym to uczynić. Inny zrobiłby może wszystko lepiej ode mnie. Nie przeczę temu. Jest to możliwe. Ale na razie ja tu jestem, a tego lepszego nie widać. A jeśli nawet ustąpię, aby mu zrobić miejsce, to nie ma najmniejszej pewności, że dotrze on do celu, jaki się mu wyznacza. Daleko prawdopodobniejsze jest to, że wrogowie moi skłócą się z sobą i że ci, co się mnie chcą pozbyć, dostaną ostatecznie kogoś, kogo nikt nie pragnie. Więc ustąpienie moje musiałyby zamęt jeszcze spotęgować. Bóg widzi, że według sił swoich próbowałem spełniać swoje powinności, dla każdego być sprawiedliwym i nikomu nie czynić krzywdy. I oto ludzie, którzy są moimi przyjaciółmi i znać mnie powinni, powiadają, że mnie pożera żądza władzy i że dopuściłem się rzeczy niesumiennych, a dla ogółu szkodliwych, byle się tylko utrzymać przy urzędzie. Czy ludzie owi myślą o szczęściu ogółu, gdy dążą do obalenia mnie? Mam nadzieję! Mam nadzieję!“

W pokoju zrobiło się ciemno, a gdy wniesiono światło, ujrzał Schurz, że oczy Lincolna były wilgotne.

Nieco później jeden z gubernatorów doradzał prezydentowi dwutygodniowy urlop wypoczynkowy, uważając, że jest on przepracowany. „To niemożliwe! Myślom swoim nie ucieknę, a troski moje dążą za mną wszędzie. Nie chodzi tu, jak sądzę, o próżność lub ambicję, aczkolwiek od słabości takich wolny nie jestem. Czuję, że w listopadzie rozstrzygnie się los tego narodu. Każda propozycja demokratów prowadzi do trwałego zniszczenia Unii“.

Ale McClellan chce przecież zwalczać rokosz orężem.

„Elementarne wiadomości arytmetyczne pouczą pana, że strategia demokratów pokonać buntowników nie



może. Poświęciliby oni wszystkich białych mężczyzn na Północy na rzecz tej strategii. Mamy teraz około 150 tysięcy dzielnych Murzynów w służbie państwa, przeważnie pod bronią. Demokraci domagają się rozwiązania tych oddziałów, przejednania panów tych czarnych żołnierzy i przywrócenia niewolnictwa. Murzyni, którzy teraz po tamtej stronie dopomagają naszym jeńcom do ucieczki, mają stać się naszymi wrogami, i to dla nieuzasadnionej nadziei, że tym pozyskamy sobie przychylność ich panów. Wtedy będziemy musieli walczyć z dwoma narodami zamiast z jednym... Taką przewagę chcą oni zapewnić naszemu nieprzyjacielowi i prócz tego za pomocą pochlebstw, słabości i ustępstw przeciągnąć go potem na stronę Unii. Niech pan zwolni wszystkie miejsca, jakie obecnie zajmują czarni, niech pan z naszej strony przerzuci na stronę nieprzyjaciela 150 tysięcy ludzi i przeciwstawi nam ich na polu walki, a w trzy tygodnie wojna będzie zakończona. Ileż razy doradzano mi, abym czarnych żołnierzy na nowo oddał w niewolę, a tym samym odzyskał szacunek ich panów! Gdybym to uczynił, byłbym godzien doczesnego i wiekuistego potępienia!“

Takimi wątpliwościami wstrząsane jest w owych tygodniach sierpniowych starzejące się serce przyjaciela ludzi. Przeżywa on straszliwe chwile przygnębienia, jakie bywały udziałem wszystkich proroków, godziny, w których nagle spostrzega, że jest wyklinany, że wszyscy się od niego odwracają, a sam on musi zadawać sobie pytanie, czy nie czas, aby odwrócić się od siebie i uciec przed sobą. Czyż rezygnacja jego na rzecz radykalnego lub biernego następcy nie doprowadziłaby do ponownego rozbicia narodu? W najlepszym razie zespoliłaby go bez jakichkolwiek gwarancji na przyszłość. A czy zwycięstwo McClellana nie jest prawdopodobne

nawet wówczas, gdy Lincoln kandydatury nie cofnie? Czy ten demokratą wychowany na Południu, natura pańska, zwolennik kapitału pełen jaśniepańskich nawyczek, z przyzwyczajenia i z zasady nie skłaniałby się ku temu, aby niewolników oddać na nowo ich panom, co oznaczałoby przegranie wojny i idei zarazem? Chodziły już po kraju pogłoski o zamiarze McClellana, że jak tylko w listopadzie zostanie wybrany, to natychmiast sięgnie po władzę, zamiast czekać na objęcie urzędu do marca. W odpowiedzi na to kazał Lincoln ogłosić, że na stanowisku swoim wytrwa aż do ostatniej chwili ustawowo przepisanej.

Lecz cóż by się stało, gdyby po wybraniu McClellana powtórzyć się miały owe rządy podwójne, które przed czterema laty między grudniem a marcem jego samego doprowadzały do rozpaczki? Czy i tym razem cały kraj miałby być przez opornych członków gabinetu szarpany na wszystkie strony i stracić jedność rządów, która cenniejsza jest od wszystkiego? Czy raczej nie należałoby wyzyskać rekrutacyjnych zdolności McClellana na czas owych, najczęściej spokojnych, miesięcy zimowych? Z myślami takimi Lincoln zdecydował się na ograniczenie władzy swoich ministrów, gdyby dojszć miało do chaotycznego *interregnum* po wyborach. Mieli podpisać następujące słowa: „Dzisiaj rano, jak w ogóle od szeregu dni, wydaje się bardzo możliwe, że ten rząd nie zostanie wybrany ponownie. W takim razie obowiązkiem moim będzie taka współpraca z przyszłym prezydentem w czasie od dnia wyborów aż do dnia objęcia przez niego urzędowania, aby Unia została uratowana, ponieważ swoje zwycięstwo wyborcze odniesie on na gruncie zasad, które Unii uratować nie mogą“.

On sam zamierzał, jak się później przyznał poufnie, wykorzystać wpływ McClellana po jego wyborze na

rzecz rekrutacji. W ten sposób miał nadzieję powstrzymać go od nieprawnej uzurpacji, ale na te cztery miesiące przejściowe chciał być pewien swoich ministrów.

Lecz w jaki sposób nakłonić ich do takiej obietnicy? Czy w ciągu tych niemal czterech lat stali się jego przyjaciółmi? Welles i Stanton byli mu wierni, chociaż wobec siebie zawistni, jak zwykle przy rywalizacji marynarki z armią. „Jeśli Stanton powiedział panu, że jestem osłem, to widać muszę nim być; on ma prawie zawsze rację i co myśli, to mówi“. Wpływowego Blaira zwolnił Lincoln ze stanowiska właśnie teraz, w chwili bardzo nieodpowiedniej. Seward zrazu zawistny wobec prezydenta, a teraz zazdroszczący kolegom jego życzliwości, nie należał w ogóle do natur zdolnych kogokolwiek kochać. Zresztą nieregularny tryb postępowania Lincolna nie nadawał się do tego, aby z garści ludzi wykuć pewną stałą całość, wskutek czego gabinet pozostał, czym był: zespołem żywiołów bardzo różnorodnych. I oto tym ludziom, wśród których znajdowali się dwaj nowi, jeszcze nie wypróbowani ministrowie, miałby okazać uczucie takiej słabości? A jednak podpisy ich były mu konieczne potrzebne. Cóż tedy robi? Przybywa na posiedzenie, kładzie ową obietnicę wypisaną na złożonym papierze i prosi panów ministrów, aby nieczytaną podpisali. Następnie opieczetowuje papier i zabiera ze sobą.

To, że ministrowie zgodzili się na złożenie podpisów, zadziwia, ale nie niepokoi, bo jest to tylko znak moralno-sugestywnej siły Lincolna. Nie w kole przyjaciół, ale wśród urzędników siedział, a z nich najwyżej dwaj byli mu bliscy, gdy złożony papier podawał z ręki do ręki. Gdyby historia miała dokonać wyboru najważniejszych dokumentów, w których przejawiał się charakter Lincolna, to nie powinno by braknąć wśród nich

tego dokumentu, za pomocą którego przewidujący ojciec starał się zabezpieczyć przyszłość.

Nagle nastrój zmienił się zasadniczo. W niewiele dni po tajemniczym zebraniu tych podpisów nadeszła wiadomość, że Sherman zakończył zwycięsko swój pochód na Georgię, że zdobył Atlantę. Była to jakby odpowiedź na konwent zmęczonych wojną demokratów i Lincoln mógł wyznaczyć uroczysty dzień dziękczynienia za nowe zwycięstwa. Teraz gdy armia zachodnia zdołała głębiej przeniknąć w kraj nieprzyjacielski, ożywiły się nadzieje, a tym samym wzrosły szanse Lincolna. Napady na banki, grabieże i morderstwa na granicy kanadyjskiej pouczyły obywateli, do czego może doprowadzić rewolucja wszczynana w czasie wojny. Schurz opuścił swoje stanowisko generalskie, aby podobnie jak przed czterema laty przemawiać za Lincolnem. Nawet Chase po kilku miesiącach nieprzyjaźni zdecydował się na to samo. Przy takich nowych nastrojach zwycięstwa demokraci wyrządzali sobie jawną szkodę, gdy z trybun swoich mówili, że wojna się nie udała, a przywódcy zaniepokoiли się na dobre, gdy McClellan sam wzywał do dalszego prowadzenia wojny. Południe zaś przyczyniło się pośrednio do wyboru Lincolna tym, że przy wymianie jeńców wypytywano ich tam, kogo będą wybierali, i uwalniano tylko demokratów, czym skompromitowano to stronnictwo. Przede wszystkim żołnierze wypowiadali się jednomyślnie, że głosować trzeba na ojca Abrahama.

Bo też ojciec Abraham umiał z nimi rozmawiać; na przykład do pułku Ohio tak przemawiał: „Okazuje się, że jestem tylko przemijającym lokatorem Białego Domu. Jestem żywym dowodem, że każdy z waszych synów ma takie same szanse wprowadzenia się do niego, jak moja małość. I dobrze jest, że przy tym



wolnym rządzie każdy ma otwarte pole i duże szanse do ujawnienia swej pracowitości, przedsiębiorczości i inteligencji, że wy wszyscy przy równych prawach we współzawodnictwie życia możecie dążyć ku wysokim celom. Dlatego też wojnę tę prowadzić będziemy dalej, aby żaden z was nie stracił swoich praw pierwotnych“.

Po obiedzie w dniu wyborów siedział jak zwykle ostatnimi czasy w kancelarii telegrafu Ministerstwa Wojny z kilku znajomymi; tym razem telegraf miał mu komunikować wieści nie o marszu jego generałów, ale o marszu wyborców. Być może, iż myślał teraz o owym dniu sprzed czterech lat, gdy siedział w swoim domku w Springfield i oczekiwał, co też zrobią dalekie stany i wielkie miasta. Teraz oto sam siedział w sercu stolicy i znowu, jak wtedy po półroczu zdenerwowania, już nie potrzebował denerwować się owego popołudnia. Stanton odczytywał depesze, Lincoln oglądał je i komentował, aż nastąpiła chwila ciszy i Lincoln zwrócił się do jednego z sekretarzy siedzącego obok niego: „Czy czytał pan pisma Petroleum V. Nasby?“

„Ledwo w nie zajrzałem. Wydawały mi się bardzo śmieszne“.

„Dobrze, znajdziemy sobie przykład“ — z bocznej kieszeni wyjął żółty zeszyt i zaczął na głos odczytywać polityczne satyry tego humorysty. Stanton krzywił się, ale Lincoln nie zwracał na to uwagi, dopóki nie nadeszły nowe depesze, które zostały odczytane, po czym Lincoln dalej czytał arcywesołe kawały. Była to jedna z tych chwil, kiedy ten całkowicie wstrzemięźliwy człowiek musiał dla uczuć swoich szukać ujścia w dowcipnych anegdotach, którymi wśród dobrze wychowanych panów i pań robił sobie nieprzyjaciół, a w których

po upływie półwiecza badacz dostrzega samo serce tego najprostszego spośród wszystkich władców.

Olbrzymią większością 212 głosów na 233 został Lincoln wybrany po raz drugi, a spośród stanów biorących udział w wyborach tylko trzy głosowały przeciw niemu, między innymi Kentucky, jego ojczyzna. Różnica w liczbach pierwszych i drugich wyborów wynikała z tego, że Południe nie brało w nich udziału.

Dnia następnego wieczorem wołał do tłumów: „Dziękuję Bogu za zgodność narodu. Za ten dowód zaufania jestem Wam wdzięczny, a serce moje, o ile je znam, wolne jest zupełnie od wszelkiego uczucia osobistego zadośćuczynienia. Nie odpowiada to mojej naturze, abym mógł nad kimkolwiek triumfować“. Nazajutrz wieczorem po tym przemówieniu powrócił do starego zagadnienia, w którym streszczały się jego myśli państwowe.

„Już od dawna istnieje trudne zagadnienie, czy rząd, który nie jest zbyt mocny i daje wolność swemu narodowi, może być dość mocny dla zabezpieczenia w ciężkich czasach jego egzystencji... To, co się tutaj obecnie stało, w podobnych warunkach musi się powtórzyć. Natura ludzka się nie zmienia. Także w przyszłości wielkie przesilenia narodowe znajdować będą mężów podobnych do tych, jakich znajduje kryzys obecny, równie mocnych i słabych, głupich i mądrych, dobrych i lichych. Dlatego też wydarzenia te winniśmy dokładnie poznawać, uczyć się na nich, a żadnego z nich nie uważać za krzywdę, którą by pomścić należało... Ale wybory te pokazały także, że rząd ludowy może wytrzymać wybory ludowe nawet w czasie wielkiej wojny domowej. Że to jest możliwe, o tym świat do dnia dzisiejszego nie wiedział. Widzimy tu także, jakim mocnym i zwartym jesteśmy narodem... Zadośćuczyny-

nienia mego nie zmniejsza fakt, że ktoś może się czuć zawiedziony takim wynikiem wyborów. Czy wolno mi prosić tych, którzy mnie popierali, aby w tym sensie zjednoczyli się z tymi, którzy nas nie popierali? A teraz pozwólcie mi zakończyć przemówienie trzykrotnym okrzykiem na cześć naszych dzielnych żołnierzy, marynarzy i ich wybornych oficerów!“

Ani jednego słowa triumfującego, ani jednego gestu zwycięskiego — tylko proste podziękowanie i myśli sceptyka, który z niedoskonałości ludzkiej nie wyłącza siebie. A wśród tych wywodów delikatna prośba, wypowiedziana niemal z zakłopotaniem, żeby się w obliczu tych niebezpieczeństw już więcej wzajemnie nie zwałczać.

Z tego nastroju wytworzonego zwycięstwem wyborczym można wnioskować, w jaki ludzki i mądry sposób byłby się Lincoln-zwycięzca zabrał do przejednania i odbudowy Południa. Dzieło to już rozpoczynał.

## IX

„Rządy swoje pragnąłbym tak sprawować, aby pod koniec, gdy wypuszczę cugle z rąk i gdy na ziemi nie będę już miał żadnego przyjaciela, pozostał mi przyjaciel w sumieniu moim i aby żył we mnie“. Ponieważ rządził się takimi zasadami w kierowaniu państwem, był zwalczany i bodaj że nie zostałby wybrany po raz drugi, gdyby ostatnie zwycięstwa nie potwierdziły trafności jego polityki; ponieważ zasad tych się trzymał, więc w ostatnim roku jego działalności nawet z ław Kongresu odzywały się głosy, że przekracza on swoje prawa i że uzurpuje sobie decyzje w najtrudniejszych sprawach odbudowy.

W istocie sam nie wiedział dokładnie, czy i jak dalece Kongres miał prawo nie uznawać senatorów i posłów z odzyskanych prowincji, a co do stanów pogranicznych, to sprawa ta przedstawiała się jeszcze bardziej zawile. W Missouri trzeba było w tych latach decydować tak lub inaczej, bo neutralność była podejrzana, a własność stawała się niepewna. Dlatego gubernatorowi udzielił rady, którą jeszcze dzisiaj można by zalecić każdej neutralnej władzy wojskowej jako złotą regułę: „Niech pan zważy, aby wojsko pańskie było dość silne dla odparcia najazdu nieprzyjaciela i zapewnienia pokoju, ale zarazem niech pan baczy, aby nie było zbyt silne, iżby ludu niepotrzebnie nie obciążało i nie dokuczało mu. Jest to rola trudna... Jeśli obie strony pana zaczepią albo żadna z nich, to działalność pańska otrzyma świadectwo, iż była zupełnie właściwa. Niech pan się wystrzega, aby jedna strona pana napałała, a druga chwaliła“.

Gdy poczynając od roku 1863 Luizjana, Tennessee, Missouri i Maryland zabierały się do tworzenia nowych rządów, aby następnie na nowo przyłączyć się do Unii, brakło im wszelkich określonych wzorów do nawiązania zerwanych więzi, więc Lincoln bardzo ostrożnie, aby broń Boże nie uchodzić za autorytatywnego, co w poszczególnych stanach i w Kongresie byłoby mu poczytane za złe, wszędzie doradzał i pośredniczył niby ojciec przebrany za dyplomatę. Już w lecie owego roku pisał on do pewnego generała w Luizjanie: „Aczkolwiek bardzo dobrze wiem, co uważałbym dla Luizjany za najlepsze, jednak byłoby całkiem inaczej, gdybym to sam zapoczątkował. Cieszyłbym się, gdybyście uchwalili nową konstytucję, która by proklamowanie wolności niewolników uznała i przeprowadziła je także w tych częściach stanu, których proklamacja nie obejmuje.



Następnie nieźle byłoby przyjąć system praktyczny, który obu rasom umożliwiłby stopniowe przejście ze stosunków dawnych w stosunki nowe“.

Potem, gdy sprawy posunęły się już daleko, pisał do gubernatora: „Między innymi będziecie teraz obradowali nad ordynacją wyborczą. Całkiem osobiście i prywatnie pozwoliłbym sobie zaproponować, aby niektórym warstwom Murzynów zostało przyznane prawo wyborcze, na przykład ludziom wyjątkowo inteligentnym albo tym, którzy się odznaczyli jako żołnierze. W nadchodzących ciężkich czasach z pewnością dopomóżecie nam przeprowadzić nieoszacowane dobro wolności z epoki dawnej w nową“. Tak nieokreślone i chwiejne były rozstrzygnięcia dotyczące najważniejszych spraw narodu w owych czasach. Ale przepełniony niezwykłą u niego niecierpliwością i niepokojem, pisał Lincoln w tym samym czasie do Johnsona, gubernatora Tennessee, z wyjątkowym naciskiem:

„Cały stan Tennessee jest teraz wolny od zbrojnych rokoszan. Nie potrzebuję pana upominać, że nastał czas działania dla rządu lojalnego stanu. Nie wolno tracić ani chwili. Pan i pańscy przyjaciele niezawodnie lepiej ode mnie potraficie ocenić drogi, którymi kroczyć należy, więc podaję tylko parę wskazówek. Odbudowa nie powinna być taka, aby kontrolę państwa i reprezentację w Kongresie oddawała w ręce nieprzyjaciół Unii, a jej przyjaciół wysyłała na wygnanie. Cała walka, jaką Tennessee stoczyć musiało, nie przyniosłaby pożytku państwu i narodowi, gdyby się zakończyła tym, że gubernator Johnson ustępowałby wobec gubernatora Harrisa zajmującego jego miejsce. Tak być nie powinno. Musicie to zrobić inaczej“. Raz i drugi w jego życiu pod pióro nawija się mu zwrot napoleoński: ani chwili

nie ma do stracenia. Wywiera to wrażenie, jakby się śpieszył.

Jednocześnie odzywały się głosy w Kongresie, który miał własne wyobrażenie o odbudowie i domagał się odbudowy według planów własnych, a nie prezydenckich. Nadto uzbroił Lincoln połowę Kongresu przeciwko sobie, gdy jeszcze przed ponownym wyborem w proklamacji swojej o odbudowie zapowiadał powszechną amnestię. Według tej proklamacji od przestępców politycznych na terenie odzyskanych stanów żądano tylko przysięgi, że odtąd trzymać się będą Konstytucji, ustaw i zasady wyzwolenia niewolników. Następnie rząd każdego ze stanów miał być uznany za prawowity, jeśli za nim stała dziesiąta część wyborców z 1860 roku, związanych ową przysięgą. Każdy z tych planów był dla większości Kongresu zbyt łagodny, a generalny pardon Lincolną wydrwiwano jako oznakę słabości. Być może, iż był on zbyt ogólnikowy. Ale Lincoln jak gdyby przeczuwał, że mu niewiele czasu pozostało do odbudowy powojennej, zabrał się od razu do tego, co najbardziej leżało mu na sercu — do wyzwolenia Murzynów.

„Wojna kończy się już — wywodził. — Wojska swoje prędzej czy później będziemy musieli z południowych stanów wycofać. Wobec tego prosiłbym: czyńcie, co tylko możecie, aby kartki wyborcze znalazły się co rychlej w rękach Murzynów! Musimy zrobić z nich wyborców, zanim wycofamy swoje wojska. Kartka wyborcza będzie jedyną ich ochroną, gdy przestanie ich ochraniać bagnet, i zaiste ochrona taka będzie im potrzebna! Łatwo mi przewidzieć, jak to będzie“. Tak żywo zmierza już teraz ku epoce pokojowej, która odpowiada jego naturze, tak mocno bije jego zaniepokojone serce, gdy czuje, że trzeba ludziom pokój zapewnić.

To subtelne współczucie, źródło jego siły, które z konieczności w pierwszych latach wojny słabiej i wolniej zdawało się tryskać, teraz trysnęło tym mocniej i pełniej. I dzisiaj, podobnie jak w latach młodości, współczucie jego równie tkliwie ogarniało białych, jak czarnych i dlatego żadna klasa nie rozumiała go tak dobrze jak robotnicy. Natychmiast po otrzymaniu życzeń z Manchesteru zwrócił się do tamtejszych związków zawodowych dziękując im wspianiałym listem. Był to jeden z tych listów, za pomocą których rozmawiał ze światem.

„Zgodne z sumieniem postanowienie obrony Konstytucji jest podstawą wszystkich zarządzeń rządowych, dawniejszych i przyszłych... Nie zawsze posiada rząd moc rozszerzania lub zacieśniania horyzontu moralnego... Spokojny systemat historii utwierdza nas w wierze, że czyny i wpływy państw są dla ludzi na ogół pomyslnie. Dlatego też liczyłem na wyrozumiałość narodów... Przez postępowanie naszych niełojalnych współobywateli zostali robotnicy ciężko dotknięci, ponieważ chciano ich zmusić do uznania tego niełojalnego postępowania. Dla tych powodów wasza decydująca aprobata jest dla mnie przykładem wielkiego chrześcijańskiego heroizmu, jakiego nigdzie i nigdy dotąd nie było... Mamy tu znowu jeden z tych imponujących i energicznych dowodów immanentnej siły prawdy, ostatecznej potęgi sprawiedliwości, ludzkości i wolności“.

Trzeba z tych słów zdmuchnąć kurz tysięcy walk ulicznych, jaki na nich osiadł, aby je ujrzeć w całym ich blasku, którym jaśniały dla oczu Lincolna. Oczy jego dzień w dzień zwracać się musiały ku sprawom ziemskim i w ciągu wielu lat znajdował on tylko niekiedy wolne godziny wieczorne, w których mógł czy



wznosić ku gwiazdom. W wyrównaniu przeciwieństw klasowych widział realny ideał. Gdy robotnicy Nowego Jorku wybrali go na członka honorowego swego związku, przemówił do delegatów:

„Z waszego adresu widzę, iż rozumiecie, że obecne powstanie znaczeniem swoim wybiega daleko poza granice afrykańskiego niewolnictwa i czas jego trwania, że w gruncie rzeczy jest to wojna o prawa wszystkich robotników. Aby wam dowieść, że myślałem o tym już na początku wojny, i ponieważ lepiej tego wyrazić nie potrafię, przeczytam wam urywek z mego orędzia do Kongresu z grudnia 1861 roku“. (Następuje ustęp o pracy i kapitale, p. str. 373).

„Sprawa stłumienia obecnego powstania nikogo tak blisko nie obchodzi, jak robotników. Dlatego winniście wystrzegać się uprzedzeń, które wśród was samych wytwarzają rozbitcie i wrogość. Zdumiewającym objawem w zaburzeniach ostatniego lata było to, że kilku robotników mogło wieszać innych robotników. Taka rzecz nie powinna zdarzyć się nigdy! Najpotężniejszą więzią ludzkiej sympatii poza rodziną winna być więź łącząca cały ogół robotników wszystkich narodów, języków i ras. Oczywiście, że to nie powinno prowadzić do walki przeciwko własności i posiadającym. Własność jest owocem pracy i jest godna zabiegów. Jest to pozytywne dobro świata. To, że niektórzy są bogaci, świadczy o tym, że i inni mogą się stać bogatymi, i dlatego zamożność jest bodźcem do pracowitości i przedsiębiorczości. Niechże ten, co sam domu nie ma, nie burzy domu innego człowieka, ale niech dzielnie pracuje, aby i sam mógł sobie dom zbudować, dając przykład, że dom przeznaczony jest na to, aby zapewniał człowiekowi ochronę“.



Raz jeszcze przejawia się tu sztuka Lincolna takiego kształtowania myśli, jak gdyby je wykuwał z granitu rozumu. Sztuka ta rodzi się całkowicie z jego charakteru, jak najściślej łączącego głowę i serce. Nigdy ciężkich zagadnień nie rozwiązywano za pomocą prostszych środków, a przecież jeszcze dzisiaj po latach sześćdziesięciu, po wielkiej fali ksiąg i dyskusji, wywierają one wrażenie takiej świeżości, jak pierwszego dnia, bo tutaj nie schodzi ze swego piedestału myśliciel czy mąż stanu, aby podejść do człowieka ulicy, lecz właśnie jest to człowiek lasów i ulic, który także jako mąż stanu i myśliciel nigdy nie wyzbywa się prostoty przebijającej z jego rysów żłobionych głębokimi zmarszczkami.

## X

Skończyło się życie prywatne. Praca, wzburzenie, wrogowie wewnętrzni, niepowodzenia zewnętrzne, niebezpieczeństwo grożące dziełu ojców i czystemu dążeniu jego własnej duszy — tak było w ciągu trzech czy czterech lat niemal bez wytchnienia. Olbrzymie ciało drwala, atakowane od wewnątrz, miejscami zostało wydrążone; rodzaj ospy, której nabawił się w obozie, powalił go na jakiś czas; skarżył się, że nogi zawsze ma zimne, ale pozostał niezłomny i tylko z rzadka zdarzało się, że po nocy spędzonej wśród trosk i pracy położył się na sofie u Wellesa albo z powodu wyczerpania odraczał wizyty. „Nie wiem, co to jest odpoczynek; jest on może dobry dla ciała, ale to, co we mnie jest zmęczone, tkwi wewnątrz i jest niedostępne“.

Napięcie wzmagало się z latami, zamiast się zmniejszać. Jeśli na froncie było dobrze, to w kraju napastowały go partie, gdy przycichały partie, pobór napotykał

jakieś przeszkody, a jeśli przez niedługą chwilę wszystko zdawało się iść dobrze, to współzawodnictwo ministrów lub gubernatorów zamęczało prezydenta. A do tego co dzień widziało się cierpienia spowodowane przez wojnę, bo wszystko w Waszyngtonie i dokoła niego, a nawet wzgórz okolicy, usiane było szpitalami i namiotami pełnymi chorych. Gdy prezydent opuszczał dom, widywał nie kończące się korowody żołnierzy dźwigających nosze.

Z domu lubił wyjeżdżać konno; jeździł dobrze, ale ciężko, tak iż potrzebował wiele koni i Stanton musiał mieć nad nim pieczę, otaczając wierzchowca i jeźdźca gwardią przyboczną. Ale czasem, gdy na froncie sytuacja stawała się niebezpieczna i gdy jakaś depesza spędzała mu sen z oczu, wstawał w nocy, opuszczał obozowisko żołnierskie, w którym mieszkał latem, sam wyjeżdżał do Ministerstwa Wojny i łatwo mógł się stać ofiarą kogokolwiek.

Pewnego wieczoru sierpniowego wartownicy obozowiska żołnierskiego usłyszeli około godziny jedenastej wystrzał z fuzji i zaraz potem tupot biegnącego konia. Po jakichś trzech minutach ujrzeli prezydenta pędzącego galopem bez kapelusza. Do żołnierza, który pośpieszył do prezydenta, aby mu pomóc przy zsiadaniu, rzekł: „O mały figiel byłby mnie koń poniósł, prawda? Wgryzł się w żelazo, nim zdołałem ściągnąć uzdę“. Żołnierz zwraca uwagę, że prezydent nie ma kapelusza. „Pod pagórkiem ktoś wystrzelił, koń się spłoszył, a ja zgubiłem kapelusz“. Żołnierz z kapralem udali się w stronę, skąd dobiegł odgłos strzału, i znaleźli tam kapelusz prezydenta przestrelony. Gdy go nazajutrz przynieśli prezydentowi, zrobił jakąś komiczną uwagę i dodał, że życzy sobie, aby o tym więcej nie mówiono. Ale od tego czasu sam już nie wyjeżdżał.

Niekiedy spędzał noce na pisaniu lub czytaniu w Białym Domu, a rano strudzony wyjeżdżał. Nastrój przygnębienia górował w nim stale, gdyż w charakterze Lincolna nie było miejsca na radość zwycięzcy, a tym bardziej na nienawiść do nieprzyjaciela. Wojna domowa ciążyła mu tedy podwójnie, bo nieprzyjaciel był przecież jego bratem. „Wojna — wyraził się w jednej z mów ostatniego roku — wniosła tyle smutku do każdego domu, iż zdaje się, jakby niebo było przesłonięte czarnym całunem“.

I to właśnie osamotnienie jego duszy, wrodzona melancholia jego natury opierała się ogarniającemu go smutkowi, bo dotychczas było jego zwyczajem szukać rozrywki, gdzie się dało; chciał się tym niejako pozbyć samego siebie. Teraz skupiały się dokoła niego cienie, jak gdyby pierwotny obraz jego istoty wewnętrznej potwierdzać mu chciały co dzień i z coraz większym naciskiem. I za to wszystko odpowiedzialnym czyniono jego! Cóż mu tedy pozostawało innego, jak szukać źródła wszystkich swoich czynów tylko w samym sobie? „Powinności swoje wypełniam, jak umiem, i tak wypełniać je będę do ostatka. Jeśli okaże się, że miałem rację, to wszystko, co przeciwko mnie mówią, będzie bez znaczenia, jeśli zaś okaże się, iż racji nie miałem, to nawet przysięga dziesięciu aniołów nic by tu zmienić nie zdołała“. Takie wzruszające ciche słowa, jakie wypowiadał zazwyczaj wobec zaufanych, jakby mówił do siebie samego, rzucał niekiedy w ostrzejszej formie ludziom prosto w twarz. Przybywa na przykład delegacja radykałów z Missouri i grozi mu rewolucją, jeśli nie odmieni ostrych rządów wojskowych, a gdy prezydent odmawia, jeden z delegatów powiada mu prosto w oczy, że cokolwiek się stanie, wina za krew przelaną spadnie na niego. Czy prezydent ofuknie go i pokaże mu drzwi?



Podczas przemówienia stał przed delegatami, opowiada sprawozdawca, a z oczu płynęły mu łzy. Nagle zebrał się w sobie i rzekł: „Zdaje się, że przybywacie do mnie jako przyjaciele moi i przyjaciele rządu tylko wtedy, gdy się z wami zgadzam, poza tym nie... Wiem bardzo dobrze, że niektórzy z was, nawet niektórzy spośród tu obecnych — nie będę ich wymieniał — w publicznych przemówieniach oskarżają mnie o tyranię i samowolę, a to dlatego, że jakoby zawsze obstaję przy swej własnej woli. Nie myślę być tyranem, a w każdym razie starać się będę o to, aby nie być tyranem wobec własnego sumienia“. Zaraz potem, gdy w delegacji zauważy kilku starych znajomych, zatrzymuje ich u siebie, a oddalający się słyszą jego serdeczny, głośny śmiech. Tak blisko sąsiadowały w naturze Lincolna najsprzeczniejsze nastroje, tak szybko musiały się zmieniać, jeśli miał znieść swój wielki ciężar.

Innym razem przybywa członek Kongresu, aby konferować z prezydentem w sprawach bardzo ważnych, ale zanim wyrzekł słowo, prezydent opowiada mu anegdotę. Polityk odpowiada, że nie po to tu przyszedł i że czasy są poważne. Lincoln zmienia ton: „Dobrze. Teraz niech pan tu siada. Szanuję pana jako człowieka poważnego i szczerego. Nie może pan być bardziej obciążony troskami, niż jestem ja od początku wojny. A teraz niech pan uważa: gdybym od czasu do czasu w taki sposób nie odwrócił myśli od rzeczy smutnych, umarłbym“. W tonie przemówienia wyczuwać się daje tłumiony gniew, lecz zarazem uznanie dla powagi gościa i pragnienie, aby człowiek człowieka rozumiał bezpośrednio.

Albo pozostaje na przykład w wielkim napięciu, ponieważ Burnside jest obleżony, już dawno nie przysyła żadnych wiadomości i istnieje obawa, że będzie musiał



się poddać. Wtem przychodzi depesza, że słyhać huk dział od strony Knoxville. „Bardzo mnie to cieszy — powiada Lincoln. — Dlaczego? Przypomina mi to panią Sally Ward, moją dawną sąsiadkę, która miała bardzo dużo dzieci, a gdy słyszała, że jedna z jej licznych pociech wrzeszczy gdzieś opodal, mawiała z zadowoleniem: «Aha, odzywa się jedno z moich dzieci, a więc żyje»“.

Z rzadka tylko znajduje czas, aby zajrzeć do książki, i najchętniej zabiera się do czytania razem z Taddem. Jeśli teraz cytuje Szekspira, to zawsze w tonie ironiczno-politycznym. Dość często powtarza obecnie półgłosem wiersz z Ryszarda II: „*For God sake let us sit upon the ground an tell sad stories of the death of kings*”. Wywodzi: „Niektórych utworów Szekspira nie czytałem nigdy, inne natomiast czytywałem tak często, jak to czynią chyba tylko najzagorzalsi jego czytelnicy: a mianowicie Króla Leara, Ryszarda III, Henryka VIII, Hamleta, szczególnie zaś Makbeta. Zdaje mi się, że nic nie dorówna Makbetowi, który jest wspaniały. Zresztą wbrew mniemaniu fachowców uważam monolog Hamleta: «*Oh, my offence is rank*» za wspanialszy od monologu, «*To be or not to be*». Przepraszam za tę małą próbkę krytyki”. Jak wiele zawierają te okolicznościowe zdania! Jak skromnie wypowiada swoje myśli, jak szczerze przyznaje się, iż tego nie zna, jakie to zdumiewające, a zarazem zrozumiałe, że otoczony ambitnymi politykami, znajdujący się zawsze jakby nad skrajem przepaści, nie rozkoszuje się swoimi własnymi obrazami, lecz folgując naturalnym skłonnościom zapatraje się w swoje przeciwieństwo uosobione w Makbecie.

Niekiedy improwizuje bezcenne powiedzenia, które przed zapomnieniem chroni jedynie przypadek. Gdy

razu pewnego odbywa przejażdżkę w towarzystwie damy i gdy powstaje spór o gatunki drzew, Lincoln powiada: „Niech mi pani pozwoli mówić o rzeczach, na których się znam. O drzewach wiem wszystko, bo przybywam spośród drzew, z lasów... Drzewa w podobieństwie do siebie bywają tak zwodnicze, jak niektóre kategorie ludzi, i tylko fizjonomista potrafi ustalać odmienne rysy charakteru, z których wywodzą się zdarzenia. Wie pani, byłoby dobrze, gdyby we wszystkich szkołach prowadzono coś w rodzaju nauki badania zdarzeń. Bo tylko przy czynnym rozwoju można badać charakter i zdolności. Mam na myśli ludzi, a nie drzewa, które można poddawać próbom, a za ich analizę płaci się taniej niż za badanie ludzi.

Oczywiście, jest to tylko pomysł. Nauka zdarzeń byłaby szkołą, w której uczniowie przed wejściem w życie uczyliby się pokonywać sztucznie wytwarzane trudności i sytuacje. Przy takim badaniu poznałoby się należycie kaliber człowieka. W taki sposób wykryłoby się wśród uczniów niezwykłego żołnierza, który dawałby sobie radę w każdym położeniu, polityka, który byłby zbyt sprytny, aby można było wyprowadzić go w pole itd. Wszystkie takie sprawy należałoby gruntownie wypróbować i nie zarzucać ich nawet wówczas, gdyby niepowodzenie powodowało zamieszki i rozczarowania. Nie ma bowiem analizy niebezpieczniejszej i kosztowniejszej nad tę, która ma na celu wypróbowanie człowieka“.

Niezawodnie wiele podobnych pomysłów poszło w zapomnienie, ponieważ słuchacze nie zanotowali ich. Z tego przykładu, zaczerpniętego z rozmowy podczas przejażdżki w przygodnym towarzystwie, można wnioskować o dalszych fazach rozwoju Lincolna i nawet można by rzec, że jego powolna, ale zdrowa natura, gdyby

Bóg wyznaczył jej długi wiek, w latach późniejszych niezawodnie wykazałaby wysoką mądrość pedagogiczną.

Teraz miewa jeszcze najwyżej trochę czasu, aby się z zamięłowaniem zabrać do wystylizowania jakiejś mowy, i to bywają dla niego chwile wytchnienia. Tutaj poeta poszukuje formy i poddaje się naturalnemu pragnieniu, aby swe uczucia dla wielkiej rodziny narodów ująć w odpowiednie słowa. Lincoln przygotowywał krótkie przemówienie, które miał wygłosić przy poświęcaniu cmentarza honorowego na polu walki pod Gettysburgiem, a przygotowywał je tak troskliwie, jak bodaj tylko mowę przy obejmowaniu urzędu, a następnie proklamację o wyzwoleniu niewolników. Dwie godziny przemawiał tam najpierw najznakomitszy mówca kraju, piękny i czcigodny Everett, który zdania swoje ujmował w klasycznie doskonałą formę, i dopiero po nim wśród ogólnego zaciekawienia słuchaczy wszedł na trybunę prezydent. Z tylnej kieszeni surduta wyjął złożony papier, wyluskał z niego jedyny arkusik, równie spokojnie i wolno dobył okularów i głosem wysokim odczytał kilka zdań, których nie starczyło nawet na to, aby fotograf mógł zrobić zdjęcie prezydenta.

„Przed osiemdziesięciu siedmiu laty — mówił Lincoln — ojcowie nasi dali na tym kontynencie życie nowemu narodowi, poczętemu w wolności i żyjącemu myślą, że wszyscy ludzie stworzeni są jednakimi. Teraz uwikłani jesteśmy w wielką wojnę domową, która ma wykazać, że naród ten albo inny, tak pojęty i tak postępujący, istnieć może długo. Spotykamy się dzisiaj na wielkim pobojuwisku tej wojny. Część tego pobojuwiska ma być poświęcona na miejsce spoczynku dla tych, którzy tutaj życie swoje ofiarowali, aby naród ten mógł żyć. Uczynić to jest naszą powinnością.



Ale w głębszym rozumieniu słowa ziemi tej ofiarować i poświęcić nie możemy. Mężni bojownicy, żywi i umarli, poświęcili ją zbyt uroczyście, aby nasze skromne siły mogły tu jeszcze coś dodać lub ująć. Świat w przyszłości nie będzie się zastanawiał nad tym, co tu dzisiaj mówimy, ale co tutaj dokonane zostało, tego nie będzie mógł nigdy zapomnieć. Nam, żyjącym, przystoi raczej, abyśmy siebie poświęcili nie dokonanemu dziełu, które polegli bojownicy doprowadzili do wielkości tego czynu. Nam przystoi raczej oddać się wielkiemu zadaniu, które jest do wykonania: od tych poległych winniśmy przejąć i spotęgować siłę ofiarną dla sprawy, której oni tutaj oddali swoją ostatnią moc miłości. Nam przystoi najgłębsze postanowienie, aby śmierć tych poległych nie była daremna, aby się naród z pomocą Boga ku nowej wolności narodził i aby władza z ludu i dla ludu już nigdy z ziemi nie zniknęła“.

Słowa te przebrzmiały bez wielkiego wrażenia. Nawet wśród znawców mowy jednomyślnie dawano pierwszeństwo Everettowi. Tylko sam Everett napisał później do prezydenta, że jego nieliczne słowa zaćmiły jego własną długą mowę.

I rzeczywiście stało się to, czemu Lincoln przeczył tutaj z najgłębszym przekonaniem. Gettysburg oznacza tylko nazwę jednej z bitew, prawie nikt w Europie nie wie o niej i o tym, kto tutaj zwyciężył, a nawet w Ameryce uczą się o niej między innymi tylko dzieci szkolne, ale te nieliczne słowa, które człowiek w cywilnym ubraniu wygłosił tutaj w pół roku po bitwie, aczkolwiek wówczas zostały przez wiatr rozwiane, uczyniły to miejsce nieśmiertelnym i ponownie dowiodły, że Homer może być poetą bez Achillesa, ale Achilles nie może stać się nieśmiertelny bez Homera.



## XI

Rozczarowanie Mary było coraz większe. Blask Białego Domu, o którym marzyła, jaśniał tylko z rzadka w tych czasach wojny, a jeśli od czasu do czasu urządziła wielkie przyjęcie, to spotykała się z niezbyt wielkim uznaniem. Jej nerwowość i jego prostota nie były po temu, aby kilkuset ludziom zgotować miłe i wytworne przyjęcie, i nawet najbliżsi przyjaciele wypowiadali się, że podczas tych przyjęć wszystko było do góry nogami. Ale cóż w ogóle mogło ją w ciągu tych lat zadowolić, skoro posiadała tylko oznaki władzy, ale nie posiadała jej środków? Gdyby była kochającą i oddaną żoną, która pragnie tylko pomagać mężowi i dzielić jego trudy, albo gdyby była mądrą towarzyszką, z którą czasem mógłby się naradzić, dotarłaby do głębszych tajemnic życia niż przy tym powierzchownym istnieniu, któremu obecnie zabrakło podstawy — wesołego towarzystwa z czasów pokoju.

Prócz tego wszystkiego była ona córą Południa i budziła bezsensowne podejrzenie, że się dopuszcza zdrady, a przynajmniej ułatwia szpiegostwo. Daleko poza stolicą kraju wiedziały tysiące ludzi, że żona prezydenta ma braci i krewniaków w armii nieprzyjacielskiej, a gdy żołnierze układali o niej złośliwe piosenki i wygadywali głupstwa o jej kochankach, których nigdy nie miała, gdy imię jej wymawiano razem z imieniem Jeffersona Davisa, ten głos ludu był symbolem obcości, jaka w przeciwieństwie do męża oddzielała ją od ludu.

Gdy brat jej poległ po stronie przeciwnej, nie wolno jej było okazać najmniejszego żalu i musiała się cieszyć z odzyskiwania południowych stanów, aczkolwiek pod Vicksburgiem drugi jej brat został śmiertelnie

ranny. Wreszcie ponowne zwycięstwo jej męża przypłacił życiem trzeci jej brat w szeregach przeciwnika. Także szwagier jej poległ, ten sam, który na początku wojny uchylił się od propozycji Lincolna i wolał od razu przejść do południowców, a gdy następnie wdowa po nim i przyrodnia siostra Mary chciała odwiedzić matkę swoją w Kentucky i od Granta otrzymała paszport na przejazd do tego stanu, odmówiła złożenia przysięgi. Prezydent depeszował: „Przyślijcie ją do mnie“. Przybyła do Waszyngtonu i witała siostrę, która tak jak ona straciła trzech braci w walkach toczonych przez ich domy już od trzech lat. Wreszcie pozwolił jej Lincoln odjechać, chociaż przysięgi nie złożyła.

Następnego lata zachowuje się ona w Kentucky w sposób podejrzany i Lincoln widzi się zmuszonym telegrafować do gubernatora: „Dowiaduję się dzisiaj, że niedawno chciał pan aresztować panią Helm, ale nie uczynił pan tego, ponieważ przedstawiła ona panu paszport wystawiony przeze mnie. Nie myślę brać jej w opiekę za niełojalne słowa i czyny, jakich się ewentualnie dopuściła w Kentucky po wyjeździe stąd, i jeśli nadużywa dokumentu, który jej dałem, to dokument ten proszę w takim razie uważać za cofnięty. Proszę traktować ją według swego uznania, czyli tak, jak traktowałyby pan w podobnym wypadku każdą inną osobę“.

Druga siostra Mary, która również otrzymała paszport od Lincolna, była publicznie oskarżana, że pod osłoną tego dokumentu zajmowała się wywozem towarów. Mary zrywa z nią, prezydent nie przyjmuje jej i odmawia wydania legitymacji podróźnej. Gdy zaś w hotelu swoim zaczyna ona przemawiać za Południem, prezydent każe jej powiedzieć, że jeśli w ciągu 24 go-

dzin nie opuści miasta, dostanie się do więzienia na Kapitolu.

Takie zajścia i podejrzenia miały swoje następstwa. Ponieważ prezydent pragnął ochronić żonę przed ordynarnymi listami, cała jej korespondencja przechodziła przez ręce sekretarza, a chociaż była to jedynie ostrożność z jego strony i chęć ochrony jej przed oskarżicielami, a nie podejrzliwość, jednak zarządzenie to pogłębiło jeszcze przygnębienie panujące w domu. Listy pisywane przez nią, o ile już dzisiaj są dostępne, były na ogół chłodne w tonie. „Zależy to wyłącznie od ciebie, czy chcesz powrócić. Nic takiego nie przemawia przeciwko temu, czego by nie było, zanim odjechałeś“. Innym znów razem on telegrafuje w tonie równie chłodnym do Nowego Jorku, aby ona sama zdecydowała, czy chce pozostać tam, czy też woli przybyć. Dnia następnego dodaje: „Cieszyłbym się, gdybyś przybyła“. Po upływie jeszcze jednego dnia musi pierwszą depeczę wyjaśniać, ponieważ adresatka zrozumiała ją niekorzystnie dla siebie i najwidoczniej odpowiedziała sceptycznie. Donosił jej, że uważa teraz powietrze za zdrowe i świeże i „naprawdę życzę sobie zobaczyć cię“.

Pewnego razu syn Wellesa, wyrostek, stał w pobliżu powozu, do którego prezydent właśnie wsiadał razem z żoną. Słyszał on, jak Mary domagała się awansu dla pewnego oficera i prośbę swoją ponawiała. Gdy prezydent odmówił ponownie, chłopiec usłyszał takie jej słowa: „Jeśli mi tego nie przyrzeczesz, natychmiast rzucę się tu w błoto!“ Prezydent ustąpił. Wybuchy takiej egzaltacji nie były rzadkie, chociaż zapisano ich na ogół niewiele. Po śmierci dziecka była Mary jak oszalała i nigdy nie weszła już do pokoju, w którym synek jej umarł. Lincoln odezwał się do niej swoim ojcowskim tonem i wskazując jej gmach szpitala dla umysłowo

chorych rzekł jakby w przeczuciu: „Czy widzisz ten biały budynek, matko? Jeśli się nie opanujesz, obawiam się, że będziemy musieli umieścić cię tam“.

Miewała halucynacje. Zmarły synek i polegli bracia ukazywali się jej, jak opowiadała siostrze, w nogach łóżka. Także o Lincoln bała się bezustannie, po części z powodu przeczuć, głównie zaś z powodu uzasadnionych obaw przed zamachami. Gdy razu pewnego jechała z gośćmi do Teatru Forda, gdzie Lincoln znajdował niekiedy trochę wytchnienia, a niski jej powóz uderzył kołami o jakąś przeszkodę, przeraziła się, że to napad. Jej przyjaciółka uspokajała ją i zapytała później prezydenta, czy ośmiu jeźdźców gwardii wystarcza dla ochrony. „Sądzę, że nie — odpowiedział swoim jak zwykle sceptycznym tonem. — Gdy chwila moja nadejdzie, żadna siła nie zdoła zapobiec mojemu odejściu“. Gdy przybyli do teatru, trzeba było torować drogę w tłumie i owa dama wyraziła się, że w takich warunkach mogłoby się bardzo łatwo coś zdarzyć.

Trzeba się po prostu dziwić, że w ciągu paru lat takiej nienawiści i przy tysiącnych okazjach sprzyjających zamachowcom nic się nie stało. Mary widziała różne możliwości oczyma i wyczuwała je nerwami. Wierzyła przecież w sny i nie mogła zapomnieć owego obrazu w zwierciadle, którego drugie, bledsze odbicie tłumaczyła sobie jako przepowiednię jego śmierci podczas drugiej prezydentury. Ale jeśli o tym pamiętała, czemu nie korzystała z jego chwil zwątpienia, w których mąż jej nosił się z zamiarem zrezygnowania, aby go w zamiarze tym utwierdzić? Nic nam o tym nie wiadomo, że wierzyła w jego geniusz. Czemu tedy przebywała dalej w tym domu o jasnej fasadzie, owianym upiornymi przeczuciami? Pociągał ją przecież tylko blask, a blask ten przyćmiony był wojną! W owych



godzinach, gdy badał on własne serce, nacisk kochającej kobiety byłby tego samotnego człowieka poruszył i nakłonił do ustąpienia.

Niestety, chłód panował dokoła Lincolna w tym wielkim domu, tak samo jak dawniej w jego małym domku. Ta kobieta nie obdarzyła go w życiu niczym, tylko dziećmi. Gdy pewnego wieczoru w obozie czytał przyjacielowi „Króla Jana“ i doczytał do miejsca, w którym król powiada, że w niebie ujrzy znowu swego dzielnego chłopca, przerwał czytanie i zasłonił oczy. Z obu pozostałych mu synów Robert był na uniwersytecie, Tadd zaś był ulubieńcem ojca. Można rzec, że należał on do gwardii przybocznej, opowiadał ojcu dzieje żołnierzy, razem z nimi karmił kozy, jeździł z nimi w swoim małym uniformie na kucu, lubił przyglądać się ich figlom i kazał powtarzać je przed ojcem, na przykład jak dwaj żołnierze udają słonia itd. Gdy chłopiec wyjeżdżał z matką, ojcu bywało tęskno. Telegrafował wówczas do żony: „Powiedz Taddowi, że kozom i ojcu powodzi się dobrze, zwłaszcza kozom“.

Starzy przyjaciele poumierali albo odsunęli się; pozostało może trzech. „Niedawno jeszcze musiałem się obawiać, niestety, że postępowaniem swoim czy też poniechaniem czegoś sprawiłem panu przykrość — pisał do swego przyjaciela Weeda w Nowym Jorku. — Nigdy nie żywiłem dla pana uczuć nieżyczliwych lub nieprzyjaznych myśli i jeśli coś powiedziałem lub uczyniłem, co tak zostało zrozumiane, to zostało zrozumiane błędnie. Gdy się ze sobą spotkamy, z pewnością rozejdziemy się z przyjaznymi uczuciami. Zawsze panu oddany“. Herndon i Speed, którzy nigdy się od niego niczego nie domagają, są mu serdecznie oddani, ale są daleko. Po ponownym wyborze mianuje Lincoln brata Speeda prokuratorem generalnym, a razu pewnego

wśród ważnych spraw państwowych raptem znajduje się depesza prezydenta do Hanny Armstrong: „W tej chwili dowiaduję się, że syn pani, William, zostanie uwolniony. Teraz w Louisville, w Kentucky“. Z tak daleka dolatują imiona starych przyjaciół i odgłosy stron ojczystych, gdzie go zwalczają.

Jeśli czasem chce dopomóc jakiemuś staremu znajomemu, zwraca się do osoby pośredniej. Na przykład pewien agent utracił miejsce, bo drzewo i kamienie, które należały do państwa, sprzedawał jakoby na własny rachunek. Lincoln zwraca się do miejscowego poczmistrza, a nie do gubernatora: „Jest to mój stary znajomy, więc byłbym panu wdzięczny, gdyby pan mógł ustalić dzień albo dni, w których świadkowie w tej sprawie mogliby zostać przesłuchani... Proszę, niech pan to zrobi dla mnie“.

Tylko z rzadka jego męski humor z dawnych czasów przenika do tych niezliczonych pism, które codziennie musi podpisywać. „Drogi panie pułkowniku — tak odzywa się do Dicka, dawnego przyjaciela — już dawno chciałem światu powiedzieć o inicjatorze Greenbacku (zielone banknoty) i powiadomić go, że jest nim Dick Taylor. Był pan dla mnie zawsze uprzejmy, a gdy na barki moje zwały się ciężkie czasy i barki te, choć szerokie i krzepkie, okazały się słabe, a ja sam otoczony byłem takimi ludźmi, że nie wiedziałem komu zaufać, wtedy rzekłem sobie w mej biedzie: poślę po pułkownika Taylora, on mi poradzi na pewno! Zdaje mi się, że to było około 16 stycznia 62 roku, gdy się do pana zwracałem. Pan przybył, ja pytam, co można by zrobić, a pan na to: «czemu wydaje pan asygnaty skarbowe drukowane na najlepszym papierze, nie dające żadnych odsetków? Niech pan wyda tyle, aby koszty utrzymania armii zostały opłacone, i niech pan

Je ogłosi za legalny środek płatniczy». Chase uważał tę sprawę za ryzykowną, ale ostatecznie zrobiliśmy jak pan doradzał, i na obywateli republiki sprowadziliśmy największe błogosławieństwo, jakie mogło stać się ich udziałem: otrzymali własne papiery do pokrywania własnych długów. Ludzie powinni się dowiedzieć, że powstanie Greenbacku zawdzięczamy tylko panu. Ile razy musiałem się śmiać, gdy sobie przypominałem pańskie słowa, że jestem zbyt leniwy, aby stać się czymś więcej niż adwokatem. Oddany panu“.

Pisze to oczywiście tylko dlatego, że chce znów usłyszeć swój dawny głos i jego dawną melodię. Wyciąga na światło sprawę dawnego doradcy tylko dlatego, aby z ust starego, gderliwego człowieka wyłudzić uśmiech. Wszystko to czyni jako niezmienny przyjaciel człowieka, chociaż ze wszystkich stron otacza go wrogość i nieufność. Tylko bezwzględne poczucie słusznej drogi i wewnętrzna pewność siebie mogły utrzymać w nim takie uczucia.

A jednak pewność ta utrzymywana jest w ludzkim sercu jedynie przez szczery i głęboki fatalizm. Niekiedy ta wiara w przeznaczenie przejawia się w uczuciach religijnych i rzeczywiście w tych ostatnich latach imię boże wymieniał częściej niż kiedykolwiek dawniej: „Gdybym nie posiadał niezachwianej wiary w Opatrzność — wyraził się do pewnego duchownego — to przy wszystkich moich trudach na tym stanowisku musiałbym stracić rozum. Ufam, że Wszechmocny ma swoje plany i przeprowadza je. Czy my je poznajemy czy ich nie poznajemy, są one dla nas niezawodnie najlepsze“. A gdy inny duchowny wyraża się przygodnie, iż ma nadzieję, że Bóg jest po naszej stronie, Lincoln daje mu wspaniałą, iście protestancką odpowiedź: „O to jestem zupełnie spokojny, bo wiem,



że Bóg jest zawsze po stronie sprawiedliwych. Ale bezustanną moją troską i modlitwą jest to, abysmy wszyscy, ja i naród, zawsze stać mogli po stronie Boga“.

Jak nazwać taką postawę, to ostatecznie wszystko jedno; on sam określa ją różnie. „Tyle mam dowodów, że Bóg nas prowadzi — wyraził się innym razem — i że inna kieruje mną moc niż moja wola, iż nie podobna mi wątpić w to, że moc ta pochodzi z wysokości. Często-kroć drogę swoją wiodącą ku decyzji widzę całkiem jasno, aczkolwiek wiem, że nie posiadam dość faktów dla uzasadnienia jej. Nie znam ani jednego przykładu, aby wynik tak uzasadnionej decyzji okazał się niekorzystny; natomiast musiałem zbyt często żałować, że kierowałem się zdaniem innych ludzi. Jeśli Wszechmocny chce, abym dokonał jakiegoś osobliwego dzieła albo abym czegoś poniechał, to ufam, że znajdzie on drogi, aby mnie pouczyć“. Tutaj wypowiada się on wyraźnie, jak to samowiedza i fatalizm uzupełniają się w charakterze zdecydowanym i jak jedno wspomaga drugie. Co więcej, ta pewność człowieka kierowanego z wysokości, którą Lincoln dzieli z wszystkimi wielkimi ludźmi, prowadzi go aż do wypowiedzenia takiego zdania: „Nie jestem obowiązany zwyciężać, ale jestem obowiązany postępować uczciwie. Nie jestem obowiązany mieć powodzenie, ale jestem obowiązany żyć według mego światła wewnętrznego“.

Prócz tego jako uzupełnienie fatalizmu oddziaływał tu przesąd Lincolna, który żył w nim jak dawniej i bynajmniej nie był zaprzeczeniem, ale właśnie uzupełnieniem wiary w przeznaczenie. Po pewnej przegranej bitwie wyraził się, że nieszczęście przeczuwał, bo „zda-je mi się, że zawsze z góry wyczuwam, gdy coś wisi w powietrzu“. Albo w jednej z mów swoich tłumaczy,



dłaczego 4 lipca, dzień powstania Stanów Zjednoczonych, zyskuje coraz większe znaczenie. „Obaj mężowie, którzy przy tworzeniu i popieraniu niepodległości uczynili najwięcej, Jefferson i Adams, jedyni z pięćdziesięciu pięciu podpisanych, którzy następnie stali się prezydentami, zostali według nakazu bożego odwołani z widowni życia akurat w pięćdziesiąt lat od chwili podpisania tego dokumentu. Także inny prezydent został po piętnastu latach tego samego dnia odwołany. A teraz oto tego samego dnia doczekaliśmy się porażki wielkiej części armii nieprzyjacielskiej“.

Zdarza mu się obecnie, tak samo jak dawniej, że go jakiś sen przestraszy i że rankiem wysyła żonie depešę złożoną z dwóch zdań: „Powinnaś schować pistolet Tadda. Miałem zły sen“. Mary zabiera pistolet i pozostawia go w hotelu. Niebawem przychodzi depeša prezydenta do hotelu. „Tadd męczy mnie, abyście mu odesłali jego pistolet“. Tak oto waha się Lincoln między przesądem a miłością ojcowską, między przecuciem a tkliwością. A gdy w końcu chłopiec stawia na swoim i otrzymuje znowu swój pistolet, ojciec pociesza go, że kto wie, czy i to nie jest wolą bożą.

## XII

Największym wytchnieniem Lincolna w ciągu owych czterech lat było wykonywanie najbardziej nużących prac. Pragnął on dawać miłosierdziu pierwszeństwo przed prawem, bo przy wielkim poczuciu sprawiedliwości w sercu jego stałe mieszkało współczucie.

Z pewnością żaden władca w czasie tak krótkim nie załatwił pomyślnie tylu próśb o łaskę. Najczęściej cho-

dziło o znużonych lub tchórzliwych dezertersów albo o zastępców, którzy dwa lub trzy razy z rzędu chcieli brać pieniądze za zastępstwo, a następnie uciekali i bywali skazywani na śmierć. Ale od czego jest ojciec Abraham, który żadnemu stworzeniu krzywdy zrobić nie pozwoli! Trzeba więc apelować do prezydenta, który okaże się wyrozumiały! Każdą z tych spraw badał dokładnie i dlatego w aktach Ministerstwa Wojny nagromadziło się w ciągu ostatnich dwóch lat wojny parę setek depeesz, zawierających zawsze taki rozkaz: Rozstrzelanie takiego a takiego odroczyć. Czasem dołącza jeszcze kartkę do dyrektora telegrafu: „Depeszę tę wyprawić natychmiast. Niech pan dopilnuje, żeby zaraz odeszła, bo jutro człowiek ten ma być rozstrzelany“.

Argumenty dyscypliny, które przerażeni generałowie przedkładają mu stale, nie wzruszają go. Tchórzostwo? „Nigdy nie mam zupełnej pewności, czy w zgiełku bitwy nie rzuciłbym karabinu i nie uciekłbym“. Innym razem: „Jeśli Bóg dał człowiekowi nogi tchórze, to cóż winien ten człowiek, że nogi go ponoszą?“ Albo w publicznej mowie kongresowej: „Najsurowsza sprawiedliwość niekoniecznie musi być najlepszą polityką“. Szczególną opieką otacza ludzi młodych. „Sądzę, że ten młody człowiek może nam lepiej służyć na ziemi niż pod ziemią“. Albo wynajduje takie pośrednie uzasadnienie: „Czy muszę takiego pocziwego chłopaka kazać rozstrzelać, podczas gdy podstępnemu agentowi, który nakłonił go do zastępstwa, nawet włos z głowy spaść nie może?... W takich wypadkach byłoby rozsądniej chłopca uratować, a agenta sprzątnąć“. Pewien starzec przychodzi do Lincolna, bo jego jedyny syn został skazany na śmierć. Lincoln pokazuje mu depeszę generała Butlera: „Usilnie proszę nie powstrzymywać biegu

spraw sądu wojennego, bo wszelka dyscyplina w woj-  
sku zostanie zniszczona“. Stary siedzi i szlocha. „Do  
diabła z tym Butlerem!“ — woła Lincoln i szybko pi-  
sze depeszę: „Przed nadejściem dalszych rozkazów...  
Johna Smitha nie rozstrzeliwać“. Stary zapytuje sce-  
ptycznie: „A co będzie, gdy te dalsze rozkazy nadej-  
dą?“ Na to Lincoln:

„Widzę, że nie zna mnie pan dobrze. Jeśli syn pański  
nie umrze przed nadejściem mojej depeszy, może dożyć  
lat znacznie dłuższych od Matuzalema“.

Inny znowu został skazany, bo bez urlopu opuścił  
front i pojechał do domu, aby przez pośpieszny ślub  
zapewnić sobie rękę chwiejnej narzeczonej. Lincoln  
wysłuchuje opowiadania o tym zdarzeniu i podpisuje  
ułaskawienie, ale podpisując odzywa się do swego se-  
kretarza: „Mam nadzieję, że po roku człowiek ten nie  
będzie żałował, iż nie kazałem go rozstrzelać“.

Młody wyrostek, William Scott, zasnął w nocy na  
warcie; został aresztowany, a podczas inspekcji przy-  
chodzi do niego prezydent: „Nie każę cię rozstrzelać,  
mój chłopcze. Gdy powiadasz, że snu pokonać nie mo-  
głeś, wierzę ci. Odeślę cię z powrotem do pułku. Miałem  
wiele przykrości z twego powodu. W jaki sposób chcesz  
wyrównać swój rachunek?“

Chłopak zupełnie zmieszany odpowiada z zakłopotani-  
em: „Moglibyśmy wziąć hipotekę do sześciuset do-  
larów“.

„Nie. Rachunek musisz wyrównać ty sam. Musisz  
spełnić swoją powinność jako żołnierz“.

Niekiedy jedynym usprawiedliwieniem takich uła-  
skawień — gdyż przed generałami musiał się uspra-  
wiedliwiać — była młodość dezertera. „Jestem prze-  
ciwko temu, aby jakikolwiek chłopiec poniżej lat osiem-  
nastu był rozstrzelany“. Wskutek tego wszystkie matki,

które płacząc przybywają do niego, podają wiek swoich skazanych synów znacznie niższy, niż jest w istocie. Zdarzały się wypadki ułaskawienia, które można było uzasadnić tylko w taki sposób: „Żołnierz taki a taki ma być rozstrzelany za dezercję. Jego historia jest dość brzydka, ale opowiada ją tak szczerze, że budzi ona znaczne zainteresowanie. Czy poza tym był on dobrym żołnierzem? I ile ma lat?“ Albo po prostu manewruje takimi słowami: „Jest to syn tak bliskiego przyjaciela, że nie mogę kazać go stracić“. Innym razem uzasadnia wobec generała odroczenie egzekucji w taki sposób: „Skazał pan na śmierć starego obywatela... Znałem go osobiście i nie uważałem go za złego człowieka“. Wreszcie po trzech latach wydaje rozkaz ogólny, że wszyscy dezercerzy, którym winę udowodniono, mają być na razie osadzeni w więzieniu.

Wszystkie takie sprawy i setki pomniejszych docierały do najwyższej instancji, gdy przedstawiciele instancji niższych, zwłaszcza minister wojny, odpowiadali odmownie. Dochodzi do tego, że do prezydenta po prostu telegrafują o ułaskawienie. On zaś z niezachwianą cierpliwością odpowiada: „Nie mogę odraczać egzekucji notorycznego szpiega na skutek zwykłej depechy, podpisanej nazwiskiem, którego nigdy nie słyszałem. Proszę zażądać przepustki do generała Wallace'a, który prośbę rozważy, jeśli zechce“. Albo też przybywają ludzie tak zmieszani, że zapominają o najpotrzebniejszych danych. Odchodzą, prezydent siedzi przy biurku i chciałby im dopomóc, ale brak mu elementarnych informacji. Wyjście znajduje przy pomocy telegrafu: „Inteligentna kobieta w żałobie odwiedziła mnie dzisiaj rano, mówiąc, że mąż jej, porucznik armii nad Potomakiem, ma być w poniedziałek rozstrzelany za dezercję. Wręczyła mi list... i opuściła



mnie bez podania nazwiska. Następnie spostrzegłem, że i w liście nie ma bliższych danych, jest tylko podpis, który brzmi prawdopodobnie... Odnalezienie tej kobiety było niemożliwe. Jeśli ma pan podobną sprawę, która by się z tą pokrywała, to proszę postąpić według mojej dzisiejszej depechy“.

Oto jest ojciec narodu, który bezustannie myśli o ludziach, nawet wówczas, gdy ci mu to utrudniają. Nie przeczy on, że jest to wzniosła postać egoizmu, bowiem „daje mi to uczucie spokoju, gdy po ciężkiej całodziennej pracy mogę znaleźć jakąś okoliczność łagodząca, aby człowiekowi uratować życie“.

Innym razem broni swej dobroci takimi słowy: „Nie macie pojęcia, jak ciężko patrzeć na konanie człowieka, gdy się czuje, że pociągnięciem pióra można mu uratować życie“.

Czasem zmusza się do surowości, ale pod jej osłoną próbuje w sposób ostrożny zaapelować do generała: „Prosilili mnie o ułaskawienie bez podania okoliczności łagodzącej. Dowiaduję się, że chodzi tu o wypadki bardzo jaskrawe i że pan domaga się bezwzględnego ukarania ich. Jeśli się nie mylę, to należy powiadomić ich natychmiast, że prośba ich została odrzucona“. A gdy sprawa stoi tak fatalnie, że nic się już nie da uratować, wtedy powiada: „Dzisiaj rozstrzelają chłopca (tam a tam). Mam nadzieję, że nie dopuściłem się błędu zezwalając na to“. Wie on bardzo dobrze, że każdy dzień wojny jest opłacany życiem wielu ludzi i odpowiedzialność za to bierze na siebie, ale gdy chodzi o człowieka, któremu można darować życie bez szkody dla ogółu, za to odpowiedzialności wziąć na siebie nie chce.

Pomimo wszystko w ostatnim roku wojny z wyroków sądów wojennych zostało rozstrzelanych 267 lu-

dzi, w tym 160 za morderstwa, jednak około 800 ułaskawiono.

Ale wyzyskiwać się Lincoln nie pozwolił. Oto przyszedł do niego oficer, który uważał, że został niesłusznie usunięty z wojska, odczytał prezydentowi długą prośbę, nic nie wskórał, więc jeszcze raz ponowił prośbę i wreszcie wybuchnął: „Widzę, że pan nie chce wymierzyć mi sprawiedliwości!“ Nagle usta Lincoln drgnęły, zacisnął je, odłożył papier na bok, wstał, podszedł do oficera, ujął go za kołnierz, wypchnął za drzwi i jeszcze w hallu słyhać było jego grzmiący głos: „Radzę panu nie pokazywać się tu więcej... Wolno mnie krytykować, ale nie zniosę zniewagi! Papiery pańskie zostaną panu odesłane. Nie życzę sobie więcej widzieć pana!“ Oto chłop i zapaśnik, a zarazem człowiek o skołatanych nerwach, który cierpliwości swojej zbyt wielkie stawia wymagania. Gdy zamyka drzwi za sobą, zaczyna gorzko oskarżać samego siebie, że nadmiarem dobroci doprowadza ludzi do takich wykroczeń. Ale potem uczucia takie odsunie na bok jak papier na stole i znowu da pierwszeństwo swemu głosowi wewnętrznemu.

W ciągu tych lat wojny, on, obywatel cywilny, żywił dla wojska uczucia najserdeczniejsze. Wojsko wiedziało o tym i śpiewało pieśń: „Idziemy, ojcze Abrahamie, w pięćset tysięcy chłopów!“ Każdy przychodził do niego, gdy gdzie indziej nic nie wskórał, i do wszystkich spraw państwowych i wielkich trosk przybywały jeszcze i te drobne sprawy, które kosztowały wiele czasu, siły i namysłu, a nie były tak ważkie, jak ratowanie życia ludzkiego. Bo wszystkie sprawy, w których chodziło o życie ludzkie, nazywał wielkimi, inne zaś małymi. Gdy się te dokumenty przegląda, jeden za drugim, ma się wrażenie, że są to akta kierownika wy-

działu paszportowego, a nie akta prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Pewna dziewczyna, która przez długi czas pielęgnowała swoją matkę w Waszyngtonie, chciałaby powrócić do Richmond. Jest zaręczona, dwa lata nie widziała narzeczonego, pragnie wyjść za mąż. Wbrew odmowie Wellesa, który podejrzewa, że chodzi tu o szpiegostwo, prezydent wydaje jej paszport, bo wojna kraj wyludniła, więc nie należy małżeństwa utrudniać, ale raczej ułatwiać. Albo do generała Meade wysyła taką depeczę: „Niejaki... chce ode mnie paszportu, aby móc towarzyszyć pańskiej armii i zbierać szmaty i znoszoną odzież na handel. Wydam mu paszport, jeśli pan pozwoli, w przeciwnym razie odmówię“.

Pewna kobieta straciła na wojnie pięciu synów. Prezydent dowiaduje się o tym i pisze do niej: „Czuję, jak liche i daremne musi być każde moje słowo, gdy po tak olbrzymiej stracie pragnę panią pocieszyć. Ale mimo to pragnę dać pani dowód wdzięczności republiki, w której obronie synowie ci polegli. Naszego Ojca Niebieskiego proszę, aby złagodził ból pani, pozostawiając jej tylko tkliwe wspomnienie ukochanych poległych i szlachetną dumę, jakiej musi pani doznawać wobec tak wielkiej ofiary złożonej na ołtarzu wolności. Pełen szacunku i szczerze pani oddany A. Lincoln“.

Oto jest głos jego serca, które uczyni go nieśmiertelnym, podobnie jak jego karteczki, którymi poleca ludzi. Na przykład do ministra wojny pisze: „Proszę, aby pan zechciał wysłuchać tego młodzieńca z Pittsburga. Jest bardzo młody i byłbym panu wielce wdzięczny, gdyby pan zechciał zrobić dla niego cokolwiek“. Na niepozornej karteczce Lincoln sam siebie czyni dłużnikiem, aby tylko dopomóc wyrostkowi



z Pittsburga. Do Ministerstwa Wojny zachodzi, jak zawsze, codziennie i raz w pewnym czasie zapytuje telegrafistę: „Co to za kobieta, która płacze na dworze?” Jest to kobieta, która chce pojechać do swego męża do obozu, aby mu powiedzieć coś ważnego. Niedługo przedtem wyszedł rozkaz zabraniający kobietom dostępu do wojska na froncie. Lincoln siedzi zaszępioty i rozmyśla. „E, co tam! Było nie było, pošlijmy ją na front! Niech pan pisze rozkaz!”

„Czy nie lepiej, żeby go napisał pułkownik? Albo czy nie można by sprowadzić tego człowieka do Waszyngtonu?”

„Naturalnie! Trzeba go tu sprowadzić!” — woła uradowany Lincoln, szybko sięga po jeden ze swoich długich, żółtych formularzy i z wypogodzoną już twarzą pisze depezę.

Taki jest ten syn ludu, który tę płaczącą kobietę, jej męża, ich dzieci widywał setki razy w Illinois, siadał przy ich stole, prowadził z nimi rozmowy, a zarazem jest to poeta, który w sytuacjach innych ludzi wczuwa się tak głęboko, że ich uśmiech i ich płacz odczuwa jako coś własnego i dlatego woli ich widzieć uśmiechniętych. Jest to melancholik zmuszony do prowadzenia straszliwej wojny, i wszędzie chciałby łagodzić cierpienia wojenne, a zarazem jest to czynny idealista, który dzień po dniu w najciaśniejszym kole spełnia największe obowiązki. Jednocześnie wielką przewagę nad innymi daje mu znajomość duszy ludzkiej, która pozwala nie troszczyć się o to, co o nim myślą lub mówią. Ktoś zwraca mu na przykład uwagę, że ludzie mogliby się z niego śmiać. „Niech pan się o to nie troszczy — odpowiada Lincoln. — Zniosłem bardzo wiele drwin nie przejmując się nimi. Okazywano mi



też bardzo wiele uprzejmości, która także nieraz bywała mocno śmieszna. Przyzwyczaiłem się do tego”.

Byłe się tylko jak najbliżej trzymać ludu i nie zgubić się w świecie polityki, jej pretensje trzymać z dala od siebie i nawet w tym kamiennym mieście i w tym pałacu nie zapominać o pierwotnych dźwiękach lasów Illinois! To jest jego woła i źródłem jego siły. Gdy przybywają farmerzy i mieszkańcy lasów, zawsze mile są widziani, a gdy mieszkańcy Illinois chcą się pozbyć pewnych urzędników, to starego Denisa Hanksa w nowym, ładnym ubraniu wysyłają do prezydenta, żeby się za nimi wstawił. A Hanksowi udaje się istotnie bardzo wiele, chociaż Stanton przysłuchuje się i pewno wydyma usta, bo po jego odejściu zacny Hanks doradza swemu długonogiemu krewniakowi, aby się tego niebezpiecznego człowieka koniecznie pozbył.

Oczywiście, czasem nie wiadomo, co począc, gdy korowód petentów nie ma końca. Ale gdy prezydentowi doradzają, aby mniej ludzi przyjmował, odpowiada, że zgodzić się na to nie może, bo doskonale wczuwa się w stan tych, którzy przychodzą do niego z prośbami. Pewnego razu opowiadano mu o jakimś biednym człowieku, który nie ma żadnych przyjaciół, a wtedy Lincoln wypowiedział takie wspaniałe słowa: „Jeśli nie ma żadnych przyjaciół, to niechże we mnie znajdzie przyjaciela“. Za to miewa też nieraz zadośćuczynienie większe, niż może dać większość kongresowa, a nawet większe od zwycięstw Granta. Takiego zadośćuczynienia doznaje na przykład, gdy przybywa do niego starzec z górnej krainy Nowego Jorku i powiada:

„My tam, w górach, wierzymy w Boga i w ojca Abrahama“.

## XIII

Już na Boże Narodzenie generał Sherman „złożył w darze u stóp prezydenta“ miasto Savannah z armatami i z bawełną. Jego sławny pochód przez Georgię pokazał całemu światu, że teraz sześćdziesięcioletnia armia może bez specjalnych przeszkód maszerować przez całe Południe i wreszcie połączyć się z flotą tworząc nową podstawę. Groza tego pochodu wojennego była równie wielka jak jego sława. Grant wywierał teraz na Lee nacisk tak mocny, że ten, liczebnie już słabszy, nie mógł nawet myśleć o tym, aby się przeciwstawić armii nieprzyjacielskiej. Gdy teraz w połowie lutego zdobyty został Charleston, ośrodek kultury południowej, Lee mógł zostać wzięty we dwa ognie, a najważniejsza na Południu kolej została przecięta, tak że łączność z południowym zachodem była przerwana. Położenie Richmondu stało się beznadziejne i istniało tylko jedno pytanie, czy Lee się podda, czy też walczyć będzie dalej. Dopiero teraz w przedostatniej chwili zdecydował się Jefferson Davis na oddanie Lee naczelnego dowództwa i obciążenie go ostateczną odpowiedzialnością, aczkolwiek w ciągu czterech lat trzymał dowództwo zazdrośnie we własnych rękach. Sam oświadczył patetycznie w jednej z mów, że z Konfederacją swoją pragnie żyć i umierać.

Wkrótce potem Kongres Południa uchwalił ustawę, na mocy której czarnych niewolników wzywano pod broń w zamian za przyrzeczenie im wolności. Była to najcięższa decyzja, na jaką Południe zdobyć się mogło, ale i teraz ustawa ta przeszła tylko niewielu głosami większości.

Ustawa ta była jednym z przykładów najtragiczniejszej ironii, jakich w dziejach świata nie braknie, ale

w tym wypadku rzucała się ona w oczy współczesnych i potomnych z wyjątkową wyrazistością. Niby w ułożonym epigramie pokazało się tu zupełne wyjaśnienie systemu, który ostatecznie musiał się zrzec samego siebie, aby się obronić. Człowiek-niewolnik, który gotów był dać się zastrzelić w obronie niewolnictwa, zdobywał wolność, ale człowiek, który siedział w domu, zostawał nadal niewolnikiem. Z wstrząsającą wyrozumiałością sam Lincoln mówił o tym zwrocie groteskowym, jaki zaznaczył się w największym zagadnieniu jego życia, chylącego się ku końcowi. W mowie do jednego z pułków powiedział:

„O zarządzeniu tym publicznie nie pisałem i nie mówiłem, bo to jest ich sprawa, a nie nasza, a gdybym nawet miał tu jakieś życzenie, nie miałbym władzy, aby je urzeczywistnić. U przeciwnika powstał poważny problem, czy Murzyn wcielony do armii będzie walczył o sprawę Południa... W życiu swoim słyszałem wiele argumentów, dlaczego Murzyni winni być niewolnikami, lecz gdyby oni teraz chcieli walczyć w interesie tych, którzy pragną ich utrzymać w niewoli, to argument taki przemawiałby za niewolnictwem potężniej niż którykolwiek inny. Kto chce walczyć w obronie niewolnictwa, winien naprawdę być niewolnikiem. Uchwalono u naszych przeciwników, że co czwarty Murzyn ma iść na front. Otóż ten czwarty, który by się na to zgodził i chciał walczyć, aby resztę braci swoich utrzymać w niewoli, godzien jest naprawdę stać się niewolnikiem, jeśli nie zginie. Wiele razy mówiłem, że wszyscy ludzie mają być wolni, ale takim Murzynom pozwoliłbym pozostać niewolnikami, a prócz tego wszystkim tym, którzy się nimi dla utrzymania niewolnictwa posługują; byłbym bowiem skłonny uczynić z takich ludzi niewolników, aby się z nie-

wolnictwem zapoznali na własnej skórze... Teraz wyczerpali już swoje ostatnie źródło i oczom naszym ukazuje się dno. Ale widzę, że powiedziałem więcej, niż zamierzałem i dlatego mówię wam wszystkim: bywajcie zdrowi!“

Było to jedyne, a w dodatku zaimprovizowane słowo, jakie Lincoln wygłosił, aby napiętnować absurdalność ostatniego i zarazem najdzikszego zarządzenia przeciwnika. Nie ma tu złośliwej uciechy, nie ma triumfu. I taka sama była mowa, którą teraz rozpoczął drugi okres swego urzędowania. Wprawdzie niebezpieczeństwa przy pochodzie na Kapitol były tym razem nie mniejsze niż przed czterema laty, ale wydawały się one mniej ostre, a w nastroju zwycięskim zapomina się łatwo o zemście pokonanych. Tylko dwie rzeczy były nowe: w eskorcie prezydenta znalazł się batalion murzyński jako widomy znak tego, co się tymczasem urzeczywistniło, a na kopule Kapitolu wznosił się Posąg Wolności i zwiastował światu nową erę. Ponowną przysięgę składał Lincoln już nie w ręce Taneya, bo ten umarł niedawno, dożywszy lat około dziewięćdziesięciu. Jego miejsce zajął Chase, którego Lincoln mianował sędzią najwyższym nie pytając nikogo o radę i przekraczając granice swoich uprawnień. Douglas nie siedział już w pierwszym rzędzie słuchaczy, ale nie było też przeszkadzającego mu kapelusza i modnej laski, które trzeba było trzymać w ręku. Wreszcie nie było długiej mowy, jaka przed paru laty miała wyjaśnić sytuację. Liczyła ona tylko dwie stronicy, a między innymi było w niej powiedziane: „Wszyscy znają postępy armii, od której wszystko zawisło, równie dobrze jak ja, i to jest, jak śmiem ufać, zadośćuczynieniem i zachętą dla nas. Przy najlepszych nadziejach na przyszłość prorocstwa byłyby



nie na miejscu... Obie strony czytywały tę samą Biblię i modliły się do tego samego Boga, każda z nich wzywała Jego pomocy przeciwko nieprzyjacielowi. Musi się wydawać dziwne, że ktoś może wzywać pomocy sprawiedliwego Boga, a jednocześnie spożywać chleb zapracowany w pocie czoła przez innych. Ale nie sądzmy, abyśmy nie byli sądzeni. Modły obu stron wysłuchane być nie mogły. Żadna ze stron walczących nie została wysłuchana całkowicie. Wszechmocny ma własne cele... Grzechy są nieuniknione, ale biada człowiekowi, przez którego zło przychodzi!

Jeśli wierzymy, że niewolnictwo Ameryki było takim złem, które według przeznaczeń bożych przychodzi, ale po pewnym czasie zniknąć musi, i że Bóg zesłał tę straszliwą wojnę Południa i Północy jako sąd nad tym, przez którego zło przyszło, czyliż nie musimy dopatrzeć się w tym odchylenia od tych przymiotów, które ucieleśnionemu Bogu wierzący w Niego zawsze przypisują? Z głębi serca modlimy się, aby ta straszliwa plaga wojny rychło się skończyła. Ale jeśli Bóg chce, aby trwała dalej, ażeby się wyczerpało wszystko bogactwo nagromadzone w ciągu 250 lat nie wynagradzanym trudem ujarzmionych i ażeby każda kropla krwi, jaka trysnęła spod bicza, opłacona była inną krwią przez miecz przelewaną, tedy prawdą musi pozostać to, co nią było już trzy tysiące lat temu: Wyroki Pańskie są wierne i sprawiedliwe.

Bez nienawiści do kogokolwiek, z miłością dla wszystkich, z niezmiennym poszanowaniem prawa, jakie Bóg nam daje poznawać, starajmy się dokonać tego dzieła, które tworzymy, rany narodu opatrywać, troszczyć się o tego, który znosił trudy walk, o wdowę po nim i sieroty, i wszystko czynić, co sprowadzić

i utrwalić może sprawiedliwy pokój między nami i wszystkimi narodami“.

Tak przemawiał Lincoln do ludu przy ponownym obejmowaniu urzędu prezydenta. Była to mowa ojca. Wszelka polityka przemieniła się tu w filozofię, a wszelka filozofia — w fatalizm. Gdy zwycięstwo było niepewne, to w mowach i listach do narodu starał się podtrzymać jego ducha i ufność; teraz gdy zwycięstwo było sprawą kilku tygodni zaledwie, oddaje cześć przeznaczeniu, które nazywa Bogiem, i wobec zdumionych słuchaczy odważa się powiedzieć, że drogi boże byłyby i wówczas sprawiedliwe, gdyby krew musiała być przelewana jeszcze kilka lat. W ciągu czterech lat rozwijał wszelką aktywność, do jakiej zmuszały go okoliczności, teraz uwolniony od ciężkiego brzemienia powraca do swej przyrodzonej biernej roli, wyczekującej przeznaczenia i przyjmującej to, co ono daje. Zarazem jest to mowa wychowawcy, w której odzywa się uświęcony ton starca układającego testament. Lecz ostatecznie nie jest to mowa, ale rapsodia.

Wkrótce potem dawał komentarz utrzymany w innym tonie, gdy na życzenie przyjaciela odpowiadał mu listem: „Przypuszczam, że moja mowa inauguracyjna przetrwa równie długo, a może dłużej od wszystkiego, co uczyniłem. Oczywiście, w tej chwili jest ona bodaj nie bardzo popularna. Ludziom nie schlebia bynajmniej, gdy się im mówi, że istnieje różnica między ich dążeniami a celami Najwyższego. Ale przeczyć temu byłoby tym samym, co przeczyć istnieniu Boga władającego światem. Sądzę, że ta prawda musiała zostać wypowiedziana, choćby w niej było za-

warte nie wiem jakie upokorzenie, które zresztą przede wszystkim na mnie spada. Sądzę tedy, że i inni winni znieść to, co tu wypowiedziałem“.

#### XIV

Gdy wreszcie wojna dobiegała końca, ozwały się po długim czasie strzały u stóp Kapitolu. Sto salw oddano wtedy jako wyraz radości, ale nie ogłaszały one zwycięstwa armii. Uchwalono właśnie to uzupełnienie Konstytucji, które z tymczasowych wojennych zarządzeń Lincolna uczyniło trwałe ustawy. Wyzwolenie niewolników stawało się więc podstawowym prawem Stanów Zjednoczonych. Przed czterema laty w tej samej sali zapadła uchwała, że wszelkie uzupełnienia Konstytucji o podobnym sensie mają być zakazane, a siedem lat wcześniej te same armaty wiwatowały na cześć Douglasa z powodu ustawy dla stanu Kansas wrogiej Murzynom. I dzisiaj jeszcze losy ustawy Lincolna były niepewne; do południa nikt nie wiedział, jak wypadnie głosowanie. Ostatecznie za ustawą padło głosów 119, przeciw niej 56. Ponieważ prawo wymagało większości dwóch trzecich, dość byłoby jeszcze trzech głosów przeciw ustawie, aby jej uchwalenie zostało odroczone. Oczywiście tylko odroczone, bo ustawa ta musiała się stać prawem, ale w takim razie wielki przedstawiciel tej sprawy już by się jej urzeczywistnienia nie doczekał.

Tak, to było osobiste zwycięstwo Lincolna! Przemawiając wieczorem do ludu powiedział: „Znaleźliśmy obecnie królewski lek przeciwko chorobie“. Ale ustawa ta stawała się prawem dopiero po przyjęciu jej przez trzy czwarte stanów i Lincoln cieszył się, że Illinois

jako pierwszy stan zgłosił do niej akces. Dokonania swego dzieła już nie doczekał.

W trzy dni później siedział Lincoln w salonie rzecznego statku parowego po raz pierwszy od czterech lat ze swoim nieprzyjacielem, wiceprezydentem rokoszan, Stephensem, który był niegdyś jego przyjacielem i kolegą w Kongresie i któremu bezpośrednio przed wybuchem wojny wysłał list z ostrzeżeniem. Siedział tutaj we własnej osobie, aby — aczkolwiek nieoficjalnie — rozmawiać o zawieszeniu broni; było to jedno z tych niewłaściwych posunięć, z powodu których jego ludzka roztropność utraciła zaufanie polityków, ale zdobyła uznanie potomnych.

Stephens, który u siebie już od jesieni zabiegał o pokój, a teraz otrzymał zgodę na układy, poprosił Granta o wprowadzenie go do czołowych władz północnych, chociaż ciągle jeszcze trzymał się zasady niepodległości. Bez porozumienia się z gabinetem i bez pytania go o radę, folgując jedynie swemu naturalnemu uczuciu, udał się Lincoln z Grantem i Sewardem na pokład statku, a gdy ci trzej spotkali się ze Stephensem i jego dwoma przyjaciółmi, znajomość została zawarta bardzo szybko i zakłopotanie prędko minęło. Podczas gdy na terenach walk w dalszym ciągu atakowano, oblegano i ostrzeliwano, tutaj rzucono sobie uprzejme pytania o przyjaciół, jak gdyby starzy znajomi powracali z dalekiej wyprawy naukowej. Potem tematem rozmowy stała się przeszłość i przyszłość; gawędziło się bez protokołu i sekretarzy i tak oto w sposób prosty rozmawiano przez cztery godziny. Było to posiedzenie w stylu prawdziwie lincolnowskim, gdyż w ogóle nie było posiedzeniem.

Gdy Stephens pytał, czy nie można było wojny uniknąć, Lincoln odpowiadał, że wystarczyłoby zaprzesta-



nie oporu na Południu. Gdy zaś Stephens mówił, że chciano sprawę odroczyć i że zastanawiano się nad ponownym wolnym zjednoczeniem stanów, Lincoln spokojnie uchylił się od podtrzymania tego tematu, ale z wielką swobodą opowiadał dzieje swej proklamacji, dodając, że nigdy by Południa nie przymuszał do jej uznania, gdyby mu nie chodziło o utrzymanie Unii. Co więcej, Lincoln przyznał się szczerze, że jeszcze dzisiaj myśli o tym, aby Południe dostało za swoich niewolników odszkodowanie, bo za niewolnictwo Północ jest w równej mierze odpowiedzialna. „Mógłbym panu wymienić ludzi, których nazwiska zdziwiłyby pana, a którzy gotowi są do zgody, o ile wojna zostanie natychmiast skończona, a niewolnictwo zniesione“. Ale to wszystko, podkreśla natychmiast, nie są przyrzeczenia; nie on decyduje, lecz Kongres, a Seward dodaje, że gdyby Południe zostało teraz przyjęte do Unii bez zastrzeżeń, mogłoby to obalić niedawno uchwaloną ustawę konstytucyjną.

Tak uprzejmie rozmawiał Lincoln z nieprzyjacielem, ale gdy Stephens spróbował go wzruszyć opowiadaniem o spustoszeniach, spostrzegł, że serce, które znał tak dobrze, nie chce się poddać wzruszeniu. Ten sam człowiek, którego kongresowa mowa Stephensa wzruszyła do łez, a którego każdy nowy dzień wojny i każda nowa krwawa ofiara serdecznie bolała, ani o cal nie chce odstąpić od swoich wielkich doświadczeń męża stanu. O układach z uzbrojonymi rokoszami słyszeć nie chce.

„Przecież nawet Karol I — powiada jeden z towarzyszy Stephensa — układał się z uzbrojonymi buntownikami“.

„Nie mam pretensji — odpowiada Lincoln — do specjalnie gruntownej znajomości historii i w tych

sprawach proszę zwrócić się do pana Sewarda. O Karolu I wiem na pewno tylko to, że ostatecznie stracił głowę“.

„A więc uważa nas pan za buntowników — rzekł Stephens — których właściwie należałoby za zdradę powiesić“.

„Tak jest istotnie“.

„Tak właśnie wyobrażaliśmy to sobie. Ale jeśli mam panu powiedzieć prawdę, nie lękamy się tego tak bardzo, dopóki pan jest prezydentem“.

Gdy Stephens rzuca w końcu fantastyczny projekt wspólnej wojny z Meksykiem, gdzie właśnie kończy się awantura Napoleona III, i Lincoln uchyla się, a Stephens nastaje, Lincoln przed odejściem uderza w wyciągniętą dłoń Stephensa i powiada: „No dobrze, namyśle się, ale nie sędzę, abym mógł zmienić swoje zamiary“.

Czy kiedykolwiek narady wojenne między wrogami odbywały się i kończyły w takim nastroju? Bez Lincolna byłyby to zimne pertraktacje, on zaś podniósł je na wyżyny człowieczeństwa i humoru. Oczywiście przy tej sposobności obserwował przeciwnika bardzo dokładnie, bo później opowiadał o swoim małym i układnym przyjacielu: „Stephens miał na sobie płaszcz z wysokim kołnierzem, który był dla niego o jakieś trzy numery za duży. W kabinie zrobiło się niebawem dość ciepło, więc po chwili zdjął on swój wielki płaszcz, wyluskując się z niego niby ziarno kukurydzy z łuski. Nie mogłem się powstrzymać od myśli, że jest to największa łuska i najmniejsze ziarno, jakie kiedykolwiek widziałem razem“. Tak uprzejmie opowiada o tym Lincoln. A prezydent Davis wysłuchawszy sprawozdania Stephensa nie zdobył się na nic in-

nego, tylko na określenie: „Jego Królewska Mość Najjaśniejszy Pan Abraham Pierwszy“.

A jednak troska o braci ciążyła na Lincolnie dzisiaj tak samo jak zawsze. W drodze powrotnej zastanawiał się nad wszelkimi możliwościami, aby Południe, którego sytuacja była beznadziejna, nakłonić do jak najszybszego poddania się. Myślał, że jakaś uchwała czy może ustępstwo mogłoby przyśpieszyć zakończenie wojny. Jak długo może wojna jeszcze potrwać? Co najmniej sto dni. Dla Północy jest to koszt przeszło 300 milionów. A gdyby tak tę sumę wypłacić nieprzyjacielowi, aby oszczędzić tysiącom ludzi cierpienia i śmierci? Już nazajutrz wypisał rezolucję, którą postanowił przedłożyć Kongresowi: wypłacić Południowi 400 milionów jako odszkodowanie za wyzwolonych niewolników. Połowa płatna natychmiast, 1 kwietnia, druga połowa przy uprawomocnieniu się nowego artykułu ustawy. Zarazem zwrot wszelkiej własności z wyjątkiem niewolników, ułaskawienie wszystkich przestępców politycznych.

Gdy nazajutrz propozycję swoją przedłożył gabinetowi i żarliwie ją uzasadniał, został jednomyślnie przegłosowany. „A więc wszyscy jesteście przeciwko mnie“ — rzekł głosem smutnym i odsunął papiery na bok. W domu zaś napisał na nich: „Ten akt, który sam za siebie przemawiał, został dzisiaj przedłożony gabinetowi i przezeń jednomyślnie odrzucony“.

W życiu Lincoln'a nigdy nie ujawniło się wyraźniej niż wtedy, jak filantrop i mąż stanu, serce i mózg tego praktycznego idealisty współdziałały, aby czynić to, co w danej chwili było konieczne, a w perspektywie przyszłości okazywało się wielkie. Układać się z buntownikami jak równy z równym — o tym słyszeć nie chciał: zwycięstwo było pewne, więc dlaczego nie miałyby cze-

kać na nie z założonymi rękami? Lecz oto odzywają się w nim wyrachowanie i etyka i przy wzajemnym poparciu wyrażają najbardziej wzorową myśl, jaka zrodzić się może, gdy chodzi o ukrócenie wzajemnych męczarni. Sto dni jeszcze trwać miała wojna i sto dni trwała istotnie. 400 milionów wystrzelać w powietrze, ba, nawet nie w powietrze, ale w ciała buntowników, którzy jutro mają stać się znowu współobywatelami? Co za pomysł? Tyleż wyrachowania, ile dobroci, praktycznego zysku i moralnych zdobyczy! Ale tego zwykły lud Północy pojąć by już nie zdołał, a ministrowie, którzy zdają sobie z tego sprawę, potrzęsają głowami.

## XV

Nareszcie zaczął ustępować straszliwy ucisk, który przez cztery lata gnębił prezydenta. Wszyscy świadkowie twierdzą, że w ostatnich tygodniach życia zmienił się.

Oczywiście, napięcie i zmęczenie przekroczyło w końcu wszelką miarę. Z głębokim westchnieniem mawiał wtedy: „Cały ten codzienny i bezustanny korowód — zaczynający się od senatora, któremu chce się wojny z Francją, a kończący się na biednej kobiecie, która chciałaby otrzymać pracę w urzędzie skarbowym — wydaje się jakby powszechnym natarciem na mnie, gdy każdy rozwiera palce, aby wyszarpnąć ze mnie i unieść cząstkę mej siły życiowej. Jest tylko jedno słowo dla określenia stanu po takim dniu: «oskubany»“.

Starzy znajomi uważali, że jego oczy zapadły, a cera stała się upiornie szara. Czasem mechanicznie wyciągał rękę przed siebie, a mówiących wysłuchiwał w ja-



kimś otępieniu. Ktoś nazwał go zaszczutą zwierzyną, człowiekiem, który na wszystkie napaści publicznie odpowiadać nie mógł i nikogo nie mógł ukarać. W długim szlafroku, z rękoma założonymi w tyle, przechadza się w wąskiej sionce od okna do okna; oczy ma podkrążone, głowę pochyloną ku piersi, niby obraz takich trosk, żalu, niepokoju, że na jego widok „serca tych, co go nazywali uzurpatorem i tyranem, musiałyby się we łzach rozpląnąć“. Takim widywał go jego malarz. Gdy przyjaciel Swett przybył do niego, aby coś osiągnąć dla niezliczonych rannych, zastał go przy otwartym oknie zasluchanego w pogwizdywanie ptaka na pobliskiej gałęzi. Gdy tamten wyliczył wszystkie swoje propozycje, Lincoln zapytał: „Czy nie ładnie śpiewa?“ Gość jest zaskoczony i chce odejść, ale Lincoln go zatrzymuje i powiada: „Więc kraj jest spokojniejszy, niż przypuszczałem.“

Siadajmy, kochany panie Swett. Czy sądzi pan może, że człowiek na moim stanowisku mógłby o wszystkich tych rzeczach nie myśleć? Już od szeregu tygodni gotowe jest to wszystko, co mi pan właśnie proponuje“. Prawie zawsze znajdował się w stanie ostatecznego znużenia i pewnego razu wyszeptał: „Zdaje mi się, że już nigdy nie będę mógł być wesół“.

I oto po raz pierwszy bierze urlop, aby uciec przed łowcami posad, którzy znowu jak przed laty oblegają Biały Dom. Jest marzec i lada chwila może nadejść wiadomość o upadku nieprzyjacielskiej stolicy. Grant zaprosił prezydenta, aby był naocznym świadkiem ostatecznych rozstrzygnięć, więc przybył z żoną i kilku przyjaciółmi, aby na pokładzie statku rzecznoego wypocząć nieco wśród wojska. Także Robert, starszy syn prezydenta, znajduje się w tym towarzystwie, gdyż przed paru tygodniami młody ten doktor przydzielony

został do sztabu generała Granta, aby przypatrzeć się wojnie z bliska. Sherman i Sheridan przybyli dla odbycia z Grantem narady wojennej. Wprawdzie i tutaj, w City Point, siedzi Lincoln niekiedy przez całe popołudnie przy telegrafie, aby wiadomości otrzymywane od Granta przekazywać Stantonowi, ale czasem jeździ z generałem Porterem po rzece, przechadza się wśród namiotów, całe godziny spędza wśród wojska, a żołnierze wołają: Trzy razy wiwat na cześć ojca Abrahama! Rozmawia z wielu żołnierzami, a gdy nie rozmawia, siedzi na przechylonym krześle, dłonią osłania oczy i przygląda się życiu obozowemu.

Lóżka admirała, które zostało mu zaofiarowane, nie przyjął, zadowolając się kabiną długości sześciu stóp. „Spałem dobrze, ale długiego miecza nie umiem wtknąć do krótkiej pochwy“ — powiada napomykając o tym, że sam był o cztery cale dłuższy od kabiny. Gdy nazajutrz admirał niepostrzeżenie kazał stolarzom powiększyć kabinę i odpowiednio podłużyć łóżko, zawołał Lincoln następnego ranka: „Cud się stał w nocy! Skurczyłem się o sześć cali wzduż i przynajmniej o jeden cal wszorz“.

Mary nie czuła się w tych dniach szczęśliwa. Był to jej pierwszy dłuższy pobyt wśród wojska, okazja do popisu była jedyna i wytworna wycieczka w towarzystwie posła francuskiego i innych eleganckich panów była całkiem po jej myśli. Miano się udać do znajdującej się o 20 kilometrów od portu rzecznej armii nad Potomakiem, panowie konno, a panie, żona Lincolnna i żona Granta, w półotwartym powozie. Jeden z generałów, który jako *cavalier servant* przysiadł się na koźle obok woźnicy, oświadczył, że po drodze spotkają jeszcze jedną panią, żonę generała Griffina, przyjaciółkę pani Grant; dodał przy tym, że jest to

zresztą jedyna pani, która w ciągu wojny otrzymała od prezydenta zezwolenie, aby mogła się udać na dzień czy dwa dni do swego męża.

Mary dębieje formalnie. Mąż jej udzielił takiego specjalnego zezwolenia kobiecie, a jej nic o tym nie wiadomo?! „Cóż to pan mówi, panie generale? Czy chce pan może powiedzieć, że była z prezydentem sam na sam? Czy pan nie wie o tym, że ja nie pozwałam prezydentowi rozmawiać z paniami sam na sam?“ Generał stara się ją uspokoić. „O, jeszcze się pan tak dwuznacznie uśmiecha! Proszę natychmiast zatrzymać powóz! Wsiądę i zapytam prezydenta, czy z tą panią rozmawiał sam na sam!“ A gdy zbliżają się inne osoby towarzystwa, każe się natychmiast zaprowadzić do prezydenta.

Jeden z oficerów orientuje się w sytuacji, szybko jedzie do Lincolna, wraca i wynajduje na poczekaniu uspokajające oświadczenie, że to Stanton, a nie prezydent wydawał wtedy przepustkę pani generałowej.

Gdy dnia następnego w tym samym porządku zwiedzano armię generała Orda, żona tego generała pozostała nieco w tyle, aby przez chwilę rozmawiać z prezydentem. Towarzystwo pamiętając wczorajszą scenę wiedziało, że trzeba milczeć przed prezydentową, ale jakiś oficer, jadący obok, rzucił o tym słówko. Mary zwróciła się ku niemu z taką wściekłością, że jego koń spłoszył się i zmusił go do wycofania się. Gdy następnie pani Ord zbliżyła się do towarzystwa i siedząc na koniu witała się ze znajomymi, została przez Mary obrzucona najprzykrzejszymi inwektywami, że co jej przychodzi do głowy latać za prezydentem itd., aż się ta, zapłakana, odwróciła. Gdy później na pokładzie wobec ponownych oskarżeń Mary kapitan stanął w obronie generałowej Ord, odwróciła się od niego z wście-

kłością. Natychmiast potem Lincoln poprosił kapitana do salonu pod pretekstem, że chciałby zobaczyć jakąś mapę, ale naprawdę uczynił to dlatego, aby kapitanowi wyrazić swoje zadowolenie.

Sceny takie, które w czasach pokojowych z pewnością powtarzałyby się częściej, ujawniały nieszczęśliwy temperament kobiety, która do zazdrości nigdy powodu nie miała. W małomiasteczkowym życiu w Springfield nie przychodziło jej nic podobnego do głowy, ale teraz, gdy wszystkimi myślami zabiegała o władzę i stanowisko, chciała być niepodzielną panią nawet tego, czego jej nikt odbierać nie myślał. Jak wielkie skutki miały mieć te wybuchy, tego nikt nie przeczuwał; w dwa tygodnie później prawdopodobnie uratowały one życie generałowi Grantowi. ✓

## XVI

W kilka dni później padły miasta Petersburg i Richmond, a Lee i Davis z resztkami armii uciekli. Ze wszystkich stron przybywali obywatele, aby ujrzeć twierdzę, która wreszcie dostała się w ręce oblegających, bardzo długo pożądaną jak ongiś Troja. Rzeka, usiana jeszcze minami, roiła się od statków, muzyka i sztandary wytwarzały nastrój radosny, wszystko parło naprzód. Ale statki osiadały często na ławicach piaskowych, a gdy prezydent w towarzystwie admirała i Tadda, śpiesząc do Richmondu, nie mógł się z powodu mielizny posuwać naprzód, przesiedli się do barki z marynarzami ciągniętej przez holownik. Nie strzelają tu na wiwat, nikt nie przygotowuje prezydentowi triumfalnego wjazdu: wszystko jest improwizacją, jak całe życie Lincoln. Lecz on się śmieje,



bo od jakiegoś tygodnia pełen jest dobrych myśli, opowiada o pewnym poczciwcu, który najprzód chciał być ambasadorem, a potem zadowolił się parą starych spodni, a gdy wreszcie muszą się oddalić od swego holownika, który śpieszy na pomoc statkowi osiadłemu na mieliźnie, marynarze wiosłują na chybił trafił prosto przed siebie, bo ani oni sami, ani ich admirał nigdy tutaj przedtem nie bywali. Barka osiada na skałce podwodnej, ale udaje się ją ściągnąć; w dniu swego zwycięstwa dawny flisak wspomina dni przeżyte w Nowym Salemie.

Przy pierwszym lądowaniu natrafiają na nasyp i mały domek. Wysiadają i widzą wśród zieleni białe domki południowego miasta, nie uszkodzone, ale upiornie bezлюдne i milczące, tylko kilkunastu Murzynów pracuje tu z łopatomy w ręku pod nadzorem starca. Nagle starzec wyprostowuje się, podnosi ręce ku oczom i opuszcza łopate: „Panie Boże z wysokiego nieba, przecież to wielki Mesjasz! Poznałem go natychmiast! Dawno, dawno już mam go w sercu, a teraz oto przybywa, aby dzieci swoje wyzwolić z niewoli! Alleluja!“ Obyczajem chrzczonych Murzynów natychmiast zaczyna przemawiać stylem biblijnym, pada na kolana i całuje stopy oswobodziciela, a inni go naśladują.

I oto kilkunastu nędznych niewolników, którzy pracowali z tępą obojętnością, jak gdyby to nie dziś właśnie rozstrzygał się ich los, otacza ogromnego białego człowieka, siwego i chudego, a ten zmieszany i zakłopotany stoi wśród nich i powiada: „Nie klękajcie przede mną! Tego się nie robi! Przed Bogiem klękajcie i Jemu dziękujcie za wolność, którą teraz mieć będziecie. Jestem tylko Jego narzędziem, ale możecie być pewni, że dopóki żyję, nikt wam pęt nie nałoży i będziecie mieć prawa takie same jak wszyscy obywatele“. Nie,

to nie jest żadna wspaniała mowa, to tylko parę wypowiedzianych ze wzruszeniem słów, ale Murzyni rozumieją jego spojrzenie, a gdy admirał każe im się usunąć na bok, starzec zaczyna znowu przemawiać tym śpiewnym tonem, którym przemawiali do nich misjonarze:

„Tak jest, panie, ale tak długo byliśmy w puszczy bez wody, więc też miło jest, gdy się widzi źródło. Postępujemy tak nie dla braku szacunku, ale przez wdzięczność“. I zaraz tworzą koło, prostymi głosami śpiewają pieśń pobożną, a Lincoln stoi wśród nich w milczeniu i czeka. Tak upłynęły cztery minuty według dokładnej relacji admirała. Lecz nagle na ulicy czyni się wielki ruch. Murzyni zdają się wyrastać spod ziemi. Biegna, tłoczą się, prześcigają jedni drugich, nadciągają ze wzgórz, od brzegu, gdzie przed chwilą ani jednego nie było widać, zbliżają się ze wszystkich stron, bo strach, który ich opadł po upadku miasta, przeminął. I tłoczą się teraz dokoła swego Mesjasza, jakby go chcieli zgnieść. Admirał każe marynarzom nasadzić bagnety na karabiny, ale nikt się nie boi i niebawem dokoła prezydenta tworzy się wielkie kłębowisko. Ponieważ prezydent ruszyć z miejsca nie może, musi coś uczynić; podnosi tedy rękę i nagle zapanowuje wielka cisza, a on zaczyna mówić:

„Biedni moi przyjaciele! Jesteście wolni. Wolni jak powietrze. Nazwę niewolników możecie odrzucić i podeptać. Nazwa ta już nie wróci. Wolność jest waszym prawem przyrodzonym. Bóg dał ją wam, tak samo jak innym. Grzech to, że tak długo wam ją wydzierano. Ale teraz musicie spróbować zasłużyć na ten wielki dar. Pokażcie światu, że zdobywacie wolność dobrymi czynami. Nie czyńcie żadnych żywiołowych kroków. Przestrzegajcie praw i słuchajcie ich. Słuchajcie

przykazań bożych i dziękujcie Bogu za wolność, bo Jemu zawdzięczacie wszystko. Tak, a teraz mnie przepuście. Czasu mam niewiele. Muszę zobaczyć to główne miasto i natychmiast wracać do Waszyngtonu. Tam zapewnię wam wolność, którą zdajecie się cenić tak wysoko“.

Tak przemawiał Abraham Lincoln, gdy po raz pierwszy w życiu znalazł się w tłumie Murzynów, którzy potracając się i pokrzykując tłoczyli się dokoła niego. Była to chwila urzeczywistnienia, jaką na świecie przeżyło niewiele. Przemawiał jak ojciec zupełnie bliski i całkiem daleki, może z gestem nauczającym, może z ostrzegawczym, ale na pewno z miłującym, bo w tej chwili przypominał Tego, w którego imieniu to się stawało, a który przybywając do prostych rybaków uczył ich jednocześnie wolności i poszanowania prawa. Stał oto olbrzymi i chudy, strudzony walką toczoną już od lat dziesięciu, i wśród oszczerstw ludzkich, bocznymi drogami, których dotychczas nikt nie zrozumiał, dotarł wreszcie do wytkniętego sobie celu.

„Nawet przez myśl mi nie przeszło — opowiadał później admirał — że ktoś mógłby prezydentowi uczynić coś złego. Zdawał się być otoczony armią obrońców, którzy chroniliby go przed całym światem. Bardzo wolno posuwaliśmy się naprzód, robiąc najwyżej milę (angielską — około dwóch kilometrów — *Red.*) na godzinę. Dzień był gorący, ulice pełne kurzu wzbijającego się do góry, powietrze duszne, ale jego mogli widzieć wszyscy, bo wszystkich wzrostem przewyższał. Kapelusz trzymał w ręku i wachlował się nim, bo pot spływał mu po twarzy. Wyglądał tak, jakby prezydenturę swoją gotów był oddać za szklankę wody“. Tak wkroczyli do miasta: wysoki biały prezydent i tysiąc Murzynów, a gdy okna się otworzyły, bo wszyscy

biali chcieli zobaczyć tego straszliwego człowieka, który dręczył ich w ciągu czterech lat, łatwo mógł paść fatalny strzał. Po odwiedzeniu kwatery głównej Davisa zwiedzili gmach Kongresu i jeszcze to i owo, a potem otwartym powozem wrócił prezydent na statek. Teraz admirał zaczął się jednak niepokoić, bo w ciemnościach nocnych każdy z tych tysięcy południowych ludzi łatwo mógł się zemścić na wielkim wrogu.

W tych dniach telegraficznie ustalono, że dzień szturmu na fort Sumter, 14 kwietnia, czyli początek wojny, ma być uroczystie obchodzony na tym samym miejscu. Prezydent odpowiedział, że było to 13 kwietnia, Stanton miał rzecz sprawdzić w starym kalendarzu, ale prezydent zgodził się ostatecznie, bo „to wszystko jedno, kiedy się ceremonia odbędzie — 13 czy 14“. Niczego się nie bał i nic nie przeczuwał. Nic nie nasuwało mu myśli, że przez ustalenie dnia uroczystości sam ustalił dzień swej śmierci.

## XVII

Co się bowiem nie stało w Richmond, dlatego że w tych dniach zamętu nikt przyjazdu prezydenta nie przewidywał, łatwo stać się mogło w Waszyngtonie. Stać się musiało i stało się.

Czy należy dziwić się temu? Czyż proroków nie mordowano zawsze za to, czego oni nie chcieli? Czy męczennicy wszystkich czasów nie działali i nie cierpieli zupełnie nie rozumiani przez masy? I czy namiętności południowców nie musiały zwrócić się przeciwko temu, którego imię oznaczało wojnę już przy pierwszym jego wyborze? Skąd Południe miało wie-



dzieć o pojednawczych myślach prezydenta, które go nie opuszczały w ciągu lat jego urzędowania, i o tym, że jeszcze w ostatnim tygodniu zamierzał pobitemu nieprzyjacielowi wypłacić odszkodowanie? Uchodził za wroga śmiertelnego i miał za swoje zwycięstwo zapłacić.

Już przed dwoma laty powstał w Richmond tajny klub mający na celu zamordowanie Lincolna; finansowany był przez bogaczy. W rok później dowiedziano się o spisku i o tym, że miano sprowadzić do Waszyngtonu 150 młodych ludzi w celu porwania i uprowadzenia prezydenta. Pewien malarz pytał o to Lincolna, a ten odpowiedział z uśmiechem: „Jeśli to prawda, nie rozumiem, co za korzyść buntownicy mieliby z tego. Biegu wojny nie zmieniłoby to wcale i wszystko szłoby dalej swoim trybem. Po mojej nominacji zaczęły nadchodzić do Chicago listy z pogróżkami. Pierwsze z nich były dla mnie przykre, ale rychło przyzwyczaiałem się do codziennej ich porcji. Jeszcze dzisiaj listy takie nie są bynajmniej rzadkością, ale już się nimi nie przejmuję. Istotnie nic nie może dorównać przyzwyczajeniu się do pewnej sprawy“.

Wydawało się, że na ogół nie wierzył w zamach na siebie. „Zamachy nie należą do zbrodni amerykańskich“ — wyraził się pewnego razu i opuszczając dom zabierał laskę tylko wtedy, gdy tego żona dopilnowała. Zresztą ani jako praktyk, ani jako fatalista bronić się nie mógł. „Przyzwyczaiałem się do myśli, że jeśli ktoś chce mnie zabić, to mnie zabije. Gdybym nawet nosił pancerz i otaczał się gwardią przyboczną, i to nic by w gruncie rzeczy nie zmieniło. Istnieje tysiąc dróg, którymi można podejść do człowieka, gdy się go chce zabić“. Nad tym, że z biegiem wojny niebezpieczeństwo dla prezydenta stawało się coraz groźniejsze, nie za-

stanawiał się ani on, ani jego przyjaciele i nikt też wtedy nie wiedział o pewnych wypadkach ostatniego roku.

Ów dziwny napis na szybie pewnego małego zajazdu nikomu wtedy nie był znany i nikt też nie zwrócił uwagi na osobliwe zdarzenie, które się rozegrało na pewnej scenie nowojorskiej i w gruncie rzeczy składało się tylko z trzech słów.

Pewnego wieczoru listopadowego wystawiano tam w ogrodzie zimowym „Juliusza Cezara“ pod kierunkiem trzech braci Booth, z których dwaj żyli sławą trzeciego. Ów trzeci, najślawniejszy tragik swoich czasów, grał owego wieczoru bodaj że rolę Cezara, a pewne jest, że jeden z braci grał Marka Antoniusza. Ten brat miał lat dwadzieścia sześć, był niezwykle piękny i zdaje się, że jego klasyczna twarz, oliwkowa cera, rzymski nos, błyszczące oczy i sława brata zastępowały mu talent, którego nie miał. W trzecim akcie stał oto na Kapitolu w Rzymie i podjudzał obywateli do zemsty na Brutusie. Mowę swoją stopniował, jak tego żąda oryginał, i w końcu doszedł do punktu kulminacyjnego:

„Lecz gdybym ja był Brutusem,  
A Brutus Markiem Antoniuszem,  
To znalazłby się ktoś, kto myśli wasze  
Rozpaliby, a każdej z ran Cezara  
Taki by język dał, że w Rzymie  
Nawet kamienie porwałby do buntu!“

W tym miejscu, którego *fortissimo* każdemu znawcy dobrze jest znane, dodał jeszcze mocniejszym głosem własne zakończenie „*Sic semper tyrannis!*“ (Tak zawsze dzieje się tyranom!) Według legendy miały to być słowa Brutusa, wyrzeczone w chwili gdy wbijał sztylet w pierś Cezara. Jednakże tu, w Ameryce, a tym

bardziej teraz, słowa te były tym wymowniejszą dewizą herbu Wirginii, w ciągu wojny tysiące razy powtarzaną dla podniesienia Południa na duchu.

Improwizacji aktora może nawet nikt nie zauważył, prócz jednego, który zwrócił się potem do sąsiada ze sceptycznym pytaniem:

„Czy tak jest u Szekspira?”

„Przecież to jest dewiza Wirginii” — odpowiedział ktoś za nim półgłosem.

A na to sąsiad:

„*All right*. Mówi o Brutusie“.

W tej chwili ktoś w teatrze krzyknął: „Pożar!” Wszyscy rzucili się do ucieczki i niebawem okazało się, że w szesnastu teatrach i hotelach wybuchły pożary; było to najwidoczniej dzieło spiskowców, a owe trzy słowa wypowiedziane przez aktora w teatrze ogrodu zimowego były umówionym hasłem.

Z powodu wzburzenia wywołanego pożarami owe dziwne trzy słowa poszły w zapomnienie. Lecz gdyby ktoś szukał oznak przygotowującego się wypadku, to znalazłby daleko wyraźniejsze. W tym samym czasie pewna gazeta w Alabamie zapoczątkowała listę składek na zamordowanie Lincolna, Sewarda i Johnsona przed rozpoczęciem ponownego urzędowania prezydenta. Na razie pozostał nieznanym inny dokument, będący dowodem, że natychmiast po nowym wyborze Lincolna do Davisa zgłosił się pisemnie jakiś oficer, ofiarowując się zgładzić wszystkich głównych przywódców Północy. Pismo to zostało skierowane do ministra wojny, a następnie przesłane do wiadomości innych wysokich oficerów.

Booth kierował się dwojakimi motywami. Jako syn rodziny aktorskiej, nie bardzo zdolny brat znakomitego tragika, z którym równać się nie mógł, psuty dla

swojej piękności, niezawodnie jako ulubieniec kobiet albo awanturnik osiągnąłby inne cele, upragnione przez ambicję i chęć użycia. Wojna wskazała mu inny ideał. Brał on już udział w straceniu Johna Browna; wychowanemu w atmosferze sceny i tragedii, dość mu było porównania ról Brutusa i Tella z tymi zadaniami, jakie po stokroć omawiane były przez oficerów i cywilów stojących po stronie Konfederacji południowej. Notatki z jego ostatnich dni wskazują, że w tej głowie bohaterski czyn oswobodziciela krzyżował się z klasycznymi wyobrażeniami o bohaterstwie. Może myślał, że skoro w masce i szmince nie bywał wielkim Brutusem, to jako Brutus rzeczywisty może czynem osiągnąć większą sławę niż jego ubóstwiany brat grą.

Gdy po raz drugi wybrano Lincolna, tego wroga jego ojczyzny, Booth udał się do Kanady, która była ośrodkiem wszystkich agentów i szpiegów. Zdaje się, że tam zrodziła się w jego głowie myśl, aby Lincoln porwać i uprowadzić do Richmond. Gromadził współpracowników i sympatie, z nieznanego źródła otrzymał pieniądze, twierdził zawsze, że dużo zarobił na pomyslnych spekulacjach naftowych, i ostatecznie znowu pojechał do Waszyngtonu, aby dokonać zamachu na Lincolnę podczas obejmowania przez niego władzy. Wśród ochrony policyjnej wywołał zamieszanie, został wyparty, a później wyraził się, że ominęła go wspaniała szansa.

Przecież i tutaj był Kapitol, więc tym bardziej czułby się Brutusem, gdyby nowego Cezara na oczach ludu zamordował. Ale na razie trzeba było tę sprawę odłożyć. Nie na długo, bo gdy Richmond padł, w Waszyngtonie zorganizował bardzo szybko sprzysiężenie, przygotowane już w marcu. Do sprzysiężenia tego na-



leżał były żołnierz Powell, niejaki Arnold, żona byłego obywatela ziemskiego z Marylandu, obecnie właścicielka pensjonatu — sami południowcy. Daremnie próbował Arnold uciec: Booth trzymał go mocno w rękę — siłą swej woli umiał oddziaływać na wszystkich spiskowców. Każdy z nich otrzymał odpowiednią rolę: Powell — ograniczony, ale herkulesowej siły człowiek, pochodzący z Florydy — miał zabić Sewarda, inny spiskowiec, najbardziej tragiczna postać dramatu, zająć się miał Johnsonem, nowym wiceprezydentem, Booth zaś pragnął odegrać w tej tragedii rolę główną. Czwarty spiskowiec, młodzieniec nazwiskiem Herold, miał być czymś w rodzaju pazia i dopomagać mu w ucieczce. Także gospodyni i jej córka były wtajemniczone w szczegóły sprzysiężenia. Wystawa istic szekspirowska. Tylko dzień nie był jeszcze ustalony, ale zamach miał być wykonany niedługo po powrocie Lincolna.

Pewien wypadek przyspieszył powrót Lincolna do stolicy: Seward wypadł z powozu i doznał ciężkich obrażeń. Toteż Lincoln był z dala od frontu, gdy w Niedzielę Palmową, nazajutrz po jego odjeździe, Lee poddał się. Nie widział więc, jak Lee w nowym uniformie, dżentelmen od stóp do głów, w najlepszej formie przybył do chłopskiej chaty, gdzie Grant, byle jak ubrany, bez szabli i odznak, w zabłoconych butach przyjął pokonanego wodza. Depesza prezydenta zakazała Grantowi w formie niezwykle stanowczej rozstrzygać jakiegokolwiek sprawy polityczne podczas układów o zawieszenie broni. Wojna nie była jeszcze całkowicie zakończona — dopiero w kilka tygodni później poddał się Johnston z resztą armii Shermanowi. Przeszło 3 miliony ludzi było w tej wojnie pod bronią, więcej niż 600 tysięcy poległo lub umarło, a wydano

ponad 5 miliardów dolarów. Na ogół straty Południa były stosunkowo większe niż straty Północy. Pierwszym zagadnieniem było, czy przywódcy buntu mają być ukarani i jak. Pytano prezydenta, co należy zrobić z jego nielegalnym kolegą. Lincoln uśmiechnął się chytrze i rzekł:

„Mogę wam tylko powiedzieć, że u nas w Springfield był chłopiec, który za uciulane pieniądze kupił sobie małego szopa, ale uciecha z posiadania tego zwierzątka rychło minęła, a nabytek uprzykrzył się chłopcu. Pewnego dnia prowadził tego szopa na postronku przez miasto i musiał się na wszystkie strony opędać od swego małego potworka, który poszarpał na nim prawie całe ubranie. Wreszcie zmęczony chłopak usiadł nad rynsztokiem i siedział, aż go ktoś zapytał, co mu jest. — Ach — powiada — uprzykrzył mi się ten szop. — To czemu go po prostu nie puścisz? — Psst! — szepnął chłopiec. — Czy pan nie widzi, że właśnie przegryza postronek? Gdy go przegryzie zupełnie, pójdę do domu i powiem, że szop mi uciekł“.

Znowu tedy powracał wesóły dawny ton; koszmar minął i Lincoln znów umiał ujmować sprawy najtrudniejsze w formy lekkie, co więcej, dzisiaj mógł wyrazić swoje posłannictwo dziejowe w jednej ze swoich najwyborniejszych anegdot i szybko został zrozumiany. Także podczas odwiedzin u chorego Sewarda był w usposobieniu jak najlepszym. Malarz, który był obecny przy tej wizycie, opisywał, jak Lincoln rzucił się na łóżko niby swawolny chłopiec, wsparł głowę na dłoniach i opowiadał Sewardowi o szczegółach upadku Południa. Przed niespełna czterema laty w tym samym pokoju ten sam Seward pisał nieprzyjazny list do prezydenta, a ten odsunął go spokojnie na bok. W tej chwili, gdy pochyla się w poprzek nad łóżkiem chorego

i z wielkim ożywieniem maluje mu scenę, która oznacza zwycięstwo, zdaje się być młodszy i żywszy niż kiedykolwiek. Ma się wrażenie, że wszystkie straszliwe doświadczenia są spłoszone raz na zawsze, że uczciwy Abraham jest znowu w Indianie, nie wie, co począć ze swymi długimi nogami, aby znaleźć dla nich miejsce i aby móc spokojnie opowiedzieć wesołą anegdotę. Tym razem opowiadał historię rzeczywistą.

Stolica wraz z całym krajem szalała z radości. Od poniedziałku 9 kwietnia nastąpił dzień istnego upojenia, którego nie zdołała pomniejszyć świętość Wielkiego Tygodnia. Do stolicy zjeżdżali się ludzie ze wszystkich stron, oddychający z uczuciem ulgi, że wojna minęła. Przed Białym Domem zbierały się tłumy, dwa razy musiał prezydent przemawiać do ludu. Cóż powiedział? Retrospekcja nie zdała się na nic, teraźniejszość jest pod niejednym względem jeszcze niejasna. Jego interesuje tylko przyszłość, sprawa odbudowy zniszczonego kraju, i to właśnie pragnie przekazać sercom swoich współobywateli.

„Obywatele! Dzisiejszego wieczoru spotykamy się nie w smutku, ale w serdecznej radości... Jednak ani część zaszczytu za przeprowadzenie walki zwycięskiej nie przypada mnie. Generał Grant, jego dzielni oficerowie i niestrudzone wojska wykonały wszystko... W odróżnieniu od wojen toczonych przez niezależne narody — w wojnie domowej nie ma autorytetu, który wobec strony przeciwnej mógłby nakazać zaprzestanie buntu. Musimy się liczyć i układać z żywiołami zdemoralizowanymi i zdeprawowanymi. Prócz tego mamy jeszcze jeden drobny kłopot: my, lojalni, nie jesteśmy w zgodzie ze sobą co do rodzaju, sposobu i miary odbudowy“. I oto w długim przemówieniu wyowiada myśli swoje o odnowieniu Luizjany, o utworze-

niu nowego rządu i o sprawie murzyńskiej. Mówi powoli, obszernie, jakby przemawiał przed Kongresem. Ludzie, którzy chcieliby dzisiaj krzyczeć z uciechy, czuli się może nieco znudzeni, chociaż tego nie okazywali. Inni natomiast zrozumieli go może.

Nikt spośród tych tysięcy nie zwrócił uwagi na milczącą zapamiętałość dwóch młodzieńców, którzy stojąc w pierwszych szeregach zdawali się pochłaniać każde słowo mówcy, wywodzącego dalej: „Wszyscy rokowanie otrzymają teraz amnestię, więc i czarnym nie możemy odmówić powszechnego prawa wyborczego, przynajmniej uzależnionego od stopnia inteligencji“.

„To znaczy, że będą obywatele murzyńscy!“ — syknął jeden z nich zwracając się do drugiego. „Już ja go nauczę!“ Byli to Booth i Powell.

A jakby to było, gdyby ci dwaj wywodzili się z Illinois, a nie z Południa? Gdyby ten wzburzony młodzieniec wychował się wśród oswobodzicieli, to w tej chwili na słowa mówcy odpowiadałby wybuchami zapалу. Ale co by było, gdyby ten południowiec choć jeden raz spojrział z bliska w te szare, dobre i badawcze oczy, gdyby przypadek choć raz sprowadził go w pobliże prezydenta, gdy ten jechał konno obok Tadda i objaśniał mu gatunki drzew albo gdy dla zapobieżenia egzekucji wyprawiał depeszę, a choćby nawet wtedy, gdy opowiadał anegdotę? Ba, co by ten Brutus powiedział, gdyby się w tej chwili dowiedział o owej filozoficznej interpretacji, jaką jego obecny Cezar dał niegdyś czynowi Brutusa, tłumacząc go jako fatalizm, którego Brutus uniknąć nie mógł? Wszystkie jego wyobrażenia o honorze i sławie musiałyby się zachwiać, bo nikt nie może z zapamiętałością strzelać w pierś, która się sama na strzał wystawia.



## XVIII

Gdy dnia 14 kwietnia była dwunasta w południe, z fortu Sumter grzmiały armaty jak cztery lata temu, ale tym razem były to armaty północne i nie były nabite pociskami. Ten sam Anderson, który był tu przed czterema laty dowódcą, wznosił teraz gwiaździsty sztandar rozstrzelany na początku wojny; kapela grała, tłum wiwatował. Mówca przemawiający podczas tej uroczystości wywodził: „Składamy prezydentowi życzenia pełne szacunku, ciesząc się, że w ciągu tych czterech krwawych lat wojny Bóg zachował go przy życiu i zdrowiu pomimo nieopisanych ciężarów i cierpień, jakie zwały się na niego; że dozwolił mu dożyć tego szczęśliwego odnowienia Unii, na które z tak wielką odwagą i cierpliwością czekał i dla której tak bezinteresownie pracował“. Dwa razy dziękował mówca Bogu za to, że Lincoln mógł tego dnia doczekać.

Tego samego przedpołudnia siedział Lincoln ze swoimi ministrami w pracowni. Z rana odmówił przyjmowania interesantów i w ciągu godziny słuchał opowiadania swego najstarszego syna o tym, co ów widział znajdując się przy boku Granta, bo w ten sposób mógł się dowiedzieć niejednego poufnego szczegółu o poddaniu się nieprzyjaciela, a zarazem miał sposobność przekonać się o zdolnościach syna, który parę lat spędził poza domem. Gdy syn pokazuje mu wreszcie wizerunek Lee, Lincoln stawia go przed sobą, przygląda się swemu przeciwnikowi bardzo uważnie i powiada: „Dobra głowa. Twarz szlachetnego i dzielnego człowieka. Rad jestem, że to się wreszcie skończyło“.

Posiedzenie gabinetu, pierwsze od szeregu tygodni, a zarazem pierwsze po zwycięstwie, odbywało się w nastroju podniosłym, jakiego nie pamiętano od wie-

lu lat. Seward był nieobecny, ale na jego miejscu siedział Grant, z którego sztabem dziś rano przybył syn Lincolna. Wszyscy otaczali zwycięzcę i składali mu życzenia. „Prezydent — opowiada Welles, który w tej pracowni dzielił trudy Lincolna w ciągu czterech lat — był weselszy i szczęśliwszy niż kiedykolwiek, cieszył się, że nadchodzi pokój, i pełen był wzniosłych humanitarnych uczuć“. Ale nie dlatego jedynie, że odniósł zwycięstwo, bo gdy Grant nie ukrywał niepokoju, że od Shermana ciągle jeszcze nie ma wiadomości, rzekł mu Lincoln, że Sherman pobije Johnstona, że już go pobił, bo dzisiejszej nocy miał sen, który się u niego czasem powtarza. „Sen ten należy do pańskiego wydziału — zwrócił się Lincoln z uśmiechem do ministra marynarki — bo jest w nim dużo wody. W tym śnie jadę zawsze statkiem dziwacznej budowy, której opisać niesposób; statek ten zawsze pędzi ku ciemnemu, nieokreślonemu wybrzeżu. Jest to sen poprzedzający zawsze doniosłe wydarzenia, zwycięstwa; śniłem go przed Antietam, przed Stone River, przed Gettysburgiem i Vicksburgiem“.

„Stone River nie był żadnym zwycięstwem“ — mruknął Grant trochę niezadowolony.

Jeszcze nigdy dotąd nie pozwolił sobie Lincoln przed swoim gabinetem na tak poufne zwierzenia i nigdy nie powtórzyło się nic podobnego od owego pamiętnego dnia wrześniowego sprzed lat niemal trzech, gdy odczytał swoją proklamację o wyzwoleniu niewolników i mówił o tym, jak padł przed Bogiem na kolana. Tylko wielkie poruszenie wewnętrzne mogło otworzyć usta tego samotnego 56-letniego człowieka dla uczynienia takiego wyznania i tylko wiara w mądrość snów mogła go jeden raz w życiu przemienić w optymistę wyzbywającego się ostatnich swoich trosk. Podczas

gdy Lincoln mówił o swoim śnie, który mu zawsze zwiastował wielkie wydarzenia, w odległości paru tysięcy kroków siedzieli spiskowcy i naradzali się nad godziną i sposobem wykonania swego planu.

Potem mówiono na posiedzeniu o odbudowie. Stanton opracował plany odbudowy i oddał je swoim kolegom do przejrzenia. Prezydent znowu zabrał głos i dał wyraz radości, że Kongres jeszcze nie obraduje: „Zanim Kongres się zbierze, przy mądrym i oględnym postępowaniu możemy nakłonić stany do powołania nowych władz, możemy zaprowadzić porządek, a tym samym Unię odnowić“. Potem zwraca uwagę na powszechne domaganie się zemsty i kary na rokoszan i powiada. „Nikt nie powinien ode mnie oczekiwać, że wezmę jakikolwiek udział w wieszaniu i traceniu tych ludzi, nawet najgorszych spośród nich. Wygnajcie ich z kraju, pootwierajcie bramy, powyłamujcie kraty i przepędźcie ich. A sio!“ Podniósł swoje długie ręce jak ktoś płoszący kury. „Z wszelkimi rekryminacjami musimy zrobić koniec, jeśli mamy z sobą znowu pracować i ponownie stać się Unią. Niektórzy spośród naszych przyjaciół mają zbyt mocne pragnienie odgrywania roli panów, narzucania południowcom swej woli i nieuznawania ich za współobywateli. Mają oni za mało szacunku dla ich praw. Uczuć takich nie podzielam“.

Gdzież są teraz mordercy? Dlaczego nie podsłuchują przy dziurce od klucza, aby usłyszeć te najsprawiedliwsze słowa? Palec osunąłby się z cyngla rewolweru, bo musieliby zrozumieć, że tak przemawia ojciec Południa. Gdzie jest Booth, dlaczego nie słyszy prezydenta?

Booth dowiedział się właśnie, że prezydent i generał Grant znajdują się wieczorem na uroczystym przedstawieniu w teatrze, aby pokazać się publiczności, która

się ich widoku domaga. Ponieważ Grant ma być obecny, stanie się to dzisiaj. Jutro chce on na kilka dni wpaść do domu, a potem znów śpieszyć na front, bo jest zaniepokojony, czy wszystko tam jest w porządku. W sny Lincoln nie wierzy, a w Waszyngtonie nie czuje się dobrze. Dyrektor teatru ogłosił natychmiast, że prezydent przybędzie do teatru, wszystko przygotowuje się do wspaniałego przyjęcia, lożę przybierają sztandarami.

Booth wydaje pośpiesznie ostatnie zarządzenia: Powell ma wieczorem wtargnąć do mieszkania Sewarda; przyjdzie niby to z polecenia lekarza i przyniesie lek — ułatwi mu to wtargnięcie do domu ministra. Zdaje się, że zamordowania wiceprezydenta wyrzeczono się w ostatniej chwili. Rzecz osobliwa, że dzień przedtem Booth posłał mu swoją wizytówkę. Dla siebie wynajął na dzisiaj pięknego konia, z dumą pokazuje go znajomym, oddaje go Heroldowi, który wie o wszystkim. Teraz, w południe, udaje się do teatru, gdzie ten czy ów spośród robotników-południowców już się czegoś domyśla, każe krzesła w loży ustawić tak, jak mu to jest potrzebne, i szybko robi dziurkę we drzwiach loży, aby móc zajrzeć do środka. Następnie bada ukradkiem rewolwer i sztylet, bo przydać się może jedno i drugie, a wzory teatralne wskazują właśnie i na tę romantyczną broń. Szansa zamordowania obu wielkich zbrodniarzy potęguje jego zapamiętałość. Pewnemu zaufanemu przekazuje patriotyczne uzasadnienie swego czynu i prosi, aby je jutro opublikował w gazetach. Tak potężny jest w nim motyw aktora.

Równocześnie Lincoln w pokoju swoim pisał do pewnego generała, który doradzał mu ochronę osobistą, taki oto ostatni list: „Zdecydowałem się usłuchać rady swoich przyjaciół i zarządzić potrzebne środki ostroż-



ności... Dziękuję panu za zapewnienie, że przez takich ludzi, jak pan, popierany będę w dążeniu do odbudowy Unii, abysmy, wyrażając się słowami pańskimi, posiadli nie tylko związek stanów, ale także związek serc i rąk. Oddany panu A. Lincoln“.

Byle tylko nie było dzisiaj dużo wizyt! Speakera Kongresu oczywiście odprawić nie mógł, gdy ten przyszedł zapytać, czy letnia sesja Kongresu jest przewidywana. Nie jest przewidywana, ale ponieważ pan speaker udaje się w swoje ojczyste strony na Zachodzie, niech górnikom tamtejszym przekaże jego odezwę. Spisywać jej nie trzeba, bo łatwo ją zapamiętać:

„Mam bardzo wysokie mniemanie o naszych bogactwach kopalnianych i przy praktycznym wyzyskiwaniu ich uważam je za niewyczerpane. Bogactwa te znajdują się na całym Zachodzie od Rocky Mountains aż do Oceanu Spokojnego, a ich wydobywanie dopiero się rozpoczyna. Podczas wojny, gdy co dzień zaciągaliśmy parę milionów dolarów długu, nie można było podnieść produkcji kruszców szlachetnych, bo najpierw trzeba było uratować kraj. Teraz, gdy zapanowało względne bezpieczeństwo, spłacenie długów będzie tym łatwiejsze, im więcej wydobywać będziemy srebra i złota. Pracę tę pragnę wszelkimi sposobami popierać. Będziemy teraz mieli setki i tysiące zwolnionych żołnierzy, a już dzisiaj wszyscy się boją, że powrót ich sparaliżuje przemysł. Teraz zacznę myśleć o ukrytych bogactwach tych połaci naszego kraju, gdzie miejsca dość jest dla wszystkich. Imigracja, która nawet w czasie wojny nie uległa przerwie, sprowadzi do nas tysiące ludzi z przeludnionej Europy. Wskażę im złoto i srebro, które na Zachodzie czeka na nich. Niech pan powie górnikom, że wszystkimi siłami będę bronił ich interesów, ponieważ dobrobyt ich jest dobrobytem na-

rodu. Po kilku latach pokażemy wszystkim, że jesteśmy naprawdę skarbcem świata“.

Po południu pojechał z Mary na spacer, ulice miasta były pełne ludzi, wszędzie powóz prezydenta witało okrzykami radości i zdawało się, że Mary była szczęśliwa. Nareszcie zacznie się pokój, a razem z nim nastanie wesołe życie z festynami, ożywi się Biały Dom, który w ciągu lat taki był ponury. W takim nastroju przedłużono przejażdżkę, w rozmowie zaczęto wspominać dawne czasy w Springfield, a potem mówiono o wszystkim, co trzeba będzie uczynić po upływie dalszych czterech lat. Na rok do Europy! — mówiła Mary, on zaś zgodził się dobrodusznie, ale zaznaczył, że sam wolałby udać się do Kalifornii i zwiedzić nowy Zachód. Gdy wrócił do domu, zobaczył kilku ludzi oddalających się przed bramy. Widocznie daremnie na niego czekali.

„Halo! Dzieci! Zawróćcie no tu!“ — wołał poprzez plac, bo poznał znajomych z Illinois, a któż mógł być dzisiaj gościem bardziej od nich pożądanym! Zabrał ich do siebie, wypytywał o wspólnych przyjaciół, a wiedząc, że go znają, zaczął im coś odczytywać z jednej ze swoich książek humorystycznych. Zdawało się, że wraca nastrój miłych posiedzeń w sklepach w Springfield, a chociaż parę razy wzywano go do stołu, nie śpieszył się bynajmniej, aż wreszcie Mary przysłała „rodzaj rozkazu“, aby przyszedł natychmiast, bo na niego czekają: trzeba się szykować do teatru, gdzie przybycie ich jest zapowiedziane. Niechętnie wstał i pożegnał się ze swoimi gośćmi. Czemu trzeba dawać pierwszeństwo teatrowi i uroczystym przedstawieniom przed takimi ludźmi? Ach tak, przybędzie Grant.

Tymczasem Grant z żoną donoszą, że przybyć nie mogą, bo jeszcze dzisiaj muszą wyjechać do domu nie tracąc dnia. Cóż to znowu za afront, który w dniu zwy-

cięstwa, i to w stolicy, spotyka prezydenta i publiczność? Pani Grant miała później powiedzieć, że owa scena zazdrości, jaką urządziła Mary podczas wycieczki, zbudziła w niej obawę, że może dojść do nowego wybuchu — zapragnęła przeto go uniknąć. Bo gdy będą oklaskiwane jednocześnie ze swoimi sławnymi mężami, któż zdoła przewidzieć, co się żonie prezydenta nie będzie podobało i co ją rozgniewa?

Bezpośrednio przed wyjazdem do teatru napisał prezydent na podaniu uwiecznionego południowca: „Uwolnić po odebraniu przysięgi“. Ten ostatni akt urzędowy był aktem łaski dla Południa. Przy powozie spotkał się ze speakerem, pozdrowił go i rzekł: „Niech pan nie zapomni o mojej odezwie do górników!“ Był to jakby ostatni wyraz jego woli pod adresem Ameryki.

Sztuka już się rozpoczęła. Była to komedia „Nasz kuzyn z Ameryki“. Gdy prezydent z żoną ukazał się w łoży, cały teatr zagrzemiał oklaskami, aktorzy przewali grę, prezydentostwo musieli się wychylić z łoży, muzyka grała hymn, wszyscy wstali, cała sala jaśniała bogactwem uniformów i wspaniałych szat. Potem grano dalej. Ponieważ Grant nie przybył, z prezydentostwem przyjechał do teatru młody major z narzeczoną i jako przyjaciele domu siedzieli teraz w łoży. Tak upłynęły dwie godziny.

Być może, iż Lincoln przysłuchiwał się, co ów kuzyn ma mu do powiedzenia, ale być może, że myśli jego błąkały się. Miły nastrój przemienił mu cały ten dzień w radosną uroczystość, sen przepowiadał coś dobrego, przyjaciele ze stron ojczystych opowiadali, co słychać w małym kółku ludzi najbliższych jego sercu, zacna prawica Granta była jego podporą, co zaś do zaleczenia ran wojennych, to wypowiedział się do ministrów o swoich planach i odrzucił wszelką myśl o zemście,

która już się tu i owdzie odzywała. Zachód otwierał przed nim szerokie perspektywy, skarby ziemi ukazywały się jego wieszczemu spojrzeniu, starszy syn zmęźniał, młodszy uwijał się wśród ludzi, jak zwykle. Cichy, spełniony sen, potężniejące życie. Generał doradzał ostrożność. Oczywiście, może i trzeba być ostrożnym.

Ale los czy też niezbadane przeznaczenie, które tak zdumiewającymi drogami wiodło go ku niespodziewanym celom, czyż nie górowało nad wszelką ostrożnością? Czyż nie wyrwało go ono z lasu o olbrzymich drzewach, aby z falami rzeki na tratwie zbitej ze starych pni wyprawić go w świat między skrzynie i worki ciasnych sklepów, a następnie usadowić w biurze między zakurzonymi aktami albo też związać go z wędrownym sądem, wojażującym wśród kwitnących błoń, i uczynić go służebnikiem prawa? We wspomnieniach nie brak i Herndona, wiernego towarzysza, nie brak Speeda, który jeszcze niedawno go odwiedzał, a nigdy niczego dla siebie nie żądał. Przywidziała się mu też ciasna sala parlamentu w Wandalii, gdzie po raz pierwszy stał się z przeciwnikami politycznymi, potem Kapitol w mieście Springfield, ładny i nowy, następnie wsiadamy do pociągu i jedziemy, jedziemy przez rozległy kraj od trybuny do trybuny, aby przemawiać, a zawsze śladem małego olbrzyma. Gdzie też on teraz jest, ów ruchliwy, żwawy Douglas? Gdzie jest przyjaciel Baker? Gdzie są jego delikatni chłopcy, którzy zwiędli niby kwiaty na poły rozkwitłe?

Ze wszystkich stron patrzy śmierć. Kto ją wołał? Czy historia nazwie jego tylko panem tej grozy? Czy może to uczynić, jeśli zechce być sprawiedliwa? Czy dzisiaj, w dniu zwycięstwa, gdy bada swoje sumienie, musi sobie zarzucić, że choćby raz w kolejach



życia żądał od kogokolwiek więcej niż powinien? Przecież gorliwcy i tak zarzucali mu bezustannie, że żąda za mało. I czyż nie spełniło się jedno i drugie z tego, czego najzarliwiej pragnął? Oto dłoń jego spoczywająca na parapecie łoży dotyka gwiazdzystego sztandaru, który przed czterema laty został rozstrzelany, a dzisiaj znowu powiewa. A na ulicach, gdy jechał do teatru, widział wśród białych twarzy mnóstwo twarzy czarnych o wyrazie wielkiej wdzięczności, twarzy bolesnych i milczących. Dokąd też poniesie go dalej ten dziwny statek zmierzający ku niewyraźnemu wybrzeżu, do którego we śnie nigdy dobić nie mógł, budząc się zawsze przed zbliżeniem się do niego? Ku lasom Indiany? Do Elizeum?

Po cichu zbliża się morderca ku łożu. Było około dziesiątej. Przedtem w jednym z barów napił się whisky dla dodania sobie animuszu, a potem w teatrze zdawał się być bardzo uważnym widzem. Nikt go nie znał. Teraz, w czasie gry, podchodzi do urzędnika czuwającego przy zewnętrznych drzwiach łoża, podaje wizytówkę, zapewnia, że prezydent oczekuje go z wiadomościami, które ma mu zakomunikować, i rzecz dziwna, zostaje wpuszczony. Teraz w ciasnej sionce między dwojgiem drzwi pracuje gorączkowo, przygotowana w południe deską podpira drzwi i przez dziurkę w drzwiach wewnętrznych raz jeszcze mierzy odległość. Tuż przy drzwiach siedzi prezydent, obok niego żona, następnie młoda dama, a z prawej strony oficer, którego nie zna. Ponieważ łoża znajduje się tuż nad sceną, wystarczy wyskoczyć, aby się dostać do znanego wyjścia za sceną, a tam czeka na Brutusa jego paż z koniem — i jazda! Odwagi, wzorem Brutusa!

W tej samej sekundzie, gdy otwiera wewnętrzne drzwi i musi się obawiać, że się ku niemu obróca twa-

rzami, przystawia broń do głowy swej ofiary, strzela, widzi, jak oficer rzuca się na niego, uderza go sztyletem tak mocno, aż oficer się chwieje, wskakuje na parapet łoży, chce zeskoczyć na scenę, ale ostrogą zaczepia o sztandar, którego od tak dawna nienawidzi, spada na dół i wykręca nogę, ale mimo to zrywa się, wymachuje sztyletem, jak to nieraz czynił na scenie, i rzuca na salę swoje hasło: *Sic semper tyrannis!* Potem pędzi pomiędzy aktorami sparaliżowanymi grozą i znika.

„Prezydent zamordowany!“ Nikt nie wie, kto pierwszy wydał ten okrzyk. Nikt nie pojmował, co krzyczano, niektórych budzi z przerażenia dopiero krzyk Mary, aktorzy nie wiedzą, do którego słowa role swoje dograli, zapominają spuścić kurtynę, major z poranionym ramieniem pędzi ku drzwiom, znajduje je zaryglowane, wyważa je, lekarze, oficerowie, omdlałe kobiety — wszystko miesza się ze sobą, a tu jeszcze wkracza wojsko z nastawionymi bagnietami i potęguje zamęt. Prezydent osunął się na krzesło, a z jego rany w głowie spływa krew. Jest nieprzytomny, podnoszą go i wynoszą, ale nikt nie wie, dokąd. Jakiś człowiek z przeciwległego domu pyta, czy niosą chorego, kiwają głowami, że tak, otwiera bramę i układają prezydenta na łóżku tego obywatela.

W tej samej godzinie drugi spiskowiec wtargnął do Sewarda, drogę utorował sobie przy użyciu noża, poranił czworo ludzi, choremu ministrowi w łóżku przebił szyję i twarz i uciekł.

Łóżko, na którym Lincoln miał umrzeć, było za krótkie; długie jego ciało trzeba było ułożyć na ukos. Przez dziewięć godzin walczy to wielkie ciało ze swoją śmiertelną raną i ciężko dysząc leży na przygodnym łóżku aż do rana. Mary leży w izbie sąsiedniej, ministrowie się pozbiegali. Nie odzyskawszy przytomności



Lincoln niedługo przed śmiercią





umiera Lincoln o siódmej rano w obcym łóżku jak pielgrzym i jak prorok w Wielki Piątek.

Ameryka pogrzebała tego syna ludu tak, jak dawnymi czasy grzebano wielkich królów. Długą drogą powracał ten zmarły mąż w strony ojczyście przez wszystkie miejscowości, w których podczas swej podróży przed czterema laty się zatrzymywał. Niezliczone tłumy defilowały przed jego trumną, zanim zniknęła w mogile na małym cmentarzu miasta Springfield, tuż przy grobie jego małego synka, bliskiego mu jak za życia.

Ponad trumną wiezioną przez rozległy kraj przesuwały się cienie przyjaciół i wrogów. Morderca, ścigany z miejsca na miejsce, ukrywał się, przez jakiegoś lekarza został opatrzony, aż wreszcie ujęto go w pewnej stodole i tam spalono razem ze stodołą, a podczas pożaru jeszcze do niego strzelano. Trzech jego współspiskowców zostało powieszonych, jeden z nich uciekł do Europy. Południe zrozumiało, kogo utraciło — mord ten nazwano ojcobójstwem. Lee został profesorem i nauczał jeszcze w ciągu paru lat. Davis pisał pamiętnik i przeżył w spokoju jeszcze ćwierć stulecia. Grant został prezydentem. Mary zaś straciła resztę równowagi umysłowej, posprzedawała swoje piękne suknie, dostała się do domu obłąkanych i w zamroczeniu ducha umarła w końcu w tym samym domu, z którego wyszła jako żona Lincoln.

Najserdeczniej opłakiwali swego wybawcę Murzyni, jedyni ludzie, którzy błogosławili go już za życia. Śpiewali o nim pieśni i mówili, że ich Mesjasz jest teraz w niebie. W to samo wierzył i Tadd, który umarł w kilka lat po ojcu. Stojąc przy trumnie ojca w Białym Domu zapytał: „Czy ojciec jest teraz w niebie? Tak?”

To dobrze, bo tutaj nigdy nie był naprawdę szczęśliwy“.

Od czasów Abrahama Lincolna żaden niewinny człowiek nie nosił łańcucha u nogi. Od lat, w których człowiek ten żył, działał i zginął, wszyscy ludzie, którym Bóg daje życie, rodzą się według prawa wolni.



## TREŚĆ

*Księga I*  
WYROBNIK  
str. 5

\*

*Księga II*  
OBYWATEL  
str. 91

\*

*Księga III*  
BOJOWNIK  
str. 177

\*

*Księga IV*  
OSWOBODZICIEL  
str. 355

\*

*Księga V*  
OJCIEC  
str. 501

Redaktor techniczny K. Kolański  
Korektor M. Orłowska



„Książka i Wiedza”, Warszawa, czerwiec 1957 r. \* Wyd. II \* Nakład  
10 000 + 150 egz. \* Obj. ark. wyd. 28,86 \* Obj. ark. druk. 39,25  
(33,75) \* Papier druk. mat. kl. V, 70 g, 84 × 108 cm, z Fabryki Papieru  
w Boruszowcach \* Oddano do składu 4.I.1957 r. \* Podpisano do  
druku 9.IV.1957 r. \* Druk ukończono w maju 1957 r. \* Wojskowa  
Drukarnia w Łodzi \* Zam. nr 7006/57 \* D-5 \* Cena zł 40.—









NIE POŻYCZA SIĘ

DO DOMU

PEDAGOGICZNA  
BIBLIOTEKA  
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz  
Al. Gen. J. Hallera 14



21878